

ARTHUR C. CLARKE & GENTRY LEE

OGRÓD RAMY

(PRZEŁOŻYŁ TOMASZ LEM)

SCAN-DAL

PODZIĘKOWANIA

Wiele osób przyczyniło się do powstania tej książki. Jedną z najważniejszych był nasz redaktor, Lou Aronica, którego uwagi pozwoliły nadać książce ostateczny kształt.

Nasz przyjaciel Gerry Snyder, rozwiązujący wszelkie problemy natury technicznej, znów okazał się niezmiernie pomocny, natomiast nadzór nad wiarygodnością opisów medycznych sprawował dr Jim Willerson: do Gerry'ego i Jima należy kierować pretensje dotyczące wszelkich nieścisłości natury "technicznej" i "medycznej".

W trakcie przygotowań do pisania książki Jihei Akita dostarczył nam wiele cennych informacji o historii i zwyczajach swojego kraju, a pani Watcharee Monviboon dała się poznać jako znakomity przewodnik po Tajlandii.

Książka w dużej mierze opisuje świat widziany oczami kobiety; zarówno Bebe Barden jak i Stacey Lee chętnie odsłaniały przed nami tajniki kobiecej duszy. Szczególne podziękowania należą się pani Barden za jej wkład w postać i twórczość Benity Garcii.

Do powstania OGRODU RAMY przyczyniła się także Stacey Kiddoo Lee, której pomoc czasami okazywała się niezbędna.

W trakcie pisania książki Stacey urodziła czwartego syna, Trávisa Clarke'a Lee. Dziękuję ci za wszystko, Stacey.

Dziennik Nikole

I.

29 GRUDNIA 2200

Dwa dni temu o godzinie 10.44 czasu Greenwich przyszła na świat Simone Tiasso Wakefield. Było to niezwykle przeżycie.

Zawsze wydawało mi się, że wiele już w życiu przeszłam; tymczasem ani śmierć matki, ani zdobycie złotego medalu na olimpiadzie w Los Angeles, ani trzydzieści sześć godzin z księciem Henrykiem, ani nawet narodziny Genevieve nie wywarły na mnie takiego wrażenia i nie sprawiły takiej radości, jak pierwszy płacz Simone.

Michael był przekonany, że dziecko urodzi się w dniu Bożego Narodzenia. Wyjaśnił, że wierzy, iż "Bóg da nam w ten sposób znak" i że nasze "kosmiczne dziecko" przyjdzie na świat w dniu narodzin Jezusa. Richard jak zwykle trochę się boczył; zawsze to robi, gdy Michael zaczyna wygłaszać płomienne kazania. Ale gdy w Wigilię Bożego Narodzenia dostałam pierwszych silnych skurczów, nawet Richard się nawrócił.

Noc przed Bożym Narodzeniem udało mi się przespać. Tuż przed przebudzeniem miałam sen; spacerowałam nad stawem w Beauvois, bawiąc się z moją kaczuszką Dunois i jej towarzyszami, gdy nagle usłyszałam, że ktoś mnie woła.

Jakiś kobiecy głos powiedział, że poród będzie trudny; muszę być silna i dzielna, jeśli chcę, aby moje drugie dziecko przyszło na świat.

W dniu Bożego Narodzenia podarowaliśmy sobie skromne prezenty, które "zamówiliśmy" u Ramów. Potem zrobiłam Richardowi i Michaelowi wykład o trudnościach jakie mogą wystąpić przy porodzie. Myślę, że Simone rzeczywiście przyszłaby na świat w dniu Bożego Narodzenia gdyby nie moja świadomość całkowitego nieprzygotowania mężczyzn do odebrania porodu. Nie wykluczone, że siłą woli przesunęłam poród o dwa dni...

Jedną ze spraw o których rozmawialiśmy w Boże Narodzenie był poród pośladkowy. Już od kilku miesięcy miałam przeczucie, że płód ułożony jest nieprawidłowo, ale miałam nadzieję, że dziewczynka zdoła się jakoś obrócić...

Miałam rację, ale tylko częściowo; rzeczywiście obróciła się, ale twarz miała teraz skierowaną w górę i czubek jej główki został boleśnie ściśnięty.

W szpitalu na Ziemi lekarz prawdopodobnie zdecydowałby się na cesarskie cięcie, a następnie czuwał nad operacją przeprowadzaną przez roboty...

Potem ból stał się nie do wytrzymania. Główka dziecka została wciśnięta pomiędzy nie

poddające się kości; krzycząc usiłowałam przekazać Michaelowi i Richardowi co powinni robić.

Richard był całkowicie bezradny. Nie mógł znieść myśli, że cierpię ("nie mogłem poradzić sobie z tym całym bałaganem" powiedział później) i zupełnie nie nadawał się do pomocy przy porodzie kleszczowym. Na szczęście kochany Michael, ocierając pot z czoła - choć w pomieszczeniu wcale nie było gorąco - pospiesznie wykonywał moje (nie zawsze logiczne) polecenia. Skalpelem rozciął mnie nieco szerzej i - po krótkiej chwili wahania spowodowanej intensywnym krwawieniem - już trzymał w kleszczach główkę Simone. Za trzecim razem udało mu się jakoś wcisnąć ją z powrotem i obrócić twarzą w dół.

Mężczyźni krzyczeli z radości. Ja starałam się skoncentrować na regularnym oddychaniu; obawiałam się, że stracę przytomność. Ale pomimo nieustającego bólu także pozwoliłam sobie na okrzyk radości czując, że dziecko przyszło na świat.

Richard-ojciec dostał zaszczytu przecięcia pępowiny. Po tym zabiegu Michael podniósł dziecko do góry, żebym mogła je zobaczyć.

- To dziewczynka - powiedział wzruszony i położył ją delikatnie na moim brzuchu. Podparłam się na łokciach, żeby na nią spojrzeć. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest uderzająco podobna do mojej matki...

Nie zasnęłam dopóki łożysko nie wyszło i dopóki z pomocą Michaela nie zaszłam tego, co musieliśmy przeciąć. Potem straciłam przytomność i nie pamiętam, co działo się w ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin. Byłam bardzo zmęczona; pięciominutowe skurcze zaczęły się już jedenaście godzin przed porodem...

Moja mała córeczka chętnie pije mleko. Michael twierdzi, że karmiłam ją nawet w półśnie.

Po każdym karmieniu Simone wygląda na zadowoloną; jestem szczęśliwa, że mogę ją karmić piersią. Obawiałam się, że będę miała ten sam kłopot, co z Genevieve.

Jeden z mężczyzn zawsze przebywa w pobliżu. Trochę wymuszone uśmiechy Richarda i tak sprawiają mi wiele radości. Gdy nie śpię, Michael natychmiast podaje mi Simone. Wie, jak należy ją trzymać na rękach, kołysze ją, gdy płacze, i od czasu do czasu mruczy pod nosem: "ona jest śliczna".

W tej chwili Simone śpi obok mnie, zawinięta w koc zrobiony dla nas przez Ramów. (Bardzo trudno było przekazać naszym gospodarzom czym jest materiał; największe trudności sprawiają takie pojęcia jak "miękki".)

Simone rzeczywiście jest podobna do mojej matki. Ma ciemną skórę, czarny kosmyk włosów na głowie i brązowe oczy. Z powodu ciężkiego porodu jej główka nie jest zbyt kształtna i trudno powiedzieć, żeby Simone była śliczna. Jednak Michael ma rację. Ona jest śliczna. Dostrzegam piękno ukryte w tym cudownym stworzeniu, które tak szybko oddycha. Witaj na

świecie, Simone Wakefield.

2.

6 STYCZNIA 2201

Od dwóch dni jestem smutna i przygnębiona. Wiem, że po ciężkim porodzie często zdarza się takie psychiczne wyczerpanie, ale nie mogę się pozbyć poczucia klęski.

Najgorzej było dziś rano. Obudziłam się na długo przed Richardem i spojrzałam na Simone śpiącą w ramańskiej kołysce stojącej przy ścianie. Choć bardzo kocham moją córeczkę nie potrafiłam wykrzesać żadnych pozytywnych myśli o czekającej ją przyszłości. Podniecenie i radość które towarzyszyły mi od chwili jej narodzin, zniknęły bez śladu. Głowę zaprzętały mi setki myśli: jak będziesz żyć, moja maleńka Simone? I w jaki sposób my, twoi rodzice, możemy uczynić cię szczęśliwą?

Moja kochana córeczko: razem z rodzicami i pocziwym Michaeliem O'Toole'em przyszło ci żyć w podziemnych grotach na kosmicznym statku Obcych. Jedyne dorosłe osoby jakie znasz pochodzą z Ziemi; jesteście kosmonautami, stanowimy część załogi Newtona, wysłanego z Ziemi w celu zbadania cylindrycznego olbrzyma, zwanego przez nas Ramą. Twoja matka, ojciec i generał Michael O'Toole znajdowali się na pokładzie Ramy w chwili, gdy nagle zmienił on trajektorię, aby uniknąć anihilacji przez pociski nuklearne wysłane z Ziemi.

Na wyspie nad naszą grotą znajduje się miasto pełne dziwacznych wieżowców, nazwaliśmy je Nowy Jork. Wyspę otacza pierścień zamrożonego Morza Cylindrycznego. Według obliczeń twojego ojca docieramy właśnie do orbity Jowisza (choć sam Jowisz znajduje się teraz po drugiej stronie Słońca). Poruszamy się po hiperboli i po pewnym czasie opuścimy Układ Słoneczny. Nie znamy budowniczego tego wspaniałego statku. Wiemy natomiast, że na jego pokładzie znajdują się inne istoty, choć nie mamy pojęcia skąd się wzięły. Podejrzewamy, że niektóre z nich są nam wrogie.

Przez ostatnie dwa dni bez przerwy wracam w myślach do tego tematu i zawsze wyciągam ten sam wniosek: to niewybaczalne, aby dorośli ludzie przyczynili się do przyjscia na świat bezbronnego stworzenia i skazali je na życie w takich warunkach.

Dziś rano obliczyłam, że kończę trzydzieści siedem lat. Rozpłakałam się. Pierwsze łzy były ciche, ale potem naszły mnie wspomnienia o tym, jak dawniej spędzałam urodziny i smutek przerodził się w niemal fizyczny ból...

Żal mi było nie tylko Simone; myślałam o tej cudownej, niebieskiej planecie którą utraciliśmy. Wciąż zadawałam sobie to samo pytanie: dlaczego zdecydowałam się na dziecko w

“tym całym bałaganie”?

Znów pojawiło się to słowo: bałagan. To jeden z ulubionych wyrazów Richarda. W jego słowniku “bałagan” ma nieskończenie wiele znaczeń. Wszystko co chaotyczne i wymykające się spod kontroli jest “bałaganem”, bez względu na to, czy chodzi o problem natury technicznej czy rodzinną sytuację kryzysową (na przykład żonę płaczącą po porodzie).

Dziś rano Richard i Michael próbowali mnie rozweselić (co tylko pogorszyło moje samopoczucie). Dlaczego każdy mężczyzna widzący płaczącą kobietę zakłada, że to on jest przyczyną jej smutku?

Właściwie nie jestem obiektywna, Michael ma troje dzieci i na pewno wie, co teraz czuję. Spytał mnie, czy może mi w czymś pomóc. Na Richardzie moje łzy zrobiły wielkie wrażenie. Gdy obudził się i zobaczył, że szlocham, był przerażony. Najpierw pomyślał, że coś mnie boli, ale ani trochę się nie uspokoił, gdy powiedziałam, że “wszystko jest w porządku”. Wytłumaczyłam mu, że jestem w depresji.

Gdy się przekonał, że nie on jest przyczyną mojego smutku w milczeniu wysłuchał moich obaw o przyszłość Simone. Przyznaję, że nie mówiłam zbyt składowanie, ale on z mojej przemowy nie zrozumiał absolutnie nic. Wciąż powtarzał to samo: przyszłość Simone nie jest bardziej niepewna niż nasza i w związku z tym nie istnieje żaden logiczny powód mojego smutku; powinnam natychmiast się rozpogodzić.

Nasza dyskusja trwała przeszło godzinę, aż wreszcie Richard doszedł do słusznego wniosku, że wcale mi nie pomaga i zostawił mnie samą.

(Pisane sześć godzin później.) Czuję się nieco lepiej. Za trzy godziny skończy się moje skromne przyjęcie urodzinowe. Nakarmiłam Simone, która leży teraz obok mnie. Przed kwadransiem Michael zostawił nas samych. Richard już śpi. Przez cały dzień ślęczał nad komputerem, usiłując wytłumaczyć Ramom z czego robi się porządne pieluchy.

Richard zapisuje metody jakimi komunikujemy się z tym tajemniczym kimś, kto połączony jest z klawiaturą w naszym pokoju. Za czarnym ekranem nie udało nam się dostrzec żadnych istot więc nie wiemy, czy to rzeczywiście Ramowie spełniają nasze zachcianki. Ale dla wygody tak właśnie ich nazywamy.

Porozumiewanie się jest zarazem proste i skomplikowane; skomplikowane, bo “mówimy” do nich rysując na czarnym ekranie obrazki oraz wzory chemiczne i matematyczne, proste, gdyż składnia poleceń wprowadzanych przez klawiaturę zawiera tylko kilka znaków. Najczęściej używanym wyrazem jest “chcielibyśmy” albo “chcemy” (oczywiście nie wiemy w jaki sposób nasze żądania tłumaczone są na język Ramów, ale mamy nadzieję, że jesteśmy grzeczni; możliwe,

że w rzeczywistości mówimy: "dajcie nam"). Potem następuje dokładny opis tego, czego potrzebujemy.

Najtrudniej jest ze składem chemicznym; proste przedmioty codziennego użytku takie jak mydło, papier i szkło mają dość złożoną strukturę i bardzo trudno je opisać posługując się wyłącznie symbolami. Nieraz przedmioty które otrzymujemy w najmniejszym stopniu nie przypominają tego, o co prosiliśmy. Richard odkrył wprawdzie, że możemy Ramom przedstawiać również procesy produkcyjne, ale uzyskanie nowego przedmiotu i tak zawsze odbywa się metodą prób i błędów. Początkowo te "nieporozumienia" były powodem frustracji; ubolewaliśmy nad lukami w naszym wykształceniu. Prawdę mówiąc nasza nieznajomość chemii w dużym stopniu przyczyniła się do poważnych braków w wyposażeniu nas w artykuły pierwszej potrzeby na Wielką Wyprawę (tak Richard nazywa naszą podróż w nieznane).

W tym czasie temperatura w Ramie spadła do minus pięciu stopni Celsjusza i Morze Cylindryczne zamarzło. Coraz bardziej martwiłam się, że nie jesteśmy odpowiednio przygotowani na przyście na świat dziecka. Nasze przygotowania trwały stanowczo zbyt długo. Na przykład wybudowanie łazienki zajęło nam ponad miesiąc, a rezultat nie jest, niestety, imponujący. Problem polega na tym, że dane, które przekazujemy naszym gospodarzom, są niekompletne. Zdarza się też, że sami Ramowie sprawiają nam trudności. Wielokrotnie przekazali nam informację, że w wyznaczonym przez nas czasie nie potrafią stworzyć tego, o co prosiliśmy.

Pewnego ranka Richard oznajmił, że opuszcza naszą grotę. Zamierza dotrzeć do wojskowego Newtona, który wciąż jest zakotwiczony do zewnętrznej powłoki Ramy. Powiedział, że dostęp do bazy danych Newtona ułatwiłby nam komunikowanie się z Ramą. Przyznał także, że stęsknił się za prawdziwym jedzeniem. Wprawdzie przy życiu utrzymują nas posiłki przyrządzane przez Ramów, ale są one albo całkowicie pozbawione smaku, albo smakują okropnie.

Aby zwrócić honor naszym gospodarzom należy dodać, że nasze życzenia spełniane są w stu procentach. Choć wiemy jak za pomocą symboli określić skład chemiczny tego, co jest nam niezbędne do przeżycia, to żadne z nas nie uczyło się skomplikowanych procesów biochemicznych zachodzących w kubeczkach smakowych. Papkę, którą dostajemy do jedzenia, czasami trudno przełknąć. Po niejednym posiłku dostaliśmy nudności.

Po południu cała nasza trójka debatowała nad dobrymi i złymi stronami Wielkiej Wyprawy. Czułam się wtedy całkiem nieźle, byłam mniej więcej w połowie ciąży. Nie zachwyciło mnie to, że zostanę sama w grocie, podczas gdy mężczyźni przeprawiają się po lodzie na drugą stronę morza, odszukają rovera, przebrną przez Równinę Środkową i po wielokilometrowej jeździe dotrą do stacji Alfa. Wiedziałam jednak, że razem będzie im o wiele łatwiej. Zgodziłam się z nimi; wyprawa samotnego Richarda byłaby zbyt ryzykowna.

Richard był niemal pewien, że rover będzie nadawał się do jazdy, przypuszczał natomiast, że problemy mogą wystąpić przy próbie uruchomienia windy. Wiele czasu spędziliśmy dyskutując o uszkodzeniach, jakim mógł ulec wojskowy Newton na skutek wybuchów ładunków nuklearnych. Dzięki zewnętrznym kamerom Ramy Richard przekonał się, że Newton nie wygląda na uszkodzony. Możliwe że otaczając się ochronnym kokonem, Rama także jego uchronił przed nadmiernym napromieniowaniem.

Nie byłam taką optymistką. Współpracowałam z inżynierami projektującymi ochronę radiacyjną i zdawałam sobie sprawę z wytrzymałości powłoki Newtona. Wprawdzie istniało wysokie prawdopodobieństwo, że naukowa baza danych pozostała nienaruszona (zarówno jej procesor jak i bloki pamięci miały dodatkowe osłony), ale byłam pewna, że żywność uległa skażeniu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że przechowywano ją w niezbyt odpowiednim miejscu i kiedyś nawet zastanawialiśmy się, czy silny wybuch na Słońcu nie spowoduje skażenia prowiantu.

Nie bałam się zostać sama. Bardziej trapiła mnie myśl, że mogą nie wrócić. Nie myślałam o żadnym konkretnym zagrożeniu, takim jak ośmiornice czy inne stworzenia, których jeszcze nie poznaliśmy. Ale zawsze istniało prawdopodobieństwo, że Rama znów zmieni kurs lub stanie się coś, co Richardowi i Michaelowi uniemożliwi powrót do Nowego Jorku...

Moi towarzysze zapewnili mnie, że nie będą podejmować zbędnego ryzyka: wejdą na pokład Newtona, zrobią swoje i od razu wyruszą w drogę powrotną.

Opuścili naszą grotę tuż po świcie dwudziestoosmiodzinowego romańskiego dnia. Po raz pierwszy od chwili, gdy wpadłam do studni zostałam sama...

Ale przecież nie byłam całkiem sama, nosiłam w sobie Simone. To cudowne uczucie nosić w sobie dziecko, które w połowie powstało z moich genów...

Jest w tym jakaś niesprawiedliwość, że mężczyźni nie mogą mieć dzieci. Gdyby mogli, może zrozumieliby, dlaczego kobiety tak dużo myślą o przyszłości...

Trzeciego dnia nie mogłam już wytrzymać w grocie i postanowiłam pójść na spacer. W Ramie była jeszcze noc, ale mimo to postanowiłam się przejść. Było zimno i musiałam założyć skafander.

Z oddali dobiegł jakiś dziwny odgłos. Zamarłam. Po plecach zaczęły mi spływać kropelki zimnego potu. Przyływ adrenaliny musiał udzielić się także Simone, bo poczułam kilka silnych kopnięć.

W niecałą minutę później znów usłyszałam ten dźwięk: metalicznemu chrzęstowi towarzyszył teraz wysoki, przenikliwy świst.

Nie miałam żadnych wątpliwości: po Nowym Jorku chodziła ośmiornica. Zawróciłam i uciekłam do naszej groty.

Gdy w Ramie zrobiło się jasno, wróciłam do Nowego Jorku. Zbliżając się do "szopy", w której wpadłam do studni zaczęłam się zastanawiać, czy ośmiornice rzeczywiście wychodzą tylko nocą. Richard twierdzi, że to nocne stworzenia. Dwa miesiące przed zrobieniem krat do naszego "domu", Richard umieścił kamery nad grotą z ośmiornicami. Przekonaliśmy się, że stworzenia te wychodzą w nocy na powierzchnię. Po niedługim czasie ośmiornice zjadły nasze kamery, ale Richard twierdzi, że zebrał dość danych na potwierdzenie swojej hipotezy.

W każdym razie jego zapewnienia wcale mnie nie uspokoiły, gdy złowieszczy dźwięk doszedł mnie od strony naszej grotty. Stałam wewnątrz "szopy" i patrzyłam w głąb studni, w której dziewięć miesięcy temu omal że nie zginęłam. Najbardziej zaniepokoiło mnie to, że dźwięk dochodził z okolic naszego ramańskiego domu. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Ruszyłam z powrotem, ostrożnie rozglądając się na boki. Po chwili odkryłam źródło hałasu: Richard za pomocą miniaturowej piły przyniesionej z pokładu Newtona ciął na kawałki ramańskie sieci.

Prostokątna siatka zwisała z jednego z trudnych do opisanie przedmiotów znajdujących się w pobliżu naszej grotty; miała kształt kwadratu o boku mniej więcej trzymetrowej długości.

Michael był niezadowolony z tego, że Richard "psuł sieć" tnąc ją piłą łańcuchową. W chwili gdy do nich dotarłam Richard przekonywał Michaela do swojego pomysłu, demonstrując mu korzyści płynące z posiadania takiej sieci.

Wyściskaliśmy się na powitanie, a potem mężczyźni długo opowiadali mi o swojej wyprawie.

Wyprawa poszła gładko, zarówno rover jak i winda działały, więc bez trudu dostali się na pokład Newtona. Statek był poważnie napromieniowany, więc moi towarzysze postanowili nie zabierać skażonej żywności. Zawartość bazy danych przepisali na swoje przenośne komputery. Zabrali także skrzynkę z narzędziami (skąd pochodziła piła łańcuchowa).

Od narodzin Simone obydwaj pracowali bez wytchnienia. Dzięki informacjom z bazy danych, które okazały się znakomitą uzupełnieniem naszej znajomości chemii, udało się uzyskać od Ramów jedzenie o nieco lepszym smaku. Michael ukończył budowę swojego pokoju na końcu korytarza, zrobiliśmy kołyskę dla Simone, a "poziom cywilizacyjny" naszej łazienki uległ znacznej poprawie. Biorąc pod uwagę sytuację w jakiej się znajdujemy, żyje nam się teraz całkiem dobrze. Może wkrótce...

Przerywam pisanie, bo obok mnie ktoś zaczął cichutko płakać. Czas nakarmić moją córeczkę...

Zanim minie ostatnie pół godziny moich urodzin, chciałabym powrócić do wspomnień sprzed lat. Urodziny zawsze były dla mnie najważniejszym wydarzeniem w roku. Boże Narodzenie i Nowy Rok są wyjątkowe - przyznaję - ale dotyczą wszystkich. Natomiast urodziny są dniem

poświęconym tylko jednej, wybranej osobie. Zawsze były dla mnie okazją do refleksji i rozmyślań o życiu.

Myślę, że potrafiłabym przywołać wspomnienia wszystkich moich urodzin, poczynając od dnia, w którym skończyłam pięć lat. Oczywiście, niektóre z nich są bardziej wyraziste niż inne. Dziś rano wspomnienia te wywołały we mnie kolejny przypływ tęsknoty za domem.

Martwi mnie, że nie mogę zapewnić Simone bezpieczeństwa. Ale pomimo lęków czających się gdzieś na dnie mojej duszy, gdybym mogła przeżyć wszystko od nowa, i tak zdecydowałabym się na to dziecko. Jesteśmy podróżnikami związanymi najsilniejszym z więzów: miłością macierzyńską...

Podobne uczucie łączyło mnie nie tylko z rodzicami ale i z Genevieve, moją pierwszą córką...

To dziwne, że wciąż tak dobrze pamiętam matkę, choć umarła już prawie dwadzieścia siedem lat temu, gdy miałam zaledwie dziesięć lat. Pozostawiła po sobie cudowne wspomnienia. Pamiętam ostatnie urodziny spędzone razem z nią; całą trójką pojechaliśmy pociągiem do Paryża. Ojciec miał na sobie swój nowy włoski garnitur, był niezwykle przystojny. Matka ubrała się w jedną ze swoich wielobarwnych, "plemiennych" sukni. Włosy uczesała tak, jak robią to księżniczki. (Przed ślubem moja mama była księżniczką Senoufo).

Zjedliśmy obiad w eleganckiej restauracji na Polach Elizejskich, a potem poszliśmy do teatru na pokaz afrykańskich tańców. Po przedstawieniu pozwolono nam wejść za kuliszy, gdzie matka przedstawiła mi jedną z tancerek - wysokiej, pięknej Murzynce. Była to jedna z kuzynek matki z Wybrzeża Kości Słoniowej.

Przysłuchiwałam się ich rozmowie w plemiennym języku Senoufo, usiłując wyłowić znajome słowa. Zastanawiałam się dlaczego twarz matki stawała się pełna wyrazu dopiero wtedy, gdy spotykała się z ludźmi...

Miałam wtedy tylko dziesięć lat i pragnęłam "prawdziwych" urodzin, na które mogłabym zaprosić koleżanki ze szkoły. Gdy wracaliśmy pociągiem do domu, matka instynktownie wyczuła, że jestem smutna.

- Nie martw się, Nicole - powiedziała. - Jeśli chcesz, w przyszłym roku zrobimy prawdziwe przyjęcie urodzinowe. Chcieliśmy z ojcem wykorzystać tę okazję, żeby przypomnieć ci o twoim dziedzictwie... Jesteś obywatelką francuską i całe życie spędziłaś we Francji, ale stanowisz także część plemienia Senoufo, twoje korzenie znajdują się też na Wybrzeżu Kości Słoniowej...

Przypomniałam sobie dzisiaj danses ivoiriennes w wykonaniu kuzynki matki i jej zespołu. Wyobraziłam sobie, że do teatru prowadzę dziesięcioletnią Simone...

Ale to niemożliwe. Na orbicie Jowisza nie ma teatrów. Słowo "teatr" będzie dla mojej córki

jedynie pustym dźwiękiem. To smutne...

Moje dzisiejsze łzy były spowodowane także i tym, że Simone nigdy nie będzie dane poznać swoich dziadków. Będą postaciami z opowiadań, zobaczy ich tylko na zdjęciach i filmach wideo. Nigdy nie usłyszy miękkiego tembru głosu mojej matki, nigdy nie zobaczy miłości w oczach mojego ojca...

Po śmierci matki ojciec zawsze starał się, żeby moje urodziny były dniem szczególnym. Dwunaste urodziny spędziłam w nowej willi w Beauvois. Poszliśmy na spacer do zamku Villanry. Padał śnieg; tamtego dnia obiecał mi, że nigdy mnie nie opuści, gdy będę w potrzebie.

Wtedy także płakałam; wyznałam mu, jak bardzo się boję, że on także kiedyś odejdzie. Przytulił mnie do siebie i pocałował.

W zeszłym roku - wydaje mi się teraz, że było to przed wiekiem - moje urodziny zaczęły się na stoku narciarskim, w pobliżu granicy francuskiej. Była północ, a ja wciąż nie mogłam zasnąć. Myślałam o spotkaniu z księciem Henrykiem w górskim szałasie, na zboczu Weissfluhjoch. Nie powiedziałam mu, że to on jest ojcem Genevieve...

Wiele razy zastanawiałam się, czy wolno zataić przed córką fakt, że jej ojcem jest król Anglii. Może powinna wiedzieć, że jest księżniczką? Zastanawiałam się nad tym, gdy nagle pojawiła się Genevieve.

- Wszystkiego najlepszego, mamó - powiedziała i objęła mnie. O mało co jej nie powiedziałam. Zrobiłabym to gdybym wiedziała, jaki los spotka wyprawę Newtona. Bardzo za tobą tęsknię, Genevieve. Szkoda, że nawet nie mogliśmy się pożegnać...

Wspomnienia to bardzo dziwna rzecz: dziś rano byłam przygnębiona i myśli o przeszłości sprawiły, że poczułam się jeszcze bardziej samotna. Ale teraz jestem w lepszym nastroju i te same wspomnienia sprawiają mi przyjemność. Nie przeraża mnie już myśl, że Simone nie doświadczy tego wszystkiego co znam i co jest mi tak bliskie. Jej urodziny będą czymś zupełnie innym; moim obowiązkiem jest, aby wspominała je jak najlepiej...

3.

26 MAJA 2201

Pięć godzin temu w Ramie nastąpiła seria bardzo dziwnych wydarzeń. Jedliśmy właśnie pieczeń, ziemniaki i sałatę (te słowa mają jedynie utwierdzić nas w przekonaniu, że to, co otrzymujemy od Ramów ma jakiś związek ze znanymi nam potrawami; "pieczeń" to substancja bogata w białko, "ziemniaki" to węglowodany itd.), gdy gdzieś w oddali usłyszeliśmy głośny, przenikliwy gwizd.

Mężczyźni pobiegli na górę.

Złapałam Simone na ręce, owinęłam ją w rozliczne koce i ruszyłam za Michaeliem i Richardem.

Na powierzchni gwizd był o wiele głośniejszy. Okazało się, że dochodzi z południa. Było zupełnie ciemno, więc baliśmy się oddalać od naszej groty. Po kilku minutach dostrzeżliśmy błyski światła odbijających się od wieżowców i zaciekawieni ruszyliśmy do południowego brzegu wyspy, tam, gdzie żadne gmachy nie zasłaniają górskich szczytów na południu.

Dotarliśmy do brzegu Morza Cylindrycznego; pokaz światła i ogni już się rozpoczął. Południową część Ramy rozświetlały wielokolorowe rozbłyski i płonące łuki świetlne. Widowisko trwało ponad godzinę. Simone była zachwycona żółtymi, niebieskimi i czerwonymi kokonami skaczącymi pomiędzy odległymi wierzchołkami gór. A potem nagle wszystko ucichło...

Włączyliśmy latarki i ruszyliśmy do groty.

Po kilku minutach marszu naszą rozmowę przerwał pisk. Wydawał go jeden z ptaków, które w zeszłym roku pomogły nam wydostać się z Nowego Jorku. Stanęliśmy i wsłuchaliśmy się w ciszę. Od powrotu do Nowego Jorku nie widzieliśmy ptaków. Oboje z Richardem byliśmy bardzo podnieceni.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Richard kilkakrotnie zaglądał do ptasiej groty, lecz panowała w niej absolutna cisza; myśleliśmy, że ptaki opuściły Nowy Jork.

Ale ten pisk dowodzi, że przynajmniej jeden z naszych przyjaciół był w pobliżu.

Zanim przemyśleliśmy wszystko, usłyszeliśmy drugi dźwięk; znany nam aż za dobrze, bardzo głośny i złowieszczy chrzęst.

Otuliłam Simone i co sił w nogach pobiegłam do domu. Michael przybiegł jako ostatni; w międzyczasie otworzyłam już kratę.

- Jest ich bardzo dużo - sapał Richard.

Ośmiornice zbliżały się do nas, chrzęst stawał się coraz wyraźniejszy, wysoki świst narastał.

- Otaczają nas.

Snop światła latarki Richarda przesunął się po okolicy. Zobaczyliśmy duże, czarne, bezkształtne cielska sunące w naszym kierunku.

Zwykle chodzimy spać w kilka godzin po kolacji, ale tamtego dnia nie mogliśmy zasnąć; rozmawialiśmy o sztucznych ogniach, ptasim pisku i ośmiornicach. Richard uważa, że światła były zapowiedzią jakiegoś ważnego wydarzenia. Przypomniał nam, że manewr wymijający Ziemię także był poprzedzony takim widowiskiem. Wtedy byliśmy niemal pewni, że światła oznaczały zmianę kursu, były swoistym ostrzeżeniem. Jak należy rozumieć dzisiejszą wiadomość?

Michael, który w Ramie przebywa krócej niż my i który nigdy nie zetknął się ani z ptakami, ani z ośmiornicami, uważał dzisiejsze wydarzenia za bardzo ważne. W blasku latarki dojrzał macki ośmiornic i zrozumiał, dlaczego w zeszłym roku uciekałam przed nimi tak przerażona.

- Czy ośmiornice to Ramowie? - spytał Michael. - A jeżeli tak - ciągnął - to dlaczego przed nimi uciekamy? Ich technologia jest tak zaawansowana, że mogą zrobić z nami co tylko chcą.

- Ośmiornice są tylko pasażerami tego statku... tak jak my - odparł Richard. - To samo dotyczy ptaków. Ośmiornice myślą, że to my jesteśmy Ramami, ale nie są tego pewne. Co myślą ptaki - nie wiadomo. Z pewnością nie przyczyniły się do budowy statku. Skąd się tu wzięły? Trudno powiedzieć, może stanowią część pierwotnego ekosystemu Ramy?

Instynktownie przycisnęłam Simone do piersi. Jest tyle pytań, na które brak odpowiedzi... Pomyślałam o doktorze Takagishi, a raczej o tym, co z niego zostało. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Japończyk do dziś stoi wypchany w "muzeum ośmiornic".

- Jeżeli jesteśmy pasażerami - powiedziałam - to dokąd lecimy?

Richard westchnął.

- Robiłem różne obliczenia - odparł - których wyniki nie są pocieszające. Choć w stosunku do Słońca poruszamy się dość szybko, to biorąc pod uwagę odległość dzielącą nas od okolicznych gwiazd, praktycznie stoimy w miejscu. Jeżeli trajektoria statku nie ulegnie zmianie, opuścimy Układ Słoneczny i polecimy w kierunku gwiazdy Bernarda. Dotrzemy tam za kilka tysięcy lat...

Simone zaczęła płakać. Było późno, dziewczynka była już zmęczona. Wstałam i poszłam do pokoju Michaela, żeby ją nakarmić. Łapczywie piła mleko i dość mocno mnie uszczypnęła. <

- Boisz się, prawda? - szepnęłam do niej. - Wiesz, że boimy się, czujesz to...

Kiedyś czytałam, że dzieciom udziela się nastrój ich rodziców. Może to prawda.

Nie mogłam zasnąć, choć Simone spała tuż przy mnie. Miałam przeczucie, że dzisiejszy pokaz ogni sztucznych był ostrzeżeniem przed przejściem w kolejną fazę naszej podróży. Nie

zachwyciły mnie obliczenia Richarda; wynikało z nich, że przez najbliższe tysiące lat będziemy tkwić w międzygwiazdnej pustce. Usiłowałam wyobrazić sobie resztę mojego życia w tych warunkach... Życie Simone będzie nudne...

Modliłam się dzisiaj do Boga (a może do Ramów?). Moja modlitwa była prosta: prosiłam, aby przyszłość okazała się łaskawa dla mojej małej córeczki...

28 MAJA 2201

Południowy biegun Ramy znów rozświetliły wielokolorowe światła. Nie chciałam tego oglądać. Zostałam z Simone. Tym razem Michael i Richard nie napotkali żadnych mieszkańców Nowego Jorku. Po powrocie Richard powiedział, że widowisko trwało równie długo jak pierwsze, ale było "inne". Michael twierdzi, że różnica sprowadzała się do innego koloru fajerwerków. Dominującym kolorem był niebieski, a dwa dni temu większość ogni była żółta.

Richard jest pewien, że Ramowie lubują się w liczbie "trzy" i że w związku z tym czeka nas jeszcze jedno widowisko. Dni i noce mają teraz po dwadzieścia trzy godziny, czyli doszło do zrównania dnia z nocą, co mój bystry mąż przewidział przed czterema miesiącami. Według niego trzeci pokaz ogni nastąpi za dwa ziemskie dni. Jesteśmy przekonani, że potem nastąpi coś niezwykłego. O ile nie zagrozi to bezpieczeństwu Simone, chciałabym zobaczyć to trzecie widowisko...

30 MAJA 2201

Nasz olbrzymi cylindryczny dom od czterech dni gwałtownie przyspiesza. Richard jest tym niezmiernie podniecony. Jest przekonany, że za Biegunem Południowym znajduje się system napędowy tak wspaniały, że nawet nie pojmemy zasady jego działania. Wczytuje się w dane na czarnym ekranie, robi jakieś obliczenia i od czasu do czasu mruczy pod nosem uwagi o tym, jak przyspieszenie wpłynie na zmianę naszej trajektorii.

Gdy Rama dokonał korekty kursu i skierował się wprost na Ziemię leżałam nieprzytomna na dnie studni, więc o drzeniu podłogi podczas tamtego manewru wiem jedynie z opowiadań Richarda. Obecnie twierdzi, że wibracje są potężniejsze. Mamy trudności z chodzeniem, bo drgania mają bardzo wysoką częstotliwość. To trochę tak, jakby tuż pod nami olbrzymim młotem kuto skały.

Od czasu gdy zaczęliśmy przyspieszać muszę trzymać Simone na rękach. Nie mogę zostawić jej w kołysce, dziewczynka boi się drgań. Tylko ja noszę ją na rękach, muszę być przy

tym niezwykle ostrożna. Nie trudno jest stracić równowagę i przewrócić się - zarówno Richard jak i Michael zrobili to już dwukrotnie.

Nasze skromne "meble" wędrują po całym pokoju, a jedno z krzeseł w podskokach uciekło na korytarz. Początkowo ustawialiśmy je z powrotem na właściwych miejscach, ale teraz już nam się nie chce. Interwenujemy dopiero wtedy, gdy kierują się do drzwi.

Od czasu trzeciego świetlnego widowiska żyjemy w doprawdy dziwnym świecie. Pierwszego dnia tuż przed zmrokiem Richard wyszedł na powierzchnię. Po kilku minutach wrócił z powrotem. Był bardzo podniecony. Złapał Michaela za rękaw i zaciągnął do wyjścia. Gdy wrócili, Michael wyglądał jakby zobaczył ducha.

- Ośmiornice! - mówił Richard. - Dziesiątki ośmiornic wyszło z podziemi i stanęło wzdłuż brzegu, jakieś dwa kilometry stąd.

- Nie wiemy ile ich jest - rzekł Michael. - Widzieliśmy je tylko przez kilka sekund; potem zgasły światła.

- Przedtem obserwowałem je dłużej - powiedział Richard. - Patrzyłem przez lornetkę. Najpierw było ich tylko kilka, a potem nagle pojawiły się dziesiątki innych. Zacząłem je liczyć, a one nagle stanęły w szyku. W pierwszym rzędzie pojawił się olbrzymi stwór z wielką głową w czerwono-niebieskie cętki.

- Nie widziałem żadnej wielkiej ośmiornicy ani szyku - wtrącił Michael. - Ale widziałem dziesiątki stworzeń o czarno-złoty mackach. Wyglądało na to, że patrzą na południe i czekają na świetlne widowisko.

- Widzieliśmy też ptaki - powiedział Richard i zwrócił się do Michaela:

- Jak sądzisz, ile ich było?

- Dwadzieścia pięć, może trzydzieści - odparł Michael.

- Latały wysoko nad Nowym Jorkiem, wydając przeraźliwe piski. Potem skierowały się na północ, nad Morze Cylindryczne. Myślę, że te głupie ptaszyska wiedzą, co się stanie. Widocznie w przeszłości już tego doświadczyły...

Zaczęłam zawijać Simone w kocyk.

- Co robisz? - spytał Richard.

Wyjaśniłam, że nie mam zamiaru opuścić ostatniego widowiska. Przypomniałam Richardowi, że przysięgał, iż ośmiornice wychodzą ze swojej kryjówki tylko w nocy.

- To wyjątkowa okazja - odparł nie spieszący.

I wtedy usłyszeliśmy przeraźliwy gwizd.

Dzisiejsze widowisko wydało mi się piękniejsze niż poprzednie, być może wynikało to z

mojego nastawienia. Dominującym kolorem była czerwień. W pewnej chwili ognisty łuk zakreślił na niebie sześciokąt, którego wierzchołki zetknęły się ze szczytami niższych gór. Ale to nie był jeszcze punkt kulminacyjny. W jakieś pół godziny później Michael krzyknął: "Patrzcie!" - wskazując palcem tam, gdzie poprzednio Richard dostrzegł ośmiornice.

Niebo nad zamarzniętym Morzem Cylindrycznym rozświeciły ogniste kule. Wybuchy następowały mniej więcej pięćdziesiąt metrów nad ziemią, oświetlając kilka kilometrów kwadratowych lodu. Maszerowała po nim jakaś czarna, bezkształtna masa. Richard podał mi swoją lornetkę. Światło flar stawało się coraz słabsze, ale zdażyłam jeszcze dostrzec pojedyncze stworzenia.

Była to zadziwiająco duża grupa ośmiornic; niektóre z nich miały wielokolorowe głowy, choć większość była szara lub czarna. Ich czarno-złote macki utwierdziły mnie w przekonaniu, że to te same istoty, które napotkaliśmy przed rokiem. Richard miał rację: stworzeń były dziesiątki.

Rama zaczął zmieniać kurs, a my natychmiast wróciliśmy do naszej groty. Na powierzchni zrobiło się niebezpiecznie; z powodu wibracji kruszyły się ściany wieżowców. Simone rozplakała się, gdy tylko ziemia zaczęła drżeć.

Po dość kłopotliwym zejściu do groty, Richard sprawdził zewnętrzne kamery. Chodziło mu głównie o nasze obecne położenie (z niektórych kamer wyraźnie widać teraz Saturna).

Michael i ja na zmianę trzymaliśmy na rękach Simone. Wreszcie usiedliśmy w kącie, co dało nam poczucie względnej stabilności.

Mniej więcej godzinę później Richard przedstawił nam rezultat swoich obliczeń. Podał nam współrzędne statku przed obecnym manewrem, a potem opisał zmiany w trajektorii Ramy. Używając nieco uproszczonej terminologii wyjaśnił, jak zmieniły się parametry hiperboli po której porusza się Rama.

Michael lepiej niż ja zapamiętał podstawy tej gałęzi fizyki.

- Jesteś pewien? - spytał.

- Moje numeryczne obliczenia mają dość duży margines błędu - odparł Richard. - Ale nie ma żadnych wątpliwości co do jakościowej zmiany trajektorii.

- Więc szybkość ucieczki z Układu Słonecznego rośnie?

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości - odparł Richard. - Manewr o wiele kilometrów na sekundę zwiększył naszą szybkość względem słońca.

Michael gwizdnął. - To fantastyczne!

Nie zrozumiałam wyjaśnień Richarda. O ile w głębi duszy żywiłam iskierkę nadziei, że okrążywszy Słońce wrócimy na Ziemię, nadzieje te zostały właśnie rozwiane. Rama miał zamiar opuścić Układ Słoneczny z jeszcze większą szybkością. Podczas gdy Richard radośnie rozwodził

się nad mocą układu napędowego Ramy, nakarmiłam Simone i znów zaczęłam myśleć o przyszłości mojej córki. Opuścimy Układ Słoneczny; i co dalej? Czy będzie mi dane zobaczyć jakiś inny świat? Czy zobaczy go Simone? Czy to możliwe, aby Rama stał się dla mojego dziecka jedynym domem?

Statek w dalszym ciągu dygoce, ale nie martwię się tym zbyt. Richard twierdzi, że nasza szybkość wzrasta. To dobrze; jeżeli rzeczywiście dokądś zmierzamy, chciałabym się tam jak najszybciej dostać...

4.

5 CZERWCA 2201

Wczoraj obudziłam się w środku nocy; z głównego szybu dochodziły jakieś stuki. Usłyszałam je mimo trzasków i zgrzytów wywołanych wibracją statku. Obudziłam Richarda. Upewniliśmy się, że Simone śpi w nowej kołysce (Richard zrobił taką, która tłumi wstrząsy) i ostrożnie ruszyliśmy w stronę szybu.

W miarę wspinania się po schodach stuki stawały się coraz głośniejsze. W pewnej chwili złapał mnie za rękę i szepnął, że nad kratą strzegącą wejścia do naszej groty z pewnością stoi Makduf. Byłam zbyt przerażona, żeby się uśmiechnąć.

Od kraty dzieliło nas kilkanaście metrów. Nagle na przeciwległej ścianie zobaczyliśmy jakiś dziwny cień. Zatrzymaliśmy się, żeby mu się przyjrzeć.

Zewnętrzna pokrywa groty była otwarta, w Ramie był już dzień. Cień na kracie poruszył się; najwyraźniej siedział tam jakiś stwór.

Złapałam Richarda za rękę.

- Co to może być? - szepnęłam.

- Chyba coś nowego... - odparł cicho.

Powiedziałam mu, że cień przypomina mi staromodną pompę do wydobywania ropy naftowej. Uśmiechnął się i skinął głową.

Odczekaliśmy kilka minut, ale rytm stuków nie zmienił się. Richard postanowił wspiąć się wyżej, żeby z bliska przyjrzeć się temu dziwnemu stworzeniu.

Z niewiadomych powodów pomyślałam o doktorze Takagishim i przeszedł mnie dreszcz. Pocałowałam Richarda i poprosiłam, żeby nie robił głupstw.

Gdy dotarliśmy do kraty, stukanie nagle się urwało.

- To biot - rzekł Richard. - Na głowie ma coś, co wygląda na dodatkową kończynę...
Przypomina modliszkę...

- Boże! - krzyknął - on otwiera naszą kratę!

Richard zaczął zbiegać w dół, po chwili był już przy mnie. Złapał mnie za rękę i razem rzuciliśmy się do ucieczki. Nie zatrzymaliśmy się, dopóki nie dotarliśmy do naszych pokoi.

Na górze znów rozległo się stukanie.

- Tam był jeszcze drugi biot o podobnej konstrukcji i biot-buldożer - sapał Richard. - Gdy tylko mnie dostrzegły, zaczęły otwierać kratę... Myślę, że stukanie miało nas wywabić na górę...

- Ale czego one od nas chcą?

Stukanie stawało się coraz głośniejsze.

- To mi przypomina maszerujące wojsko - powiedziałam.

Po chwili usłyszeliśmy, że bioty ruszyły na dół po schodach.

- Musimy być przygotowani do ucieczki. - Richard był bardzo zdenerwowany. - Weź Simone, ja obudzę Michaela.

Michael nie spał, obudziło go stukanie. Simone także się obudziła. Schowaliśmy się w pokoju z czarnym ekranem; usiedliśmy na podłodze i czekaliśmy.

- Jeżeli nas zaatakują - rzekł Richard - możemy spróbować ucieczki tunelami za czarnym ekranem...

Minęło pół godziny. Z odgłosów dobiegających z korytarza wynikało, że nieproszeni goście dotarli już na nasz poziom.

Ale żaden z nich nie wszedł do naszego pokoju. Po dalszych piętnastu minutach w moim mężu zwyciężyła ciekawość.

- Zobaczę, co one robią - zaproponował zostawiając mnie z Simone i Michaeliem.

Po chwili wrócił.

- Jest ich piętnaście, może nawet dwadzieścia - powiedział ze zdziwieniem. - Oprócz modliszek są także buldożery. One coś budują...

Simone zasnęła. Ułożyłam ją w kołysce i ruszyłam za mężczyznami. Dotarliśmy do szybu i nagle znaleźliśmy się na placu budowy.

Trudno było się zorientować, jaki cel miały prowadzone prace; buldożery najwyraźniej poszerzały poziomy korytarz po drugiej stronie owalnej komnaty, a modliszki nadzorowały ich działania.

- Czy możecie mi wytłumaczyć co one robią? - szeptem spytał Michael.

- Nie mam pojęcia - przyznał się Richard.

Od tamtej chwili minęły już dwadzieścia cztery godziny i wciąż nie wiemy, co bioty budują. Richard przypuszcza, że poszerzenie korytarza jest konieczne, by umieścić w nim jakąś aparaturę. Uważa również, że działania biotów muszą mieć jakiś związek z nami: w przeciwnym razie dlaczego za cel swoich prac wybrały akurat naszą grootę?

Bioty pracują bez przerwy - bez snu, bez jedzenia. Ich działania zdają się podlegać jakiemuś skomplikowanemu planowi, który musiały opanować wcześniej, bo wcale się ze sobą nie porozumiewają. Poza tym zupełnie nie zwracają na nas uwagi. To doprawdy przedziwne widowisko.

Przed godziną wszyscy rozmawialiśmy o ogarniającym nas niepokoju. W pewnej chwili Richard tajemniczo się uśmiechnął.

- Przecież życie tutaj naprawdę nie różni się od życia na Ziemi... - stwierdził enigmatycznie.

Michael usiłował się dowiedzieć, co znaczą te słowa. Richard machnął tylko ręką.

- Gdybyśmy byli na Ziemi, nasza wiedza i tak byłaby poważnie ograniczona... - odparł. - Poszukiwaniu prawdy zawsze towarzyszy frustracja...

8 CZERWCA 2201

Trudno uwierzyć, że bioty ukończyły budowę tak szybko. Dwie godziny temu ostatni z nich (modliszka) przyszedł do naszego pokoju i gestem nakazał nam, żebyśmy przeszli do nowego pokoju. Potem modliszka odwróciła się i wyszła z grotu. (Richard mówi, że biot będzie nas obserwował dopóki nie upewni się, że zrozumieliśmy o co chodzi.)

W nowym pokoju jedynym przedmiotem jest wąski, prostokątny zbiornik, który najwyraźniej został skonstruowany dla nas. Ma metaliczną powierzchnię i około trzech metrów długości. Otoczony jest chodnikiem, a z każdej strony znajduje się drabinka sięgająca podłogi.

Wewnątrz, przytwierdzone do ścian, wiszą cztery hamaki. Każdy z nich został zrobiony dla nas "na miarę". Hamaki Michaela i Richarda znajdują się na końcach zbiornika, małe hamaki Simone jest tuż obok mojego.

Richard od razu wszystko dokładnie obejrzał; na górze zbiornik ma pokrywę, a hamaki zostały zawieszony mniej więcej metr poniżej górnej krawędzi. Doszedł do wniosku, że zbiornik wypełnia się jakimś płynem. Ale do czego to wszystko ma służyć? Czy będziemy obiektem jakiegoś eksperymentu? Richard uważa, że zostaniemy poddani jakiemuś testowi, natomiast Michael twierdzi, że Rama z pewnością nie potraktuje nas w ten sposób, bo byłoby to "sprzeczne z zasadami etyki". Słyszając to, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Optymizm i wiara Michaela dotyczą wszelkich poczynań Ramy: podobnie jak wolterowski dr Pangloss Michael uważa, że żyjemy w najlepszym ze światów.

Biot-modliszka przez cały czas kręcił się koło nas. Stał na korytarzu dopóki nie położyliśmy się w hamaku "na próbę".

Hamaki wykonane są z elastycznego materiału, przypominającego trochę "ramańskie sieci". Gdy dziś po południu wypróbowałam moje nowe łóżko, przypomniałam sobie szalony lot w uprząży nad Morzem Cylindrycznym. Zamknęłam oczy i bez trudu wyobraziłam sobie, że moje stopy kołyszą się tuż nad wodą, podczas gdy ja wiszę w kokonie niesionym przez trzy wielkie ptaki...

Wzdłuż ściany, za zbiornikiem, znajduje się rząd grubych rur. Prawdopodobnie wlewa się przez nie do zbiornika jakiś płyn. Myślę, że wkrótce dowiemy się o co w tym wszystkim chodzi.

Co więc robimy? Cała nasza trójka uważa, że należy czekać na rozwój wypadków. Przez jakiś czas będziemy zapewne musieli przebywać w zbiorniku. Myślę, że zostaniemy o tym powiadomieni, gdy nadejdzie właściwy moment.

10 CZERWCA 2201

Richard miał rację; gwizd o niskiej częstotliwości, który słyszeliśmy wczoraj, oznajmiał rozpoczęcie kolejnej fazy naszego lotu. Richard zaproponował, żebyśmy od razu położyli się w naszych hamakach, ale ja i Michael byliśmy odmiennego zdania. Nie widzieliśmy podstaw do takiego działania.

A jednak powinniśmy byli go posłuchać. Zignorowaliśmy sygnał dźwiękowy i zajmowaliśmy się naszymi codziennymi sprawami. Mniej więcej trzy godziny później w progu znów pojawił się biot-modliszka. Śmiertelnie mnie wystraszył.

Wskazał pomieszczenie ze zbiornikiem, dając nam w jednoznaczny sposób znak, że mamy położyć się na hamakach.

Simone jeszcze spała i wcale nie była zadowolona z tego, że ją obudziłam. Była głodna, ale biot dał mi do zrozumienia, że nie ma już czasu na karmienie. Ruszyłam więc do zbiornika z płaczącą Simone na rękach.

Drugi biot-modliszka czekał tuż przy zbiorniku. Podał nam hełmy. Musiał być kimś w rodzaju "nadzorcy", bo nie pozwolił nam położyć się w hamakach dopóki nie sprawdził, że założyliśmy hełmy. Plastik czy też szkło, z którego je wykonano, jest przedziwnym, niezwykle przezroczystym materiałem, dokładnie przywierającym do skóry. W dotyku przypomina gumę.

Leżeliśmy na naszych hamakach zaledwie pół minuty, gdy nagle jakaś tajemnicza siła wcisnęła nas w dół i znaleźliśmy się tuż nad dnem zbiornika. Sieci o mikroskopijnych włóknach oplotły nasze ciała w kokony. Z przestachem zerknęłam na Simone, żeby się przekonać, czy nie płacze - dziewczynka uśmiechała się od ucha do ucha.

W niecałą minutę zbiornik wypełnił się jasnozielonym płynem, którego ciężar właściwy był zbliżony do ciężaru właściwego wody; potem pokrywa pojemnika została zamknięta.

Nie przypuszczałam, aby Ramowie chcieli nam zrobić coś złego, ale przestraszyłam się, gdy pokrywa zaczęła się zasuwać. W każdym z nas czai się lęk przed zamknięciem.

Przez cały czas byliśmy poddawani silnemu przeciążeniu. Na szczęście w zbiorniku nie było całkiem ciemno, bo na wewnętrznej stronie pokrywy zamocowano rząd reflektorów. Simone

“pływała” tuż obok mnie, Richard znajdował się nieco dalej.

W zbiorniku przebywaliśmy nieco ponad dwie godziny. Mój mąż bardzo podniecony, gdy wypuszczono nas “na wolność”. Był pewien, że był to “test”, który miał sprawdzić, jakie przeciążenie możemy wytrzymać bez uszczerbku dla zdrowia.

- Widocznie nie zadowala ich obecne przyspieszenie Ramy - powiedział radośnie. - Ramowie chcą naprawdę zwiększyć szybkość tego statku. Aby to osiągnąć, statek musi zostać poddany długotrwałemu przeciążeniu, a zbiornik powstał po to, żebyśmy mogli przeżyć takie przyspieszanie.

Przez cały dzień robił najróżniejsze obliczenia. Kilka godzin temu pokazał nam swoje wyniki.

- Patrzcie - wykrzyknął - w ciągu dwóch godzin nasza szybkość wzrosła o siedemdziesiąt kilometrów na sekundę. Aby rozpędzić takiego olbrzyma jak Rama trzeba nieprawdopodobnie dużo energii! Przyspieszaliśmy mając prawie dziesięć g! Ten statek ma niewyobrażalny system napędowy!

Po pierwszym teście w zbiorniku każdemu z nas (włącznie z Simone) wstrzyknęłam czujniki biometryczne. Czujniki nie wykazały wartości krytycznych, choć ja wciąż byłam niespokojna, jak nasze organizmy zareagują na długotrwałe przeciążenie. Po chwili przyłączył się do mnie Richard.

- Jestem pewien, że Ramowie też nas badają - oznajmił, dając mi do zrozumienia, że niepotrzebnie się męczę. - Myślę, że służą im do tego celu włókna naszych hamaków...

5.

19 CZERWIEC 2201

Brak mi słów, aby opisać doświadczenia ostatnich kilku dni. Nie jestem w stanie opowiedzieć, jak niezwykle są godziny spędzane w zbiorniku. Jedyne przeżycia, które zrobiły na mnie podobne wrażenie, to plemienny rytuał Poro na Wybrzeżu Kości Słoniowej (miałam wtedy siedem lat) oraz wizje, jakich doświadczyłam wypijwszy ampułkę którą dał mi Omeh. Ale tamte przeżycia były stosunkowo krótkie; teraz moje "odloty" trwają po kilka godzin.

Zanim zabiorę się za opis tego, co dzieje się w mojej głowie, powinnam opowiedzieć o tym, co dzieje się w rzeczywistości. Nasze codzienne życie ma teraz inny rytm niż dawniej. Statek wciąż manewruje, ale na dwa sposoby; pierwszy z nich, "normalny", polega na tym, że Rama wprowadzie dygoce, ale umożliwia nam w miarę normalne życie. Manewry "specjalne" wymagają przebywania w zbiorniku; Rama przyspiesza wtedy z jedenastokrotnym ziemskim przeciążeniem.

"Specjalne" przyspieszanie trwa prawie osiem godzin dziennie. Wygląda na to, że czas ten powinniśmy poświęcać na sen. Reflektory nad naszymi głowami gasną po pierwszych dwudziestu minutach i zapalają się dopiero na pięć minut przed końcem ośmiogodzinnej "nocy".

Richard twierdzi, że nasze przyspieszanie w sposób zasadniczy zmieni tempo ucieczki z Układu Słonecznego i jeżeli utrzyma się na obecnym poziomie, nasza szybkość względem Słońca w ciągu trzydziestu dni osiągnie połowę szybkości światła.

- Dokąd zmierzamy? - spytał go wczoraj Michael.

- Na razie trudno odpowiedzieć na to pytanie - odparł Richard. - Wiem jedynie, że poruszamy się z niewyobrażalnie dużą szybkością.

Temperatura i gęstość płynu w zbiorniku zostały tak dobrane, że dokładnie odpowiadają ciężarowi właściwemu naszych ciał. Gdy znajdujemy się wewnątrz, nie czujemy nic prócz ledwie wyczuwalnej siły, która delikatnie pcha nas w dół.

Muszę sobie powtarzać, że znajduję się w zbiorniku z płynem, ale brak jakichkolwiek doznań i tak sprawia, że zaczynają się halucynacje. Do mojego mózgu nie dociera żaden dźwięk, obraz, smak, zapach... Widocznie mój mózg poprawnie pracuje tylko wtedy, gdy ma się czym zająć...

Przedwczoraj chciałam porozmawiać o tym z Richardem. Spojrzał na mnie tak, jakbym była wariatką. On nie miewa żadnych halucynacji. Spędza czas dokonując matematycznych obliczeń, studiując (w głowie) mapy Ziemi, i wspominając sceny erotyczne, które najlepiej utkwily

mu w pamięci. On, w przeciwieństwie do mnie, kontroluje pracę swojego mózgu.

Myślę, że właśnie dlatego tak bardzo różnimy się od siebie. Mój umysł zawsze dąży tam, dokąd chce...

Halucynacje zaczynają się przeważnie od jednokolorowych pasm, które pojawiają się wokół mnie. Z czasem stają się one coraz większe, a potem dołączają do nich inne kolory: niebieski, żółty, purpurowy. Każdy z nich tworzy swój własny, niepowtarzalny wzór, który oplata całą przestrzeń. Potem kolory stają się jeszcze bardziej ostre i wyraziste; pasma poruszają się coraz szybciej i szybciej...

W oddali zawsze tworzy się jakiś obraz. Na początku nie wiem, czym jest. Potem zbliża się do mnie, wielokrotnie zmieniając barwy, a ja zaczynam słyszeć dźwięki.

Czasami jest to matka albo jakieś zwierzę - na przykład gepard albo lwica - które przeważnie i tak okazuje się moją matką - tyle że pod inną postacią. Dopóki nie próbuję nawiązać z nią kontaktu, matka "trwa" na tle zmieniających się jak w kalejdoskopie wzorów. Ale gdy zaczynam do niej mówić, natychmiast znika, pozostawiając mnie z uczuciem pustki.

Podczas jednej z ostatnich halucynacji fala barw przekształciła się w geometryczne wzory, które nagle stały się tysiącami maszerujących ludzkich sylwetek. Na przedzie procesji, ubrany w jasnozieloną szatę, szedł Omeh. Na końcu dostrzegłam bohaterki mojej młodości: Joannę d'Arc i Eleonorę Akwitańską.

Usłyszałam ich głosy i po chwili procesja rozmyła się w nicości, i nastąpiła nieoczekiwana zmiana. Płynęłam łódką po jednym z jeziorzek w pobliżu naszej willi w Beauvois, świat spowijała poranna mgła. Rozpłakałam się. Z mgły wyszły Joanna i Eleonora. Oznajmiły, że mój ojciec nie ożeni się z angielską księżniczką Heleną, z którą pojechał na wakacje do Turcji...

Innym razem po świetlnych wzorach nastąpiło jakieś dziwne japońskie przedstawienie. W mojej wyśnionej sztuce pojawiały się tylko dwie postacie, obydwie w maskach o ostrych, wyrazistych kolorach. Mężczyzna w garniturze recytował wiersze; zza maski widziałam jego pełne dobroci oczy. Drugi mężczyzna przebrany był w strój samuraja, jego maskę wykrzywił złowrogi grymas. Zaczął krzyczeć na mnie i swojego towarzysza. Nagle mężczyźni złączyli się w jedną postać. Zaczęłam krzyczeć...

Najwspanialsze wizje trwają krótko, zaledwie kilka sekund. Pewnej nocy jechałam na wielkiej zielonej ośmiornicy; przez ułamek sekundy widziałam nagiego księcia Henryka.

Natomiast wczoraj przez wiele godzin nie widziałam żadnych kolorowych pasm. Potem zdałam sobie sprawę, że jestem głodna; w ciemnościach pojawił się olbrzymi różowy melon. Chciałam go zjeść, ale nagle wyrosły mu nogi i melon uciekł...

Czy to wszystko coś znaczy? Czy z tych majaków mogę się dowiedzieć czegoś o sobie?

Debata nad znaczeniem snów toczy się od trzystu lat i jeszcze nie została rozstrzygnięta. Mam wrażenie, że moje halucynacje są bardziej odległe od rzeczywistości niż zwykle sny. W pewnym sensie są pokrewne dwóm psychodelicznym przeżyciom z przeszłości i byłoby absurdem, gdybym podjęła się próby ich interpretacji. Ale ja wciąż mam przeczucie, że moje halucynacje coś znaczą. Może wynika to z faktu, że nie potrafię zaakceptować tezy, że ludzki mózg kiedykolwiek poddaje się procesom losowym...

22 LIPCA 2201

Wczoraj podłoga przestała dygotać; stało się dokładnie tak, jak przewidział to Richard. Przedwczoraj nie spaliśmy już w zbiorniku; Richard uważa, że manewr dobiega końca.

Wkroczyliśmy więc w kolejną fazę naszej odysei; mój mąż twierdzi, że poruszamy się teraz z szybkością przekraczającą połowę szybkości światła. Oznacza to, że co dwie sekundy pokonujemy odległość dzielącą Ziemię od Księżyca. Lecimy w kierunku Syriusza, który pod względem jasności jest teraz drugą gwiazdą po Słońcu. Jeżeli w międzyczasie Rama nie zmieni kursu, dotrzemy tam za dwanaście lat.

Cieszę się, że nasz rytm dnia znów się ustabilizował. Simone nie przeszkadzały wielogodzinne seanse w zbiorniku, ale obawiam się, że takie wspomnienia odbiją się później na jej psychice. Powinna jak najszybciej przyzwyczać się do "normalnego" życia.

Gdy jestem sama, często wracam myślami do wizji, których doświadczyłam podczas pierwszych dziesięciu dni w zbiorniku. Na szczęście, po kilku dniach halucynacje ustąpiły; obawiałam się początków choroby psychicznej...

Podczas kolejnych tygodni w zbiorniku doświadczyłam tylko jednej wizji i można by ją w zasadzie uznać za sen. Obraz nie był tak ostry i wyrazisty jak poprzednio, ale zapamiętałam go bez trudu, bo stanowił jak gdyby dalszy ciąg majaków, których doświadczałam leżąc na dnie studni.

Siedziałam z ojcem na sali koncertowej. Na scenie jakiś starszy, skośnooki mężczyzna z długą brodą grał na dziwnym instrumencie. Nagle mój ojciec zniknął; zostały tylko jego oczy, których zrobiło się jakby więcej; utworzyły nad moją głową sześciokąt. Po chwili dostrzegłam pięć innych, podobnych sześciokątów. Rozpoznałam oczy Omeha i matki, ale pozostałych nie znałam. Oczy, wierzchołki sześciokątów, wpatrzone były we mnie, jak gdyby chciały przekazać mi jakąś wiadomość. Zanim muzyka się urwała zdążyłam usłyszeć dobiegające z oddali głosy, które równocześnie wypowiedziały jedno słowo: niebezpieczeństwo.

Skąd wzięły się te halucynacje i dlaczego doświadczyłam ich tylko ja? Richard i Michael również skarżyli się na różne majaki, każdy z nich widział "geometryczne wzory tańczące przed

oczami", ale w ich przypadku nigdy nie miały one żadnej spójnej treści. Jeżeli - jak przypuszczaliśmy - Ramowie poddali nas działaniu jakichś środków, aby pomóc nam zasnąć w nieznanym otoczeniu, to dlaczego jedynie ja doświadczyłam wizji?

Richard i Michael uważają, że odpowiedź na to pytanie jest prosta; jestem osobą "podatną na działanie środków odurzających, a ponadto mam bujną wyobraźnię". Uważają to wyjaśnienie za wystarczające i nie dają się wciągać w rozmowy na ten temat. Mogłam spodziewać się czegoś takiego po Richardzie, ale zachowanie Michaela jest dla mnie zaskoczeniem.

Prawdę mówiąc, od czasu gdy zaczęliśmy spędzać noce w zbiorniku, nawet poczciwy generał O'Toole nie zachowuje się tak jak dawniej. Jest zamyślony i nieobecny. Pewnego ranka udało mi się poznać cząstkę tych myśli.

- Po każdym przełomie w naukach ścisłych zawsze na nowo - choć nieświadomie - definiowałem pojęcie Boga - zaczął Michael po długotrwałych, lecz przyjaznych nagabywaniach z mojej strony. - Udało mi się to zrobić także w przypadku Ramów, ale czyniąc to, w nieskończony sposób rozszerzyłem znaczenie tego, kim jest Pan. Teraz gdy znajdujemy się na pokładzie statku Obcych i poruszamy się z szybkością relatywistyczną myślę, że muszę całkowicie uwolnić się od prób personifikacji Boga. Tylko wtedy będzie On najwyższą istotą, Panem wszystkich istot i procesów zachodzących we wszechświecie...

Jeżeli chodzi o moje życie, to wyzwaniem jest dla mnie coś wręcz przeciwnego. Richard i Michael koncentrują się na sprawach wyższych: Richard myśli o nauce i inżynierii, Michael o świecie duszy. Natomiast ja uważam (choć przyjemnie jest słuchać tego, co każdy z nich ma do powiedzenia), że ktoś powinien zająć się sprawami życia codziennego. Obowiązkiem naszej trójki jest wychowanie jedynego przedstawiciela następnej generacji. Wygląda na to, że cały ciężar tego wychowania spadnie na mnie.

Cieszę się z tego; gdy karmię Simone, a ona uśmiecha się do mnie, nie myślę o halucynacjach, nie obchodzi mnie czy istnieje Bóg i czy Ramowie wykorzystują wodę jako paliwo do procesów nuklearnych. W takiej chwili wiem jedno: jestem matką Simone i tylko to się liczy.

31 LIPCA 2201

W Ramie zapanowała wiosna. Gdy tylko manewr dobiegł końca, zaczęła się odwilż.

Gdy temperatura na górze spadła do dwudziestu pięciu stopni poniżej zera, zaczęliśmy się martwić czy system grzewczy naszej groty sobie z tym poradzi. Na szczęście teraz temperatura rośnie; codziennie przybywa prawie jeden stopień Celsjusza. Za dwa tygodnie skończy się mróz.

Opuściliśmy Układ Słoneczny, otacza nas pustka. Nasze Słońce wciąż jest najjaśniejszą

gwiazdą, ale planet już nie widać. Dwa czy trzy razy w tygodniu Richard kontroluje obraz z zewnętrznych kamer w poszukiwaniu komet, ale na razie bez rezultatu.

Skąd bierze się ciepło, które ogrzewa wnętrze statku? Nasz główny inżynier, przystojny kosmonauta Richard Wakefield, udzielił wczoraj Michaelowi niemal natychmiastowej odpowiedzi.

- Ciepło generuje to samo urządzenie, które napędza statek. Widocznie Rama ma dwa zakresy działania; gdy dociera do źródła ciepła jakim jest gwiazda, jego systemy zostają unieruchomione, włącznie z napędem i kontrolą temperatury.

- Jest wiele innych zagadek - powiedziałam. - Na przykład dlaczego Rama ma dwa systemy? I dlaczego w ogóle je wyłącza?

- Mogę tylko zgadywać - odparł Richard. - Możliwe, że systemy wymagają okresowej kontroli i napraw, których dokonać można tylko w pobliżu zewnętrznego źródła ciepła. Widzieliście różne rodzaje biotów na powierzchni. Możliwe, że podobne bioty pracują także wewnątrz mechanizmów napędowych.

- Przyszło mi coś do głowy - rzekł powoli Michael. - Czy to możliwe, że my mieliśmy znaleźć się na pokładzie tego statku?

- Jak to? - Richard zmarszczył brwi.

- Czy to możliwe, że nie znaleźliśmy się tutaj przypadkiem? A może, biorąc pod uwagę typowe zachowanie istot naszego gatunku, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że w obecnej chwili na pokładzie Ramy znajdują się ludzie?

Spodobało mi się to, co powiedział Michael; dał do zrozumienia, że może Ramowie znają się nie tylko na technologii, ale i na psychologii...

- Myślisz - spytałam - że Ramowie specjalnie wyłączyli systemy napędowe w pobliżu Ziemi, pozwalając nam na spotkanie?

- To niemożliwe - zawyrokował Richard.

- Ależ Richard - wtrącił Michael - zastanów się. Jakież byłoby prawdopodobieństwo kontaktu, gdyby Rama wtargnął w Układ Słoneczny z szybkością równą połowie szybkości światła, okrążył słońce i pomknął z powrotem? Z pewnością równe zero. Poza tym, jak sam powiedziałaś, oprócz nas, na statku znajdują się także inni "cudzoziemcy", o ile można ich tak nazwać.

Chwilę ciszy w rozmowie wykorzystałam, aby przypomnieć, że Morze Cylindryczne już wkrótce się roztopi. Spowoduje to huraganowe wiatry i wysoką falę. Uznaliśmy, że konieczne jest zabezpieczenie drugiej łodzi w obozie Beta.

Przeprawa tam i z powrotem przez lód zajęła mężczyznom dwanaście godzin. Wrócili w nocy. Gdy weszli do naszej groty, Simone natychmiast wyciągnęła rękę do Michaela.

- Widzę, że jest ktoś, komu mój powrót sprawił radość - uśmiechnął się Michael.

- Mam nadzieję, że dotyczy to tylko Simone... - mruknął Richard zgryźliwie. Był zamyślony.

Wczoraj wieczorem Richard znów zachowywał się dziwnie.

- Co ci jest, kochanie? - spytałam, gdy w ciemnościach leżeliśmy obok siebie.

- To Michael - odpowiedział po dłuższej chwili. - Dopiero dzisiaj, gdy szliśmy po łodzie, zdałem sobie sprawę, że on jest w tobie zakochany. Mówi tylko o tobie. Jesteś idealną matką, żoną, przyjacielem... Powiedział nawet, że jest zazdrosny...

Zastanawiałam się, co odpowiedzieć.

- Myślę, że zbyt wielką wagę przywiązujesz do słów, które niekoniecznie były przemyślane - powiedziała wreszcie. - Michael po prostu bardzo mnie lubi, ja także go lubię...

- Wiem. I to mnie właśnie martwi - przerwał mi Richard. - Gdy jesteś zajęta, bez przerwy opiekuje się Simone; rozmawiacie godzinami, gdy ja pracuję...

Urwał i popatrzył na mnie bardzo dziwnym wzrokiem. Przerażającym. To nie był Richard Wakefield, jakiego znałam. Na szczęście nachylił się i pocałował mnie.

Kochaliśmy się, a potem poszliśmy spać. W nocy Simone była niespokojna i pomyślałam, że z pewnością jest głodna. Karmiąc ją myślałam o wszystkim, co wydarzyło się od czasu, gdy u stóp windy spotkaliśmy się z Michaelem. Nie zaszło nic, co tłumaczyłoby zachowanie Richarda. Kochaliśmy się równie często jak dawniej, choć muszę przyznać, że po urodzeniu Simone Richard nie był już tak namiętym kochankiem.

Prześladowało mnie jakieś szaleństwo, które dostrzegłam w jego oczach. Obiecałam sobie, że w ciągu najbliższych tygodni poświęcę Richardowi więcej czasu.

6.

20 CZERWCA 2202

Dziś przekonałam się, że znów jestem w ciąży. Michael jest tym zachwycony, Richard dziwnie milczący. Rozmawiałam z nim na osobności; powiedział, że ma mieszane uczucia, bo Simone osiągnęła już wiek, w którym nie potrzebuje bezustannej opieki. Przypomniałam mu, że dwa miesiące wcześniej rozmawialiśmy o drugim dziecku i odniósł się do tego pomysłu entuzjastycznie. Odparł, że jego zachwyty był w dużej mierze wywołany moim "uniesieniem".

Dziecko urodzi się w połowie marca. Wtedy nasze "przedszkole" będzie już gotowe i wystarczy miejsca na liczniejszą rodzinę. Jest mi przykro, że Richarda nie cieszy perspektywa ponownego ojcostwa, ale jestem zadowolona, że Simone będzie miała towarzyszkę zabaw.

15 MARCA 2203

Catherine Colin Wakefield (będziemy ją nazywać Katie) przyszła na świat trzynastego marca o godzinie 6.16 rano. Poród odbył się bez większych kłopotów, w porównaniu z poprzednim właściwie obyło się bez bólu. Czulałam się tak dobrze, że sama przecięłam pępowinę.

Katie często płacze. Genevieve i Simone były słodkimi, melancholijnymi dziećmi, ale Katie najwyraźniej będzie awanturką. Richard jest zadowolony, że naszej córeczce nadaliśmy imię jego matki. Miałam nadzieję, że tym razem bardziej do serca weźmie sobie rolę ojca; na razie - jak twierdzi - jest zbyt zajęty, bo tworzy "idealną bazę danych", czyli łatwo dostępny katalog całej naszej wiedzy.

Zaraz po urodzeniu moja trzecia córeczka ważyła prawie cztery kilogramy i miała pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Simone z pewnością ważyła mniej, ale nie mieliśmy wówczas dokładnej wagi. Katie ma niebieskie oczy i przenikliwe spojrzenie; jej skóra jest prawie biała, a włosy o wiele jaśniejsze niż włosy jej starszej siostry.

Wiem, że noworodki często miewają niebieskie oczy, które później zmieniają kolor, ale nie przypuszczałam, że kiedykolwiek urodzę niebieskooką dziewczynkę.

18 MAJA 2203

Trudno uwierzyć, że Katie ma już ponad dwa miesiące! Jest bardzo wymagającym

dzieckiem. Nie mogę jej oduczyć ciągnięcia mnie za sutki. Jest szczególnie niezdolna, gdy karmię ją w towarzystwie któregoś z mężczyzn. Gdy odwracam głowę, albo odpowiadam na jedno z licznych pytań Simone, Katie z zemsty ciągnie mnie za sutek.

Richard jest smutny i zamyślony. Czasami bywa wesoły, żartuje, rozśmiesza mnie i Michaela, ale jego nastrój potrafi się zmienić w ciągu kilku minut. Staje się wtedy milczący i zamknięty w sobie. Jedno nieopatrzne zdanie może wywołać u niego depresję, a nawet gniew...

Podaję, że prawdziwym powodem zachowania Richarda jest nuda. Ukończył pracę nad bazą danych i nie zabrał się jeszcze do żadnej innej roboty. Fantastyczny komputer, który zbudował w zeszłym roku umożliwia komunikowanie się z czarnym ekranem w niezwykle dogodny i prosty sposób. Nie zaszkodziłoby, gdyby spędzał więcej czasu z Simone, ale widocznie nie ma na to ochoty. Jej postępy nie zachwycają go w tym samym stopniu, co Michaela i mnie.

Gdy zaszłam w ciążę martwiłam się, że Richard nie interesuje się dziećmi. Poprosiłam go o pomoc przy budowie miniaturowego laboratorium, w którym moglibyśmy przeprowadzić analizę kodu genetycznego Katie. Zadanie to wymagało korepetycji z chemii, zdobycia pewnych informacji od Ramów i stworzenia skomplikowanej aparatury medycznej.

Bardzo mu się to spodobało. Mnie także, bo przypominałam sobie studia medyczne i wielogodzinne sesje w laboratorium. Pracowaliśmy przez dwanaście, czasami nawet czternaście godzin dziennie, zostawiając Simone pod opieką Michaela (która była z tego bardzo zadowolona). o naszej pracy często dyskutowaliśmy do późnej nocy. Jednak w dniu, gdy otrzymaliśmy wynik ze zdziwieniem stwierdziłam, że Richarda bardziej cieszy prawidłowe funkcjonowanie naszego sprzętu niż zdrowie naszej drugiej córki. Byłam po prostu zszokowana. Nie wyglądał na uradowanego informacją, że dziecko jest dziewczynką, nie cierpi na zespół Downa czy Whittinghama i nie jest obciążone dziedzicznie skłonnością do zapadania na raka. Rozpromienił się dopiero wtedy, gdy przyznałam, że stworzony przez niego system przeprowadził testy szybko i z dużą dokładnością. Jakim dziwnym człowiekiem jest mój mąż! O wiele lepiej czuje się w świecie matematyki niż wśród innych ludzi.

Michael także dostrzegł dziwne zachowanie Richarda. Namówił go na stworzenie większej ilości zabawek dla Simone, podobnych do prześlicznych lalek, jakie zrobił tuż przed urodzeniem Katie.

Lalki Richarda to ulubione zabawki Simone. Potrafią chodzić i wykonują kilkanaście poleceń wydawanych głosem. Pewnej nocy, gdy Richard był w znakomitym humorze, zaprogramował robota TB, żeby z nimi rozmawiał. Simone śmiała się niemal histerycznie, gdy TB zapędził lalki w kąt pokoju, po czym zaczął recytować miłosne sonety Szekspira.

Ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni nawet TB nie był w stanie go rozweselić.

Mój mąż cierpi na bezsenność i jest apatyczny. Przestaliśmy się kochać. Przed trzema dniami wyszedł wczesnym rankiem (w Ramie także był świt; co jakiś czas nasz ziemski czas pokrywa się z ramańskim) i nie było go przez cały dzień. Po powrocie spytałam go, co robił. Powiedział, że siedział przy murze okalającym Nowy Jork i patrzył na Morze Cylindryczne. Potem zmienił temat.

Michael i Richard są przekonani, że nikt inny nie mieszka na wyspie. Ostatnio Richard aż dwukrotnie odwiedził ptasią grotę, która wygląda na opuszczoną. Wejście do jaskini ośmiornic ma teraz skomplikowany system krat. Przez ostatnie kilka miesięcy Richard obserwował tę okolicę za pomocą zdalnie sterowanych kamer i twierdzi, że od dawna nikt tam nie wchodził.

Przed kilkoma miesiącami mężczyźni złożyli łódź, a potem przez dwie godziny żeglowali po Morzu Cylindrycznym. Wraz z Simone czekałyśmy na nich na brzegu. Bojąc się, aby bioty nie potraktowały łodzi jako "śmieci" (najprawdopodobniej postąpiły tak z naszą drugą łodzią; do dziś nie wiemy, co się z nią stało) ponownie rozebrali łódź i przenieśli ją do naszej groty.

Richard wielokrotnie powtarzał, że popłynię na południe, przepłynię Morze Cylindryczne i sprawdzenie, gdzie najłatwiej można by się wspiąć na wysokie urwisko. Nasza wiedza o Południu Ramy jest szczątkowa i opiera się głównie na zdjęciach zrobionych przez zdalnie sterowane sondy wysłane z pokładu Newtona. Zbadanie Południa z pewnością byłoby rzeczą interesującą; może dowiedzielibyśmy się, co się stało ze wszystkimi ośmiornicami? Ale na razie nie chcemy podejmować takiego ryzyka.

Myślę, że Michael O'Toole jest zadowolony z naszego życia w Ramie, zwłaszcza od czasu gdy Richard zainstalował komputer ułatwiający porozumiewanie się z systemem operacyjnym statku. Mamy także dostęp do wiedzy encyklopedycznej zgromadzonej na pokładzie wojskowego Newtona. Ostatnio Michael sporo czasu poświęca studiowaniu historii sztuki. Rozmawiamy o Medicich, papieżach w okresie renesansu, o Michale Aniele i Rafaelu; jednym słowem rozmawiamy o - moim zdaniem - najciekawszym okresie w sztuce.

Michael godzinami bawi się z Simone, jest dobry i cierpliwy. W swoim elektronicznym notesie zapisuje jej postępy. Simone rozpoznaje już dwadzieścia jeden liter (choć czasami mylą się jej C i S, Y i V oraz - czego nie rozumiem - ma kłopoty z zapamiętaniem litery K); w "dobre" dni liczy nawet do dwudziestu. Oprócz tego rozpoznaje rysunki przedstawiające ptaki, ośmiornice i cztery najczęściej spotykane rodzaje biotów. Zna także imiona dwunastu apostołów - co niezbyt uradowało Richarda. Mieliśmy już jedno "spotkanie na szczycie" dotyczące "religijnego wychowania" naszych córek; rozstaliśmy się w zgodzie, choć do porozumienia nie doszło.

A teraz trochę o mnie: przeważnie jestem szczęśliwa, choć są dni, gdy upór Richarda, płacz

Katie lub absurd życia na tym dziwnym statku sprawia, że mam wszystkiego dość. Ale zawsze znajduję sobie coś do roboty. To ja zajmuję się "utrzymaniem domu", decyduję o tym, co będziemy jedli, zajmuję się dziećmi. Wciąż zadaję sobie pytanie dokąd zmierzamy, ale brak odpowiedzi nie wpędza mnie już w depresję.

Nie mam wiele czasu na zajęcia o charakterze intelektualnym, ale nic nie mogę na to poradzić: doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny...

Często rozmawiam z Michaelem i Richardem, ale żadnego z nich nie zajmuje to, co zawsze było w centrum moich zainteresowań. Zdolności językowe i zainteresowanie lingwistyką już w szkole często bywały powodem mojej dumy. Kilka tygodni temu miałam przykry sen; śniło mi się, że zapomniałam wszystkie obce języki. Przez kolejne dwa tygodnie dwie godziny dziennie poświęcałam na czytanie francuskich, włoskich i japońskich książek.

Pewnego popołudnia w zeszłym miesiącu Richard wyświetlił na czarnym ekranie obraz z teleskopu Ramy, przedstawiający Słońce i tysiące innych gwiazd. Słońce wciąż świeciło nieco jaśniej niż inne gwiazdy. Według mojego męża oddaliliśmy się od Ziemi o ponad dwanaście bilionów kilometrów.

Wieczorem tego samego dnia obejrzelśmy "Królową Eleonorę", jeden z kilkudziesięciu filmów, który znalazł się na pokładzie Newtona. Film oparty jest na motywach jednej z powieści mojego ojca o Eleonorze Akwitańskiej. Jego ostatnie sceny, opowiadające o wydarzeniach bezpośrednio poprzedzających śmierć Eleonory, nakręcono w L'Abbaye de Fontevrault. Pamiętam, jak mając czternaście lat trzymałam ojca za rękę i przyglądałam się posągowi Eleonory.

- Byłaś wspaniałą kobietą - powiedziałam jej kiedyś we śnie - jesteś dla mnie wzorem.

Tamtej nocy, gdy Richard i Katie już zasnęli, przypomniałam sobie dzień, kiedy moja dusza była przepełniona bólem, cierpieniem spowodowanym utratą czegoś, czego nie potrafiłam nawet nazwać... Moje córki nigdy nie zobaczą miejsc, które są mi tak drogie... Nigdy nie dowiedzą się czym jest zapach świeżo skoszonej trawy, nie zobaczą piękna kwiatów, nie usłyszą śpiewu ptaków, nie ujrzą księżycy w pełni, ani oceanów... Nie doświadczą czym jest Ziemia...

Długo płakałam, choć wiedziałam, że następnego dnia znów będę się uśmiechać. Przecież mogło być o wiele gorzej. Mamy wszystko, co jest nam niezbędne do życia: żywność, wodę, schronienie, ubrania, jesteśmy zdrowi, "mamy miłość", jak mówi Simone. Ta ostatnia jest chyba najważniejsza, czy to na Ziemi, czy na pokładzie Ramy. Utraciliśmy wszystkie bogactwa świata, ale będę zadowolona, jeśli Simone i Katie zrozumieją, czym jest miłość.

7.

1 KWIETNIA 2204

Dzisiejszy dzień pod każdym względem był niezwykle. Zaraz po obudzeniu oznajmiłam Richardowi i Michaelowi, że poświęcimy go pamięci Eleonory Akwitańskiej. O ile nie pomyliliśmy się w naszym "własnym" kalendarzu - i o ile można wierzyć kronikarzom - Eleonora umarła dokładnie tysiąc lat temu. Ku mojej radości pomysł przypadł do gustu całej naszej rodzinie. Michael, który zrobił sobie przerwę w nauce historii sztuki i zajmuje się teraz gotowaniem, obiecał, że uhonoruje królową średniowiecznym obiadem. Richard zniknął z TB pod pachą; przedtem szepnął mi na ucho, że TB powróci jako Henryk Plantagenet.

Zrobiłam Simone krótkie wprowadzenie do historii dwunastego wieku i wyjaśniłam, kim była Eleonora. Simone uważnie słuchała mojego opowiadania, a zazwyczaj nieznośna Katie była dziwnie grzeczna i przez cały ranek bawiła się zabawkami. Simone spytała o powód śmierci królowej Eleonory. Gdy odparłam, że była już bardzo stara, moja trzyletnia córeczka spytała, czy królowa Eleonora "poszła do nieba".

- Skąd przyszedł ci do głowy ten pomysł? - spytałam zdziwiona.

- Tak mówi wujek Michael - odparła Simone. - Powiedział, że dobrzy ludzie idą do nieba, a źli do piekła.

- Niektórzy wierzą w istnienie nieba - odpowiedziałam po dłuższym zastanowieniu - a inni wierzą w reinkarnacje, co znaczy, że po śmierci nasza dusza przechodzi w ciała innych ludzi, a nawet zwierząt. Są również i tacy, którzy uważają, że nasz byt kończy się wtedy, gdy umieramy...

- A w co ty wierzysz, mamó? - spytała.

Czułam coś, co z pewnością można by nazwać atakiem lekkiej paniki. Zrobiłam kilka luźnych uwag o religii, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Z opresji uratował mnie TB.

- Dobrej podróży, piękna pani - rzekł robot przebrany w strój, mający przypominać średniowieczny. TB zbliżył się do Simone i przedstawił się; powiedział, że jest Henrykiem Plantagenetem, królem Anglii i mężem Eleonory. Simone roześmiała się. Katie podniosła do góry wzrok; ona także wyglądała na zadowoloną.

- Wspólnie z królową stworzyliśmy wielkie imperium - powiedział robot, przesadnie gestykulując. - Nasze ziemie rozciągają się od Anglii, Szkocji, Irlandii i Walii aż po Francję!

TB wygłosił historyczny wykład, który bardzo spodobał się Simone. Robot sięgnął do jednej z kieszeni i wyjął z niej miniaturowy nóż i łyżkę. Stwierdził, że to on nauczył

“barbarzyńskich Anglików” posługiwania się przy jedzeniu sztucami.

- A czemu wtrąciłeś do lochu królową Eleonorę? - spytała Simone.

Uśmiechnęłam się. Moja córeczka naprawdę wysłuchała tej lekcji historii.

Robot spojrział na Richarda, a ten podniósł do góry palec, co miało znaczyć, że zaraz wróci. Wziął robota do ręki i wybiegł na korytarz. Po chwili TB wszedł, tym razem jako Henryk II.

Robot zbliżył się do Simone.

- Zakochałem się w innej kobiecie - powiedział - i królowa Eleonora była bardzo zła. Chcąc się na mnie zemścić, podburzyła przeciwko mnie moich synów...

Tymczasem zaczęłam się sprzeczać z Richardem o rzeczywiste motywy postępowania Henryka. Nie pierwszy raz przekonaliśmy się, że mamy zupełnie odmienne poglądy na historyczne konflikty pomiędzy Anglią a Francją. Nagle usłyszeliśmy jakiś głośny, przenikliwy pisk.

Ruszyliśmy do schodów i po chwili znaleźliśmy się na powierzchni.

Usłyszeliśmy drugi pisk. Kilkaset metrów nam nami leciał ptak. Pobiegliśmy nad brzeg Morza Cylindrycznego, skąd było go lepiej widać. Ptak trzykrotnie przeleciał nad wyspą, po każdym okrążeniu wydając głośny pisk. Richard zaczął machać do niego rękami, ale w zachowaniu ptaka nie nastąpiła żadna widoczna zmiana.

Po półgodzinnym czekaniu dziewczynki zaczęły się nudzić. Postanowiliśmy, że Michael wróci z nimi do groty, a Richard i ja zostaniemy na powierzchni, dopóki będzie istniała szansa nawiązania kontaktu z ptakiem, który wciąż zataczał kręgi nad wyspą.

- Myślisz, że czegoś szuka? - spytałam Richarda.

- Nie wiem - odparł i znów zaczął wymachiwać rękami. Tym razem ptak obniżył nieco lot; dostrzegliśmy jego szare, “aksamitne” podbrzusze i dwa jasne kręgi na szyi.

- To nasz przyjaciel - szepnęłam przypomniawszy sobie przywódcę ptaków, który zgodził się nas “przetransportować” na drugą stronę Morza Cylindrycznego.

Ale ptak, który latał teraz nad nami, nie był zdrowy i silny jak ten, który w zeszłym roku dowodził naszą ucieczką z Nowego Jorku; był brudny, chudy i wynędzniały.

Wyładował w odległości kilkudziesięciu metrów od nas.

- On jest chory - powiedział Richard.

Ptak wydał kilka cichych pisków i rozejrzał się dookoła, jakby szukał swoich towarzyszy. Richard zrobił krok w jego stronę. Ptak zamachał skrzydłami i zaczął się cofać.

- Czy mamy żywność - spytał Richard - której skład chemiczny odpowiadałby romańskim melonom?

Potrząsnęłam głową.

- Nie mamy nic oprócz “kurczaka” z wczorajszej kolacji - odpowiedziałam. - Ale zaraz -

przypomniałam sobie - mamy zielony poncz, który tak bardzo lubią dzieci. Przypomina nieco płyn z ramańskich melonów.

Richard pobiegł do grotty. Wrócił po dziesięciu minutach. Przez cały czas patrzyliśmy sobie z ptakiem w oczy. Usiłowałam myśleć o rzeczach przyjemnych, żeby w jakiś sposób oczami przekazać mu moje "dobre intencje". W pewnej chwili wyraz jego "twarzy" zmienił się, ale oczywiście nie miałam pojęcia co to oznacza.

Richard wrócił z jedną z naszych czarnych miseczek wypełnionych zielonym ponczem. Postawił ją na ziemi. Cofnęliśmy się.

Ptak zbliżył się do miski i zanurzył w niej dziób, po czym przechylił głowę w tył. Poncz najwyraźniej mu smakował, bo po chwili miseczka była pusta.

Potem zrobił krok w tył, rozpostarł skrzydła i obrócił się dookoła.

- Teraz my powinniśmy powiedzieć "cała przyjemność po naszej stronie" - powiedziałam, wyciągając rękę do Richarda. Każde z nas obróciło się dookoła, by podobnie jak przed czterema laty powiedzieć w ten sposób: "do widzenia i dziękuję".

Oboje odnieśliśmy wrażenie, że ptak się uśmiechnął, ale musieliśmy przyznać, że mogło być to owocem naszej wyobraźni. Rozpostarł skrzydła, uniósł się w powietrze i poszybował w górę.

- Jak myślisz, dokąd on leci? - spytałam Richarda.

- On umiera - odparł cicho. - Chce po raz ostatni rzucić okiem na świat, w którym żył...

6 STYCZNIA 2205

Mam dziś urodziny, skończyłam czterdzieści jeden lat. Wczoraj wieczorem znów miałam dziwny sen. Byłam bardzo stara, miałam zupełnie siwe włosy i pomarszczoną twarz. Mieszkałam w zamku - gdzieś nad Loarą, w pobliżu Beauvois - z dwiema dorosłymi córkami (żadna z nich nie przypominała ani Simone, ani Katie, ani Genevieve) i trzema wnukami. Chłopcy mieli po kilkanaście lat i z każdym z nich było coś nie w porządku. Byli niezbyt bystrzy, możliwe że byli upośledzeni umysłowo. Tłumaczyłam im w jakiś sposób hemoglobina dostarcza do tkanek tlen; żaden z nich nie rozumiał o czym mówię.

Obudziłam się z uczuciem przygnębienia. Był środek nocy i wszyscy spali. Poszłam do dzieciennego pokoju, żeby zobaczyć, czy dziewczynki nie odkryły się przez sen. Simone jak zwykle spała spokojnie, ale Katie rozrzuciła pościel na wszystkie strony. Przykryłam ją i usiadłam na krześle.

Zastanawiałam się co jest powodem mojego niepokoju. Dlaczego mam tyle snów o

dzieciach i wnukach? Pewnego dnia żartując wspomniałam Richardowi o trzecim dziecku. Rozzłościł się na mnie. Chyba wciąż żałuje, że dał się namówić na Katie. Od razu zmieniałam temat, nie chcąc prowokować z jego strony kolejnej nihilistycznej tyrady.

Czy rzeczywiście chcę mieć jeszcze jedno dziecko? Czy w naszej sytuacji w ogóle ma to sens? Abstrahując od pobudek natury osobistej istnieje biologiczny argument za kolejnym dzieckiem. Nigdy już nie spotkamy innych ludzi. Jeżeli nasz "ród" miałby przetrwać, należałoby pójść za podstawowym przykazaniem ewolucji: "wyprodukować" jak najbardziej różnorodny materiał genetyczny.

Po wczorajszym śnie zaszłam nawet dalej: a może Rama rzeczywiście dąży donikąd i na jego pokładzie przyjdzie nam spędzić resztę życia? W takim wypadku przeżyją nas Simone i Katie. Lecz co będzie potem? Jeżeli nie zachowamy spermy Michaela lub Richarda (byłyby z tym kłopoty natury moralnej i technicznej), moje córki nie będą miały potomstwa. Może dotrą do raj, nirwany czy innego świata, ale umrą i one, a ich geny...

Ale co by było - zastanawiałam się - gdybym urodziła syna? Wtedy dziewczynki miałyby męskie towarzystwo w swoim wieku i problem ciągłości naszego "rodu" zostałby częściowo rozwiązany.

Wtedy właśnie przyszedł mi do głowy zwariowany pomysł. Przecież jedną z moich medycznych specjalności jest genetyka, a zwłaszcza dziedziczenie defektów genetycznych...

W europejskich rodzinach królewskich zjawisko rodzenia się dzieci upośledzonych umysłowo było niezwykle częste, ponieważ dochodziło do łączenia się w pary ludzi ze sobą spokrewnionych.

Syn spłodzony przeze mnie i Richarda z genetycznego punktu widzenia byłby podobny do Simone i Katie. Ale gdyby ojcem został Michael, jego genetyczne podobieństwo do moich córek zmniejszyłoby się o połowę. Dzięki temu niebezpieczeństwo wystąpienia defektów genetycznych byłoby znacznie mniejsze...

Odrzuciłam ten nedorzeczny pomysł, ale później gdy wróciłam do łóżka, znów o tym myślałam. A gdybym zaszła w ciążę z Richardem i urodziła trzecią dziewczynkę? Wtedy wszystko należałoby powtórzyć jeszcze raz... Mam już czterdzieści jeden lat. Ile jeszcze lat zostało mi do menopauzy nawet, gdyby udało się ją sztucznie opóźnić? Biorąc pod uwagę nasze dotychczasowe doświadczenia w tym względzie, prawdopodobieństwo, że ojcem chłopca zostanie Richard, jest niewielkie. Z pomocą Ramów moglibyśmy stworzyć laboratorium, w którym wybralibyśmy tylko tę spermę Richarda, która gwarantuje wysokie prawdopodobieństwo, że płód będzie płci męskiej. Ale w jaki sposób stworzyć w naszych warunkach bank spermy...

Długo zastanawiałam się nad sposobami, którymi można wpłynąć na płeć przyszłego

dziecka (odpowiednia dieta mężczyzny, wybór dnia w cyklu, itd.) i doszłam do wniosku, że mamy szansę na spłodzenie chłopca.

Ale gdzieś w podświadomości wciąż czaiła się myśl, że byłoby najkorzystniej, gdyby ojcem został Michael. Na Ziemi ma przecież dwóch synów... Zastosowanie metod, które w przypadku Richarda zwiększyłyby prawdopodobieństwo spłodzenia chłopca, w przypadku Michaela właściwie gwarantowałyby spłodzenie syna.

Przed zaśnięciem pomyślałam o ujemnych stronach takiego scenariusza. Musielibyśmy stworzyć skuteczną metodę sztucznego zapłodnienia. Czy w obecnych warunkach jesteśmy w stanie to zrobić i jednocześnie sprawić, aby dziecko było zdrowym chłopcem?

Nawet w ziemskich szpitalach nie zawsze się to udaje...

Innym rozwiązaniem tego problemu jest stosunek z Michaelem. Nie mam nic przeciwko temu, ale bariery psychologiczne są tu chyba nie do pokonania...

(Sześć godzin później.) Panowie zrobili mi dzisiaj niespodziankę: urządzili uroczystą kolację. Michael jest nie lada kucharzem, przyrządzona przez niego potrawa rzeczywiście smakowała jak befszytk a la Wellington, choć jej konsystencja przypominała szpinak. Do picia podali płyn w czerwonej butelce, na której napisali "wino". Wypiłam je; nie było bardzo niedobre... Ku mojemu zdziwieniu czerwony płyn zawierał alkohol i zaczęło mi się kręcić w głowie...

Prawdę mówiąc cała nasza trójka była lekko pijana. Dziewczynki, a zwłaszcza Simone, były zdziwione naszym zachowaniem. W trakcie deseru Michael powiedział mi, że czterdzieści jeden to "szczególna liczba".

Wyjaśnił, że jest to największa liczba pierwsza, stanowiąca początek długiego ciągu liczb pierwszych. Gdy spytałam go, co to wszystko znaczy, roześmiał się i powiedział, że dokładnie nie wie. Wypisał ciąg liczb: 41, 43, 47, 53, 61, 71, 83, 97, 113... kończący się liczbą 1601. Zapewnił mnie, że każda z napisanych przez niego czterdziestu jeden liczb jest pierwsza.

- Właśnie dlatego - mrugnął do mnie - czterdzieści jeden to liczba wyjątkowa.

Śmialiśmy się i żartowaliśmy, a po chwili Richard wyjaśnił, że ciąg liczb jest ciągiem kwadratów:

- Różnice pomiędzy poszczególnymi liczbami są wielkością stałą - powiedział, jednocześnie pisząc wszystko na kartce. - Całą serię generuje prosty wielomian drugiego stopnia: $f(N) = N \times N - N + 41$, gdzie N jest dowolną liczbą całkowitą od jednego do czterdziestu.

- Albo jeszcze lepiej. - Zaśmiał się po chwili. - Można zastosować $f(N) = N \times N - 81N + 1681$, gdzie N jest liczbą całkowitą pomiędzy 1 a 80. Ten wielomian "zaczyna" na końcu twojego ciągu, $f(1) = 1601$, i odtwarza go od końca, po czym przy $f(40) = f(41) = 41$ ciąg ulega odwróceniu,

tworząc twoja serię od początku...

Richard skończył zadowolony. Popatrzyliśmy na niego z uznaniem.

13 MARCA 2205

Katie obchodziła dziś drugie urodziny. Wszyscy byliśmy w dobrych humorach, zwłaszcza Richard, który lubi swoją córeczkę, a ona doskonale wie, jak to wykorzystywać. Poszli do groty ośmiornic i razem dobijali się do kraty strzegącej wejścia do szybu. Michael i ja nie byliśmy z tego zadowoleni, ale Richard roześmiał się i tylko mrugnął do Katie.

Przy kolacji Simone zagrała na naszym ramańskim fortepianie utwór, którego nauczył ją Michael, a my piliśmy całkiem niezłe wino. Ramański łosoś przypomina ziemską jajecznicę, co bywa mylące, ale wciąż stosujemy nazwy potraw odpowiadające ich chemicznemu składowi a nie temu, jak wyglądają na talerzu.

Jestem szczęśliwa, choć muszę wyznać, że boję się rozmowy z Richardem. Na szczęście jest teraz w dobrym humorze, pracuje nad dwoma wynalazkami naraz.

Nie tylko umie już preparować płyny, śmiało mogące rywalizować z najlepszymi winami Francji, ale zbudował także kilka nowych dwudziestocentymetrowych robotów, przedstawiających postacie ze sztuk Samuela Becketta. Michael i ja wielokrotnie prosiliśmy go o wskreszenie szekspirowskiej trupy, lecz Richard twierdzi, że nie pozwala mu na to pamięć o utraconych przyjaciółach-robotach. Ale inny dramaturg: proszę bardzo.

W ten sposób powstały już cztery postacie z "Końcówki". Dzieci śmiały się bardzo z dzisiejszych rozmów Nagg i Nell, którzy wynurzywszy się ze swoich koszy na śmieci krzyczeli:

- Gdzie tatko?

Jestem zdecydowana porozmawiać z Richardem o pomysłe splodzenia syna z Michaelem. Jestem pewna, że mnie zrozumie, gdy wytłumaczę mu moje pobudki, choć nie spodziewam się, aby przyjął to entuzjastycznie. Jeszcze nie rozmawiałam o tym z Michaelem. On doskonale wie, że od pewnego czasu coś mnie trapi; prosiłam już, żeby zaopiekował się dziewczynkami, gdy Richard i ja będziemy chcieli porozmawiać.

Z pewnością moje zdenerwowanie jest przesadne i wynika stąd, że w obecnej sytuacji nie stać nas na tak zwane "dobre maniery". Od kilku dni Richard jest w dobrym humorze, dużo żartuje. Spodziewam się z jego strony kilku ostrych, złośliwych uwag, ale myślę, że w końcu zgodzi się na moją propozycję.

8.

7 MAJA 2205

Nie wiem, jak opisać historię naszej niezgody. Boże, dlaczego my, ludzie, jesteśmy takimi głupcami? Richardzie, proszę cię, wróć...

Od czego zacząć? I jak?

W pokoju obok Michael i Simone rozmawiają o Michale Aniele...

Ojciec zawsze powtarzał, że błędy robią wszyscy. Więc dlaczego mój miałby być tak wielki? Pomysł był dobry i logiczny. Ale pod tą logiką czaiły się niewypowiedziane myśli, które rzadko oglądają światło dzienne; emocje nie są racjonalne, zazdrość nigdy nie jest wynikiem obliczeń komputera...

Ostrzeżeń było wiele. Pierwsze popołudnie spędzone nad Morzem Cylindrycznym i nasz "piknik" dowiodły, że coś jest nie tak. Mogłam to wyczytać w jego oczach. Pomyślałam wtedy: lepiej się wycofać.

Ale potem zachowywał się tak racjonalnie...

- Oczywiście - mówił - to, co proponujesz jest - z genetycznego punktu widzenia - najlepszym wyjściem. Chodźmy porozmawiać z Michaeliem. Zróbmy to jak najszybciej; mam nadzieję, że jeden stosunek wystarczy...

Byłam wtedy bardzo podniecona, nie przyszło mi do głowy, że Michael mógłby się nie zgodzić.

- To grzech - oświadczył Michael, gdy przedstawiliśmy mu naszą propozycję. Był wieczór, dziewczynki już spały.

Najpierw mówił Richard; powiedział, że słowo "grzech" już na Ziemi jest pojęciem anachronicznym, a w naszej obecnej sytuacji pozbawione jest wszelkiego znaczenia. Dał Michaelowi do zrozumienia, że jego reakcja jest "niemądra".

- Więc naprawdę chcesz, żebym to zrobił? - Michael spytał Richarda.

- Nie - odparł Richard po chwili wahania - ale uważam, że leży to w interesie naszych dzieci.

Powinłam była zwrócić większą uwagę na to "nie".

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że nasz plan mógłby się nie udać. Bardzo dokładnie śledziłam cykl owulacji. Gdy nadszedł właściwy moment, powiedziałam o tym Richardowi, który wyszedł z naszej groty na jedną ze swoich długich przechadzek. Michael był wystraszony i zmagął

się z poczuciem winy. Ale nie przyszło mi do głowy, że nie będzie w stanie odbyć ze mną stosunku...

Rozebraliśmy się (po ciemku, żeby dodatkowo nie zawstydzić Michaela) i położyliśmy obok siebie.

Każdy mięsień jego ciała był napięty. Pocałowałam go w policzek. Potem starałam się go rozluźnić, masując mu plecy i kark. Po półgodzinnych pieszczotach - które w najmniejszym stopniu nie przypominały gry wstępnej przed stosunkiem - okazało się, że ma kłopoty z erekcją.

Nie wiedziałam co zrobić. Najpierw pomyślałam, że mu się nie podobam. Poczułam się tak, jak gdybym została spoliczkowana. Wszystkie tłumione uczucia świadczące o kompleksie niższości wyszły na jaw. Byłam na niego zła. Na szczęście nic nie mówiłam, a w ciemnościach Michael nie mógł dostrzec wyrazu mojej twarzy. Choć myślę, że i tak wiedział, co czuję...

- Tak mi przykro - szepnął.

- Wszystko w porządku - odparłam z nonszalancją.

Oparłam się na łokciu i głaskałam go po twarzy, karku, ramionach. Michael był całkowicie bierny. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, prawie wcale się nie poruszając.

Stałam się niespokojna. Chciałam, aby to on mnie pieścił, aby to on powiedział, że wszystko jest w porządku.

Położyłam się na nim. Pocałowałam go, a moja ręka powędrowała w dół. W połowie drogi została schwyтана:

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Michael.

- Czemu? - spytałam zastygając w niewygodnej pozycji.

- To grzech... - powiedział niezwykle poważnie.

W ciągu kolejnych kilkunastu minut wielokrotnie usiłowałam rozpocząć rozmowę, ale Michael milczał. Wreszcie, nie mając nic innego do roboty, ubrałam się.

Gdy wychodziłam, Michael powiedział cicho "dobranoc".

Nie poszłam do mojego pokoju. Stojąc w korytarzu zdałam sobie sprawę, że nie mam dość siły się na spotkanie z Richardem. Dlaczego założyłam, że wszystko pójdzie tak łatwo? I co mam mu teraz powiedzieć?

Od razu poznałam, że nie śpi. Gdybym miała więcej odwagi, może od razu powiedziałabym mu, że do niczego nie doszło. Ale łatwiej było o tym nie mówić. Popełniłam poważny błąd.

Kolejne dwa dni były bardzo przykre. Nie mówiło się o tym, co Richard nazywał "aktem zapłodnienia". Panowie starali zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało. Po kolacji namówiłam Richarda, żeby poszedł ze mną na spacer...

Stojąc na murze okalającym Nowy Jork i wpatrując się w Morze Cylindryczne Richard

wyjaśniał reakcje chemiczne, dzięki którym stworzył nowy gatunek wina. W pewnej chwili przerwałam mu i wzięłam go za rękę.

- Richardzie... - szepnęłam - tak trudno jest mi o tym mówić...

- O co chodzi, Nikki? - spytał siląc się na uśmiech.

- Chodzi o Michaela. Widzisz, nic się nie stało... On nie mógł...

Richard długo patrzył mi w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że jest impotentem? - spytał.

Skinęłam głową i dodałam:

- W rzeczywistości może nie jest, ale tak się właśnie stało. Myślę, że ma poczucie winy... A może zbyt długo już z nikim...

Urwałam zdając sobie sprawę, że powiedziałam za dużo.

Richard wpatrywał się w morze. Trwało to bardzo długo.

- Chcesz spróbować jeszcze raz? - spytał wreszcie.

Milczałam. Chciałam powiedzieć, że może za drugim razem mogłabym sobie z tym jakoś poradzić, ale on nagle ruszył przed siebie.

- Odpowiesz mi, gdy już podejmiesz decyzję - powiedział.

W ciągu następnego tygodnia doszłam do wniosku, że należy zrezygnować z tego przedsięwzięcia. Powoli, bardzo powoli, do naszej rodziny powracał spokój.

Gdy mój okres się skończył, chyba po raz pierwszy w tym roku kochaliśmy się z Richardem dwa razy. Po drugim stosunku zrobił się bardzo rozmowny.

- Muszę przyznać, że martwiłem się przez jakiś czas... - mówił. - Myśl, że mogłabyś kochać się z Michaeliem - bez względu na to jak można by to uzasadnić logicznie - doprowadzała mnie do szaleństwa. Nie wiem dlaczego, ale bałem się, że może ci się to spodobać i że wpłynie to niekorzystnie na nasz związek...

Richard najwidoczniej zakładał, że nie ponowię już próby odbycia stosunku z Michaeliem. Dopiero kilka dni później, gdy w encyklopediach medycznych szukałam informacji o impotencji zdałam sobie sprawę, że jestem zdecydowana powtórzyć próbę z Michaeliem.

Na tydzień przed kolejną owulacją Richard pracował nad nowym gatunkiem wina (myślę, że próbował go dość często, bo gdy zasiadaliśmy do obiadu miał czerwony nos).

Rozmyślałam o impotencji Michaela; na studiach w zasadzie nigdy nie zajmowałam się tym problemem, a moje własne doświadczenia w tym względzie były raczej skromne.

Z książek dowiedziałam się, że impotencja jest niezwykle często spotykaną dolegliwością i najczęściej ma podłoże psychologiczne; istnieje wiele technik pozwalających na zrelaksowanie mężczyzny.

Pewnego ranka Richard zauważył, że przeprowadzam test moczu na owulację. Nic nie powiedział, ale z jego twarzy wyczytałam, że jest niezadowolony. Chciałam z nim porozmawiać, ale w pokoju były nasze dzieci; nie chciałam, żeby doszło do awantury.

Nie powiedziałam Michaelowi, że spróbujemy jeszcze raz. Pomyślałam, że dzięki temu nie będzie miał czasu na rozmyślania o "winie i grzechu". Prawie nam się udało. Położyłam dzieci spać i poszłam do pokoju Michaela, gdzie rozbierając się wytłumaczyłam mu co zaraz nastąpi. Michael miał nawet częściową erekcję i wszystko dobrze by się skończyło, gdyby Katie nie zaczął przeraźliwie krzyknąć:

- Mamusiu, mamusiu!

Zostawiłam Michaela i pobiegłam do dzieciennego pokoju.

Richard już tam był i trzymał Katie na rękach. Simone siedziała na łóżku i przecierała oczy. Katie nie chciała, żebym ją wzięła na ręce.

- Gdzie twoja pidżama, mam? - spytała moja czteroletnia córka.

Zazwyczaj śpimy z Richardem w "ramańskich pidżamach". Gdy się myjemy, dzieci często widują nas nago, ale w nocy zawsze mam coś na sobie.

Właśnie zabierałam się do udzielenia Simone jakiejś wymijającej odpowiedzi, gdy dostrzegłam twarde spojrzenie Richarda.

- Zajmę się dziewczynkami - powiedział ostro - może więc wrócisz tam, skąd przyszłaś i dokończysz to, co zaczęłaś?

Wróciłam do Michaela. Chciałam spróbować jeszcze raz, ale nie była to trafna decyzja. Wreszcie Michael mnie odepchnął.

- Nic z tego nie wyjdzie - powiedział. - Mam już prawie sześćdziesiąt trzy lata, ostatni stosunek odbyłem ćwierć wieku temu. Nie onanizuję się, rzadko myślę o seksie...

- Przykro mi, Nicole - dodał po chwili - ale nic z tego...

Długo leżeliśmy obok siebie w milczeniu. Zaczęłam się już ubierać, gdy dostrzegłam, że Michael zaczął miarowo oddychać, co znaczyło, że za chwilę zapadnie w głęboki sen. Wyczytałam w książkach, że mężczyźni cierpiący na impotencję o podłożu psychologicznym często miewają erekcję podczas snu. Długo leżałam obok niego czekając, aż zaśnie.

Zaczęłam go pieścić. Ku mojemu zaskoczeniu "odpowiedź" przyszła prawie natychmiast. Był już prawie gotów, ale widocznie objęłam go zbyt mocno, bo Michael obudził się.

Musiałam sprawić mu ból, bo cicho jęknął. Spojrzał na mnie zdziwionymi, przestraszonymi oczami. W ciągu kilku sekund po erekcji nie było śladu.

Położyłam się na boku i głośno westchnęłam. Michael zadawał mi jakieś pytania, ale myślami byłam zbyt daleko by móc na nie odpowiedzieć.

Miałam łzy w oczach. Szybko ubrałam się, pocałowałam Michaela w czoło i wybiegłam na korytarz. Zatrzymałam się i stałam tak przez kilka minut zanim zebrałam w sobie dość siły na spotkanie z Richardem.

Mój mąż pracował. Klęczał nad Pozzem z "Czekając na Godota". Robot wygłaszał właśnie mowę o bezcelowości i bezużyteczności wszystkiego.

Richard udawał, że mnie nie widzi. Wyłączył Pozza i powoli obrócił się w moją stronę.

- Tym razem chyba miałaś dość czasu? - spytał sarkastycznie.

- Znowu się nie udało - odpowiedziałam zrezygnowana. - Myślę, że...

- Przestań kłamać! - krzyknął Richard. Był bardzo zły. - Nie jestem aż taki głupi! Myślisz, że uwierzę, że przebywałaś z nim dwie godziny i nic się nie stało? Znam kobiety, wiem jakie jesteście. Niech ci się nie wydaje, że...

Nie pamiętam wszystkiego, co sobie wtedy powiedzieliśmy. Pamiętam złość w jego oczach i moje przerażenie. Myślałam, że mnie uderzy, zasłoniłam twarz. Płakałam, Richard wyzywał mnie od najgorszych. Gdy zamachnął się na mnie, wybiegłam z pokoju i uciekłam. O mało co nie zdeptałam małej Katie, która obudzona naszymi krzykami stała w drzwiach dziecinnego pokoju.

W Ramie było jasno. Szlochając błąkałam się po Nowym Jorku. Byłam wściekła na Richarda, ale i na samą siebie. Richard oskarżył mnie, że splodzenie syna było tylko pretekstem do odbycia stosunku z Michaelem; powiedział, że zachowuję się jak królowa pszczoł.

Nie odpowiedziałam na jego zarzuty. Czy było w nich ziarnko prawdy? Czy to możliwe, abym podświadomie rzeczywiście chciała się kochać z Michaelem?

Doszłam do wniosku, że nie, co oczywiście nie miało najmniejszego wpływu na naszą sytuację. Kto jak kto, ale ja powinnam była zdawać sobie sprawę, że moja propozycja jest nierealna. Widząc pierwszą reakcję. Powinnam była o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. Możliwe, że Richard miał rację, wiem, że czasami bywam bardzo uparta. Ale jestem pewna, że naprawdę nie zależało mi na stosunku z Michaelem.

Gdy wróciłam, w naszym pokoju było zgaszone światło. Włożyłam piżamę i położyłam się pod kołdrę. Po chwili Richard obrócił się do mnie, przytulił mnie mocno i powiedział:

- Moja kochana Nicole, tak bardzo mi przykro. Proszę, wybacz mi...

Więcej go już nie widziałam, Richard zniknął sześć dni temu. Tamtej nocy mocno spałam i nie słyszałam jak pakuje swój skromny dobytek.

Zostawił dla mnie wiadomość. O siódmej rano zadzwonił budzik. Na czarnym ekranie widniał napis: DLA NICOLE DES JARDINS - przyciśnij literę K.

Kochana Nicole - przeczytałam - oto najtrudniejsza chwila w moim życiu. Odchodzę.

Wiem, że sprawiam kłopot Tobie i Michaelowi, ale nie mogę postąpić inaczej. Wczoraj doszedłem do wniosku, że to jedyne, co mogę zrobić. Kocham cię całym sercem; uwierz, że to co robię, czynię dla dobra naszej rodziny. Jest mi niezmiernie przykro z powodu tego, co wczoraj zaszło; niektóre epitety, które wypowiedziałem pod twoim adresem uważam za szczególnie podłe. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, choć ja nie jestem pewien czy potrafię przebaczyć sobie. Zazdrość potrafi wyrządzić straszną krzywdę; gdy opęta człowieka, jego zachowanie staje się całkowicie irracjonalne. Nawet najwspanialszy ludzie nie zawsze potrafią się jej oprzeć...

Moja najdroższa Nicole, nie opowiedziałem ci wszystkiego o moim małżeństwie z Sarą. Przez kilka miesięcy podejrzewałem, że w Londynie spotyka się z innymi mężczyznami. Wiele na to wskazywało: spadek zainteresowania seksem, nowe sukienki, których nigdy przedtem nie widziałem, nowe pozycje w łóżku... Ale kochałem ją tak bardzo, że nie zrobiłem nic - dopóki nie ogarnęła mnie zazdrość...

Leżałem na łóżku w Cambridge i myślałem o tym, jak Sara kocha się z innymi mężczyznami. Byłem tak zazdrosny, że czasami musiałem sobie wyobrazić, że jej nie ma, że umarła. Po telefonie pani Sinclair nie mogłem już dużej udawać; pojechałem do Londynu, chciałem zabić Sarę i jej kochanka.

Na szczęście nie miałem broni. Zabrałem z domu nóż, ale w pierwszej chwili zapomniałem o nim - takim szokiem było dla mnie zastanie ich razem w łóżku. Zabiłbym ich oboje gdyby nie to, że moje krzyki sprowadziły sąsiadów...

Możliwe, że zastanawiasz się teraz, co to wszystko ma wspólnego z tobą. Widzisz, każde z nas w podobnych sytuacjach zachowuje się podobnie. Wiem co robię, gdy ogarnia mnie zazdrość; po twoich próbach odbycia stosunku z Michaelem wróciły moje najgorsze wspomnienia. Wiem, że nie jesteś taka jak Sara, ale ja nie potrafię pozbyć się obsesyjnych myśli. Wiem, że mnie nie zdradzasz i właśnie dlatego - gdy jesteś z Michaelem - boję się bardziej, niż w Cambridge.

Mam nadzieję, że to, co tutaj napisałem jest choć trochę zrozumiałe; sam przyznaję, że nie jest całkowicie racjonalne. Nie chcę pójść w ślady ojca-alkoholika, który zrujnował życie sobie, matce i mnie. Mam nadzieję, że uda ci się zająć w ciążę, a moja nieobecność sprawi, że wszystko odbędzie się spokojnie i bez "scen".

Nie wiem kiedy wrócę, może niedługo. Potrzebuję czasu, żeby na nowo stać się członkiem naszej rodziny. Powiedz dziewczynkom, że wyruszyłem na wyprawę. Opiekuj się Katie, ona najbardziej będzie za mną tęsknić...

Kocham cię, Nicole. Wiem, że trudno będzie ci zrozumieć dlaczego muszę odejść, ale proszę - spróbuj.

Richard 13 MAJA 2205

Na szukanie Richarda poświęciłam dziś pięć godzin. Obeszłam studnie, kratownice, siatki, wszystkie place. Potem ruszyłam wzdłuż muru okalającego Nowy Jork. Zajrzałam w głąb studni ośmiornic i zesłam do ptasiej groty. Wołałam go, ale nie odpowiadał.

Przed pięcioma laty odnalazł mnie dzięki sygnałom z nadajnika ukrytego w brzuchu robota-maskotki, którego dał mi na drogę. Szkoda, że tym razem nie zabrał ze sobą takiego nadajnika...

Myślę, że Richard opuścił wyspę. Jest znakomitym pływakiem i, gdyby chciał, z pewnością przepłynąłby Morze Cylindryczne. Czyżby postanowił przekonać się jakie stworzenia zamieszkują tereny północne?

Richardzie, wróć do mnie. Kocham cię i potrzebuję.

Myślę, że już wcześniej postanowił odejść. Dla Michaela i mnie sporządził przejrzysty katalog poleceń, dzięki któremu porozumiewamy się z Ramą. Na drogę wziął największy plecak i swojego przyjaciela, robota TB; inne roboty zostawił.

Po jego odejściu zrobiło się nieznośnie pusto. Katie jest zła i naburmuszona, pyta bez przerwy kiedy tata wróci i dlaczego tak długo go nie ma. Michael i Simone są smutni i milczący. Coraz bardziej zbliżają się do siebie, rozumieją się niemal bez słów. Staram się otaczać Katie szczególną opieką, ale wiem, że nie zastąpię jej ukochanego taty.

Noce są okropne. Nie mogę spać, przypominam sobie rozmowy z Richardem, widzę wszystkie swoje błędy...

Dobrze, że zostawił mi wiadomość. Dzięki temu zrozumiałam, jak doświadczenia z przeszłości mogą rzutować na naszą obecną sytuację.

Nawet go rozumiem. Jako dziesięcioletnia dziewczynka bardzo mocno przeżyłam śmierć matki, poczułam niemal fizyczny ból samotności... Potem straciłam Genevieve i ojca. A teraz Richarda...

Zdałam sobie sprawę, że oplakuję nie tylko Richarda, ale także matkę, Genevieve i mojego wspaniałego ojca...

Nigdy nie przestajemy się uczyć. Oto ja, czterdziestoletnia kobieta, otrzymuję kolejną lekcję życia. Zraniłam Richarda. To, że jego obawy nie mają logicznych podstaw nie ma tu nic do rzeczy. Liczą się uczucia.

Zapomniałam już, jak straszna potrafi być samotność. Byliśmy ze sobą pięć lat. Richard nie był wymarzonym księciem z bajki, ale był wspaniałym towarzyszem i najmądrzejszym człowiekiem jakiego znam. Byłoby wielką tragedią, gdyby nie wrócił. Płaczę na myśl, że nigdy go już nie zobaczę.

W nocy jestem szczególnie samotna i czytam wiersze. Baudelaire i Elliot to moi ulubieni poeci, ale od kilku dni czytam także wiersze Benity Garcii.

Benita ukończyła Akademię Kosmiczną. W czasach studenckich jej witalność często bywała powodem niepowodzeń i zawodów miłosnych. Stała przed komisją dyscyplinarną za "złe prowadzenie się" i chyba dopiero wtedy zrozumiała, do jakiego stopnia mężczyźni cierpią na schizofrenię, gdy chodzi o seks.

Krytycy jako najlepszy uznali zbiór wierszy pod tytułem Marzenia Meksykanki, które Benita napisała jeszcze szkole średniej. W młodzieńczych wierszach Benity odnajduję niepokoje i pytania, które sama sobie stawiam po odejściu Richarda.

Dziś wieczór kilkakrotnie przeczytałam wiersz, który bardzo lubię:

Suknie rozświetlają mój pokój

Jak pustynne kwiaty po deszczu.

Gdy przyjdiesz dziś, mój kochanku

Kogo chciałbyś spotkać?

Błede pastele pasują do książ

Niebieskie i zielone - na spotkanie

z przyjacielem - przyszłą żoną?

Chcesz się kochać? Więc czarną

lub czerwoną suknię włożę,

I oddam ci się...

Dziecięce marzenia były inne:

Książę chciał tylko pocałunków

Które wyzwalały mnie od bólu.

Czy nigdy go już nie ujrzę?

Maski obrażają mnie, chłopcze,

Niechętnie przebieram się w suknię.

Cena którą płacę by trzymać cię za rękę

Poniżej mnie; ale przecież tego chciałeś.

9.

14 GRUDNIA 2205

W zasadzie powinnam być szczęśliwa, udało mi się zająć w ciążę z Michaelem. Obawiam się jednak, że odniosłam pyrrusowe zwycięstwo. Wciąż nie mam żadnych wieści od Richarda.

Oboje z Michaelem wzięliśmy na siebie pełną odpowiedzialność za jego odejście. Radzę sobie z poczuciem winy jak mogę wiedząc, że najważniejsze jest wychowywanie córek. Natomiast Michael popadł w skrajną dewocję. Przynajmniej dwa razy dziennie czyta Biblię, długo modli się przed i po posiłkach, i często powtarza, że nie będzie nam towarzyszył, bo "musi porozmawiać z Bogiem", a słowo "pokuta" pojawia się w rozmowach niemal bez przerwy.

Zaraził Simone swoją wiarą i całkowicie ignoruje moje ciche protesty. Simone uwielbia słuchać przypowieści o Jezusie, choć wątpię aby mogła zrozumieć, o co w nich chodzi. Najbardziej lubi historie o cudach i - jak większość dzieci - wierzy we wszystko. Nigdy nie zadaje pytania "jak to możliwe?" słysząc, że Jezus chodził po wodzie i przemienił wodę w wino.

Moje próby "ochronienia" Simone przed Michaelem nie są całkiem uczciwe. Chyba jestem zazdrosna o harmonię ich wzajemnych stosunków, choć jako matka powinnam się z tego cieszyć. Pomiędzy mną a Katie nie ma niestety aż tak głębokiej więzi.

Problem w tym, że obydwie jesteśmy niezdolnie uparte. Chociaż mała ma dopiero dwa i pół roku, już teraz chce sprawować pełną kontrolę nad otaczającym ją światem. Weźmy na przykład nasz rozkład dnia, który przygotowuję od pierwszego dnia na pokładzie Ramy; nikt dotąd się ze mną o to nie sprzeczał (nawet Richard), a Michael i Simone zawsze stosują się do moich propozycji.

Ale w przypadku Katie nie jest to takie proste; jeżeli postanowię, że przed lekcją czytania odbędziemy spacer po Nowym Jorku, Katie chce, żeby było odwrotnie. Gdy chcę ugotować na obiad ramańską "kure", ona ma akurat ochotę na "wieprzowinę". Właściwie każdy dzień zaczyna się od kłótni o to, co i w jakiej kolejności będziemy robić. Jeżeli nie podobają się jej moje decyzje, staje się zła i płacze za swoim tatą. To naprawdę boli, gdy Katie płacze za Richardem...

Michael mówi, że powinnam brać pod uwagę jej upodobania i dodaje, że Katie z tego wyrośnie. Ale gdy mówię mu, że ani Genevieve, ani Simone nigdy się tak nie zachowywały, uśmiecha się wzruszając ramionami.

Nie zawsze zgadzamy się z Michaelem co do metod wychowawczych. Wielokrotnie rozmawialiśmy o tym jak w naszej obecnej sytuacji powinno wyglądać "życie rodzinne". Zostałam

przez Michaela skarcona za to, że jestem zbyt "ostra" i kategoryczna, więc dla odmiany postanowiłam porozmawiać z nim o religii. Spytałam dlaczego uważa, że Simone powinna dokładnie poznać życiorys Jezusa.

- Ktoś musi kultywować tradycję - usłyszałam w odpowiedzi.

- Więc wierzysz, że będzie jakaś "tradycja"? Wierzysz, nie będziemy całą wieczność lecieć przez kosmiczną pustkę i że nie umrzemy w samotności?

- Wierzę, że Bóg myśli o wszystkich, także o nas.

- Ale co ma zamiar z nami zrobić?

- Tego nie wiemy - odparł Michael. - Podobnie jak miliardy ludzi na Ziemi. Na tym polega życie: jest wiecznym poszukiwaniem Woli Bożej.

Potrząsnęłam głową, a Michael ciągnął dalej:

- Widzisz, Nicole, nam powinno być łatwiej. Tutaj jest o wiele mniej rzeczy, które odwracają naszą uwagę i zapominając o Bogu nie mamy żadnej wymówki. Właśnie dlatego nie mogę sobie wybaczyć moich studiów historii sztuki i zainteresowań kulinarnych. Na pokładzie Ramy ludzie powinni zająć się modlitwą...

Muszę przyznać, że brak jakichkolwiek wątpliwości u Michaela często mnie drażni. W naszej obecnej sytuacji życie Jezusa nie wydaje się mieć większego znaczenia niż życie Atylli, czy jakiegokolwiek innego człowieka, który przed wiekami żył na planecie oddalonej od nas o dwa lata świetlne. Nie należymy już do ludzkości; albo jesteśmy skazani na zagładę, albo staniemy się zaczątkiem nowej cywilizacji. Czy Jezus umarł także za nasze grzechy? Za grzechy ludzi, którzy już nigdy nie zobaczą Ziemi?

Gdyby Michael nie był od urodzenia katolikiem "zaprogramowanym" do płodzenia dzieci, nigdy by mi się go nie udało przekonać do stosunku. Potrafi wymyślić sto powodów uzasadniających, dlaczego taki postępek jest "grzechem". Ale w końcu się zgodził (może dlatego, że przeszkadzałam mu w nocnych modłach). Ostrzegł, że prawdopodobnie "nic z tego nie wyjdzie" i że on "nie bierze żadnej odpowiedzialności za to, co się stanie".

Płodzenie dziecka zajęło nam trzy miesiące. Podczas pierwszych dwóch owulacji nie byłam w stanie go podniecić. Masowałam go, próbowałam rozśmieszyć, słuchaliśmy nastrojowej muzyki, skłoniłam go do stosowania odpowiedniej diety - słowem robiłam wszystko, co wyczytałam w książkach o leczeniu impotencji. Ale jego poczucie winy zawsze okazywało się silniejsze. Udało się dopiero dzięki wyobraźni. Pewnej nocy zaproponowałam, żeby wyobraził sobie, że jestem jego żoną Kathleen i... udało się. Wyobraźnia to wspaniałe "urządzenie"...

Pomimo to, że byłam "wyśnioną kobietą", kochanie się ze mną nie przyszło Michaelowi łatwo. Po pierwsze, jego przygotowania do stosunku mogą sprawić, że każdej normalnej kobiecie

po prostu przejdzie na to ochota. Zanim Michael się rozbierze, musi zmówić pacierz. O co się modli? Chciałabym znać odpowiedź na to pytanie...

Ludwik VII, pierwszy mąż Eleonory Akwitańskiej, wychowywał się w klasztorze i tylko przypadek sprawił, że został królem. W noweli mojego ojca Eleonora zastanawia się dlaczego cielesnej miłości towarzyszyć musi "powaga i pobożność" oraz dlaczego kochankowie mają na sobie "pokutne szaty". W jej sypialni także brakowało śmiechu i radości...

Po ostatnich doświadczeniach z Michaelem zrozumiałam, dlaczego rozwiodła się z Ludwikiem i poślubiła Henryka Plantageneta...

Jestem w ciąży i urodzę chłopca, który - mam nadzieję - przyczyni się do powstania jak najbardziej "różnorodnego materiału genetycznego". Wiele mnie to kosztowało i z perspektywy czasu myślę, że nie było warto. Richard nas opuścił, a Michael przestał być tak dobrym przyjacielem i towarzyszem jak dawniej. Odniosłam sukces, ale zapłaciłam bardzo wysoką cenę...

I MARCA 2206

Dziś rano powtórnie przeprowadziłam test genomu, aby potwierdzić poprzednie wyniki. Nie ma już żadnych wątpliwości; nasze nie narodzone dziecko cierpi na zespół Whittinghama. Innych wad genetycznych nie stwierdziłam, ale zespół Whittinghama i tak jest nieszczęściem.

Po śniadaniu, gdy na chwilę zostaliśmy sami, pokazałam Michaelowi wyniki badań. Nie zrozumiał o czym mówię, był przerażony, gdy użyłam zwrotu "upośledzenie umysłowe". Grymas na jego twarzy nie ustąpił nawet wtedy, gdy wytłumaczyłam mu, że choroba ta przyczynia się jedynie do trudności w nauce i w przyswajaniu nowych pojęć.

Już po pierwszym teście podejrzewałam, że dziecko może mieć zespół Whittinghama, ale nie powiedziałam mu o tym, ponieważ wyniki badań były niejednoznaczne. Zanim zrobiłam drugi test, chciałam się przekonać, na ile pomocna okaże się wiedza medyczna. Niestety, w encyklopedii medycznej nie znalazłam wiele informacji.

Po południu, gdy Katie spała, Michael i ja poprosiliśmy Simone, żeby zostawiła nas samych. Nasz aniołek natychmiast się zgodził.

Michael był o wiele spokojniejszy niż rano. Najwidoczniej czytanie Biblii natchnęło go optymizmem. Przyznał, że wiadomość o upośledzeniu umysłowym Benjy'ego (Michael chce, aby chłopiec nazywał się Benjamin Ryan O'Toole, po dziadku) bardzo go zaniepokoiła.

Powiedziałam, że rozwój umysłowy Benjy'ego będzie przebiegał powoli. Michael wyraźnie odetchnął, gdy dodałam, że niektóre osoby cierpiące na zespół Whittinghama po dwudziestoletniej edukacji osiągają poziom umysłowy dwunastoletniego dziecka. Zapewniłam go, że śladów choroby

nie będzie widać na twarzy Benjy'ego, tak jak ma to miejsce przypadku zespołu Downa; choroba Whittinghama nie jest dziedziczna, więc istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że dzieci Benjy'ego będą zdrowe.

- Czy można stwierdzić w czyich genach zakodowana była ta choroba? - spytał Michael.

- Nie - odpowiedziałam. - Bardzo trudno to zbadać, ponieważ zespół Whittinghama powstaje na skutek połączenia się kilku "fałszywych" genów obojga rodziców.

Opowiedziałam mu, że chorobę tę po raz pierwszy rozpoznano w roku 2068. W Afryce i w Azji jest praktycznie nieznaną, występuje prawie wyłącznie u ludzi białych, najczęściej w Irlandii.

- Czy można ją leczyć? - spytał Michael.

- My nie możemy - odparłam. - W ostatniej dekadzie w prasie naukowej pojawiły się artykuły o zmianach genetycznych, których można by dokonywać w pierwszych stadiach ciąży. Ale nawet na Ziemi jest to bardzo skomplikowany zabieg, przy którym występuje wysokie ryzyko uśmiercenia płodu.

Właściwie była to idealna chwila, aby Michael wypowiedział słowo "aborcja". Ale nie zrobił tego. Jego wiara jest tak niezachwiana, że taka możliwość chyba w ogóle nie przyszła mu do głowy. Dla niego skrobanka jest grzechem bez względu na to, czy dokonuje się jej na Ziemi, czy na pokładzie Ramy. Zastanawiałam się, czy istnieją sytuacje, w których Michael dopuściłby do skrobanki. A gdyby dziecko miało zespół Downa i do tego było jeszcze ślepe? Albo gdyby badania wykazały, że urodzi się chore i wkrótce potem umrze?

Gdyby był z nami Richard, z pewnością odbylibyśmy rozmowę o zasadności i przeciwwskazaniach skrobanki. Richard narysowałby jedną ze swoich tabel Bena Franklina, po jednej stronie wypisując wszystkie "za", a po drugiej "przeciw". Ja też zrobiłabym listę (którą Richard dodałby do swojej), a potem, po wielogodzinnej naradzie, zdecydowalibyśmy, że chcemy, aby Benjy przyszedł na świat. Przynajmniej byłaby to decyzja racjonalna.

Chcę tego dziecka. Ale chcę także, aby Michael poczuł się jego ojcem. Rozmowa o aborcji wykluczałaby jego późniejsze zaangażowanie. Ślepe posłuszeństwo wobec boskich, a raczej kościelnych dogmatów, często sprawia, że ludzie czują się zwolnieni z obowiązku słuchania głosu własnego sumienia. Mam nadzieję, że Michael nie jest takim człowiekiem.

10.

30 SIERPANIA 2206

Benjy urodził się o kilka dni za wcześnie. Pomimo moich zapewnień, że chłopiec będzie wyglądał zupełnie normalnie, Michael przestał się denerwować dopiero wtedy, gdy zobaczył go na własne oczy. Był to kolejny łatwy poród. Simone okazała się nadzwyczaj pomocna zarówno podczas przygotowań jak i w czasie samego porodu. Jak na niespełna sześciolletnią dziewczynkę jest bardzo dojrzała.

Benjy ma niebieskie oczy, trochę ciemniejsze od oczu Katie; myślę, że niedługo zmienią kolor. Jego skóra ma brązowy odcień, nieco ciemniejszy niż skóra Katie, ale o wiele jaśniejszy niż moja i Simone. Zaraz po urodzeniu Benjy ważył trzy i pół kilograma i miał pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu.

W naszym życiu nie nastąpiły żadne poważne zmiany. Przestaliśmy o tym rozmawiać i wygląda na to, że Katie straciła nadzieję, iż jej tata kiedykolwiek wróci. Znowu zbliża się ramańska zima, dni stają się krótsze, a noce coraz dłuższe. Od czasu do czasu albo Michael, albo ja wychodzimy na powierzchnię i szukamy śladów pozostawionych przez Richarda, ale nie liczymy na to, że naprawdę coś znajdziemy. Richarda nie ma już od szesnastu miesięcy.

Dzięki napisanym przez niego programom na zmianę z Michaelem obliczamy trajektorię Ramy. Na początku nie mogliśmy "rozgryźć" jak się to robi, choć Richard zostawił nam dokładną instrukcję. Raz na tydzień sprawdzamy, czy kierunek lotu nie uległ zmianie (wciąż lecimy w kierunku Syriusza). Na naszej drodze nie ma żadnych układów planetarnych.

Od chwili narodzin Benjy'ego mam więcej czasu dla siebie. Dużo czytam, zwłaszcza o bohaterkach mojej młodości, czyli Joannie d'Arc i Eleonorze Akwitańskiej. Te kobiety nie tylko miały silne charaktery i zdobyły się na niezależność, ale osiągnęły sukces w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

Jako nastolatka miałam wspaniałego ojca, ale zawsze czułam się bardzo samotna. W głębi duszy obawiałam się, że wychodząc za mąż stracę ojca. Chciałam w większym stopniu zdać się na siebie, aby nie cierpieć, gdy przyjdzie nam się rozstać.

Joanna i Eleonora są uosobieniem takiej niezależności...

Wszyscy jesteśmy zdrowi. Ostatniej wiosny wstrzyknęłam naszej rodzinie czujniki biometryczne i przez kilka tygodni śledziłam zbierane przez nie dane. Przypomniałam sobie badania przeprowadzane na pokładzie Newtona. Aż trudno uwierzyć, że od czasu, gdy

wystartowaliśmy z Ziemi na spotkanie z Ramą, minęło ponad sześć lat...

Katie była zachwycona badaniami biometrycznymi. Gdy odczytywałam dane z czujników Michaela i Simone, siedziała przy mnie i zadawała setki pytań. W ciągu kilku minut opanowała podstawy działania systemu i wiedziała już, czym jest "dopuszczalna tolerancja" poszczególnych parametrów. Michael zauważył, że Katie jest bardzo bystra. Tak jak jej ojciec. Katie wciąż bardzo za nim tęskni...

Michael bez przerwy powtarza, że jest "starcem", ale jak na sześćdziesięcioletniego mężczyznę jest w świetnej formie. Zwraca uwagę na "wychowanie fizyczne" dzieci i od czasu mojej ciąży biega przynajmniej dwa razy w tygodniu. "Dwa razy w tygodniu" - jak to śmiesznie brzmi. Wiernie trzymamy się ziemskiego kalendarza, choć na pokładzie Ramy nie ma on żadnego znaczenia. Wczoraj Simone spytała jak to jest z dniami, miesiącami i latami. Michael opowiedział jej o ruchu wirowym Ziemi, skąd się biorą pory roku, a ja oczyma wyobraźni zobaczyłam siebie i Genevieve w Utah, jak podczas naszej wędrówki po USA wpatrujemy się w zachodzące słońce. Chciałam to wszystko powiedzieć Simone, ale jak wytłumaczyć, czym jest zachód Słońca komuś, kto go nigdy nie widział?

Dzięki kalendarzowi wiemy, kim jesteśmy. Jeżeli znajdziemy się kiedyś na jakiejś planecie, na której będą prawdziwe dni i noce, to prawdopodobnie dostosujemy się do jej kalendarza. Ale dopóki przebywamy na pokładzie Ramy rocznice, święta, urodziny - wszystko to przypomina nam o naszych korzeniach i Ziemi, której nie jesteśmy już w stanie dostrzec nawet przez najwspanialsze ramańskie teleskopy...

Muszę nakarmić Benjy'ego. Możliwe, że jego sprawność umysłowa nie będzie najlepsza, ale chłopiec nie ma żadnych problemów w przekazaniu mi wiadomości, że jest głodny. Michael i ja zgodziliśmy się, żeby nie mówić dziewczynkom o umysłowym upośledzeniu ich brata. Od dnia narodzin Benjy'ego Simone i Katie przestały być w centrum naszego zainteresowania i jest to dostatecznym powodem ich frustracji. Ilość czasu jaką trzeba poświęcić Benjy'emu będzie z czasem wzrastała; myślę, że dziewczynkom trudno byłoby to teraz zrozumieć.

13 MARCA 2207

Katie skończyła dzisiaj cztery lata. Dwa tygodnie temu spytałam, co chciałaby dostać na urodziny.

- Chcę, żeby tata wrócił - odpowiedziała bez wahania.

Katie jest "samotna", żyje w swoim własnym świecie. Uczy się niezwykle szybko, ale jest zarazem najbardziej podatna na przyływy złego humoru. Richard także poddawał się nastrojom.

Czasami bywał tak podniecony, że z trudnością panował nad sobą, kiedy indziej był przygnębiony i apatyczny. Przeżyłam trzy takie depresje; przez tydzień wyglądał jak chmura gradowa, ani razu się nie uśmiechnął.

Katie odziedziczyła po nim zdolności matematyczne. Umie już dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić - na razie dotyczy to "małych" liczb. Ale Simone wcale nie jest od niej gorsza; interesuje się prawie wszystkim i jedynie w matematyce Katie jest dla niej poważną konkurentką.

Podczas tych dwóch lat bez Richarda starałam się jakoś zastąpić go Katie. Niestety, prawda wygląda tak, że do siebie nie pasujemy. Jako para matka-córka nie stanowimy zgranego zespołu. Indywidualizm i niezależność, które tak podobały mi się u Richarda, w przypadku Katie powodują, że pomimo najlepszych chęci często dochodzi między nami do sprzeczek.

To raczej zrozumiałe, że na urodziny Katie nie dało się sprowadzić Richarda. Ale ja i Michael staraliśmy się zrobić wszystko, aby ofiarować jej coś, co sprawi jej przyjemność. Choć żadne z nas nie ma zdolności konstruktorskich, udało nam się zbudować niewielką grę wideo, którą nazwaliśmy "Zagubiona w Ramie". ("Negocjacje" z Ramą na temat odpowiednich części do budowy gry trwały dość długo, a praca nad urządzeniem, które Richard zbudowałby w ciągu jednego dnia, zajęła nam wiele bezsennych nocy). Gra była prosta, bo zrobiliśmy ją z myślą o czteroletniej dziewczynce. Już po dwóch godzinach Katie wyczerpała wszystkie możliwe kombinacje i z każdego miejsca w Ramie umiała dotrzeć do naszej groty.

Najbardziej zdziwiliśmy się dziś po południu, gdy zapytaliśmy ją, jak chciałaby spędzić pozostałą część swoich urodzin.

- Chcę zejść do ptasiej groty - powiedziała z szelmowskim błyskiem w oku.

Usiłowaliśmy ją odwieść od tego zamiaru tłumacząc, że odstępki pomiędzy stopniami są dla niej zbyt duże. W odpowiedzi Katie podeszła do ramańskiej siatki, wiszącej przy drzwiach dzieciennego pokoju, i wspięła się po niej z małpią zręcznością.

- Niektóre cechy odziedziczyła po matce - uśmiechnął się Michael.

- Mamo, tak bardzo cię proszę - jęczała Katie. - Tutaj jest tak nudno... Chcę z bliska zobaczyć czołg...

Nie byłam tym wszystkim zachwycona, ale w końcu poszliśmy z Katie do ptasiej groty. Poprosiłam ją, żeby zaczekała na górze, a sama zeszłam na dół, żeby umocować siatkę. Zatrzymałam się na pierwszym podejściu, po przeciwległej stronie poruszał się czołg-wartownik. Czy zawsze tu jesteś? - pomyślałam. Czy nigdy nie trzeba cię naprawiać!

- Mamo, jesteś gotowa? - usłyszałam z góry głos Katie. Zanim wspięłam się do niej, była już w połowie drogi. Skrzyczałam ją, gdy dotarła na drugi poziom, ale tylko wzruszyła ramionami.

- Widziałaś, mamo - mówiła - jak świetnie się wspinam?

Przyznałam, że robi to świetnie, choć oczami wyobraźni widziałam, jak spada w otchłań.

Powoli schodziłyśmy w dół, aż znalazłyśmy się na pierwszym poziomie; były tam dwa tunele. Po drugiej stronie szybu tam i z powrotem przemieszczał się czołg-wartownik.

Katie była w siódmym niebie.

- Co jest za wartownikiem? - zainteresowała się. - Kto go zrobił? Co on tutaj robi? Czy naprawdę przeskoczyłaś nad przepaścią?...

Po odpowiedzi na jedno z licznych pytań Katie ruszyłam tunelem myśląc, że dziewczynka pójdzie za mną. Po chwili zorientowałam się, że Katie zniknęła. Obejrzałam się i zamarłam z przerażenia. Moja córka wyjęła coś z kieszeni i rzuciła w kierunku czołgu.

Krzyknęłam do niej, żeby upadła, ale było już za późno. Przedmiot który rzuciła, upadł wprost na czołg. Rozległ się dźwięk przypominający wystrzał z broni palnej i dwa metalowe pociski rozprysły się na ścianie metr nad głową Katie.

- Hurra! - krzyczała moja córka.

Chwyciłam ją za rękę i wciągnęłam do tunelu. Byłam wściekła. Katie zaczęła płakać. Grzmot wystrzału wciąż odbijał się echem po studni.

Płacz Katie nagle się urwał.

- Słyszałaś? - spytała.

- Co? - Słyszałam tylko bicie własnego serca.

- Tam - powiedziała Katie, wskazując na korytarz za czołgiem-wartownikiem. Skierowałam w tamtą stronę snop światła, ale nic nie zobaczyłyśmy.

Stałyśmy nieruchomo, trzymając się za ręce. Z głębi korytarza strzeżonego przez czołg najwyraźniej coś było słychać.

- To ptaki! - krzyknęła Katie. - To łopot ptasich skrzydeł! Hurra!

Dźwięk ustał i zrobiło się zupełnie cicho. Czekałyśmy prawie kwadrans, ale w tunelu panowała niczym nie zmacona cisza.

Wyszłyśmy z ptasiej groty i wróciłyśmy do domu.

Katie opowiedziała Michaelowi i Simone, że słyszałyśmy lecącego ptaka. Nie byłam tego pewna, ale nie chciałam zaczynać nowej awantury. Katie była szczęśliwa i bardzo zadowolona ze swoich urodzin.

8 MARCA 2208

Patrick Erin O'Toole jest zupełnie zdrowym chłopcem. Przyszedł na świat wczoraj o drugiej w nocy. Gdy piszę te słowa, jego dumny ojciec trzyma go właśnie na rękach i uśmiecha się do

mnie.

Jest już wieczór. Simone położyła Benjy'ego spać, robi to co wieczór o dziewiątej. Była bardzo zmęczona, zajmowała się chłopcem od czasu moich pierwszych bólów porodowych. Za każdym razem, gdy krzyczałam, Benjy zaczynał płakać i Simone musiała go na nowo uspokajać.

Katie całkowicie "zawładnęła" Patrickiem i mówi, że to jej brat. Podchodzi do tego niezwykle logicznie: skoro Benjy przypadł Simone, to Patrick musi należeć do Katie. To dobrze, że moja młodsza córka okazuje zainteresowanie nowym członkiem rodziny.

Patrick nie jest dzieckiem "planowanym", ale bardzo się cieszymy, że powiększył naszą rodzinę. Został poczęty na wiosnę, prawdopodobnie wtedy, gdy Michael i ja postanowiliśmy spać razem. Był to mój pomysł, choć jestem pewna, że Michael też tego chciał.

Tej nocy, gdy mijala dwuletnia rocznica odejścia Richarda, nie mogłam zasnąć. Czułam się taka samotna... Tuż po północy wstałam i poszłam do sypialni Michaela.

Moja obecność przestała go krępować. Myślę, że po prostu oboje byliśmy na to gotowi. Od narodzin Benjy'ego Michael był bardzo zajęty i pomagał mi w opiekowaniu się dziećmi, udało mi się go także namówić na "zmniejszenie napięcia wychowania religijnego". Do naszego życia wróciła harmonia i spokój; oboje pogodziliśmy się z faktem, że Richard już nie wróci.

Z Michaelem jest wygodnie i bezpiecznie, to chyba najlepsze określenie. Związek z Henrykiem był uniesieniem, natomiast czas spędzony u boku Richarda obfitował w namiętność i był niezwykle burzliwy. A z Michaelem jest bezpiecznie: śpimy trzymając się za ręce, to chyba najpełniej oddaje charakter naszego związku. Kochamy się rzadko, ale to nam wystarcza.

Musiałam pójść na pewne ustępstwa; czasami nawet się modłę, bo sprawia to Michaelowi przyjemność. Jego katolicyzm stał się bardziej wyrozumiały i tolerancyjny, dzięki czemu dzieci mogą poznawać także inne systemy wartości.

Uważamy, że naszym największym osiągnięciem jest panująca w naszej rodzinie zgoda i harmonia.

Jest nas teraz sześcioro; jesteśmy ziemską rodziną, ale znajdujemy się bliżej innych układów planetarnych niż Ziemi. W dalszym ciągu nie wiemy, dokąd zmierza Rama. Może donikąd. Ale chyba nie ma to większego znaczenia. Stworzyliśmy nasz własny świat, w którym potrafimy być szczęśliwi.

11.

30 STYCZNIA 2209

Zdążyłam już zapomnieć, czym jest przyływ adrenaliny... W ciągu ostatnich trzydziestu godzin spokój naszego życia został zburzony.

Wszystko zaczęło się od dwóch snów; wczoraj nad ranem, tuż przed przebudzeniem, śnił mi się Richard. Właściwie nie stanowił części snu, bo nie wyglądał tak jak wyśniony Michael, Simone czy Katie. W "górnym lewym rogu kadru" widziałam jego twarz, podczas gdy nasza rodzina zajmowała się swoimi zwykłymi sprawami. Wielokrotnie powtórzył moje imię; echo jego krzyku słyszałam jeszcze po przebudzeniu.

Właśnie opowiadałam Michaelowi swój sen, gdy w kuchennych drzwiach stanęła Katie. Dygotała z przerażenia. - Co się stało, kochanie? - spytałam.

Katie podbiegła do mnie i przytuliła się.

- Tatuś - chlipnęła. - Tatuś wołał mnie we śnie...

Po plecach spłynęła mi strużka zimnego potu. Michael wstał. Udało mi się nieco uspokoić Katie, choć mnie samą zaniepokoił ten zbieg okoliczności. Czyżby słyszała moją rozmowę z Michaeliem? To niemożliwe, wbiegła do kuchni wprost z sypialni...

Dziewczynka poszła się ubrać, a ja wyznałam Michaelowi, że nie potrafię przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego. Często rozmawialiśmy o moich wizjach i snach; choć Michael nie wierzy w "przekazywanie myśli na odległość", nie wyklucza takiej możliwości...

- Muszę wyjść na powierzchnię i go odszukać - oświadczyłam po śniadaniu.

Michael spodziewał się czegoś w tym rodzaju i powiedział, że zajmie się dziećmi. Ale w Ramie była teraz noc. Zgodziliśmy się, że należy odczekać do "naszego" wieczora, kiedy w ramańskim świecie znów będzie dzień.

Po południu przespałam kilka godzin, żeby wieczorem być w pełni sił. Śniło mi się, że jestem w niebezpieczeństwie.

Zanim wyruszyłam, sprawdziłam, czy w podręcznym komputerze mam rysunki przedstawiające sylwetkę Richarda; gdybym spotkała któregoś z ptaków, mogłabym go "zapytać", czy nie wiedział mojego męża...

Pocałowałam dzieci na dobranoc i ruszyłam prosto do ptasiej grotty. Nie zdziwiło mnie, że czołg-wartownik zniknął. Wiele lat temu, gdy po raz pierwszy schodziłam do grotty, także go nie było. Czy to możliwe, aby znów ktoś "zapraszał mnie do środka"? Jaki to może mieć związek z

moim snem? Ruszyłam tunelem prowadzącym do zbiornika z wodą. Serce waliło mi jak młotem.

Wielokrotnie przystawałam, wsłuchując się w ciszę. Po kilometrowym marszu dotarłam do wysokich drzwi. Ostrożnie otworzyłam je i zajrzałam do środka. W pomieszczeniu było ciemno. Zapaliłam latarkę.

Pokój nie był duży, miał najwyżej piętnaście metrów długości, ale był bardzo wysoki. Na przeciwległej ścianie umieszczono dziesiątki pojemników. Sufit był tak wysoko, że musiał znajdować się bezpośrednio pod powierzchnią Nowego Jorku.

Pojemniki były wielkości ramańskich melonów. Najwidoczniej jestem w ptasiej spiżarni, pomyślałam. Nic dziwnego, że ptaki nie chcą, żeby ktokolwiek tu wchodził...

Przekonawszy się, że pojemniki są puste, wróciłam do głównego korytarza i ruszyłam dalej. Korytarz musi dokądś prowadzić, myślałam, w przeciwnym razie skończyłby się na "ptasiej spiżarni".

Po półkilometrowym marszu tunel zaczął się stopniowo poszerzać i przekształcił się w wielką, owalną komnatę, z bardzo wysokim sufitem. Przy ścianach w regularnych odstępach znajdowały się alkowy. Jedyнным źródłem światła była moja latarka, więc zbadanie komnaty zajęło mi sporo czasu.

Prawie wszystkie alkowy były puste, tylko w jednej z nich odkryłam magazyn z poukładanymi pod ścianą czołgami-wartownikami. W pierwszym momencie się przestraszyłam. Na szczęście czołgi były wyłączone.

Najciekawsza alkowa znajdowała się dokładnie naprzeciwko tunelu, którym przyszłam. Wykuto tam w ścianach grube półki. W sumie było ich piętnaście, po pięć na każdej ze ścian. Stały na nich jakieś przedmioty; w przegródkach znajdował się proszek przypominający popiół, w innych czerwone i złote pierścienie. Pozostałe przegródki były puste.

Wyszłam z alkowy i ruszyłam w stronę budowli na środku komnaty. Jej ściany były bogato zdobione, na każdej znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca ptaka i ramański melon. Pozostałe płaskorzeźby były dla mnie niezrozumiałe. Jedna z nich przedstawiała jakieś długie, sześciopalcowe stworzenie.

Do środka prowadziły wysokie, rzeźbione drzwi. Otworzyłam je po chwili wahania. Usłyszałam przeraźliwe wycie syreny, która o mało co nie przyprawiło mnie o zawał serca. Zamarłam. Syrena wyła przez kilkadziesiąt sekund, po czym nagle umilkła. Pomimo to w dalszym ciągu się nie ruszałam, zadając sobie pytanie: Dla kogo przeznaczone było to ostrzeżenie?

Ciszy nie zmącił żaden dźwięk. Na środku budowli znajdował się przezroczysty sześciian o boku dwumetrowej długości. Jego ściany pokryte były jakimś tłuszczem, przez co trudno było zajrzeć do środka. Dostrzegłam jednak, że na dnie znajduje się jakaś ciemna tkanina. Ściany,

podłogę i sufit zdobiły geometryczne wzory. Odkryłam w sześcianie otwór prowadzący do jego wnętrza.

Weszłam do środka. Ciemna tkanina okazała się popiołem, o nieco innej konsystencji niż proszek w alkowie. Oświetliłam półprzezroczyste ściany. Na ziemi leżał jakiś zwęglony przedmiot. Zbliżyłam się i wzięłam go do ręki. Nagle zakręciło mi się głowie: to był TB, jeden z robotów Richarda!

Metaliczna powierzchnia jego tułowia wyglądała na spaloną, miniaturowa klawiatura uległa stopieniu. Nacisnęłam włącznik, ale Robot pozostał martwy. Pocałowałam go. Oczami wyobraźni ujrzałam Richarda, który z zadowoleniem przysłuchuje się, jak TB recytuje sonety Szekspira...

TB najwyraźniej spłonął. Czy podobny los spotkał także jego konstruktora? Cał po cał przeszukałam podłogę, lecz nie znalazłam żadnych kości. Ale skąd wzięła się dziesięciocentymetrowa warstwa popiołu? I co robił tutaj TB?

Byłam przekonana, że Richard znajduje się w ptasich podziemiach, przez kolejne osiem godzin bez przerwy go szukałam. Byłam wszędzie tam, gdzie dotarłam kilka lat temu, znalazłam nawet kilka nowych korytarzy. Ale nie znalazłam Richarda. Nie natrafiłam na jakiegokolwiek ślady życia. Krótki ramański dzień dobiegał końca, dzieci niedługo mogły się obudzić. Postanowiłam wrócić do naszej roty.

Pokrywa jak i ochronna krata były otwarte, choć wychodząc z pewnością je zamknęłam. Zaczęłam schodzić w dół, gdy usłyszałam za sobą głos Michaela:

- Nicole!

Obejrzałam się za siebie. Michael z Patrickiem na rękach, zbliżał się do mnie szybkim, nienaturalnym krokiem.

- Dobrze, że jesteś - powiedział. - Zaczynałem się już niepokoić... Gdzie jest Katie? - spytał.

- Co to znaczy: gdzie jest Katie? - spytałam przerażona.

- Nie poszła z tobą?

- Nie.

Michael się rozplakał; podeszłam do niego, żeby wziąć na ręce Patricka, którego wystraszyło szlochanie Michaela i... sama zaczęłam płakać.

- Nicole - jęknął Michael - tak mi przykro... Patrickowi śniły się w nocy jakieś koszmary, więc wziąłem go do siebie. Benjy'ego bolał brzuch i razem z Simone musieliśmy go pielęgnować. Potem zasnęliśmy u mnie... Obudziliśmy się jakieś dwie godziny temu...

Nigdy przedtem nie widziałam Michaela w takim stanie. Staralam się go uspokoić, mówiłam, że Katie na pewno daleko nie odeszła (a gdy ją znajdę, zrobię jej taką awanturę, której nigdy nie zapomni) ale Michael mi przerwał.

- Nigdzie jej nie ma. Szukamy jej od godziny... Michael, Patrick i ja zeszliśmy do groty żeby sprawdzić, czy z Benjym i Simone wszystko w porządku. Simone powiedziała, że Katie była wściekła dowiedziawszy się, iż samotnie wyruszyłam na poszukiwanie Richarda.

- Myślała, że zabierzesz ją ze sobą.

- Dlaczego wczoraj mi tego nie powiedziałaś? - spytałam.

- Nie wiedziałam, że to ważne. Poza tym nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Katie będzie szukać taty na własną rękę.

Oboje z Michaeliem byliśmy zmęczeni, ale któreś z nas musiało wyruszyć na poszukiwanie Katie. Wybór padł na mnie. Przemyślałam twarz, "zamówiłam" u Ramów śniadanie i w skrócie opowiedziałam Michaelowi o wyprawie do ptasiej groty.

- Katie powiedziała, że tata poszedł polować na ośmiornice - oznajmiła Simone przed moim wyjściem. Jej zdaniem to najbardziej podniecająca rzecz na świecie.

Zbliżałam się do rynku, moja głowa była pełna czarnych myśli. W pewnej chwili zgasty światła i zrobiło się zupełnie ciemno.

Świetnie, mruknęłam pod nosem, nie ma nic łatwiejszego, niż znalezienie nieposłusznego bachora po ciemku...

Kłapa i ochronna krata były otwarte. Serce zaczęło mi walić w piersi. Znaczyło to, że Katie zeszła do groty ośmiornic i że za chwilę ja też się tam znajdę...

Uklękłam nad brzegiem szybu i jak mogłam najgłośniejszym głosem krzyknęłam "Katie!" Mój głos odbił się echem po wielopoziomowych korytarzach. Wsłuchałam się w ciszę, ale nie usłyszałam odpowiedzi.

W każdym razie nie słyszę chrzęstu "gałęzi wleczonych po metalu", pomyślałam dla dodania sobie otuchy.

Byłam coraz niżej. Dotarłam do groty, z której rozchodziły się cztery korytarze; to właśnie tutaj Richard wyliczał "ene, due, rike fake" i wybraliśmy "ene".

Nie przyszło mi to łatwo, ale zmusiłam się by ruszyć właśnie tym korytarzem. Po kilku krokach zawróciłam i ruszyłam tunelem sąsiednim, który także prowadził do szybu z wystającymi ze ścian "kolcami", ale pozwalał także wejść do "muzeum", w którym przed dziewięciu laty odkryłam wypchane zwłoki doktora Takagishi.

Chciałam wejść do "muzeum" nie tylko dlatego, że mogła tam być Katie; gdyby ośmiornice zabiły Richarda, (tak jak postąpiły z Takagishim - choć wydaje mi się, że Japończyk umarł na zawał serca) lub gdyby znalazły jego ciało, prawdopodobnie umieściłyby je właśnie w "muzeum".

Trzęsłam się ze strachu na myśl o tym, co za chwilę zobaczę. Wzięłam głęboki oddech i skręciłam w korytarz prowadzący w lewo. Światła natychmiast się zapaliły. Na szczęście oczy

doktora Takagishi nie patrzyły bezpośrednio na mnie. Zauważyłam że zmieniono wystrój muzeum; Japończyk spoczywał teraz pod ścianą, usunięto także modele biotów. "Wystawa" dotyczyła głównie ludzi i ptaków.

Przy wejściu z sufitu zwisały trzy ptaki o rozpostartych skrzydłach. Jednym z nich był szary ptak z dwoma pomarańczowymi pierścieniami na szyi, którego niedawno widzieliśmy z Richardem. Na ziemi leżała nadmuchiwana łódź - przepłynęliśmy nią Morze Cylindryczne - oraz inne przedmioty, które nam zginęły.

Jednak prawdziwa wystawa znajdowała się dalej. Na ścianie wisiały fotografie, zrobione w naszej grocie. Byłam na nich ja, Michael, Richard i dzieci; przedstawiały nasze codzienne zajęcia: jak jemy, śpimy, rozmawiamy, chodzimy do łazienki. Zrobiło mi się gorąco: więc przez cały czas ktoś nas obserwuje?

Seria zdjęć na ścianie obok bardzo mnie zawstydziła; na Ziemi powiedziano by, że są "obsceniczne"; były tam zdjęcia, na których kochałam się z Richardem, oraz jedno zdjęcie z Michaeliem - niezbyt ostre, bo kochaliśmy się po ciemku.

Tuż obok znajdowały się zdjęcia porodów, włącznie z narodzinami Patryka. Sąsiedztwo scen miłosnych i porodów świadczyło, że ośmiornice (Ramowie?) rozumieją zasady ludzkiej prokreacji.

Byłam tak zafascynowana zdjęciami, że zbyt późno usłyszałam złowieszczy chrzęst i wysoki świst dochodzący z korytarza. Nie było już czasu na ucieczkę. Nagle do "muzeum" wpadła Katie, głośno krzycząc "mamo!" Rzuciła mi się w ramiona, po drodze o mało co nie tratując zwłok doktora Takagishi.

- Mamo! - krzyknęła, obejmując mnie - wiedziałam, że przyjdiesz!

Zamknęłam oczy i mocno przytuliłam moją córeczkę. Po chwili podniosłam wzrok. W drzwiach stała ośmiornica, przypatrująca się powitaniu matki i córki.

Katie wyczuła mój strach.

- Nie bój się, mamo - powiedziała - ona nic ci nie robi. Ona tylko patrzy. Spotykałam je już wiele razy...

Od dawna nie otrzymałam takiej dawki adrenaliny. Ośmiornica zamarła i wpatrywała się w nas. Jej duża, czarna głowa była niemal kulista. Tułów spoczywał na ośmiu czarno-złotycho kończynach. Na głowie widoczne były dwa symetryczne wgłębienia, pomiędzy którymi dostrzegłam kilka soczewek i jakiś dziwny, półpłynny, czarno-biały żel, który w pewnej chwili zaczął bulgotać.

W tułowiu znajdowały się jakieś otwory i wgłębienia, ale nie miałam czasu, żeby się im przyjrzeć, bo ośmiornica zaczęła się do nas zbliżać. Pomimo zapewnień Katie trzęsłam się ze

strachu. Charakterystyczny chrzęst wydawały posuwające się po ziemi macki. Wysoki, wibrujący dźwięk pochodził z niewielkiego otworu w dolnej części głowy.

Byłam sparaliżowana strachem, stwór był coraz bliżej. Chciałam uciekać; niestety, nie było dokąd.

Ośmiornica zatrzymała się w odległości kilku metrów. Zasłoniłam Katie własnym ciałem i podniosłam do góry rękę. Ciecz w soczewce znów zaczęła bulgotać.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł; sięgnęłam do kieszeni, wyjęłam komputer i drżącymi rękami wystukałam odpowiedni rozkaz. Ośmiornica zasłoniła soczewkę jedną z macek (z perspektywy czasu myślę, że spodziewała się z mojej strony ataku). Na ekranie pojawił się rysunek przedstawiający Richarda. Położyłam komputer na ziemi, obracając ekran w jej stronę.

Widząc, że nie wykonuję żadnych podejrzanych ruchów, ośmiornica zbliżyła się do komputera i długo wpatrywała się w ekran. Nagle skóra na jej głowie stała się purpurowa, potem pojawiły się na niej czerwone, niebieskie i zielone pasy, a głowa obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Katie i ja patrzyłyśmy na to w niemym zachwycie. Ośmiornica podniosła do góry jedną z macek, wskazała na monitor i na jej głowie znów pojawił się wielokolorowa "tęcza".

- Ona chyba do nas mówi - szepnęła Katie.

- Chyba masz rację - powiedziałam. - Ale nie mam pojęcia, co mówi.

Stałyśmy tak całe wieki. Potem ośmiornica zaczęła się cofać, jedną z macek dając nam znak, żebyśmy poszły za nią. Trzymając się za ręce ruszyłyśmy przed siebie. Katie obejrzała się i dostrzegła na ścianie zdjęcia.

- Mamo, patrz, oni mają zdjęcia naszej rodziny!

Skarciłam ją i powiedziałam, żeby słuchała "pani ośmiornicy".

Ośmiornica ruszyła tunelem w kierunku szybu i "wagoników metra". Tego nam było trzeba. Złapałam Katie na rękę, kazałam jej się mocno trzymać i co tchu pobiegłam do wyjścia. Biegłam tak szybko, że moje stopy prawie nie dotykały ziemi. Zatrzymałam się dopiero przed naszą grota.

Michael bardzo się ucieszył widząc, że odnalazłam Katie. Natomiast przestraszyła i zaniepokoiła go moja opowieść o kamerach zainstalowanych w ścianach naszych pokoi.

Właściwie nie skarciłam Katie za to, że uciekła: byłam zbyt szczęśliwa, że udało mi się ją odnaleźć. Katie opowiedziała Simone, że przeżyła "wspaniałą przygodę" oraz że ośmiornice są "bardzo fajne".

Cóż, tak właśnie wygląda świat widziany oczami dziecka...

Znaleźliśmy Richarda, jestem taka szczęśliwa! Jest nieprzytomny i ma wysoką gorączkę, ale żyje!

Katie i Simone znalazły go dziś rano przed naszą grotą. Mieliśmy właśnie grać w piłkę, Simone i Katie wyszły już z groty, ale Michael poprosił mnie o pomoc. Nagle usłyszeliśmy krzyki dziewczynek. Byłam przekonana, że stało się coś złego i pobiegłam na górę.

W pierwszej chwili pomyślałam, że Richard nie żyje. Zaczęłam go badać. Dziewczynki stały tuż nade mną. Katie bez przerwy powtarzała "czy tata żyje?" i "mamo, błagam cię, zrób tak, żeby żył!"

Richard żył, ale był nieprzytomny. Dziewczynki pomogły mi go znieść po schodach. Wstrzyknęłam mu czujniki biometryczne i niemal bez przerwy odczytuję z nich dane.

Rozebrawszy go zbadalam każdy centymetr kwadratowy jego ciała. Liczba ciałek krwi utrzymuje się w normie, co jest dosyć dziwne, bo ma prawie czterdzieści stopni gorączki.

W jednej z kieszeni znalazłam jego ukochane roboty, księcia Halla i Falstaffa, które dziewięć lat temu zaginęły w podziemnych korytarzach. Widocznie Richardowi udało się nakłonić ośmiornice do zwrotu jego ulubionych zabawek...

Od siedmiu godzin siedzę przy jego łóżku. Wpatruję się w jego twarz, masuję mu kark i ramiona. Sam dotyk sprawia, że wracają wspomnienia i z trudem powstrzymuję łzy. Straciłam już nadzieję, że go kiedykolwiek zobaczę. Witaj w domu, Richardzie.

12.

13 KWIETNIA 2209

Dzisiejszy dzień był niezwykle. Zjedliśmy lunch, a ja zabrałam się za odczytywanie czujników biometrycznych. Katie spytała, czy może pobawić się księciem Hallem i Falstaffem. Powiedziałam "oczywiście", byłam przekonana, że obydwie roboty są zepsute i - prawdę mówiąc - wolałam, żeby Katie nie przeszkadzała mi w badaniu.

Nigdy nie spotkałam się z przypadkiem tak głębokiej śpiączki; oczy Richarda przeważnie są otwarte, ich gałki czasami poruszają się tak, jakby śledziły jakiś wysniony ruch, ale poza tym mój mąż wygląda jak martwy; nie dostrzegłam, aby drgnął choć jeden mięsień jego ciała. Na wiele sposobów próbowałam przywrócić mu świadomość - jak dotąd bezskutecznie.

Nagle w dziecinnym pokoju usłyszałam jakieś przedziwne dźwięki. Wybiegłam na korytarz. Wysoki świst zmienił częstotliwość i przemienił się w czyjś głos:

- Witajcie - zadudnił - jesteśmy nastawieni pokojowo. Oto wasz mężczyzna.

Księżę Hali stał na środku pokoju, głos dobiegał z wnętrza jego brzucha. Dzieci siedziały na podłodze i przyglądały mu się ze zdziwieniem.

- Ja tylko nacisnęłam guzik... - powiedziała Katie, gdy spojrzałam na nią pytającym wzrokiem - i wtedy on nagle zaczął mówić...

Słowom księcia Hala nie towarzyszyły żadne gesty. Pomyślałam, że to dziwne, bo Richard ogromną wagę przykładał do "aktorskich" zdolności swoich robotów. To nie Richard zaprogramował robota - pomyślałam siadając na podłodze.

- Witajcie. Jesteśmy nastawieni pokojowo. Oto wasz mężczyzna - po kilku minutach powtórzył księżę Hali.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Dziewczynki śmiały się, ale gdy spojrzały na mnie, ich śmiech nagle się urwał. Benjy przyczołgał się do mnie i złapał za rękę.

Poczułam, że ktoś za mną stoi. Obejrzałam się i krzyknęłam. W progu stał Richard. Oparł się o framugę i osunął się na ziemię.

Dzieci zaczęły płakać. Usiłowałam je uspokoić, jednocześnie badając Richarda. Michaela nie było, przed godziną wyszedł na spacer. Nie byłam w stanie sama zanieść go do łóżka.

Był w takim samym stanie jak przedtem; nic nie wskazywało na to, że na kilkadziesiąt sekund odzyskał przytomność, samodzielnie wstał z łóżka i zrobił kilka kroków.

Po powrocie Michaela zanieśliśmy Richarda do sypialni. Rozmawialiśmy o przyczynie tego

nagłego przebudzenia. Potem długo siedziałam nad moimi medycznymi książkami, czytając o najrozmaitszych przyczynach utraty przytomności. Myślę, że ta śpiączka ma zarówno fizyczne jak i psychiczne podłoże. Wygląda na to, że głos dobiegający z księcia Halla chwilowo "pokonał" czynnik odpowiedzialny za utratę przytomności.

Ale dlaczego Richard ponownie stracił przytomność? To trudniejsze pytanie. Możliwe, że pokonanie kilku metrów tak go wyczerpało. Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Prawdę mówiąc nie znam odpowiedzi na większość pytań...

Katie powtarza wciąż to samo: kto jest nastawiony pokojowo?

1 MAJA 2209

Dzisiejszego dnia Richard Colin Wakefield po raz pierwszy przemówił. Odzyskiwanie świadomości trwało prawie tydzień. Najpierw porozumiewał się ze mną oczami, potem bezgłośnie ruszał wargami. Dziś rano uśmiechnął się i bezgłośnie wypowiedział moje imię.

Jego pierwszym słowem było: "Katie"; wymówił je w chwili, gdy jego ukochana córka energicznie i dość bezceremonialnie tuliła się do niego.

Nasza rodzina jest w euforii, zwłaszcza dziewczynki cieszą się z powrotu ojca. Wielokrotnie powtarzałam Katie i Simone, że rehabilitacja Richarda może potrwać bardzo długo, ale obawiam się, że one nie są dostatecznie dojrzałe, aby to zrozumieć.

Jestem bardzo szczęśliwa. Gdy przed kolacją Richard szepnął mi do ucha "Nicole", nie mogłam powstrzymać łez. Wiem, że mój mąż ma jeszcze długą drogę przed sobą, ale całym sercem wierzę, że wyzdrowieje.

18 SIERPNIĄ 2209

Richard powoli wraca do zdrowia. Śpi po dwanaście godzin dziennie, nabiera sił i czasem potrafi się nad czymś skoncentrować (o ile uzna, że chodzi o rzecz niezwykle i interesującą). Nie próbował jeszcze kontaktu z Ramą za pomocą klawiatury i czarnego ekranu, ale za to rozebrał na kawałki księcia Halla i usiłował (bezsukutecznie) zrozumieć przyczynę jego dziwnego zachowania.

Sam przyznaje, że "nie czuje się sobą". Mówi, że "porusza się we mgle; jak we śnie, w którym wszystko jest zamglone i ma nieostre kontury". Od chwili gdy odzyskał przytomność minęły już trzy miesiące, ale wciąż nie może sobie dokładnie przypomnieć, co się z nim działo od czasu, i gdy nas opuścił. Twierdzi, choć nie ma na to żadnych dowodów, że jego śpiączka trwała co najmniej rok.

Opowiada, jak przez kilka miesięcy mieszkał w ptasiej grocie i był świadkiem zadziwiającej kremacji. Ale nie pamięta żadnych szczegółów. Dwukrotnie wspominał, że badał Południe i znalazł "stolicę państwa ośmiornic", ale jego wspomnienia z dnia na dzień ulegają tak daleko idącym modyfikacjom, że trudno dociec, co wydarzyło się naprawdę.

Dwukrotnie wstrzyknęłam mu czujniki biometryczne i mam coraz więcej danych o stanie jego zdrowia. Wszystko jest w normie z wyjątkiem temperatury i funkcjonowania mózgu. Wykresy pracy mózgu są nie do opisanego, w encyklopedii medycznej nie znalazłam absolutnie nic, co dałoby się z nimi porównać. Czasami jego aktywność jest niewiarygodnie wysoka, innym znów razem wygląda na to, że przestaje funkcjonować. Dziwne są także wyniki badań elektrochemicznych: jego hipokamp znajduje się w stanie "uśpienia", co częściowo wyjaśnia kłopoty z pamięcią.

Richard od dwóch miesięcy ma gorączkę: 37,8 stopni Celsjusza. Sprawdziłam jego dane przed startem, dotychczas zawsze miał 36,6; nie rozumiem co jest przyczyną podwyższonej temperatury. Wygląda na to, że z powodu jakiejś tajemniczej choroby jego ciało znalazło sobie inną "temperaturę równowagi". Ale co to za choroba, skoro żaden sposób nie mogę się jej doszukać?

Dzieci są rozczarowane zachowaniem ojca; myślę, że po jego odejściu zaczęły go idealizować. Choć prawdą jest, że dawniej nie bywał taki apatyczny. "Nowy" Richard jest cieniem człowieka, którego znałam. Katie przysięga, że pamięta, jak bawiła się z tatą gdy miała dwa lata (jej "cudowna pamięć" to oczywiście efekt opowiadań Simone i Michaela) i ma do niego żal, że teraz poświęca jej niewiele czasu. Staralam się wytłumaczyć, że tata wciąż jest chory, ale nie trafiło jej to do przekonania.

W ciągu dwudziestu czterech godzin od powrotu Richarda Michael przeniósł moje rzeczy do naszej sypialni. Jest wspaniałym człowiekiem. Na kilka tygodni znów nastąpił u niego nawrót religijności (myślę, że modlił się o odpuszczenie jakichś straszliwych grzechów), ale równocześnie sporo czasu spędzał z dziećmi...

Simone sprawuję funkcję "zastępczej matki". Benjy ją uwielbia, a ona odnosi się do niego z ogromną cierpliwością. Wielokrotnie mówiła, że "Benjy jest nieco powolny", więc powiedzieliśmy jej z Michaeliem o zespole Whittinghama. Tylko Katie wciąż nic o tym nie wie, ale i tak przeżywa teraz ciężki okres i nawet Patrick, który chodzi za nią jak pies, nie jest w stanie jej rozweselić.

Wiemy - wiedzą to także nasze dzieci - że jesteśmy bezustannie obserwowani. Zbadaliśmy dokładnie ściany dziecinnego pokoju i znaleźliśmy na nich jakieś nierówności, które prawdopodobnie ukrywają kamery. Udało nam się je "zalepić", ale nie jesteśmy pewni czy skutecznie; w zasadzie kamery mogłyby być tak małe, że dojrzelibyśmy je tylko pod mikroskopem... Richard przypomniał sobie swoje stare powiedzenie, że technologie istot

przewyższających nas intelektualnie trudno odróżnić od magii.

Kamery najbardziej niepokoją Katie. Wielokrotnie skarżyła się, że ośmiornice ją "podglądają"; myślę, że ma więcej sekretów niż my. Gdy Simone powiedziała jej kiedyś, że "to właściwie wszystko jedno, bo Bóg i tak zawsze na nas patrzy", Katie mruknęła "gówna prawda", co nie wydaje mi się odpowiednim wyrażeniem w ustach sześciolatniej dziewczynki. Postanowiłam bardziej uważać na to, co sama mówię. W zeszłym miesiącu poszliśmy z Richardem do ptasiej groty; miałam nadzieję, że to odświeży jego pamięć. Gdy tylko znaleźliśmy się w pionowym szybie, obleciał go strach. Mruczał pod nosem, ja nie widzę w ciemnościach, ale oni widzą..." Gdy minęliśmy zbiornik z wodą, stanął dając do zrozumienia, że dalej nie pójdzie. Wróciliśmy więc do naszej groty.

Richard wie, że Benjy i Patrick to synowie Michaela i i prawdopodobnie domyśla się, że od czasu gdy odszedł, Michael i ja żyliśmy jak mąż i żona - ale nigdy o tym nie wspomina. Jesteśmy z Michaeliem gotowi prosić Richarda o wybaczenie; chciałabym mu wyznać, że przez dwa lata prawie wcale się nie kochaliśmy (z wyjątkiem czasu, gdy i "płodziliśmy" Benjy'ego), ale nie wyraża zainteresowania tym tematem.

Śpimy razem od czasu, gdy odzyskał przytomność. Dotykamy się i przytulamy, ale po raz pierwszy kochaliśmy się dopiero dwa tygodnie temu. Prawdę mówiąc zaczęłam już podejrzewać, że seks jest jedną z rzeczy, o której "zapomniał".

Ale w końcu nadeszła noc, kiedy znalazłam się w łóżku z "moim" Richardem. To zaczęło pojawiać się także i w innych sytuacjach: od czasu do czasu widzę przejawy jego dawnego humoru. Ten "dawny" Richard był inteligentny, kłótlivy, dowcipny i miał bujną wyobraźnię.

Tamtej nocy czułam się jak w niebie... Jego zainteresowanie seksem trwało trzy noce, a potem nagle ustało. Najpierw było mi smutno (taka już jest natura ludzka; zawsze chcemy, żeby jutro było lepiej niż dziś), ale teraz myślę, że po prostu muszę mu dać więcej czasu.

Wczoraj Richard po raz pierwszy obliczył naszą trajektorię. Michael i ja byliśmy tym zachwyceni.

- Wciąż lecimy w tym samym kierunku - oznajmił dumnie. - Od Syriusza dzielą nas trzy lata świetlne.

6 STYCZNIA 2210

Skończyłam czterdzieści sześć lat. Moje włosy są już prawie całkiem siwe. Na Ziemi zastanawiałabym się, czy nie zacząć ich farbować, ale na pokładzie Ramy nie ma to większego znaczenia.

Jestem za stara na ciążę. Jak powiedzieć to dziewczynce w moim brzuchu?

Byłam bardzo zdziwiona gdy okazało się, że znów jestem w ciąży. Obserwowałam już początki menopauzy, przechodziły mnie fale gorąca i zimna, okresy miewałam w zupełnie niewłaściwych dniach cyklu. Tymczasem ze spermy Richarda powstało jeszcze jedno dziecko, które powiększy naszą bezdomną, kosmiczną rodzinę.

Jeżeli nigdy już nie spotkamy innych ludzi (i jeżeli Eleonora Joanna Wakefield urodzi się zdrowa) to nasze wnuki będą miały sześć możliwości połączenia się w pary dla spłodzenia potomstwa. Myślę sobie, że Simone połączy się z Benjym, a Katie z Patrickiem, ale co w takim razie ma zrobić Ellie?

Po raz dziesiąty na pokładzie Ramy obchodzę urodziny. Trudno uwierzyć, że w tym gigantycznym cylindrze spędziłam zaledwie jedną piątą swojego życia. Czy w przeszłości naprawdę mieszkałam na Ziemi, od której teraz dzieli nas miliardy kilometrów? Czy oprócz Richarda Wakefielda i Michaela O'Toole znałam innych mężczyzn? Czy moim ojcem rzeczywiście jest Pierre des Jardins, znany francuski pisarz, specjalizujący się w powieściach historycznych? I czy był to tylko sen, czy rzeczywiście przeżyłam romans z Henrykiem, księciem Walii, dzięki czemu na świat przyszła moja pierwsza córka Genevieve?

Wszystko to wydaje mi się teraz niemożliwe, w każdym razie dziś, w dniu moich czterdziestych szóstych urodzin. To śmieszne: Richard i Michael pytają mnie, kto jest ojcem Genevieve. A ja wciąż uważam, że to mój sekret i nie chcę go zdradzić. Czy jestem przy zdrowych zmysłach? Cóż to za różnica, że im nie powiem? Przecież na pokładzie Ramy nie ma to najmniejszego znaczenia. Ale to jest moja tajemnica; Genevieve jest moją córką, nieistotne, kto jest jej ojcem...

Wiem, że to bzdury. O, znów pojawiło się to słowo: bzdury. Doktor David Brown używał go bez przerwy.

Od wielu lat nie myślałam o pozostałych członkach załogi Newtona. Zastanawiam się, czy po powrocie na Ziemię Francesca i jej wspólnicy zarobili te swoje miliony. Mam nadzieję, że Janos dostał to, co mu się należało, był bardzo miłym człowiekiem... Ciekawe, jak naukowcy wytłumaczyli mieszkańcom Ziemi fakt, że Rama umknął ziemskiemu pociskom. Tak, Nicole, dziś są twoje urodziny i robisz to, co zwykle: odbywasz podróż w przeszłość...

Francesca była bardzo piękna. Zawsze zazdrościłam jej łatwości z jaką potrafiła nawiązywać kontakt z ludźmi. Czy podała narkotyk Borzowowi i Wilsonowi? Prawdopodobnie tak. Ale nie wierzę, żeby chciała Walerego zabić. Była po prostu amoralna i za wszelką cenę dążyła do celu. Ludzie ambitni często tak postępują.

Jako dwudziestoletnia matka miałam najrozmaitsze obsesje i kompleksy. Pragnęłam, aby

moje osiągnięcia nie były takie jak Franceski, i we wszystkim musiałam być ijlejsza: chciałam pokazać światu, że potrafię zwyciężać grając uczciwie - tak jak na olimpiadzie. Byłam wtedy bardzo zajęta sobą; na szczęście ojciec zajął się Genevieve.

Za każdym razem gdy na nią patrzyłam, widziałam twarz Henryka; Genevieve jest do niego bardzo podobna. Ale ja musiałam dowieść, że potrafię być niezależna i że jestem świetną matką, choć nie nadawałam się na królową.

Mam ciemną skórę i dlatego nie zostałam królową Anglii. Z tego samego powodu nie pozwolono mi wystąpić w roli Joanny d'Arc. Ciekawe, ile lat musi upłynąć, aby kolor skóry przestał się liczyć. Tysiąc? Faulkner napisał kiedyś: "Sambo tylko wtedy będzie wolny, gdy każdy z jego sąsiadów obudzi się pewnego dnia i powie: Sambo jest wolny".

Myślę, że coś w tym jest. Upředzeń nie można się pozbyć za pomocą nawet najbardziej wymyślnych rozwiązań prawnych, nawet wpajanie tolerancji nie zawsze pomaga...

Dziesięć lat temu, kiedy leżałam na dnie studni i byłam pewna, że umrę, zastanawiałam się, które wydarzenia z mojego życia chciałabym przeżyć jeszcze raz. Doszłam do wniosku, że najbardziej cenię sobie czas spędzony z Henrykiem - choć złamał mi serce. Nawet dziś chętnie oddaję się wspomnieniom o moim księciu. Przeżyć szczęście, choćby trwało zaledwie kilka godzin: na tym właśnie polega życie...

Kiedyś wstydziałam się tego, że moje wspomnienia o Henryku mają tę samą "rangę" co wspomnienia o ojcu, matce i Genevieve, ale teraz myślę, że niepotrzebnie. Każdy człowiek zatrzymuje w sercu to, co mu najdroższe.

Moją jedyną przyjaciółką z czasów uniwersyteckich była Gabrielle Moreau. Na rok przed wyprawą Newtona Gabrielle przyjechała do Beauvois. Nie widziałyśmy się od siedmiu lat i przegadałyśmy prawie całą noc. Gabrielle była bardzo szczęśliwa. Była piękna, miała dobrego męża, trójkę zdrowych, ślicznych dzieci i piękny dom w pobliżu Chinon. Podczas naszej nocnej rozmowy wyznała mi, że "najwspanialszą chwilę w życiu" przeżyła na długo zanim poznała męża. Jako nastolatka zakochała się w pewnym aktorze, który niespodziewanie pojawił się w Tours. Gabrielle udało się dostać do jego hotelowego pokoju, rozmawiała z nim prawie godzinę. Udało jej się go nawet pocałować... To właśnie była "najwspanialsza chwila w życiu Gabrielle"...

Henryku, wczoraj minęło dziesięć lat od chwili, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Czy jesteś szczęśliwy? Czy jesteś dobrym monarchą? Czy myślisz czasem o mistrzyni olimpijskiej, która oddała ci swoją pierwszą miłość?

Gdy spotkaliśmy się w alpejskiej chatce spytałeś, czy Genevieve jest twoją córką. Nie chciałam, żebyś znał prawdę, nie zdawałam sobie sprawy, że wciąż jeszcze ci nie wybaczyłam. Gdybyś spytał mnie dziś, powiedziałabym ci prawdę. Tak, Henryku, królu Anglii, to ty jesteś

ojcem Genevieve des Jardins. Spotkaj się z nią, poznaj, kochaj ją i jej dzieci. Ja nie mogę; dzieli mnie od niej pięćdziesiąt bilionów kilometrów...

13.

30 CZERWCA 2213

Wczorajsze wydarzenia tak nas podnieciły, że nie mogliśmy spać. Z wyjątkiem Benjy'ego, który nie mógł zrozumieć co się stało. Simone wielokrotnie tłumaczyła mu, że "naszym domem" jest olbrzymi cylindryczny statek kosmiczny, na czarnym ekranie pokazywała mu obraz z zewnętrznych kamer - ale Benjy wciąż ma kłopoty z przyswojeniem sobie tych wiadomości.

Wczoraj usłyszeliśmy donośny gwizd; Richard, Michael i ja długo patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Dawno nie słyszeliśmy tego dźwięku. Potem wszyscy zaczęliśmy mówić jednocześnie. Dzieci, włącznie z małą Ellie, zadawały mnóstwo pytań. Wyszliśmy na powierzchnię. Richard i Katie, nie czekając na nas, pobiegli nad morze. Simone prowadziła Benjy'ego za rękę, Michael szedł z Patrickiem, ja wzięłam Ellie na rękę.

Po chwili przybiegła do nas Katie. Była bardzo podniecona.

- Chodźcie szybko - powiedziała ciągnąc Simone za rękę - musicie to zobaczyć. To wspaniałe widowisko!

Miała rację. Od szczytu do szczytu przeskakiwały kolorowe błyskawice, wypełniając ramańskie niebo barwną tęczę. Benjy patrzył na to z otwartymi ustami. Po dłuższej chwili uśmiechnął się i spojrzał na Simone:

- To fan-tas-tycz-ne - powiedział powoli, dumny, że użył tak długiego słowa.

- Tak - uśmiechnęła się do niego Simone - masz rację. Bardzo ładne.

- Bar-dzo ład-ne - powtórzył Benjy.

Zapadła długa cisza, w milczeniu podziwialiśmy ramański pokaz sztucznych ogni.

Po powrocie do groty długo rozmawialiśmy, należało wytłumaczyć dzieciom, co oznacza takie widowisko. Podczas poprzedniego manewru na świecie była tylko Simone. Richard przejął funkcję wykładowcy. Świadomość, że niedługo nastąpi zmiana kursu podziałała na niego mobilizująco - bardzo przypominał teraz "dawnego Richarda".

- Czy myślisz, że ośmiornice wrócą do Nowego Jorku? - spytała Katie.

- Nie wiem - odparł Richard - ale nie można tego wykluczyć.

Kolejny kwadrans należał do Katie - po raz setny opowiedziała, jak przed czterema laty spotkała ośmiornicę. Jak zwykle, wzbogaciła swoje opowiadanie o nowe szczegóły.

Patrick uwielbia jej opowiadania i często prosi, żeby opowiedziała mu wszystko jeszcze raz.

- Leżałam na brzuchu - mówiła Katie - patrząc w głąb olbrzymiego cylindra; była mgła.

Zewsząd wystawały straszliwe, metalowe kolce. I wtedy zawołałam: "hej, jest tam kto?" i usłyszałam złowieszczy chrzęst. Zapaliło się światło, a na dnie pojawił się ogromny, czarny stwór o czarno-złoty mackach, który zaczął się wspinać...

- Oś-mior-ni-ca - powiedział Benjy.

Gdy skończyła swoje opowiadanie Richard wyjaśnił dzieciom, że w ciągu najbliższych kilku dni nastąpi zmiana kursu, której towarzyszyć będą wibracje statku. Należy zwrócić uwagę na to, aby wszystkie przedmioty były przymocowane do podłogi. Michael powiedział, że potrzebny nam jest przynajmniej jeden pojemnik na zabawki dla dzieci. Podczas ostatnich kilku lat zgromadziliśmy dużo niepotrzebnych pudeł i innych śmieci, z którymi należało coś zrobić. W ciągu najbliższych kilku dni nie będziemy się nudzić...

Leżeliśmy z Richardem obok siebie i trzymaliśmy się za ręce. Długo rozmawialiśmy. Powiedziałam mu, że chciałabym, aby zmiana kursu oznaczała koniec naszej podróży.

- W ludzkim sercu bije źródło wiecznej nadziei... - mruknął Richard. Usiadł na łóżku i uśmiechnął się.

- W odległości sześćdziesięciu bilionów kilometrów od Ziemi nikt chyba jeszcze nie deklamował wierszy... - stwierdził.

- Cieszę się, że dobrze się czujesz - powiedziałam, gładząc go po ramieniu.

Richard zmarszczył brwi.

- To prawda, teraz czuję się dobrze - przyznał - ale nigdy nie wiem, kiedy znowu zacznie się moje "błądzenie we mgle", to może nastąpić w każdej chwili. Wciąż nie mogę sobie przypomnieć, co działo się ze mną przez te trzy lata...

- Jak myślisz, co się teraz stanie? - spytałam.

- Myślę, że Rama zmieni kurs - odparł Richard. - I mam nadzieję, że będzie to zmiana zasadnicza. Zbliżamy się do Syriusza z bardzo dużą szybkością. Jeżeli nasz cel jest blisko, niedługo rozpocznie się hamowanie. - Wyciągnął do mnie rękę. - Chodzi mi głównie o ciebie i dzieci: mam nadzieję, że to nie jest fałszywy alarm i że rzeczywiście nastąpi jakaś zmiana...

8 LIPCA 2213

Manewr rozpoczął się przed czterema dniami, zaraz po ostatnim pokazie sztucznych ogni. Nie zauważyliśmy ani ptaków ani ośmiornic; Katie jest niepokieszona. Liczyła na to, że ośmiornice wrócą do Nowego Jorku.

Wczoraj przysłyż do nas dwa bioty-modliszki; w pomieszczeniu ze zbiornikiem zamocowały pięć nowych hamaków (Simone rzecz jasna otrzymała nowy hamak) i wręczyły nam

helmy. Potem obserwowały nas z pewnej odległości. Dzieci były zachwycone przygotowaniami. Wizyta modliszek jest kolejnym dowodem na to, że wkrótce zacznie się hamowanie.

Richard najwyraźniej miał rację mówiąc o związku pomiędzy systemem napędowym Ramy i regulatorem temperatury wewnątrz statku. Od kilku dni temperatura wyraźnie spada; "zamówiliśmy" już u Ramów ciepłe ubrania dla dzieci.

Wibracje podłogi dają nam się we znaki. Początkowo dzieciom bardzo się to podobało, ale obecnie słyszymy wyłącznie ich narzekania. Mam nadzieję, że już wkrótce dotrzemy do celu. Michael modli się "aby spełniła się wola Boża", ale ja w swoich życzeniach jestem o wiele bardziej konkretna i egoistyczna.

1 WRZEŚNIA 2213

Dziesięć dni temu definitywnie opuściliśmy zbiornik. Manewr dobiegł końca. Zbliżyliśmy się do tajemniczego źródła światła, oddalonego od Syriusza o trzydzieści jednostek astronomicznych. Richardowi udało się tak ustawić parametry teleskopów Ramy, że biała plamka znajduje się na środku czarnego ekranu bez względu na to, z której kamery przekazywany jest obraz.

Przedwczoraj plamka zaczęła rosnąć. Zastanawialiśmy się, czy może to być planeta, a Richard natychmiast obliczył ilość ciepła docierającego do planety, którą od macierzystej gwiazdy dzieli odległość zbliżona do odległości między Neptunem a Słońcem. Choć Syriusz jest o wiele jaśniejszy i bardziej gorący niż Słońce, z obliczeń Richarda wynika, że w raj, do którego zmierzamy, będzie bardzo zimno...

Wczoraj zobaczyliśmy nieco więcej szczegółów; cel naszej podróży jest podłużną konstrukcją, przypominającą cygaro (Richard mówi, że to nie może być planeta: "obiekt tej wielkości, nie posiadający kulistego kształtu, jest tworem sztucznym"). Na końcach "cygara" znajdują się dwa rzędy światła. Nie znamy wielkości "cygara", ale Richard zrobił wiele szacunkowych obliczeń, z których wynika, że obiekt ma około stu pięćdziesięciu kilometrów długości i pięćdziesięciokilometrową średnicę.

Całymi dniami siedzimy w pokoju i patrzymy w ekran. Dziś rano spotkała nas kolejna niespodzianka; Katie odkryła w pobliżu cygara dwa inne obiekty. Ojciec nauczył ją posługiwania się teleskopami Ramy, a ona uruchomiła najpotężniejszy z nich, ten sam, którym przed trzynastu laty wypatrywaliśmy pocisków jądrowych lecących ku nam z Ziemi.

Niemal bezpośrednio przed cygarem dostrzegliśmy dwie niewyraźne plamki. Jeżeli ten gigantyczny cylinder rzeczywiście jest celem naszej podróży, będziemy mieli towarzystwo.

8 WRZEŚNIA 2213

Brak mi słów aby opisać wydarzenia z ostatnich kilku dni. Michael powiedział, że nawet słowo "raj" nie jest odpowiednim określeniem na to, co ujrzelśmy.

Znajdujemy się teraz na pokładzie niewielkiego, bezzałogowego promu kosmicznego, nie większego niż ziemski autobus. Oddalamy się od cygara w nieznanym kierunku. Przez przyciemnioną szybę za naszymi plecami wciąż widzimy "cygaro", czyli "stację przesiadkową". Po lewej stronie mijamy Ramę, który przez ostatnie trzynaście lat był naszym domem. Rama opuścił cygaro nieco wcześniej niż my i jest oświetlony niczym choinka na Boże Narodzenie; w tej chwili dzieli nas od niego około dwustu kilometrów.

Przed czterema dniami Rama zatrzymał się przy stacji przesiadkowej. Był trzecim w kolejce. Bezpośrednio przed nami leciała rakieta dziesięciokrotnie mniejsza od Ramy oraz olbrzymie "koło ze szprychami".

Stacja okazała się pusta w środku. "Koło" zostało zakotwiczone i zbliżyły do niego trzy niewielkie statki, z których jeden wyglądał jak balon, drugi jak batyskaf, a trzeci przypominał sterowiec. Nie wiemy co działo się wewnątrz; w ciągu kolejnych dwóch dni statki odleciały, po czym każdy z nich połączył się z promem - takim samym, jakim właśnie lecimy, tylko większym. "Parking promów" znajdował się po prawej stronie stacji.

Zaraz po załadowaniu promy wystartowały; po godzinie "koło" powoli odleciało ze stacji.

Gdy statek lecący bezpośrednio przed nami rozpoczął cumowanie, usłyszeliśmy głośny gwizd. Wybiegliśmy na górę i zobaczyliśmy kolejny pokaz sztucznych ogni. Ale tym razem widowisko w niczym nie przypominało tego, co już znaliśmy.

Wokół najwyższego szczytu tworzyły się olbrzymie, koncentryczne, kolorowe kręgi, które popłynęły w kierunku Bieguna Północnego. Richard powiedział, że każdy z nich miał co najmniej kilometr średnicy i około czterdziestu metrów grubości.

Ciemną ramańską noc trzykrotnie rozświetlił rząd ośmiu kolorowych kręgów, które zawsze pojawiały się w takiej samej kolejności: czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, brązowy, różowy i purpurowy.

Gdy jeden z nich zniknął u stóp windy Alfa, nad Biegunem Południowym pojawiał się następny.

Patrzyliśmy na to wszystko z otwartymi ustami. Gdy ostatni krąg rozpląnął się w powietrzu, zapłonęły wszystkie słońca Ramy, choć ramańska noc zapadła dopiero przed trzema godzinami! Usłyszeliśmy także muzykę, w każdym razie tak to chyba można opisać; brzmiało to jak delikatne wibracje tysięcy małych dzwoneczków, dochodzące ze wszystkich stron naraz.

Staliśmy jak urzeczeni, a Richard, który miał z nas wszystkich najlepszą lornetkę zawołał:

- Widzę ptaki! I właśnie sobie coś przypomniałem: byłem w ich nowym domu na północy.

Wszyscy po kolei patrzyliśmy przez jego lornetkę. Z początku nie byłam pewna, czy to rzeczywiście ptaki, ale po chwili okazało się, że miał rację; pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt osobników leciało w kierunku Nowego Jorku. Połowa z nich znajdowała się bardzo wysoko, pozostałe wylądowały na ziemi.

- Chodźmy, tato - zawołała Katie. - Chodźmy!

Zanim zdążyłam zaprotestować, byli już daleko. Katie biegła bardzo szybko; oczami wyobraźni ujrzałam matkę biegnącą po trawie w parku Chilly-Mazarin; choć Katie jest bardzo podobna do Richarda, wiele cech odziedziczyła po mojej matce.

Simone i Benjy także biegli w kierunku ptasiej grotty.

- Czy ptaki nie zrobią Katie i tacie krzywdy? - spytał Patrick.

Uśmiechnęłam się do mojego pięcioletniego syna.

- Nie, kochanie - podtrzymałam go na duchu. - Nic im się nie stanie, jeżeli będą ostrożni.

Michael, Patrick i Ellie wrócili do grotty, żeby przyjrzeć się temu, co działo się na czarnym ekranie.

Zobaczyliśmy niewiele, bo luki statku za którym czekaliśmy w kolejce znajdowały się po niewidocznej dla nas stronie. Ale byliśmy pewni, że coś się tam dzieje, bo po pewnym czasie od statku odbiło pięć promów.

- Pakujcie się - zawołał Richard, wpadając do pokoju. - Wychodzimy. Wszyscy wychodzimy.

- Szkoda, że ich nie widziałaś - powiedziała Katie do Simone - były duże i brzydkie. Wleciały do grotty i...

- Ptaki wróciły do grotty, żeby zabrać jakieś rzeczy - wyjaśnił Richard. - Na nas już czas. Chodźmy.

Zabrałam się za pospieszne pakowanie niezbędnych rzeczy. Byłam na siebie zła, że wcześniej nie pomyślałam o tym, że to my stanowimy cargo Ramy.

Nie wiedziałam, co zabrać. Mamy sześć pokoi, w których żyliśmy przez ostatnie trzynaście lat. Przypuśćmy, że codziennie otrzymywaliśmy od Ramów tylko pięć nowych przedmiotów i choć wiele z nich wyrzuciliśmy, setki pozostały...

- Czy któreś z was domyśla się, co nas czeka? - spytałam.

Richard pakował swój duży komputer.

- Tam jest wszystko - mówił - nasza historia, nauka, cała wiedza. Nie wolno nam tego utracić.

Komputer ważył około osiemdziesięciu kilogramów. Obiecałam, że pomogę go dźwigać, gdy spakujemy ubrania i żywność.

- Czy domyślacie się, co nas czeka? - powtórzyłam pytanie.

Richard wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Ale myślę, że będzie ciekawie.

W drzwiach pojawiła się Katie, z niewielką torebką w ręce. Z jej oczu tryskała energia.

- Jestem gotowa - oznajmiła. - Czy mogę poczekać na was na górze?

Zanim Richard zdążył skinąć głową, już jej nie było. Spojrzałam na niego z wyrzutem i poszłam spakować ubrania dzieci.

Chłopcy przeszkadzali, dlatego razem z Simone kazałyśmy im położyć się do łóżek.

Właśnie kończyłyśmy pakowanie, gdy wpadli do nas Richard i Katie.

- Przyjechał nasz prom - rzekł z podnieceniem.

- Czeka na nas na lodzie - dodała Katie, zdejmując płaszcz i rękawiczki.

- Skąd wiesz, że to po nas? - spytał Michael wchodząc do pokoju.

- Ma osiem foteli i komorę na bagaże - wyjaśniła moja dziesięcioletnia córka.

- Nie komorę, tylko komorę - poprawiłam ją odruchowo i ciężko westchnęłam.

- Widziałaś ośmiornice? - zainteresował się Patrick.

- Oś-mior-ni-ce - powiedział Benjy.

- Nie - zaprzeczyła Katie. - Ale widzieliśmy cztery wielkie samoloty, takie płaskie, ze skrzydłami. Przyleciały z Południa. Myślę, że były w nich ośmiornice. A co ty myślisz, tato?

Richard skinął głową.

Wzięłam głęboki oddech.

- Dobrze - powiedziałam - ubierzcie się ciepło, zabierajcie rzeczy i idziemy. Richard, Michael i ja wrócimy po komputer.

Po godzinie wyszliśmy z naszej groty po raz ostatni i zajęliśmy miejsca w pojeździe. Richard nacisnął pulsujący, czerwony guzik, i nasz ramański helikopter (piszę "helikopter", bo "to coś" wystartowało pionowo w górę; nasz pojazd nie ma żadnego wirnika) uniósł się w powietrze.

Przez pierwsze pięć minut powoli wznosiliśmy się w górę. Na wysokości osi obrotu Ramy, tam gdzie nie ma ciężenia, pojazd zawisł w powietrzu, powoli zwalniając swój ruch obrotowy.

Widok był wspaniały. Wiele kilometrów pod nami widzieliśmy nasz dom - niewielki, szarobrązowy pas na bezkresnej wstędze zamrożonego Morza Cylindrycznego. Nigdy dotąd szczyty na Południu nie wyglądały tak majestatycznie.

Poczułam, że pojazd rusza do przodu i zrobiło mi się smutno. Przecież przez ostatnie trzynaście lat Rama był moim domem, tutaj przyszło na świat pięcioro moich dzieci...

Musiałam otrzeć łzy. Nasz pojazd szybko nabierał szybkości, nie było czasu na rozmyślanie o przeszłości. Pół godziny później znaleźliśmy się na pokładzie promu i opuściliśmy Ramę; wiem, że nigdy już tam nie wrócimy.

Punkt węzłowy

I

Nicole tańczyła z Henrykiem. Byli młodzi i bardzo w sobie zakochani. Dźwięki muzyki wypełniały olbrzymią salę balową, w tańcu wirowało kilkanaście innych par. Ze zdziwieniem spozrzała na swój długi, biały welon. Choć Henryk mocno obejmował ją w tali, czuła się wolna.

Jednym z mężczyzn stojących nie opodal był jej ojciec. Opierał się o wysoką, masywną kolumnę. Pomachał do niej ręką i uśmiechnął się, gdy wraz z księciem mijała go w tańcu.

Walc trwał całą wieczność. Potem Henryk wziął ją za ręce i szepnął, że chce jej zadać bardzo ważne pytanie. W tej samej chwili Nicole poczuła na plecach dłoń ojca.

- Kochanie - powiedział Pierre - jest już bardzo późno.

Nicole poprosiła księcia o wybaczenie. Henryk niechętnie puścił jej dłoń.

- Jutro - poprosił - porozmawiajmy jutro. Pocałował ją na pożegnanie i Nicole odeszła.

Na zewnątrz świtało. Nie opodal czekał samochód ojca. W chwilę później mknęli autostradą nad Loarą. Nicole miała na sobie koszulkę z krótkim rękawem i dzinsy. Była teraz jeszcze młodsza, miała nie więcej niż czternaście lat. Ojciec prowadził o wiele szybciej niż zwykle.

- Nie chcę, żebyśmy się spóźnili - tłumaczył - przedstawienie zaczyna się o ósmej.

Przed nimi widać już było wieże Chateau d'Usse. To właśnie ten zamek stał się inspiracją do bajki o Śpiącej Królownie. Znajdował się zaledwie kilka kilometrów od Beauvois i należał do ulubionych miejsc Pierre'a.

Co roku odbywało się tu przedstawienie Śpiącej Królowny; za każdym razem Nicole pragnęła, aby dziewczynka nie uklęka się wrzecionem i płakała ze wzruszenia, gdy przystojny książę przybywał, aby obudzić królownę z wiecznego snu.

Przedstawienie dobiegło końca, publiczność rozeszła się do domów. Nicole wspinała się po schodach na wieżę, w której królowna zapadła w wieczny sen. Biegła przodem, ojciec został nieco z tyłu.

Komnata była wspaniała, wszystko było w niej białe! Nicole spozrzała na łóżko i zaparło jej dech w piersiach. Na śnieżnobiałej pościeli, w białej sukni z welonem leżała... Nicole.

Usłyszała kroki na korytarzu, serce zabiło jej jeszcze szybciej. W powietrzu rozszedł się zapach mięty. To on, pomyślała. Mężczyzna zaczął ją delikatnie całować. Nagle usłyszała muzykę. Otworzyła oczy, wyciągnęła do Henryka ręce, a on pocałował ją tak, jak mężczyzna całuje kobietę.

Nie opierała się, oddała mu się całkowicie... Ale książę nagle zmarszczył brwi, odsunął ją od siebie i wyszedł z pokoju.

Rozpłakała się; nagle w jej sen wdarł się jakiś obcy dźwięk. Otworzyły się drzwi i ktoś

zapalił światło. Zamknęła oczy, aby uchronić się przed natarczym światłem. Przewody oplatające jej ciało schowały się w ściany zbiornika.

Budziła się bardzo powoli. Usiłowała zapanować nad ogarniającym ją smutkiem tłumacząc sobie, że nic z tego, co jej się śniło, nie wydarzyło się naprawdę.

- Czy już nigdy się nie obudzisz? - spytała Katie.

Nicole uśmiechnęła się.

- Owszem, obudzę się. Ale muszę przyznać, że dziwnie się czuję. Śniło mi się... Jak długo spaliśmy tym razem?

- Pięć tygodni bez jednego dnia - odparła Simone, rozczesując swoje długie włosy.

Nicole usiadła na łóżku, spojrzała na zegarek i ziewnęła.

- No i jak się czujecie? - spytała.

- Świetnie - odparła z uśmiechem jedenastoletnia Katie. - Mam ochotę skakać, biegać, siłować się z Patrickiem... Mam nadzieję, że to nasz ostatni długi sen.

- Tak obiecał Orzeł - powiedziała Nicole. - Podobno mają już wystarczającą ilość informacji. Orzeł powiedział, że kobiety trudniej zrozumieć - dodała z uśmiechem. - Podobno z powodu zmieniającego się stężenia hormonów...

Wstała i przeciągnęła się. Pocałowała Katie i Simone, która - choć nie miała jeszcze czternastu lat - była prawie tak wysoka jak Nicole i bardziej przypominała kobietę niż dziecko. W przeciwieństwie do niefrasobliwej Katie, spojrzenie oczu starszej z córek świadczyło o spokoju i rozwadze.

- Czemu Ellie nie wzięła udziału w teście? - zainteresowała się Katie. - Ona nigdy nie musi nic robić.

Nicole położyła Katie rękę na ramieniu.

- Ellie ma dopiero cztery lata. Orzeł powiedział, że jest jeszcze za mała...

W niewielkim, jasnym foyer, naprzeciwko pomieszczenia w którym spały przez ostatnie pięć tygodni, założyły skafandry, hełmy i buty z przyssawkami. Przed otwarciem grodzi Nicole upewniła się, że jej córki są odpowiednio ubrane, choć w zasadzie nie było to konieczne; kłapa nie dawała się otworzyć, gdy choć jeden ze skafandrów nie był zapięty.

Po chwili znalazły się w kilkusetmetrowej, olbrzymiej komnacie. Pomieszczenie miało około pięciu metrów wysokości - na suficie umieszczono reflektory - i wyglądało jak połączenie ziemskiego szpitala, sali koncertowej i hali fabrycznej, w której wytwarza się półprzewodniki. Nie było w nim ścianek działowych, ale i tak odnosiło się wrażenie, że każda część hali służy pewnej określonej czynności.

Roboty, zajęte swoją pracą, kończąc jeden test przechodziły do następnego. W rogach hali

znajdowały się "zbiorniki do testów", podobne do tych, w których Simone, Katie i Nicole spędziły ostatnie pięć tygodni.

Katie podeszła do jednego z nich. Zbiornik wisiał nad ziemią na dwóch prostopadłych osiach. Na metalowych drzwiach znajdował się ekran wyświetlający tysiące niezrozumiałych znaków.

- Czy poprzednim razem nie byliśmy właśnie tutaj? - zapytała Katie wskazując na zbiornik.
- Tutaj była taka biała piana pod ciśnieniem...

Jej pytanie drogą radiową zostało przekazane do hełmów Nicole i Simone.

- Twój ojciec uważa, że oni chcą sprawdzić, czy możemy przespać okres wielomiesięcznego przyspieszania - powiedziała Nicole. - Orzeł ani tego nie potwierdza, ani nie zaprzecza.

Nigdy nie spotkali któregoś z Obcych. Wszechobecne roboty nazwali "klockami", ponieważ oprócz cylindrycznych "stóp" pozwalających na toczenie się po podłodze, członki robotów miały kształt metalowych prostopadłościanów i przypominały klocki, jakimi zwykle bawią się dzieci.

- Jak to nie widzieliśmy Obcych? - spytała Katie. - Przecież mijaliśmy ich "w metrze".
Wiemy, że tu są; tylko my jesteśmy poddawani testom...

- Harmonogramy zostały tak zaplanowane, żebyśmy ich nie zobaczyli. Widocznie oni tego nie chcą... Tylko w "metrze"...

- Ale dlaczego! - nie dała za wygraną Katie. - Przecież Orzeł powinien...

- Wybaczcie - przerwała Simone - ale zbliża się do nas "duży klocek".

Najwyższy z robotów przeważnie przebywał na środku hali, gdzie sprawował kontrolę nad innymi maszynami. W chwili gdy "klocek" ruszył w ich stronę, ze ścian wysunęły się kraty dzielące komnatę na niewielkie sześciany.

Katie zbliżyła się do jednego ze zbiorników, w którym, sądząc po tym, co widać było na ekranie, przeprowadzano test i zniecierpliwiona uderzyła pięścią w metalową powierzchnię zbiornika.

- Katie! - krzyknęła Nicole.

- Przestań - w słuchawkach rozległ się głos "dużego klocka". - Tego nie wolno robić.

- Bo co mi zrobisz? - Katie szukała zaczepki.

"Duży klocek" chciał zbliżyć się do dziewczynki, ale Nicole zasłoniła ją własnym ciałem.

- Musicie stąd wyjść - powiedział "duży klocek" unosząc się powoli w powietrze. - Wasz test dobiegł końca. Wyjdźcie przez drzwi, nad którymi migają światła.

Nicole pociągnęła Katie za ramię, dziewczynka niechętnie ruszyła za nią.

- A co on by mi zrobił - dopytywała się - gdybym została tutaj do końca testu? Może w jednym z tych zbiorników jest ośmiornica? Dlaczego nie wolno nam spotykać się z innymi

istotami?

- Orzeł wyjaśniał nam to już wielokrotnie - odparła Nicole ze zniecierpliwieniem w głosie. - Na razie dozwolone są tylko "widzenia", a nie bezpośredni kontakt. Twój ojciec wielokrotnie pytał Orła, dlaczego tak jest, ale zawsze słyszymy to samo: "dowiemy się we właściwym czasie"... Z całego serca życzyłabym sobie, żeby nie było z tobą tylu kłopotów, młoda damo...

- Tu jest zupełnie tak, jak w więzieniu - zauważyła filozoficznie Katie. - Nasza wolność jest w poważnym stopniu ograniczona, a na istotne pytania nigdy nie otrzymujemy odpowiedzi...

Dotarły do węzła komunikacyjnego. Niewielki pojazd czekał na skraju ruchomego chodnika. Gdy zajęły w nim miejsca, dach zamknął się automatycznie, a wewnątrz zapaliły się światła.

- Zanim zadasz mi kolejne pytanie chciałabym ci powiedzieć - westchnęła Nicole zdejmując z głowy Katie hełm - że nie możemy wyglądać przez okna, ponieważ będziemy mijać moduł inżynierski, do którego nie mamy wstępu. Twój ojciec i wujek Michael pytali o to po pierwszym teście.

- Myślisz, że tata ma rację mówiąc, że te wszystkie testy mają nas przygotować do jakiejś długiej podróży? - po dłuższym milczeniu odezwała się Simone.

- To możliwe - odparła Nicole.

- A dokąd polecimy? - spytała Katie.

- Nie mam pojęcia - rzekła Nicole. - Orzeł nie chce powiedzieć co z nami będzie...

Pojazd poruszał się z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę, po piętnastu minutach stanął. Gdy tylko kobiety założyły swoje hełmy, jego "pokrywka" uniosła się do góry.

Dotarły do węzła komunikacyjnego Modułu Inżynierskiego, czyli owalnego wysokiego pomieszczenia, z którego na wszystkie strony rozchodziły się ruchome chodniki. Były tam także dwa duże wielopoziomowe pojazdy ("metro"), służące do przewożenia robotów, sprzętu i żywych istot pomiędzy modułem mieszkalnym, administracyjnym i inżynierskim, czyli trzema głównymi ośrodkami Punktu Węzłowego.

W słuchawkach rozległ się głos:

- Wasze metro odjeżdża z drugiego poziomu, wsiądźcie do windy po lewej stronie. Odjazd nastąpi za cztery minuty.

Katie z zaciekawieniem rozglądała się na wszystkie strony. Widziała duże ilości sprzętu, pojazdy czekające na podróżnych, aby zabrać ich do modułu inżynierskiego, światła, ruchome schody i perony. Ale nie widziała żadnego ruchu, ani jednej żywej istoty.

- A co by się stało, gdybyśmy ich nie posłuchali? - zainteresowała się przystając.

- Katie, proszę cię, przestań - jęknęła Nicole. - Przed chwilą to samo zrobiłaś w

laboratorium.

- Chcę zobaczyć, jak oni wyglądają - powiedziała Katie niechętnie ruszając za matką. - Dlaczego nas tak izolują, jakbyśmy byli chorzy?

- Wasze metro odjeżdża z drugiego poziomu za dwie minuty - w słuchawkach znów się rozległ bezosobowy głos.

- Ciekawe jak oni to robią, że roboty mówią do nas w naszym języku - mruknęła Simone wsiadając do windy.

- Chciałaby zobaczyć miejsce, z którego sprawuje się kontrolę nad tymi wszystkimi pojazdami - rozmarzyła się Katie. - Ciekawe, czy oni w ogóle popełniają błędy; dlaczego nie mówią do nas językiem ptaków? Jak myślicie, czy oni z ptakami rozmawiają w ptasim języku?

Na drugim poziomie ruchomy chodnik zawiózł kobiety pojazdu, który kształtem przypominał pocisk.

Nicole rozejrzała się dookoła. Na końcu jednego z korytarzy znajdował się identyczny peron, z którego można było dojechać do modułu administracyjnego.

- Byłaś tam już kiedyś? - spytała Katie uważnie przyglądając się matce.

- Nie - odparła Nicole - ale myślę, że byłoby to interesujące. Twój ojciec mówi, że z bliska wygląda to niesamowicie...

Richard ma naturę badacza, pomyślała Nicole, przypominając sobie, jak przed rokiem jej mąż pod osłoną nocy wybrał się do modułu administracyjnego. Gdy zakładał na siebie skafander, usiłowała go odwieść od tego zamiaru, ale był bardzo uparty. Nauczył się "oszukiwać" automatyczne grodzie (lepsze zabezpieczenia pojawiły się już następnego dnia) i nie mógł się powstrzymać, żeby nie pójść na "samotną wycieczkę".

Nicole nie spała tamtej nocy. Nad ranem w jej pokoju zapaliły się światła, oznaczało to, że ktoś chce się z nią zobaczyć. Na ekranie monitora ujrzała dziwną postać, skrzyżowanie ptaka z człowiekiem. Stwór niósł na rękach jej nieprzytomnego męża. Tak wyglądało pierwsze spotkanie z Orłem...

Pocisk ostro ruszył do przodu, przeciążenie wcisnęło je w poduszki foteli. Moduł administracyjny zostawał w tyle. Jechały przezroczystym, wąskim tunelem łączącym poszczególne moduły stacji. W niespełną minutę pocisk osiągnął maksymalną szybkość.

Środkiem tunelu prowadziły tory, po których mogły jechać równocześnie aż cztery pojazdy. W oddali po prawej stronie można było jeszcze dostrzec światła modułu administracyjnego. Katie wyjęła lornetkę.

- Chcę się przygotować - powiedziała. - Oni zawsze mijają nas z maksymalną szybkością.

- Jadą! - oznajmiła po kilku minutach.

Po sąsiednim torze poruszał się bliźniaczy pocisk. W ułamku sekundy zrównał się z nimi i pomknął do modułu inżynierskiego.

- O rany! - westchnęła Katie.

- Tam były dwa rodzaje istot - stwierdziła Simone.

- W sumie było ich dziesięć.

- Jedna była różowa, a druga cała złota. Ale większość była kulista.

- I miały takie długie, cienkie macki. Mamo, ile one mają wzrostu?

- Myślę, że jakieś sześć metrów średnicy - powiedziała Nicole. - Są o wiele większe niż my.

- O rany... - powtórzyła Katie z szacunkiem.

Ja także nigdy nie przestanę się dziwić, pomyślała Nicole. Dlaczego oni nas tutaj przywieźli? Zadali sobie trud sprowadzenia nas z ziemi tylko po to, żeby przeprowadzić na nas serię testów?

Czyżby nie dziwiło ich samo istnienie innych istot rozumnych? A może to wszystko ma jakiś głębszy sens?

Zapadła cisza. Nicole przytuliła swoje córki.

- Wiecie, że was kocham, prawda? - spytała.

- Wiemy. My też cię kochamy - powiedziała Simone.

2.

Przyjęcie było udane. Benjy tulił się do ukochanej Simone od chwili, gdy weszła do mieszkania. Katie i Patrick natychmiast zaczęli się siłować.

- Widzisz - powiedziała po chwili Katie - wciąż jestem silniejsza.

- Już niedługo - odparł Patrick. - A wtedy zobaczysz...

Nicole objęła Richarda i Michaela, a mała Ellie rzuciła jej się na szyję. Był wieczór i w zasadzie Ellie powinna pójść spać. Dziewczynka pochwaliła się Katie, że umie już przeczytać takie wyrazy jak "dom", "piesek" i "kotek".

Michael zaniósł Patricka do łóżka, a Nicole okryła go kołdrą.

- Wiesz, mam, cieszę się, że wróciłaś - oznajmił Patrick. - Bardzo za tobą tęskniłem.

- Ja też za tobą tęskniłam - uśmiechnęła się Nicole. - Nie lubię długich rozstań. Myślę, że to był ostatni raz.

- Mam nadzieję. Lubie, gdy jesteś z nami.

O pierwszej nad ranem wszyscy już spali, tylko Nicole nie mogła zasnąć; spała przecież bez przerwy przez ostatnie pięć tygodni. Postanowiła pójść na spacer.

Ich "mieszkanie" było pozbawione okien, ale w niewielkim przedsionku znajdowało się okienko z widokiem na pozostałe moduły punktu węzłowego. Włożyła skafander i stanęła przed grodzią. Ale drzwi się nie otwierały.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. A może Katie ma rację? Może jesteśmy tylko więźniami? Od samego początku wiedzieli, że nie wolno opuszczać stacji. Orzeł wyjaśnił, że jest to konieczne, ponieważ mogliby zobaczyć "rzeczy, których nie rozumieją".

Wyrzała przez okno. Do modułu mieszkalnego zbliżał się prom, podobny do tego, jakim sami przylecieli przed trzynastoma miesiącami. Ciekawe, jakie istoty znajdują się w środku, pomyślała. I czy są równie zdziwione jak my, gdy przybyliśmy tu po raz pierwszy?

Nigdy nie zapomni dnia, gdy po raz pierwszy ujrzała Punkt Węzłowy. Cała rodzina była przekonana, że w ciągu kilku godzin ich podróż dobiegnie końca. Tymczasem Rama zniknął w oddali, a światła stacji stały się prawie niewidoczne. Byli tak zmęczeni, że zasnęli.

Pierwsza obudziła się Katie.

- Wiem dokąd lecimy! - zawołała wskazując na trzy świetlne punkty za oknem.

Przez kolejne cztery godziny Punkt Węzłowy stawał się coraz większy. Wyglądał jak olbrzymi trójkąt równoboczny, którego wierzchołki stanowiły oświetlone kule. Nawet po spotkaniu

z Ramą Ziemiańskie nie spodziewali się konstrukcji takich rozmiarów. Każdy z trzech tuneli łączących poszczególne moduły miał ponad sto pięćdziesiąt kilometrów długości, a kule na każdym z wierzchołków miały dwudziestopięciokilometrową średnicę. Już z oddali było widać, że stacja tętni życiem.

- Co z nami będzie? - niespokojnie spytał Patrick, gdy prom zmienił kurs i skierował się do jednego z modułów.

- Nie wiem, kochanie - odparła Nicole. - Zobaczymy.

Benjy od kilku godzin w niemym zachwycie wyglądał przez okno. Simone od czasu do czasu brała go za rękę.

- Nie bój się - mówiła wyczuwając jego napięte mięśnie - wszystko będzie dobrze.

Prom wleciał do wąskiego korytarza w olbrzymiej kuli i został zakotwiczony w węzle komunikacyjnym. Ziemiańskie zabrali swoje rzeczy i komputer Richarda, po czym wysiedli z pojazdu. Prom, którym przylecieli natychmiast wystartował i zniknął.

Gdzieś z góry dobiegł ich donośny głos:

- Witajcie. Znajdujecie się w module mieszkalnym. Idźcie prosto i stańcie przy szarej ścianie.

- Skąd oni do nas mówią? - dopytywała się drżącym głosem Katie.

- Zewsząd - odparł Richard. - Głos dobiega z góry, z dołu...

- A skąd oni znają nasz język? - spytała Simone. - Czy są tu jacyś inni ludzie?

Richard roześmiał się nerwowo.

- Wątpię - powiedział. - Myślę, że ta stacja miała łączność z Ramą; obcy obserwowali nas i stworzyli algorytm do porozumiewania się z nami. Zastanawiam się tylko...

- Idźcie prosto i stańcie pod szarą ścianą. To jest węzeł komunikacyjny. Pojazd, którym pojedziecie dalej, czeka na niższym poziomie.

Dotarcie do szarej ściany zajęło im kilka minut. Dzieci nigdy przedtem nie poruszały się w stanie nieważkości. Katie i Patrick zaczęli wywijać w powietrzu koziołki. Benjy także chciał się do nich przyłączyć, ale nie wiedział, że musi mieć jakiś punkt oparcia i bezradnie zawisł nad podłogą. Uratowała go Simone.

Gdy znaleźli się pod ścianą, otworzyły się w niej drzwi. W niewielkim pomieszczeniu znajdowały się skafandry, hełmy i specjalne buty z przyssawkami.

- Węzeł komunikacyjny i większość obiektów punktu węzłowego są pozbawione atmosfery - mówił monotony głos. - Poza waszym mieszkaniem zawsze będziecie musieli mieć na sobie skafandry.

Gdy już byli gotowi, przeciwległa ściana uniosła się do góry. Postąpili zgodnie z tym, co

mówił "głos"; zjechali dwa poziomy niżej i dotarli do miejsca, gdzie czekał na nich "autobus". Gdy tylko weszli do środka, okna pojazdu stały się matowe.

- Skierujcie się do korytarza prowadzącego w lewo - usłyszeli podczas wysiadania z "autobusu". - Korytarz rozwidła się po czterystu metrach; skręćcie w prawo i zatrzymacie się przed trzecim kwadratem po lewej stronie. Tam jest wasze mieszkanie.

Patrick podskoczył, poszybował w powietrze i odbił się od jednej ze ścian.

- To nie ten korytarz - rzekł beznamiętny głos. - Skierujcie się do korytarza prowadzącego w lewo.

Po drodze do "mieszkania" nie napotkali nic ciekawego. Chodzili już tędy wielokrotnie: na testy do modułu inżynierskiego, do "sali gimnastycznej". Ale nigdy nie zdarzyło im się spotkać innych mieszkańców korytarza. Najwidoczniej przez cały czas byli obserwowani i pilnowano, aby nie zetknęli się z Obcymi.

Dotarłszy do kwadratu oznaczającego ich "mieszkanie" zdjęli skafandry i umieścili je w przeznaczonym do tego celu pomieszczeniu. Dzieci na zmianę wyglądały przez okno, z zaciekawieniem przyglądając się kulistym modułom stacji. Po kilku minutach drzwi mieszkania otworzyły się automatycznie.

Mieszkanie, a właściwie przestronne apartamenty, zrobiły na nich ogromne wrażenie. Każde z dzieci dostało własny pokój, Michael miał własny apartament, a Richard i Nicole otrzymali sypialnię z olbrzymim łóżem. Ich mieszkanie miało cztery łazienki, kuchnię, jadalnię i dodatkowy pokój dla dzieci. Meble były ładne i zadziwiająco wygodne. Pokoje miały łącznie ponad czterysta metrów kwadratowych.

Wszyscy byli bardzo zdziwieni.

- Skąd oni to wszystko wzięli? - Nicole spytała Richarda, gdy dzieci na chwilę się uciszyły. Richard niepewnie rozejrzał się dookoła.

- Mogę tylko zgadywać - odpowiedział. - Prawdopodobnie przez te wszystkie lata w Ramie byliśmy dokładnie obserwowani, a informacje te docierały tutaj. Poza tym - dodał z uśmiechem - nie jest wykluczone, że mają dostatecznie czułe przyrządy aby odbierać ziemską telewizję. To wstyd, że jesteśmy reprezentowani w kosmosie przez taką szmirę...

- Witajcie - znów usłyszeli ten sam beznamiętny głos. - Mamy nadzieję, że jesteście zadowoleni z waszego mieszkania. Jeżeli nie, powiadomcie nas o tym. Ponieważ nie możemy komunikować się z wami bez przerwy, w waszej kuchni został zainstalowany specjalny biały przycisk. Wszystko, co powiecie po jego naciśnięciu, zostanie przez nas wysłuchane. Gdy skończycie, wciśnijcie przycisk drugi raz. Dzięki temu...

- Chcę zadać pytanie - przerwała Katie wbiegając do kuchni i naciskając przycisk. - Kim

jesteście?

Nastąpiła kilkusekundowa przerwa.

- Jesteśmy wyższą formą inteligencji odpowiedzialną za poprawne działanie Punktu Węzłowego. Naszym zadaniem jest pomagać wam i dostarczać wszystko, co jest wam niezbędne do życia. Od czasu do czasu będziemy także wymagać od was uczestnictwa w pewnych zadaniach i testach; dzięki temu poznamy was lepiej...

Nicole w dalszym ciągu patrzyła przez okno, ale promu nie było już widać. Była tak zamyślona, że przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wracając do rzeczywistości wyobraziła sobie dziwaczne istoty opuszczające wagonik "metra" i ich zdumienie, że ktoś zwraca się do nich w ich ojczystym języku.

Dziwienie się jest chyba czymś uniwersalnym, pomyślała.

Podniosła wzrok i spojrzała w kierunku modułu administracyjnego. Co oni tam robią? - myślała. Jesteśmy królikami doświadczalnymi, które wozi się tam i z powrotem pomiędzy modulem inżynieryjnym a mieszkalnym. Wszystkie działania najwyraźniej podlegają jakiemuś planowi. Ale kto jest jego autorem? I czemu służą te badania? Dlaczego w tym sztucznym świecie zgromadzono tak wiele żywych istot z całego wszechświata?

Nie знаła odpowiedzi na żadne z tych pytań. Pomyślała, że jej życie pozbawione jest sensu i w pierwszym odruchu chciała pójść do swoich dzieci, i po kolei je przytulić. Roześmiała się bezgłośnie. Jedno i drugie jest prawdą, pomyślała. Dla naszych dzieci jesteśmy najważniejszymi istotami w całym kosmosie, ale jako cząstka wszechświata jesteśmy niczym. Wiele mądrości trzeba, aby zrozumieć, że prawdą jest i jedno i drugie.

3.

Śniadanie było prawdziwą uczcą. Ktoś, kto projektował ich kuchnię, musiał być ekspertem od pieców, lodówek, kuchenek mikrofalowych i tym podobnych urządzeń. Ale sprzęty te okazały się zbędne, bo robot kuchenny był znakomitym kucharzem i tak szybko się uczył, że Nicole i pozostali członkowie rodziny prawie zawsze zamawiali u niego jedzenie.

- Chcę naleśniki - oznajmiła Katie.

- Ja też, ja też - podskakiwał Patrick.

- Jakie naleśniki? - spytał głos. - Znam cztery rodzaje: z serem, francuskie, z dżemem...

- Trzy francuskie - przerwała Katie, po czym spojrzała na brata i dodała: - Albo lepiej cztery.

- Z masłem i z syropem klonowym - krzyczał Patrick.

- Cztery naleśniki z syropem klonowym - rzekł głos. - Czy to wszystko?

- Jeden sok jabłkowy i jeden owocowy - dodała Katie po krótkiej konsultacji z Patrickiem.

- Śniadanie będzie gotowe za sześć minut i osiemnaście sekund - poinformował głos.

Rodzina zasiadła za kuchennym stołem. Młodsze dzieci opowiedziały Nicole o swoich porannych osiągnięciach. Patrick był bardzo dumny ze swojego pięćdziesięciometrowego skoku. Potem Benjy liczył do dziesięciu, co wszystkim bardzo się spodobało. Gdy sprząтали ze stołu, usłyszeli dzwonek do drzwi.

Dorośli wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Richard podszedł do ściennego monitora. Na ekranie pojawił się Orzeł.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o kolejny test - wyrwało się Patrickowi.

- Nie, chyba nie... - powiedziała Nicole. - Może chce nam powiedzieć o wynikach testów?

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Zawsze była bardzo zdenerwowana, gdy miała spotkać się z Orłem. Dlaczego tak się działo? Czy przytłaczał ją ogrom jego wiedzy? Jego władza? A może sam fakt istnienia takiej istoty?

Orzeł pozdrowił ją i na jego twarzy pojawił się grymas oznaczający uśmiech.

- Czy mogę wejść? - spytał grzecznie. - Chciałbym porozmawiać z panią, pani mężem i panem O'Toole.

Nicole złapała się na tym, że znów się w niego wpatruje. Orzeł był wysoki, miał ponad dwa metry wzrostu i sylwetką przypominał człowieka. Ramiona i tors pokryte były małymi, miękkimi piórami, jedynie czteropalczaste ręce były ich pozbawione. Palce i wnętrza dłoni były białe; było oczywiste, że nikt nie zadał sobie trudu, aby powłoka jego ciała przypominała ludzką skórę.

Miał przesadnie dużą głowę, szary dziób i niebieskie oczy. Gdy poruszał dziobem, mówił płynną angielszczyzną, ale jego głos wydobywał się gdzieś z karku. Na czubku głowy pióra były białe, pozostałą część twarzy pokrywały dość rzadkie szare piórka.

- Czy mogę wejść? - powtórzył pytanie.

- Oczywiście - powiedziała Nicole cofając się. - Przepraszam, że się tak zagapiłam. Dawno pana nie widziałam.

- Dzień dobry panu, panie Wakefield, dzień dobry, generale O'Toole. Witajcie, dzieci - mówił Orzeł wchodząc do bawialni.

Patrick i Benjy cofnęli się. Orła nie bały się tylko Katie i mała Ellie.

- Dzień dobry - powitał go Richard. - Czym możemy panu służyć?

Orzeł nigdy nie składał "wizyt towarzyskich", zawsze przychodził w jakimś konkretnym celu.

- Właśnie mówiłem pańskiej żonie, że chciałbym porozmawiać z dorosłymi członkami waszej rodziny. Czy Simone może zaopiekować się dziećmi?

Nicole miała zamiar zapędzić dzieci do jednego z pokoi, ale Orzeł zaprotestował:

- To nie będzie konieczne. Pójdziemy do sali konferencyjnej po drugiej stronie korytarza.

Aha, pomyślała Nicole. Chodzi o coś ważnego... Jeszcze nigdy nie zostawialiśmy dzieci samych...

- Wybacz pan, że spytam - powiedziała Nicole - ale czy dzieciom nic się nie stanie? Czy nie przyjdzie do nich nikt obcy...

- Ależ skąd - odparł Orzeł. - Daję pani słowo, że nikt nie będzie niepokoił pani dzieci.

Michael, Richard i Nicole zaczęli wkładać na siebie skafandry, ale Orzeł ich powstrzymał.

- To nie będzie konieczne - powiedział. - Wczoraj zmieniliśmy konfigurację sektora mieszkalnego, dzięki czemu bez skafandrów możecie poruszać się aż do grodzi przy węzle komunikacyjnym.

Gdy tylko znaleźli się w sali konferencyjnej, Orzeł zaczął mówić:

- Od chwili gdy znaleźliście się tutaj, wielokrotnie zadawaliście mi pytania o cel waszego pobytu. Przyznaję, że nie udzielałem wam jednoznacznych odpowiedzi. Teraz, kiedy ukończyliście ostatnią serię testów, zostałem upoważniony do poinformowania was o kolejnej fazie waszej misji. Otrzymałem także zgodę, aby powiedzieć wam coś o sobie. Jak słusznie podejrzewaliście, nie jestem żywą istotą. - Uśmiechnął się. - Zostałem stworzony po to, aby porozumiewać się z wami w sprawach "delikatnych"; według naszych obserwacji bardzo źle rozmawiało się wam z bezosobowym głosem. Dlatego też postanowiono, że powstanie emisariusz, którego zadaniem będzie bezpośrednio komunikowanie się z wami. Decyzję tę podjęto, jeszcze zanim pan Wakefield

włamał się do modułu administracyjnego, co - prawdę mówiąc - wywołało pewne zamieszanie. Moja obecność ma zapobiec tego rodzaju wypadkom w przyszłości. Obecnie zaczyna się najważniejsza faza waszego pobytu na stacji. Statek, który nazywacie Ramą, znajduje się obecnie w jednym z hangarów; po gruntownym przeglądzie i przebudowie, w której także będziecie uczestniczyć, wróćcie na jego pokładzie do Układu Słonecznego.

Richard i Nicole zaczęli mówić jednocześnie.

- Pozwólcie, że skończę - przerwał im Orzeł. - W tym co powiem, zawarte będą odpowiedzi na wasze pytania.

Ptak spojrzał uważnie na Richarda, Michaela i Nicole, po czym ciągnął dalej:

- Nie powiedziałem, że wróćcie na Ziemię. O ile powiedzie się plan o którym mówię, ci z was, którzy wrócą do Układu Słonecznego, skontaktują się z innymi przedstawicielami waszej cywilizacji, ale nie nastąpi to na waszej planecie. Wróćcie na Ziemię tylko w wypadku, gdyby w naszym przedsięwzięciu zaszły nieoczekiwane zmiany.

- Zwróćcie uwagę i na to - ciągnął Orzeł - że powiedziałem, że polecą tylko niektórzy z was, z tym że pani Wakefield - ptak zwrócił się bezpośrednio do Nicole - z pewnością znajdzie się na pokładzie Ramy. To jeden z naszych warunków. Poza tym pozwolimy wam wybrać członków rodziny, którzy będą pani towarzyszyć. Może pani polecieć sama, zostawiając wszystkich w Punkcie Węzłowym, może pani wybrać niektórych członków rodziny, ale nie możecie polecieć wszyscy. Na wypadek, gdyby podróż do Układu Słonecznego się nie powiodła, jedna para zdolna do reprodukcji musi pozostać tutaj, aby zapewnić nam dane, których potrzebujemy do naszych encyklopedii.

- Celem Punktu Węzłowego jest stworzenie katalogu wszystkich żywych istot w tej części galaktyki. Priorytet stanowią gatunki zdolne do samodzielnego konstruowania statków kosmicznych; o każdym z nich musimy zebrać jak największą ilość danych. Aby to osiągnąć, a jednocześnie aby zminimalizować ryzyko naszej ingerencji w ich ewolucję, stworzyliśmy metodę minimalizującą wyrządzone przez nas szkody. Nasza strategia polega na wysyłaniu statków w rejony, do których mogą dotrzeć interesujące nas istoty; liczymy na to, że zwabimy je do środka, sfotografujemy i wprowadzimy do katalogu. Potem wysyłamy kolejne statki, aby zwiększyć liczbę kontaktów z interesującym nas gatunkiem, a wreszcie po to, aby schwytać kilka istot, które potem możemy obserwować w środowisku, jakie dla nich stworzymy.

Orzeł przerwał. Serce Nicole biło tak szybko, jakby za chwilę miało wyrwać się z piersi. Chciała zadać tyle pytań naraz. Dlaczego wybrano właśnie ją? Czy zobaczy Genevieve? I co Orzeł miał na myśli mówiąc o "schwyтaniu" istot: czy zdaje sobie sprawę, że słowo to ma ujemny wydźwięk? I dlaczego...

- Rozumiem większość z tego, co pan powiedział - Richard przemówił jako pierwszy - ale nie otrzymaliśmy pewnych kluczowych informacji. W jakim celu gromadzicie te wszystkie informacje?

Orzeł się uśmiechnął.

- Hierarchiczna struktura dostępu do informacji ma trzy poziomy, wyznaczone dla poszczególnych gatunków. Informacje, które właśnie ode mnie uzyskaliście, mają priorytet "numer dwa". To dobrze o was świadczy, że zadajecie pytania o priorytecie "trzy".

- Czy te wykryty oznaczają, że nie otrzymam odpowiedzi na moje pytanie? - zaniepokoił się Richard.

Orzeł skinął głową.

- A czy dowiemy się, dlaczego właśnie ja muszę znaleźć się na pokładzie Ramy? - dociekała Nicole.

- Jest ku temu wiele powodów - odparł Orzeł. - Po pierwsze uważamy, że nadaje się pani do tego pod względem fizycznym; umie pani nawiązywać kontakt z innymi ludźmi, co okaże się niezwykle ważne; są także inne powody.

- Kiedy wyruszamy? - spytał Richard.

- To nie zostało jeszcze ostatecznie ustalone i częściowo zależy od was. Mogę jedynie powiedzieć, że nastąpi to w ciągu najbliższych czterech miesięcy.

Niedługo odlecimy, pomyślała Nicole. I przynajmniej dwoje z nas musi tutaj zostać. Ale kto?...

- O ile dobrze rozumiem, nie jest ważne, która para pozostanie w Punkcie Węzłowym? - wtrącił Michael.

- Prawie, ale nie całkiem, panie O'Toole - odrzekł Orzeł. - Najmłodsza dziewczynka nie może stanowić dla pana partnerki, ponieważ może nam się nie udać przedłużenie pańskich zdolności prokreacyjnych do czasu, gdy mała dojrzeje; ale każda inna kombinacja jest możliwa. Zależy nam na uzyskaniu możliwie wysokiego prawdopodobieństwa, że dzieci urodzą się zdrowe...

- Dlaczego? - spytała Nicole.

- Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że wasza wyprawa się nie powiedzie i że jedynymi ludźmi, którzy nam zostaną, będzie para przebywająca w Punkcie Węzłowym...

Orzeł wstał i oznajmił, że rozmowa dobiegła końca. Zachęcił Ziemiaków do szybkiego podjęcia decyzji, ponieważ praca z tymi, którzy polecą, rozpocznie się natychmiast. Ich zadanie będzie polegało na stworzeniu wewnątrz Ramy "modułu ziemskiego". Potem, bez zbędnych słów, wyszedł z sali i zostawił ich samych.

Dopóki dorośli nie mieli dość czasu, aby się naradzić, nie powiedzieli dzieciom całej prawdy. Gdy dzieci już spały, Nicole, Richard i Michael odbyli nocną naradę.

Nicole powiedziała, że jest zarazem wściekła i bezsilna. Pomimo że Orzeł używał górnolotnych słów, w zasadzie wydawał im rozkazy. Czy mogli odmówić ich wykonania? Los całej rodziny spoczywał w rękach Obcych; nikt im nie groził, ale przecież nie było to konieczne. I tak nie mieli wyboru: musieli stosować się do poleceń Orła...

- Ale kto powinien zostać w Punkcie Węzłowym? - zastanawiała się Nicole.

Michael powiedział, że pozostać powinna przynajmniej jedna dorosła osoba. Dzieciom, na przykład Simone i Patrickowi, przydałaby się wiedza i doświadczenie kogoś starszego; Michael zgłosił się na ochotnika mówiąc, że jest mało prawdopodobne, aby dożył powrotu na Ziemię.

Przypuszczali, że Ramowie chcą, aby ludzie przespali podróż do Układu Słonecznego; w przeciwnym razie czemu miały służyć testy? Nicole nie podobało się, że zabiera się dzieci w okresie, gdy jej najbardziej potrzebują. Powiedziała, że poleci sama: dzięki temu dzieci będą miały w Punkcie Węzłowym namiastkę rodziny.

- O ile dobrze zrozumiałam to, co powiedział Orzeł - mówiła - każdy, kto wsiądzie teraz do Ramy, skończy jako pasażer lecący do innej galaktyki.

- Tego nie możemy być pewni - zaprotestował Richard. - Ale z drugiej strony, zostając tutaj, skazujemy się na wieczną samotność: już nigdy nie zobaczymy innych ludzi.

Richard dodał, że zamierza polecieć, bez względu na okoliczności.

Nie wiedzieli co zrobić z dziećmi, ale zdecydowali, co zrobią dorośli. Michael O'Toole zostanie w Punkcie Węzłowym, a Richard i Nicole wyruszą w podróż do Układu Słonecznego.

Nicole nie mogła zasnąć, rozważając w głowie różne scenariusze. Była pewna, że Simone będzie lepszą matką niż Katie; poza tym Simone i wujek Michael bardzo się lubili, a Katie nie przeżyłaby rozstania z ojcem. Ale skąd wziąć partnera dla Simone? Czy powinien być nim zakochany w swojej siostrze Benjy, z którym niestety nigdy nie będzie można normalnie porozmawiać?

Przez cztery godziny wierciła się w łóżku. Sprawa została przesądzona, należało się z tym pogodzić; po raz kolejny będzie musiała się rozstać z tymi, których kocha. Ogarnął ją smutek na myśl o zbliżającym się pożegnaniu. Pomyślała o swojej matce, ojcu i Genevieve. Może na tym właśnie polega życie? - pomyślała. Może składa się z samych rozstań?

4.

- Mamo, tato, obudźcie się. Chcę z wami porozmawiać.

Nicole spacerowała po lesie za rodzinnym domem w Beauvois. Była wiosna, rozkwitały pąki kwiatów. Nie mogła się obudzić choć wiedziała już, że mówi do niej Simone.

Pierwszy obudził się Richard.

- Co się stało, kochanie?

- Kiedy modliłam się z wujkiem Michaelem, wyczułam, że jest bardzo smutny - powiedziała poważnie Simone. - Opowiedział mi wszystko o waszej rozmowie z Orłem...

Nicole usiadła na łóżku.

- Miałam kilka godzin, żeby to wszystko przemyśleć - ciągnęła Simone. - Wiem, że mam dopiero trzynaście lat, ale myślę, że znalazłam takie rozwiązanie naszego problemu, aby wszyscy byli szczęśliwi.

- Najdroższa Simone - zaczęła Nicole wyciągając rękę do córki - to naprawdę nie ty powinnaś...

- Nie, mamo - grzecznie przerwała jej córka - musisz mnie wysłuchać. Moje rozwiązanie zakłada coś, o czym wy nie pomyśleliście; tylko ja mogłam coś takiego wymyślić. I jest to wyjście najlepsze z możliwych.

Richard zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz?

Simone wzięła głęboki oddech.

- Chcę zostać w Punkcie Węzłowym z wujkiem Michaelem. Będę jego żoną i zostaniemy "parą zdolną do reprodukcji", jak to powiedział Orzeł. Wszyscy inny mogliby polecieć z wami z tym, że Michael i ja chcielibyśmy, żeby został z nami Benjy...

- Co?! - krzyknął Richard. - Wujek Michael ma siedemdziesiąt dwa lata, ty nie skończyłaś jeszcze czternastu! Jak sobie to wyobrażasz?! To niedorzeczne, idiotyczne...

Richard umilkł. Jego prawie dorosła córka uśmiechnęła się.

- Bardziej niedorzeczne niż Orzeł? - spytała. - Bardziej idiotyczne niż fakt, że przebyliśmy osiem lat świetlnych na spotkanie kosmicznej stacji oświetlonej jak choinka, która teraz chce nas wyprawić w przeciwnym kierunku?

Nicole spojrzała na Simone z dumą i podziwem, i przytuliła ją do siebie. W jej oczach stanęły łzy.

- Nie martw się mamo, wszystko będzie dobrze. Pomyśl o tym, co wam powiedziałam, a

zrozumiesz, że to najlepsze wyjście. Jeżeli polecisz razem z ojcem - a myślę, że powinniście być razem - wtedy albo Katie, albo Ellie, albo ja musiałabym zostać tutaj z Patrickiem, Benjym lub wujkiem Michaeliem. Genetycznie rzecz biorąc najlepsze byłoby połączenie wujka Michaela ze mną lub z Katie. Bardzo lubimy się z wujkiem Michaeliem, wyznajemy tę samą religię. Jeżeli zostaniemy tutaj i pobierzemy się, każde z dzieci samo będzie mogło wybrać swój los. Mogą albo zostać z nami, albo polecieć z tobą i tatą...

Simone położyła Richardowi rękę na ramieniu.

- Tato, wiem, że będzie ci trudniej niż mamie. Wujkowi Michaelowi nie powiedziałam jeszcze o moim pomysle. Bez waszego poparcia nie uda mi się go przekonać, małżeństwo ze mną będzie dla niego trudne do przyjęcia nawet z waszą zgodą.

Richard potrząsnął głową.

- Jesteś wspaniała - powiedział, obejmując córkę. - Proszę, daj nam trochę czasu do namysłu i obiecuj, że na razie z nikim nie będziesz o tym mówić.

- Obiecuję. I bardzo wam dziękuję. Kocham was - dodała stojąc w drzwiach.

Jej długie, czarne włosy sięgały niemal do pasa. Jesteś już kobietą, pomyślała Nicole patrząc na jej zgrabny chód. I to nie tylko fizycznie; jak na swój wiek jesteś bardzo dojrzała. Nicole wyobraziła sobie Michaela w roli męża jej córki i ze zdziwieniem skonstatowała, że myśl ta nie budzi jej sprzeciwu. Biorąc pod uwagę okoliczności, pomyślała, to chyba rzeczywiście najlepsze wyjście...

Simone nie poddała się, gdy Michael ostro skrytykował jej pomysł, który nazwał "dobrowolnym męczeństwem"; tłumaczyła mu cierpliwie, że ich małżeństwo stanowi jedyne wyjście, ponieważ Katie jest zbyt młoda i nie osiągnęła jeszcze dojrzałości płciowej. W takim razie, czy Michael wolałby, aby Simone wyszła za swojego brata i popełniła grzech kazirodztwa?

- Ależ oczywiście, że nie - odparł Michael.

Zgodził się, gdy zrozumiał, że nie ma innej możliwości, a jej rodzice nie mają poważnych zastrzeżeń. Richard powiedział wprawdzie, że godzi się "tylko ze względu na okoliczności", ale Michael wiedział, że Richard nie postępuje wbrew swojemu sumieniu, godząc się na małżeństwo swojej trzynastoletniej córki z mężczyzną, który mógłby być jej dziadkiem.

Decyzję podjęto w niecały tydzień: Katie, Patrick i mała Ellie polecą na pokładzie Ramy z Richardem i Nicole. Patrick niechętnie rozstawał się z ojcem, ale Michael O'Toole przyznał, że jego synowi "będzie lepiej" na pokładzie Ramy, a jego życie będzie "bardziej interesujące". Należało jeszcze zdecydować co stanie się z Benjym. Uroczy ośmiolatek psychicznie miał mniej więcej trzy lata i nie bardzo rozumiał, co stanie się z jego rodziną: jak wybrać pomiędzy lotem

Ramą, a pozostaniem w Punkcie Węzłowym? Przerażała go konieczność podjęcia decyzji, stał się milczący i przygnębiony. Postanowiono więc, że dyskusja o tym, co zrobić z chłopcem, zostanie na pewien czas zawieszona.

- Nie będzie nas przez dzień czy dwa - oznajmił Orzeł. - Rama jest teraz remontowany w hangarze oddalonym o dziesięć tysięcy kilometrów.

- Ja też chcę z wami polecieć - prosiła Katie. - Mam tyle znakomitych pomysłów jak urządzić "ziemski moduł"...

- Poprosimy cię o pomoc przy innych pracach projektowych - zapewnił ją Richard. - Będziemy o tym rozmawiać w centrum konferencyjnym.

Richard i Nicole pożegnali się z dziećmi, włożyli skafandry i ruszyli za Orłem. Nicole wyczuwała podniecenie Richarda.

- Lubisz przygody, prawda? - spytała.

Skinął głową.

- To chyba Goethe powiedział, że ludzkie dążenia to miłość, przygoda, władza i sława, i od tego, czego pragniemy najbardziej, zależy nasza osobowość. Jeżeli chodzi o mnie, przygoda zawsze jest na pierwszym miejscu.

Wsiedli do "metra", którego okna stały się matowe. Ja także lubię przygodę, myślała Nicole. I kiedy byłam dziewczynką najbardziej ze wszystkiego pragnęłam sławy. Ale teraz bardziej potrzebuję miłości... Bylibyśmy nudni, gdybyśmy zawsze byli tacy sami...

Lecieli promem podobnym do tego, którym dotarli do Punktu Węzłowego. Orzeł usiadł z przodu, Richard i Nicole siedzieli za nim. Za plecami widzieli niknące w oddali kuliste moduły stacji.

Zbliżali się do Syriusza. Wielka młoda gwiazda świeciła jasnym światłem i była tak duża jak Słońce, widziane z pasma asteroidów.

- Dlaczego Punkt Węzłowy znajduje się akurat w tym miejscu? - spytał Richard.

- Nie rozumiem.

- Dlaczego w układzie Syriusza, a nie gdzieś indziej?

Orzeł roześmiał się.

- To lokalizacja tymczasowa - odparł. - Po starcie Ramy przeniesiemy się w inne miejsce.

Richard był zdumiony.

- Chce pan powiedzieć, że Punkt Węzłowy się poruszał - Obejrzał się za siebie, w oddali wciąż można było dostrzec stację. - A gdzie jest system napędowy?

- Każdy z modułów ma własny napęd, ale używa się go tylko w sytuacjach awaryjnych. Przemieszczenie się odbywa się za pomocą dodatkowych silników, które przymocowuje się do modułów. To wystarcza, aby dokonać zmian trajektorii.

Nicole zaniepokoiła się; jaki los spotka Michaela i Simone.

- Dokąd polecą stacja? - spytała.

- Możliwe, że... nie zostało to jeszcze ustalone - odpowiedział Orzeł wymijająco. - Jej cel jest funkcją stochastyczną, zależną od różnych parametrów. Gdy nasza praca w danym miejscu dobiega końca, zmieniamy konfigurację stacji.

Richard i Nicole spojrzeli na siebie w milczeniu. Trudno było uwierzyć w to, co mówił Orzeł. Richard postanowił zmienić temat.

- Jak brzmi wasza definicja istot podróżujących w kosmosie? - spytał.

- To gatunek, którego istoty (lub roboty) potrafią się wzbąć ponad atmosferę rodzimej planety. Jeżeli planeta nie ma atmosfery, albo gdy gatunek nie żyje na jej powierzchni, definicja jest bardziej skomplikowana.

- Czy to znaczy, że istnieją istoty, które ewoluowały w próżni? Jak to możliwe?

- Jest pan "ziemskim szowinistą" - stwierdził Orzeł. - Dopuszcza pan istnienie wyłącznie takich organizmów, które ewoluowały w środowisku podobnym do ziemskiego.

- Ile gatunków istot podróżujących w kosmosie jest w naszej galaktyce? - spytał Richard.

- Znalezienie odpowiedzi na to pytanie jest jednym z celów naszych badań - odparł Orzeł. - Droga Mleczna ma ponad sto miliardów gwiazd, z czego mniej więcej jedna czwarta posiada układy planetarne. Jeżeli istoty podróżujące zamieszkują jedną gwiazdę na milion, to tylko w naszej galaktyce mielibyśmy dwadzieścia pięć tysięcy gatunków.

Orzeł spojrzał na Richarda i Nicole.

- Liczba gatunków w galaktyce i ich los to informacja o priorytecie "trzy". Ale jedno mogę wam powiedzieć: w galaktyce istnieją obszary "gęste", w których średnia liczba gatunków istot podróżujących jest większa niż jeden na tysiąc gwiazd.

Richard gwizdnął.

- To znaczy - zwrócił się do Nicole - że lokalny cud, było powstanie życia na Ziemi, jest ewolucyjnym jakimś paradygmatem. Jesteśmy gatunkiem unikatowym, ale jednocześnie nasza zdolność do kształtowania naszego świata i otoczenia oraz jego badania jest cechą powszechną wśród istot rozumnych: bez tego nie zostalibyśmy istotami podróżującymi...

Nicole czuła się przytłoczona. Już kiedyś ogarnęło ją podobne uczucie; było to w grocie ośmiornic, gdy usiłowała wyobrazić sobie ogrom wiedzy wszystkich rozumnych istot żyjących we wszechświecie. Teraz ponownie zdała sobie sprawę, że cała wiedza ludzkości jest niczym ziarnko

piasku na pustyni...

5.

Prom zatrzymał się kilkaset kilometrów przed hangarem. Budowla miała dziwny kształt, na dole była prawie płaska, ale jej dach był wypukły. Wewnątrz znajdowały się trzy olbrzymie fabryki, nad każdą z nich wznosiła się siedemdziesięciokilometrowa kopuła. Pomiędzy nimi dach był znacznie niższy, miał nie więcej niż dziesięć kilometrów wysokości. Całość przypominała grzbiet wielbłąda o trzech garbach - oczywiście gdyby takie zwierzę istniało.

Orzeł, Nicole i Richard przyglądali się startowi olbrzymiego statku w kształcie ryby. Orzeł powiedział, że po odbyciu przeglądu statek jest gotowy do następnej podróży. "Ryba" opuściła hangar i zaczęła obracać się wzdłuż swojej osi. Już po chwili wykonywała dziesięć obrotów na minutę.

- Teraz w hangarze został tylko Rama - powiedział Orzeł. - Koło, które widzieliście, gdy przybyliście do Punktu Węzłowego, odleciało przed czterema miesiącami.

Richard chciał o coś zapytać, ale zmienił zdanie. Zdążył się już nauczyć, że Orzeł udzielał im tylko tych informacji, do których mieli prawo.

- Przebudowa Ramy była nie lada wyzwaniem - ciągnął Orzeł. - I wciąż nie wiemy, kiedy ją definitywnie zakończymy.

Prom zbliżał się do hangaru, przed którym zapłonęły światła.

- Musicie włożyć skafandry - powiedział Orzeł.

Prom przycumował do niewielkiej grodzi.

- Czy dobrze mnie słyszycie? - w słuchawkach rozległ się głos Orła.

- Tak - powiedział Richard. Spojrzał na Nicole i oboje się roześmieli, przypominając sobie dawne czasy, kiedy byli jeszcze kosmonautami Newtona.

Orzeł ruszył długim, szerokim korytarzem. Potem skręcił w prawo i otworzył jedną z grodzi prowadzących do hali fabrycznej. Szli teraz chodnikiem, dziesięć kilometrów nad gigantyczną halą. Nicole spojrzała w dół i zrobiło jej się słabo. Przebywali wprawdzie w stanie nieważkości, więc o "upadku" nie mogło być mowy, ale obojgu wydało się, że jego groźba jest realna. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Owszem, to ładny widok - powiedział Orzeł.

Nicole uchwyciła się barierki i ponownie spojrzała w otchłań. Tym razem nie zakręciło się jej w głowie.

Pod nimi znajdowała się północna część Ramy, od Równiny Środkowej aż po brzegi Morza Cylindrycznego. Ale teraz w morzu nie było wody, nie było też Nowego Jorku. Natomiast

północny kraniec Ramy nie uległ jeszcze żadnym zmianom.

Przy relingu znajdował się rząd teleskopów, przez które można było spojrzeć na znajome schody o tysiącach stopni, którymi po raz pierwszy zeszli na Równinę Środkową.

Pozostała część północnego cylindra była otwarta, jej fragmenty przykotwiczone do podłogi hangaru. Każdy z tych "kawałków" miał od sześciu do ośmiu kilometrów długości.

- Łatwiej nam pracować, gdy statek jest rozebrany - wyjaśnił Orzeł. - W przeciwnym razie trudno byłoby do środka wprowadzić ciężki sprzęt.

Nicole i Richard przez teleskop obserwowali prace prowadzone na Równinie Środkowej, które przebiegały niezwykle dynamicznie. Trudno było zliczyć dziesiątki robotów, uwijających się niczym mrówki.

- Przyprowadziłem was tutaj po to, żebyście zrozumieli skalę tego przedsięwzięcia - powiedział Orzeł. - Potem zejdziemy niżej i zobaczycie więcej szczegółów.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

Orzeł uśmiechnął się.

- Jeżeli przyjrzyjecie się temu dokładnie, przekonacie się, że dwa obszary na Równinie Środkowej, jeden przy Morzu Cylindrycznym, drugi ciągnący się aż do klatki schodowej, zostały całkowicie zniwelowane. Tam prowadzimy większość prac. Poza tym wewnątrz Ramy będzie wyglądało dokładnie tak, jak przedtem. Postępujemy według zasady: zmieniać tylko te fragmenty statku, które będą wykorzystane podczas następnej misji.

- Czy to znaczy, że statek używany jest wielokrotnie i za każdym razem dokonuje się w nim zmian? - spytał Richard.

Orzeł skinął głową.

- Wieżowce, które nazywacie Nowym Jorkiem, zbudowano w przeszłości dlatego, że taka konstrukcja była potrzebna, a potem ich nie zburzono, choć niczemu już nie służą?

Orzeł nie odpowiedział na retoryczne pytanie Richarda. Wskazał na Równinę Środkową.

- Tam będziecie mieszkać. Ukończyliśmy już budowę części użytkowej, czyli ośrodka kontrolnego, doprowadziliśmy wodę, elektryczność i kanalizację.

- Czym jest ten niewielki budynek na południu? - spytał Richard. Wciąż był zdumiony faktem, że Nowy Jork był jedynie pozostałością po jednej z dawnych wypraw Ramy.

- To ośrodek kontrolny - odparł Orzeł. - Znajduje się tam sprzęt odpowiedzialny za warunki atmosferyczne waszego środowiska. Zwykle umieszcza się go pod powierzchnią ziemi, ale w waszym przypadku zbudowaliśmy się go na Równinie Środkowej.

- A do czego przeznaczony jest ten duży płaskowyż? - spytała Nicole, wskazując na północ od miejsca, w którym dawniej znajdowało się Morze Cylindryczne.

- Tego nie wolno mi powiedzieć - odparł Orzeł. - Prawdę mówiąc jestem nieco zdziwiony, że pozwolono wam to wszystko zobaczyć. Pasażerowie Ramy przeważnie nie zdają sobie sprawy z jego cargo. Zgodnie z planem każdy gatunek pozostaje wewnątrz swojego modułu.

- Spójrz na ten wysoki obiekt - Nicole zwróciła się do Richarda - ma chyba ze dwa kilometry wysokości.

- I przypomina precel, bo jest pusty w środku.

Były to najprawdopodobniej ściany innego modułu mieszkalnego. Niestety, jego wnętrze było niewidoczne.

- Czy może nam pan zdradzić, kto tam będzie mieszkał? - spytała Nicole.

- Niestety, nie. Chodźmy dalej.

Richard i Nicole niechętnie oderwali się od teleskopów, pobieżnie obejrżeli z daleka "ziemski moduł mieszkalny" (nad którym prace nie były szczególnie zaawansowane) i wyszli za Orłem na korytarz. Po pięciu minutach dotarli do czegoś, co Orzeł nazwał windą.

- Musicie zapiąć pasy - powiedział, gdy usiedli na miękkich fotelach. - To będzie szalona jazda.

Przyspieszenie wgniotło ich w poduszki foteli; hamowanie, które nastąpiło po niespełna dwóch minutach, było równie gwałtowne. Po chwili stali na najniższym poziomie hangaru.

- Ta winda porusza się z szybkością trzystu kilometrów na godzinę? - spytał Richard dokonawszy w głowie szybkich obliczeń.

- Jeżeli jej się nie spieszy... - Orzeł uśmiechnął się.

Hala była ogromna; w pewnym sensie była bardziej przytłaczająca niż Rama, bo części statku leżały na jej podłodze. Nicole i Richard pomyśleli o pierwszej wyprawie do Ramy, gdy po raz pierwszy ujrzeli ogrom tego obcego, niesamowitego świata.

Winda dowiozła ich niemal bezpośrednio do "ziemskiego modułu mieszkalnego", dzięki czemu mogli z bliska przyjrzeć się zewnętrznej powłoce Ramy.

- Tak jak myślałem - powiedział Richard przyglądając się jej z zainteresowaniem. - Ma około dwustu metrów grubości.

- Co będzie pod naszym modułem mieszkalnym? - spytała Nicole.

Orzeł podniósł do góry rękę i wystawił trzy palce dając do zrozumienia, że to informacja o prioritycie "trzy". Nicole i Richard się roześmieli.

- Czy polecą z nami? - Nicole zadała kolejne pytanie.

- Do Układu Słonecznego?... Nie, nie mogę - odparł Orzeł. - Ale z pewnością byłoby to interesujące...

Ptaka zaprowadził ich do miejsca, gdzie prace przebiegały szczególnie intensywnie.

Kilkadziesiąt robotów pracowało nad dużą, cylindryczną konstrukcją, o sześćdziesięciometrowej wysokości.

- To główny ośrodek przetwarzania odpadów - wyjaśnił Orzeł. - Będzie się tu dostarczać wszelkie ciecze z waszego modułu mieszkalnego. Oczyszczona woda będzie wracała z powrotem, a inne substancje zostaną zgromadzone do późniejszego wykorzystania. Nie będziecie mieli wstępu do środka; technologia, jakiej tutaj używamy, w znacznym stopniu przewyższa waszą wiedzę...

Potem oprowadził ich po module mieszkalnym. Dość pobieżnie obejrzeni swoje pokoje, a Orzeł niemal natychmiast rozkazał robotowi, aby zawiózł ich do sąsiedniego sektora.

- Co my właściwie mamy tutaj robić? - zapytała Nicole po kilku godzinach, gdy Orzeł postanowił pokazać im inną część ich przyszłego "domu w Ramie".

- Nic szczególnego. Chcieliśmy wam po prostu pokazać wielkość waszego kompleksu mieszkalnego na wypadek, gdyby pomogło wam to sformułować uwagi dotyczące jego wyposażenia. W Punkcie Węzłowym mamy model waszego ramańskiego domu i tam przeprowadzimy wszelkie prace projektowe.

Nicole usiadła na jednym z metalowych "pudeł" i rozejrzała się dookoła. Już sama ilość robotów mogła przyprawić o zawrót głowy. Czuła się przytłoczona od chwili, gdy znalazła się w hali. Wyciągnęła do Richarda rękę.

- Wiem, że powinnam zastanawiać się, jak to wszystko urządzić - powiedziała - ale nie mogę. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień...

- Ja też mam dość - wyznał Richard. - Nie przypuszczałem, że zobaczę coś wspanialszego niż Rama...

- A zastanawiałeś się, jak wygląda fabryka, w której budowano tę halę? - spytała Nicole. - Albo miejsce, gdzie powstał Punkt Węzłowy...

Richard roześmiał się.

- Tym sposobem możemy dojść do nieskończonej wielkości; jeżeli Punkt Węzłowy rzeczywiście jest maszyną, to z pewnością stanowi urządzenie "wyższego rzędu" niż Rama. Możliwe, że Ramę budowano właśnie tutaj, a kontrolę na całym przedsięwzięciem sprawował Punkt Węzłowy. A kto zbudował ośrodek kontrolny w Punkcie Węzłowym? Czy stworzenia takie jak my, powstały dzięki ewolucji? I czy one w ogóle jeszcze istnieją w znaczeniu, które potrafimy zrozumieć? A może stały się jakąś bezcielesną formą inteligencji?

Usiadł obok swojej żony.

- Nie mieści mi się to wszystko w głowie, chyba też mam dość... Wiesz co, może wrócimy do domu, do dzieci?

Nicole wzięła go za rękę.

- Jesteś mądrym człowiekiem, Richardzie. Także dlatego cię kocham...

Zbliżył się do nich robot trzymający w szczypcach jakieś metalowe zwoje.

- Ja też cię kocham.

Wstali, dając Orłowi znak, że chcą już iść.

Był wieczór. Nicole i Richard właśnie skończyli się kochać, ale żadne z nich jeszcze nie zasnęło.

- Czy coś cię trapi, kochanie? - spytała Nicole.

- Dziś znowu poczułem się tak, jakbym błędził we mgle. To trwało prawie trzy godziny.

- Boże! - Wystraszona Nicole usiadła na łóżku. - A czy teraz dobrze się czujesz? Mam przynieść skaner?

- Nie trzeba - potrząsnął głową Richard. - Twoja aparatura i tak nie pokazuje moich uczuć. Ale dopiero dzisiaj w pełni zdałem sobie sprawę, że nie jest ze mną dobrze...

- Pamiętasz od czego zaczęło się tym razem?

- Oczywiście, zawsze pamiętam. Myślałem o naszej wyprawie do hangaru i o drugim module mieszkalnym. Zacząłem sobie przypominać sceny z mojej odysei i nagle znalazłem się we mgle. Myślę, że gdybyś wtedy weszła do pokoju, mógłbym cię nie rozpoznać. Czuję się tak, jakby ktoś czuwał nad moimi myślami i gdy docieram do pewnych wspomnień - zapada kurtyna.

Richard umilkł.

- Kiedy zamykam oczy, wciąż widzę roboty pracujące w Ramie - powiedziała Nicole.

- Ja też.

- A mimo to trudno mi uwierzyć, że widzieliśmy to wszystko naprawdę, że to nie był sen albo film. - Uśmiechnęła się do niego. - Te ostatnie czternaście lat było niezwykle.

- Owszem - odparł kładąc się na wznak. - Ale kto wie, może najciekawsze dopiero przed nami?

6.

Holograficzny model Nowego Edenu sporządzono w skali jeden do dwóch tysięcy. Moduł mieszkalny zajmuje powierzchnię stu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych i znajduje się na Równinie Środkowej, naprzeciwko jednej z klatek schodowych. Ma dwadzieścia kilometrów długości i osiem szerokości; krótszy z jego boków ustawiony jest równoległe w stosunku do osi obrotu Ramy.

Ale Nowy Eden nad którym Nicole i Richard pracowali wraz z Orłem miał bardziej przystępne wymiary i mieścił się w dużym pomieszczeniu. Holograficzna projekcja umożliwiała swobodne poruszanie się pomiędzy poszczególnymi budynkami. Wszelkie zmiany dokonywane były natychmiast.

- Znowu zmieniliśmy zdanie - powiedziała Nicole, po raz kolejny swoją "czarną latarką" obrysowując kształty budynków. - Nie chcemy, żeby wszystko było w jednym miejscu. Wolelibyśmy sektory mieszkalne i małe sklepy umieścić w rogach prostokąta. W centrum znajdowałyby się tylko te budynki, z których korzystaliby wszyscy mieszkańcy kolonii...

- Takie rozwiązanie wymaga zmian w systemie komunikacji - dodał Richard - oraz współrzędnych parku, lasu Sherwood, Jeziora Szekspira i Olimpu. Ale myślę, że te wszystkie elementy da się jakoś ułożyć w spójną całość. Oto wstępny szkic.

Orzeł spojrział na plan Richarda widniejący na ekranie komputera; Nicole i Richard odnieśli wrażenie, że ich gospodarz się skrzywił.

- Mam nadzieję, że będzie to ostatnia poważna zmiana - mruknął. - Od poprzedniego spotkania nie poczyniliśmy żadnych postępów, a teraz znów zaczynamy od początku.

- Jest nam bardzo przykro - powiedziała Nicole. - Ale trudno było za jednym zamachem ogarnąć tak olbrzymie przedsięwzięcie. Teraz dopiero zdajemy sobie sprawę z ogromu prac. To, co stworzymy, ma funkcjonować przez wiele lat i musimy przewidzieć najróżniejsze wydarzenia, które mogą zajść w życiu dwóch tysięcy ludzi. Jeżeli mamy to zrobić dobrze, potrzebujemy na to dużo czasu.

- Jak widzę, znów powiększyliście ilość wysokich budynków w centrum - rzekł Orzeł. - Czemu ma służyć wieżowiec za biblioteką i ta hala?

- To ośrodek sportowy - wyjaśniła Nicole. - Będzie tam bieżnia, boisko do baseballu i piłki nożnej, korty tenisowe, sala gimnastyczna i basen, oraz miejsca dla publiczności. Oboje z Richardem uważamy, że w Nowym Edenie sport będzie istotnym elementem naszego życia, zwłaszcza że większość prac będą wykonywały bioty...

- Powiększyliście także rozmiary szkół i szpitala...

- Nie pozostawiliśmy dostatecznej ilości przestrzeni na przyszłe budowle...

Pierwsze dwie konferencje nad projektem trwały po dziesięć godzin. Po pewnym czasie Richard i Nicole przestali się dziwić szybkości i precyzji, z jaką Orzeł wykonywał ich polecenia, ale jego zainteresowanie kluczowymi sprawami wciąż wzbudzało szacunek. Na przykład długo wypytywał ich o nazwę, jaką ludzie nadali swojej kolonii. Gdy Nicole wyjaśniła dlaczego moduły mieszkalne powinny się jakoś nazywać, Orzeł chciał koniecznie wiedzieć co znaczy "Nowy Eden".

- Rozmawialiśmy o tym przez cały wieczór - wyjaśnił Richard - i mieliśmy trudności z podjęciem decyzji. Zastanawialiśmy się, czy "Utopia" nie byłaby dobrą nazwą; potem rozważaliśmy też inne słowa: Nowe Jeruzalem, Raj, Niebo, Concordia i Beauvois. Ale ostatecznie zdecydowaliśmy, że "Nowy Eden" to najlepszy wybór.

- Musi pan wiedzieć - dodała Nicole - że Eden był początkiem tego, co nazywamy kulturą zachodnią. Był to raj stworzony dla ludzi przez wszechmogącego Boga, stwórcy wszechświata. W Edenie istniało wiele najróżniejszych form życia, choć było tam raczej niewiele robotów... Nowy Eden też stanowi początek, załazek cywilizacji, ale w pewnym sensie jest niemal przeciwieństwem tamtego Edenu. Nasz Eden jest cudem technologii i poza nami nie będzie w nim na razie tych wszystkich istot...

Gdy ogólny plan był gotów, należało podjąć setki decyzji dotyczących detali. Zadanie Katie i Patricka polegało na zaprojektowaniu na czterech osiedlach parków rekreacyjnych. Żadne z nich nigdy nie widziało prawdziwej trawy, kwiatów ani drzew, ale obejrzawszy wiele filmów i fotografii wiedzieli mniej więcej, jak powinien wyglądać park. Ostatecznie narysowali cztery ładne projekty, znajdując dość miejsca na ogrody, drzewa i ciche, spokojne alejki.

- Ale skąd weźmiemy trawę i kwiaty? - Katie spytała Orła.

- Ludzie zabiorą je z Ziemi - odparł Orzeł.

- A skąd będą wiedzieć, co mają zabrać?

- Powiemy im.

Katie zauważyła, że w Nowym Edenie brak czegoś, o czym wielokrotnie opowiadała jej matka.

- A ogród zoologiczny? - powiedziała. - Czy w Nowym Edenie będzie zoo?

Orzeł dokonał niezbędnych zmian w projekcie, aby na skraju lasu Sherwood zmieścił się niewielki ogród zoologiczny.

Richard pracował z Orłem nad szczegółami natury technicznej, a Nicole myślała o środowisku. Gdy Orzeł zaproponował, aby wszystkie domy miały jednakowe wyposażenie, głośno

roześmiała się.

- Nie wydaje mi się, abyście dużo o nas wiedzieli. Ludzie nie lubią monotonii. Jeżeli wszystkie domy byłyby jednakowe, ich mieszkańcy natychmiast zaczęliby je zmieniać i przebudowywać...

Z braku czasu Nicole zdecydowała, że będzie tylko osiem rodzajów budynków mieszkalnych i cztery typy mebli, co dawało w sumie trzydzieści dwie konfiguracje mieszkalne.

W ciągu kilku godzin Richard i Orzeł uzgodnili szczegóły konstrukcji węzła komunikacyjnego i systemu łączności. Pierwotny plan Orła zakładał dwanaście godzin dnia i dwanaście nocy; zachmurzenie i deszcze miały następować regularne i w przewidzianym czasie, temperatura miała być utrzymywana na stałym poziomie.

Gdy Richard zażądał pór roku, zmiennej długości dnia i niespodziewanych zmian pogody, Orzeł oświadczył, że "znaczne zmiany parametrów" tak olbrzymiej masy powietrza wymagałyby poświęcenia znacznie większej ilości czasu komputerowego. Należałoby zmienić główne algorytmy, co opóźniłoby start. Nicole poparła Richarda mówiąc, że "prawdziwe zachowania ludzi - które podobno chcecie obserwować - w zasadniczym stopniu zależą od zmian pogody".

Po dłuższym czasie doszło do kompromisu; długość dnia i nocy będzie odpowiadała warunkom panującym na trzydziestym stopniu szerokości geograficznej, a pogodzie zezwoli się na wahania w pewnych określonych granicach. Urządzenie klimatyczne będzie uruchamiane tylko wtedy, gdy parametry krytyczne zostaną przekroczone. Dzięki temu zarówno temperatura, siła wiatru jak i natężenie opadów będą się zmieniać.

Istniały jednak sprawy, co do których Orzeł nie dał się przekonać: nie będzie ani błyskawic, ani lodu.

Chciał, aby na pokładzie Ramy znalazły się te same bioty, które były tam poprzednio. Ale Richard i Nicole przekonali go, że roboty swoim kształtem przypominające kraby, pająki i modliszki "były nieodpowiednie".

- Kosmonauci którzy weszli na pokład Ramy nie byli zwykłymi ludźmi - tłumaczyła Nicole.
- Byliśmy poddani treningom i ćwiczeniom, a pomimo to niektórzy z nas przestraszyli się waszych biotów. Zwykli ludzie, gdyby zobaczyli takie potwory, prawdopodobnie zamknęliby się ze strachu w swoich domach.

Po wielogodzinnej dyskusji Orzeł zgodził się na zmiany konstrukcyjne biotów; śmieci będą zbierane przez urządzenia przypominające ziemskie "śmieciarki", z tym że pozbawione kierowcy. Prace inżynierskie będą przeprowadzane przez roboty przypominające swoją budową swoje ziemskie odpowiedniki, na przykład dźwigi. Dzięki temu będą kojarzyły się z czymś znajomym i wśród mieszkańców kolonii nie wzbudzą paniki.

- A co z biotami-ludźmi? - spytał Orzeł po wielogodzinnej naradzie. - Przewidywaliśmy, że będą pełniły funkcje pomocnicze. Przed waszym przybyciem wiele czasu poświęciliśmy na ich zaprojektowanie.

Richardowi spodobał się ten pomysł, ale Nicole odniosła się do niego sceptycznie.

- Bioty muszą różnić się od ludzi na tyle, żeby nawet małe dziecko rozpoznawało robota - powiedziała Nicole.

- Czytujesz zbyt dużo powieści science fiction - roześmiał się Richard.

- To poważny problem - zaprotestowała Nicole. - Bez trudu mogę sobie wyobrazić, że bioty skonstruowane w Punkcie Węzłowym będą nieodróżnialne od ludzi, nie mówimy przecież o kościotrupach, które widzieliśmy w Ramie. Ludzie będą przerażeni, jeżeli nie będą mogli odróżnić robotów od żywych ludzi.

- Więc ograniczymy ilość ich rodzajów - odparł Richard. - Dzięki temu bez trudu będzie je można odróżnić od ludzi. Czy to cię uspokaja? Szkoda byłoby nie skorzystać z takiej możliwości...

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedziała Nicole. - Oczywiście zakładając, że pokazalibyśmy ludziom, jak one wyglądają. Musimy wykluczyć możliwość pomyłki.

Po kilku tygodniach wyłożonych prac większość decyzji została podjęta; Richard i Nicole mieli teraz nieco więcej wolnego czasu, który spędzali z dziećmi i Michaeliem. Pewnego wieczora Orzeł pojawił się u nich, aby powiedzieć, że Nowy Eden poddawany jest ostatnim testom, ze szczególnym uwzględnieniem zmian klimatycznych.

- W lesie Sherwood, w parkach i nad brzegami jezior, czyli w miejscach, gdzie znajdują się rośliny przywiezione z Ziemi, umieściliśmy wymienniki gazu, które nazywamy w skrócie GED. Spełniają one funkcję roślin, czyli wchłaniają dwutlenek węgla i wydzielają czysty tlen. Rosnące stężenie dwutlenku węgla w atmosferze mogłoby przyczynić się do destabilizacji algorytmów sterujących zmianami pogody. Wymienniki GED zużywają nieco prądu, więc zmniejszyliśmy ilość energii, którą mieszkańcy kolonii początkowo będą mieli do dyspozycji. Później, gdy rośliny przejmą rolę GED-ów, nie będzie już żadnych ograniczeń.

- W porządku, panie Orzeł - powiedział Katie - ale kiedy polecimy?

- Miałem zamiar powiedzieć wam o tym w dniu Bożego Narodzenia - odparł Orzeł i na jego twarzy pojawiła się zmarszczka oznaczająca uśmiech. - A to dopiero za dwa dni...

- Proszę nam powiedzieć już teraz - poprosił Patrick.

- No... dobrze - rzekł Orzeł. - Rama będzie mógł opuścić hangar jedenastego stycznia. W ciągu następnych dwóch dni załadujemy was na pokład; Punkt Węzłowy opuścicie trzynastego stycznia przed południem.

To już za trzy tygodnie, pomyślała z bijącym sercem Nicole. A pozostało jeszcze tyle do zrobienia... Spojrzała na Michaela i Simone, którzy siedzieli obok siebie na sofie. Moja kochana córeczko, muszę przygotować twoje wesele...

- Pobierzemy się w dniu twoich urodzin, mamó - oznajmiła Simone. - Umawialiśmy się przecież, że ślub urządzimy na tydzień przed waszym odlotem.

Nicole zaszkliły się oczy. Spuściła głowę, żeby dzieci tego nie widziały. Nie jestem jeszcze gotowa na pożegnanie. Nie mogę pogodzić się z myślą, że już nigdy nie zobaczę Simone...

Nicole postanowiła nie brać udziału w wieczornych zabawach. Skłamała, że Orzeł poprosił ją o przygotowanie jakiegoś raportu. W rzeczywistości chciała zostać sama, musiała zastanowić się, jak zaplanować ostatnie trzy tygodnie w Punkcie Węzłowym. Już przy obiedzie pomyślała, że tak wiele spraw pozostało nie rozstrzygniętych. Obawiała się, że zapomni o czymś bardzo ważnym; sporządziła więc obszerną listę "spraw do załatwienia".

Na jej końcu dopisała dużymi literami: BENJY???. Usiadła na łóżku zastanawiając się nad losem swojego najstarszego syna.

Nagle do drzwi rozległo się pukanie.

- Ma-mo? - W drzwiach stanął Benjy. - Czy mogę z tobą po-rozmawiać? - spytał, zastanowił się chwilę i dodał: - Teraz?

- Oczywiście, kochanie - odparła Nicole. - Usiądź koło mnie.

Benjy zbliżył się do matki i czule się do niej przytulił, po czym usiadł i spuścił głowę.

- Ty, Rich-ard i inne dzie-ci od-le-cicie na bar-dzo długo - powiedział.

- To prawda - przyznała Nicole starając się, aby zabrzmiało to optymistycznie.

- Ta-ta i Si-mone zostaną tutaj i będą mę-żem i żoną? To nie było zwykle pytanie. Benjy uniósł głowę i w napięciu czekał na odpowiedź.

Nicole skinęła głową. W oczach Benjy'ego stanęły łzy.

- A Ben-jy? - spytał. - Co ma zrobić Ben-jy?

Nicole przytuliła go do siebie. Rozpłakała się. Chłopiec także płakał, jego ciałem wstrząsały dreszcze. Nicole była na siebie zła, że tak długo zwlekała z podjęciem decyzji.

On przez cały czas wiedział o wszystkim, myślała. Od pierwszej rozmowy. I czekał. Myśli, że nikt go nie chce...

- Możesz wybrać, kochanie - powiedziała, gdy opanowała wzruszenie. - Bardzo byśmy się cieszyli, gdybyś zechciał polecieć z nami, ale twój ojciec i Simone chcą, abyś został z nimi...

Benjy spojrzał na matkę, jak gdyby jej nie wierzył. Nicole powtórzyła.

- Mó-wisz praw-dę? - spytał Benjy.

Nicole energicznie skinęła głową.

Benjy uśmiechnął się i odwrócił głowę. Długo milczał.

Tu-taj nie będę miał się z kim ba-wić - powiedział wciąż patrząc w podłogę. - A Si-mone będzie z ta-tą...

Nicole była zdziwiona zwięzłością, z jaką Benjy formułował swoje myśli.

Wujek Richard, Katie, Patrick i Ellie bardzo cię kochamy i chcielibyśmy, żebyś poleciał z nami.

Benjy spojrział na matkę. Po jego policzkach znów spływały łzy.

- Po-lecę z tobą, ma-mo - powiedział tuląc się do Nicole.

On już dawno podjął decyzję, pomyślała Nicole przytulając syna. Jest mądrzejszy, niż sądziliśmy. Przyszedł do mnie chcąc się upewnić, czy naprawdę go chcemy...

7.

“...Panie, pobłogosław nasz związek, abyśmy dzielili się darem Twojej miłości... Wysłuchaj nas w imię Syna Twojego, Pana Naszego, którego zesłałeś na Ziemię, aby odkupił nasze grzechy. Amen.”

Siedemdziesięciodwuletni Michael Ryan O'Toole otworzył oczy. Siedział za biurkiem w swoim pokoju. Zerknął na zegarek. Za dwie godziny Simone zostanie moją żoną, pomyślał. Spojrzał na figurkę Jezusa i niewielkie popiersie św. Michała z Sieny. A potem będę trzymał mojego aniołka w ramionach... Boże, spraw, abym nie zawiódł tej dziewczyny...

O'Toole otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej Biblię. Była to jedyna prawdziwa książka, jaką miał. Pozostałe były kostkami, które wkładało się do komputera. Jego Biblia była czymś szczególnym: przypominała o życiu, jakie niegdyś wiódł na odległej planecie.

Towarzyszy łąmu od najmłodszych lat. Teraz wziął ją do ręki i obudziły się w nim uspięne wspomnienia...

Miał sześć lat. Ojciec właśnie wrócił do domu i wszedł do jego pokoju. Michael bawił się komputerem i był nieco zawstydzony tym, że ojciec zastał go przy tak próżnym zajęciu.

- Synu - rzekł ojciec - chcę ci coś ofiarować. To będzie twoja Biblia. To prawdziwa książka, taka, którą czyta się odwracając strony. Na pierwszej wypiszemy twoje imię.

Michael wyszeptał ciche “dziękuję” i wziął książkę do ręki. Biblia miała przyjemną w dotyku, skórzaną okładkę.

- W tej książce zawarta jest nauka o Bogu. Przeczytaj ją dokładnie; rób to często, a w życiu kieruj się jej mądrością...

Tamtej nocy schowałem biblię pod poduszkę, wspominał Michael. I leżała tam przez całą moją młodość...

Przypomniawszy sobie dzień, kiedy jego szkoła wygrała mecz baseballowy i jechała na zawody do Springfield. Wziął ze sobą Biblię, ale wstydził się tego i nie chciał, aby dowiedzieli się o tym jego koledzy z drużyny; obawiał się drwin. W torbie z przyborami toaletowymi otworzył specjalną przegródkę, i gdy jego koledzy myli się w łazience, wyjął Biblię i włożył ją pod poduszkę.

Wziąłem ją ze sobą także w podróż poślubną, przypomniawszy sobie. Kathleen była taka - wyrozumiała...

Wspomnienie zachodzącego słońca i ciepłego piasku sprawiło, że poczuł się bardzo samotny. Jak sobie sama dajesz radę, Kathleen? - myślał Michael. Nasz wnuk Matt jest już nastolatkiem; a inne wnuki? Ilu ich teraz jest?

Naszła go kolejna fala wspomnień, zobaczył ich wszystkich: Kathleen, córkę Colleen, syna Stephena i swoje wnuki... Siedzieli przy długim stole, było Boże Narodzenie. Teraz Stephen odmówi modlitwę, pomyślał. Ze wszystkich dzieci zawsze był najbardziej wierzący...

O'Toole wrócił do rzeczywistości i otworzył Biblię na pierwszej stronie. Była tam kronika najważniejszych wydarzeń w jego życiu:

7/13/67 małżeństwo z Kathleen Muiphy, w Bostonie, w stanie Massachusetts

1/30/69 narodziny syna, Thomasa Murphy'ego O'Toole'a, w Bostonie

4/13/70 narodziny córki, Colleen Gavin O'Toole, w Bostonie

12/27/77 narodziny syna, Stephena Molloy'ego O'Toole'a, w Bostonie

2/14/92 śmierć Thomasa Murphy'ego O'Toole'a, w Pasadenie, w stanie Kalifornia

Oczy Michaela zatrzymały się na ostatnim wierszu. Wielokrotnie myślał o nieszczęściu, które wydarzyło się w dniu św. Walentego.

Zaprosił Kathleen na obiad do pięknej restauracji w bostońskim porcie.

- Bardzo mi przykro, że tak długo czekaliście państwo na deser - powiedział kelner. - W telewizyjnych wiadomościach pokazywano trzęsienie ziemi w Południowej Kalifornii.

Michael i Kathleen spojrzeli na siebie z przerażeniem. Tommy, ich najstarszy syn, otrzymawszy stypendium, rozpoczął studia na wydziale fizyki Uniwersytetu CalTech. Pobiegli do baru, gdzie znajdował się telewizor i dowiedzieli się, że trzęsienie ziemi nastąpiło o godzinie 5.45 czasu miejscowego. Uskok San Andreas powiększył się w okolicy przełęczy Cajon; w promieniu stu mil od epicentrum ludźmi, samochodami i budynkami rzucało niczym statkami po wzburzonym morzu.

Przez cały wieczór śledzili napływające informacje. Trzęsienie ziemi miało przerażającą siłę: osiem i dwie dziesiąte w skali Richtera. Dwadzieścia milionów ludzi zostało pozbawionych wody, prądu, środków transportu i łączności. Szczeliny o głębokości pięćdziesięciu stóp, powstałe w skorupie ziemskiej, doprowadziły do załamania się konstrukcji większości budynków. Drogi były nieprzejezdne; Los Angeles było zniszczone bardziej, niż gdyby na miasto spadło kilka bomb atomowych.

Wczesnym rankiem Federalna Administracja do spraw Klęsk Żywiolowych podała numery telefonów, pod którymi można było uzyskać informacje o poszkodowanych. Kathleen O'Toole natychmiast zadzwoniła pod wskazany numer i podała komputerowi wszystkie informacje o swoim synu: jego adres, numer telefonu, nazwę restauracji w której pracował dorabiając do stypendium, imię, adres i numer telefonu jego dziewczyny.

Czekaliśmy cały dzień, i wtedy zadzwoniła Cheryl. Jakimś cudem udało jej się dojechać do

domu rodziców w Poway.

- Restauracja się zapadła, panie O'Toole - szlochała dziewczyna - a potem stanęła w płomieniach. Rozmawiałam z jedynym kelnerem, który ocalał. Przeżył tylko dzięki temu, że był akurat na tarasie. Tommy pracował w kuchni, na samym dole...

Michael westchnął. To nie tak, pomyślał, nie tak... teraz jest czas na radość, a nie na bolesne wspomnienia. Ze względu na Simone nie mogę myśleć o Tommym...

Zamknął Biblię i otarł łzy. Wstał zza biurka i poszedł do łazienki. Ogolił się i wziął gorący prysznic.

Po piętnastu minutach znów otworzył Biblię, tym razem I trzymając w ręce pióro, i dopisał:

1 10/31/97 narodziny wnuka, Matthewa Arnolda Rinaldiego, w Toledo, w stanie Ohio

8/27/06 narodziny syna, Benjamina Ryana O'Toole, na pokładzie Ramy

3/7/08 narodziny syna, Patricka Erina O'Toole'a, na pokładzie Ramy

1/6/15 małżeństwo z Simone Tiasso Wakefield

Jestem już stary, pomyślał Michael patrząc na swoje odbicie w lustrze. Zamknął Biblię i znów poszedł do łazienki, aby po raz kolejny uczesać rzadkie, siwe włosy. Jestem za stary, żeby się żenić.

Pomyślał o pierwszym ślubie, przed czterdziestoma sześcioma laty. Kathleen była taka piękna, o mały włos nie popłakałem się, gdy zobaczyłem ją w kościele, w białej sukni...

Myśli o pięknej, młodej dziewczynie w ślubnej sukni wywołały inne wspomnienie. Kathleen płakała. Znajdowała się w pokoju "dla rodzin" w Cape Kennedy. Nadszedł już czas, aby LEO-3 dołączyć do Newtona.

- Uważaj na siebie - powiedziała przytulając go do siebie. - Jestem z ciebie taka dumna - szepnęła mu do ucha. - I bardzo cię kocham.

- Bo cię bardzo kocham - powiedziała Simone, gdy spytał dlaczego naprawdę, naprawdę, chce wyjść za niego za mąż.

Jesteś tak niewinna i dobra, Simone, myślał. Na Ziemi jeszcze nie chodziłabyś z chłopcami na randki. I traktowano by cię jak dziewczynkę, a nie jak dojrzałą kobietę...

Myślał o trzynastu latach przeżytych na pokładzie Ramy; o narodzinach Simone, trudnym porodzie, o tej cudownej chwili, gdy dziewczynka przyszła na świat, on delikatnie położył ją na brzuchu matki. Potem pomyślał o niezwykle poważnej sześciolatce z uwagą czytającej katechizm i o tym, jak razem z Katie skakała przez skakankę, śpiewając piosenki. Kolejny obraz przedstawiał ostatni piknik nad Morzem Cylindrycznym. Simone z dumą patrzyła na postępy Benjy'ego, jak

gdyby była jego aniołem stróżem.

Gdy dotarliśmy do punktu węzłowego była już kobietą. Jest bardzo wierząca, cierpliwa i dobra dla dzieci. Nikt nie potrafi rozbawić Benjy'ego tak jak ona.

Michael nie potrafił określić uczucia jakie żywił do Simone; nie była to miłość mężczyzny do kobiety, która ma zostać jego żoną, był to raczej podziw i zauroczenie jej osobowością. Ale silna więź łącząca tę dziwną parę z pewnością była miłością.

Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem, pomyślał Michael ubierając się. Bóg już wiele razy obdarował mnie swoją łaską...

Na drugim końcu przestronnych apartamentów Nicole ubierała Simone. Dziewczynka nie miała na sobie klasycznej sukni ślubnej, choć jej strój był biały i z pewnością nie mógł uchodzić za "powszedni i codzienny".

Nicole ostrożnie czesała długie włosy panny młodej.

- Wyglądasz ślicznie - powiedziała.

Spojrzała na zegarek, miały jeszcze dziesięć minut. Simone była już gotowa, musiała tylko włożyć buty.

Świetnie, pomyślała Nicole, teraz będziemy mogły porozmawiać...

- Kochanie - zaczęła Nicole i głos nieoczekiwanie uwiązał jej w gardle.

- Słuchani, mamó? - spytała Simone wkładając czarne buty.

- Kiedy w zeszłym tygodniu mówiłyśmy o seksie - zaczęła Nicole - nie poruszyłyśmy wielu spraw...

Simone spojrzała na matkę, co Nicole zbiło z tropu.

- Przeczytałaś książki, które ci dałam...?

Simone ze zdziwieniem uniosła brwi.

- Oczywiście - odparła. - Rozmawiałyśmy o tym wczoraj.

Nicole wzięła swoją córkę za rękę.

- Michael jest wspaniałym człowiekiem - powiedziała - jest dobry, delikatny... Ale on jest... starszy od ciebie. I gdy mężczyzna jest starszy, to...

- Obawiam się, że nie rozumiem...

- Chodzi mi o to - mówiła Nicole biorąc głęboki oddech - że w łóżku będziesz musiała być cierpliwa i wyrozumiała. Nie wszystko może się wam udać...

Simone obdarzyła ją długim spojrzeniem.

- Domyślałam się tego - powiedziała po dłuższym milczeniu. - Wywnioskowałam to z twojego zachowania i nerwowości Michaela. Nie stawiam wysokich wymagań; po pierwsze, nie

wychodzę za mąż, aby zaspokajać swoje żądze. A ponieważ nie mam w tych sprawach żadnego doświadczenia, wszystko, czego doznam, i tak będzie wspaniałe...

Nicole uśmiechnęła się do swojej dorosłej, trzynastoletniej córki.

- Jesteś prawdziwym skarbem - powiedziała.

- Dziękuję - odparła Simone obejmując matkę. - Nasze małżeństwo ma Boże błogosławieństwo. Jeżeli będziemy mieli kłopoty, zawsze możemy prosić Go o pomoc. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze...

Serce Nicole przeszły ból. Jeszcze tylko tydzień, pomyślała, i rozstanę się z nią na zawsze. Gdy do pokoju wszedł Richard, aby oświadczyć, że wszyscy są gotowi, Nicole wciąż tuliła do siebie córkę.

8.

- Dzień dobry - powiedziała nieśmiało Simone wchodząc do kuchni z Michaeliem. Inni siedzieli przy stole i jedli śniadanie.

- Dzień do-bry - odpowiedział Benjy z pełną buzią. Jadł właśnie grzanekę z dżemem. Wstał i przytulił się do siostry.

Tuż za nim stanął Patrick.

- Pomożesz mi w matematyce? - spytał Simone. - Mama mówi, że teraz, kiedy wybieramy się w podróż, muszę się dobrze uczyć.

Michael i Simone usiedli przy stole, chłopcy także zajęli swoje miejsca. Simone wyciągnęła rękę po dzbanek z kawą. [Pod tym względem była podobna do matki: bez porannej kawy nie mogła się obudzić.

- No i co? - spytała Katie. - Czy miesiąc miodowy już się skończył? Przecież to już trzy noce i dwa dni. Wysłuchaliście już chyba całej muzyki klasycznej, jaką tu mamy...

Michael się roześmiał.

- Tak, Katie - powiedział patrząc porozumiewawczo na Simone. - Zdjęliśmy już z drzwi kartkę "nie przeszkadzać". Chcielibyśmy wam pomóc w przygotowaniach do drogi.

- Całkiem dobrze nam to idzie - powiedziała Nicole ciesząc się, że jej córka jest szczęśliwa z Michaeliem. Magiom się nie martwić, pomyślała. Czasami odnoszę wrażenie, że Simone jest bardziej dojrzała niż ja.

- Chciałabym, żeby Orzeł zdradził nam więcej szczegółów czekającej nas podróży - odezwał się Richard. - Nie chce nam powiedzieć ani jak długo to potrwa, ani czy będziemy przebywać w stanie hibernacji; odmawia wszelkich konkretnych odpowiedzi.

- Mówi, że "nie wie na pewno" - przypomniała Nicole. - Podobno przewidziane są różne scenariusze.

- Zawsze mu wierzysz - mruknął Richard. - Jesteś najbardziej ufną osobą...

Rozległ się dzwonek do drzwi. Katie poszła je otworzyć i po chwili w kuchni pojawił się Orzeł.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział grzecznie - ale mamy dziś dużo do zrobienia. Chciałabym, aby pani Wakefield poszła teraz ze mną.

Nicole dopiła kawę i spojrzała na Orła ze zdziwieniem.

- Mam pójść sama?

- Tak - odparł Orzeł. - Chodzi o zadanie, które tylko pani może wykonać.

- Czy da mi pan kilka minut czasu na przygotowanie się?

- Oczywiście.

Nicole wyszła się przebrać, a Richard zasypał Orła pytaniami.

- Rozumiem - mówił - że upewniliście się, iż będziemy mogli przespać całe to przyspieszanie i hamowanie. Ale co będzie w trakcie lotu? Czy także będziemy spali?

- Przeważnie tak - odparł Orzeł. - W ten sposób możemy opóźnić biologiczne procesy starzenia się i utrzymać was w dobrej formie fizycznej. Ale w naszym planie jest wiele niewiadomych: możliwe, że w trakcie podróży trzeba was będzie obudzić...

- Dlaczego nie powiedzieliście nam o tym wcześniej?

- Bo decyzja nie została jeszcze podjęta. Scenariusz waszej misji jest niezmiernie skomplikowany; jej główny plan nakreślono stosunkowo niedawno.

- Nie chcę, żeby proces mojego dorastania został "opóźniony" - zaprotestowała Katie. - Kiedy spotkam ludzi z Ziemi, chcę być już dorosła.

- Rozmawiałem o tym wczoraj z twoimi rodzicami - odparł Orzeł. - To bardzo ważne, aby opóźnić procesy starzenia się; nie możemy dokładnie określić, kiedy dotrzecie do Układu Słonecznego. Gdybyście na przykład spali przez pięćdziesiąt lat...

- Co!?! - wykrzyknął Richard. - Pięćdziesiąt lat!?! Dotarliśmy tutaj w niecałe trzynaście. Dlaczego mielibyśmy...

- Będę starsza niż mama - jęknęła z przerażeniem Katie.

Nicole wróciła do pokoju.

- Kto tutaj mówi o pięćdziesięciu latach? Dlaczego tak długo? Czy najpierw polecimy gdzieś indziej?

- No, to wszystko jasne - rzekł Richard. Był wściekły. - Dlaczego nie powiedziano nam o tym przedtem? Na pewno inaczej zaprojektowalibyśmy nasz ramański apartament... Boże, jeżeli to potrwa pięćdziesiąt lat, będziemy mieli z Nicole po sto!

- Nie, nie będziecie - zaprzeczył Orzeł beznamiętnym głosem. - Oszacowaliśmy, że podczas snu w ciągu pięciu lat będziecie się starzeć o rok. U dzieci stosunek ten wyniesie dwa do jednego - przynajmniej do czasu, gdy staną się dorosłe. Nie chcemy za bardzo manipulować hormonami wzrostu. Poza tym pięćdziesiąt lat to górna granica.

- Nic nie rozumiem - westchnęła Katie. - Ile lat będę miała, gdy spotkam człowieka nie będącego członkiem mojej rodziny?

- Na to pytanie nie mogę udzielić dokładnej odpowiedzi - rzekł Orzeł. - Ale biologicznie rzecz biorąc, twoje ciało powinno mieć dwadzieścia kilka lat. W każdym razie jest to najbardziej prawdopodobne. Na razie to wszystko, co mogę wam powiedzieć. A teraz muszę poprosić twoją

matkę, żeby ze mną poszła.

- Jak zwykle, wszystko się przed nami ukrywa - mruknął Richard. - Zastanawiam się, dlaczego w ogóle z nimi rozmawiamy...

- Mogliśmy mieć z wami większe kłopoty - mówił Orzeł do Nicole, gdy wychodzili z pokoju. - Prawdę mówiąc, na podstawie naszych obserwacji zakładaliśmy, że w ogóle nie będziecie chcieli z nami współpracować. Wprawdzie bez względu na wasze zachowanie ostateczny wynik byłby taki sam, jednak w ten sposób jest wam chyba przyjemniej...

- Do widzenia - powiedziała Nicole.

- Do wi-dzenia - odpowiedział Benjy i wciąż machał matce na pożegnanie, choć drzwi już się zamknęły.

Tekst był długi. Nicole pomyślała, że odczytanie go zajmie jej co najmniej piętnaście minut.

- Czy jest pani gotowa? - Orzeł ponowił pytanie. - Chcielibyśmy zacząć nagranie...

- Chcę się najpierw dowiedzieć, jak wykorzystacie ten film - powiedziała Nicole.

- Wyemitujemy go w kierunku Ziemi kilka lat przed waszym dotarciem do Układu Słonecznego. Dzięki temu Ziemianie będą mieli czas, aby się przygotować.

- Skąd wiecie, że oni odbiorą ten sygnał?

- Poprosimy ich o potwierdzenie.

- A jeżeli nie otrzymacie potwierdzenia?

- Mamy swoje sposoby.

Nicole miała wątpliwości co do treści dokumentu, który otrzymała do przeczytania; spytała, czy może porozmawiać o tym z Michaelem i Richardem.

- Czego się pani obawia? - spytał Orzeł.

- Wszystkiego - odparła Nicole. - Nie jestem przekonana, czy postępuję słusznie. Mam wrażenie, że wykorzystujecie mnie do swoich celów; nie chcę zdradzić mojego gatunku.

Orzeł podał Nicole szklankę wody i usiadł obok.

- Zacznijmy od początku - powiedział. - Naszym głównym celem jest zgromadzenie jak największej ilości informacji o gatunkach podróżujących w naszej galaktyce. Zgadza się?

Nicole skinęła głową.

- Wewnątrz Ramy zbudowaliśmy moduł mieszkalny zdolny pomieścić dwa tysiące ludzi i wysyłamy was z powrotem, abyście zabrali tych ludzi z Ziemi. Film, który za chwilę nakręcimy, informuje ich o tym; dowiedzą się, że lecicie w ich stronę oraz że mają na was czekać na orbicie Marsa. Zostaną także dokładnie powiadomieni o tym, co mają ze sobą zabrać. Czy jest w tym coś złego?

- Owszem, tekst jest mętny - zaczęła Nicole. - Na przykład nigdzie nie jest napisane, jaki los spotka ludzi, którzy zgodzą się polecieć, poza tym, że "będą poddani obserwacji" oraz że "będą mieli zagwarantowane odpowiednie warunki". Nie ma tam wzmianki o tym, dlaczego będą obserwowani, oraz żadnych informacji o Punkcie Węzłowym. Poza tym z tonu dokumentu przebija groźba: mówię ludziom na Ziemi, że jeżeli nie wykonają rozkazu, "statek zbliży się do Ziemi i uzyska próbkę ludzkiej społeczności w inny sposób". To oznacza, że nie przybywacie na Ziemię jako przyjaciele.

- Może pani zredagować tekst, o ile nie zmieni pani jego treści - rzekł Orzeł. - Ale musi pani wiedzieć, że w tego rodzaju sprawach mamy już bogate doświadczenie z gatunkami podobnymi do waszego. Szansa sukcesu była tym większa, im bardziej enigmatyczny był tekst...

- Ale dlaczego nie wolno zabrać mi tego dokumentu do naszego mieszkania? Chciałabym pomóc o tym z Michaelem i Richardem.

- Bo film musi powstać już dziś - odparł Orzeł. - Możemy dokonać korekty tekstu, ale wszystko ma być gotowe zanim wróci pani do modułu mieszkalnego.

Choć wypowiedział swoje słowa przyjaznym tonem, ich znaczenie było jasne. Nie mam wyboru, pomyślała Nicole. Orzeł jest tylko maszyną i wykonuje instrukcje, wszystko zostało z góry zaplanowane... Nie do niego powinnam kierować moją złość...

- Nie - powiedziała ostro, zdziwiona gwałtownością swojej reakcji. - Nie zrobię tego.

Nie był przygotowany na taką odpowiedź. Zapadła długa cisza. Ciekawe, co się w nim teraz dzieje, pomyślała. Czy tworzy jakiś nowy algorytm, czy otrzymuje polecenia z zewnątrz?

Po dłuższej chwili Orzeł wstał.

- To prawdziwa niespodzianka. Nie spodziewaliśmy się, że nam pani odmówi.

- Obawiam się, że nie słuchał pan, kiedy do pana mówiłam... Mam wrażenie, że ci, którzy panem kierują chcą mnie wykorzystać... i celowo nie mówią mi prawie nic. Jeżeli chcecie, żebym nagrała film, musicie odpowiedzieć choćby na niektóre z moich pytań.

- Co chce pani wiedzieć?

- Już panu mówiłam - odparła zirytowana. - Co się tutaj naprawdę dzieje? Czym lub kim jesteście? Dlaczego jesteśmy obserwowani? Odpowiadając na powyższe pytania moglibyście także wspomnieć o tym, po co wam tutaj "para zdolna do reprodukcji"? Nigdy nie podobał mi się pomysł rozbijania mojej rodziny. Jeżeli wasza technologia jest tak wspaniała, że potrafiliście zbudować Punkt Węzłowy, to dlaczego nie możecie wziąć od nas jajeczka, plemników i...

- Droga pani Wakefield, proszę się uspokoić - powiedział Orzeł. - Nigdy przedtem nie widziałem, aby była pani tak zdenerwowana. Została pani zaklasyfikowana jako najspokojniejszy osobnik w grupie...

I najbardziej podatny na manipulację, dodała w myślach Nicole. Gdzieś wewnątrz tej dziwnej istoty znajduje się baza danych, na podstawie których łatwo obliczyć prawdopodobieństwo mojej uległości w konkretnej sprawie... Cóż, tym razem się nie udało...

- Musi pan zrozumieć, że ja naprawdę nie jestem głupia i wiem, kto tutaj sprawuje nad wszystkim kontrolę. Wydaje mi się, że nas, ludzi, należałoby jednak traktować nieco lepiej. Nasze pytania są w pełni uzasadnione.

- A jeżeli udzielimy na nie odpowiedzi?

- Obserwujecie mnie nie od dziś. - Uśmiechnęła się. - Czy zdarzyło się, abym postąpiła nieracjonalnie?

- Dokąd idziemy? - spytała Nicole.

- Na krótką wycieczkę - odparł Orzeł. - To najlepszy sposób, aby pozbyła się pani wątpliwości.

Pojazd był prawie idealnie kulisty. Było w nim dość miejsca dla Orła i Nicole, ale nikt inny już by się w środku nie zmieścił. Miał przezroczysty przód, a z tyłu, tam gdzie siedział Orzeł, znajdował się niewielki pulpit. Podczas lotu Ptak dotknął go najwyżej" raz czy dwa; pojazd musiał być wyposażony w automatycznego pilota.

Kula mknęła długim korytarzem i nagle przez podwójne drzwi wpadła w idealną, czarną pustkę. Nicole zaparło dech w piersiach. Czuła się tak, jakby znalazła się w przestrzeni kosmicznej.

- Każdy z kulistych modułów Punktu Węzłowego jest pusty w środku - mówił Orzeł. Nicole wyczerpała wzrok, starając się cokolwiek zobaczyć.

- Znajdujemy się teraz w tunelu prowadzącym do modułu mieszkalnego.

Po minucie gdzieś w oddali pojawiły się światła. Pojazd wydostał się z czarnego tunelu i wleciał do wnętrza olbrzymiej kuli. Gwałtownie zmienił kierunek lotu, Nicole zakreśliło się w głowie.

- Stąd obserwujemy wszystko, co dzieje się z naszymi gośćmi: tymczasowymi i tymi, którzy zostają u nas na stałe - mówił Orzeł. - Jak słusznie podejrzewaliście, w naszym apartamencie jest wiele urządzeń służących temu celowi. Poza tym wszystkie ściany są niczym lustra weneckie; dzięki nim możemy stąd dokładnie śledzić wasze zachowanie...

Nicole była już nieco przyzwyczajona do cudów Punktu Węzłowego, ale ten widok zaparł jej dech w piersiach. Wokół siebie, wewnątrz skorupy modułu mieszkalnego, widziała setki poruszających się, mrugających światełek, przypominających robaczki świętojańskie. Niektóre z nich szybowały wzdłuż ścian, inne powoli poruszały się w otaczającej je pustce, jeszcze inne były tak daleko, że sprawiały wrażenie nieruchomych.

- Mamy tutaj także ośrodek kontroli technicznej - rzekł Orzeł - dzięki czemu w razie awarii do każdego modułu możemy dotrzeć bardzo szybko.

- Co się tam dzieje? - spytała Nicole wskazując za okno; kilkadziesiąt mil dalej, przy jednej z oświetlonych części modułu mieszkalnego, przycumowane były jakieś pojazdy.

- To specjalna sesja obserwacyjna - wyjaśnił Orzeł - do której używamy naszych najlepszych czujników. Mieszkają tam przedstawiciele dziwnego gatunku, bardzo rzadkiego w naszej galaktyce. Wiele z tych istot umiera, a my nie możemy zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Staramy się je jakoś uratować...

- Więc nie wszystko przebiega u was zgodnie z planem?

- Nie - odpowiedział Orzeł. W świetle reflektorów Nicole wydało się, że się uśmiechnął, - Dlatego mamy tak wiele wariantów...

- Jak byście postąpili, gdyby ludzie nie znaleźli się w Ramie?

- Mamy inne metody osiągnięcia tych samych celów - odparł wymijająco.

Pojazd znów zaczął przyspieszać, po chwili minęli bliźniaczą kulę.

- Chciałaby pani poznać przedstawiciela innej cywilizacji? - spytał. Nacisnął guzik i wnętrze kuli wypełniło ciepłe, spokojne światło.

Zanim Nicole zdążyła odpowiedzieć, tuż przy nich znalazł się drugi pojazd. On także miał przezroczystą powłokę, przez którą dojrzała dwie pływające istoty, przypominające węgorze. Pomyślała, że mają około trzech metrów długości. Czarny "płaszcz" "węgorza" przypominał wielkie skrzydło.

- Ten po prawej stronie, z kolorowymi plamami, jest , tworem sztucznym - objaśniał Orzeł - i odgrywa rolę podobną do mojej. Drugi jest przedstawicielem innego gatunku...

Nicole patrzyła na istotę, która otuliła swoje zielonkawe ciało "płaszczem" i przyjąwszy kształt podkowy przestała się ruszać. Z jednego z jej "końców" zaczęły wydobywać się bąbelki.

- On mówi: "witaj, bardzo dziwnie wyglądasz" - wyjaśnił Orzeł.

- Skąd pan wie? - spytała, nie mogąc oderwać oczu od dziwnego stworzenia, którego końce zawinęły się teraz wokół siebie i przyłgnęły do okna.

- Mój towarzysz tłumaczy jego słowa i komunikuje się ze mną... Chce pani odpowiedzieć?

Nicole nie mogła się odezwać, w jej głowie była pustka. Co mam powiedzieć? - myślała wpatrując się w ruchy obydwu "końców" istoty. Były tam jakieś dziwne, czerwone wypukłości, niepodobne do czegokolwiek, co znała z Ziemi. Patrzyła na istotę, myśląc o rozmowach, jakie w przeszłości odbyła z Richardem i Michaeliem o tym, co zrobiliby, gdyby spotkali kiedyś obcych... Ale takiej sytuacji jak ta, nigdy sobie nie wyobrażaliśmy...

Za oknem pojawiły się nowe bąbelki.

- Nasza planeta powstała pięć miliardów lat temu - przetłumaczył Orzeł. - Układ podwójnych gwiazd ustabilizował się przed miliardem lat. Nasz układ planetarny liczy czternaście planet, na dwóch z nich powstało życie. Na naszej oceanicznej planecie są trzy gatunki rozumne, ale tylko my jesteśmy istotami podróżującymi w kosmosie. Jego badanie rozpoczęliśmy nieco ponad dwa tysiące lat temu.

Nicole była coraz bardziej zawstydzona swoim milczeniem.

- Witaj - zaczęła. - Nasz gatunek podróżuje w przestrzeni kosmicznej dopiero od trzystu lat. Na naszej planecie, która w trzech czwartych pokryta jest wodą, jesteśmy jedynym wysoko rozwiniętym gatunkiem obdarzonym inteligencją. Ciepło i światło otrzymujemy z pojedynczej, stabilnej, żółtej gwiazdy. Nasza ewolucja zaczęła się w wodzie trzy lub cztery miliardy lat temu, ale teraz żyjemy na lądzie...

Nicole urwała. Stworzenie przywarło do szyby i Nicole zrozumiała, że powinna zrobić to samo. Zbliżyła się do szyby i powoli obróciła się dookoła. Poniosła rękę i zaczęła ruszać palcami. W drugim pojeździe znów się pojawiły bąbelki.

- Czy masz inną postać? - przetłumaczył Orzeł.

- Nie rozumiem - powiedziała Nicole. Rybi odpowiednik Orła przetłumaczył jej pytanie; tym razem bąbelkom towarzyszyły również ruchy tułowia.

- My mamy dwie postaci - wyjaśnił stwór. - Moje potomstwo będzie miało kończyny, podobne do twoich, i będzie żyło na dnie oceanów budując fabryki, domy i statki kosmiczne. Potem urodzą się dzieci, które będą wyglądały tak, jak ja.

- Nie, nie - odpowiedziała po chwili wahania. - My mamy tylko jedną postać. Nasze dzieci są zawsze podobne do swoich rodziców.

Rozmowa trwała jeszcze kilka minut i dotyczyła głównie biologii. Obca istota była zdziwiona skalą temperatur, w jakiej ludzie potrafią żyć. Nicole dowiedziała się, że istoty "rybiego" gatunku wymagają stałej temperatury. Zafascynował ją opis świata, którego lądy prawie całkowicie pokrywały gąbczaste fotosyntetyczne organizmy. Żyjące pod wodą "węgorze" używały ich praktycznie do wszystkiego: jako pożywienia, budulca, a nawet w celach prokreacyjnych.

Po dłuższej rozmowie Orzeł powiedział, że czas się pożegnać. Nicole pomachała "węgorzowi" na pożegnanie. W odpowiedzi istota, której końce przestały się ze sobą stykać, wypuściła z siebie ogromną ilość bąbelków. Już po chwili pojazdy oddaliły się od siebie na znaczną odległość.

Wewnątrz kuli znów zrobiło się ciemno. Orzeł milczał. Nicole była poruszona, w myślach wciąż stawiała pytania nieznanemu istocie: Czy macie rodziny? A jeżeli tak, to czy istoty niepodobne do siebie mogą połączyć się w parę? Czy możecie kontaktować się ze swoimi dziećmi, pracującymi

na dużych głębokościach?

Po chwili Nicole doszła do wniosku, że nie zadawała właściwych pytań. Zachowałam się jak typowy naukowiec, pomyślała. Powinnam była spytać o to, czy wierzą w Boga, życie po śmierci, o etykę...

- Obawiam się, że przeprowadzenie, jak wy to nazywacie, "filozoficznej rozmowy", byłoby niemożliwe - oznajmił Orzeł, gdy zwierzyła mu się ze swojej frustracji. - Do tego potrzebna jest jakaś płaszczyzna porozumienia. Dopóki nie posiadacie podstawowej wiedzy o waszych gatunkach, nie macie punktu odniesienia.

Mimo to, pomyślała Nicole, powinnam była spróbować. Kto wie? Może ta dziwna istota odpowiedziałaby chociaż na niektóre z naszych pytań...

Ludzkie głosy wyrwały Nicole z zamyślenia. Spojrzała pytająco na Orła. Ich pojazd obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i - Nicole zrozumiała, że od ściany jej własnego mieszkania dzieli ich zaledwie kilka metrów.

W sypialni nowożeńców zapaliło się światło.

- Czy to ty, Benjy? - Nicole usłyszała głos Simone.

- Tak mi się wydaje - odparł Michael.

Nicole widziała, jak Simone otula się płaszczem kąpielowym i wychodzi na korytarz. Zapala światło w bawialni i jej oczom ukazuje się siedzący na sofie jej młodszy brat.

- Co tutaj robisz, Benjy? Powinieneś już spać, jest bardzo późno - powiedziała.

- Nie mogłem spać - odparł Benjy. - Mar-twiłem się o mamę.

- Nie martw się, ona niedługo wróci.

Nicole poczuła suchość w gardle, w oczach stanęły jej łzy. Spojrzała na Orła, na oświetlony apartament i inne pojazdy w oddali.

- W porządku - powiedziała powoli - jestem gotowa. Możemy nagrywać film.

- Jestem zazdrosny - mówił Richard - naprawdę jestem zazdrosny. Oddałbym wszystko za możliwość rozmowy z tym stworzeniem...

- To było wspaniałe - powiedziała Nicole. - Nawet teraz nie mogę uwierzyć, że to nie był sen... Zadziwiające było także to, że Orzeł z góry wiedział, jak na to zareaguję...

- Wątpię; myślę, że zgadywał. Nie mógł przypuszczać, że w tak prosty sposób cię przekona. Nie zmusiłaś go nawet do udzielenia odpowiedzi na twoje pytanie dotyczące "pary reproduktorów"...

- Nieprawda - słabo zaprotestowała Nicole. - Orzeł powiedział, że ludzka embriologia jest tak skomplikowana, że nawet oni nie potrafiliby dokładnie ustalić roli matki, gdyby nie śledzili

“naturalnego” rozwoju dziecka.

- Przepraszam cię, kochanie, nie chciałem cię urazić. Nigdy nie twierdziłem, że miałaś prawo wyboru...

- Odniosłam wrażenie, że oni przynajmniej próbowali odeprzeć moje zarzuty i rozwiać wątpliwości - westchnęła - ale prawdopodobnie sama się oszukuję. Przecież wszystko przebiegało tak, jak sobie zaplanowali...

Richard objął ją ramieniem.

- Jak już mówiłem: nie miałaś wyboru. Nie możesz się tym zadręczać...

Pocałowała męża i usiadła na łóżku.

- A co się stanie, jeżeli dane są im potrzebne po to, aby przygotować inwazję na Ziemię? - spytała.

- Już o tym rozmawialiśmy. Dysponując taką technologią, mogliby przejąć kontrolę nad Ziemią w kilka minut. Oczywiście, gdyby chcieli. Orzeł sam powiedział, że jeśli ich celem byłaby inwazja, zrobiliby to w dużo prostszy sposób.

- I kto tu jest łatwowierny? - uśmiechnęła się.

- Nie jestem łatwowierny, jestem realistą. Uważam, że wszystko, co gatunek ludzki uważa za swoje bogactwo, dla istot w Punkcie Węzłowym nie przedstawia żadnej wartości. Powinnaś natychmiast przestać zadręczać się tym filmem. On ma rację: twoje nagranie usprawni proces pozyskiwania mieszkańców Ramy...

Zapadła cisza.

- Kochanie - Nicole odezwała się po dłuższej chwili - dlaczego od razu nie polecimy do Układu Słonecznego?

- Myślę, że najpierw gdzieś się zatrzymamy. Prawdopodobnie po to, aby zabrać jakichś pasażerów, istoty innego gatunku.

- Czy one będą mieszkały w innym module mieszkalnym?

- Prawdopodobnie tak właśnie będzie - odparł Richard.

9.

Dzień startu wypadł trzynastego stycznia 2215, tak przynajmniej obliczyli to Richard i Nicole, którzy twardo trzymali się ziemskiego kalendarza. Data ta miała wyłącznie symboliczne znaczenie, tym bardziej że podróż do Układu Syriusza odbywała się z szybkością równą połowie prędkości światła, wskutek czego ustalanie dokładnych dat było czystą fikcją. Richard oszacował, że na Ziemi upłynęły w rzeczywistości trzy lub cztery lata więcej, czyli że był tam teraz rok 2217 lub 2218. Nie mógł tego dokładnie obliczyć, ponieważ nie posiadał dokładnych informacji o zmianach szybkości Ramy podczas międzygwiazdnej podróży. Obliczył jedynie relatywistyczną poprawkę do czasu wewnątrz Ramy względem czasu Ziemi.

- Dokładna data na Ziemi nie ma dla nas żadnego praktycznego znaczenia - wyjaśnił zonie, gdy po raz ostatni obudzili się w swojej sypialni w Punkcie Węzłowym. - Jest niemal pewne, że do Układu Słonecznego dotrzemy z bardzo dużą szybkością, więc do chwili spotkania na orbicie Marsa stosunek naszego czasu do ziemskiego znów ulegnie zmianie.

Nicole nigdy do końca nie zrozumiała teorii względności, ponieważ nie można było się w niej zdać na intuicję. Ale ostatniego dnia spędzonego z Simone i Michaeliem nie zamierzała poświęcić na rozmyślania o Einsteinie. Widziała, że pożegnanie będzie trudne dla wszystkich i chciała się do niego jak najlepiej przygotować.

- Orzeł powiedział, że przyjdzie po nas o jedenastej - powiedziała. - Miałam nadzieję, że po śniadaniu będziemy mogli choć przez chwilę posiedzieć w bawialni. Chcę, żeby dzieci powiedziały nam, co czują i co o tym wszystkim myślą...

Śniadanie przebiegło w dość niefrasobliwej atmosferze, ale gdy ośmioosobowa rodzina zasiadła za stołem w bawialni, rozmowa stała się sztuczna i wymuszona. Już za dwie godziny Orzeł miał przyjść i zabrać wszystkich, z wyjątkiem Michaela i Simone.

Nowożeńcy usiedli obok siebie, naprzeciwko nich siedzieli Richard, Nicole i czwórka dzieci. Katie mówiła jak szalona, co chwila zmieniając temat i bezpiecznie unikając rozmowy o tym, co miało za chwilę nastąpić. Właśnie opowiadała o jednym ze swoich dziwnych snów, gdy zza drzwi dobiegły jakieś szmery.

- A niech to, sir John - mówił jeden z robotów głosem Richarda - to nasza ostatnia okazja. Pójdę się pożegnać, choćbyś ty tego nie zrobił.

- Pożegnania sprawiają mi ból i cierpienie. Sam mówiłeś, że dama jest piękna niczym anioł. Nie wypilem jeszcze tyle, aby alkohol ukoił mój smutek. Zaiste, nie mogę...

- Cóż, więc pójdę bez ciebie - rzekł księżę Hali.

Oczy wszystkich wpatrzone były w małego robota, który wkroczył do bawialni. Falstaff niechętnie ruszył za nim, co kilka kroków przystając, aby napić się z piwa z kufła, z którym nigdy się nie rozstawał.

Księżę Hali zbliżył się do Simone.

- Najdroższa pani - zaczął, przyklękając na jedno kolano - nie znajduję słów, aby wyrazić, jak bardzo będzie mi brakowało widoku twego uśmiechniętego oblicza. Nie ma piękniejszej istoty, która...

- A niech to - sapnął Falstaff, waląc się obok księcia na kolana - sir John się pomylił. Dlaczegoż mam jechać z tamtą zbieraniną - rzekł ręką wskazując na Richarda, Nicole i dzieci - kiedy mógłbym pozostać tutaj, z tak piękną damą, a współzawodniczyć przyszloby mi jedynie z tym oto starcem? Tak sobie myślę, że...

Roboty zaczęły się sprzeczać. Benjy wstał z fotela i zbliżył się do Michaela i Simone.

- Si-mone - powiedział przez łzy - będę za tobą tęsknić. Kocham cię. - Zamilkł, po czym spojrzał na swojego ojca. - Mam nadzieję, że bę-dziecie szczęśliwi.

Simone wstała i objęła brata, który cały drżał.

- Dziękuję ci, Benjy. Ja także będę za tobą tęsknić. I zawsze będę o tobie myśleć.

Benjy rozplakał się, jego ciałem wstrząsały konwulsje. Wszystkim zaszklily się oczy. Patrick usiadł Michaelowi na kolanach i przytulił się do niego.

- Tato... tato... - powtarzał.

Simone była bardzo poważna, na policzkach miała ślady łez. Żegnała się ze wszystkimi członkami rodziny. Michael O'Toole trzymał na kolanach Patricka. Tuż obok siedział Benjy.

Chcę na zawsze zapamiętać tę chwilę, pomyślała Nicole. W naszej rodzinie jest tyle miłości...

Michael przytulał do siebie małą Ellie; Simone opowiadała Katie, jak bardzo będzie brakowało jej ich nocnych rozmów. Katie była smutna i milcząca.

Michael zdjął z kolan Patricka i wziął Simone za rękę; uklękli i zmówili "Ojcze nasz". Richard nie protestował i też ukląkł.

- Dziękujemy Ci, Panie, że pozwoliłeś nam radować się życiem w tej wspaniałej rodzinie. Rozstajemy się teraz, prosząc o Twoją opiekę. Wiemy, że choć na tym świecie nigdy się już nie zobaczymy, Ty pozostaniesz z nami. Prosimy cię Panie, zaprowadź nas do Królestwa Niebieskiego, abyśmy znów mogli być razem. Amen.

Po kilku sekundach rozległ się dzwonek do drzwi. Przyszedł Orzeł.

Nicole wyszła z domu, do złudzenia przypominającego jej rodzinną willę w Beauvois, i ruszyła wąską ścieżką w kierunku stacji. Mijała inne domy, które na razie stały puste; usiłowała sobie wyobrazić jak to będzie, gdy zamieszkają w nich ludzie. Moje życie jest jak sen. Nie ma chyba drugiego człowieka, który widziałby w życiu tyle dziwów...

Niektóre z cieni rzucanych przez domy kończyły się na "niebie" nad głową. Cóż to za dziwny świat, pomyślała Nicole, przypatrując się osiedlu w południowej części Nowego Edenu. Orzeł mówił prawdę: wszystkie budynki wyglądają jak prawdziwe...

Nicole pomyślała o niebieskiej planecie, oddalonej o dziewięć lat świetlnych. Wyobraziła sobie, że - tak jak przed piętnastu laty - razem z Taborim znajduje się na pokładzie Newtona, który przed chwilą wystartował ze stacji orbitalnej LEO-3.

- Tam jest Budapeszt - powiedział Janos wskazując palcem na oświetloną słońcem półkulę.

Nicole pokazała mu, gdzie leży Beauvois, wypatrując ujścia Loary do Atlantyku.

- Tam jest mój dom - powiedziała do Janosa. - Może mój ojciec i córka patrzą teraz na nas?

Genevieve, pomyślała Nicole, moja kochana Genevieve. Jesteś już kobietą, masz prawie trzydzieści lat...

Nicole szła powoli, coraz bardziej oddalając się od swojego romańskiego domu. Wspomnienie o córce sprawiło, że przypomniała sobie jedną z rozmów z Orłem w czasie przerwy w nagrywaniu filmu dla Ziemi.

- Czy będę mogła zobaczyć moją córkę Genevieve, gdy zbliżymy się do Ziemi? - spytała.

- Tego nie wiem - odpowiedział Orzeł po krótkim wahaniu. - To zależy wyłącznie od tego, jak ludzie zareagują na pani wiadomość. Pozostanie pani na pokładzie Ramy, ale przecież zawsze istnieje możliwość, że Genevieve będzie jedną z dwóch tysięcy osób, które zdecydują się na życie w Nowym Edenie. W przeszłości zdarzały się takie wypadki...

- A Simone? - dopytywała się Nicole. - Czy zobaczę ją jeszcze kiedyś?

- To trudniejsze pytanie - odparł. - Odpowiedź zależy od wielu czynników... - Spojrzał na zmartwioną Nicole. - Bardzo mi przykro, pani Wakefield...

Jedną córkę zostawiłam na Ziemi, drugą na pokładzie stacji kosmicznej, a teraz lecę w jeszcze innym kierunku, nawet nie wiem, dokąd...

Nicole poczuła się bardzo samotna. Przystanęła i rozejrzała się dookoła. Znajdowała się na skraju parku, na pobliskim placu stała karuzela i huśtawki dla dzieci. Pod stopami rozpościerała się sieć wymienników gazu GED, które w przyszłości zostaną zastąpione przez trawę.

Kucnęła i przyjrzała się im z bliska. Poszczególne urządzenia miały nie więcej niż dwa centymetry średnicy, w parku były ich dziesiątki tysięcy. Te elektroniczne rośliny, pomyślała Nicole, przetwarzają dwutlenek węgla na tlen. Dlatego żyjemy...

Oczami wyobraźni ujrzała trawę i drzewa w parku, lilie nad jeziorkiem - dokładnie tak, jak zostało to zaprojektowane na modelu holograficznym. Ale choć wiedziała, że Rama wraca do Układu Słonecznego, aby "pozyskać" pasażerów z Ziemi, trudno było jej wyobrazić sobie dzieci bawiące się w parku. Poza rodziną, od piętnastu lat nie widziałam innych ludzi.

Minęła park i szła w kierunku stacji. Budynek wzdłuż alejki były przeznaczone na sklepy. Jeden z nich był znacznie większy: w przyszłości miał się tu znajdować sklep samoobsługowy.

Nicole znalazła się na peronie i już po chwili siedziała w pociągu, prowadzonym przez biota o wyglądzie Benity Garcii.

- Kiedy zajdzie słońce? - spytała.

- Za osiemnaście minut - oznajmił robot.

- Kiedy dotrzemy do somnarium?

Pociąg ruszył.

- Jazda do głównego węzła potrwa dziesięć minut - odpowiedziała Benita. - Stamtąd do somnarium trzeba iść piechotą przez dwie minuty.

Nicole znała odpowiedzi na swoje pytania. Zadała je chcąc usłyszeć czyjś głos. Już drugi dzień była sama i rozmowa z robotem-Garcią wydała się jej lepsza niż milczenie.

Z osiedla na południowym krańcu kolonii pociąg dowiózł ją do jej geograficznego centrum. Po drodze minął Jezioro Szekspira, a po prawej stronie górę Olimp, którą pokrywała gęsta siatka GED-ów. Monitory wyświetlały informacje o mijanych obiektach, dokładny czas, oraz przebytą odległość.

Richard i Orzeł dobrze się spisali projektując system komunikacji, pomyślała Nicole. Jej mąż już spał, podobnie jak inni członkowie rodziny. Wkrótce i ja zasnę razem z wami...

Somnarium w rzeczywistości stanowiło część szpitala, który znajdował się niecałe dwieście metrów od głównego węzła komunikacyjnego. Nicole wysiadła z pociągu, minęła bibliotekę i weszła do szpitala. Przemierzywszy długi tunel znalazła się w somnarium. Jej rodzina spała w dużym, owalnym pomieszczeniu na drugim piętrze. Każde z nich leżało w hermetycznym, podłużnym pojemniku przypominającym trumnę. Przez niewielkie okienka widać było jedynie twarze. Sprawdziła na monitorach wykresy, tak jak nauczył ją Orzeł. Wszystko było w porządku.

Zatrzymała się po kolei nad każdą z "trumien". Wszystkie parametry utrzymywały się w dozwolonych granicach i zgodnie z procedurą Nicole także powinna teraz zasnąć. Minie wiele lat, zanim znów zobaczy się z rodziną.

Mój biedny, kochany Benjy. Katie, Patrick i Ellie szybko i dorosną, ich umysły są giętkie i bystre. Ale ty będziesz miał największe trudności z nadrobieniem tych straconych lat...

"Trumny" stały dwa metry od siebie, do ścian przytwierdzono je metalowymi dźwigarami.

Jedna z nich, przeznaczona dla Nicole, znajdowała się na samym środku. Richard i Katie spali z jednej strony, Patrick, Benjy i Ellie - z drugiej.

Przez kilka minut Nicole stała nad Richardem, który zasnął przed dwoma dniami jako ostatni. Na jego własną prośbę "uśpiono" z nim także Falstaffa i księcia Halla. Ostatnie trzy dni były cudowne, kochanie, pomyślała wpatrując się w jego twarz.

Pływali i jeździli na nartach wodnych po Jeziorze Szekspira, wspięli się na Olimp i kochali się, gdy tylko mieli na to ochotę. Raz dziennie sprawdzali "stan uśpienia dzieci", cały wolny czas spędzając razem.

Ostatnie słowa, jakie Richard wypowiedział zanim zapadł w sen, brzmiały: "jesteś wspaniałą kobietą i bardzo cię ,kocham".

Teraz przyszła kolej na Nicole. Nie należało dłużej zwlekać. Nicole weszła do swojej "trumny" i nacisnęła wszystkie przyciski, z wyjątkiem jednego. Pianka, która wypełniła jej posłanie, była nieprawdopodobnie miękka. Pokrywa zamknęła się bezszelestnie. Teraz wystarczyło już tylko nacisnąć ostatni guzik, aby wprowadzić do środka gaz usypiający.

Nicole wzięła głęboki oddech. Przypomniała sobie jeden ze swoich snów w Punkcie Węzłowym, o Śpiącej Królownie. Zaczęła myśleć o dzieciństwie i przyjemności, jaką sprawiało jej chodzenie z ojcem do teatru.

To chyba dobry początek snu, pomyślała, słysząc syk gazu i czując, jak robi się coraz bardziej senna. Będę marzyć o księciu, który obudzi mnie z - wiecznego snu...

NA ORBICIE MARSA

I.

- Pani Wakefield?

Głos docierał do niej z bardzo daleka. Powoli wdarł się w jej świadomość, ale nie obudził jej ze snu.

- Pani Wakefield!

Tym razem głos był wyraźniejszy. Zanim otworzyła oczy usiłowała przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Poruszyła się, a pianka otaczająca jej ciało natychmiast przybrała odpowiedni kształt. Pamięć powoli zaczynała funkcjonować. Nowy Eden, Rama, wracam do Układu Słonecznego, powoli sobie przypominała. A może to wszystko mi się miło!

Otworzyła oczy. Przez kilka sekund widziała zamglony świat. Po chwili jej wzrok się wyostrzył i ujrzała twarz stojącej nad nią kobiety. To była jej matka! Miała na sobie pielęgniarski fartuch.

- Pani Wakefield - Nicole usłyszała ten sam głos - musi się pani obudzić i rozpocząć przygotowania do spotkania z ludźmi z Ziemi.

Nicole przestraszyła się. Gdzie ja jestem? - pomyślała. Skąd wzięła się tutaj moja mama?

Po chwili przypominała sobie: Ona jest robotem, jednym z pięciu, typów. Roboty z twarzą mojej matki są odpowiedzialne za stan naszego zdrowia.

Robot pomógł jej usiąść. Nicole rozejrzała się dookoła. Podczas długiego snu w pomieszczeniu nie dokonano żadnych widocznych zmian.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Nicole, próbując wstać.

- Zakończyliśmy manewr hamowania i znajdujemy się w Układzie Słonecznym - odparła Murzynka Anawi Tiasso. - Za sześć miesięcy wejdziemy na orbitę Marsa.

Nicole czuła się zadziwiająco sprawna fizycznie. Przed odlotem Orzeł powiedział, że podczas snu specjalne urządzenia elektroniczne nie tylko będą sprawowały bierną kontrolę nad stanem zdrowia podróżnych, ale także czynną, "ćwicząc" ich mięśnie. Nicole zeszła po drabince i stanęła na ziemi.

- Jak się pani czuje? - spytał robot. Była to Anawi Tiasso numer 017. Cyfra ta wypisana była wielkimi literami na jej prawym ramieniu.

- Nieźle - odparła Nicole - naprawdę nieźle, zero-siedemnaście - powtórzyła, z zainteresowaniem przyglądając się robotowi, który był rzeczywiście ludzko podobny do Anawi. Przed odlotem obejrzeli z Richardem wszystkie prototypy, ale zanim usnęli, gotowa była jedynie seria pod nazwą "Benita Garcia". Pozostałe roboty budowano już podczas lotu.

Ona naprawdę wygląda jak moja matka, pomyślała Nicole. Uwzględniono wszystkie poprawki które zgłosiłam, po pokazaniu mi pierwszego prototypu.

W oddali usłyszała kroki. Obejrzała się za siebie i ujrzała drugą Anawi Tiasso, także ubraną na biało.

- Numer 009 został wyznaczony do pomocy przy pierwszej procedurze - powiedziała Tiasso stojąca obok.

- Wyznaczony przez kogo? - zainteresowała się Nicole siłując sobie przypomnieć to, co Orzeł mówił o "procedurze budzenia".

- Przez plan misji - odpowiedziała Tiasso numer 017. - Gdy wszyscy ludzie się obudzą, będziemy się stosować już tylko do waszych poleceń.

Richard obudził się dość szybko, ale miał kłopoty z zejściem po drabince. Obydwie Tiasso musiały mu w tym pomóc. Bardzo ucieszył się na widok Nicole, długo całowali się i ściskali.

- Nie wyglądasz najgorzej - powiedział z figlarnym błyskiem w oku. - Masz więcej siwych włosów, ale od czasu do czasu pojawiają się wśród nich czarne pasemka...

Nicole uśmiechnęła się. Cudownie było móc znowu z nim rozmawiać.

- Nie wiesz przypadkiem - dodał po chwili - jak długo leżeliśmy w tych trumnach?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - powiedziała. - Zapomniałam spytać. Od razu zabrałam się za budzenie ciebie...

Czy któraś z pań wie, ile lat minęło od chwili, gdy opuściliśmy Punkt Węzłowy? - Richard zwrócił się do robotów.

- Spaliście dziewiętnaście ramańskich lat - odparła Tiasso numer 009.

- Co to są ramańskie lata? - zapytała Nicole.

Richard się uśmiechnął.

- To nasz "lokalny" czas, który wynika z teorii względności - wyjaśnił. - Ten czas nic nie znaczy, jeżeli nie mamy układu odniesienia. Tyle lat minęło na pokładzie Ramy, ale żeby wiedzieć, ile minęło na Ziemi, trzeba obliczyć...

- Możesz się nie wysilać. - Nicole machnęła ręką. - Nie przespałam dziewiętnastu lat po to, żeby po obudzeniu wysłuchać wykładu o teorii względności. Możesz mi to powiedzieć przy innej okazji. Teraz mamy ważniejsze sprawy do załatwienia: w jakim porządku budzimy dzieci?

- Mam inną propozycję - powiedział Richard po chwili namysłu. - Wiem, że chcesz je jak najszybciej zobaczyć, ja też. Ale może niech pośpią sobie jeszcze przez kilka godzin? Nic im się od tego nie stanie, a w tym czasie my będziemy mogli się naradzić. Rozpocznemy przygotowania do spotkania z ludźmi, zastanowimy się jak zorganizować edukację dzieci, może znajdziemy choć

chwilkę czasu dla siebie...

Nicole rzeczywiście obawiała się pierwszej rozmowy z dziećmi i po chwili wahania przystała na propozycję Richarda. Istniał wprawdzie plan, dotyczący ich postępowania po przebudzeniu, ale Orzeł nalegał, aby nie trzymać się go ściśle, ponieważ wielu spraw nie można było z góry przewidzieć.

- Dobrze - zgodziła się Nicole. - Musimy się tylko upewnić, że z dziećmi jest wszystko w porządku... - dodała patrząc pytająco na jednego z robotów.

- Dane z głównego komputera wskazują, że wszystkie biologiczne procesy przebiegają poprawnie - poinformował ją biot.

Nicole spojrzała na Richarda. Jej mąż nieco się postarzał, ale i tak wyglądał młodziej, niż się tego spodziewała.

- A gdzie twoja broda?! - spytała nagle, zdając sobie sprawę, że twarz Richarda jest dokładnie ogolona.

- Mężczyźni zostali ogoleni wczoraj, podczas snu - powiedziała Tiasso 009. - Wczoraj, zgodnie z procedurą, wszystkich poddano kąpieli i przycięto im włosy.

Mężczyźni? - zdziwiła się Nicole. Ależ oczywiście! Przecież Benjy i Patrick są już dorośli!

Wzięła Richarda za rękę i razem podeszli do "trumny" ze śpiącym Patrickiem. Przestraszył ją widok jego twarzy: Patrick nie był już dzieckiem. Długo patrzyła na swojego syna, który był już niemal dorosłym mężczyzną.

- Pan Patrick O'Toole ma około szesnastu, siedemnastu lat - wyjaśniła Tiasso numer 017. - Pan Benjamin O'Toole jest o półtora roku starszy. Jak zapewne mówił pani Orzeł, udało się nieco osłabić działanie hormonów wzrostu. Podany przeze mnie wiek stanowi średnią, obliczoną na podstawie wieku biologicznego i zaawansowania rozwoju psychicznego.

Nicole i Richard zatrzymali się nad każdą z "trumien" i długo patrzyli na swoje potomstwo.

- Gdzie są nasze dzieci? - westchnęła Nicole widząc, że mała Ellie jest już nastolatką.

- Wiedzieliśmy przecież, że tak będzie. - Richard starał się pocieszyć Nicole.

- Wiedzieć to jedno, a zobaczyć na własne oczy... To nie jest klasyczny przypadek matki, która obserwuje, jak jej dzieci dorastają. To, co się z nimi stało, jest doprawdy zadziwiające. Psychiczenie są jeszcze dziećmi, ale mają ciała ludzi dorosłych. Jak w ciągu tych sześciu miesięcy przygotować je na spotkanie z ludźmi z Ziemi?

Nicole czuła, że to zadanie ją przerasta. Czy to możliwe, żeby nie wierzyła Orłowi, gdy tłumaczył, co stanie się z jej rodziną? Ale jako ich matka, myślała, mam wiele do zrobienia i ani chwili czasu do stracenia. Dlaczego nie zaplanowaliśmy tego wszystkiego przed startem?

Podczas gdy Nicole przeżywała swój moralny dylemat, Richard gawędził z robotami

Tiasso, które udzielały odpowiedzi na nurtujące go pytania. Richard był z nich bardzo zadowolony.

- Czy wszystkie bioty wyposażone są w tak bogatą bazę danych? - spytał.

- Dane o waszym zdrowiu i przebytych chorobach posiada jedynie seria "Tiasso" - usłyszał w odpowiedzi. - Ale wszystkie bioty o ludzkiej postaci posiadają szeroką wiedzę. Przed pierwszym kontaktem z ludźmi z Ziemi część formacji zostanie wymazana: w pamięci nie pozostanie nic, co dotyczy Punktu Węzłowego, Orła i tego, co zaszło przed waszym przebudzeniem. Pozostaną jedynie informacje o stanie waszego zdrowia.

- Czy wciąż utrzymujecie kontakt z Orłem? - spytała Nicole, która od pewnego czasu myślała o Punkcie Węzłowym.

- Nie - odparła Tiasso numer 017 - choć Orzeł lub ktoś zawiadujący Punktem Węzłowym, od czasu do czasu sprawdza przebieg naszej misji. Po opuszczeniu hangaru nikt nie kontaktuje się bezpośrednio z Ramą. Wy, my i Rama jesteśmy pozostawieni sami sobie do czasu, gdy wypełnimy nasze zadanie.

Katie stała naga przed lustrem i przyglądała się swojemu ciału. Minął już miesiąc, a pomimo to czuła się w nim obco. Lubiła je dotykać; szczególnie przyjemne było muskanie piersi i przyglądanie się twardniejącym sutkom. Jeszcze większą przyjemność przeżywała przed snem. Doprowadzała się do takiego stanu, że przechodziły ją fale gorąca i chciało się jej płakać z rozkoszy.

Matka wytłumaczyła jej w czym rzecz i była nieco zmieszana, gdy przyszło jej to tłumaczyć po raz drugi i trzeci.

- Masturbacja to sprawa osobista - syknęła Nicole przy obiedzie - i jeżeli w ogóle się o niej rozmawia, to tylko z najbliższymi przyjaciółmi.

Rozmowa z Ellie nie zdała się na nic. Katie nigdy nie widziała, aby jej siostra wykazywała jakiegokolwiek zainteresowanie własnym ciałem. Ona chyba wcale tego nie robi, myślała Katie. I dlatego nie chce ze mną o tym mówić...

- Kiedy wyjdiesz spod prysznic? - Katie usłyszała głos Ellie dochodzący z drugiego pokoju. Każda z nich miała własny pokój i tylko łazienka była wspólna.

- Już wychodzę - zawołała Katie.

Ellie weszła do łazienki owinięta ręcznikiem i zerknęła na siostrę, która przeglądała się w lustrze. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale najwidoczniej zmieniła zamiar, bo nic nie mówiąc weszła pod prysznic.

Katie przyglądała się jej przez półprzeźroczystą zasłonę. Najpierw patrzyła na jej ciało, potem znów spojrzała na swoje odbicie. Katie bardziej podobała się własna karnacja - poza ojcem,

w całej rodzinie miała najjaśniejszą cerę - ale Ellie była zgrabniejsza.

- Dlaczego mam taką męską sylwetkę? - spytała Nicole kilka tygodni później. Od kilku godzin czytała stare kobiece pisma.

- Nie jestem w stanie udzielić ci dokładnej odpowiedzi - powiedziała Nicole. - Genetyka to bardzo skomplikowana dziedzina, o wiele bardziej złożona, niż pierwotnie myślał Mendel...

Nicole urwała zdając sobie sprawę, że Katie nie ma pojęcia kim był Mendel.

- Widzisz, Katie - ciągnęła - każde dziecko powstaje z połączenia genów matki i ojca, w których "zapisane" są pewne charakterystyczne cechy i istnieją miliardy możliwości połączenia tych genów. Dlatego dzieci tych samych rodziców nigdy nie są takie same.

Katie zmarszczyła brwi. Spodziewała się innej odpowiedzi.

- Poza tym - dodała szybko Nicole - twoja sylwetka nie jest "męska", tylko "sportowa". To lepsze określenie.

- W każdym razie - powiedziała Katie, wskazując palcem na uczącą się za biurkiem siostrę - wcale nie jestem podobna do Ellie. Jej ciało jest ładne, jej piersi są nawet większe od twoich.

Nicole roześmiała się.

- Ellie ma ładną figurę, to prawda - powiedziała - ale przecież twoja też jest ładna, tylko inna.

Nicole wróciła do czytania w nadziei, że rozmowa została zakończona.

- W tych starych pismach niewiele kobiet ma taką figurę jak ja - stwierdziła Katie po krótkiej chwili milczenia. Trzymała w ręce swój elektroniczny notes i podsuwała go Nicole.

- Wiesz mamó - kontynuowała Katie - myślę, że Orzeł się pomylił i podał mi hormony przeznaczone dla Benjy'ego albo Patricka...

- Kochanie, to zupełnie oczywiste, że wyglądasz dokładnie tak, jak zostało to "zapisane" w twoich genach - odparła Nicole zdając sobie sprawę, że jej córka ma obsesję na punkcie własnego wyglądu. - Jesteś czarującą młodą kobietą i byłabyś znacznie szczęśliwsza, gdybyś poświęciła nieco czasu na myślenie o swoich mocnych stronach, zamiast doszukiwać się w sobie wad.

Od chwili gdy obudzono dzieci, Nicole i Katie odbyły już wiele podobnych rozmów. Katie uważała, że matka nawet nie stara się jej zrozumieć, ograniczając się do wygłaszania drętwych wykładów.

"Życie nie polega tylko na tym, żeby «czuć się dobrze»". - Te słowa Katie słyszała bardzo często. Z drugiej strony miała wrażenie, że matka jest bardziej dumna z Ellie.

"Ellie świetnie się uczy, pomimo że jej edukacja rozpoczęła się z opóźnieniem", "Ellie zawsze mi pomaga", "dlaczego brak ci cierpliwości na zabawy z Patrickiem i Benjym? Bierz przykład z Ellie!"

Najpierw Simone, a teraz Ellie, myślała Katie, leżąc pewnej nocy nago na łóżku. Przedtem pokłóciła się z matką. Nigdy się z nią nie dogadam; po prostu za bardzo się różnimy. Właściwie mogę się już nie wysilać...

Jej palce muskały ciało, przechodziły ją fale gorąca. Katie westchnęła. Na szczęście są rzeczy, do których matka nie jest mi potrzebna...

- Richardzie? - zaczęła pewnego wieczora Nicole.

- Hmmm? - mruknął jej mąż, który już zasypiał.

- Martwię się o Katie. Cieszę się z postępów innych dzieci, zwłaszcza Benjy'ego, ale boję się o Katie.

- O co ci chodzi?

- O jej stosunek do wszystkiego. Ona jest nieprawdopodobnie samolubna, ma trudny charakter i nie ma cierpliwości do innych dzieci, nawet do Patricka, który ją uwielbia. Kłóci się ze mną o wszystko, czasami są to rozmowy wręcz absurdalne. Poza tym uważam, że zbyt dużo czasu spędza sama w swoim pokoju.

- Myślę, że po prostu jej się nudzi - powiedział Richard. - Nie zapominaj, że to młoda, dwudziestoletnia kobieta. Gdyby była na Ziemi, umawiałaby się z chłopakami na randki i powoli stawałaby się od nas niezależna. Ale tutaj nie ma nikogo, z kim mogłaby... Poza tym przyznaj, że często traktujesz ją jak dwunastolatkę.

Nicole milczała. Richard nachylił się i dotknął jej ramienia.

- Zawsze wiedzieliśmy, że to z nią będziemy mieli najwięcej kłopotów. Niestety, Katie jest podobna do mnie...

- Ale ty potrafisz twórczo spożytkować swój niepokój, a ona woli niszczyć niż budować... Bardzo bym chciała, żebyś z nią porozmawiał. W przeciwnym razie obawiam się, że prawdziwe problemy zaczną się wtedy, gdy zamieszkają tutaj ludzie z Ziemi.

- Co właściwie chcesz, żebym jej powiedział? - zapytał Richard po krótkim milczeniu. - Że życie nie składa się z samych zabaw? I dlaczego mam jej zabronić chowania się w jej własnym świecie marzeń, kiedy zamyka się w pokoju? Widocznie Katie uważa, że tak jest lepiej. W Nowym Edenie nie mamy wielu atrakcji dla młodych kobiet...

- Liczyłam na to, że mnie zrozumiesz... Richardzie, potrzebuję twojej pomocy... Tobie łatwiej się z nią porozumieć.

Znów zapadła cisza.

- Dobrze - zgodził się po dłuższej chwili. - Pojeżdżę z nią jutro na nartach wodnych, ona to lubi. I spróbuję ją poprosić, żeby miała dla nas nieco więcej cierpliwości...

- Bardzo dobrze, świetnie - mówił Richard, czytając to, co Patrick napisał w swoim elektronicznym notesie. Skończył czytać i spojrzął na swojego syna, który z pewną niepewnością oczekiwał na "werdykt".

- Szybko opanowałeś algebrę - rzekł Richard. - Masz talent do nauk ścisłych. Kiedy dotrą tutaj ludzie z Ziemi, będziesz mógł chodzić na wykłady na uniwersytecie; w każdym razie dotyczy to matematyki.

- Ale mama powiedziała, że mam kłopoty z angielskim - odparł Patrick. - Podobno piszę jak małe dziecko.

Nicole usłyszała ich rozmowę i wyszła z kuchni.

- Patrick, kochanie, Garcia 041 mówi, że nie traktujesz pisania poważnie. Wiem, że w ciągu jednej nocy nie można nauczyć się wszystkiego. Nie chcę jednak, abyś musiał się wstydzić, gdy przyjdzie ci się spotkać z innymi ludźmi.

- Ale ja wolę matematykę i nauki ścisłe - zaprotestował Patrick. - Biot Einstein mówi, że nauczyłyby mnie matematyki w trzy tygodnie, gdybym nie marnował czasu na inne przedmioty.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Katie. Była uśmiechnięta i wesoła.

- Przepraszam, że się spóźniłyśmy - powiedziała. - Było byczo. Sama sterowałam łodzią, kiedy pływałyśmy po jeziorze Szekspira - dodała, zwracając się do Patricka. - Garcia zostawiłyśmy na brzegu.

Ellie nie była zachwycona wycieczką; wyglądało na to, że jest zła.

- Czy wszystko w porządku? - spytała ją Nicole, podczas gdy Katie z entuzjazmem opowiadała o swoich przygodach.

Ellie w milczeniu skinęła głową.

- Najfajniejsze było to - opowiadała z podnieceniem Katie - jak przeskakiwałyśmy z jednego grzbietu fali na drugi. Płynęłyśmy tak szybko, że co chwila wylatywałyśmy w powietrze!

- Łodzie nie są przeznaczone do zabawy - skarciła ją Nicole.

Zasiedli do obiadu. Benjy, który w kuchni wyjadał palcami z salaterki sałatę, usiadł przy stole jako ostatni.

- Co byś zrobiła, gdyby łódź się przewróciła? - spytała Nicole.

- Garcia by nas uratowała - odparła niefrasobliwie Katie. - Trzy z nich stały na brzegu i gapiły się na nas... Przecież one mają obowiązek ratować ludzkie życie... Poza tym miałyśmy na sobie kamizelki ratunkowe. A ja i bez kamizelki umiem pływać.

- Ale twoja siostra nie umie - rzuciła ostro Nicole. - Dobrze wiesz, że byłby to dla niej szok, gdyby nagle znalazła się w wodzie.

Katie już zaczynała klócić się z matką, ale na szczęście Richardowi udało się zmienić temat.

Wszyscy byli jacyś podenerwowani. Choć Rama już przed miesiącem wszedł na orbitę wokół Marsa, wciąż nie widać było rakiety, która j' miała przybyć z Ziemi.

Po obiedzie wszyscy udali się do obserwatorium Richarda, aby popatrzeć na Marsa. Docierał tam obraz z zewnętrznych teleskopów i kamer, dzięki czemu ludzie codziennie mogli podziwiać Czerwoną Planetę.

Benjy uwielbiał spędzać czas z ojcem w obserwatorium i dumnie wymieniał nazwy wulkanów w rejonie Tharsis, wielkiego kanionu, któremu nadano nazwę Yalles Marineris, oraz obszaru zwanego Chryse, gdzie przed dwustu laty wylądowała pierwsza sonda kosmiczna Wiking. Na południe od stacji Mutch tworzyła się właśnie burza piaskowa. Mutch był największym węzłem komunikacyjnym marsjańskiej kolonii, który - podobnie jak cała kolonia - został opuszczony w czasie Wielkiego Chaosu. Richard oszacował, że burza swoim zasięgiem może objąć całą planetę - o tej porze roku podobne zjawiska występowały dość często.

- A co będzie, jeżeli ludzie z Ziemi do nas nie przylecą? - spytała Katie w czasie jednej z sesji w obserwatorium. - I, mamó, proszę cię, powiedz prawdę. Nie jesteśmy już dziećmi.

- O ile dobrze pamiętam, mamy tutaj czekać sześć miesięcy - odpowiedziała Nicole. - Jeżeli w tym czasie nie dojdzie do "spotkania", Rama skieruje się w stronę Ziemi. - Umilkła na chwilę. - Ani twój ojciec, ani ja nie wiemy, jak wyglądałby taka procedura; Orzeł powiedział, że zostaniemy o niej powiadomieni "we właściwym czasie".

Zapadła cisza. Na wielkim ekranie pojawiały się zdjęcia różnych fragmentów Marsa.

- A gdzie jest Ziemia? - spytał Benjy.

- Ziemia jest bliżej Słońca niż Mars - odparł Richard. - Pamiętasz, jak pokazywałem ci animację na moim komputerze?

- Nie o to mi chodzi - powiedział Benjy. - Ja chcę zobaczyć Ziemię.

Nietrudno było spełnić życzenie Benjy'ego. To dziwne, że Richardowi dotychczas nie przyszło to do głowy.

- Ziemia widziana stąd nie robi na nas szczególnego wrażenia - odrzekł, programując komputer sterujący teleskopami. - Będzie wyglądała mniej więcej tak jak Syriusz, z tym że będzie niebieska...

Richard najwidoczniej nie rozumiał swoich dzieci. Gdy na ekranie pojawiła się Ziemia, dzieci zaczęły wpatrywać się w nią z wielkim napięciem.

To jest ich dom, pomyślała Nicole, choć nigdy tam nie byli... Od razu powróciły wspomnienia. Wpatrywała się w plamkę na wielkim ekranie i zatęskniła za tą niebieską, cudowną planetą. Do oczu napłynęły jej łzy. Zbliżyła się do swoich dzieci i położyła im ręce na ramionach.

- Dokąd byśmy nie polecieeli - szepnęła - ta niebieska plamka będzie naszym domem...

2.

Nai Buatong wstała przed świtem. Włożyła bawełnianą sukienkę bez rękawów, w rodzinnym Hawng Prą oddała cześć Buddzie i cicho wyszła z domu, starając się nie obudzić innych członków rodziny. Było lato. Delikatny wiatr roznosił zapach kwiatów i tajlandzkich przypraw; pomimo że był dopiero wczesny świt, jeden z sąsiadów przyrządzał w ogrodzie śniadanie.

Nai bezszelestnie szła miękką ścieżką. Szła powoli, rozglądając się na boki i starając się zapamiętać wszystko to, z czym miała rozstać się na zawsze. To mój ostatni dzień, pomyślała.

Po kilku minutach skręciła w brukowaną uliczkę prowadzącą do dzielnicy handlowej. Od czasu do czasu mijali ją ludzie na rowerach, ale poza tym było zupełnie cicho. Nie otwarto jeszcze żadnych sklepów.

W pobliżu świątyni Nai minęła dwóch buddyjskich mnichów. Każdy z nich miał na sobie szafranowy habit i trzymał w rękach niewielką, metalową urnę. Licząc na dobre serce mieszkańców miasta Lamphun mnisi, jak co dnia, zbierali pożywienie na śniadanie. Drzwi jednego ze sklepów otworzyły się, stanęła w nich kobieta, która dała im nieco żywności. Transakcja przebiegła bez zbędnych słów.

Oni niczego nie posiadają, pomyślała Nai, nawet habitę nie należą do nich. Przypomniała sobie ich dogmat: żądza posiadania jest przyczyną cierpienia.

Pomyślała o bogactwie rodziny jej obecnego męża, mieszkającej w dzielnicy Hashiyama, na skraju Kioto. Kenji mówi, że jego matka ma wszystko, oprócz spokoju. A nie ma go dlatego, bo nie można go kupić...

Oczami wyobraźni ujrzała rodzinny dom Watanabów. Nie podobał jej się ich pałac, czuła się przytłoczona jego bogactwem i przepychem. Było oczywiste, że rodzice Kenjiego widzieli w niej jedynie ubogą imigrantkę, która - pomimo ich sprzeciwu - poślubiła ich syna dla pieniędzy. Nie byli wobec niej niegrzeczni: byli zimni. Od razu zasypali ją pytaniami o wykształcenie i dochody. Potem Kenji uspokajał Nai mówiąc, że to on poleci z nią na Marsa, a nie jego rodzina.

Dziewczyna zatrzymała się na jednej z lamphuńskich uliczek i spojrzała na świątynię królowej Chamatevi. Było to jej ulubione miejsce, chyba najpiękniejsze w całej Tajlandii. Niektóre fragmenty świątyni miały ponad tysiąc pięćset lat; milczące, kamienne mury były świadkami historii tak odmiennej od codzienności Nai, że dziewczyna miała wrażenie, iż pochodzą z innego świata.

Przeszła przez ulicę i zatrzymała się na dziedzińcu. Poranek był niezwykle piękny. Na bezchmurnym niebie świecił jakiś jasny punkt. Dziewczyna zdała sobie sprawę, iż to Mars, cel

jej podróży.

Od dnia urodzin, przez dwadzieścia sześć lat - z wyjątkiem czterech lat spędzonych na uniwersytecie w Chiang Mai - miasto Lamphun było jej domem. Ale już za sześć tygodni Nai znajdzie się na pokładzie olbrzymiego statku, który zawiezie ją do marsjańskiej kolonii, gdzie będzie mieszkać przez pięć lat.

Nai usiadła na ziemi w pozycji kwiatu lotosu i patrzyła na czerwoną planetę. Jakie to dziwne, myślała, Mars patrzy na mnie z góry...

Oddychała miarowo, co miało być początkiem porannej medytacji, ale nie mogła się skoncentrować.

Najpierw muszę się zastanowić, pomyślała, jak pogodzić się z tym, co sprawiło, że moje życie ulegnie tak gwałtownej zmianie...

Przed jedenastoma miesiącami Nai Butatong siedziała w tym samym miejscu, z komputerem na kolanach i uczyła się angielskiego i francuskiego. Postanowiła dobrze przygotować się do następnego semestru; chciała zostać najlepszą nauczycielką języków obcych.

Zanim zabrała się do pracy przeczytała poranną gazetę Chiang Mai. Włożywszy kostkę do podręcznego komputera szybko przeglądała strony. Jej uwagę przykuło ogłoszenie na ostatniej stronie, napisane po angielsku:

CZY JESTEŚ LEKARZEM, PIEŁĘGNIARKĄ,
NAUCZYCIELEM, FARMEREM?

Lubisz przygody, znasz obce języki i nie masz kłopotów ze zdrowiem?

Międzynarodowa Agencja Kosmiczna (ISA) organizuje wyprawę, której celem jest założenie kolonii na Marsie. Jednostki szczególnie uzdolnione, posiadające wyżej wymienione kwalifikacje, mają możliwość ubiegania się o pięcioletni pobyt w marsjańskiej kolonii.

Rozmowy z kandydatami odbędą się w Chiang Mai w poniedziałek, dwudziestego trzeciego sierpnia 2244 roku. Oferujemy znakomite warunki finansowe. Wzory podań można otrzymać przez Thai Telemail pod numerem 462-624930. "

Gdy Nai wysłała swoje podanie do ISA, nie przypuszczała, że ma szansę na jego pozytywne rozpatrzenie. Była pewna, że odpadnie po pierwszych testach i nie spodziewała się, aby miało dojść choćby do rozmowy kwalifikacyjnej. Tymczasem, ku jej zdumieniu, w sześć tygodni później otrzymała odpowiedź pozytywną; poinformowano ją także, że - zgodnie z procedurą - odpowiedzi

na swoje pytania dotyczące kolonii otrzyma drogą pisemną, a potem odbędzie się rozmowa kwalifikacyjna. Komisja ISA podkreślała, że rozmowy zostaną przeprowadzone jedynie z tymi osobami, które zostaną wytypowane do lotu na Marsa.

Za pośrednictwem poczty Telemail, Nai przesłała tylko jedno pytanie: czy w czasie pobytu na Marsie część jej dochodów może być od razu przekazywana na Ziemię? Dodała, że godzi się na pobyt w kolonii tylko pod tym warunkiem.

Po dziesięciu dniach nadeszła lakoniczna odpowiedź: "tak", przeczytała Nai, "część dochodów można przekazać na Ziemię". Ale procent ten musi zostać z góry określony; gdy Nai opuści Ziemię, nie będzie można go później zmienić.

Koszty utrzymania w Lamphunie były stosunkowo niskie, Nai otrzymywała skromną pensję. Dlatego też wynagrodzenie zaproponowane przez ISA wydało się jej prawdziwą fortuną: było prawie dwukrotnie wyższe niż obecne. Na młodej kobiecie spoczywał ciężar odpowiedzialności za pięcioosobową rodzinę złożoną z niepełnosprawnego ojca, matki i dwóch młodszych sióstr.

Nai miała trudne dzieciństwo, ale jej rodzina nie popadła w ubóstwo. Nieszczęście spadło na nich dopiero wtedy, gdy Nai była na ostatnim roku studiów. Matka nie posiadająca żadnych talentów kupieckich, pomimo sprzeciwu rodziny i krewnych postanowiła prowadzić własny sklep. W ciągu roku straciła wszystkie oszczędności i Nai została zmuszona do utrzymywania rodziców. Musiała także porzucić marzenia o tłumaczeniu literatury dla jednego z wydawnictw w Bangkoku.

Uczyła w szkole, a w czasie weekendów pracowała jako przewodnik. W jedną z sobót, na kilka dni przed rozmową kwalifikacyjną, oprowadzała turystów po odległym o trzydzieści kilometrów Chiang Mai. W jej grupie było wielu turystów z Japonii, między innymi przystojny, młody, trzydziestoletni mężczyzna, mówiący płynną angielszczyzną, który nazywał się Kenji Watanabe. Uważnie słuchał tego, co mówiła Nai i zadawał pytania świadczące o jego wysokiej inteligencji. Poza tym był bardzo grzeczny i uprzejmy.

Zwiedzanie miejsc kultu Buddy w Chiang Mai dobiegało końca, turyści wyjechali kolejką linową na górę Doi Suthep, aby na jej szczycie zwiedzić buddyjską świątynię. Większość z nich była już zmęczona, ale nie można było tego powiedzieć o Kenjim Watanabe. Gdy kolejka zatrzymała się na górze, Kenji zapragnął wspiąć się do świątyni tak, jak przed wiekami czynili to mnisi, kategorycznie odmawiając jazdy windą. Potem zasypał Nai pytaniami dotyczącymi historii świątyni.

Po powrocie do miasta turyści rozeszli się po sklepach, a Kenji przysiadł się do Nai, która samotnie piła herbatę w jednej z uroczych kawiarenek u podnóża góry.

- Kaw tode krap - powiedział Kenji po tajsku, czym zaskoczył panią Butatong. - Czy mogę

się do pani przysiąc? Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań.

- Khun pode pasa thai dai mai ka? - spytała Nai, wciąż bardzo zdziwiona.

- Pohm kao jai pasa thai dai nitnoy - odparł mężczyzna, dając do zrozumienia, że nie zna zbyt dobrze tajskiego.

- A pani? Anata wa nihon go hanashimasu ka?

Nai potrząsnęła głową. - Nihon go hanashimasen - uśmiechnęła się. - Znam tylko angielski, francuski i tajski. Ale rozumiem proste, pojedyncze japońskie wyrazy.

- Szczególnie zachwyciły mnie płaskorzeźby przedstawiające budowę świątyni na szczycie Don Suthem - mówił Watanabe płynną angielszczyzną. - To wspaniała legenda, połączenie historii i mistycyzmu. Jako historyk chciałbym zapytać o dwie rzeczy: Po pierwsze, dlaczego ten czcigodny mnich ze Sri Lanki nie wiedział - na przykład z jakichś historycznych źródeł spoza królestwa Lanna - że w pobliskiej pagodzie znajduje się relikwia Buddy? Wydaje mi się, że w przeciwnym wypadku nie ryzykowałby utraty swojej reputacji. Po drugie, wydaje mi się, że historia białego słonia, który z relikwią wspina się na Doi Suthep i z wyczerpania kończy tam swój żywot, jest mało prawdopodobna. Czy istnieją inne źródła historyczne, nie związane z buddyzmem, które także opisują tę piętnastowieczną legendę?

Nai przez kilka sekund patrzyła na pana Watanabe.

- Musi pan wiedzieć - zaczęła z uśmiechem - że jako przewodnik pracuję tutaj od dwóch lat i żaden z turystów nigdy nie zadawał mi takich pytań. Nie jestem w stanie udzielić panu odpowiedzi, ale jeżeli rzeczywiście się pan tym interesuje, mogę podać panu adres profesora wykładającego na uniwersytecie Chiang Mai, który jest specjalistą od historii buddyzmu i królestwa Lanna, począwszy od króla Mengrai...

Ich rozmowę przerwał przyjazd autobusu, który miał zawieźć turystów do hotelu. Nai pożegnała się, a Kenji dołączył do pozostałych członków grupy. Przyglądając mu się z daleka odniosła wrażenie, że wciąż widzi jego pałające oczy. Jest w nich coś niezwykłego, pomyślała. Nigdy nie widziałam oczu tak ciekawych świata...

Po raz kolejny ujrzała je w poniedziałek po południu, gdy poszła do hotelu Dusit Thani na rozmowę kwalifikacyjną z przedstawicielami ISA. Była zdumiona widząc, że obok urzędnika w mundurze Agencji Kosmicznej siedzi pan Watanabe; początkowo była zbita z tropu.

- Nie przeglądałem pani dokumentów przed naszym pierwszym spotkaniem - zaczął Kenji przepraszająco. - Daję słowo. Gdybym wiedział, że jest pani jedną z aplikantek, pojechałbym z inną grupą.

Rozmowa przebiegła nadzwyczaj sprawnie. Kenji był zadowolony zarówno ze znakomitych wyników na egzaminach, jak i z tego, że Nai przez pewien czas pracowała bezpłatnie na rzecz

sierocińców w miejscowościach Lamphun i Chiang Mai. Dziewczyna przyznała, że nie ma szczególnej ochoty na podróże kosmiczne, ale "lubi przygody", a poza tym lecąc na Marsa będzie mogła pomóc swojej rodzinie.

Pod koniec rozmowy zapadła cisza.

- Czy to już wszystko? - grzecznie spytała Nai, podnosząc się z krzesła.

- Została tylko jedna sprawa - rzekł Kenji. - Oczywiście tylko w wypadku, jeżeli umie pani tłumaczyć sny...

- Proszę mówić dalej - uśmiechnęła się Nai.

- W sobotę w nocy śniło mi się, że byłem w dżungli, gdzieś u stóp góry Doi Suthep. Biegałem pomiędzy drzewami, starając się odszukać ścieżkę, gdy nagle na gałęzi jednego z drzew ujrzałem olbrzymiego pytona.

- Dokąd idziesz? - spytał wąż.

- Szukam mojej dziewczyny - odpowiedziałem.

- Jest na szczycie góry - powiedział pyton.

- Wyszedłem z dżungli na wolną przestrzeń i spojrzałem na Doi Suthep. Moja pierwsza dziewczyna, Keiko Murosawa, stała na szczycie i machała do mnie ręką. Odwróciłem się i spojrzałem na węża.

- Popatrz na nią jeszcze raz - doradził.

- Gdy podniosłem wzrok dostrzegłem, że twarz kobiety uległa zmianie. To już nie była Keiko, to była pani... Stała pani na szczycie Doi Suthep, machając do mnie ręką...

Kenji przerwał swoje opowiadanie.

- Nigdy nie miałem tak dziwnego i wyrazistego snu - dodał po chwili. - Myślałem, że...

Nai była pod wrażeniem opowiadania Kenjiego. Zanim skończył mówić wiedziała już, że to ona będzie kobietą na szczycie.

- Panie Watanabe - powiedziała powoli - mam nadzieję, że tego, co powiem, nie uzna pan za obraźliwe...

Zawahala się.

- Jest takie tajlandzkie przysłowie - ciągnęła po chwili, starając się nie patrzeć mu w oczy - które mówi: gdy we śnie przemawia do' nas wąż, spotkaliśmy przyszlą żonę lub męża...

Sześć tygodni później otrzymałam zawiadomienie, przypomniała sobie Nai. Siedziałam na dziedzińcu świątyni Chamatevi. Paczka z ISA przyszła w trzy dni później. Dostałam także kwiaty od Kenjiego...

Kenji pojawił się w Lamphunie w następnym tygodniu.

- Przepraszam, że nie powiadomiłem cię wcześniej - powiedział - ale gdybyś nie leciała na Marsa, utrzymywanie naszej znajomości nie miałoby sensu.

W sobotę po południu Kenji oświadczył się, a Nai zgodziła się zostać jego żoną. Ślub odbył się w miesiąc później, w Kioto. Rodzina Watanabów zwróciła siostrze Nai i jej przyjaciółkom koszty podróży do Japonii, na wesele. Matka Nai nie mogła przyjechać, ponieważ musiała opiekować się ojcem.

Zastanowiwszy się nad zmianami, jakie ostatnio zaszły w jej życiu, Nai była gotowa do medytacji.

W pół godziny później była spokojna, szczęśliwa i pełna wiary w przyszłość. Słońce znajdowało się już dość wysoko, a w świątyni pojawili się pierwsi ludzie. Wolnym krokiem obeszła budynek wciąż myśląc o tym, że widzi to miejsce po raz ostatni.

Weszła do środka i zapaliła wonne kadzidło, po czym długo przyglądała się płaskorzeźbom. Freski opowiadały historię królowej Chamatevi, z którą Nai utożsamiała się w młodości. W siedemnastym wieku lamphuńskie plemiona często walczyły ze sobą, ale wszystkie wierzyły w legendę o królowej, która "przybędzie z południa na olbrzymich słoniach i zjednoczy wszystkie szczepy w jedno wielkie królestwo Haripunchai".

Chamatevi miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, gdy jeden z proroków ogłosił, że to ona jest królową Haripunchai. Była młodą i piękną księżniczką Monsów, jednego ze szczepów Khmerów, którzy później przyczynili się do powstania Angkor Wat. Chamatevi była niezwykle inteligentna, powszechnie szanowana i lubiana, zwłaszcza na królewskim dworze.

Monsowie zdziwili się, gdy dziewczyna oznajmiła, że rezygnuje z życia w dostatku i zamierza udać się na pomoc, na niezwykle niebezpieczną wędrówkę przez góry, dżunglę i moczary.

Chamatevi i jej świta (na olbrzymich słoniach) dotarła do doliny, w której obecnie leży miasto Lamphun, a jej przyszli poddani zaniechali międzyplemiennych waśni i okrzyknęli ją swoją królową. Chamatevi rządziła mądrze i sprawiedliwie przez pięćdziesiąt lat, doprowadzając królestwo do rozkwitu.

Abdykowała mając siedemdziesiąt lat; podzieliła królestwo pomiędzy swoich dwóch synów postanawiając, że pozostałą część życia poświęci Bogu. Rozdawszy całe swoje bogactwo wstąpiła do buddyjskiego klasztoru. Aż do śmierci żyła skromnie i pobożnie, umarła przeżywszy dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Ale w tym czasie okres rozkwitu królestwa Haripunchai już dobiegał końca.

Ostatnie malowidło przedstawiało starą kobietę o pomarszczonej twarzy, lecącą do Nirwany w pięknym powozie.

Nad powozem przepiękna królowa Chamatevi siedziała obok Buddy.

Nai Buatong Watanabe, przyszła obywatelka Marsa, klęczała w lamphuńskiej świątyni modląc się do swojej królowej.

Droga Chamatevi, szeptała Nai, przez ostatnie dwadzieścia sześć lat śledziłaś moje życie. Wyruszam teraz w długą podróż podobną do tej, którą odbyłaś, aby dotrzeć do krainy Haripunchai. Podziel się ze mną mądrością, która będzie mi potrzebna, gdy znajdę się w tym nowym, wspaniałym świecie...

3.

Yukiko miała na sobie czarną jedwabną koszulę, białe spodnie i czarno-biały берет. Weszła do bawialni, żeby porozmawiać z bratem.

- Szkoda, że nie przyjdiesz, Kenji - powiedziała. - To będzie największa pokojowa demonstracja ze wszystkich.

Kenji uśmiechnął się do swojej młodszej siostry.

- Chętnie bym z tobą poszedł - odparł - ale do mojego wyjazdu pozostały tylko dwa dni i chciałbym je spędzić z rodzicami.

Do pokoju weszła matka z ogromną walizką.

- Zapakowałam wszystko - powiedziała. - Ale wciąż mam nadzieję, że zmienisz zdanie. Hiroshima będzie naszym dom wariatów. Asahi Shimbun mówi, że spodziewają się miliona gości, prawie połowa z nich przyjedzie z zagranicy...

- Dziękuję, mam - rzekła Yukiko wyciągając rękę po walizkę. - Satoko i ja będziemy mieszkać w hotelu Hiroshima Prince, możesz się o nas nie martwić. Codziennie będziemy do ciebie telefonować. W poniedziałek po południu będę z powrotem w domu.

Dziewczyna otworzyła walizkę i włożyła do niej diamentową bransoletę i szafirowy pierścień.

- Nie uważasz, że powinnaś zostawić to w domu? - skrzywiła się matka. - Tam przecież będzie tylu obcokrajowców... Twoje klejnoty mogą ich skusić...

Yukiko roześmiała się tak, jak Kenji lubił najbardziej: spontanicznie i serdecznie.

- Ależ mam, dlaczego zawsze musisz myśleć o najgorszym? Mówisz tylko o tym, co złe... Jedziemy do Hiroshimy na rocznicę zniszczenia miasta przez bombę atomową; będzie tam nasz premier, trzej członkowie komisji COG, w artystycznych występach wezmą udział najznakomitsi muzycy świata. Będzie to naprawdę cudowny wieczór, a ty myślisz tylko o tym, że ktoś może mi ukraść pierścionek...

- Za moich czasów było rzeczą niedopuszczalną, aby młode kobiety, które jeszcze nie ukończyły studiów, podróżowały po kraju same, bez kogoś starszego...

- Mam, nie rozmawiamy o tym po raz pierwszy - przerwała Yukiko. - Mam już prawie dwadzieścia dwa lata, w przyszłym roku, gdy dostanę dyplom, nie będę już z wami mieszkać. Zamieszkać sama, może nawet przeprowadzę się do innego kraju. Nie jestem już dzieckiem. Satoko i ja świetnie damy sobie radę. - Spojrzała na zegarek. - Muszę już iść - powiedziała. - Ona czeka na mnie na stacji metra.

Dziewczyna zdawkowo pocałowała matkę, po czym czule objęła swojego brata.

- Wszystkiego dobrego, ani-san - szepnęła mu do ucha. - Uważaj na siebie i swoją żonę. Jesteśmy z was tacy dumni...

Kenji nigdy dobrze nie poznał swojej siostry. Był od niej o prawie dwanaście lat starszy. Yukiko miała zaledwie cztery lata, gdy pan Watanabe został przewodniczącym amerykańskiej filii firmy International Robotics. Cała rodzina przeniosła się do USA i zamieszkała na przedmieściach San Francisco. W młodości Kenji nie zwracał szczególnej uwagi na siostrę, zwłaszcza, że rozpoczął studia na uniwersytecie UCLA.

Starsi Watanabowie i Yukiko powrócili do Japonii w 2232 roku, pozostawiając Kenjiego w USA; był wówczas na drugim roku studiów historii. Podczas corocznych wizyt w Kioto Kenji zawsze planował odbycie kilku poważnych rozmów z Yukiko, ale jakoś nigdy się to nie udawało. Albo jego siostra była zbyt zajęta swoimi sprawami, albo plany rodziców dotyczące oficjalnych uroczystości były zbyt ambitne.

Kenji był smutny widząc, jak Yukiko znika za drzwiami. Opuszczam tę planetę, pomyślał, nie zdążywszy poznać mojej własnej siostry...

Przez cały czas pani Watanabe mówiła cichym, monotonnym głosem o tym, że zmarnowała życie, ponieważ żadne z dzieci nie odnosi się do niej z szacunkiem. Na dodatek jej syn, który poślubił kobietę pochodzącą z Tajlandii jedynie po to, aby przynieść rodzinie wstyd, postanowił zamieszkać na Marsie i nie pojawi się w domu przez najbliższych pięć lat. Jedna z córek, która poślubiła bankiera, urodziła przynajmniej dwoje wnuków, choć, niestety, są oni równie głupi i nudni jak ich rodzice...

- A jak się miewa Fumiko? - Kenji przerwał monolog matki. - Czy przed wyjazdem zdążę zobaczyć się z nią i z kuzynkami?

- Jutro przyjadą z Kobe i będą u nas na kolacji - odparła matka. - Choć nie wiem, co im podać do jedzenia... Czy wiesz, że Tatsuo i Fumiko nie uczą swoich dzieci, aby jadły pałeczkami? Możesz to sobie wyobrazić? Japońskie dzieci, które nie potrafią jeść pałeczkami? Czy to nie przerażające? Wyparliśmy się naszego dziedzictwa dla pieniędzy. Niedawno mówiłam twojemu ojcu, że...

Kenji przeprosił matkę mówiąc, że ma coś pilnego do załatwienia i poszedł do gabinetu ojca. Na ścianach wisiały rzędy fotografii ukazujących jego karierę zawodową. Dwie z nich miały dla Kenjiego szczególne znaczenie: Na jednej wraz z ojcem trzymali puchar zdobyty w mistrzostwach golfowych, na drugiej dumny pan Watanabe odznaczał swojego syna medalem za najlepsze wyniki w nauce.

Kenji spojrzął na inne fotografie i przypomniał sobie, że jednym z uczniów, który niemal

osiągnął najlepsze wyniki był Toshio Nakamura, syn jednego z najbliższych przyjaciół i współpracowników pana Watanabe. Na obydwu zdjęciach młody Nakamura, prawie o głowę wyższy od Kenjiego, patrzył na niego z wyraźną niechęcią.

Ale to było jeszcze zanim zaczęły się kłopoty, pomyślał Kenji. Przypomnił sobie nagłówki gazet: "Aresztowanie członka rady nadzorczej Osaki", które przed czterema laty informowały o procesie Toshio Nakamury. Pan Nakamura, sprawujący funkcję wiceprezydenta sieci hoteli Tomozawa Hotel Group, został oskarżony o poważne przestępstwa: łapówkarstwo, pomoc w dokonaniu przestępstwa oraz pośredniczenie w handlu ludźmi. Po czteromiesięcznym procesie Nakamurę osądzono i skazano na wieloletnie więzienie. Kenji był tym zszokowany. Co się z nim stało? - zastanawiał się wielokrotnie.

Myśląc o swoim rywalu z dzieciństwa ze współczuciem pomyślał o Keiko Murosawie, żonie Nakamury, którą interesował się w młodości. Obydwaj się w niej kochali; gdy Keiko jednoznacznie dała do zrozumienia, że woli Kenjiego, Nakamura wpadł w szal. Pewnego dnia spotkał Kenjiego w pobliżu świątyni Ryoanji i groził, że go zabije.

Gdybym pozostał w Japonii, rozmyślał Kenji, Keiko zostałaby moją żoną. Spojrzał przez okno na ogród. Na dworze padał deszcz, który przypomniawszy Kenjiemu pewne wydarzenie z dzieciństwa.

Kenji poszedł do niej gdy tylko ojciec powiedział mu, co się stanie. Skręciwszy w alejkę usłyszał dochodzącą z domu muzykę Chopina. Pani Murosawa otworzyła drzwi i przywitała go dość chłodno.

- Keiko teraz ćwiczy - powiedziała. - Skończy dopiero za godzinę.

- Ależ proszę pani - rzekł szesnastoletni chłopiec - to naprawdę bardzo ważne!

Pani Murosawa już zamykała drzwi, ale na szczęście Keiko dojrzała Kenjiego przed okno. Przestała grać i podbiegła do chłopca. Jej uśmiech sprawił, że Kenjiego przeszła fala radości.

- Cześć Kenji, co słychać?!

- Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia - powiedział Kenji. - Możesz pójść ze mną na spacer?

Pani Murosawa mruczała coś pod nosem na temat recitalu, do którego należy się przygotować, ale Keiko zdołała przekonać matkę, że nic się nie stanie, jeżeli nie będzie ćwiczyć przez jeden dzień.

Dziewczyna wzięła parasolkę i wyszła przed dom do Kenjiego. Gdy tylko oddalili się na bezpieczną odległość, wzięła go pod ramię. Zawsze tak chodzili.

- Co masz mi do powiedzenia? - spytała. Szli spacerową aleją prowadzącą do wzgórza.

- Nie chcę ci teraz tego mówić - odparł Kenji. - W każdym razie nie tutaj. Chcę, żebyśmy najpierw dotarli do właściwego miejsca...

Idąc dalej śmiali się i żartowali. Skierowali się w stronę "ścieżki filozofów", alei wijącej się pomiędzy wzgórzami. Aleja stała się sławna między innymi dzięki dwudziestowiecznemu filozofowi Nishidzie Kitaro, który podobno lubił tedy spacerować. W jej pobliżu znajdowały się największe turystyczne atrakcje Kioto, takie jak Ginkaku-ji (Srebrny Pawilon) i ulubiona buddyjska świątynia Kenjiego, Honen-In.

Za Honen-In położony był niewielki cmentarz. Jeszcze w dzieciństwie Kenji i Keiko odkryli, że w dwudziestym wieku pochowano tam najbardziej szanowanych obywateli, włącznie z Junichiro Tanizaki i poetą Iwao Matsuo. Cmentarz stał się ulubionym miejscem ich spotkań. Pewnego razu, po przeczytaniu sióstr Makioka, największego dzieła Tanizakii, siedząc przy grobie pisarza przez ponad godzinę dyskutowali o tym, do której z sióstr Makioka jest podobna Keiko.

Zanim Kenji i Keiko dotarli do Honen-In, zaczął padać deszcz. Skręcili w prawo i przeszli przez starą bramę, minęli świątynię i skierowali się w stronę cmentarza. Tym razem Kenji nie zatrzymał się przy grobie Tanizaki. Wspiął się wyżej, do kolejnego rzędu grobów.

- Tutaj spoczywa doktor Iwao Matsuo - powiedział, wyjmując z kieszeni swój elektroniczny notes. - Przeczytam ci kilka jego wierszy.

Keiko usiadła przy swoim przyjacielu, osłaniając go przed deszczem.

- Mam tutaj jego ostatni wiersz - rzekł Kenji. - Napisany dla jednego z jego przyjaciół.

Pewnego czerwcowego dnia

Po orzeźwiający pucharze lodów

Powiedzieliśmy sobie: żegnaj.

Kenji ponownie powtórzył słowa wiersza. Keiko przestraszyła się widząc, że chłopiec jest bardzo poważny i smutny.

- Ten wiersz jest o rozstaniu - powiedziała. - Czyżbyś chciał mi powiedzieć, że...

- To nie ja podjąłem tę decyzję - przerwał jej Kenji. - Mój ojciec został przeniesiony do Ameryki. W przyszłym miesiącu musimy się tam przeprowadzić.

Kenji nigdy nie widział, aby jej twarz wyrażała tak bezgraniczną rozpacz i smutek. Nie mógł spojrzeć jej w oczy. Długo płakali. Kenji przytulił Keiko do siebie i obiecał, że zawsze będzie kochał tylko ją.

4.

Młoda kelnerka, ubrana w jasnoniebieskie kimono i staromodne obi, wniosła do pokoju tacę z piwem i sake.

- Osake onegai shimasu - powiedział grzecznie ojciec Kenjiego, podsuwając dziewczynie pustą czarkę.

Kenji napił się zimnego piwa. Starsza kelnerka bezszelestnie weszła do pokoju wnosząc tacę z zakąskami, na której leżał jakiś nie znany Kenjiemu skorupiak. Od siedemnastu lat, czyli od czasu gdy opuścił Kioto, kaiseki jadł najwyżej kilka razy.

- Campai - rzekł, uderzając swoim kuflem o kieliszek pana Watanabe. - Dziękuję ci, ojczu. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że zaprosiłeś mnie tutaj.

Restauracja Kicho należała do najslawniejszych w rejonie Kansai, była jedną z najlepszych w Japonii. Była też przerażająco droga, ponieważ stosowała się do dawnych obyczajów podawania posiłków w osobnych salach, oferowała potrawy najwyższej jakości, które podawały najlepsze kelnerki. Gdy pan Watanabe powiedział synowi, że zjedzą kolację w restauracji, Kenji nie przypuszczał, że zostanie zaproszony do Kicho.

Od dłuższego czasu rozmawiali o wyprawie na Marsa.

- Ilu kolonistów pochodzi z Japonii? - spytał pan Watanabe.

- Dość dużo - odparł Kenji. - O ile dobrze sobie przypominam, prawie trzystu. Z Japonii nadeszło bardzo wiele podań od osób, które uzyskały w testach najlepsze wyniki. Tylko Ameryka ma większy kontyngent.

- Czy znasz osobiście któregoś z Japończyków?

- Dwóch czy trzech. Yasuko Horikawa dość krótko była w mojej klasie w Kioto, jeszcze w szkole średniej. Może ją pamiętasz; była bardzo, bardzo inteligentna. Miała duże zęby i bardzo grube szkła w okularach. Ona jest, lub była, chemiczką w Dai-Nippon.

Pan Watanabe uśmiechnął się.

- Chyba ją pamiętam - powiedział. - Czy to ona przyszła do nas wtedy, kiedy Keiko grała na fortepianie?

- Chyba tak - rzekł Kenji siląc się na uśmiech. - Ale z tamtego wieczora zapamiętałem tylko Keiko...

Pan Watanabe dopił sake. Młodsza kelnerka, klęcząca w rogu pokoju, zbliżyła się do stołu, aby ponownie napełnić jego czarkę.

- Boję się przestępców - powiedział pan Watanabe, gdy dziewczyna odeszła.

- Nie rozumiem, o czym mówisz?

- W jednym z pism czytałem artykuł o tym, że do wyprawy na Marsa komisja ISA rekrutowała kilkuset skazańców, którzy znajdują się w waszej kolonii Lowell. Podkreślano, że ludzie ci w więzieniu zachowywali się wzorowo i byli wszechstronnie uzdolnieni. Ale dlaczego w ogóle zdecydowano się na wysłanie przestępców?

Kenji napił się piwa.

- Prawdę mówiąc, my także mieliśmy kłopoty z rekrutowaniem ochotników. Po pierwsze, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że tak niewielu ludzi będzie chciało polecieć na Marsa i postawiliśmy kandydatom zbyt wysokie wymagania. Po drugie, pięcioletni pobyt jest zbyt długi. Młodzi ludzie przeważnie nie wiedzą, co będą robić w przyszłości i boją się podjąć decyzję, która ograniczyłaby ich swobodę na tak długi okres. Poza tym prasa i telewizja podważyła zasadność kwalifikacji, jakich wymagaliśmy od aplikantów, oraz przedstawiła ponury obraz marsjańskich kolonii sprzed stu lat. Ludzie przestraszyli się tego, co zobaczyli w telewizji; boją się, że historia upadku kolonii może się powtórzyć.

Kenji przerwał na chwilę. Jego ojciec milczał.

- Poza tym, jak sam dobrze wiesz, doszło do załamania finansów wyprawy. Organizowano ją w zeszłym roku, podczas cięć budżetowych i postanowiono, że koszty dałoby się obniżyć poprzez wysłanie na Marsa wzorowo sprawujących się więźniów. Oprócz skromnego wynagrodzenia istniało wiele powodów, aby przyjąć tę propozycję. Zgoda na wyjazd oznaczała automatyczne anulowanie kary, czyli wolność po powrocie na Ziemię. Poza tym byli więźniowie mieli otrzymać pełne prawa obywateli kolonii Lowell i nikt nie mógłby sprawować nad nimi kontroli...

Kenji urwał, bo przy stole znów zjawiła się kelnerka, wniosła tacę z pieczoną rybą. Pan Watanabe wziął do ręki pałeczki i zjadł kawałek ryby.

- Oishii desu - rzekł do syna z uśmiechem.

Kenji zabrał się do swojej porcji. Rozmowa o byłych więźniach w kolonii Lowell najwidoczniej dobiegła końca. Kenji spojrział przed siebie, tam, gdzie rozpościerał się przepiękny ogród. Niewielki strumyczek spływał po kamiennych schodach i przepływał pośród kilku karłowatych drzew. W japońskiej tradycji osoba siedząca twarzą do ogrodu zawsze była gościem honorowym. Pan Watanabe poprosił aby Kenji zechciał przyjąć to wyróżnienie.

- Nie udało się namówić żadnych Chińczyków? - spytał, gdy zjedli pieczoną rybę.

Kenji potrząsnął głową.

- Mieliśmy tylko kilku kandydatów z Singapuru i Malezji. Rządy Chin i Brazylii zabroniły swoim obywatelom udziału w wyprawie. Po Brazylii spodziewano się czegoś w tym rodzaju,

praktycznie rzecz biorąc kraj ten jest w stanie zimnej wojny z COG. Ale wszyscy liczyliśmy na Chińczyków. Widocznie stuletniej izolacji nie da się przełamać w jednej chwili...

- Nie możesz ich winić. Ich kraj poniósł ogromne straty w okresie Wielkiego Chaosu. Cały zagraniczny kapitał zniknął w ciągu jednego dnia, a to spowodowało załamanie gospodarki...

- Udało nam się zachęcić około stu afrykańskich Murzynów i kilkunastu Arabów. Ale większość kandydatów pochodzi z krajów, które są aktywnymi członkami ISA. Myślę, że to raczej zrozumiałe.

Kenji się zawstydział. Od chwili gdy znaleźli się w restauracji rozmawiali wyłącznie o jego wyprawie.

Przez następną godzinę rozmawiali więc o pracy pana Watanabe w koncernie International Robotics. Ojciec Kenjiego od pewnego czasu zajmował stanowisko szefa firmy i z dumą mówił o "swoim" koncernie. Firma była największym na świecie producentem robotów, zarówno biurowych jak i fabrycznych. Roczne obroty IR-u, jak w skrócie nazywano koncern, stawiały go pośród pięćdziesięciu największych firm świata.

- W przyszłym roku skończę sześćdziesiąt dwa lata - rzekł pan Watanabe. Sake sprawiła, że stał się bardziej rozmowny niż zwykle. - Zastanawiam się, czy nie przejść na emeryturę. Ale Nakamura mówi, że to byłby błąd; uważa, że firma wciąż mnie potrzebuje...

Zanim podano owoce, rozmowa powróciła do tematu marsjańskiej kolonii. Kenji powiedział, że Nai i większość jej koleżanek z Azji, lecących Pintą lub Niną, znajduje się już w Japonii, w ośrodku treningowym w Kyushu. Kenji dołączy do niej, gdy tylko wyjedzie z Kioto. Po dziesięciodniowym treningu on i pozostali pasażerowie polecą Pintą do stacji orbitalnej LEO, gdzie przez tydzień będą przyzwyczajając się do stanu nieważkości. Kolejnym stadium podróży będzie "przesiadka" na stacjonarnego satelitę GEO-4, gdzie obecnie Pintą przechodzi ostatnie badania techniczne. Stamtąd polecą na Marsa.

Młodsza kelnerka przyniosła dwa kieliszki koniaku.

- Twoja żona jest wspaniałą kobietą - powiedział pan Watanabe biorąc do ręki kieliszek. - Zawsze uważałem tajlandzkie kobiety za najpiękniejsze na świecie...

- Ona ma także piękną duszę - dodał Kenji, czując nagły przypływ tęsknoty za żoną. - I jest niezwykle inteligentna...

- Znakomicie mówi po angielsku - zauważył pan Watanabe. - Ale twoja matka uważa, że ona strasznie kaleczy japoński...

Słowa ojca wyprowadziły Kenjiego z równowagi.

- Nai starała się mówić po japońsku, czyli w języku, którego nigdy się nie uczyła, bo matka nie chciała rozmawiać z nią po angielsku. Zrobiła to tylko po to, żeby uświadomić Nai, że jest

“gorsza”...

Kenji urwał. Zdał sobie sprawę, że nie była to odpowiednia chwila, żeby bronić honoru żony.

- Gomen nasai - powiedział.

Pan Watanabe napił się koniaku.

- No, cóż, Kenji - rzekł - widzimy się ostatni raz przed pięcioletnim rozstaniem. Bardzo miło się z tobą rozmawiało.

- Ale jest jeszcze coś, o czym chciałbym z tobą pomówić - dodał po chwili.

Kenji zmienił nieco pozycję, w której siedział; odwykł już od siedzenia na ziemi i po czterech godzinach bolały go plecy. Z tonu głosu ojca wywnioskował, że “jeszcze coś” to poważna sprawa.

- Moje zainteresowanie kryminalistami w kolonii Lowell nie bierze się z czystej ciekawości - zaczął pan Watanabe. - Nakamura-san przyszedł w zeszłym tygodniu do mojego biura, właściwie było już po godzinach pracy, i powiedział mi, że drugie podanie jego syna zostało odrzucone. Spytał mnie, czy mógłbym poprosić ciebie o zajęcie się tą sprawą.

Kenji poczuł się tak, jak gdyby uderzył w niego piorun. Nie miał pojęcia, że jego rywal z dzieciństwa także chciał się znaleźć w marsjańskiej kolonii. A teraz ojciec prosił go...

- Nie brałem udziału w posiedzeniach komisji selekcyjnej - rzekł powoli Kenji. - Pracuję w zupełnie innym dziale.

Pan Watanabe milczał przez kilka sekund.

- Mam znajomych w różnych miejscach - powiedział - i wiem, że ostateczny sprzeciw pochodzi od psychologa, doktora Ridgemore'a z Nowej Zelandii. Jego zdaniem syn Nakamury, pomimo znakomitych wyników resocjalizacji, w dalszym ciągu nie odróżnia dobra od zła i uważa, że nie zrobił nic złego... Wiem, że to ty powołałeś doktora Ridgemore'a na członka komisji selekcyjnej...

Kenji był zszokowany. Jego ojciec nie tylko prosił go o raczej niezwykłą “przysługę”, ale przedtem przeprowadził szczegółowe śledztwo. Ale dlaczego? - myślał Kenji. Dlaczego tak bardzo mu na tym zależy?

- Nakamura-san jest wspaniałym inżynierem i to między innymi jego pracy nasz koncern zawdzięcza swoje sukcesy. Ale ostatnio przestał być tak twórczy jak dawniej, co zbiegło się z aresztowaniem i skazaniem jego syna.

Pan Watanabe nachylił się do przodu i oparł się łokciami o stół.

- On stracił wiarę w siebie - oświadczył. - Wraz z żoną raz w miesiącu odwiedza swojego syna w więzieniu. Więzienie bez przerwy przypomina Nakamurze o hańbie, jaka spadła na jego

rodzinę. Gdyby jego syn mógł polecieć na Marsa, może wtedy...

Kenji rozumiał aż nazbyt dobrze to, czego chciał od niego ojciec. Obawiał się, że nie zdoła pohamować swoich emocji. Powiedział, że prośba ojca jest "niestosowna", ale Watanabe mu przerwał:

- To samo spadło na biedną Keiko - powiedział. - Aiko ma już prawie siedem lat i co drugi tydzień posłusznie jedzie do Ashiyi...

Pomimo gniewu Kenji nie mógł powstrzymać łez, nie mógł znieść myśli o zrozpaczonej Keiko, prowadzącej swoją córeczkę na widzenie z ojcem...

- Rozmawiałem z Keiko w zeszłym tygodniu - rzekł ojciec - na prośbę Nakamury. Jest załamana. Ale wydaje mi się, że poczuła się nieco lepiej, gdy powiedziałem jej, że poproszę cię, abyś się wstawił za jej mężem...

Kenji wziął głęboki oddech i spojrzał w pokerową twarz ojca. Wiedział, co zrobi. Wiedział także, że będzie to rzecz "niestosowna". Właśnie tak: nie "zła", ale "niestosowna". Nie było sensu rozpatrywać decyzji, która została już podjęta.

Kenji dopił swój koniak.

- Powiedz Namamurze, że jutro zadzwonię do doktora Ridgemore'a.

A jeżeli nie należy zdawać się na intuicję? W takim razie stracę najwyżej półtorej godziny, pomyślał Kenji, przepraszając swoją rodzinę za to, że nie weźmie udziału w obiedzie z siostrą Fumiko i jej córkami. Wybiegł na ulicę i skierował się w stronę wzgórza. Do zachodu słońca pozostała godzina. Ona tam będzie, powiedział do siebie, to ostatnia okazja, żeby się pożegnać...

Wszedł najpierw do niewielkiej świątyni Anraku-ji. Zbliżył się do hondo, spodziewając się, że zastanie Keiko w jej ulubionym miejscu, przy drewnianym ołtarzu z posągami dwóch buddyjskich sióstr zakonnych z dwunastego wieku, należących niegdyś do cesarskiego haremu. Siostry popełniły samobójstwo, gdy cesarz Go-Toba rozkazał im wyprzeć się nauk świętego Honena. Ale Keiko tam nie było. Nie było jej także w miejscu, gdzie spalono zakonnice.

Keiko nie przyszła, pomyślał Kenji, może myśli, że została zhańbiona...

Ostatnią nadzieją był cmentarz Honen-In, gdzie rozstali się przed siedemnastu laty. Serce zabiło mu szybciej, gdy zbliżył się do ścieżki prowadzącej do świątyni. Przed sobą ujrzał kobietą sylwetkę.

Kobieta miała na sobie czarną sukienkę i stała przy grobie Junichiro Tanizakiego.

Stała tyłem i Kenji nie widział jej twarzy, ale był pewien, że to Keiko. Pobiegł na górę po schodach.

- Keiko - powiedział łapiąc oddech - tak się cieszę...

- Watanabe-san - przywitała go chłodno, odwracając się ze spuszczoną głową. Ukłoniła się nisko, tak jak gdyby była służącą. - Domo arrigato gozaimasu - dwukrotnie powtórzyła. Podniosła głowę, ale wciąż unikała wzroku Kenjiego.

- Keiko - rzekł cicho Watanabe - to tylko ja, Kenji. Jestem sam. Proszę cię, spójrz na mnie.

- Nie mogę - odparła kobieta głosem tak cichym, że ledwie ją słyszał. - Ale dziękuję ci za to, co robiłeś dla mnie i mojej córki Aiko. - Znów ukłoniła się nisko. - Domo arrigato gozaimasu - powiedziała.

Kenji nachylił się nad nią i dotknął dłonią jej twarzy. Keiko wciąż była bardzo ładna, ale w jej twarzy na zawsze pozostały smutek i rozpacz.

- Keiko - szepnął ze łzami w oczach.

- Muszę już iść - powiedziała kobieta. - Życzę ci szczęścia.

Odsunęła się od niego i znów nisko się ukłoniła. Potem wstała i nie patrząc na niego zaczęła powoli schodzić w dół. W świetle zmierzchu jej cień wydawał się nienaturalnie długi.

Kenji patrzył za nią aż do chwili, gdy zniknęła mu z oczu. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że stoi nad grobem Tanizakiego. Spojrzał na Ku i Jaku, znaki wyryte na grobie. Jeden z nich oznaczał pustkę, drugi samotność.

5.

Wiadomość z Ramy dotarła do Ziemi w 2241 roku, wywołując konsternację. Film nagrany przez Nicole został zaklasyfikowany jako informacja ściśle tajna, a Międzynarodowa Agencja Szpiegowska (IIA), pion COG odpowiedzialny za bezpieczeństwo, natychmiast rozpoczęła starania, aby zrozumieć, o co właściwie chodzi. Dziesiątki najlepszych agentów wysłano do Nowosybirsk, aby przeprowadzili tam dokładną analizę sygnału, który dotarł do Ziemi z ogromnej odległości. Agenci mieli za zadanie opracować strategiczny plan działania.

Najpierw upewniono się, że ani Chińczycy, ani Brazylijczycy nie odebrali sygnału (ich możliwości technologiczne nie osiągnęły jeszcze poziomu COG). Potem w kierunku Ramy wysłano sygnał potwierdzający odbiór wiadomości, co miało zapobiec przyszłym emisjom filmu. Następnie superagenci zajęli się samą treścią przesłania Nicole.

Zaczęli od analizy danych historycznych. Według większości źródeł (wiarygodność innych została podważona) statek Rama II został zniszczony ładunkami nuklearnymi wysłanymi z Ziemi w kwietniu 2200 roku. Nicole des Jardins, osoba widoczna na fikcyjnym wideo, najprawdopodobniej zginęła, jeszcze zanim statek kosmiczny uległ anihilacji. Dlatego też istota wypowiadająca się w jej imieniu najprawdopodobniej była robotem. W takim wypadku poziom zaawansowania badań nad sztuczną inteligencją istot, które skonstruowały "replikę des Jardins", znacznie przekracza ziemską wiedzę. Pierwszy wniosek został więc wyciągnięty: Ziemia znów ma do czynienia z przewyższającą ją intelektualnie cywilizacją - najprawdopodobniej są to te same istoty, które wysłały w stronę Ziemi statki Rama I i Rama E.

Superagenci nie mieli żadnych wątpliwości, że w filmie zawarta jest zawołana groźba. Jeżeli do Układu Słonecznego rzeczywiście zbliżał się statek kosmiczny (dotychczas żaden z Excaliburów nic takiego nie zaobserwował), Ziemia nie mogła zignorować przesłania z kosmosu. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że cała sprawa była chińską prowokacją (Chińczycy mieli najlepszych fizyków), ale dopóki nie zostało to jednoznacznie potwierdzone, należało stworzyć dla COG alternatywny plan działania.

Na szczęście od lat czterdziestych dwudziestego trzeciego wieku trwały prace nad przywróceniem kolonii na Marsie. W dwóch poprzednich dekadach na Czerwoną Planetę udało się kilkanaście wypraw, które przygotowały infrastrukturę pod przyszłą kolonię. Na Marsie powstały bezzałogowe laboratoria, w których przeprowadzano ryzykowne eksperymenty, których nie dałoby się przeprowadzić na Ziemi. Życzenie istoty podającej się za Nicole des Jardins najłatwiej można by spełnić (nie wywołując na Ziemi paniki) poprzez ogłoszenie zamiaru założenia nieco większej kolonii. Jeżeli wiadomość o przybywającym Ramie okazałaby się prowokacją, wielkość kolonii

zostałaby przywrócona do pierwotnych rozmiarów.

Jeden z agentów, Hindus o nazwisku Ravi Srinivasan, analizując dane ISA z 2200 roku doszedł do wniosku, że Rama II nie uległ zniszczeniu.

- Istnieje wysokie prawdopodobieństwo - mówił - że film jest prawdziwy i rzeczywiście został nagrany przez panią des Jardins.

- Ale ta kobieta miałaby teraz siedemdziesiąt dwa lata - zaprotestował jeden z agentów.

- Na filmie nie widać nic, co pozwalałoby określić datę jego powstania - odparł pan Srinivasan. - Jeżeli porównamy zdjęcia pani des Jardins zrobione w czasie misji Newtona z tym, co widzieliśmy na filmie, widzimy, że jej twarz uległa pewnym zmianom: pojawiły się zmarszczki, które sugerują, że kobieta postarzała się o jakieś dziesięć lat. Jeżeli to charakterystyka albo cyborg, zostało to niezwykle sprytnie zrobione...

Pan Srinivasan przyznał jednak, że ostateczny plan stworzony przez IIA jest właściwy, nawet w wypadku, gdyby film okazał się autentyczny. Poza tym wszyscy agenci byli zgodni, że ilość ludzi znających prawdę należy ograniczyć do niezbędnego minimum.

Czterdzieści lat dwudziestego trzeciego wieku przyniosło znaczące zmiany. Po latach wielkiego chaosu Rada Rządów (COG) stała się silną i prężną organizacją, kontrolującą (a przynajmniej manipulującą) polityką planety. Jedynie Chiny, które po tragicznych doświadczeniach zdecydowały się na izolację, pozostały poza sferą wpływów COG. Jednak po 2200 roku pojawiły się sygnały świadczące o powolnym upadku potęgi COG.

W 2209 roku w Korei odbyły się wybory; obywatele, zdegowani korupcją sięgającą szczytów władzy, głosowali za federacją z Chinami, które jako jedno z nielicznych państw miało inny system rządów niż pozostałe kraje, w których dominował kapitalizm. Ustrój chiński był czymś w rodzaju demokracji socjalistycznej, opartej na zasadach humanizmu głoszonego przez św. Michała z Sieny, kanonizowanego w dwudziestym drugim wieku.

COG i cały świat był przerażony wynikiem koreańskiego głosowania. Gdy IIA była na tyle silna, by rozpętać wojnę domową (2211-2212), rządy Chin i Korei zdołały zyskać poparcie większości obywateli, dzięki czemu zbrojne powstanie szybko stłumiono i Korea pozostała w trwałej unii z Chinami.

Chińczycy otwarcie głosili, że nie mają zamiaru "eksportować" swojego stylu sprawowania rządów, ale reszta świata nie dawała temu wiary. Budżet wywiadu i obrony COG pomiędzy rokiem 2210 a 2220 wzrósł dwukrotnie, czemu towarzyszył wzrost napięcia politycznego.

Tymczasem w 2218 roku trzysta pięćdziesiąt milionów Brazylijczyków wybrało na przywódcę swojego kraju charyzmatycznego generała Joao Pereirę. Generał, twierdził, że Ameryka Południowa była nie doceniana przez COG (w zasadzie miał rację) i zażądał dodatkowych umów,

które by tę sprawę uregulowały. Gdy COG odmówiła, Pereira zerwał wszelkie kontrakty z COG, stawiając na południowoamerykański regionalizm. Brazylia przestała być członkiem Rady Rządów i przez kolejne dziesięć lat większość południowoamerykańskich państw postąpiło podobnie. Dzięki temu na scenie geopolitycznej powstało coś na kształt brazylijskiego imperium, energicznie rządzonego przez generała Pereirę.

Rada Rządów nałożyła na Brazylię embargo, starając się ją zmusić do podporządkowania się swoim strukturom. Ale Pereira nie pozostał dłużny; skoro kraje wysoko rozwinięte zaniechały importu towarów (były to państwa leżące w Ameryce Pomocnej, Azji i Europie), generał postanowił, że będzie się eksportować towary, którymi obrót i tak jest nielegalny, i podlega zakazom. Wkrótce głównym Brazylijskim artykułem eksportowym stały się narkotyki. Polityka generała odniosła sukces; w roku 2240 Ameryka Południowa była największym producentem narkotyków na świecie.

W takim to właśnie kontekście odczytywano film Nicole. Choć potęga COG zaczęła się kruszyć, za organizacją stało prawie siedemdziesiąt procent populacji Ziemi i dziewięćdziesiąt procent jej finansowego kapitału. Było oczywiste, że COG i podległa jej agencja kosmiczna ISA powinny wziąć na siebie odpowiedzialność za odpowiedź na wiadomość z kosmosu. Zastosowanie się do wytycznych IIA, polegające na pięciokrotnym zwiększeniu liczby ludzi uczestniczących w zasiedlaniu kolonii Lowell, ogłoszono w lutym 2242 roku. Odlot z Ziemi miał nastąpić pod koniec lata lub wczesną jesienią 2245 roku.

Wszyscy czworo mieli jasne włosy i niebieskie oczy. Rodzina pochodziła ze Szwecji, z Malino. Wyszli, zostawiając Kenjiego i Nai samych. Dziewczyna wciąż patrzyła na Ziemię, oddaloną o trzydzieści pięć tysięcy kilometrów. Kenji stanął tuż za nią.

- Wiesz, nigdy naprawdę nie wiedziałam, co to jest stacjonarna orbita - przyznała się Nai mężowi. - Ziemia wcale się nie obraca, wygląda tak, jakby nieruchomo wisiała w przestrzeni.

Kenji się roześmiał.

- Ale to nieprawda, zarówno Ziemia jak i my poruszamy się, tylko z tą samą szybkością kątową. Dlatego wydaje nam się, że Ziemia się nie obraca...

- Na tamtej stacji orbitalnej wyglądało to inaczej - powiedziała Nai. - Stamtąd Ziemia też się wydawała majestatyczna, ale obracała się...

- To dlatego, że przedtem znajdowaliśmy się zaledwie trzysta kilometrów od Ziemi. Oczywiście, że z tak bliskiej odległości...

- Cholera jasna! - krzyknął ktoś za nimi. Muskularny młody człowiek w dżinsach unosił się w powietrzu, nie więcej niż metr nad podłogą. Jego gwałtowne ruchy sprawiły, że zaczął obracać

się wokół własnej osi. Kenji zbliżył się do niego i sprowadził go na podłogę.

- Dzięki - rzekł mężczyzna z południowym akcentem. - Zapomniałem, że jeden but zawsze musi stykać się z którąś ze ścian. Stan nieważkości nie służy farmerom...

- Przepraszam panią za brzydkie słowo, które mi się wyrwało. Wychowałem się w oborze... Jestem Max Puckett z DeQueen w stanie Arkansas - rzekł mężczyzna, wyciągając do Kenjiego rękę.

Kenji przedstawił siebie i żonę.

- Wyobraźcie sobie - powiedział Puckett - że kiedy zgłosiłem się na tę wyprawę, nie przyszło mi do głowy, że przez cztery miesiące będę przebywał w stanie nieważkości... Co będzie z moimi biednymi kurami? Chyba już nigdy nie zniosą jajka... - Max zbliżył się do okna. - U nas w domu jest już prawie południe; mój brat Clyde otwiera właśnie puszkę piwa, a żona przygotowuje mu kanapki...

Puckett zamyślił się a potem zwrócił się do Watanabów:

- Co będziecie robić na Marsie?

- Ja jestem historykiem tej kolonii - powiedział Kenji - w każdym razie jednym z członków zespołu. Moja żona Nai będzie uczyć angielskiego i francuskiego.

- Cholera - mruknął Puckett - miałem nadzieję, że jesteście farmerami z Wietnamu albo Laosu. Chciałem spytać o uprawę ryżu...

- Pan mówił coś o kurach, prawda? - spytała Nai. - Czy w kolonii będą kury?

- Oczywiście. W sumie jest ich piętnaście tysięcy; są to najwspanialsze okazy Pucketta. Znajdują się teraz na drugim końcu stacji w ładowniach. Urzędnicy ISA zapłacili nam za nie tyle, że Clyde i Winona mogliby przez cały rok nic nie robić...

- Ludzie zajmują zaledwie dwadzieścia procent pomieszczeń na statkach Pinta i Santa Maria - zauważył Kenji. - Żywność i cargo to pozostałe osiemdziesiąt procent. Na pokładzie Pinty leci tylko trzystu ludzi, większość z nich to wysocy urzędnicy ISA i personel techniczny niezbędny do zainicjowania kolonii...

- Za-i-ni-cjo-wa-nia? Cholera jasna, gadacie tak jak roboty - zażartował Max mrugając porozumiewawczo do Nai. - Po dwóch latach pracy z gadającym kultywatorem wyrzuciłem go na złom i kupiłem taki, który nic nie mówi.

- Zdaje się, że posługuję się żargonem ISA - roześmiał się Kenji. - Jestem jednym z pierwszych cywilów wybranych do zasiedlenia kolonii Lowell; zajmowałem się rekrutacją ochotników na wschodzie...

Max włożył papierosa do ust i rozejrzał się dookoła.

- Nie widziałem tabliczki mówiącej, że wolno tutaj palić, więc na pewno za chwilę

usłyszymy alarm - powiedział, po czym wetknął papieros za ucho. - Winona nie lubi, kiedy Clyde i ja palimy. Mówi, że teraz palą już tylko farmerzy i prostytutki...

Wszyscy roześmieli się. Puckett był sympatycznym człowiekiem.

- A jeżeli już mowa o prostytutkach - ciągnął - gdzie są te wszystkie kobiety z więzień, które pokazywali w telewizji? Niektóre z nich były niczego sobie... Cholera, lepsze to niż dogłądanie kurczaków i świń...

- Wszyscy, którzy na Ziemi byli więźniami, lecą statkiem Santa Maria - powiedział Kenji. - Wylądujemy mniej więcej dwa miesiące przed nimi.

- Zdaje się, że dużo wiesz o tym, co nas czeka - rzekł Max. - I nie mówisz takim łamanym angielskim jak Japonce, których spotkałem w Little Rock i Texarkanie. Jesteś kimś bardzo ważnym?

- Nie - odparł Kenji uśmiechając się mimo woli. - Już panu mówiłem: jestem historykiem.

Kenji zamierzał powiedzieć Maxowi, że sześć lat mieszkał w USA - co wyjaśniłoby jego dobrą znajomość angielskiego - ale nagle otworzyły się drzwi i pojawił się w nich dystyngowany starszy pan w szarym garniturze.

- Proszę mi wybaczyć - zwrócił się do Maxa, który znów włożył do ust nie zapalony papierosa - ale czyżbym przez pomyłkę znalazł się w pokoju dla palących?

- Nie, ojczulku - odparł Max. - To jest pokój widokowy; zbyt ładny jak na pomieszczenie dla palaczy. Myślę, że palić wolno jedynie w jakiejś klitce bez okien, najprawdopodobniej w pobliżu toalety. Facet z ISA z którym rozmawiałem twierdzi, że...

Starszy pan patrzył na Maxa takim wzrokiem, jak gdyby był naukowcem, a Max - przedstawicielem jakiegoś rzadkiego, lecz z pewnością niższego gatunku.

- Młody człowieku - rzekł starszy pan - nie nazywam się "ojczulek", lecz Piotr Myszkin.

- Miło cię poznać, Peter. - Max wyciągnął rękę na powitanie. - Jestem Max, a to Watanabowie. Oni są z Japonii.

- Ja jestem Kenji Watanabe - sprostował Kenji - a to moja żona Nai, obywatelka Tajlandii.

- Panie Max - zaczął Myszkin oficjalnym tonem - proszę nie mówić do mnie "Peter"; wystarczającym nieszczęściem jest fakt, że przez najbliższe pięć lat będę zmuszony mówić po angielsku. Mam chyba prawo wymagać, aby przynajmniej moje rosyjskie imię brzmiało tak, jak należy...

- Dobrze, panie... Piotrze - rzekł Max ponownie uśmiechając się. - A co pan właściwie robi? Proszę nie mówić, niech zgadnę: jest pan grabarzem.

Kenji pomyślał, że Myszkin będzie wściekły. Ale zamiast gniewu, na twarzy Rosjanina pojawił się nikły uśmiech.

- Nie trudno zauważyć, panie Max - powiedział powoli Myszkin - że w tym, co pan mówi, jest sporo komizmu. Myślę, że podczas tak długiej podróży jak nasza, może się to okazać niezwykle przydatne. A wracając do pańskiego pytania: nie jestem grabarzem, lecz prawnikiem. Jeszcze dwa lata temu zasiadałem w Sądzie Najwyższym Rosji.

- Cholera jasna - powiedział z szacunkiem Max - teraz sobie przypominam, czytałem o panu w gazecie. Bardzo mi przykro, panie Myszkin, w pierwszej chwili nie rozpoznałem pana...

- Nie ma za co - przerwał sędzia z uśmiechem. - To bardzo ciekawe doświadczenie znaleźć się tutaj incognito i zostać wziętym za grabarza. Myślę, że zawód, o którym był pan łaskaw wspomnieć, wbrew pozorom jest dość bliski temu, co robię... A przy okazji, panie...

- Puckett.

- Panie Puckett, czy nie zechciałby pan wstąpić ze mną do baru na kieliszek wódki?

- Myślę, że tequila byłaby lepsza... - rzekł Max ruszając do drzwi za Myszkinem. - A wie pan, co robią świnie, kiedy napiją się tequili? Nie? Tak myślałem. Bo widzi pan, panie sędzio, ja i mój brat Clyde...

Drzwi zamknęły się za nimi, Kenji i Nai znów zostali sami. Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Myślisz, że uda im się zaprzyjaźnić?

- Wątpię - odparła Nai.

- Myszkin uważany jest za jednego z najlepszych współczesnych sędziów. Jego książki są obowiązkową lekturą na studiach prawniczych w Rosji. Puckett był prezesem związku farmerów z południa Arkansas. Świetnie zna się na uprawie roli i hodowli zwierząt...

- Znasz życiorysy wszystkich mieszkańców kolonii Lowell?

- Nie, ale czytałem o wszystkich pasażerach Pinty.

Nai objęła męża ramieniem.

- Powiedz, co wiesz o Nai Buatong Watanabe - poprosiła.

- To nauczycielka języka tajskiego, francuskiego i angielskiego; wyniki jej testów IE i SC wynoszą odpowiednio: 2,48 oraz 91...

Nai przerwała Kenjiemu całując go w usta.

- Zapomniałeś o najważniejszym.

- Mianowicie?

Nai znów go pocałowała.

- O tym, że większość czasu spędzam zachwycając się moim mężem, Kenjim Watanabe, historykiem i kronikarzem marsjańskiej kolonii...

6.

Start Pinty transmitowały wszystkie sieci telewizyjne. Drugi wiceprzewodniczący COG, Szwajcar Heinrich Jenzer, właściciel firmy pośredniczącej w obrocie nieruchomościami, był obecny przy oficjalnych pożegnaniach na pokładzie satelity GEO-4. Wygłosił krótkie przemówienie z okazji planowego ukończenia budowy trzech statków. Powiedział, że "ich powstanie rozpoczyna nową erę kolonizacji Marsa". Gdy skończył, głos zabrał Szkot Ian Macmillan, dowódca Pinty. Macmillan był marnym mówcą, typowym biurokratą ISA. Odczytał z kartki drętwe sześciominutowe przemówienie.

- Te trzy statki - mówił - zabiorą na Marsa prawie dwa tysiące ludzi. Droga, jaką przebędą, będzie długa - sto milionów kilometrów. Dzięki temu na Marsie powstanie kolonia. Większość pasażerów znajdzie się na pokładzie drugiego statku, Niny, który za trzy tygodnie opuści stację GEO-4, na której znajdujemy się teraz. Pinta oraz ostatni statek, Santa Maria, przewożą po trzystu pasażerów i tysiące kilogramów sprzętu.

Ostrożnie unikając tematów związanych z upadkiem poprzedniej kolonii, dowódca Macmillan spróbował swych sił jako poeta, porównując obecną podróż do wyprawy Krzysztofa Kolumba. Mowa napisana dla Macmillana nie była zła, ale jego drętwy, monotony głos sprawił, że prawie nikt go nie słuchał.

Macmillan zakończył swoje przemówienie wymieniając zawody i specjalności kolonistów.

- Ci mężczyźni, kobiety i dzieci - powiedział - praktycznie rzecz biorąc stanowią przekrój naszego ziemskiego społeczeństwa. Mówię praktycznie, ponieważ wszystkich członków wyprawy charakteryzują dwie cechy, których nie znaleźlibyśmy u wszystkich Ziemiaków: Po pierwsze, przyszli mieszkańcy kolonii Lowell są niezwykle inteligentni; średni wynik testu IE przekracza 1,86. Po drugie, są odważni; jest to rzecz oczywista, ponieważ w przeciwnym razie nie zgłosiliby się na ochotnika do życia w nowym, nieznanym środowisku...

Gdy Macmillan skończył, wręczono mu niewielką butelkę szampana, którą dowódca roztrzaskał na modelu Pinty w skali jeden do stu. W chwilę później koloniści zaczęli przygotowania do wejścia na pokład statku, a Macmillan i Jenzer otworzyli konferencję prasową.

- To kretyn.

- Nawet jako urzędnik jest do niczego.

- Pieprzony kretyn.

Max Puckett i sędzia Myszkina jedli lunch i prowadzili ożywioną rozmowę o wszechstronnie

uzdolnionym dowódcy Macmillanie.

- Nie ma poczucia humoru.

- Nie rozumie rzeczy, które choć odrobinę odbiegają od utartych schematów.

Sąd Maxa był zdecydowanie negatywny; wcześniej tego samego dnia, dowódca Pinty zamierzał wszcząć przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne, przed którym uchronił go Myszkin.

- Ci skurwiele nie powinni mieć prawa do oceny mojego zachowania.

- Z pewnością masz rację, przyjacielu - rzekł Myszkin - jeżeli mówisz o ogólnych zasadach współżycia między ludźmi. Niestety, teraz znajdujemy się w okolicznościach szczególnych i oni tutaj rządzą, przynajmniej do czasu, gdy wylądujemy na Marsie i utworzymy własny rząd... Na szczęście nic złego się nie stało, przecież nawet nie zdołali wymusić na tobie zeznania, że twoje zachowanie było "wysoce nieodpowiednie". Mogło być gorzej...

Przed dwoma dniami zorganizowano przyjęcie z okazji przekroczenia połowy odległości pomiędzy Ziemią a Marsem. Max flirtował z piękną Angelą Rendino, jedną z asystentek Macmillana, który wziął Maxa na bok i poprosił, aby zostawił dziewczynę w spokoju.

- Niech ona także to usłyszy - rzekł Max.

- To młoda, niedoświadczona kobieta - odparł Macmillan. - Jest zbyt delikatna, aby powiedzieć panu, jak bardzo odpychający jest pański humor, rodem z obory.

Aż do tej chwili Max świetnie się bawił.

- O co panu chodzi, dowódco? - spytał Max, wypijając kolejną marganie. - Czyżby ta dziewczyna stanowiła pańską prywatną własność?

Ian Macmillan zrobił się purpurowy na twarzy.

- Panie Puckett - rzekł przez zaciśnięte zęby - jeżeli nie zacznie się pan zachowywać poprawnie, będę musiał wydać panu rozkaz zabraniający opuszczania pańskiej kwatery.

Sprzeczką z Macmillanem popsuła Maxowi cały wieczór. Był wściekły na dowódcę za to, że nadużył swojej władzy w sprawie czysto osobistej. Max wrócił do pokoju, który dzielił z drugim Amerykaninem - Davem Denisonem - melancholijnym leśnikiem ze stanu Oregon i szybko uporał się z butelką tequili. Pijany popadł w nastrój smutku i zadumy, zaczął rozmyślać o rodzinnym domu i postanowił zatelefonować do brata w Arkansas.

Ale aby dotrzeć do kompleksu telekomunikacyjnego, należało przejść przez cały statek i minąć kabinę dowódcy. Po drodze Max zauważył Macmillana idącego pod rękę z Angelą Rendino. Zmierzali do prywatnych apartamentów dowódcy.

- A to skurwiel - mruknął do siebie Max.

Usiadł pod drzwiami Macmillana. Wzbierał w nim gniew. Po pięciu minutach przyszedł mu

do głowy pewien pomysł. Przypomnił sobie o jednej ze sztuczek z czasów studenckich, o "dzikim ryku świni", i wydał z siebie przeraźliwy kwik.

Powtórzył go jeszcze kilkakrotnie, po czym uciekł, zanim otworzyły się drzwi apartamentu Macmillana (i innych oficerów). Dowódca bynajmniej nie był zachwycony tym, że załoga ujrzała go w towarzystwie panny Rendino, i to bez spodni.

Dla Kenjiego i Nai lot na Marsa był niczym drugi miodowy miesiąc. Z kronikarskiego punktu widzenia podróż nie przebiegała ciekawie, a obowiązki Nai zostały zawieszono, ponieważ większość jej uczniów znalazła się na pokładzie dwóch pozostałych statków.

Watanabowie spędzali czas na rozmowach z sędzią Myszkinem i Maxem Puckettem. Grali w karty (Max dobrze grał w pokera, ale miał poważne kłopoty z brydżem), rozmawiali o tym, jak powinna wyglądać ich przyszłość na Marsie, i opowiadali, co w przeszłości robili za Ziemi.

Pinta miała dotrzeć do Marsa w ciągu trzech tygodni, w związku z tym ogłoszono dwudniową "sesję telekomunikacyjną"; zachęcano podróżnych, aby dzwonili na Ziemię zanim system łączności zostanie wyłączony. Zbliżał się koniec roku, więc dla pasażerów była to dobra okazja na rozmowę z bliskimi.

Maxowi nie spodobało się opóźnienie w przekazie sygnału na Ziemię, sprawiające, że rozmowy trwały bardzo długo. Po wysłuchaniu nieskładnego opowiadania o przygotowaniach do świąt Bożego Narodzenia w Arkansas, Max powiedział Clyde'owi i Winonie, że nie będzie więcej dzwonił, bo "nie lubi przez kwadrans czekać, by się przekonać, czy ktoś roześmieje się z jego dowcipu".

W Kioto śnieg spadł wyjątkowo wcześnie. Matka i ojciec Kenjiego przygotowali dla niego film wideo ukazujący przykryte śniegiem Ginkaku-ji i Honen-In. Gdyby nie było z nim Nai, Kenji z pewnością poczułby tęsknotę za domem.

Nai odbyła krótką rozmowę telefoniczną z rodziną w Tajlandii i złożyła gratulacje siostrze, która otrzymała uniwersyteckie stypendium.

Piotr Myszkin do nikogo nie dzwonił. Nie miał dzieci a jego żona nie żyła już od wielu lat.

- Mam wspaniałe wspomnienia z Ziemi - powiedział Maxowi - ale nie mam tam nikogo, z kim mógłbym porozmawiać...

Następnego dnia po zerwaniu łączności z Ziemią wyświetlono film, który wszyscy musieli zobaczyć. Kenji i Nai zaprosili Maxa i sędziego Myszkina do siebie.

- Ciekawe, o czym będzie ten kolejny drętwy wykład - mruknął Max, jak zwykle niezadowolony z tego, że znów każe mu się robić coś, co uważa za stratę czasu.

Za wielkim biurkiem siedział prezydent COG i główny dyrektor ISA. Prezydent COG

przemówił jako pierwszy, podkreślając wagę informacji, którą za chwilę przekaże Werner Koch, dyrektor ISA.

- Drodzy pasażerowie Pinty - zaczął doktor Koch. - Przed czterema laty nasze systemy satelitarne odebrały tajemniczy sygnał z głębi kosmosu. Po przetworzeniu go okazało się, że jest to film wideo, który pokażemy wam za kilka minut.

- Z filmu dowiedziecie się, że do Układu Słonecznego ponownie zbliża się pojazd kosmiczny Obcych, zwany Ramą. W latach 2130 i 2200 podobne statki odwiedziły już Układ Słoneczny. Drugi z nich, zwany Ramą II, dokonał nieprzewidzianej zmiany trajektorii, co groziło zderzeniem z Ziemią. Aby do tego nie doszło, w jego kierunku wysłano flotyllę rakiet z ładunkami nuklearnymi, których celem było zniszczenie Ramy, zanim mógłby się on stać dla nas bezpośrednim zagrożeniem.

- Film wideo, który teraz zobaczycie, rzekomo wysłany z głębi kosmosu, zapowiada, że do naszego Układu zbliża się kolejny pojazd Obcych, którego celem jest "pozyskanie" przedstawicieli Ziemi w celu ich "obserwacji". Niecały miesiąc temu nasze radary istotnie wykryły w pobliżu Marsa pojazd, o wymiarach odpowiadających Ramie...

- Fantastyczną wiadomość z kosmosu musimy potraktować zupełnie poważnie. Dlatego większość kolonistów na pokładzie Pinty dotrze do obiektu w pobliżu Marsa. Zdajemy sobie sprawę, że to, o czym was teraz powiadomiliśmy, będzie dla was zaskoczeniem. Niestety, nie mieliśmy innego wyjścia. Jeżeli historia o powrocie Ramy jest prowokacją, po krótkim zboczeniu z kursu polecicie na Marsa i zajmiecie się zakładaniem kolonii. Natomiast w wypadku, gdyby film był prawdziwy, wtedy wy i wasi przyjaciele znajdujący się na pokładzie Niny i Marii polecicie na spotkanie Obcych i staniecie się ich "ludzkim kontyngentem przeznaczonym do obserwacji".

- Jak się zapewne domyślicie, wasza misja należy do priorytetów COG. Myślę, że rozumiecie także, dlaczego utrzymywana była w ścisłej tajemnicy. Od tej chwili aż do czasu, gdy sprawa Ramy zostanie definitywnie rozstrzygnięta, wszelka wymiana informacji pomiędzy waszym statkiem i Ziemią będzie ściśle kontrolowana. Wasi przyjaciele i bliscy zostaną powiadomieni, że czujecie się dobrze i że bezpiecznie wylądowaliście na Marsie - z tym że systemy bezpośredniej łączności uległy trwałemu uszkodzeniu.

- Teraz zobaczycie film, dzięki któremu będziecie mogli przygotować się do spotkania. Agencje IIA i ISA opracowały szczegółowe plany działania, które otrzymał już wasz dowódca Macmillan. Każdy pasażer otrzyma swój osobisty plan, zawierający informacje o jego obowiązkach.

- Życzymy wam powodzenia; najprawdopodobniej "spotkanie z Ramą" okaże się prowokacją, a wasze lądowanie w kolonii Lowell nastąpi z nieznacznym opóźnieniem. W

przeciwnym wypadku musicie działać szybko, aby przygotować wszystko na przybycie Niny i Marii; żaden z pasażerów dwóch pozostałych statków nie dowie się niczego ani o Ramie, ani o zmianach w przebiegu misji...

W pokoju zapadła cisza. Na ekranie pojawił się napis: "następny film za dwie minuty".

- A żeby ich szlag... - mruknął Max Puckett.

7.

Nicole siedziała w zwykłym, brązowym fotelu na tle gładkiej ściany. Ubrana była w mundur ISA, który podczas wyprawy Newtona stanowił jej codzienny strój. Czytała tekst trzymając na kolanach elektroniczny notes.

- Drodzy Ziemianie - zaczęła - nazywam się Nicole des Jardins i jestem jednym z kosmonautów załogi Newtona. Przemawiam do was z odległości kilku miliardów kilometrów. Znajduję się na pokładzie statku Rama podobnego do tych, które w przeszłości odwiedziły Układ Słoneczny. Trzeci statek również zmierza w kierunku Ziemi i mniej więcej w cztery lata po odebraniu przez was niniejszego filmu, wejdzie na orbitę wokół Marsa.

- Statki kosmiczne typu "Rama" zbudowane zostały przez przedstawicieli cywilizacji przewyższającej nas pod względem technologicznym, w celu zbierania informacji o życiu we wszechświecie. To właśnie jest powodem dla którego Rama znów leci w waszym kierunku.

- Wewnątrz Ramy III stworzono moduł mieszkalny - którego warunki klimatyczne odpowiadają ziemskim - mogący pomieścić dwa tysiące ludzi oraz znaczną ilość zwierząt i roślin. Dokładna biomasa i inne istotne parametry zostały podane w dodatku do niniejszego filmu. Należy podkreślić, że rośliny, zwłaszcza te, które zdolne są do wydajnego przetwarzania dwutlenku węgla w tlen, staną się niezbędnym elementem wyposażenia ziemskiego modułu. Bez nich, wasza zdolność dłuższego przebywania na pokładzie Ramy byłaby poważnie ograniczona.

- Jaki jest cel mojego przesłania? Chodzi o to, aby skłonić Ziemię do wysłania reprezentatywnej próbki jej mieszkańców - włącznie z roślinami i zwierzętami, co dokładnie opisano w dodatku do filmu - na spotkanie z Ramą III, który będzie czekał na ziemski kontyngent krążąc wokół Marsa. Podróżni zostaną przetransportowani do jego wnętrza i zamieszkawszy w stworzonych do tego celu osiedlach będą mogli żyć tak, jak na Ziemi - z tym że zostaną poddani obserwacji.

- Z powodu nieprzyjaznego zachowania się Ziemi w trakcie wizyty Ramy II (nawiasem mówiąc atak nuklearny spowodował jedynie niewielkie uszkodzenie statku) plan obecnej misji nie przewiduje zbliżenia się do Ziemi. Plan ten oczywiście zakłada, że ziemskie władze zgodzą się spełnić żądania stawiane w niniejszym filmie. Nie wiem co nastąpi, jeżeli na spotkanie Ramy Ziemia nie wyśle kontyngentu ludzi i zwierząt. Mogę jedynie powiedzieć, na podstawie moich własnych obserwacji, że istoty będące przedstawicielami obcej cywilizacji nie powinny mieć kłopotów z osiągnięciem celu stosując inne, zapewne mniej łagodne metody...

- Ludzie wybrani do tej misji powinni reprezentować szerokie spektrum ludzkości; powinny

to być osoby obojga płci, w różnym wieku i z różnych kultur. Informacje o Ziemi, które należy dostarczyć Obcym znajdują się w trzeciej części dodatku; będą one uzupełnieniem wiadomości zebranych dzięki obserwacjom.

- Nie wiem, jak długo ludzie będą przebywać na pokładzie Ramy, nie wiem także, dokąd statek zmierza; nie wiem nawet, dlaczego twórcy Ramy gromadzą wiedzę o życiu we wszechświecie. Mogę jedynie powiedzieć, że cuda, jakie widziałam od chwili opuszczenia Układu Słonecznego sprawiły, że nasze miejsce we wszechświecie widzę z zupełnie innej perspektywy...

Film trwał nieco ponad dziesięć minut, większość czasu zajęły "dodatki". Na ekranie widać było tylko Nicole. Jej przemówienie z pewnością było dobrze przemyślane; tam, gdzie należało, robiła krótkie przerwy, a jej głos był melodyjny, choć twarz wyrażała powagę. Jedynie w chwili, gdy mówiła o "innych metodach pozyskania ludzkiego kontyngentu" w jej czarnych oczach widać było napięcie.

Kenji Watanabe obejrzał pierwszą część filmu z ogromną uwagą, dopiero w czasie "dodatek", w których mowa była o szczegółach, zaczął sobie zadawać pytania: Kim są obcy? Skąd pochodzą? Dlaczego chcą nas obserwować? I dlaczego na swojego rzecznika wybrali Nicole des Jardins?

Kenji uśmiechnął się do siebie zdając sobie sprawę, że podobne pytania można stawiać w nieskończoność.

Jeżeli Nicole jeszcze żyje, myślał, to ma teraz osiemdziesiąt dwa lata. Kobieta na ekranie miała wprawdzie siwe włosy i wyglądała starzej niż kosmonautka des Jardins w czasie, gdy Newton wyruszał na spotkanie Ramy, ale z pewnością nie była staruszką. Ma najwyżej pięćdziesiąt dwa, trzy lata, myślał Kenji.

Czyżby więc film powstał trzydzieści lat temu? A może proces starzenia się został w jakiś sposób opóźniony?

Kenjiemu nie przyszło do głowy, by zastanowić się, czy osobą, która zobaczył na ekranie rzeczywiście była Nicole des Jardins. W przeszłości spędził dość czasu przeglądając archiwa Newtona, żeby natychmiast rozpoznać mimikę jej twarzy i charakterystyczne gesty. Najprawdopodobniej film rzeczywiście powstał cztery lata temu, doszedł do wniosku, ale jeżeli rzeczywiście tak było...

Film Nicole skończył się i na ekranie znów pojawił się dyrektor ISA. Doktor Koch wyjaśnił, że film zostanie nadany jeszcze dwukrotnie na wszystkich kanałach, po czym każdy z pasażerów i członków załogi będzie mógł poprosić o ponowną emisję.

- O co w tym wszystkim chodzi, do cholery?! - rzekł Max Puckett, gdy na ekranie znów

pojawiła się twarz Nicole des Jardins. Pytanie zostało skierowane do Kenjiego.

- O ile dobrze zrozumiałem - odparł Kenji - kierownictwo ISA zataiło przed nami prawdę o celu naszej misji. Najwidoczniej wiadomość, którą odebrano przed czterema laty sprawiła, że zdecydowano się na fikcyjne założenie kolonii na Marsie, po to, aby zbadanie celu przybycia Ramy III przebiegło w całkowitej tajemnicy.

- Jasna cholera - zaklął Max potrząsając z niedowierzaniem głową. - A dlaczego ci skurwiele od razu nie powiedzieli nam prawdy?

- Trudno mi uwierzyć, że istoty tak inteligentne jak te, które zbudowały Ramę, przybywają do nas tylko po to, aby się czegoś o nas dowiedzieć - powiedział sędzia Myszkina. - Z drugiej strony rozumiem teraz pewien szczególny sposób doboru podróżnych. Byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że leci z nami grupa bezdomnych nastolatków. Teraz rozumiem, że chodziło o spełnienie żądania zapewnienia "szerokiego spektrum społeczeństwa", o którym mówiła madame des Jardins. Troska o to, abyśmy w ewentualnej kolonii na Marsie stworzyli zgraną społeczność, zeszła na drugi plan.

- Nienawidzę tych kłamców! - powiedział Max podnosząc się z krzesła. - Wszyscy politycy to skurwiele. Kłamią bez zająknięcia.

- Ależ Max, przecież oni nie mieli innego wyjścia - rzekł Myszkina. - Nie mogli potraktować filmu całkiem poważnie: w każdym razie nie mogło to nastąpić zanim jakiś statek pojawił się na orbicie Marsa. Gdyby od razu powiedzieli prawdę, na całym świecie wybuchłaby panika...

- Panie sędzio - odezwał się przygnębiony Max - myślałem, że jestem tu po to, aby zostać farmerem na Marsie. Nic nie wiedziałem o Obcych i, szczerze mówiąc, wcale nie chcę wiedzieć. Mam dość zmartwień z kurczakami, świniami i... ludźmi...

- To prawda, zwłaszcza z ludźmi - Myszkina uśmiechnął się do swego przyjaciela. Max parsknął śmiechem.

Po kilku minutach Myszkina i Max pożegnali się. Kenji i Nai zostali sami. Po chwili zadzwonił wideofon.

- Pan Watanabe? - spytał Ian Macmillan.

- Słucham - powiedział Kenji.

- Proszę wybaczyć, że pana niepokoję - rzekł dowódca - ale jedno z pierwszych zadań należy właśnie do pana. Proszę, aby wszystkim pasażerom Pinty opowiedział pan wyprawie Newtona, o Ramach, o kosmonautce des Jardins. Myślę, że potrzebuje pan nieco czasu, aby się do tego przygotować...

- ...W 2200 roku wszystkie media poinformowały tym, że Rama II został całkowicie

zniszczony przez ścisłe nuklearne wysłane z Ziemi. Kosmonauci, którzy nie wrócili z wyprawy, czyli des Jardins, O'Toole, Takagishi Wakefield, zostali uznani za ofiary eksplozji. Jednak badanie bazy danych Newtona i innych materiałów, na przykład serialu telewizyjnego, którego producentem był koncern Hagenest and Schmidt, pozwoliły stwierdzić, że kosmonautka des Jardins zginęła przed eksplozją, najprawdopodobniej na terenie tak zwanego Nowego Jorku, na kilka tygodni zanim Newton oderwał się od Ramy, by powrócić na Ziemię.

Kenji zamilkł i spojrzął na słuchaczy. Choć dowódca Macmillan wyjaśnił pasażerom Pinty, że wykład Kenjiego zostanie nagrany i każdy będzie mógł go jeszcze raz wysłuchać, wiele osób robiło notatki. Kenji lubił przemawiać; spojrzął na Nai, uśmiechnął się do niej i ciągnął dalej:

- Kosmonautka Francesca Sabatini, niewątpliwie najbardziej znany członek załogi Newtona, napisała w swoich pamiętnikach, że doktor des Jardins prawdopodobnie natrafiła na biota, lub upadła w jakąś przepaść na terenie Nowego Jorku. Ponieważ kobiety spędziły cały dzień razem - szukając pana Shigeru Takagishi, japońskiego naukowca, który w tajemniczych okolicznościach zniknął w nocy z obozowiska Beta - signora Sabatini zdawała sobie sprawę z ilości pożywienia i płynów, jakie des Jardins miała przy sobie. "Nic", pisze Sabatini, "nie mogło pomóc Nicole w przetrwaniu dłużej niż tydzień. A nawet gdyby to nastąpiło, deliryczny stan, w jaki musiałaby popaść, najprawdopodobniej sprawiłby, że Nicole napiłaby się wody z trującego Morza Cylindrycznego."

- Spośród sześciu członków załogi Newtona którzy nie wrócili na Ziemię właśnie des Jardins wzbudzała największe zainteresowanie mediów, i to jeszcze zanim znakomity statystyk Roberto Lopez przed siedmiu laty odkrył, na podstawie informacji zawartej w genomie, że król Henryk XI jest ojcem Genevieve, córki Nicole.

- Ostatnio bardzo popularnym miejscem pielgrzymek stał się pomnik des Jardins w pobliżu jej rodzinnego domu w Beauvois, we Francji, odwiedzany szczególnie chętnie przez młode kobiety. Ludzi ściągają tam nie tylko po to, aby oddać cześć madame des Jardins, ale także aby móc podziwiać piękne rzeźby, które stworzył grecki artysta Theo Pappas. Na jednej z nich Nicole przedstawiona jest w chwili, gdy otrzymuje złoty medal na igrzyskach olimpijskich; druga przedstawia ją już jako dojrzałą kobietę w mundurze ISA, podobnym do tego, który widzieliście państwo na filmie.

Kenji zgasił światło, rozpoczął się pokaz przezroczy.

- Oto zdjęcia przedstawiające Nicole des Jardins, które zgromadzono w archiwach Pinty. Przypisy informują, że w dodatkowej bazie danych jest ich o wiele więcej, są tam także filmy. Niestety, baza danych leci z nami jako cargo, więc będziemy mogli z niej korzystać dopiero po wylądowaniu. Jednak w tej chwili dodatkowe informacje nie będą nam potrzebne; widać na

pierwszy rzut oka, że na filmie mieliśmy do czynienia z Nicole des Jardins lub jej idealną kopią.

Na lewym ekranie zastygła jedna z klatek filmu wideo, który pasażerowie widzieli po południu, na którą nałożono zdjęcie twarzy Nicole w czasie przyjęcia noworocznego w Willi Hadriana, na przedmieściach Rzymu. Nie było wątpliwości, że zdjęcia przedstawiały tę samą osobę. Kenji zawiesił głos czekając, aż sala się uciszy.

- Nicole des Jardins urodziła się szóstego stycznia 2164 roku - ciągnął. - Dlatego, o ile film który dziś obejrzelśmy powstał cztery lata temu, obecnie powinna mieć siedemdziesiąt siedem lat. Wiemy, że madame des Jardins zawsze była w znakomitej formie fizycznej, ale kobieta, którą widzieliśmy na filmie, z pewnością nie ukończyła jeszcze siedemdziesięciu lat - chyba, że Ramowie posiadli tajemnicę wiecznej młodości...

Było już późno. Kenji był zmęczony, ale nie mógł zasnąć. Tuż obok leżała Nai Buatong Watanabe. Ona także nie spała.

- Czy jesteś absolutnie pewny, że widzieliśmy prawdziwą Nicole des Jardins? - szepnęła Nai, gdy Kenji po raz setny przewracał się na drugi bok.

- Tak - odparł Kenji. - Ale Macmillan jest innego zdania. Zażądał ode mnie, abym zasugerował możliwość istnienia "sztucznego sobowtóra". Jemu się wydaje, że film jest jednym wielkim oszustwem...

- Po naszej popołudniowej rozmowie - ciągnęła po chwili Nai - przypomniałam sobie to całe zamieszanie z Nicole i królem Henrykiem sprzed siedmiu lat. Historię opisały chyba wszystkie gazety i czasopisma. Ale jednego nie pamiętam: w jaki sposób ustalono, że to Henryk był ojcem Genevieve? Przecież on już wtedy nie żył, a - o ile wiem - rodzina królewska zataja wszelkie informacje dotyczące jej członków.

- Lopez użył genomu rodziców i potomków ludzi, którzy weszli w związki z rodziną królewską. Potem zastosował stworzoną przez siebie technikę korelacji danych i dowiódł, że prawdopodobieństwo, iż Henryk (który podczas olimpiady w 2184 roku był dopiero księciem Walii) jest ojcem Genevieve, jest trzykrotnie wyższe niż jakiegokolwiek innego "kandydata", który wówczas przebywał w Los Angeles. Na łożu śmierci Darren Higgins wyznał, że w czasie olimpiady Henryk i Nicole spędzili ze sobą jedną noc, co skłoniło rodzinę królewską do odtajnienia genomu Henryka. Po jego zbadaniu eksperci orzekli, że Henryk rzeczywiście był ojcem Genevieve.

- Cóż za wspaniała kobieta... - powiedziała Nai.

- To prawda - przyznał Kenji. - Ale dlaczego spytałaś o to właśnie teraz?

- Podziwiam ją za to, że nikomu nie zdradziła swojego sekretu i sama wychowywała swoją księżniczkę - odparła Nai. - Za to podziwiam ją najbardziej...

8.

Eponine dostrzegła Kimberly w rogu zadymionego pokoju i przysiadła się do niej. Przyjęła papierosa, którym poczęstowała ją koleżanka i zaciągnęła się dymem.

- Cóż to za przyjemność... - powiedziała Eponine robiąc z dymu kółka i przyglądając się, jak powoli odlatują w kierunku wentylatorów.

- Wiem, że uwielbiasz palenie tytoniu - szepnęła Kimberly - ale jestem przekonana, że kokom o spodobaloby cię się jeszcze bardziej.

Amerykanka zaciągnęła się papierosem.

- Wiem, że mi nie wierzysz, Eponine, ale to lepsze niż seks.

- Nie w moim przypadku, mon amie - odparła Eponine przyjaźnie. - Nie ma nic przyjemniejszego niż seks...

Kimberly Henderson roześmiała się serdecznie. Była dwudziestoczteroletnią długowłosą blondynką, jej francuska koleżanka była o rok starsza. Siedziały w sali dla palących, przylegającej do damskich pryszniców. Było to niewielkie prostokątne pomieszczenie, w którym oprócz nich przybywało kilka innych kobiet.

- Ta nora przypomina mi "tajny pokój" w knajpie Willies, za Denver - powiedziała Kimberly. - Kiedy na parkiecie tańczyło stu kowbojów, a inni pili przy barze, nasza piątka zamykała się w "biurze" Willego, gdzie uwalaliśmy się kokomo...

Eponine spojrzała na Kimberly przez dym z papierosów.

- Tutaj przynajmniej mężczyźni nie mogą nas wykorzystywać - powiedziała. - Czasami są po prostu niemożliwi, gorsi niż więźniowie w Bourges. Te typy przez cały dzień myślą tylko o seksie.

- To raczej zrozumiałe - roześmiała się Kimberly. - Po raz pierwszy od wielu lat nikt ich nie obserwuje. Kiedy ludzie Toshio rozwalili ukryte kamery poczuli, że stali się wolni. Ale ma to swoje złe strony: już dawno nie było tylu gwałtów... Na przykład dzisiaj były dwa, jeden w koedukacyjnym sektorze rekreacyjnym...

Kimberly zgasła papierosa i zapaliła następnego.

- Potrzebujesz kogoś, kto by się tobą opiekował - powiedziała. - Wiem, że Walter miałby na to ochotę. Dzięki Toshio, inni prawie przestali się do mnie przyczepiać. Najbardziej boję się strażników ISA: myślą, że wszystko im wolno. Tylko ten śliczny włoski osiłek, Marcello czy jak mu tam, łązi za mną bez przerwy. Powiedział wczoraj, że zaprasza mnie do swojego pokoju gdzie sprawi, że będę "wyć z rozkoszy". Miałam nawet na to ochotę, ale się wystraszyłam, ponieważ

zobaczyłam jednego ze zbirów Toshio.

Eponine zapaliła kolejnego papierosa. Wiedziała, że palenie jednego papierosa za drugim jest idiotyczne, ale w zatłoczonych kwaterach mieszkalnych palenie było wzbronione, a pasażerowie statku Santa Maria mieli tylko krótką, trzygodzinną "przerwę". Kimberly odpowiadała na pytanie jakiejś postawnej kobiety, a Eponine pomyślała o pierwszych dniach po opuszczeniu Ziemi. Trzeciego dnia Nakamura wysłał do mnie swojego człowieka, widocznie od razu mu się spodobałam...

Olbrzymi Japończyk, były zawodnik sumo a zarazem komornik pracujący dla sieci kasyn, wszedł do koedukacyjnego sektora, zbliżył się do Eponine i nisko się uklonił.

- Panno Eponine - powiedział po angielsku z silnym akcentem - mój przyjaciel Nakamura-san poprosił mnie, abym pani przekazał, że jest pani bardzo piękna. W zamian za przyjaźń i świadczenie mu pewnych usług oferuje pani swoją opiekę...

Oferta była w pewnym sensie atrakcyjna, myślała Eponine, i dość podobna do propozycji, które składano innym porządnie wyglądającym kobietom. Już, wtedy wiedziałam, że Nakamura jest potężny. Ale nie podobała mi się jego oziębłość i chłód. Pomyliłam się: myślałam, że mogę zostać sama...

- Idziemy? - powtórzyła Kimberly, wrywając Eponine z zamyślenia. Dziewczyna zgasła papierosa i ruszyła za swoją towarzyszką do szatni. Gdy się rozbierały, wiele kobiet z zazdrością patrzyło na ich piękne ciała.

- Nigdy nie przeszkadzało ci - powiedziała Eponine stając pod prysznicem obok swojej koleżanki - że one chcą cię zabić wzrokiem?

- Nie. Nawet mi się to podoba. Odbieram to jak komplement. Nie ma tu wielu kobiet, które wyglądają tak, jak my. Ich głodne spojrzenia podniecają mnie.

Eponine splukała mydło ze swoich dużych, jędrnych piersi i szepnęła swojej towarzyszcze do ucha:

- Kochałaś się z którąś z nich?

- Oczywiście - roześmiała się Kimberly. - A ty nie? Nie czekając na odpowiedź Amerykanka zaczęła opowiadać jedną ze swoich historyjek:

- Najpierw w Denver byłam z Loretą. Miałam wtedy dopiero osiemnaście lat i byłam naprawdę piękna; kiedy Loretta po raz pierwszy zobaczyła mnie nago pomyślała, że umarła i poszła do nieba. Byłam w szkole pielęgniarskiej i nie miałam forsy na ćpanie, więc poszłam z nią na układ: mogła się ze mną pieprzyć, a ja miałam tyle kokainy, ile chciałam. Nasz związek trwał prawie pół roku. Potem sama byłam dealerem, a poza tym zakochałam się w Magiku.

- Biedna Loretta - ciągnęła Kimberly, podczas gdy Eponine wycierała jej plecy ręcznikiem -

złamałam jej serce. Chciała żebym z nią została, gotowa była nawet oddać mi swoich najlepszych klientów. Ale z czasem stała się tak natrętna, że musiałam poprosić Magika, aby przepędził ją z Denver.

Kimberly dostrzegła wyrzut w spojrzeniu Eponine.

- O Boże - jęknęła - czuję, że zaraz znów wyjedziesz z tą swoją moralnością. Jesteś najbardziej subtelną morderczynią, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Gdy wychodziły z łaźni podeszła do nich jakaś niska Murzynka z włosami zaplecionymi w warkoczyki.

- Czy to ty jesteś Kimberly Andersen? - spytała.

- Tak - skinęła głową Kimberly. - Skąd...

- Należysz do króla Nakamura? - przerwała jej dziewczyna.

Kimberly nie odpowiedziała.

- Jeżeli tak jest, potrzebuję twojej pomocy - powiedziała Murzynka.

- Czego chcesz? - spytała niechętnie Kimberly.

Dziewczyna rozplakała się.

- Mój mąż Reuben nie chciał zrobić nic złego, upił się tym świństwem, którym handlują wartownicy... Nie wiedział, że rozmawia z królem Japońców...

Kimberly cierpliwie czekała, aż dziewczyna się uspokoi.

- Masz coś? - spytała szeptem.

- Trzy noże i dwie działki kokomo.

- Przynieś mi je. - Kimberly uśmiechnęła się. - Załatwię twojemu facetowi audiencję, żeby mógł przeprosić pana Nakamurę.

- Nie lubisz Kimberly, prawda? - Eponine spytała Waltera Brackeena. Barczysty Murzyn o łagodnym spojrzeniu był wirtuozem instrumentów klawiszowych. Grał jazz i z uwielbieniem wpatrywał się w swoją dziewczynę. Zgodnie z umową, jego trzech towarzyszy nie było w pokoju.

- Nie, nie lubię - odparł powoli Walter. - Ona jest inna niż my. Potrafi być zabawna, ale myślę, że w środku jest naprawdę zła.

- Nie rozumiem.

Walter grał spokojną balladę. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Według prawa wszyscy jesteśmy równi, wszyscy jesteśmy mordercami. Ale ja tak nie myślę; zabiłem człowieka, który zgwałcił mojego małego braciszka. Ty zabiłaś skurwiela, który rujnował ci życie... - Walter zawiesił głos. - A twoja przyjaciółka Kimberly wraz ze swoim kochankiem zabili trzech niewinnych ludzi po to, żeby zdobyć forszę na narkotyki...

- Była wtedy na haju.

- To nie ma znaczenia - rzekł Walter. - Każdy z nas odpowiada za swoje czyny. Jeżeli wstrzyknę sobie w żyłę jakieś świństwo, popełniam błąd, ale nie mogę w ten sposób się uwolnić od odpowiedzialności za to, co robię.

- W więzieniu sprawowała się wzorowo. Wszyscy lekarze mówili, że jest dobrą pielęgniarką.

Walter przestał grać i przez kilka sekund patrzył Eponine w oczy.

- Nie mówmy już o niej - poprosił. - Spędzamy ze sobą tak niewiele czasu... Myślałaś o tym, co ci powiedziałem?

Eponine westchnęła.

- Tak, myślałam. Lubię cię, Walterze, lubię się z tobą kochać, ale to, co proponujesz, wydaje mi się zbyt poważne... Poza tym myślę, że chodzi ci głównie o twoje własne ego. Chyba że się mylę i wolisz Malcolma...

- Malcolm nie ma z nami nic wspólnego - przerwał jej Walter. - Od lat jest moim bliskim przyjacielem, to znaczy od chwili, gdy znalazłem się w więzieniu w Georgii. Graliśmy razem, kochaliśmy się, kiedy czuliśmy się samotni, ale jesteśmy tylko przyjaciółmi...

- Wiem, wiem... Tutaj rzeczywiście nie chodzi o Malcolma. Wiesz, że cię lubię. Ale... - ^
Eponine urwała nie wiedząc jak wyrazić swoje mieszane uczucia.

- Jesteśmy oddaleni od Ziemi o trzy tygodnie lotu - rzekł Walter - a na Marsie znajdziemy się dopiero za sześć tygodni. Jestem najsilniejszym mężczyzną na tym statku i kiedy mówię, że będziesz moją dziewczyną, oznacza to, że przez te sześć tygodni nikt nie tknie cię palcem.

Eponine przypomniała sobie nieprzyjemną scenę która wydarzyła się rano, gdy dwóch Niemców wymieniało się spostrzeżeniami, jak łatwo kogoś zgwałcić. Wiedzieli, że Eponine słyszy ich rozmowę, ale im to nie przeszkadzało.

Po dłuższej chwili namysłu pozwoliła, aby Walter objął ją swoimi mocarnymi ramionami.

- Dobrze - szepnęła - ale nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele... Jestem trudną kobietą...

- Obawiam się, że Walter będzie miał kłopoty z sercem - szepnęła Eponine.

Był środek nocy, inne mieszkanki pokoju już spały. Kimberly leżała na dolnym łóżku i wciąż była pod działaniem kokomo, które wypiliła przed dwiema godzinami. Wiedziała, że jeszcze przez wiele godzin nie będzie mogła zasnąć.

- Przepisy na tym statku są kretyńskie. Boże, nawet w więzieniu Pueblo było ich mniej. Dlaczego po pomocy nie wolno nam przebywać w sektorze rekreacyjnym? Komu by to przeszkadzało?

- Czasami kłuje go coś w klatce piersiowej i, kiedy się Kochamy, mówi, że nie może złapać tchu... Myślisz, że mogłabyś się nim zająć?

- A ten Marcello? Głupi kretyn! Powiedział mi, że nie muszę iść spać pod warunkiem, że przyjdę do jego pokoju. A byłam razem z Toshio. Czy ten facet nie ma oczu? Przecież nawet wartownicy nie mogą zadzierać z królem Japońców... Co mówiłaś?

Eponine wysunęła się z górnego łóżka i zawisła nad swoją koleżanką.

- Mówię o Walterze Brackeenie, Kim - powiedziała. - Czy mogłabyś skupić się na tyle, aby wysłuchać tego, co chcę ci powiedzieć?

- Już dobrze, dobrze. Więc o co chodzi z tym twoim Walterem? Czego ode mnie chce? Każdy chce czegoś od Japońca. Wygląda na to, że jestem królową...

- Walter ma kłopoty z sercem - Eponine powtórzyła całkiem głośno. - Chcę, żebyś go zbadała.

- Cicho! - syknęła Kimberly - nie mów tak głośno! Wpadną do nas i zrobią z nami to, co z tą Szwedką... Cholera, Ep, ja nie jestem lekarzem. Mogę najwyżej stwierdzić, że serce nie bije regularnie, ale to wszystko... Powinnaś zabrać Waltera do tego konowala, który tak naprawdę jest kardiologiem, czekaj, jak on się nazywa? To ten facet, który nigdy nic nie mówi i zawsze jest sam...

- Doktor Robert Turner - przerwała Eponine.

- Tak, to on... Jest naprawdę dobry, to zawodowiec. Gada tylko wtedy, gdy stawia diagnozę. Trudno uwierzyć, że w sądzie rozwalił dwóch facetów....

- Skąd wiesz? - spytała Eponine.

- Marcello mi powiedział. Byłam ciekawa, śmialiśmy się, on chciał mnie sprowokować pytając "czy Japonec wie, jak to robić, żebyś wyła z rozkoszy" i "a co ty na tego milkiwego lekarza, może on potrafi...."

- Boże, Kim - przestraszyła się Eponine - ty sypiasz także z Marcellem?

Jej koleżanka się roześmiała.

- Tylko dwa razy. Jest lepszy w gadaniu o seksie niż w łóżku. Ale król Japońców jest dobry...

- Czy Nakamura o tym wie?

- Myślisz, że zwariowałam? Chcę żyć. Ale on może nabrać podejrzeń... Nie zrobię tego więcej, chyba że ten doktor Turner...

Kimberly kontynuowała swoje łóżkowe wywody. Eponine pomyślała o doktorze Turnerze. Kiedyś zbadał ją po lunchu, bo miała bóle. W ogóle nie zwrócił uwagi na moje ciało, pomyślała, on naprawdę jest profesjonalistą...

Eponine przestała słuchać swojej koleżanki i myślała o przystojnym lekarzu. Było w nim coś tajemniczego, coś romantycznego. Nie wyglądał na mordercę. Myślę, że miałby do opowiedzenia niejedną historię, pomyślała.

Eponine znów dręczył koszmarny sen, który powtarzał się już wiele razy. Profesor Moreau leżał na podłodze w swojej pracowni. Miał zamknięte oczy. Z jego piersi wypływała stróżka krwi. Eponine podeszła do umywalki, opłukała rylec i odłożyła go na półkę. Gdy przechodziła nad nim, jego przeklęte oczy otworzyły się, mężczyzna złapał ją za nogę...

- Pielęgniarko Henderson!

Pukanie do drzwi stawało się coraz głośniejsze. Eponine obudziła się i przetarła oczy. Kimberly i jedna z dziewczyn podeszły do drzwi.

Na korytarzu stał przyjaciel Waltera, Malcolm Peabody, krępy czterdziestolatek. Był przerażony.

- Doktor Turner posłał mnie po pielęgniarkę - powiedział. - Proszę natychmiast pójść ze mną. Walter miał atak serca.

Kimberly zaczęła się ubierać, Eponine również wstała z łóżka.

- Jak on się teraz czuje? - wypytywała Malcolma otulając się płaszczem kąpielowym. - Żyje?

Malcolm był zbity z tropu.

- A, to ty, Eponine - powiedział potulnie. - Zapomniałem, że pielęgniarka Henderson i ty... Kiedy wychodziłem, jeszcze oddychał...

Uważając, by zawsze choć jedną nogą dotykać podłogi, Eponine szła jak mogła najszybciej. Minęła korytarz, przeszła przez sektor rekreacyjny i znalazła się w męskim sektorze mieszkalnym. Usłyszała pisk alarmu i zaczęły ją śledzić automatyczne kamery. Gdy dotarła do skrzydła, w którym mieszkał Walter przystanęła, żeby złapać oddech.

Przed pokojem Waltera stało kilka osób, drzwi były szeroko otwarte. Część tułowia Waltera leżała na korytarzu, jego nogi bezwładnie obijały się o podłogę. Doktor Turner robił mu masaż serca. Eponine przepchnęła się przez gapiów i weszła do pokoju.

- Pani jest pielęgniarką? - spytał Turner.

Eponine zabrakło słów. Zawstydzila się. Na podłodze umierał jej przyjaciel, a ona myślała o tym, że oczy doktora Turnera mają tak przenikliwie niebieski kolor...

- Nie - powiedziała po dłuższym wahaniu. - Jestem jego dziewczyną... Pielęgniarka Henderson mieszka razem ze mną, powinna zaraz przyjść...

Już po chwili Kimberly pojawiła się w towarzystwie dwóch strażników ISA.

- Jego serce przestało bić czterdzieści pięć sekund temu - rzekł Turner zwracając się do Kimberly. - Jest za późno, żeby zabrać go na oddział. Zastosuję rozrusznik Komoriego. Ma pani rękawiczki?

Kimberly włożyła rękawiczki, a doktor Turner poprosił gapiów, by nie przeszkadzali mu w pracy. Eponine nie ruszyła się z miejsca. Strażnicy chcieli zabrać ją siłą, ale doktor szepnął im coś do ucha i mężczyźni zostawili ją w spokoju.

Doktor podał Kimberly zestaw narzędzi chirurgicznych i, pracując z niebywałą szybkością i wprawą, kilkoma nacięciami otworzył klatkę piersiową Waltera.

- Asystowała pani kiedyś przy czymś takim?

- Nie - odparła Kimberly.

- Rozrusznik Komoriego jest elektromechanicznym urządzeniem, które przytwierdza się do serca. Mechanizm zmusza serce do przetaczania krwi. Jeżeli przyczyną zawału jest zator, czasami udaje się je w ten sposób przywrócić do życia.

Doktor Turner wprowadził rozrusznik Komoriego, nie większy niż znaczek pocztowy, do klatki piersiowej, i przymocował do niego układ sterujący. Już w kilka sekund później serce Waltera zaczęło powoli bić.

- Mamy teraz niecałe osiem minut; żeby przekonać się, co się właściwie stało - powiedział Turner. Analiza danych zajęła mu niecałą minutę. - Nie ma zatorów... - mruknął pod nosem - zastawki są w porządku... Wiec dlaczego serce przestało bić?

Doktor Turner pochylił się nad sercem i przyjrzał się mięśniom znajdującym się pod spodem. Tkanka po prawej stronie była miękka. Turner delikatnie dotknął jej końcem jednego z narzędzi chirurgicznych i niewielki kawałek tkanki się ukruszył.

- Boże - jęknął lekarz - cóż to jest?

Serce Waltera znów wykonało powolny skurcz co sprawiło, że tkanka ujawniła swoją wewnętrzną, jak gdyby pajęczą strukturę.

- Niech pani spojrzy, pielęgniarco Henderson - szepnął Turner. - To coś niebywałego... Nastąpił całkowity zanik mięśni... Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... Nie możemy uratować tego człowieka...

Do oczu Eponine napłynęły łzy. Doktor Turner wy dobył rozrusznik Komoriego; serce Waltera przestało bić. Kimberly zaczęła wyjmować klamry, ale Turner ją powstrzymał.

- Jeszcze nie - powiedział. - Zabierzemy go na oddział i zrobimy autopsję. Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o tym człowieku...

Strażnicy i koledzy Waltera pomogli przetransportować jego ciało. Malcom Peabody wszedł do pokoju Waltera i cicho szlochał; Eponine przytuliła go do siebie. Aż do świtu siedzieli

na łóżku, trzymając się za rękę.

9.

- Do mojego powrotu ty przejmujesz dowództwo - powiedział Macmillan do swojego zastępcy, młodego Rosjanina Dimitra Ulianowa. - Bezpieczeństwo pasażerów i załogi, bez względu na okoliczności, jest sprawą priorytetową. Jeżeli zauważysz coś, co może stanowić zagrożenie, włącz silniki i oderwij cumy łączące Pintę z Ramą.

Był rano. Poprzedniego dnia Pinta została zakotwiczona do jednego z "końców" Ramy; tak samo dokowały statki przybyłe z Ziemi w latach 2130 i 2200.

W trakcie przygotowań do pierwszej misji, Kenji Watanabe przedstawił mapę wnętrza dwóch poprzednich statków. Gdy skończył swój wykład, podszedł do niego Max Puckett.

- Myślisz, że wewnątrz tego statku będzie przypominało to, co nam przed chwilą pokazałeś? - spytał Max.

- Nie całkiem, prawdopodobnie dokonano jakichś zmian. Z pewnością powstało osiedle dla nas, o którym mówiła Nicole des Jardins. Ale skoro z zewnątrz statek wygląda tak, jak jego poprzednicy, myślę, że i wewnątrz jego konstrukcja jest podobna...

- Nic z tego nie rozumiem... - rzekł Max potrząsając głową. - Powiedz proszę - dodał po chwili - czy jesteś pewien, że mój udział w pierwszej misji nie jest twoją zasługą?

- Mówiłem ci po południu, że żadna z osób znajdujących się na pokładzie Finty nie ma z tym nic wspólnego. Naszą szesnastkę wybrały na Ziemi komisje ISA i IIA.

- Ale po co mi ten cały arsenał? Nienawidzę laserów, granatów i min. Będę miał większą siłę rażenia niż podczas misji pokojowej w Belize...

Kenji się uśmiechnął.

- Macmillan, podobnie jak wielu innych facetów z kwatery głównej COG, nadal jest przekonany, że mamy do czynienia z zasadzką. Podczas pierwszej misji będziesz żołnierzem... Osobiście uważam, że broń w ogóle nie będzie ci potrzebna.

Następnego dnia, gdy Macmillan powierzył funkcję dowódcy Ulianowowi, aby samemu poprowadzić pierwszą misję, Max wciąż przeklinał pod nosem. Mimo że poruszali się w stanie nieważkości, sprzęt, który zabrali ze sobą, w poważnym stopniu krępował ich ruchy.

- To idiotyczne - gderał Max - jestem farmerem, a nie żołnierzem służb specjalnych...

Niespodzianka spotkała ich prawie natychmiast po minięciu zewnętrznej powłoki. Po krótkim spacerze znaleźli się w owalnym pomieszczeniu, z którego w dół prowadziły trzy tunele. Dwa z nich były zakratowane. Macmillan spytał Kenjiego, co o tym myśli.

- Wygląda na to, że ten statek skonstruowano inaczej - rzekł Kenji. - Możemy wyrzucić

nasze mapy...

- O ile dobrze rozumiem, sugeruje pan, że powinniśmy się skierować do nie zablokowanego tunelu?

- To pan podejmuje decyzje - odparł Kenji. - Ale to jedyne wyjście. Chyba że chce pan wrócić na pokład Pinty...

Szesnastu mężczyzn powoli zjeżdżało tunelem w dół. Co kilka minut któryś z nich zapalał flarę oświetlającą im drogę. Gdy przebyli już około pół kilometra, w oddali pojawiły się dwie postacie. Macmillan i jego żołnierze wyjęli lornetki.

- Idą do nas - rzekł jeden z nich z podnieceniem w głosie.

- Cholera jasna - jęknął Max. Po plecach spływały mu strużki potu. - Chyba nie wytrzymam. To Abraham Lincoln...

- I jakaś kobieta - wtrącił jego towarzysz. - Ma na sobie mundur.

- Przygotować się do otwarcia ognia - rzekł Macmillan.

Czwórka żołnierzy przyklęła na jedno kolano i wycelowała broń.

- Stać! - zawołał Macmillan, gdy postacie znalazły się w odległości dwustu metrów.

Abraham Lincoln i Benita Garcia zatrzymali się.

- Czego od nas chcecie? - krzyknął Macmillan.

- Przyszliśmy, aby was przywitać - odpowiedział Abraham Lincoln głosem donośnym i pełnym dostojeństwa.

- Chcemy was zaprowadzić do Nowego Edenu - dodała Benita Garcia.

Macmillan był zbity z tropu i milczał. Nie wiedział, jak postąpić w tej sytuacji. Żołnierze zaczęli szeptać między sobą.

- To duch Abrahama Lincolna - rzekł Amerykanin Terry Snyder.

- A ta kobieta to Benita Garcia; widziałem jej pomnik w Meksyku.

- Nie podoba mi się to wszystko. Chodźmy stąd.

- Co duch ma do roboty na orbicie Marsa?

- Wybacz pan, dowódco - Kenji zwrócił się do Macmillana - ale co zamierza pan teraz zrobić?

Szkot odwrócił się i spojrzał w oczy swojego eksperta od Ramy.

- Trudno mi powiedzieć... Te stworzenia wyglądają na bezbronne, ale kto wie... Może to koń trojański? A co pan by zrobił, panie Watanabe?

- Pójdę do nich, razem z jednym z żołnierzy, i porozmawiam. Może w ten sposób się czegoś dowiemy...

- To dowodzi pańskiej odwagi, panie Watanabe, ale moim zdaniem nie jest to konieczne.

Pójdziemy wszyscy, oczywiście z zachowaniem szczególnej ostrożności. Nie powinniśmy pozostawiać za sobą ludzi, bo nieprzyjaciel mógłby nas wziąć w krzyżowy ogień...

Dowódca włączył radiostację.

- Macmillan do Ulianowa: napotkaliśmy dwie obce istoty. Są ludźmi albo ich udają. Jeden wygląda jak Abraham Lincoln, druga postać to kobieta, przypomina tę słynną Meksykankę... O co chodzi, Dimitri? Tak, dobrze zrozumiałeś. Lincoln i Garcia. W tunelu wewnątrz Ramy napotkaliśmy Lincolna i Garcję. Możesz to przekazać innym... Zostawiam tutaj Snydera i Finziego, a z pozostałą częścią grupy idziemy do przodu.

Sylwetki znieruchomiały widząc zbliżających się żołnierzy, gotowych do strzału. Gdy odległość pomiędzy nimi zmalała do dwudziestu metrów Abraham Lincoln przemówił:

- Przyszliśmy tutaj, aby was powitać. Zaprowadzimy was do waszego nowego domu.

Dowódca Macmillan milczał. Ciszę przerwał dopiero Max Puckett.

- Jesteś duchem - krzyknął - czy naprawdę jesteś Abrahamem Lincolnem?

- Oczywiście, że nie jestem duchem. Nie jestem także prawdziwym Lincolnem - usłyszał w odpowiedzi. - Ja i Benita Garcia jesteśmy biotami o ludzkiej postaci. W Nowym Edenie jest pięć rodzajów biotów, każdy przeznaczony jest do wypełniania określonych zadań. Dzięki temu wy prawie wcale nie będziecie musieli pracować. Ja zajmuję się księgowością, poradami prawnymi, prowadzeniem domu i innymi, podobnymi sprawami...

Maxowi odebrało mowę. Zignorował polecenie dowódcy, który rozkazał mu się cofnąć, i podszedł do Lincolna.

- To jakiś pieprzony robot - mruzczał pod nosem Max. Wyciągnął rękę i dotknął twarzy biota, po czym pogładził go po długiej brodzie. - Niebawale - szepnął - po prostu niebawale.

- Zostaliśmy skonstruowani z dużą precyzją - rzekł Lincoln. - Nasza skóra ma podobny skład chemiczny do waszej, nasze oczy również działają podobnie, ale w przeciwieństwie do was nie jesteśmy zdolni do samonaprawy i od czasu do czasu technicy muszą wymieniać w nas części.

Swoim zachowaniem Max sprawił, że napięcie ustąpiło. Po chwili inni ludzie, włącznie z Macmillanem, także dotykali biotów. Na liczne pytania odpowiadał zarówno Lincoln, jak i Garcia. W pewnej chwili Kenji zauważył, że Max odłączył się od grupy i siedzi samotnie pod ścianą. Podszedł do swojego przyjaciela.

- Czy stało się coś złego, Max?

Max potrząsnął głową.

- Nie potrafię sobie wyobrazić geniusza, który byłby zdolny do zbudowania takich robotów. To przerażające... - Zamilkł na chwilę. - Wiesz, to może dziwne, ale te bioty przerażają mnie bardziej niż ogrom tego statku...

Lincoln i Garcia szli przodem. Drzwi na końcu tunelu otworzyły się i bioty zaprosiły ludzi do środka. Na pytanie Macmillana odparły, że za chwilę wszyscy wsiądą do pojazdu, który zawiezie ich do ziemskiego modułu mieszkalnego.

Macmillan przekazał drogą radiową to, czego się dowiedział i wydał Ulianowowi rozkaz powrotu na Ziemię, gdyby w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin nie otrzymał od niego żadnej wiadomości.

Jazda "metrem" była zadziwiająca i przypomniała Maxowi kolejkę w wesołym miasteczku, którą jechał kiedyś w Dallas. Pojazd o kształcie pocisku poruszał się po spirali biegnącej od pomocnego krańca Ramy aż do Równiny Środkowej. Dzięki półprzezroczystym szybom, wykonanym z jakiegoś plastiku, można było obserwować otoczenie. Kenji i jego towarzysze z zainteresowaniem przyglądali się kratownicom i innym olbrzymim konstrukcjom. Ale nie dostrzegli nic z tego, co wprawiło w niemy zachwyt badaczy dwóch poprzednich statków. Południową część Ramy zasłonięte olbrzymią, metaliczną, szarą ścianą.

Jazda trwała niecałe pięć minut. Pojazd dowiózł ich do pierścienia okalającego ziemski moduł. Pasażerowie wysiedli i przekonali się, że stan nieważkości zniknął, a siła pozornej grawitacji zbliżona jest do ziemskiej.

- Skład powietrza w korytarzu i w Nowym Edenie, odpowiada warunkom panującym na waszej planecie - rzekł Lincoln. - Ale nie jest tak w przypadku regionu po prawej stronie, za ochronnymi ścianami...

W pierścieniu otaczającym Nowy Eden panował półmrok. Ludzie nie byli przygotowani na blask, jaki ujrzeli znalazłszy się na terenie kolonii. Po drodze do stacji kolejowej zdjęli hełmy. Mijali puste domy i małe budynki przypominające sklepy, oraz jakiś duży gmach.

- Tutaj będzie szkoła - wyjaśniła Garcia. - Dokładnie naprzeciwko stacji.

Gdy znaleźli się na peronie, pociąg już czekał. Wagony miały ładne, wygodne siedzenia. Ruszyli w kierunku centrum. Monitory wbudowane w siedzenia wyświetlały najróżniejsze informacje; ludzie wyglądali przez okna przyglądając się mijanym w pędzie osiedlom. Lincoln wyjaśnił, że jadą na "spotkanie organizacyjne". Pociąg przemknął wzdłuż pięknego jeziora ("to jezioro Szekspira" wyjaśniła Garcia), po czym skręcił w lewo, oddalając się od szarego muru, granicy kolonii. W ciągu ostatnich minut jazdy krajobraz był zdominowany przez olbrzymią górę.

Pociąg poruszał się niemal bezszelestnie, a jego pasażerów przytłaczał nadmiar wrażeń. Nawet Kenji Watanabe, który posiadał bardzo bujną wyobraźnię, nie spodziewał się takich cudów. Wszystko było o wiele większe i wspanialsze, niż się tego spodziewał.

Kolejnym zaskoczeniem było miasto, w którym znajdowały się najważniejsze budowle. Ludzie zadzierali głowy do góry i ze zdumieniem przyglądali się wznoszącym się ku niebu wieżowcom. Budynki były puste, co dodawało im tajemniczości. Kenji Watanabe i Max Puckett jako ostatni weszli do gmachu, w którym miało się odbyć "spotkanie organizacyjne".

- Co o tym wszystkim myślisz? - Kenji spytał Maxa, gdy stojąc na szczycie schodów budynku administracyjnego podziwiali panoramę innych gmachów.

- Nie mogę myśleć - odparł Max. - To miejsce jest tak wspaniałe, że... To jak niebo, kraina czarów Alicji i wszystkie baśniowe światy z opowiadań, które pamiętam z dzieciństwa. Muszę się bez przerwy szczytać, żeby uwierzyć, że to nie jest sen...

- Na ekranie widzicie mapę Nowego Edenu - zaczął Lincoln. - Każdy z was otrzyma swój własny zestaw map, włącznie z mapami drogowymi. Znajdujemy się tutaj, w Mieście Środkowym, stanowiącym ośrodek administracyjny. Budynki mieszkalne, oraz sklepy, biura i szkoły znajdują się w czterech rogach prostokąta, które wytyczają ściany kolonii. Ponieważ kwestia nadania nazw czterem osiedlom jest sprawą ich mieszkańców, na razie będziemy mówić o nich po prostu "osiedla", dodając, czy chodzi o pomocny wschód, zachód i tak dalej. Jest to konwencja przyjęta przez badaczy dwóch poprzednich statków; dla przypomnienia dodam, że statek, którym przylecieliście, jest zakotwiczony przy biegunie północnym...

- Każdy z czterech boków Nowego Edenu spełnia pewną funkcję; Jezioro Szekspira, będące zbiornikiem wody pitnej, znajduje się na południowym krańcu kolonii. Większość przywiezionej przez was flory i fauny, przystosowanej do życia w wodzie, trafi do jeziora, niektóre gatunki zostaną umieszczone w dwóch rzekach spływających z Olimpu do Jeziora Szekspira po stronie wschodniej, i do Lasu Sherwood po stronie zachodniej...

- Obecnie obydwie zbocza Olimpu, Las Sherwood, oraz większość parków, wyposażone są w wymienniki gazu GED, które spełniają rolę roślin: wchłaniając dwutlenek węgla wytwarzają tlen. GED-y zostaną zastąpione przez prawdziwe rośliny, które przywieźliście z Ziemi...

- Pomocny kraniec kolonii pomiędzy osiedlami przeznaczono na uprawę ziemi. Budynki gospodarskie znajdują się tutaj, wzdłuż drogi łączącej dwa północne miasteczka. Stąd będzie pochodziła wasza żywność. Dzięki prowiantom, które przywieźliście ze sobą oraz syntetycznym pokarmom w silosach, znajdujących się trzysta metrów na północ od tego budynku, możecie wyżywić członków kolonii przez osiemnaście miesięcy. Potem sami będziecie się troszczyć o swoje pożywienie. To oczywiste, że w Nowym Edenie podstawą waszego życia będzie uprawa roli...

Kenji z zachwytem chłonał nowe wiadomości. Lincoln przez dziewięćdziesiąt minut gadał

jak nakręcony. Na wszystkie pytania niezmiennie odpowiadał: "tego nie wiem, tej informacji nie posiadam w pamięci", lub też wskazywał odpowiednią stronę w "Podręczniku Nowego Edenu", który rozdał wśród zebranych. Potem nastąpiła przerwa, podczas której ludzie przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie podano im napoje; jeden z nich do złudzenia przypominał coca-colę.

- O rany - rzekł Terry Snyder ocierając pot z czoła - czy tylko ja mam dość?

- Cholera jasna, Terry - zaklął Max Puckett z szelmowskim uśmiechem. - Czy chcesz powiedzieć, że czujesz się gorszy od byle robota? On nie wygląda na zmęczonego. Założę się, że mógłby tak gadać przez cały dzień.

- Kto wie, może nawet przez tydzień? - wtrącił Kenji Watanabe. - Zastanawiam się, jak często te bioty wymagają naprawy. Firma mojego ojca produkuje roboty, niektóre z nich są bardzo skomplikowane, ale to dziecinne zabawki w porównaniu z tymi cyborgami. Ilość informacji w bazie danych takiego Lincolna musi być astronomiczna...

- Za pięć minut wznawiamy wykład - oznajmił Lincoln. - Proszę przyjść punktualnie.

Drugi wykład poświęcony był różnym typom robotów. Ludzie, opierający się na doświadczeniach zebranych podczas badania poprzednich statków, spodziewali się biotów buldożerów i krabów. Pięć rodzajów biotów o ludzkiej postaci wzbudziło duże emocje.

- Osoby sprawujące nadzór nad pracami projektowymi uznały - mówił Lincoln - że należy ograniczyć liczbę biotów o ludzkiej postaci do pięciu rodzajów; dzięki temu pomylenie któregoś z nich z człowiekiem będzie niemożliwe. Wymieniłem wam już moje podstawowe funkcje; inne Lincolny, z których trzy za chwilę do nas dołączają, zostały zaprogramowane tak samo jak ja. Ponieważ jednak możemy się pewnych rzeczy uczyć, po pewnym czasie wiedza każdego z nas nie będzie się całkowicie pokrywać z wiedzą innych Lincolnów.

- W jaki sposób można odróżnić jednego Lincolna od drugiego? - spytał jakiś zdezorientowany słuchacz, widząc zbliżającą się trójkę identycznych Lincolnów.

- Każdy z nas ma numer identyfikacyjny, który znajduje się zarówno tutaj, na ramieniu, jak i na lewym pośladku. System identyfikacji dotyczy także innych typów biotów. Ja, na przykład, mam numer 004. Trójka Lincolnów która przed chwilą do nas dołączyła to osobniki o numerach 009, 024 oraz 071.

Gdy Lincolny opuściły salę konferencyjną, ich miejsce zajęły Garcie. Jedna z nich wyjaśniła zebranych na czym polegają jej zadania. Garcie zajmują się zapewnieniem bezpieczeństwa (służby policyjne i straż pożarna), uprawą ziemi, usługami transportowymi, utrzymywaniem czystości i doręczaniem poczty.

Potem pojawiły się bioty-Einsteiny, które przywitano śmiechem i chichotem. Każdy z Einsteinów miał zmierzwioną, siwą czuprynę. Bioty wyjaśniły, że wykonują prace techniczne i inżynierskie, oraz sprawują kontrolę nad działaniem infrastruktury, włącznie z armią biotów.

Grupa wysokich Murzynek przedstawiła się jako seria "Tiasso", czyli biotów odpowiedzialnych za opiekę nad dziećmi. Gdy jedna z pań Tiasso kończyła swój wykład, do sali wszedł krępy biot o orientalnych rysach twarzy i przenikliwych oczach. Trzymał w ręce lirę. Powiedział, że nazywa się Yasunari Kawabata i zaczął grać.

- Kawabatowie to artyści - wyjaśnił. - Jesteśmy muzykami, aktorami, malarzami, rzeźbiarzami, pisarzami, a nawet fotografami i reżyserami. Jest nas tylko kilku, ale myślę, że staniemy się ważnym elementem edeńskiej kolonii...

Oficjalna część wykładu dobiegła końca i goście zostali zaproszeni do sali bankietowej na kolację. Po kilkudziesięciu minutach do ludzi przyłączyły się bioty, które jednak niczego nie jadły. Pieczona kaczka smakowała tak jak prawdziwa, nawet winom nie można było nic zarzucić.

Późnym wieczorem ludzie przyzwyczaili się już trochę do obecności biotów i zasypywali je pytaniami. Nagle w drzwiach stanęła jakaś kobieta. W sali zapadła cisza. Kenji Watanabe zerwał się z miejsca i ruszył do drzwi wyciągając rękę na powitanie.

- Pani doktor des Jardins, o ile się nie mylę? - spytał z uśmiechem.

10.

Pomimo zapewnień Nicole, że wszystko w Nowym Edenie jest dokładnie takie, jak zostało to zapowiedziane na filmie, dowódca Macmillan nie pozwolił pozostałym pasażerom Pinty wejść na pokład Ramy. Odbił kilka długich rozmów z przedstawicielami ISA na Ziemi, a potem do wnętrza Ramy wysłał niewielki kontyngent ludzi pod dowództwem Dimitra Ulianowa, w celu zgromadzenia dodatkowych informacji. Przełożony wszystkich lekarzy Pinty, doktor Darł van Roos, był najważniejszym członkiem tej ekipy, której towarzyszył także Kenji Watanabe oraz dwaj żołnierze.

Zadanie doktora było proste: miał zbadać rodzinę Wakefieldów, aby stwierdzić, czy naprawdę są ludźmi. Potem miał dokonać klasyfikacji biotów oraz zrobić spis cech charakterystycznych, które pozwolą odróżnić je od ludzi. Wszystko przebiegło sprawnie, choć Katie Wakefield podczas badania robiła różne sarkastyczne, nieprzystojne uwagi. Na polecenie Richarda biot Einstein rozebrał jednego z Lincolnów ukazując skomplikowane układy znajdujące się wewnątrz i wyjaśnił, do czego służą. Ulianow był usatysfakcjonowany, choć niewiele z tego rozumiał.

Dwa dni później rozpoczęła się przesiadka pasażerów Pinty na pokład Ramy. Choć przy przeładowywaniu sprzętu i zapasów pomagało kilkadziesiąt biotów, operacja zajęła prawie trzy dni. Ale gdzie mieli się osiedlić ludzie? Była to ważna decyzja, od której w dużym stopniu zależały dalsze losy kolonii. Prawie dwie trzecie pasażerów Pinty zapragnęło mieszkać na południowo-wschodnim osiedlu, czyli tam, gdzie znajdował się dom Wakefieldów. Jedynie Max Pucket i kilku innych farmerów zamieszkało w sąsiedztwie pól uprawnych na północnym krańcu Nowego Edenu.

Watanabowie wprowadzili się do niewielkiego domku przy ścieżce prowadzącej do domu Wakefieldów. Od samego początku Kenji i Nicole zaprzyjaźnili się ze sobą. Już pierwszego wieczora Wakefieldowie zaprosili Kenjiego i Nai na kolację.

- Może pójdziemy do bawialni? Lincoln posprząta ze stołu i zajmie się zmywaniem - zaproponowała Nicole.

Watanabowie wstali od stołu i ruszyli za Richardem. Młodzi Wakefieldowie grzecznie puścili ich przodem.

Od dnia, gdy pierwsi pasażerowie Pinty znaleźli się na pokładzie Ramy, minęło pięć dni. Pięć zadziwiających dni, pomyślał Kenji siedząc w przytulnej bawialni Wakefieldów. Widziałem tak wiele niezwykłych rzeczy... A podczas kolacji, którą zjedliśmy przed chwilą, dowiedziałem się

o sprawach, w które aż trudno uwierzyć...

- Historie, które opowiadacie - Nai zwróciła się do Richarda i Nicole - są niesamowite. Chciałabym wam zadać tyle pytań, że nie wiem od czego zacząć... Jestem szczególnie zafascynowana postacią, którą nazywacie Orłem. Czy to jedna z istot, która zbudowała Punkt Węzłowy?

- Nie - odparła Nicole. - Orzeł jest biotem, w każdym razie tak nam powiedział. Twierdził, że stworzyła go "wyższa forma inteligencji" sprawująca kontrolę nad Punktem Węzłowym.

- Więc kto w takim razie zbudował Punkt Węzłowy?

- To pytanie o priorytecie "trzy" - uśmiechnął się Richard.

Kenji i Nai roześmieli się. Nicole jeszcze przy obiedzie wytłumaczyła im na czym polegała hierarchiczna struktura informacji przekazywanych przez Orła.

- Zastanawiam się - rzekł Kenji - czy w ogóle jesteśmy w stanie przyjąć do wiadomości, że żyją istoty, konstruujące maszyny, które z kolei budują maszyny mądrzejsze od nas...

- A moglibyśmy przez chwilę porozmawiać o sprawach trywialnych? - przerwała Katie. - Na przykład: gdzie są wszyscy ludzie w moim wieku? Widziałam najwyżej dwóch czy trzech...

- Młodzi ludzie znajdują się głównie na pokładzie Niny - odparł Kenji - i powinni przybyć tutaj za trzy tygodnie, razem z resztą kolonistów. Pasażerowie Pinty byli specjalnie dobrani, ich zadanie miało polegać na sprawdzeniu wiarygodności filmu Nicole.

- Co to jest wiarygodność? - spytała Katie.

- Mniej więcej tyle, co zgodność z rzeczywistością - odparła Nicole. - To jedno z ulubionych słów twojego dziadka... A propos dziadka: zawsze twierdził, że młodzi ludzie wprawdzie powinni przysłuchiwać się rozmowom dorosłych, ale nie powinni im przerywać... Jest wiele spraw, o których chcielibyśmy porozmawiać z naszymi gośćmi; dzieci wcale nie muszą nam towarzyszyć...

- Mogę wyjść na dwór i popatrzeć na światła? - spytał Benjy. - Ellie, pójdiesz ze mną?

Ellie Wakefield wstała i wzięła Benjy'ego za rękę, powiedzieli wszystkim "dobranoc" i wyszli. Katie i Patrick podążyli za nimi.

- Spróbujemy znaleźć sobie jakieś ciekawe zajęcie - powiedziała na odchodnym Katie. - Dobranoc państwu. Cześć mamie, wrócimy za parę godzin...

Nicole westchnęła.

- Od przybycia Pinty Katie stała się bardzo nerwowa - powiedziała - prawie wcale nie sypia w nocy. Chciałaby od razu ze wszystkimi się zaprzyjaźnić.

Lincoln posprzątał kuchnię i stanął w drzwiach.

- A może chcielibyście się czegoś napić? - spytała Nicole. - Nie mamy nic, co

dorównywałyoby owocom, które przywieźliście z Ziemi, ale nasz Lincoln może przyrządzić jakiś syntetyczny koktajl...

- Nie, dziękuję - odparł Kenji. - Właśnie przyszło mi coś do głowy. Przez cały wieczór mówiliśmy o waszej nieprawdopodobnej odysei, tymczasem z pewnością wy chcielibyście się dowiedzieć, co zaszło na Ziemi w ciągu tych czterdziestu pięciu lat od startu Newtona.

Czterdzieści pięć lat? - pomyślała Nicole. Czy to możliwe, żeby Genevieve miała ich już prawie sześćdziesiąt?

Pomyślała o chwili, gdy po raz ostatni widziała swoją córkę i ojca. Pierre i Genevieve odprowadzili ją na paryskie lotnisko. Córka objęła ją czule i wypuściła ze swoich objęć dopiero wtedy, gdy po raz ostatni wezwano pasażerów do zajęcia miejsc w samolocie. Oczy Genevieve były pełne miłości.

Wciążu tych czterdziestu pięciu lat umarł ojciec. Genevieve jest już starszą panią, może nawet została babcią? A ja przez cały ten czas błąkałam się po kosmosie... W krainie czarów...

Nicole wróciła do rzeczywistości.

- Czy wszystko w porządku? - spytał Kenji. Nicole skinęła głową i spojrzała swojemu nowemu przyjacielowi w oczy. Wyobraziła sobie, że to jej kolega, kosmonauta Shigeru Takagishi. Jego oczy są ciekawe świata, pomyślała, wiem, że mogę mu ufać... A na dodatek zaledwie kilka dni temu rozmawiał z Genevieve...

- Historię mniej więcej znamy dzięki rozmowom z pasażerami Pinty - powiedziała Nicole po dłuższym milczeniu. - Ale nie wiemy absolutnie nic o naszych rodzinach z wyjątkiem tego, co powiedziałeś nam pierwszego dnia. Oboje z Richardem chcielibyśmy wiedzieć, czy jest jeszcze coś, czego nam nie powiedziałeś...

- Prawdę mówiąc - rzekł Kenji - dziś po południu czytałem moje notatki, które posłużyły mi do napisania książki o wyprawie Newtona. Zapomniałem ci powiedzieć, że twoja Genevieve jest bardzo podobna do swojego ojca. Z pewnością pamiętasz, że twarz króla Henryka była bardzo charakterystyczna... Gdy Genevieve dorosła, jej twarz stała się pociągła i... Zresztą spójrz sama; w bazie danych odszukałem zdjęcia zrobione podczas mojego trzydniowego pobytu w Beauvois...

Nicole nie mogła powstrzymać łez. Drżącymi rękami wzięła do ręki fotografie Genevieve i jej męża, Louisa. Moja Genevieve, myślała, tak bardzo za tobą tęskniłam, chciałabym przytulić cię choć na chwilę...

Richard także pochylił się nad zdjęciami i wziął Nicole za rękę.

- Może i jest podobna do księcia - powiedział - ale moim zdaniem bardziej przypomina swoją matkę...

- Genevieve odnosiła się do mnie niezwykle grzecznie - dodał Kenji - co było raczej dziwne

zważywszy, jak media potraktowały ją w 2238 roku. Bardzo cierpliwie odpowiadała na moje pytania. Chciałem, aby stała się jedną z głównych bohaterek mojej książki o Newtonie, ale mój wydawca nakłonił mnie do odstąpienia od jej wydania...

- Ilu kosmonautów Newtona żyje? - chciał wiedzieć Richard. Nicole wciąż w milczeniu patrzyła na zdjęcia.

- Tylko Sabatini, Tabori i Yamanaka - odparł Kenji. - Doktor David Brown miał zawał serca, a w sześć miesięcy później zmarł, nawiasem mówiąc, w dość dziwnych okolicznościach. Zdaje się, że było to w roku 2208. Admirał Heilmann umarł na raka, chyba w 2214. Irina Turgieniew przeżyła załamanie nerwowe, tak zwany "zespół powrotu na Ziemię", który występował także u kosmonautów w dwudziestym pierwszym wieku; w 2211 popełniła samobójstwo.

Nicole wciąż starała się powstrzymać łzy.

- Dopiero przed trzema dniami - powiedziała - wyznałam Richardowi, że Henryk był ojcem Genevieve. Kiedy żyłam na Ziemi, prawdę znał tylko mój ojciec. Henryk mógł coś podejrzewać, ale nie miał pewności. Kiedy powiedziałeś mi o Genevieve, pomyślałam, że to ja powinnam powiedzieć mojej rodzinie. Myślę, że...

Głos Nicole się załamał, w jej oczach znów stanęły łzy. Otarła je chusteczką, którą podała jej Nai.

- Przepraszam... normalnie nigdy się tak nie zachowuję... ale te zdjęcia wywołały falę wspomnień...

- Na pokładzie Ramy II i w Punkcie Węzłowym Nicole zawsze była najbardziej opanowana z nas wszystkich - oświadczył Richard. - Bez względu na to, jak dziwne i niesamowite rzeczy działy się z nami, zawsze można było na nią liczyć. Pod tym względem dzieci, Michael O'Toole i ja uzależniliśmy się od niej. Bardzo rzadko się zdarza, żeby Nicole...

- Dość - powiedziała Nicole ocierając łzy i odkładając fotografie na bok. - Może zmienimy temat? Porozmawiajmy o kosmonautach Newtona, na przykład o Francesce Sabatini. Czy osiągnęła to, czego chciała, to znaczy sławę i pieniądze?

- W zasadzie tak - odparł Kenji - ale gdy ona świętowała swoje wielkie sukcesy na początku wieku, mnie nie było jeszcze na świecie. Ale dziś Sabatini nadal jest sławna... Była jedną z osób z którymi przeprowadzono wywiad do programu o odbudowie kolonii na Marsie.

Nicole pochyliła się.

- Nie chciałam mówić tego przy obiedzie - szepnęła - ale jestem pewna, że Francesca i Brown podali Borzowowi jakiś środek odurzający, który wywołał symptomy przypominające zapalenie wyrostka. Poza tym ona świadomie pozostawiła mnie na dnie studni w Nowym Jorku. To

kobieta pozbawiona zasad i skrupułów...

Kenji zamyślił się.

- W 2208 roku, tuż przed śmiercią, Brown miał okresy wspaniałej erudycji i elokwencji, choć przeważnie był raczej apatyczny. W jednym z wywiadów udzielonych w takim "dobrym" okresie Brown przyznał się do częściowej odpowiedzialności za śmierć Borzowa i powiedział mniej więcej to, co ty przed chwilą. Signora Sabatini oświadczyła, że "są to pomówienia i kłamstwa człowieka chorego psychicznie". Wystąpiła do sądu żądając od gazety wypłacenia odszkodowania w wysokości czterech milionów marek, a potem wycofała oskarżenie, załatwiwszy sprawę polubownie. Gazeta wyrzuciła dziennikarza z pracy i wystosowała oficjalne przeprosiny.

- Francesca zawsze musi mieć ostatnie słowo... - zauważyła Nicole.

- Trzy lata temu udało mi się odgrzebać tę historię - rzekł Kenji - bo zbierałem materiały do książki. Ponieważ historia wydarzyła się ponad ćwierć wieku temu, wszystkie informacje z bazy danych Newtona były dostępne. Udało mi się dotrzeć do notatek, które robiłaś na swoim komputerze, włącznie z tym, czego dowiedziałaś się od Henryka, i co tak sprytnie schowałaś wśród danych telemetrycznych. Byłem pewien, że Brown mówi prawdę...

- I co się stało?

- Pojechałem do Sorrento, żeby przeprowadzić wywiad z Franceską, a potem przerwałem prace nad książką...

Kenji zawahał się. Czy powinienem mówić dalej? - zastanawiał się. Zerknął na swoją żonę. Nie, pomyślał, to nie jest odpowiedni czas ani miejsce...

- Richardzie, tak mi przykro...

Jej mąż już prawie spał.

- Proszę? Mówiłaś coś, kochanie?

- Przepraszam cię - powiedziała Nicole w ciemnościach znajdując jego rękę. - Już dawno powinnam była powiedzieć ci o Henryku... Czy wciąż jesteś na mnie zły?

- Nigdy nie byłem zły - odparł Richard. - Byłem zdziwiony, nawet zszokowany. Ale nie byłem zły. Przecież miałaś swoje powody utrzymując tę historię w tajemnicy... - Uścisnął jej rękę. - Poza tym to, co było na Ziemi, to już przeszłość... Gdybyś powiedziała mi o tym, gdy się poznaliśmy, wtedy mogłoby to mieć jakieś znaczenie. Prawdopodobnie byłbym zazdrosny i z pewnością byłoby mi z tym niewygodnie. Ale teraz?

Nicole pocałowała go.

- Kocham cię, Richardzie.

- Ja też cię kocham.

Kenji i Nai kochali się po raz pierwszy od chwili, gdy opuścili pokład Pinty. Nai natychmiast zasnęła, ale Kenji nie mógł spać. Leżał na łóżku z otwartymi oczami rozmyślając o Wakefieldach, myślami wciąż wracał do Franceski Sabatini. To najpiękniejsza siedemdziesięcioletnia kobieta jaką kiedykolwiek widziałem, pomyślał. Miała takie wspaniałe życie...

Kenji doskonale pamiętał letnie popołudnie, gdy wysiadał z pociągu w Sorrento. Kierowca elektrycznej taksówki od razu domyślił się, kogo Kenji zamierza odwiedzić.

- Capisco - powiedział wymachując rękami, a potem wskazał palcem kierunek mówiąc: - U palazzo Sabatini.

Pałac Franceski, w którym dawniej mieścił się hotel, miał piękny widok na zatokę. W siedemnastym wieku dwudziestopokojowe apartament należały do jakiegoś księcia. Z pokoju w którym Kenji czekał na signorę Sabatini widać było kolejkę linową wiozącą turystów w dół, ku ciemnoniebieskim wodom zatoki.

La signora spóźniła się pół godziny i chciała, aby rozmowa zakończyła się niemal natychmiast. Dwukrotnie powiedziała, że zgodziła się na wywiad z Kenjima tylko dlatego, że jej wydawca oświadczył, że "ten młody Japończyk jest znakomitym pisarzem".

- Prawdę mówiąc - dodała Francesca swą nienaganną angielszczyzną - wydaje mi się, że po tylu latach rozmawianie o wyprawie Newtona jest zajęciem nudnym i jałowym.

Pani Sabatini wykazała większe zainteresowanie tematem, gdy Kenji oświadczył, że znajduje się w posiadaniu "nowych informacji" z osobistego dziennika Nicole, które zostały zapisane szyfrem. Dodał, że informacje zgromadzone przez Nicole potwierdzają prawdziwość "przyznania się do winy" Browna, które złożył tuż przed śmiercią.

- Nie doceniłam pana - powiedziała Francesca z uśmiechem, gdy Kenji spytał, czy zbieżność tym informacji nie wydaje się zagadkowa. Na żadne z pytań nie odpowiedziała wprost. Wstała i zaproponowała, aby Kenji został do wieczora, by mogli jeszcze porozmawiać.

Był już zmierzch, gdy do pokoju Kenjiego dostarczono bilecik; Francesca zapraszała go na oficjalną kolację o pół do dziewiątej.

O umówionej godzinie w drzwiach pojawił się robot i zaprowadził Japończyka do wspaniałej sali bankietowej.

Jej ściany zdobiły malowidła, z sufitu zwisały kryształowe żyrandole. Do stołu nakryto dla dziesięciu osób.

Francesca stała przy jednym z robotów, który pełnił funkcję kelnera.

- Kon ban wa, Watanabe-san - powiedziała Francesca po japońsku podając Kenjiemu

kieliszek szampana. - Odnawiam pozostałe pomieszczenia i obawiam się, że koktajle będziemy musieli wypić tutaj. Tutaj wszystko jest bardzo gauche, jak powiedzieliby Francuzi, ale musi nam to wystarczyć...

Kobieta wyglądała wspaniale, jej jasne włosy spięte były ozdobną klamrą, szyję zdobił sznur brylantów, a na piersi błyszczał szafirowy wisiorek. Biała suknia podkreślała figurę, w której wciąż można było dostrzec wiele z powabu jej młodości. Kenji nie mógł uwierzyć, że jego rozmówczyni ma siedemdziesiąt lat.

Francesca wzięła go pod rękę i wyjaśniła, że przyjęcie odbędzie się "na jego cześć", po czym oprowadziła go wzdłuż ściennych malowideł i arrasów.

- Wie pan coś o gobelinach z Aubusson? - spytała. Gdy Kenji przecząco pokręcił głową, Włoszka zaczęła żywo opowiadać o historii europejskich gobelinów.

W pół godziny później zaprosiła go do stołu. Był tam już profesor muzyki z Neapolu wraz z żoną (podobno aktorką), dwóch zawodowych piłkarzy, pięćdziesięcioletni kurator Pompei, włoska poetka w średnim wieku oraz dwie piękne dwudziestolatki; jedna z nich usiadła obok Kenjiego, druga naprzeciwko.

Początkowo krzesło vis a vis Franceski było puste. Włoszka szepnęła coś do jednego z kelnerów i po chwili do pokoju wkroczył niemal ślepy starzec. Kenji natychmiast go rozpoznał: był to Janos Tabori.

Jedzenie było wyśmienite, a rozmowy niezwykle ożywione. Kelnerami byli żywi ludzie, nie roboty, do każdego dania podano inny gatunek wina. Wszyscy, nawet piłkarze, rozmawiali po angielsku; wspólną cechą wszystkich gości była znajomość tematyki związanej z historią podbojów kosmosu. Okazało się, że młoda kobieta siedząca naprzeciwko Kenjiego przeczytała jego popularyzatorską książkę o kolonii na Marsie. Wieczór dobiegał końca a Kenji, trzydziestoletni kawaler, nie był już ani trochę spięty. Wszystko mu się podobało: wino, kobiety, rozmowy o poezji i muzyce...

W ciągu dwóch godzin spędzonych przy stole tylko raz wspomniano o popołudniowej rozmowie. Po deserze Francesca niemal krzyknęła do Janosa:

- Temu młodemu, zdolnemu Japończykowi wydaje się, że w komputerze Nicole znalazł dowód na potwierdzenie tych ohydnych kłamstw, które David rozpowiadał przed śmiercią!

Janos milczał. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Ale po kolacji, zanim wyszedł z sali, podał Kenjiemu karteczkę.

"Poznałeś prawdę - przeczytał Kenji - i nie miej skrupułów. Ale wiedz, że twoja ocena nie jest sprawiedliwa..."

I pod spodem: "Aglaja Jepanczin do księcia Myszkina, »Idiota«, Fiodor Dostojewski."

Kenji wrócił do swojego pokoju. Po pięciu minutach usłyszał pukanie. W drzwiach stała Włoszka, ta sama, która podczas kolacji siedziała naprzeciwko niego. Miała na sobie kostium bikini, ukazujący jej piękne ciało. W ręce trzymała męskie spodenki kąpielowe.

- Panie Watanabe - powiedziała z zalotnym uśmiechem - czy nie zechciałby pan ze mną popływać? Te spodenki powinny na pana pasować...

Kenji poczuł nagły przypływ namiętności i przebrawszy się, musiał jeszcze chwilę odczekać...

Trzy lata później, leżąc w łóżku swojego domu w Nowym Edenie obok kobiety, którą kochał, wciąż nie mógł zapomnieć pożądania, które ogarnęło go tamtej nocy. Zjechali nad zatokę i pływali w świetle księżyca. Do rana pili wino, tańczyli i śmiali się. To była cudowna noc...

Po niecałej godzinie wszyscy byliśmy nadzy, myślał Kenji. Wszystko odbyło się zgodnie z planem: piłkarze należeli do Franceski, mnie przypadły dwie młode Włoszki...

Kenji równie dobrze zapamiętał tamtą namiętną noc, jak i śmiech Franceski, która o świcie znalazła go w swoich apartamentach w jednym łóżku z Włoszkami...

Gdy przyjechałem do Nowego Jorku, wydawca powiedział mi, że powinienem odstąpić od zamiaru wydania książki o wyprawie Newtona. Nawet się z nim nie kłóciłem, sam chciałem mu to zaproponować...

11.

Ellie bardzo spodobały się porcelanowe figurki i wzięła jedną z nich do ręki. Przedstawiała małą dziewczynkę w niebieskiej baletowej spódnicy.

- Spójrz, Benjy - powiedziała do brata - ktoś to wszystko zrobił własnoręcznie...

- Ale to jest kopia - rzekł Hiszpan, właściciel sklepu. - Artysta dokonał rekonstrukcji oryginału na podstawie danych z komputera. Reprodukacja jest tak wierna, że nawet eksperci mają kłopoty z odróżnieniem kopii od autentyku...

- Czy mieszkając na Ziemi zbierał pan podobne przedmioty? - spytała Ellie wskazując na setki figurek stojących w szklanych gablotach.

- Tak - dumnie odparł pan Murillo. - W zasadzie w Sewilli zajmowałem się innymi sprawami, wydawałem zezwolenia na budowę domów. Ale razem z żoną prowadziliśmy także niewielki sklepik. Zakochaliśmy się w porcelanowych figurkach jakieś dziesięć lat temu i kolekcjonujemy je.

Pięćdziesięcioletnia pani Murillo wyszła z zaplecza, gdzie rozpakowywała towar.

- Postanowiliśmy, i to na długo zanim dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy wybrani przez ISA do marsjańskiej kolonii, że bez względu na to jak restrykcyjne będą przepisy ograniczające ilość bagażu na pokładzie Niny, zabierzemy ze sobą całą naszą porcelanę.

Benjy trzymał figurkę tancerki w odległości kilku centymetrów od twarzy.

- Ona jest piękna - stwierdził szeroko się uśmiechając.

- Dziękuję - powiedziała pani Murillo. - W kolonii Lowell chcieliśmy założyć stowarzyszenie kolekcjonerów. Trzech czy czterech pasażerów Niny także przywiozło swoje zbiory.

- Możemy je obejrzeć? - zapytała Ellie. - Będziemy bardzo ostrożni...

- Proszę bardzo - odparła pani Murillo. - Kiedy wszyscy wprowadzą się do swoich domów, sprzedamy niektóre figurki, albo zamienimy je na inne...

Podczas gdy Ellie i Benjy przyglądali się figurkom, do sklepu weszło kilka osób. Sklep państwa Murillo powstał dopiero kilka dni temu, oprócz porcelany były w nim świece, ozdobne serwetki i inne drobne przedmioty.

- Nie traciłeś czasu, Carlos - zwrócił się do pana Murillo muskularny Amerykanin. Ton, jakim przemówił do właściciela sklepu świadczył o tym, że zdążyli się poznać na pokładzie Niny.

- Widzisz, Travisie, nam było łatwiej - rzekł pan Murillo. - Nie mamy rodziny, nie potrzeba nam dużo miejsca.

- My jeszcze nie zdążyliśmy wprowadzić się do domu - odparł Travis. - Chcielibyśmy mieszkać w wiosce, ale Chelsea i dzieciaki nie mogą znaleźć domu, który by im odpowiadał... Ona wciąż jest skołowana tą całą historią, i wydaje się jej, że ISA znowu nas okłamuje...

- Przyznaję, że trudno uwierzyć, iż ta stacja kosmiczna została stworzona tylko w tym celu, aby Obcy mogli nas obserwować... Z pewnością byłoby nam łatwiej w to uwierzyć, gdybyśmy zobaczyli zdjęcia tego Punktu Węzłowego... Ale właściwie dlaczego mieliby nas okłamywać?

- Bo robili to już przedtem. Nikt nie zająknął się nawet o istnieniu tego miejsca aż do chwili, gdy znaleźliśmy się tutaj... Chelsea przypuszcza, że ISA chce na nas przeprowadzić jakiś eksperyment. Prawdopodobnie zostaniemy tu przez jakiś czas, a potem zawiozą nas na Marsa, żeby porównać dwa rodzaje kolonii: jedną na powierzchni planety, drugą na stacji orbitalnej.

Pan Murillo się roześmiał.

- Widzę, że Chelsea nie zmieniła się od czasu, gdy poznałem ją na pokładzie Niny... - zażartował i znów spoważniał. - Jak wiesz, Juanita i ja także mieliśmy wątpliwości, zwłaszcza w pierwszym tygodniu, bo w ogóle nie spotkaliśmy Obcych. Przez dwa dni błąkaliśmy się po okolicy i rozmawialiśmy z ludźmi; praktycznie rzecz biorąc przeprowadziliśmy własne śledztwo. Doszliśmy do wniosku, że ISA mówi prawdę. Po pierwsze, jak na kłamstwo ta historia jest zbyt fantastyczna. Po drugie, to co mówi Nicole Wakefield jest bardzo przekonujące. Byłem na otwartym spotkaniu z jej udziałem; przed dwie godziny odpowiadała na pytania i ani Juanita, ani ja nie zauważyliśmy, żeby jej historia była niespójna.

- Trudno mi uwierzyć, że ktoś mógł spać przez dwanaście lat. - Travis powątpiewająco potrząsał głową.

- Nam też. Ale poszliśmy do somnarium, w którym rzekomo spała rodzina Wakefieldów. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak mówiła Nicole. Tamten budynek jest olbrzymi, jest tam dość "trumien", aby wszyscy mieszkańcy kolonii mogli się w nich położyć... ISA nie wyrzuciłaby tak olbrzymich pieniędzy tylko po to, aby uwiarygodnić swoje kłamstwa.

- Może masz rację.

- W każdym razie postanowiliśmy urządzić się jak najwygodniej. I nie możemy narzekać na warunki, w jakich przyszło nam żyć. Wszystkie domy są naprawdę znakomite. Juanita i ja mamy własnego Lincolna, który pomaga nam w domu i w sklepie.

Ellie przysłuchiwała się tej rozmowie. W głowie wciąż słyszała przestrogę matki. Gdy poprzedniego dnia spytała ją, czy będzie mogła pójść z Benjym na spacer, usłyszała:

- Myślę, że tak, kochanie. Ale jeżeli zostanieie rozpoznani jako członkowie rodziny Wakefieldów i zaczną wam zadawać pytania, nie odpowiadajcie. Bądźcie grzeczni i starajcie się jak najszybciej wrócić do domu. Pan Macmillan nie życzy sobie, abyśmy rozmawiali z tymi

mieszkańcami kolonii, którzy nie są członkami ISA.

Nagle Ellie zdała sobie sprawę, że jej brat gdzieś zniknął.

- Na co się tak gapisz, chłopie? - usłyszała słowa wypowiedziane ostrym tonem.

- Jej włosy są bardzo ładne - mówił Benjy. Stał tarasując przejście, tak że ani mężczyzna, ani jego żona nie mogli się wydostać. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę w stronę pięknych długich włosów kobiety.

- Mogę dotknąć? - spytał.

- Zwariowałeś? Oczywiście, że nie! A teraz zmiataj stąd...

- Jason, on chyba jest upośledzony - szepnęła kobieta łapiąc za rękę męża, który chciał odepchnąć Benjy'ego.

Ellie natychmiast znalazła się przy swoim bracie. Wiedziała, że mężczyzna jest zły. Ale co należało zrobić? Wzięła Benjy'ego za ramię i delikatnie pociągnęła go za sobą.

- Po-patrz, Ellie - rzekł Benjy z podnieceniem - ona ma ślicz-ne, żół-te włosy!

- Czy ten cymbał jest twoim przyjacielem? - warknął wysoki mężczyzna.

- To mój brat - z trudem odparła Ellie.

- No to zabierz go stąd, do cholery... Zaleca się do mojej żony...

- Proszę pana - Ellie zdobyła się na odwagę - mój brat nie chciał zrobić nic złego. On jeszcze nigdy nie widział z bliska takich pięknych jasnych włosów...

- Co?! - spytał mężczyzna ze zdziwieniem i zwrócił się do żony: - Co to za wariaci? Jeden jest idiotą, a ta dziewczyna...

- To wy jesteście dziećmi Wakefieldów? - z tyłu dobiegł przyjazny kobiecy głos.

Ellie obejrzała się. Pani Murillo wyszła zza lady, jej mąż także wyszedł z zaplecza słysząc podniesione głosy.

- Tak, proszę pani, to my - szepnęła Ellie.

- Chce pani powiedzieć, że to te dzieciaki z kosmosu? - spytał mężczyzna.

Ellie złapała Benjy'ego za ramię i pociągnęła go do wyjścia.

- Bardzo państwa przepraszamy - powiedziała - nie chcieliśmy sprawić kłopotu...

- Wariaci! - zdążyła jeszcze usłyszeć, zanim zamknęły się drzwi.

Było to kolejny wyczerpujący dzień, Nicole była bardzo zmęczona. Stanęła przed lustrem i umyła twarz.

- Ellie i Benjy mieli jakąś nieprzyjemną przygodę w wiosce - rzekł Richard z sypialni. - Ale nie chcieli ze mną o tym mówić.

Nicole przez trzynaście godzin pomagała w przesiadce pasażerów Niny. Bez względu na to,

jak intensywnie pracowała, odnosiło się wrażenie, że wszyscy są niezadowoleni z jej wysiłków. Gdy cierpliwie wyjaśniała procedurę ISA dotyczącą umiejscowienia żywności, kwater mieszkalnych i zasad obowiązujących przy pracy, wielu kolonistów było wściekłych.

Od wielu dni chodziła niewyspana. Spojrzała na swoje podkrążone oczy. Ale musimy zdążyć z przeładunkiem, zanim dotrze do nas Santa Maria, pomyślała. Z nimi będzie o wiele więcej kłopotu...

Wytarła twarz i weszła do sypialni. Richard w piżamie siedział na łóżku.

- Jak upłynął twój dzień? - spytała.

- Nieźle... Było nawet dość ciekawie... Inżynierowie z Ziemi powoli oswajają się z Einsteinami... - odparł. - Słyszałaś, co mówiłem o Ellie i Benjym?

Nicole westchnęła. Z tonu głosu męża zrozumiała, o co naprawdę chodziło. Pomimo zmęczenia poszła do pokoju dzieci.

Ellie już spała. Benjy, który dzielił pokój z Patrickiem, siedział na łóżku. Nicole usiadła obok niego i wzięła go za rękę.

- Cześć ma-mo - powiedział chłopiec.

- Wujek Richard mówił mi, że po południu byliście z Ellie z wiosce.

Na twarzy chłopca pojawił się grymas.

- Tak, ma-mo - odparł Benjy.

- Ellie powiedziała, że rozpoznała was i że jeden z nowych kolonistów mówił o was różne przykre rzeczy - Patrick odezwał się ze swojego łóżka.

- Czy to prawda, kochanie? - Nicole pogładziła najstarszego syna po ręce.

Chłopiec prawie niezauważalnie skinął głową i w milczeniu wpatrywał się w matkę. W jego oczach stanęły łzy.

- Co to jest cymbał? - spytał.

Nicole przytuliła go do siebie.

- Czy ktoś dzisiaj powiedział tak do ciebie?

Benjy skinął głową.

- Można tak powiedzieć o kimś, kto jest inny. Ludzie używają takich słów bez zastanowienia, wtedy kiedy nie myślą. Człowiek, który tak do ciebie powiedział, najprawdopodobniej był przestraszony i zły, niezadowolony z własnego życia i tę dość wyładował na tobie, bo cię nie zrozumiał... Czy zrobiłeś coś, co mogło go rozgniewać?

- Nie, ma-mo. Powiedziałem tylko, że ko-bieta ma ładne żół-te włosy.

Rozmowa trwała jeszcze kilka minut i w końcu Nicole mniej więcej dowiedziała się, co naprawdę zaszło w sklepie z porcelaną. Pomyślała, że z Benjym już wszystko w porządku i

zbliżyła się do Patricka, żeby pocałować go na dobranoc.

- A co tam u ciebie? Wszystko w porządku?

- Mniej więcej. Tylko w parku przydarzyła mi się katastrofa. - Patrick usiłował się uśmiechnąć. - Nowi chłopcy zaprosili mnie do gry w koszykówkę. Gram okropnie. Niektórzy z nich śmiali się ze mnie...

Nicole przytuliła Patricka do siebie. Jesteś silny, pomyślała, ale nawet ty potrzebujesz wsparcia. Westchnęła. Czy postępuję tak, jak powinnam? - po raz setny zadała sobie to samo pytanie. Czuję się odpowiedzialna za wszystkich i za wszystko, chcę, aby nowy Eden sprawnie funkcjonował... Ale moje dzieci mnie potrzebują... Czy zdołam pogodzić jedno z drugim?

Wróciła do sypialni. Richard jeszcze nie zasnął. Nicole położyła się obok niego i opowiedziała o przygodzie Benjy'ego.

- Szkoda, że nie mogłem mu pomóc - powiedział Richard. - Są sprawy, o których można mówić tylko z matką i wydaje mi się...

Nicole była tak zmęczona, że zasnęła, zanim Richard skończył mówić. Jej mąż delikatnie dotknął jej ramienia.

- Nicole - szepnął - muszę z tobą porozmawiać. Jutro rano możemy nie mieć na to czasu...

Nicole z trudem otworzyła oczy i pytająco spojrzała na męża.

- Chodzi o Katie - rzekł Richard. - Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Jutro jest kolejna potańcówka. Tydzień temu pozwoliłaś jej tam pójść pod warunkiem, że pójdą razem z Patrickiem i wrócą o rozsądnej porze. Dzisiaj widziałem, jak stała przed lustrem w sukience. To bardzo krótka spódniczka, która niewiele zakrywa. Powiedziałem jej, że to nie jest odpowiedni strój na tańce towarzyskie, a ona zrobiła się wściekła; krzyczała, że ją szpieguję, że nie znam się na modzie i tak dalej.

- I co jej powiedziałaś?

- Skrzyczałem ją, a ona obdarzyła mnie lodowatym spojrzeniem i nic nie odpowiedziała. Po kilku minutach wyszła z domu, nie odzywając się do nikogo. Jedliśmy właśnie obiad... Wróciła niecałe pół godziny przed tobą, czułem od niej papierosy i piwo. Chciałem z nią porozmawiać, ale usłyszałem tylko "daj mi spokój"; zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Tego się obawiałam, pomyślała Nicole. Zachowywała się tak jeszcze wtedy, kiedy była mała... Jest zdolna i błyskotliwa, ale potrafi być także samolubna i porywcza...

- Chciałem jej zakazać udziału w jutrzejszej zabawie - ciągnął Richard - ale zdałem sobie sprawę, że ona w zasadzie jest dorosła. W administracji otrzymała kartę identyfikacyjną, jej wiek określono na dwadzieścia cztery lata. Ona już nie jest dzieckiem...

Ale pod względem emocjonalnym Katie jest czternastolatka... pomyślała Nicole

przypominając sobie kłopoty, jakie pojawiły się, gdy tylko w Ramie znaleźli się koloniści. Interesują ją tylko przygody i zabawa...

Przypomniała sobie dzień spędzony z Katie w szpitalu. Było to zaledwie tydzień po przybyciu kolonistów z Niny. Katie była zachwycona sprzętem medycznym, ale gdy Nicole spytała, czy chciałaby tam pracować do czasu, aż rozpoczną się wykłady na uniwersytecie, jej córka roześmiała się. - Zwariowałaś? - powiedziała. - Przecież to nudne. Jest tylu nowych ludzi, których chciałabym poznać...

Obawiam się, że ani Richard ani ja nie możemy nic zrobić. Możemy martwić się o nią i dawać jej naszą miłość, ale ona już podjęła decyzję: nie obchodzi ją nasza wiedza i doświadczenie...

W sypialni zapadła cisza. Nicole nachyliła się nad Richardem i pocałowała go.

- Jutro porozmawiam z nią o sukience - powiedziała - ale obawiam się, że nie wyniknie z tego nic dobrego...

Patrick siedział na krześle stojącym pod ścianą w sali gimnastycznej. Napił się wody sodowej i spojrzał na zegarek. Muzyka ucichła, przytulone do siebie pary przestały tańczyć. Katie i Olaf Larsen, wysoki Szwed, którego ojciec był jednym z podwładnych Macmillana, pocałowali się, a potem trzymając się za ręce ruszyli w stronę Patricka.

- Wychodzimy na papierosa - oznajmiła Katie. - Chcesz iść z nami?

- Już późno, Katie - rzekł jej brat. - Obiecaliśmy matce, że wrócimy do domu o pół do pierwszej.

Szwed z wyższością poklepał Patricka po plecach.

- Nie bądź taki sztywny, chłopie. Twoja siostra dobrze się bawi.

Olaf był pijany, miał przekrwione oczy i czerwony nos.

- Widzisz tamtą dziewczynę w białej sukience, z dużymi cyckami? Nazywa się Beth i jest dobra w łóżku. Cały wieczór marzyła o tym, żebyś zaprosił ją do tańca. Chcesz, żebym cię przedstawił?

Patrick potrząsnął głową.

- Katie, chcę iść do domu. Przez cały czas cierpliwie na ciebie czekałem...

- Jeszcze pół godziny, niemowlaczku - przerwała mu Katie. - Wyjdziemy na chwilę, potem jeszcze trochę potańczymy, a potem pójdziemy do domu. W porządku?

Pocałowała Patricka w policzek i ruszyła z Olafem do wyjścia. Muzyka znów zaczęła grać, tym razem miała szybki, porywający rytm. Patrick przyglądał się tańczącym parom.

- Nie tańczysz? - spytał go jakiś młody człowiek. - Nie, nigdy tego nie robiłem.

Chłopak obrzucił go dziwnym spojrzeniem, a potem uśmiechnął się.

- Już wiem, jesteś jednym z Wakefieldów... Cześć, nazywam się Brian Walsh. Jestem z Wisconsin. Moi rodzice będą tutaj zakładać uniwersytet...

Patrick, od chwili gdy przyszedł tutaj razem z Katie, nie zamienił z nikim ani słowa. Z przyjemnością uścisnął dłoń Briana i rozmawiał z nim przez kilka minut. Gdy jego rodzinę wybrano do zasiedlenia kolonii Lowell, Brian był na trzecim roku informatyki. Miał dwadzieścia lat, był jedynakiem. Niezwykle ciekawiły go doświadczenia Patricka.

- Powiedz czy ten Punkt Węzłowy naprawdę istnieje? A może to jeszcze jedna bujda ISA?

- On istnieje - odparł Patrick zapominając, że nie powinien o tym rozmawiać. - Ojciec mówi, że tam jest coś w rodzaju stacji obserwacyjnej Obcych...

Brian roześmiał się.

- Więc w pobliżu Syriusza znajduje się olbrzymia, trójkątna stacja Obcych, której celem jest obserwacja przedstawicieli innych gatunków? To najbardziej fantastyczna historia, jaką słyszałem. Prawdę mówiąc trudno było uwierzyć w większość tego, co mówiła twoja matka podczas wykładu... Muszę jednak przyznać, że nasza kolonia i bioty czynią jej historię bardziej wiarygodną...

- Wszystko, co powiedziała matka, jest prawdą - rzekł Patrick. - Ale najbardziej niesamowitych historii nie opowiedziała. Rozmawiała na przykład ze stworzeniem przypominającym węgorza, który miał na sobie płaszcz i mówił wypuszczając bąbelki, a poza tym...

- Rozmawiała z węgorzem? - spytał z zainteresowaniem Brian. - Skąd wiedziała, co mówił?

Patrick spojrział na zegarek.

- Wybacz, Brianie - powiedział nagle - ale przyszedłem tutaj z siostrą i właśnie mieliśmy wracać do...

- Czy to ta w czerwonej mini, z wielkim dekoltem?

Patrick skinął głową. Brian objął ramieniem swojego nowego kumpla.

- Dam ci dobrą radę - powiedział. - Ktoś powinien z nią pogadać. Zachowuje się tak, że ludzie myślą, że ma ochotę pójść do łóżka z każdym...

- Ale to przecież tylko Katie - bronił się Patrick. - Ona nigdy nie była wśród obcych, zna tylko naszą rodzinę...

- Przepraszam, mniejsza z tym - rzekł Brian chłodno. - W zasadzie to nie moja sprawa... Może wpadniesz do mnie kiedyś? Fajnie się z tobą rozmawiało.

Patrick pożegnał się z Brianem i ruszył do drzwi. Gdzie jest Katie? Dlaczego nie wróciła do sali gimnastycznej?

Już po chwili usłyszał jej głośny śmiech. Stała przy boisku z trzema chłopakami, jednym z nich był Olaf Larsen. Palili papierosy, pili piwo i zaśmiewali się.

- A jaka jest twoja ulubiona pozycja? - spytał mężczyzna z wąsami.

- Wolę być na górze - śmiała się Katie pijąc wprost z butelki - bo wtedy mam nad wszystkim kontrolę.

- To brzmi interesująco - odparł mężczyzna o imieniu Andrew i położył otwartą dłoń na jej pośladku. Katie odepchnęła jego rękę i się roześmiała. Po chwili dostrzegła Patricka.

- Chodź do nas, niemowlaczku! - zawołała. - Świństwo, które pijemy, to dynamit!

Patrick podszedł bliżej, trójka mężczyzn odsunęła się nieco od Katie. Choć był chudy i miał słabo rozwinięte mięśnie, jego wzrost robił duże wrażenie.

- Idę do domu, Katie - rzekł Patrick potrząsając głową na znak, że nie chce się napić. - Myślę, że powinnaś pójść ze mną.

- Wiesz co, Larsen, zdaje się, że nasza laseczka przyprowadziła ze sobą przyzwoitkę... - roześmiał się sarkastycznie Andrew.

W oczach Katie pojawił się gniew. Dopija zawartość butelki, podała ją Olafowi i pocałowała Andrewa w usta, przytulając się do niego całym ciałem.

Patrick był tym zawstydzony. Olaf i trzeci mężczyzna zaczęli gwizdać i bić brawo widząc, że Andrew odwzajemnia namiętny pocałunek.

- No, to chodźmy - powiedziała po dłuższej chwili Katie, wciąż wpatrując się w mężczyznę, którego pocałowała. - Myślę, że na dziś wystarczy...

12.

Eponine wyjrzała przez okno. Stok był łagodny. Wymienniki gazu pokrywały go gęstą siatką sprawiając, że ziemia pod spodem była prawie niewidoczna.

- Co o tym myślisz, Ep? - spytała Kimberly. - Tutaj wcale nie jest brzydko. A kiedy posadzą las, za oknem będziemy miały drzewa, trawę, a może nawet parę sikorek. To zawsze coś.

- A boja wiem... - odparła w zamyśleniu Eponine. - Jest trochę mniejsze niż to, które tak spodobało mi się w Positano. Poza tym mam wątpliwości, czy należy mieszkać w Hakone. Nie wiedziałam, że będzie tu tylu żółtków...

- Moja droga, nie możemy tego odwlekać w nieskończoność. Mówiłam ci wczoraj, że musimy wybrać inne mieszkania na wszelki wypadek. W Positano chciało zamieszkać siedem par, a były tylko cztery apartamenty. Po prostu nie miałyśmy szczęścia. Oprócz tych małych klitek nad sklepami w Beauvois - nie chcę tam mieszkać, bo nie miałybyśmy chwili spokoju - pozostało tylko mieszkanie tutaj, albo w San Miguel. A tam mieszkają sami kolorowi...

Eponine usiadła na jednym z krzeseł w bawialni niewielkiego, trzypokojowego mieszkania. Meble były skromne, lecz wygodne. Dwa krzesła i sofa pasowały do brązowego stołu. Pokoje oraz kuchnia i łazienka miały łącznie nieco ponad sto metrów kwadratowych.

Kimberly Henderson niecierpliwie przechadzała się tam i z powrotem.

- Kim - powiedziała powoli Eponine - przepraszam cię, ale jakoś nie mogę się skupić. Tyle się ostatnio wydarzyło... Gdzie my jesteśmy? Dlaczego znaleźliśmy się tutaj?

Eponine pomyślała o zebraniu przed trzema dniami, kiedy to dowódca Macmillan oznajmił, że znajdują się na pokładzie statku Obcych.

Kimberly Henderson zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem. Przeszedł ją dreszcz.

- Cholera, Eponine, nie umiem sobie odpowiedzieć na te wszystkie pytania... Ale wiem, że jeżeli natychmiast nie wybierzemy mieszkania, zamieszkamy w takim, którego nikt nie chce.

Eponine obrzuciła przyjaciółkę długim spojrzeniem i westchnęła.

- Nie wydaje mi się, żeby to wszystko było sprawiedliwe - powiedziała. - Pasażerowie Pinty i Niny mogli wybrać swoje domy przed naszym przybyciem. Dla nas zostały same resztki...

- A czego się spodziewałaś? Naszym statkiem lecieli więźniowie, to oczywiste, że dostaliśmy resztki... Ale przynajmniej jesteśmy wolne...

- Jeżeli dobrze rozumiem, chcesz zamieszkać tutaj, tak? - spytała Eponine.

- Tak - odparła Kimberly. - Chcę także zarezerwować te dwa mieszkania, które oglądałyśmy dziś rano, w pobliżu rynku Hakone, na wypadek, gdyby nie udało nam się zamieszkać

tutaj. Jeżeli do zmroku nie znajdziemy dachu nad głową, obawiam się, że czekają nas kłopoty.

To był błąd, myślała Eponine patrząc na spacerującą po pokoju Kimberly, nie powinnam była z nią zamieszkać... Ale w takim razie z kim? Mieszkania dla ludzi samotnych to kłitki...

Eponine nie lubiła gwałtownych zmian. W przeciwieństwie do Kimberly, która prowadziła bujne życie do czasu, gdy w wieku dziewiętnastu lat trafiła do więzienia za morderstwo, Eponine żyła spokojnie. Wychowała się w sierocińcu w Limoges, we Francji. Miasteczko opuściła po raz pierwszy dopiero w wieku siedemnastu lat - profesor Moreau zabrał ją na wycieczkę do Paryża. Złożenie podania o zamieszkanie w kolonii Lowell nie przyszło jej łatwo. Ale mając w perspektywie spędzenie reszty życia w więzieniu w Bourge, wybrała wolność na Marsie i po długich wahaniach postanowiła wysłać swoje podanie do komisji ISA.

Wybrano ją ze względu na znakomite wyniki w nauce; Eponine była uzdolniona artystycznie, płynnie władała angielskim, a w więzieniu sprawowała się wzorowo. W bazie danych ISA napisano, że po przybyciu do kolonii Lowell powinna pracować jako "aktorka, prowadzić zajęcia aktorskie lub uczyć wychowania plastycznego w szkołach średnich". Pomimo niewygód kilkutygodniowej podróży, gdy za oknem pojawił się Mars, dziewczyna poczuła przypływ adrenaliny. Zaczynało się dla niej nowe życie.

Na dwa dni przed planowanym lądowaniem strażnicy ISA poinformowali więźniów, że procedura manewru została zmieniona. Santa Maria zmieni kurs i zadekuje przy stacji orbitalnej krążącej wokół Marsa. Eponine była zaniepokojona. W przeciwieństwie do swoich towarzyszek przeczytała broszury przeznaczone dla marsjańskich kolonistów, w których nie było mowy o jakiegokolwiek stacji krążącej wokół czerwonej planety.

O tym, co się naprawdę dzieje, powiadomiono więźniów dopiero wtedy, gdy znaleźli się już na pokładzie Ramy. Ale po zebraniu zwołanym przez Macmillana niewielu z nich wierzyło, że dowódca mówi prawdę.

- Czy on naprawdę myśli - mówił Willis Meeker - że jesteśmy tacy głupi? Zielone ludziki zbudowały stację i roboty, tak? To bzdura. Myślę, że chcą wypróbować jakiś nowy rodzaj więzienia...

- Ależ Willis - zaproponował Malcolm Peabody - w takim razie dlaczego na pokładach Niny i Pinty przylecieli z nami inni? Rozmawiałem z nimi, to nie są więźniowie, tylko normalni ludzie. Jeżeli przyjmujemy twoją wersję, to co oni tutaj robią?

- Skąd mam to wiedzieć? Wiem tylko, że Macmillan kłamie.

Po zebraniu Eponine wciąż miała wątpliwości. Kimberly zaciągnęła ją do Miasta Środkowego, aby złożyć podanie o przydział trzech mieszkań w Hakone. Tym razem dziewczyny miały szczęście i wylosowały najlepsze z nich. Resztę dnia spędziły wprowadzając się do

apartamentu na skraju Lasu Sherwood, potem zgłosiły się do biura pracy w budynku administracyjnym.

Do kolonii przybyły dwa statki z kolonistami i procedury resocjalizacji skazańców zostały już dokładnie ustalone. Kimberly niemal natychmiast została przydzielona do pracy w głównym szpitalu.

Eponine, po rozmowie z dyrektorem szkoły i czterema nauczycielami, zdecydowała się na pracę w Głównej Szkole Średniej. Dotarcie do pracy wymagało krótkiej jazdy pociągiem. Gdyby zdecydowała się na pracę w szkole podstawowej w Hakone, do pracy mogłaby chodzić piechotą, ale Eponine wolała uczyć w szkole średniej, bo spodobał jej się zarówno dyrektor jak i inni nauczyciele.

Do siedmiorga lekarzy pracujących w szpitalu dołączyli dwaj byli więźniowie. Lekarze obawiali się doktora Roberta Turnera, którego akta mówiły o wyroku za brutalne morderstwo. Jednak już po tygodniu jego zdolności, wiedza i profesjonalizm sprawiły, że jednogłośnie wybrano go na stanowisko ordynatora. Doktor Turner był bardzo zdziwiony zaufaniem, jakim go obdarzono i w krótkim przemówieniu oświadczył, że ma zamiar całkowicie poświęcić się szczytnemu celowi, jakim jest roztoczenie opieki lekarskiej nad kolonistami.

Zaproponował tymczasowemu rządowi, aby każdy obywatel Nowego Edenu został gruntownie przebadany, co pozwoliłoby uzupełnić ewentualne luki w medycznej bazie danych. Po zaakceptowaniu tej propozycji doktor Turner wysłał armię robotów Tiasso, żeby przeprowadziły rutynowe badania. Równocześnie, wzorując się na komputerowej sieci łączącej szpitale w Dallas, doktor Turner zaczął pracę z Einsteinami nad stworzeniem w pełni automatycznego systemu kontroli stanu zdrowia kolonistów.

Pewnego wieczora, w trzecim tygodniu po przybyciu statku Santa Maria, Eponine znów została w mieszkaniu sama. Kimberly Henderson prawie nigdy nie było w domu; gdy nie pracowała, bawiła się z Toshio Nakamurą i jego kumplami.

Usłyszała pisk wideofonu. Po chwili na ekranie pojawiła się twarz Malcolma Peabody.

- Eponine - powiedział Malcolm - chciałbym cię prosić o przysługę.

- Czy coś się stało?

- Pięć minut temu dzwonił do mnie doktor Turner. W wynikach moich badań, które roboty przeprowadziły w zeszłym tygodniu, są pewne "niejasności". On chce, żebym przyszedł do niego na badania.

Eponine cierpliwie czekała na dalszy ciąg. Malcolm milczał.

- Nie rozumiem - powiedziała po chwili. - Co mam zrobić?

Malcolm wziął głęboki oddech.

- To musi być coś poważnego, Eponine. Chce, żebym przyszedł do niego natychmiast...
Pójdiesz ze mną?

- Teraz? - zdziwiła się Eponine spoglądając na zegarek. - Jest już po jedenastej. Przypomniała sobie, to, co mówiła jej Kimberly: doktor Turner jest pracoholikiem i prowadzi niemal taki tryb życia jak bioty. Po chwili wyobraziła sobie jego przenikliwe, niebieskie oczy...

- Dobrze - powiedziała - będę za dziesięć minut na stacji.

Po zmroku Eponine prawie nigdy nie wychodziła z mieszkania; od czasu, gdy zaczęła pracować jako nauczycielka, wieczorami przygotowywała się do lekcji na następny dzień. Jedynie w zeszłą sobotę Kimberly, Toshio Nakamura i jego towarzysze zaprosili ją do nowej japońskiej restauracji. Ale jedzenie jej nie smakowało, Eponine źle rozmawiała się z Japończykami, a wielu z nich upiwszy się czyniło jej dość nieprzystojne propozycje. Kimberly nakrzyczała na nią za to, że "czepia się jak stara ciotka" i Eponine postanowiła, że nie będzie już uczestniczyć w nocnych zabawach.

Na stację przyszła przed Malcolmem. Czekając rozmyślała o tym, jak bardzo osiedle zmieniło się od czasu, gdy zamieszkali w nim ludzie. Pinta przyleciała trzy miesiące temu, a Nina pięć tygodni później. Sklepy są już wszędzie, zarówno przy stacji jak i na osiedlu. Jeżeli zostaniemy tutaj rok czy dwa, trudno będzie odróżnić naszą kolonię od jakiegokolwiek miasta na Ziemi...

Malcolm był zdenerwowany i mówił niemal bez przerwy.

- Jestem pewien, że to serce; od śmierci Waltera czasem czuję tutaj taki przeszywający ból. Najpierw myślałem, że to na tle psychicznym, ale potem...

- Nie przejmuj się - pocieszała go Eponine - założę się, że to nic poważnego.

Była już trzecia nad ranem, Eponine oczy zamykały się ze zmęczenia. Malcolm spał na sąsiedniej ławce. Co robi doktor Turner? - zastanawiała się Eponine, powiedział, że to nie potrwa długo...

Po przybyciu do szpitala doktor zbadał Malcolma skomputeryzowanym stetoskopem a potem powiedział, że "musi wykonać kilka dodatkowych badań" i zabrał go na inny oddział. Po godzinie Malcolm wrócił.

- Czy jest pani przyjaciółką pana Peabody?

Eponine zasnęła. Zerwała się z miejsca i spojrzała w przenikliwe, niebieskie oczy doktora. Turner wydawał się zmęczony i przygnębiony.

- Tak - odparła szeptem, nie chcąc obudzić Malcolma.

- On wkrótce umrze - powiedział doktor Turner. - Zostały mu niecałe dwa tygodnie życia.

Czy ja dobrze słyszę? - przeraziła się, czy Malcolm naprawdę umrze! Była zszokowana.

- Będzie potrzebował opieki i wsparcia - powiedział Turner. Zamilkł i spojrzał Eponine w oczy. Czy starał się przypomnieć sobie gdzie widział ją poprzednio? - Pomoże mu pani?

- Mam nadzieję, że... potrafię to zrobić - odparła.

Malcolm zaczął się wiercić przez sen.

- Musimy go obudzić - powiedział doktor.

Jego oczy nie wyrażały żadnych uczuć. Diagnozę, jednoznaczną z wyrokiem, postawił z pokerową twarzą. Kim ma rację, pomyślała Eponine, on jest automatem, tak jak roboty Tiasso...

Na jego prośbę Eponine towarzyszyła Malcolmowi w drodze do sali operacyjnej.

- Sprzęt, który zabraliśmy z Ziemi, wybrał ktoś inteligentny - rzekł Turner zwracając się do Malcolm. - Mamy niewielu lekarzy, ale wyposażenie naszego szpitala jest znakomite.

Podeszli do przezroczystego sześcianu o boku metrowej długości.

- To niezwykle urządzenie - rzekł doktor Turner - nazywamy je "projektorem organów wewnętrznych". Za jego pomocą z wielką precyzją można przyjrzeć się wszystkim organom ludzkiego ciała. To, co teraz widzimy w środku, to komputerowy obraz pańskiego serca sprzed dziewięćdziesięciu minut. Wtedy właśnie wprowadziłem do pańskich tętnic radioaktywny kontrast.

Doktor Turner wskazał na pomieszczenie, w którym przeprowadził badanie.

- Kiedy siedział pan na stole - ciągnął - ta maszyna z wielką soczewką badała pana milion razy w ciągu każdej sekundy. Dzięki temu powstał trójwymiarowy, niezwykle dokładny obraz pańskiego serca. To właśnie widzimy w środku.

Doktor zamilkł i odwrócił wzrok. Potem spojrzał Malcolmowi prosto w oczy.

- Nie chcę panu sprawić bólu tym, co mówię - powiedział cicho - chcę jednak, aby zrozumiał pan, skąd wiem, na co jest pan chory. Dzięki temu zrozumie pan, że nie ma mowy o pomyłce.

Oczy Malcolm wyrażały strach.

- Niech pan spojrzysz tutaj, w miejsce tuż za sercem, z tyłu. Widzi pan tę masę, która wygląda jak pajęczna sieć? To są mięśnie pańskiego serca, a właściwie to, co z nich zostało...

Malcolm bardzo długo patrzył w głąb sześcianu. Spuścił głowę.

- Czy to znaczy, że umrę? - spytał. Robert Turner wziął Malcolm za rękę.

- Tak, Malcolmie, umrzesz. Na Ziemi moglibyśmy podjąć się próby przeszczepu serca, ale tutaj jest to niemożliwe: nie mamy ani dawcy, ani sprzętu do takich operacji... Jeżeli chcesz, mogę otworzyć twoją klatkę piersiową i jeszcze raz zbadać serce, niejako z "pierwszej ręki". Niestety, jest mało prawdopodobne, abym zobaczył coś, co pozwoliłoby mi na zmianę diagnozy...

Malcolm potrząsnął głową, w jego oczach stały łzy. Eponine objęła go ramieniem i

rozplakała się.

- Przepraszam, że to wszystko tak długo trwało - powiedział Turner - ale w tak poważnej sprawie musiałem mieć absolutną pewność.

Po kilku minutach Malcolm i Eponine ruszyli do drzwi. Malcolm obrócił się i spojrzał na doktora.

- Co mam teraz robić? - spytał.

- Wszystko to, co sprawia panu przyjemność - odparł Turner.

Gdy odeszli, doktor Turner wrócił do swojego gabinetu. Na biurku leżały wydruki EKG Malcolma Peabody. Doktor był poważnie zaniepokojony. Był niemal pewien - choć stuprocentową pewność dałaby dopiero autopsja - że serce Peabody'ego uległo takim samym uszkodzeniom, jak serce Waltera Brackeena, który zmarł jeszcze na pokładzie statku Santa Maria. Mężczyźni przyjaźnili się od wielu lat, od czasu, gdy wspólnie odbywali karę w jednej z cel więzienia w Georgii. Prawdopodobieństwo, aby obaj przypadkowo cierpieli na tę samą chorobę serca było praktycznie równe zeru. A w takim razie czynnik, który ją wywoływał, przenosił się z jednego organizmu do drugiego.

Rober Turner potrząsnął głową. Choroba atakująca serce to bardzo poważna sprawa; czy możliwe, aby była zaraźliwa? Skutki takiego stanu rzeczy byłyby przerażające...

Turner był zmęczony. Sporządził listę odnośników do artykułów w medycznej bazie danych, dotyczących wirusów atakujących mięsień serca. Oparł głowę o biurko i zasnął.

Po piętnastu minutach zadzwonił telefon. Jeden z robotów Tiasso dzwonił z ambulatorium.

- Dwie Garcie znalazły w Lesie Sherwood ciało człowieka, zaraz tutaj będą. Z obrazu który został mi przekazany wnioskuję, że pańska obecność będzie niezbędna.

Doktor Turner ponownie założył fartuch. Do ambulatorium dotarł tuż przed robotami. Choć był doświadczonym lekarzem, widok zmasakrowanego ciała sprawił, że w pierwszej chwili odwrócił wzrok. Głowa mężczyzny była niemal całkowicie odcięta od tułowia, wisiała na kilku ścięgnach. Spodnie w okolicach genitaliów były pocięte nożem i zakrwawione.

Roboty Tiasso natychmiast zabrały się do pracy, zmyły krew i przygotowały ciało do autopsji. Doktor Turner usiadł w kącie na krześle i zabrał się do pisania pierwszego aktu zgonu w historii Nowego Edenu.

- Jak nazywał się ten człowiek? - spytał.

Jeden z robotów odszukał zakrwawiony identyfikator ISA.

- Danni - odparł robot. - Marcello Danni.

Epitalamium

1.

Pociąg z Posilano był przepelniony. Zatrzymał się na niewielkiej stacyjce przy Jeziorze Szekspira, w połowie drogi do Beauvois. Wsiadający z niego ludzie nieśli ze sobą koce, składane krzeselka i prowiant w koszykach. Młodsze dzieci pobiegły przez świeżo skoszoną łąkę nad jezioro. Śmiały się i krzyczały, zjeżdżając po łagodnym zboczu pagórka.

Dla tych którzy nie lubili siedzieć na trawie, zbudowano na przystani drewniane ławki. Na końcu pięćdziesięciometrowego molo znajdował się prostokątny taras z niewielką trybuną z mikrofonem i krzesłami. Tam właśnie, po pokazie ogni sztucznych, gubernator Watanabe miał wygłosić przemówienie z okazji rocznicy Dnia Zasiedlenia.

Rodziny Wakefieldów i Watanabów ustawiły stół, który przykryto biało-niebieskim obrusem. Znalazły się na nim najróżniejsze zakąski i napoje. Goście grali w różne gry, jedli, pili, śmiali się i prowadzili ożywione rozmowy. Pośród nich z wdziękiem poruszały się dwa Lincolny, roznoszące kanapki i drinki.

Było gorące popołudnie i był to już trzeci z kolei niezwykle upalny dzień. Ale gdy sztuczne słońce przesunęło się ku zachodowi, goście zgromadzeni nad brzegiem Jeziora Szekspira szybko zapomnieli o upale.

Ostatni pociąg przybył na kilka minut przed zmrokiem. Przyjechał z Miasta Środkowego, przywożąc kolonistów z Hakone i San Miguel. Spóźnialskich było niewielu, większość gości przybyła wcześniej, żeby zdążyć na piknik.

Jedną z pasażerek ostatniego pociągu była Eponine. Początkowo w ogóle nie chciała brać udziału w uroczystościach i dopiero w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

Zawahała się widząc, jak wielki tłum zgromadził się na trawie. Tutaj są prawie wszyscy mieszkańcy Nowego Edenu, pomyślała. Chyba nie powinnam była tu przyjeżdżać sama...

Ellie Wakefield i Benjy rzucali podkowami do celu. Ellie rozpoznała swoją nauczycielkę po czerwonej opasce na ręce.

- Mamo, tam jest Eponine - Ellie zwróciła się do Nicole - czy mogę ją do nas zaprosić?

- Oczywiście.

Muzyka ucichła i przez głośniki poinformowano, że za chwilę rozpocznie się pokaz sztucznych ogni. Ludzie zaczęli bić brawo.

- Eponine! - krzyknęła Ellie. - Jestem tutaj!

Eponine usłyszała, że ktoś ją woła, ale źle widziała w ciemnościach. Ruszyła w kierunku, z którego dochodził głos i niechcący wpadła na czyjeś dziecko.

- Kevin, nie podchodź do niej! - usłyszała za sobą krzyk matki.

Z ciemności wyłonił się jakiś olbrzymi mężczyzna i zabrał chłopca na ręce.

- Nie powinnaś tu przebywać - warknął do Eponine. - To nie miejsce dla takich jak ty.

Dziewczyna ruszyła dalej.

- Idź do domu, czterdzieści jeden - krzyknęła jakaś kobieta. Jej dziesięcioletni synek wskazywał palcem na Eponine i szeptał coś do swoich kolegów.

- Witaj - Ellie przywitała się ze swoją nauczycielką - może przyłączysz się do nas, żeby coś zjeść?

Eponine skinęła głową.

- Żal mi ich - powiedziała na tyle głośno, aby usłyszeli ją ludzie stojący dookoła. - Tak daleko posunięta ignorancja to po prostu wstyd...

Ellie zaprowadziła Eponine do dużego stołu i dokonała prezentacji.

- Słuchajcie wszyscy ci, którzy jej nie znacie: to jest moja nauczycielka, Eponine. Ona nie ma nazwiska, więc nie pytajcie, jak się nazywa...

W przeszłości Eponine i Nicole już kilkakrotnie ze sobą rozmawiały. Przywitały się, a jeden z Lincolnów podał Eponine wodę mineralną i kanapki. Nai Watanabe przyprowadziła swoje bliźnięta, Keplera i Galileusza, którzy przed tygodniem ukończyli dwa lata. Grupa kolonistów z Positano przyglądała się, jak Eponine bierze Keplera na ręce.

- Ładna - oznajmił lakonicznie Kepler, wskazując palcem jej twarz.

- To musi być dla pani bardzo trudne... - powiedziała Nicole po francusku wskazując wzrokiem na gapiów.

- Oui - odparła Eponine. Trudne? - pomyślała. To nie do wytrzymania! Nie tylko noszę w sobie chorobę, która mnie zabije, ale na dodatek na ręce muszę nosić czerwoną opaskę, żeby inni o tym wiedzieli i mieli prawo mnie unikać...

Max Puckett podniósł wzrok znak szachownicy i dostrzegł Eponine.

- Witaj - powiedział. - Domyślam się, że to ty jesteś tą nauczycielką, o której tyle słyszałem...

- To prawda, Max - odparła Ellie prowadząc Eponine w jego stronę. - On lubi flirtować, ale nieszkodliwie. Ten pan, który udaje, że nas nie widzi, to sędzia Piotr Myszkina... Panie sędzio, czy poprawnie wymówiłam pańskie nazwisko?

- Oczywiście, młoda damo - odparł Myszkina nie odrywając wzroku od szachownicy. - Puckett, do cholery, co ty właściwie chcesz zrobić tym skoczkiem? Grasz albo jak idiota, albo jak geniusz, a ja jak zwykle nie mogę się w tym połapać...

Sędzia w końcu podniósł do góry wzrok, dojrzał czerwoną opaskę na nadgarstku Eponine i

zerwał się na nogi.

- Tak mi przykro... Jest pani w trudnej, bardzo niemiłej sytuacji, a ja zmuszam panią do wysłuchiwania moich głupich uwag...

Na kilka minut przed pokazem ogni sztucznych na jeziorze pojawił się duży jacht, który zbliżył się do brzegu. Na jego pokładzie, oświetlonym przez kolorowe reflektory, stały piękne dziewczyny. Na burcie wymalowana była jego nazwa: Nakamura. Na pokładzie Eponine dostrzegła Kimberly Henderson w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Był to sam Toshio Nakamura.

Ludzie na pokładzie machali do zgromadzonych na brzegu.

- Mamo, popatrz, tam na pokładzie jest Katie! - zawołał z podnieceniem Patrick Wakefield.

Nicole włożyła okulary. Na jachcie rzeczywiście stała Katie, ubrana w kostium bikini, i machała do ludzi na brzegu.

- Tego mi tylko było trzeba... - mruknęła Nicole. Na niebie rozbłysły pierwsze petardy, rozpryskując się na tysiące kolorowych, świecących punkcików.

- Dziś mijają trzy lata od dnia, gdy pierwsi pasażerowie Pinty przybyli do nowego świata. Nie wiedzieliśmy, co nas tutaj spotka. Zastanawialiśmy się - zwłaszcza w czasie tych dwóch miesięcy, kiedy codziennie przez osiem godzin przebywaliśmy w somnarium - czy w Nowym Edenie będziemy w stanie żyć tak, jak na Ziemi.

- Zanim zaczęły się nasze seanse w somnarium, kiedy jeszcze wciąż znajdowaliśmy się w Układzie Słonecznym, wielu z nas sądziło, że okres "obserwacji" na pokładzie ramańskiego statku wkrótce dobiegnie końca i zamieszkamy w kolonii na Marsie. Tymczasem w chwili gdy do was mówię, wiemy już, że statek na którego pokładzie się znajdujemy, od ponad dwóch lat oddala się od naszego Słońca z szybkością równą połowie szybkości światła. Jeżeli w ogóle powrócimy jeszcze kiedyś do Układu Słonecznego, nastąpi to nie wcześniej niż za kilka, a może nawet kilkanaście lat.

- To właśnie jest głównym tematem mojego przemówienia z okazji rocznicy Dnia Zasiedlenia. Przyjaciele: musimy sami przejąć odpowiedzialność za nasz los. Nie możemy liczyć na to, że od błędów uchronią nas istoty, które zbudowały ten gigantyczny statek. Musimy żyć tak, jakbyśmy my i nasze dzieci mieli tu spędzić całe życie. To, czy nam i przyszłym pokoleniom będzie się żyło dostatnio, zależy tylko od nas samych.

- W chwili obecnej stoją przed nami liczne wyzwania. Zwróćcie uwagę, że mówię o "wyzwaniach", nie o problemach. Działając razem możemy im sprostać. Jeżeli rozważymy długofalowe konsekwencje naszych działań, bez trudu przekonamy się, które z nich dadzą najlepsze skutki; ale jeżeli wspólne dobro nie będzie naszym celem, przyszłość Nowego Edenu

może stać pod znakiem zapytania...

- Pozwólcie, że posłużę się przykładem: Richard Wakefield tłumaczył nam wielokrotnie, że system sprawujący kontrolę nad zmianami pogody jest automatycznie sterowany przez urządzenie badające skład atmosfery. Jednym z założeń, jakimi kierowano się przy projektowaniu tego systemu, jest pewien nieprzekraczalny poziom dwutlenku węgla i pyłu zawieszonego. Nie znamy zasad jakimi komputery kierują się sterując pogodą i dlatego nie możemy przewidzieć długofalowych skutków klimatycznych, jakie przyniesie przekroczenie dopuszczalnego poziomu dwutlenku węgla i pyłu.

- Nie mam zamiaru wygłaszać naukowego wykładu o czymś, co jest sprawą niezwykle złożoną i skomplikowaną. Chciałbym natomiast powiedzieć kilka słów o polityce. Większość naszych naukowców jest zdania, że zmiany pogody, jakie obserwujemy od czterech miesięcy, są spowodowane niezwykle wysokim stężeniem dwutlenku węgla i pyłu. Mój rząd zaproponował, aby zając się tą sprawą i przedstawił kilka projektów takiego postępowania. Niestety, wszystkie z nich zostały odrzucone przez Senat.

- Spytaście mnie: dlaczego? Ponieważ proponowaliśmy zakaz palenia w kominkach, które są zupełnie zbędne. Uznano to za "ograniczanie swobód obywatelskich". Inne rozwiązanie, polegające na ponownym uruchomieniu części sieci wymienników gazu, aby zrekompensować utratę części drzewostanu Lasu Sherwood i terenów zielonych na północy, również zostało odrzucone. Jaka była tego przyczyna? Opozycja uznała, że wymienniki gazu będą zużywać zbyt dużo energii elektrycznej, co spowoduje konieczność jej oszczędzania.

- Panie i panowie, nie wolno chować głowy w piasek, te problemy same nie znikną. Za każdym razem, gdy odkładamy ich rozwiązanie, sprawiamy, że w przyszłości będziemy mieli jeszcze więcej kłopotów. Nie mogę uwierzyć, że tak wielu ludzi sądzi, że uda nam się "złamać" algorytm pogody i sprawić, aby działał poprawnie także w obecnych warunkach.

Nicole i Nai z uwagą słuchały przemówienia Kenjiego. Wielu z jego zwolenników chciało, aby wystąpienie było wesołe i nie było w nim mowy o sprawach trudnych i nieprzyjemnych. Ale gubernator nie dał się przekonać.

- Obawiam się, że nikt go nie słucha... - szepnęła Nai do Nicole. - To przypomina nudny wykład...

Goście zaczęli się niecierpliwić, jacht Nakamury odpłynął prawie natychmiast po tym, jak gubernator Watanabe wszedł na mównicę.

Kenji zmienił temat i zaczął mówić o wirusie RV-41. Był to temat wzbudzający wśród kolonistów liczne kontrowersje, więc zebrani znów zaczęli słuchać. Gubernator wyjaśnił, że lekarzom Nowego Edenu oraz ordynatorowi doktorowi Robertowi Turnerowi pomimo wielu

wysiłeków nie udało się dotychczas opracować szczepionki chroniącej przed wirusem. Dodał, że histeria, jaką wywołało pojawienie się wirusa, jest całkowicie nieuzasadniona, a dekret, który przyjęto pomimo jego weta, nakazujący nosicielom RV-41 noszenie czerwonych opasek, jest hańbą.

Skośnoocy pikietrzy zgromadzeni pod trybuną zaczęli tupać i gwizdać.

- ...ci biedni, nieszczęśni ludzie, mają dość powodów do cierpień i nie zasługują na...

- To kurwy i pedały! - krzyknął jakiś mężczyzna. Ludzie roześmieli się i zaczęli bić brawo.

- ...Doktor Turner wielokrotnie powtarzał, że wirusem można zarazić się jedynie drogą płciową lub poprzez transfuzję krwi...

Tłum stawał się coraz bardziej niespokojny. Nicole miała nadzieję, że Kenji skróci swoje przemówienie. Wiedziała, że zamierzał jeszcze mówić o ryzykownych i bezsensownych badaniach Ramy prowadzonych poza granicami Nowego Edenu.

Gubernator Watanabe nachylił się nad mikrofonem i głośno gwizdnął. Na chwilę udało mu się odzyskać uwagę słuchaczy.

- Chciałem jeszcze powiedzieć kilka słów, które nie powinny nikogo obrazić...

- Jak wiecie, mamy z żoną bliźnięta. Wy także macie dzieci i chciałbym, abyście o nich teraz pomyśleli i wyobrazili sobie kolejną rocznicę Dnia Zasiedlenia, może za sto, a może za tysiąc lat. Wyobraźcie sobie, że stajecie twarzą w twarz z własnymi prawnukami: czy będziecie im mogli powiedzieć, że zrobiliście wszystko, aby w świecie który dla nich stworzyliście, mogli być szczęśliwi?

Patrick był zachwycony; Max Puckett zaprosił go na swoją farmę.

- Drugi semestr zaczyna się dopiero w środę - powiedział do matki. - Czy mogę u niego przenocować?

Nicole była poruszona reakcją tłumu na przemówienie Kenjiego i Patrick musiał powtórzyć swoją prośbę.

- Czy zaopiekuje się pan moim synem? - Nicole spytała Maxa.

Max Puckett uśmiechnął się i skinął głową. Razem z Patrickiem zaczęli, aż bioty posprzątają śmieci po pikniku, po czym ruszyli w kierunku stacji. W pół godziny później siedzieli na ławce czekając na bezpośredni pociąg, kursujący dość rzadko do okręgu rolniczego. Po drugiej stronie peronu koledzy z college'u Patricka zajmowali miejsca w pociągu do Hakone.

- Może pojedziesz z nami? - krzyknął w jego stronę jakiś młody człowiek. - Bezpłatne drinki przez całą noc!

Max spojrzał na Patricka.

- Byłeś kiedyś w Vegas? - spytał.

- Nie, proszę pana, ale moja mama i wujek...

- Chciałbyś tam pojechać?

Patrick zawahał się i to Maxowi wystarczyło. Po chwili siedzieli już w pociągu do Hakone.

- Mnie to miejsce się nie podoba - mówił Max - ale warto je zobaczyć. Kiedy jesteś sam, można się tam trochę rozerwać...

Przed dwoma laty Rama osiągnął znaczną szybkość, a Toshio Nakamura doszedł do wniosku, że koloniści pozostaną na jego pokładzie przez dłuższy czas. Jeszcze zanim odbyło się pierwsze posiedzenie tymczasowego rządu, na którym funkcję gubernatora powierzono Nicole des Jardins, Nakamura postanowił za wszelką cenę stać się najbogatszym i najbardziej wpływowym mieszkańcem kolonii. Jeszcze na pokładzie więziennego statku Santa Maria podporządkował sobie większość jego pasażerów, stwarzając podwaliny imperium, które rozkwitło, gdy w kolonii założono pierwsze banki.

Nakamura był przekonany, że najlepsze interesy robi się na dostarczaniu ludziom rozrywek. Jego pierwszym przedsięwzięciem było kasyno, które odniosło ogromny sukces. Potem kupił ziemię na wschód od Hakone, aby wybudować tam hotel z drugim, większym kasynem. Znalazł się tam także "klub" z gejszami oraz drugi "klub", w którym hostessy były bardziej wyzywające. Przedsięwzięcia te przynosiły duże zyski i, gdy Kenji Watanabe przejął obowiązki gubernatora, Nakamura mógł sobie pozwolić na odkupienie od rządu jednej piątej Lasu Sherwood. Dzięki tej transakcji senat zrezygnował z wprowadzenia wyższych podatków, a te były niezbędne do prowadzenia badań nad wirusem RV-41.

Część drzew została wycięta i powstał tam pałac Nakamury, jeszcze jeden hotel z kasynem oraz teatr, kompleks restauracji i kilka klubów. Monopolizując przemysł rozrywkowy, był w stanie wyrzucić presję na senacie, który przegłosował uchwałę zakazującą działalności kasyn poza rejonem Hakone. Wykorzystując swoich ludzi skutecznie przekonał kolonistów, że oprócz "króla Japońca" nikt inny nie powinien zajmować się dostarczaniem rozrywek.

Gdy jego pozycji nie można już było podważyć, Nakamura zezwolił swoim ludziom na prowadzenie domów publicznych i sprzedaż narkotyków, które w Nowym Edenie nie zostały zdelegalizowane. Pod koniec rządów Kenjiego Watanabe coraz częściej dochodziło do spięć z gubernatorem i Nakamura doszedł do wniosku, że przydałaby mu się także kontrola nad rządem. Ale sam nie zamierzał zajmować się rzeczą tak nudną, jak administracja. Jego wybór padł na Macmillana, byłego dowódcę Pinty, nieudacznika, który z kretesem przegrał pierwsze wybory. W zamian za lojalność i całkowite posłuszeństwo Nakamura zaproponował Szkotowi stanowisko gubernatora.

W całej kolonii nie było drugiego miejsca podobnego do Vegas. Architektura Nowego

Edenu autorstwa Wakefieldów była wzorem oszczędności i funkcjonalności. Pełne bogactwa i przepychu Vegas było mieszanką najróżniejszych stylów. Ale naprawdę warto je było zobaczyć; tak przynajmniej uważał młody Patrick O'Toole, kiedy po raz pierwszy znalazł się tam w towarzystwie Maxa Pucketta.

- O rany - szepnął Patrick podziwiając kolorowe, migające światła.

- Nie chciałbym ci psuć zabawy, chłopie - rzekł Max zapalając papierosa - ale świetna reklama, którą przed chwilą widzieliśmy, pochłania tyle energii co kilometr kwadratowy GED-ów.

- Mówisz zupełnie tak jak mama i wujek - odparł Patrick.

Przed wejściem do kasyna lub któregoś z klubów należało się zarejestrować. Tym sposobem Nakamura wyłapywał swoich dłużników. Był wobec nich bezlitosny. Posiadał bazę danych z informacjami o wszystkim, co jego goście robili podczas swoich pobytów w kasynie. Dzięki temu wiedział, które usługi należy rozwijać, a co ważniejsze, poznawał indywidualne upodobania swoich gości.

Max i Patrick weszli do kasyna. Stanęli przy jednym ze stołów. Max usiłował wytłumaczyć młodemu człowiekowi zasady gry. Było to o tyle trudne, że Patrick bez przerwy wpatrywał się w kelnerkę w kusej spódniczce.

- Przeleciałeś już jakąś cizię? - Max.

- Proszę? - spytał Patrick.

- Czy odbyłeś kiedyś z kobietą... jak to się, do cholery, nazywa... stosunek płciowy?

- Nie, proszę pana.

Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał Maxowi, że wprowadzanie tego młodego człowieka w świat uciech cielesnych nie należy do jego obowiązków i przypomniał mu, że znajduje się w Nowym Edenie, a nie w Arkansas. Teksańczyk postanowił zrezygnować z zaproszenia Patricka do domu publicznego Xandu.

W kasynie było z pewnością ponad sto osób, wszyscy dobrze się bawili. Kelnerki roznosiły bezpłatne drinki. Max złapał w locie kieliszek z margeritą i podał ją Patrickowi.

- Nie widzę tu żadnych biotów - zauważył Patrick.

- W kasynie ich nie ma - odparł Max. - Nawet przy stołach, gdzie obsługiwałyby goście o wiele sprawniej niż kelnerki. Japoniec uważa, że ich obecność osłabia w ludziach wolę gry. Ale za to używa biotów w restauracjach...

- Max Puckett, o ile się nie mylę?

Max i Patrick obejrzeni się. Zbliżała się do nich piękna młoda kobieta.

- Nie widziałam cię od kilku miesięcy... - powiedziała.

- Witaj, Samantha - rzekł Max pod krótkim wahaniem.

- Kim jest ten przystojny młody człowiek? - spytała Samantha, uwodzicielsko spoglądając spod długich rzęs na Patricka.

- To Patrick O'Toole - odparł Max. - Przyszliśmy tutaj, bo...

- O Boże! - wykrzyknęła Samantha - nigdy nie spotkałam prawdziwego kolonisty! - Zamilkła i przez kilka długich sekund wpatrywała się w chłopca. - Drogi panie O'Toole - odezwała się po chwili - czy to prawda, że spał pan przez wiele lat?

Patrick nieśmiało skinął głową.

- Moja przyjaciółka Goldie mówi, że to wszystko kłamstwa, że pan i pańska rodzina jesteście tylko agentami ISA. Nie wierzy nawet, że opuściliśmy orbitę Marsa... Goldie mówi, że ta historia z "trumnami" to też kłamstwo...

- Zapewniam panią - grzecznie odparł Patrick - że naprawdę spaliśmy przez wiele lat. Kiedy rodzice ułożyli mnie w somnarium miałem zaledwie sześć lat, a kiedy się obudziłem, wyglądałem tak jak teraz.

- To fascynujące - powiedziała dziewczyna przeciągając literę "s". - Max, na co czekasz, dlaczego mnie nie przedstawiasz?

- Przepraszam... Oto panna Samantha Porter z Mississippi. Pracuje w Xandu...

- Jestem prostytutką, panie O'Toole. I to jedną z najlepszych... Czy w swoim życiu spotkał pan już jakąś prostytutkę?

Patrick poczerwieniał.

- Nie, proszę pani.

Samantha dość bezceremonialnie złapała go za brodę.

- On jest śliczny - zwróciła się do Maxa. - Przyprowadź go do mnie. Jeżeli jest prawiczkim, zrobię to za darmo...

Pocałowała Patricka w usta, obróciła się na pięcie i odeszła.

Po odejściu Samanthy Max nie potrafił zebrać myśli. Zastanowił się, czy należy Patricka przeprosić, ale doszedł do wniosku, że nie jest to konieczne. Objął go ramieniem i ruszyli w głąb kasyna.

- Uwaga, uwaga! - krzyczała jakaś dziewczyna - teraz będzie piątka i szóstka!

Patrick spojrział na Maxa ze zdumieniem.

- To przecież Katie! - powiedział i ruszył w jej stronę.

Katie była całkowicie pochłonięta grą. Zaciągnęła się papierosem, jednym haustem wypila alkohol podany przez jej ciemnowłosego towarzysza, po czym uniosła kości wysoko nad głowę.

- Stawiam wszystko, dwadzieścia sześć i pięć, na ósemkę... A teraz, niechaj się stanie: czterdzieści i cztery! - wykrzyknęła, rzucając kości na stół.

- Czterdzieści cztery! - wykrzyknęli ludzie ze zdumieniem. Katie zaczęła skakać z radości, rzuciła się na szyję swojemu towarzyszowi, wypila kolejnego drinka i znów zaciągnęła się papierosem.

- Katie! - zawołał Patrick w chwili, gdy dziewczyna znów zamierzała rzucić kości.

Katie zastygła w bezruchu, po czym obejrzała się za siebie.

- Niech ja skonam - powiedziała - to braciszek-niemowlaczek!

Ruszyła w jego stronę, o mało co nie przewracając się na ziemię. Krupierzy i inni gracze prosili, żeby wróciła do gry.

- Jesteś pijana - szepnął Patrick obejmując ją ramieniem.

- Nie, braciszku - odparła Katie odpychając go - ja latam. Mam własną rakietę i lecę do gwiazd...

Wróciła do stołu i podniosła kości do góry.

- W porządku - zawołała - teraz dopiero zobaczycie, co potrafię...

2.

Sny powróciły nad ranem. Po przebudzeniu Nicole starała się odtworzyć ostatni, ale nie mogła. Pamiętała tylko, że w jednym z nich widziała twarz Omeha. Pradziadek z plemienia Senoufo ostrzegał ją przed czymś, ale Nicole nie zrozumiała jego słów. W innym śnie Richard zanurzał się w spokojnym oceanie, a po chwili do brzegu mknęła bardzo wysoka, śmiertelna fala...

Nicole przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Dochodziła czwarta. Któryś raz z rzędu budzę się o tej porze, pomyślała. Co to może znaczyć? Wstała i poszła do łazienki.

Włożyła dres, wypła szklankę wody. Stojący bezczynnie Abraham Lincoln, oparty o kuchenną ścianę, włączył się automatycznie:

- Dzień dobry, pani Wakefield. Czy zechciałaby pani napić się kawy? - spytał zabierając od niej pustą szklankę.

- Nie, Linc. Pójdę na spacer. Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedz że wrócę przez szóstą.

Wychodząc z domu Nicole minęła pracownię Richarda. Na biurku, na podłodze, a nawet na nowym komputerze, leżały sterty papierów. Nowy komputer był powodem szczególnej dumy Richarda, była to wyłącznie jego własna konstrukcja. Nicole namówiła go na zbudowanie własnego, choć standardowy, podręczny komputer ISA był jego ulubioną zabawką i Richard nigdy się z nim nie rozstawał.

Kartki wypełnione były pismem Richarda, ale Nicole nie znała symboli tego języka programowania. Pracuje nad tym od wielu dni, pomyślała z poczuciem winy, choć ma świadomość, że nie postępuje słusznie...

Gdy po raz pierwszy zaproponowano mu udział w rozszyfrowaniu algorytmu sterującego pogodą, Richard odmówił. Nicole starała się go przekonać.

- Zgodziliśmy się na demokrację - mówiła - i jeżeli postąpimy wbrew prawu, będzie to zły przykład dla innych...

- Prawo nic nie mówi na ten temat - odparł Richard. - To tylko uchwała. Dobrze wiesz, że to idiotyczny pomysł. Przecież razem z Kenjim usiłowaliśmy się temu przeciwstawić... Poza tym czy to nie ty zawsze powtarzasz, że mamy obowiązek walczyć z ludzką głupotą?

- Ależ Richardzie, wiesz przecież, że tłumaczenie ludziom, iż uchwała jest idiotyczna, nic nie zmieni. Sprawa algorytmu stała się częścią kampanii wyborczej. Koloniści wiedzą, że przyjaźnimy się z Watanabami; gdybyś zignorował uchwałę, wyszłoby na to, że Kenji z premedytacją oszukał ludzi...

Myśląc o wielogodzinnych rozmowach z Richardem Nicole rozglądała się po jego pracowni. Nad biurkiem stały trzy niewielkie figurki. Książę Hali, Falstaffi TB, pomyślała, kiedy to było, kiedy Richard bawił się wami po raz ostatni...

Pomyślała o długich, monotonnych tygodniach które nastąpiły po wieloletnim śnie. Przed przybyciem kolonistów roboty Richarda były głównym źródłem rozrywki, szczególnie często bawiły się nimi dzieci. Było nam wtedy dobrze, nie mieliśmy kłopotów, myślała Nicole. Zamknęła drzwi i ruszyła korytarzem. Potem sprawy skomplikowały się tak, że nie było już czasu na rozrywkę. Twoi mali przyjaciele stoją w milczeniu na półce...

Znalazła się przed domem i z wahaniem spojrzała na swój rower. Zawróciła i ruszyła do ogrodu. W minutę później skręciła w drogę prowadzącą do podnóża Olimpu.

Szła szybkim krokiem, była pogrążona w myślach i nie zwracała uwagi na to, co działo się wokół niej. Myślała o piętrzących się problemach, o swoich dziwnych snach i o tym, że boi się o przyszłość swoich dzieci, a zwłaszcza o Katie.

Doszła do rozwidlenia; niewielki znak informował, że dróżka w lewo prowadzi do stacji kolejki, którą można wjechać na szczyt Olimpu. Elektroniczne czujniki wykryły obecność Nicole i Garcia ruszyła w jej stronę.

- Nie, dziękuję! - krzyknęła Nicole - pójde pieszko.

Im była wyżej, tym widok stawał się wspanialszy. Zatrzymała się przy jednym z tarasów widokowych, pięćset metrów nad osiedlem. Od domu dzieliły ją trzy kilometry. Spojrzała na panoramę Nowego Edenu. Noc była jasna, na niebie nie było ani jednej chmurki, powietrze było gorące i suche.

Znowu nie będzie deszczu, pomyślała. W dni, w które miał padać deszcz, poranki zawsze były wilgotne. U stóp góry znajdowało się osiedle Beauvois. Światła z pobliskiej fabryki pozwalały dostrzec znajome budynki. Północne osiedle San Miguel schowane było za wzniesieniem. Po przeciwnej stronie, na drugim końcu Miasta Środkowego, Nicole widziała migające kolorowe światła Vegas.

Od razu popsuł jej się humor. Te przeklęte lokale są czynne całą noc, pomyślała. Nie dość, że zużywają tak dużo energii, to jeszcze dostarczają nieprzyzwoitych rozrywek...

Patrząc na Vegas nie mogła nie pomyśleć o Katie. Dziewczyna ma tak wiele uzdolnień i wszystkie marnuje... Zastanawiała się, czy jej córka już śpi, czy jeszcze bawi się w świecie kolorowych światełek.

Często rozmawiała o niej z Richardem. Właściwie tylko dwa tematy wywoływały kłótnie: Katie i polityka Nowego Edenu. Choć w zasadzie nie chodziło o politykę; Richard był przekonany, że wszyscy politycy, z wyjątkiem Nicole i może Kenjiego, byli ludźmi pozbawionymi wszelkich

zasad. "Dyskusje" z nim polegały na wysłuchiwaniu jego długich przemówień o idiotyzmie senatorów, niekompetencji urzędników (dotyczyło to także podwładnych Nicole). Następnie oświadczał, że nie zamierza więcej o tym rozmawiać.

Co innego Katie; Richard zawsze uważał, że Nicole jest zbyt wymagająca. On wini także mnie, myślała Nicole patrząc na migające światła, za to, że nie poświęciłam jej dość czasu. Potępia to, że zajęłam się polityką i zostawiłam dzieci same, wtedy gdy najbardziej mnie potrzebowały...

Katie przestała wracać do domu na noc. W domu Wakefieldów wciąż miała własny pokój, ale całymi dniami bawiła się w pełnych przepychu apartamentach Nakamury w Vegas.

- Skąd masz pieniądze na czynsz? - zapytała ją kiedyś Nicole.

- A jak myślisz? - odparła zaczepnie Katie. - Zarabiam. Mam dużo wolnego czasu, na uniwersytecie mam tylko kilka wykładów tygodniowo.

- Ale jak pracujesz, co to za praca?

- Jestem hostessą, dziewczyną do towarzystwa... Robię to, co akurat jest potrzebne - odparła wymijająco.

Nicole odwróciła wzrok od mrugających świateł. To oczywiste, że Katie czuje się zagubiona, pomyślała. Zabrakło okresu dojrzewania... I nie wygląda na to, żeby jej stan ię poprawiał...

Ruszyła szybkim krokiem, jak gdyby chciała uciec przed ogarniającym ją przygnębieniem.

Pasma drzew ciągnęło się w górę jeszcze przez pół kilometra. Ścieżka biegła teraz pomiędzy górą a ścianą odgradzającą Nowy Eden od pozostałych części Ramy. Było tutaj dość ciemno i jedynym jaśniejszym miejscem był taras z widokiem na pomoc.

Nicole dotarła do szczytu. Zatrzymała się i spojrzała w dół na San Miguel. Oto dowód, pomyślała ze smutkiem, że nowy Eden poniósł porażkę. Nawet w raju jest miejsce na ubóstwo i biedę...

Jeszcze podczas swojej kadencji widziała narastające problemy. Proces, który sprawił, że standard życia w San Miguel był o połowę niższy niż na innych osiedlach, rozpoczął się wkrótce po przybyciu Pinty. Pierwsza grupa kolonistów osiedliła się w południowo-wschodniej wiosce, nazwanej później Beauvois. Podział społeczności na dwie kategorie nastąpił dopiero po przybyciu Niny. Prawie wszyscy koloniści ze wschodu postanowili mieszkać w Hakone, a Europejczycy, Amerykanie i mieszkańcy Azji Środkowej wybrali Posilano i domy w Beauvois. Meksykanie, Hiszpanie, czarni Amerykanie i Afrykańczycy zamieszkali w San Miguel.

Jako gubernator, Nicole usiłowała wprowadzić w życie utopijny plan; segregację miał znieść dekret stanowiący, że w każdej z wiosek proporcje pomiędzy narodowościami muszą być takie same. Niewykluczone, że wcześniej propozycja taka zostałaby zaakceptowana, zwłaszcza tuż

po opuszczeniu somnarium, kiedy do Nicole odnoszono się z wielkim szacunkiem. Ale od tamtego czasu minął rok. Wolny rynek przyczynił się do różnic w dochodach obywateli i wolnorynkowej wartości ich nieruchomości. Nawet najbardziej lojalni zwolennicy Nicole zdawali sobie sprawę, że ten plan jest nierealny.

Gdy jej kadencja dobiegła końca, senat, na prośbę Kenjiego Watanabe, powołał ją na stanowisko jednego z pięciu niezawisłych sędziów. Jej popularność znacznie spadła, gdy mieszkańcy dowiedzieli się o przesiedleniach, których ostatecznie zaniechano. Krytycy Nicole byli zdania, że chęć "stworzenia małych, różnorodnych kulturowo środowisk" świadczyła o jej naiwności.

Odpoczywała po wyczerpującej wspinaczce patrząc na mrugające światła San Miguel. Już miała odwrócić głowę w kierunku Beauvois, lecz przypomniała sobie inne migoczące światła w Davos, w Szwajcarii. Były to ostatnie dni zimowych wakacji spędzonych razem z Genevieve...

Zjadły kolację w restauracji położonej na jednej z gór otaczających Davos, potem trzymając się za ręce wyszły na taras. Światelka domów położonych wiele kilometrów pod nimi migotały niczym tysiące klejnotów.

Do oczu Nicole napłynęły łzy, pomyślała o swojej utraconej córeczce. Dziękuję ci, Kenji, szepnęła, za to, że opowiedziałeś mi o swojej wizycie u Genevieve i pokazałeś mi jej fotografie...

Nicole znów znalazła się w półmroku, zewnętrzną ścianę kolonii miała teraz po lewej ręce. Musimy być odważni, bronić najwyższych wartości... myślała. Ale w głębi serca obawiała się, że najgorsze dopiero przed nimi. Nie tylko Richard, ale nawet nasze dzieci uważane są za outsiderów, i to pomimo naszych wysiłków aby zmienić ten stan rzeczy, wątpię, czy uda nam się cokolwiek zrobić...

Richard jeszcze raz sprawdził, czy Einsteiny poprawnie zapamiętały wyświetlony na monitorach kod programu. Nicole pocałowała go na pożegnanie.

- Nie wiem czy wiesz, że jesteś wspaniałym mężczyzną - powiedziała.

- Niestety tylko ty tak myślisz... - odparł Richard siłąc się na uśmiech.

- To dlatego, że tylko ja o tym wiem... - uśmiechnęła się Nicole. - Mówiąc poważnie, kochanie, naprawdę doceniam to, co robisz. Wiem, że...

- Myślę, że nie wrócę bardzo późno - przerwał jej Richard. - Jeżeli dzisiaj nam się nie uda, przerywam pracę.

W towarzystwie trzech Einsteinów ruszył do stacji Beauvois. Już po chwili zajęli miejsca w pociągu do Positano.

Pociąg zatrzymał się w Parku Szekspira tam, gdzie przed dwoma miesiącami odbył się

uroczysty piknik z okazji Dnia Zasiedlenia. Richard wraz z trójką biotów ruszył w kierunku osiedla w południcwo-zachodniej części kolonii. W wartowni czuwały dwa bioty i człowiek. Przepuszczono ich do wnętrza pierścienia okalającego Nowy Eden i po drugiej kontroli stanęli przed grodzią osadzoną w otworze wyciętym w zewnętrznej ścianie modułu. Śluza się otworzyła i Richard wraz z trzema pomocnikami znalazł się we wnętrzu Ramy.

Miał wątpliwości, czy uchwała senatu sprzed ośmiu miesięcy, nakazująca zbadanie warunków klimatycznych poza ziemskim modułem, jest słuszna. Jego zadanie polegało na skonstruowaniu sondy. Jako członek komitetu powołanego do jej zbudowania Richard obawiał się, że sonda może nie sprostać warunkom panującym wewnątrz i - jeżeli za murem znajdują się jakieś drapieżne istoty - jej wysłanie może zagrozić bezpieczeństwu samej kolonii. Wiele czasu i pieniędzy kosztowało utrzymanie hermetyczności modułu mieszkalnego, zwłaszcza wtedy, gdy sonda wykuwała w murze otwór, aby przedostać się na drugą stronę.

Richard stracił wiarygodność w oczach mieszkańców kolonii, kiedy okazało się, że warunki panujące na zewnątrz nie różnią się diametralnie od warunków wewnątrz Nowego Edenu. Po drugiej stronie muru panowały wprawdzie ciemności, ale skoki temperatury i ciśnienia były niewielkie, to samo dotyczyło składu atmosfery. Wahania te były tak nieznaczne, że ludzie mogli się obyć bez skafandrów i aparatów tlenowych. W dwa tygodnie później koloniści sporządzili dokładną mapę tej części Równiny Środkowej, do której mieli dostęp.

Obiekt o czworokątnej konstrukcji, podobny do Nowego Edenu, Richard i Nicole uznali za moduł mieszkalny należący do jakiegoś innego gatunku. Obydwa moduły zamknięto w większych prostopadłościanach, których metaliczne ściany nie pozwalały na dotarcie do innych części Ramy. Przegrody na południu i pomocy stanowiły przedłużenie ścian modułów mieszkalnych, ale wschodnie i zachodnie płaszczyzny dzieliły od metalicznej powierzchni co najmniej dwa kilometry. W czterech rogach zewnętrznego "prostopadłościanu" umieszczono olbrzymie, cylindryczne konstrukcje. Richard i inni naukowcy byli zdania, że tam właśnie mieszczą się gigantyczne pompy odpowiedzialne za zmiany pogody.

"Prostopadłościan" nie miał sufitu, patrząc w górę widziało się przeciwległą ścianę Ramy. Pomiędzy dwoma modułami mieszkalnymi, dwa kilometry na południe od modułu ziemskiego, na Równinie Środkowej stała duża, metalowa "chatka", kształtem przypominająca igloo. Był to ośrodek zawiadujący głównymi podzespołami Nowego Edenu.

Opuściwszy moduł mieszkalny Richard wraz z trzema Einsteinami udał się do chatki, gdzie od ponad dwóch tygodni pracowano nad złamaniem kodu programu sterującego pogodą. Pomimo obiekcji Kenjiego Watanabe senat już wcześniej wyznaczył fundusze na wynagrodzenia dla "najlepszych i najzdolniejszych inżynierów", którzy mieli się tym zająć. Fundusze zgromadzono,

gdy grupa japońskich uczonych oświadczyła, że zmiana algorytmu sterującego pogodą jest możliwa. Pozwoliłoby to na utrzymanie stałej temperatury w Nowym Edenie, pomimo podwyższonego stężenia pyłu i dwutlenku węgla.

Dla polityków była to bardzo obiecująca konkluzja. A gdyby okazało się, że zbyt ciężkie jest wprowadzanie zakazu palenia drewna oraz odtworzenie sieci GED-ów?... Może wystarczyłaby zmiana kilku parametrów w algorytmie?

Richard czuł pogardę do ludzi myślących w ten sposób; dopiero po licznych próbach przeprowadzonych przez innych inżynierów - niezmiennie kończących się niepowodzeniem - i po wielu prośbach Nicole, postanowił zająć się tą sprawą. Postawił jednak warunek: będzie pracował samodzielnie, pomagać mu będą wyłącznie jego osobiste bioty.

Była to ostatnia próba rozszyfrowania algorytmu. Richard wstąpił do wysokiego gmachu, położonego o kilometr od granicy kolonii. Przy ogromnym stole, w świetle reflektorów, pracowała grupa architektów i inżynierów.

- Budowa kanału nie powinna nastęrczać trudności. Gleba jest bardzo miękka.

- A co zrobimy ze ściekami? Zbudujemy zbiorniki, czy odprowadzimy je z powrotem do Nowego Edenu?

- Pobór mocy będzie bardzo wysoki. Nie mówię o samym oświetleniu, nie zapominajmy, że na zewnątrz panują egipskie ciemności, ale wiele energii pochłonie praca najróżniejszych urządzeń. Poza tym będziemy na tyle daleko od Nowego Edenu, że straty na liniach przesyłowych są nieuniknione... Niestety, nie możemy użyć nadprzewodników...

Richard przysłuchiwał się tej rozmowie czując, jak wzbiera w nim gniew. Architekci i inżynierowie opracowywali szczegółowe plany osiedla, które miało powstać poza obszarem Nowego Edenu. Chciano tam umieścić nosicieli wirusa RV-41. Operacja "Avalon", stanowiła kompromis zawarty pomiędzy gubernatorem Watanabe a opozycją. Kenji przydzielił stosowne fundusze na badania chcąc dowieść, że jest otwarty na "różne rozwiązania" problemu nosicieli.

Richard wraz z biotami ruszył dalej na południe, w kierunku śluzy. Przy ośrodku kontrolnym natknął się na grupę ludzi i biotów dźwigających jakiś sprzęt w stronę drugiego modułu.

- Cześć Richard! - zawołała Marilyn Blackstone.

Richard udzielił poparcia swojej rodaczce, gdy ubiegała się o nadzór nad eksperymentem w drugim module. Dziewczyna pochodziła z Taunton w hrabstwie Somerset. Była bardzo zdolna. Tytuł inżyniera uzyskała w Cambridge w 2232 roku.

- Jak tam twoja praca? - zagadnął ją Richard.

- Jeżeli masz chwilę czasu, to wpadnij i sam zobacz - odparła.

Richard pozostawił trójkę Einsteinów w ośrodku kontrolnym i w towarzystwie Marilyn i jej pracowników udał się do drugiej osady położonej na Równinie Środkowej. Po drodze przypomniał sobie rozmowę z Kenjim Watanabe i Ulianowem, która miała miejsce w gabinecie gubernatora w dniu zatwierdzenia projektu badań wnętrza Ramy.

- Chciałbym podkreślić, że jestem zdecydowanie przeciwny wszelkim badaniom prowadzonym poza obszarem Nowego Edenu. Oboje z Nicole uważamy, że takie działania mogą narazić na niebezpieczeństwo inne istoty. Nie ma nic, co uzasadniałoby konieczność takich badań.

- A może ten drugi moduł mieszkalny jest pusty, albo został stworzony specjalnie dla nas? - powiedział Dimitri - i nasze zadanie polega właśnie na tym, żeby tam dotrzeć?

- Ależ Dimitr - zdenerwował się Richard - czy ty w ogóle słuchałeś tego, o czym Nicole i ja opowiadaliśmy ci w ciągu ostatnich kilku lat? Skąd bierze się u ciebie to "homocentryczne" spojrzenie na wszechświat? To, że na naszej planecie jesteśmy gatunkiem dominującym wcale nie oznacza, że jesteśmy istotami lepszymi niż inne. Istnieją setki gatunków, które...

- Richardzie - przerwał mu Kenji - znamy twoje zdanie. Ale koloniści nie zgadzają się z tobą. Żaden z nich nie widział ani Orła, ani ośmiornic, ani żadnych innych stworzeń, o których opowiadaliście. Oni chcą tylko sprawdzić, czy na zewnątrz istnieją tereny, które pozwoliłyby na powiększenie kolonii...

Kenji już wtedy się bał, myślał Richard zbliżając się do drugiego modułu. Obawiał się, że Macmillan wygra walkę wyborczą z Ulianowem i odda kolonię Nakamura...

Gdy dotarli na miejsce, dwa Einsteiny od razu zabrały się do pracy i tam, gdzie w ścianie wykuwano otwór, zainstalowały laserowe wiertło.

- Jak daleko udało wam się dotrzeć? - spytał Richard.

- Na razie wwierciliśmy się dopiero na trzydzieści pięć centymetrów - odparła Marilyn. - Praca posuwa się bardzo powoli. Jeżeli ściana ma taką samą grubość jak w naszym module, wiercenie potrwa co najmniej trzy, cztery tygodnie... Z analizy spektrograficznej wynika, że jest to ten sam materiał...

- A co będzie, kiedy dostaniecie się do środka?

Marilyn roześmiała się. - Nie martw się, Richardzie. Postąpimy zgodnie z procedurą, którą zaproponowałeś. Przez co najmniej dwa tygodnie będziemy biernie obserwować to, co dzieje się wewnątrz. Damy im szansę na odpowiedź, oczywiście pod warunkiem, że rzeczywiście ktoś tam jest.

Sceptycyzm w jej głosie zmartwił Richarda.

- Szkoda, że ty też tak myślisz... - powiedział. - Co się z wami wszystkimi stało? Czy myślicie, że Nicole, ja i dzieci wymyśliliśmy te wszystkie historie?

- Nadzwyczajne historie wymagają nadzwyczajnych dowodów - odrzekła.

Richard potrząsnął głową. Wdał się z dziewczyną w kłótnię, ale po chwili doszedł do wniosku, że ma ważniejsze sprawy na głowie. Po kilku minutach dość grzecznej wymiany zdań ruszył do ośrodka kontrolnego, w którym czekały na niego bioty.

Świetnie się z nimi pracowało, wiele rzeczy można było robić równocześnie. Mając w głowie konkretny plan działania, Richard zawsze mógł przedstawić go jednemu z biotów i mieć pewność, że wszystko zostanie wykonane tak, jak trzeba. Einsteiny nie sugerowały własnych rozwiązań, ale często przypominały mu, że proponowane przez niego rozwiązanie przypomina inną procedurę, która nie dała oczekiwanych rezultatów.

Dotychczas inżynierowie usiłowali zrozumieć zasadę działania superkomputera w ośrodku kontrolnym i właśnie na tym polegał ich błąd. Richard zdawał sobie sprawę, że zasady jego działania bliższe są magii niż znanej mu informatyce. Postanowił więc zidentyfikować sygnały wyjściowe głównego procesora, ponieważ - jak sądził - składnia instrukcji powinna być dość prosta. Aktualny stan pogody w Nowym Edenie opisuje pewien zbiór pomiarów. Na tej podstawie skomplikowane algorytmy dokonują obliczeń, których wyniki kierowane są do olbrzymich cylindrycznych konstrukcji; tam "wytwarza się" zmiany składu atmosfery i temperatury.

Richardowi udało się sporządzić schematyczny wykres tych procesów. Ponieważ pomiędzy ośrodkiem kontrolnym i cylindrycznymi konstrukcjami nie istniały żadne elektryczne połączenia, sygnały przesyłano inną drogą. W jaki sposób? Richard zbadał spektrum elektromagnetyczne i znalazł kilka "podejrzanych" częstotliwości, na których przesyłano jakieś dane.

Analiza sygnałów radiowych i ich właściwa interpretacja należały do zadań niezwykle skomplikowanych. Korzystając z pomocy Einsteiny udało się ustalić, że większość informacji przekazywana jest przez nadajniki mikrofalowe. Stworzenie katalogu danych połączonych z obserwacją zmian pogody trwało ponad tydzień. Richard usiłował dopatrzeć się zależności pomiędzy przesyłanymi parametrami a efektem, jaki zmiany te wywoływały wewnątrz Nowego Edenu. Wypróbował także przenośny nadajnik, zbudowany przy wydatnej pomocy biotów. Chciał wysłać taki sygnał, który przez "cylindry" zostałby odczytany jako pochodzący z ośrodka kontrolnego.

Pierwsze podejście było całkowitą porażką; Richard doszedł do wniosku, że ważnym parametrem jest czas transmisji. Dzięki pomocy biotów dość szybko udało się zbudować nadajnik pracujący z dokładnością do jednej femtosekundy.[10^{-15} sek]

Natychmiast po wysłaniu sygnału w ośrodku kontrolnym rozległ się ryk syreny alarmowej i pojawił się holograficzny obraz Orła.

- Ziemianie - rzekł Orzeł - bądźcie ostrożni. Stworzenie mikroklimatycznej równowagi w waszym module wymagało ogromnej wiedzy i pracy. Pod żadnym pozorem nie zmieniajcie algorytmów sterujących pogodą.

Richard był zszokowany. Natychmiast rozkazał biotom, aby nagrały słowa Orła, który jeszcze raz powtórzył ostrzeżenie i zniknął. Kamery biotów utrwaliły każde jego słowo.

3.

- Czy już zawsze będziesz smutny? - spytała Nicole spoglądając na męża. Siedzieli przy stole i jedli śniadanie. - Przecież na razie nic strasznego się nie stało. Pogoda jest całkiem ładna.

- Myślę, że jest nawet lepsza niż dawniej - rzekł Patrick. - Na uniwersytecie wszyscy uważają cię za bohatera, wujku Richardzie. Niektórzy mówią, że ty też jesteś biotem...

Richard spróbował się uśmiechnąć.

- Rząd nie uwzględnia moich postulatów i w ogóle nie przejął się ostrzeżeniem Orła. Wyobraźcie sobie, że są inżynierowie którzy twierdzą, że to ja stworzyłem jego hologram...

- Kenji wierzy w to, co mu powiedziałeś.

- Więc dlaczego zezwala tym kretynom od pogody na wzmacnianie sygnału? Nie możemy przewidzieć długofalowych efektów takiego działania...

- Nie rozumiem, co cię martwi, tato - wtrąciła się Ellie.

- Termiczna kontrola tak olbrzymiej ilości gazu jest procesem niezwykle skomplikowanym - odparł Richard. - Żywię ogromny szacunek do istot, które sobie z tym poradziły. To one nalegały, aby poziom dwutlenku węgla utrzymywany był poniżej określonej granicy. I jestem pewien, że wiedziały, dlaczego im na tym zależy...

Patrick i Ellie zjedli śniadanie, podziękowali i wstali od stołu. Po kilku minutach wyszli z domu. Nicole położyła Richardowi ręce na ramionach.

- Kiedyś leżeliśmy w łóżku i powiedziałam, że równanie Einsteina o równoważności energii i materii było "złem", ponieważ umożliwiło budowę bomb atomowych... Pamiętasz, co mi wtedy odpowiedziałeś?

Richard potrząsnął głową.

- Powiedziałeś, że Einstein był naukowcem, a celem życia naukowca jest poszukiwanie prawdy i gromadzenie wiedzy. "Nie istnieje wiedza, która sama w sobie jest «złem»; «złem» można nazwać jedynie postępowanie tych, którzy ją wykorzystają..."

Richard uśmiechnął się. - Zdaje się, że starasz się mnie usprawiedliwić...

- Coś w tym rodzaju - odparła całując go w usta. - Wiem, że jesteś jednym z najmądrzejszych i najbardziej twórczych ludzi. Nie chcę, aby wszystkie troski i kłopoty naszej kolonii spoczęły na twoich barkach.

Richard odwzajemnił jej pocałunek.

- Myślisz, że będziemy mieli dość czasu? Benjy nie idzie dzisiaj do szkoły, a wczoraj wstał bardzo późno...

- Spróbujemy - uśmiechnęła się Nicole. - Pracę zaczynam dopiero o dziesiątej...

Eponine uczyła w najwyższej klasie szkoły średniej. Przedmiot, który nazywał się "sztuka i literatura", był czymś w rodzaju historii kultury. Program łączył elementy wielu kultur, jednocześnie zachęcając uczniów do samodzielnego poszerzania zdobytej wiedzy. Eponine przygotowywała lekcje zgodnie z programem, ale zawsze zwracała uwagę na to, aby uczyć przede wszystkim tego, co jej uczniowie uznają za interesujące.

Uważała, że najwspanialszym dziełem literatury byli Nędznicy Wiktora Hugo; jej ulubionym malarzem był francuski impresjonista Renoir, pochodzący z jej rodzinnego miasta Limoges. Eponine włączyła do programu informacje o swoich rodakach, ale uczyniła to na tyle rozważnie, aby pozostawić dość czasu na omówienie twórczości innych artystów.

Bioty Kawabata okazały się wielce pomocne w kształceniu dzieci, a Eponine zachęcała do czytania dzieł "prawdziwego" Kawabaty. Trzy tygodnie przeznaczone na omówienie poezji poświęcono najróżniejszym twórcom, od Rilkego po Khayyama. Omówiono także poezję Benity Garcii, nie tylko dlatego że bioty z jej twarzą można było spotkać praktycznie wszędzie, ale także z powodu zainteresowania, jakim cieszyła się wśród młodzieży.

Gdy nosicielom wirusa RV-41 nakazano noszenie czerwonych opasek, Eponine w swojej klasie miała zaledwie jedenastu uczniów. Wyniki jej testu na obecność ciał odpornościowych RV-41 postawiły administrację szkoły w trudnej sytuacji; dyrektor nie ugiął się wprawdzie pod naciskiem rodziców (głównie z Hakone) domagających się usunięcia Eponine ze szkoły, ale uczynił pewne ustępstwa, polegające na tym, że zaliczenie przedmiotu wykładanego przez Eponine przestało być obowiązkowe. Właśnie dlatego jej klasa stała się znacznie mniejsza.

Ellie Wakefield należała do ulubionych uczennic Eponine. Choć miała poważne luki w wykształceniu, spowodowane długotrwałą hibernacją podczas podróży z Punktu Węzłowego do Układu Słonecznego, jej wrodzona inteligencja i ciekawość świata sprawiały Eponine prawdziwą radość. Eponine często prosiła swoją uczennicę o wykonanie "specjalnych" zadań. Gdy zaczęto omawiać poezję Benity, co przypadkowo zbiegło się z rozmową Richarda z córką na temat zagrożeń wynikających z nieprzemyślanych zmian w algorytmie sterującym pogodą, Ellie obiecała nauczyć się na pamięć jednego młodzieńczego wiersza Garcii z tomu Marzenia Meksykanki.

Eponine postanowiła zapoznać swoją klasę z życiorysem poetki.

- Prawdziwa Benita Garcia - zaczęła wskazując na jednego z biotów stojących w kącie - była poetką, kosmonautką, politykiem, mistykiem... Jej życie było odzwierciedleniem tamtych czasów, ale jednocześnie działało zapładniająco na innych...

- Jej ojciec był posiadaczem ziemskim, mieszkał w stanie Yucatan, z dala od artystycznych

i politycznych ośrodków Meksyku. Benita była jedynaczką, jej matka, znacznie młodsza od ojca, pochodziła z plemienia Majów. Swoje dzieciństwo spędziła w samotności, mieszkając wraz z rodzicami na plantacji położonej w niezwykle malowniczym miejscu, w Uxmal, w pobliżu ruin miasta Majów. Często bawiła się wśród piramid i innych tysiącletnich budowli.

- Była zdolną uczennicą, ale to jej wyobraźnia i chęć życia wyróżniały ją spośród rówieśników. Benita napisała swój pierwszy wiersz w wieku dziewięciu lat, a gdy skończyła piętnaście i zaczęła uczęszczać do katolickiej szkoły w Meridzie, dwa z jej sonetów opublikowano w poważnym piśmie *Diario de Mexico*.

- Po ukończeniu szkoły średniej Benita wprowadziła swoich rodziców i nauczycieli w zdumienie oświadczając, że zamierza zostać kosmonautką. W 2129 roku jako pierwsza Meksykanka została przyjęta do Akademii Kosmicznej w Kolorado. Gdy ukończyła ją w cztery lata później, proces cięć w budżecie badań przestrzeni kosmicznej był już w toku. Po załamaniu giełdy w 2134 roku świat znalazł się w głębokim kryzysie, zwanym Wielkim Chaosem, który przyczynił się do całkowitego zawieszenia badań przestrzeni kosmicznej. Benitę pozbawiono pracy w ISA w 2137 roku; dziewczyna była przekonana, że jej krótka kariera dobiegła końca.

- W 2144 roku miał miejsce jeden z ostatnich rejsów transportowych: kobiety i dzieci wracały z marsjańskich kolonii na pokładzie statku *James Martin*. Statek z trudnością wszedł na orbitę okołoziemską i wydawało się, że bezpieczne lądowanie jest niemożliwe. Benita Garcia wraz z trójką przyjaciół poleciała im na ratunek i uratowała dwadzieścia cztery osoby. Był to jeden z najbardziej spektakularnych lotów w historii podboju kosmosu...

Ellie wyobraziła sobie lot Benity. Garcia kierowała statkiem ręcznie, bez żadnej pomocy z Ziemi; chcąc uratować innych, ryzykowała własnym życiem...

Zastanawiając się nad jej bohaterskim czynem, Ellie pomyślała o własnej matce. Wyobraziła ją sobie w adwokackiej toczce, w chwili gdy przemawia do członków senatu. Potem zobaczyła ją, jak masuje bolący kark swojego męża, codziennie cierpliwie uczy Benjy'ego czytać, jedzie z Patrickiem na rowerze, aby zagrać z nim w tenisa, tłumaczy Lincolnowi, jak przyrządzić dobrą kolację... Oczami wyobraźni ujrzała Nicole siedzącą na łóżku Ellie i odpowiadającą na jej pytania o tym czym jest życie i miłość. Moja matka jest dla mnie bohaterem, zdała sobie sprawę Ellie, jest tak bezinteresowna jak Benita Garcia...

- ...Wyobraźcie sobie młodą, szesnastoletnią Meksykankę, wracającą na wakacje do domu ze stacji i powoli wspinającą się na stopnie Piramidy Maga w Uxmal. Jest ciepły, wiosenny poranek, a wśród skał i ruin baraszkują iguany...

Eponine skinęła głową; Ellie wstała i zaczęła recytować:

Wszystko widziałaś, stara jaszczurko,
Nasze radości, nasze łzy,
Serca pełne marzeń I żądz.
Czy tak będzie zawsze?
Czy babka Indianka,
Siedząc tu przed
Tysiącem lat
Opowiedziała ci o pragnieniach
Których nie chciała, nie potrafiła wyrazić?

Nocą patrzę w gwiazdy
I widzę się pośród nich.
Moje serce wznosi się ponad piramidy,
Dociera do tego, co może się zdarzyć.
Tak, Benito, iguany mówią,
Tobie i twojej babce:
W tobie spełnią się jej marzenia sprzed lat.

Ellie umilkła, jej policzki były wilgotne od łez. Nauczycielka i inni uczniowie prawdopodobnie myśleli, że poruszył ją wiersz Benity. W rzeczywistości dziewczyna przeżyła objawienie: odkryła, jak głęboka jest jej miłość i szacunek do matki.

Zaczął się ostatni tydzień prób przed premierą. Eponine postanowiła, że jej uczniowie wystawią sztukę dwudziestowiecznego laureata nagrody Nobla, Samuela Becketta, pod tytułem *Czekając na Godota*; jej przesłanie wydawało się szczególnie aktualne. W przebranych w łachmany bohaterów wcielili się Ellie Wakefield i Pedro Martinez, przystojny dziewiętnastolatek, który należał do tak zwanej "trudnej" młodzieży.

Eponine nie poradziłaby sobie bez Kawabatów. Bioty zaprojektowały dekorację i kostiumy, zajęły się oświetleniem, a kilkakrotnie same prowadziły próby. Szkoła posiadała cztery bioty tego typu; na czas przygotowań do premiery trzy z nich podlegały bezpośrednio Eponine.

- Dobra robota - powiedziała Eponine, zbliżając się do sceny, na której odbywała się kolejna próba. - Myślę, że na dziś wystarczy.

- Panno Wakefield - rzekł Kawabata numer 052 - trzykrotnie rozminęła się pani z tekstem sztuki. Zamiast...

- Powiemy jej to jutro - przerwała biotowi Eponine dając mu znak, że nie będzie już potrzebny. - Wtedy łatwiej jej będzie ustrzec się od błędów. Macie jakieś pytania? - Nauczycielka zwróciła się do swojego zespołu.

- Wiem, że już kilkakrotnie o tym rozmawialiśmy - zaczął niepewnie Pedro Martinez - ale obawiam się, że są rzeczy, których w dalszym ciągu nie rozumiem... Powiedziała pani, że Godot nie jest człowiekiem, tylko "pojęciem", wytworem ludzkiej fantazji... I że wszyscy na kogoś takiego czekamy... Proszę wybaczyć, że znów o to pytam, ale nie jestem w stanie zrozumieć o co chodzi...

- W zasadzie sztuka jest komentarzem do absurdów naszego życia - odparła po chwili Eponine. - Śmiejemy się słysząc kwestie wypowiediane przez tych obdartusów, bo słyszymy w nich nasze własne słowa i myśli. Beckettowi udało się przedstawić podstawowe tęsknoty i dążenia człowieka. Kimkolwiek jest Godot wierzymy, że dzięki niemu wszystko znów będzie dobrze. Zmieni nasze życie, zrobi wszystko, abyśmy byli szczęśliwi...

- Czy Godot to Bóg? - spytał Pedro.

- Z pewnością - odparła Eponine. - A może jakaś istota, o wiele mądrzejsza od nas, na przykład taka, która sprawuje kontrolę nad Punktem Węzłowym, gdzie przebywała Ellie i jej rodzina... Można tak nazwać każdą siłę będącą panaceum na wszelkie troski i cierpienia tego świata. Właśnie dlatego Godot jest pojęciem uniwersalnym...

- Pedro - krzyknął ktoś z końca sali - jesteś gotów?

- Już idę, Mariko - zawołał młody człowiek. - Właśnie rozmawiamy, może przyjdiesz do nas?

Japonka wciąż stała w drzwiach.

- Nie! - powiedziała szorstko. - Nie chcę. Chodźmy już!

Eponine powiedziała, że próba skończona i zeskoczyła ze sceny. Ellie podeszła do niej, Pedro pognał do drzwi.

- Czemu ona się tak dziwnie zachowuje? - spytała Ellie.

- Mnie nie pytaj - Eponine wzruszyła ramionami. - Nie jestem ekspertem od związków męsko-damskich.

Ta mała Kobayashi zawsze prowokuje konflikty, pomyślała Ellie przypominając sobie, że kilka dni temu Mariko bardzo niegrzecznie odniosła się do niej i Eponine. Niektórzy chłopcy są tacy głupi...

- Czy mogę przyprowadzić rodziców na następną próbę? - spytała Ellie. - Beckett to ulubiony dramaturg mojego ojca...

- Oczywiście - odparła Eponine. - Twoi rodzice mogą przyjść, kiedy zechcą. I tak chciałam

im podziękować...

- Panno Eponine! - W drzwiach stał Derek Brewer, jeden z chłopców, który się w niej podkochiwał. - Słuchała pani wiadomości?

Eponine przecząco pokręciła głową. Derek był bardzo podekscytowany.

- Sędzia Myszkini ogłosił, że noszenie opasek jest sprzeczne z konstytucją!

Eponine dopiero po chwili zrozumiała, o co chodzi. Derek był już przy niej. Był bardzo uradowany tym, że to on przyniósł jej tę dobrą wiadomość.

- Jesteś pewien? - spytała z niedowierzaniem.

- Przed chwilą mówili o tym przez radio.

Eponine zerwała z ręki zniechęconą opaskę i podrzuciła ją wysoko w powietrze. Jej oczy były pełne łez.

- Dziękuję ci, Derek - powiedziała.

Już po chwili obejmowały ją cztery młode ramiona.

- Tak się cieszę... - szepnęła Ellie.

4.

Restaurację z hamburgerami w Mieście Środkowym obsługiwały bioty; dwa Lincolny zajmowały się sprawami administracyjnymi, cztery Garcie zbierały zamówienia, jedzenie przyrządzały Einsteiny, a jeden biot Tiasso utrzymywał w lokalu nienaganną czystość. Zyski właściciela restauracji były olbrzymie, ponieważ zapłacić musiał jedynie za adaptację budynku na potrzeby gastronomii oraz za półprodukty, z których przyrządzano posiłki.

Ellie jadała tam zawsze w czwartkowe wieczory, kiedy jako ochotnik pracowała w szpitalu. W dniu, który przeszedł do historii jako Dzień Deklaracja Myszkina, do Ellie przyłączyła się jej nauczycielka Eponine, już bez opaski.

- Zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie widuję cię w szpitalu - powiedziała Eponine jedząc frytki. - Co ty tam właściwie robisz?

- Rozmawiam z chorymi dziećmi - odparła Ellie. - Jest tam kilka ciężkich przypadków, jest nawet chłopiec zakażony wirusem RV-41. Dzieci lubią, kiedy je odwiedzam. Bioty Tiasso są niezwykle wydajne jako personel, ale nie są szczególnie sympatycznie...

- Ale, jeżeli wolno spytać, dlaczego to robisz? Jesteś młodą, piękną, zdrową dziewczyną. Czyżbyś nie miała nic lepszego do roboty?

- Nie, nie mam - odparła Ellie. - Moja matka zawsze odczuwała potrzebę przynależności do jakiejś wspólnoty, a ja cieszę się, że przebywając z dziećmi sprawia im radość. To mnie dowartościowuje... Poza tym w towarzystwie nigdy nie czułam się dobrze. Fizycznie mam dziewiętnaście, dwadzieścia lat - to dużo, jak na szkołę średnią - ale nigdy nie miałam dobrego kontaktu z innymi ludźmi... - Ellie zaczerwieniła się. - Jedna z koleżanek powiedziała mi, że chłopcy myślą, iż jestem biotem.

Eponine uśmiechnęła się do swojej uczennicy. Wolałabym być biotem niż nosicielką RV-41, pomyślała.

Unikając kontaktu z tobą, ci młodzi mężczyźni wiele tracą...

Kobiety skończyły jeść, opuściły niewielką restaurację i ruszyły w kierunku rynku. Znajdował się tam cylindryczny pomnik upamiętniający Dzień Zasiedlenia. Miał dwa i pół metra wysokości; wewnątrz cylindra znajdowała się przezroczysta kula o półmetrowej średnicy. Małe światełko przedstawiało słońce, pozioma płaszczyzna oznaczała ekliptykę, po której krążyła Ziemia i inne planety, a światełka wewnątrz kuli ukazywały względne współrzędne gwiazd w promieniu dwudziestu lat świetlnych od Słońca.

Słońce z Syriuszem łączyła świecąca nić, wytyczając drogę przebytą przez Wakefieldów do

Punktu Węzłowego. Inna nie wyznaczała trajektorię Ramy III od chwili opuszczenia orbity Marsa, z kolonistami na pokładzie. Statek, przedstawiony jako duży, mrugający czerwony punkt, znajdował się w jednej trzeciej odległości pomiędzy Słońcem a Tau Ceti.

- O ile wiem, pomysł budowy pomnika poddał twój ojciec - powiedziała Eponine.

- To prawda - odparła Ellie - tata staje się bardzo twórczy, gdy chodzi o łączenie sztuki z elektroniką i nauką...

Eponine wpatrywała się w mrugający czerwony punkt.

- Czy nie martwi go to, że lecimy w przeciwny kierunku niż Syriusz i Punkt Węzłowy?

Ellie wzruszyła ramionami.

- Nie wydaje mi się, żeby się tym przejmował - stwierdziła. - Ale nie rozmawialiśmy o tym... Kiedyś powiedział mi, że i tak nie zrozumielibyśmy tego, co Obcy robią w Punkcie Węzłowym...

Eponine rozejrzała się dookoła.

- Spójrz na tych wszystkich ludzi. Zawsze się spieszą... Nie obchodzi ich, dokąd lecimy... Ja przychodzę tutaj co tydzień... Od czasu, gdy w mojej krwi wykryto ciała odpornościowe RV-41 poczułam, że muszę dokładnie wiedzieć, w którym miejscu wszechświata się znajduję... Może tak objawia się mój strach przed śmiercią?

Po dłuższym milczeniu Eponine położyła Ellie rękę na ramieniu.

- Czy spytałaś Orła czym jest śmierć?

- Nie - odparła cicho Ellie. - Ale kiedy opuszczaliśmy Punkt Węzłowy miałam zaledwie cztery lata. Nie wiedziałam nawet, co to jest...

- Kiedy byłam dzieckiem, myślałam jak dziecko... - powiedziała do siebie Eponine i roześmiała się. - Więc o czym rozmawiałaś z Orłem?

- Nie bardzo pamiętam - przyznała się Ellie. - Patrick mówi, że Orzeł lubił przyglądać się, jak bawimy się zabawkami.

- Naprawdę? To dziwne. Z opisu twojej matki wynikało, że Orzeł był istotą zbyt poważną, aby interesować się zabawą dzieci...

- Wciąż go pamiętam, chociaż byłam całkiem mała. Ale nie pamiętam jego głosu...

- Wraca do ciebie w snach? - spytała po chwili Eponine.

- Oczywiście, nawet dość często. Kiedyś siedział na szczycie olbrzymiego drzewa, innym razem wisiał pośród chmur i spoglądał na mnie z góry.

Eponine znów się roześmiała, po czym spojrzała na zegarek.

- O Boże - powiedziała - już się spóźniłam. O której miałaś być w szpitalu?

- O siódmej.

- No, to musimy się pospieszyć.

Eponine weszła do gabinetu doktora Turnera na badanie kontrolne, któremu poddawała się co dwa tygodnie. Robot Tiasso pobrał krew i mocz do badania, a potem poprosił ją, żeby zaczekała. Dodał, że "z powodu nadmiaru obowiązków" doktor nieco się spóźni.

W poczekalni siedział Murzyn o ostrych rysach twarzy i przyjaznym uśmiechu.

- Witaj! - powiedział, gdy ich oczy się spotkały. - Nazywam się Amadou Diaba. Jestem aptekarzem.

Eponine przedstawiła się. Odniosła wrażenie, że już kiedyś spotkała tego człowieka.

- Ładny mamy dzień, prawda? - odezwał się mężczyzna po krótkiej chwili milczenia. - Przyjemnie móc pozbyć się opaski, prawda?

Eponine przypomniała sobie, kim jest Amadou. Widziała go na spotkaniach nosicieli RY-41. Słyszała od kogoś, że Amadou zaraził się wirusem podczas transfuzji, którą przeprowadzono w pierwszych dniach istnienia kolonii. Ciekawe, ilu nas jest, zastanawiała się Eponine. Dziewięćdziesięciu trzech, może dziewięćdziesięciu czterech? Pięciu z nas zaraziło się poprzez transfuzję...

- Ważne rzeczy przeważnie zdarzają się równocześnie - rzekł Amadou. - Deklarację Myszkina ogłoszono zaledwie na kilka godzin przed pierwszym spotkaniem z nogowcami.

Eponine spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie wiem, o czym mówisz?

- Nie słyszałaś o nogowcach? - roześmiał się Amadou. - Wiec gdzie, u diabła, byłaś?

Dopiero po dłuższej chwili Eponine doczekała się bliższych szczegółów.

- Grupa badaczy od dwóch dni poszerzała otwór drugiego modułu. Dzisiaj napotkali sześć dziwnych stworzeń, które wyszły na zewnątrz. Przypominały włochate piłki do golfa na sześciu długich, cienkich nóżkach. Poruszały się niezwykle szybko. Łaziły po ludziach, biotach i sprzęcie przez ponad godzinę, a potem uciekły z powrotem...

Eponine chciała o coś spytać, ale w drzwiach stanął doktor Turner.

- Pan Diaba i panna Eponine - powiedział. - Mam wyniki waszych badań. Kto pierwszy? - spytał, podnosząc wzrok. Jego oczy były przeraźliwie niebieskie...

- Pan Diaba był pierwszy - zaczęła Eponine - więc...

- Panie zawsze mają pierwszeństwo - rzekł Amadou. - Nawet w Nowym Edenie.

Eponine weszła do gabinetu.

- Nie ma żadnych wątpliwości, że jest pani nosicielką wirusa, ale na szczęście nie dostrzegam żadnych zmian mięśnia sercowego. Nie mogę powiedzieć tego ze stuprocentową

pewnością, odnoszę jednak wrażenie, że rozwój choroby postępuje u pani wolniej niż u innych pacjentów...

Jak to możliwe, mój przystojny doktorze, myślała Eponine, że tak dobrze znasz mój stan zdrowia, a nigdy nie zwróciłeś uwagi na to, jak na Ciebie patrzę...

- W dalszym ciągu będziemy podawać pani lekarstwa stymulujące system immunologiczny. Nie powodują żadnych poważnych skutków ubocznych. Możliwe, że to dzięki nim wirus nie uaktywnił się w tym stopniu, co u innych pacjentów... Czy dobrze się pani czuje?

Wyszli do poczekalni. Doktor Turner jeszcze raz wymienił symptomy, których należało się spodziewać w kolejnych stadiach choroby.

Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili stanęła w nich Ellie Wakefield. Doktor Turner udał najpierw, że jej nie dostrzega, po czym zreflektował się i spojrzał w jej stronę:

- Czym mogę pani służyć, młoda damo?

- Chciałam o coś spytać Eponine - odparł Ellie. - Jeżeli panu przeszkadzam, mogę poczekać na zewnątrz.

Doktor Turner potrząsnął głową. Chciał zakończyć swój medyczny wykład, ale zmieszał się i zamachał tylko rękami w powietrzu.

Eponine ruszyła do drzwi nie rozumiejąc, co się stało. Obejrzała się i spojrzała na Turnera, który wzrokiem odprowadzał Ellie. I wtedy zrozumiała. Przez trzy lata marzyłam, żeby zobaczyć to spojrzenie, pomyślała. Przestałam wierzyć, że to w ogóle jest możliwe... A mała Ellie nic nie rozumie...

Eponine była zmęczona po długim dniu. Wraciała ze stacji do swojego mieszkania w Hakone. Minęła ulgą, jaką odczuła po zdjęciu opaski. Znowu ogarnęło ją przygnębienie. Była zazdrosna o Ellie Wakefield.

Zatrzymała się przed drzwiami do swojego mieszkania. Czerwony pasek na drzwiach ostrzegał, że lokator jest nosicielem wirusa RV-41. Dziękując w myślach Myszkinowi, Eponine ostrożnie go odkleiła. Na drzwiach pozostał ślad. Jutro to zamaluję, pomyślała.

Usiadła na fotelu i sięgnęła po papierosa. Wkładając go do ust poczuła przypływ radości. W szkole nigdy nie palę w obecności uczniów, pomyślała, nie chcę dawać im złego przykładu. Palę tylko tutaj, u siebie w domu... Kiedy jestem sama. I samotna...

Eponine nie korzystała z nocnych rozrywek. Mieszkańcy Hakone w sposób jednoznaczny dali jej do zrozumienia, że nie życzą sobie jej towarzystwa. Dwukrotnie odwiedziła ją delegacja mieszkańców domagających się, aby wyprowadziła się w inne miejsce. Poza tym otrzymała wiele obraźliwych anonimów. Ale Eponine była uparta i nie chciała się wyprowadzić.

Kimberly Henderson prawie nigdy nie było w domu, dzięki czemu Eponine miała więcej przestrzeni niż w wypadku, gdyby przeprowadziła się do samodzielnego mieszkania. Poza tym zdawała sobie sprawę, że nosiciele wirusa RV-41 nigdzie nie są dobrze widziani.

Zasnęła na krześle i śniła o polach pełnych żółtych kwiatów. W pierwszej chwili nie usłyszała pukania do drzwi. Spojrzała na zegarek, była jedenasta.

Otworzyła drzwi; do mieszkania weszła Kimberly Henderson.

- Cześć Ep, dobrze, że jesteś. Muszę porozmawiać z kimś, komu mogę zaufać.

Kimberly drżącymi palcami zapaliła papierosa i od razu zaczęła mówić:

- Dobrze, dobrze - powiedziała widząc dezaprobatację w spojrzeniu swojej koleżanki - jestem naćpana. Ale tego właśnie potrzebuję... Kokomo jest wspaniałe... Czuję się dowartościowana, nie jestem już gównem... - Zaciągnęła się papierosem. - Ten skurwiel tym razem to zrobił, Ep... Myśli, że wszystko mu wolno... Tolerowałam jego romanse, czasami nawet pozwalałam, żebyśmy to robili z innymi dziewczynami... Takie numery we trójkę to dobre lekarstwo na nudę... Ale zawsze byłam ichiban, numer jeden, rozumiesz? Tak przynajmniej myślałam... - Kimberly zgasila papierosa i załamała ręce. Była bliska płaczu. - Powiedział mi, że mam się wyprowadzić... "Co?" - krzyknęłam. A on na to: "masz się wyprowadzić". Nie chciał ze mną rozmawiać, nawet się nie uśmiechnął... "Pakuj swoje rzeczy", powiedział "w Xandu czeka na ciebie mieszkanie".

- "Ale tam mieszkają kurwy" powiedziałam... A on tylko się uśmiechnął i nic nie powiedział... "To znaczy, że mnie wyrzucasz, tak?" Wpadłam we wściekłość. "Nie możesz tego zrobić!" - krzyczałam. Chciałam go uderzyć, ale chwycił mnie za rękę i uderzył w twarz. "Zrobisz co ci każę", powiedział, a ja na to: "Ty skurwielu!"... Wzięłam jakiś puchar i rozwaliłam go o stół. W drzwiach natychmiast stanęło dwóch osiłków, którzy wykręcili mi rękę... "Zabierzcie ją stąd" - powiedział król Japońców.

- Zaprowadzili mnie do nowego mieszkania. Jest bardzo ładne. W garderobie stoi całe pudło z kokomo... Wypaliłam dużo i odleciałam... Pomyślałam sobie: a może to nie jest takie złe? W łóżku nie muszę już spełniać jego wszystkich życzeń... Poszłam do kasyna, bawiłam się świetnie. Leciałam wysoko, wyżej niż latawce. A potem ich zobaczyłam... Razem... Rzuciłam się na nich. Krzyczałam, waliłam pięściami, ktoś uderzył mnie w głowę... Gdy leżałam na ziemi, Toshio pochylił się nade mną. "Jeżeli zrobisz to jeszcze raz - szepnął - pochowamy cię obok Marcella Danni."

Kimberly ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać.

- Ep, nie wiem jak postąpić, nie mam dokąd uciec. Co powinnam teraz zrobić?

Zanim Eponine zdążyła odpowiedzieć Kimberly kontynuowała swój monolog:

- Wiem, wiem - mówiła - mogę wrócić do pracy w szpitalu. Oni wciąż potrzebują

pielęgniarek, prawdziwych pielęgniarek... a gdzie twój Lincoln?

Eponine uśmiechnęła się i wskazała na garderobę.

- To dobry pomysł - roześmiała się Kimberly. - Trzymasz go w ukryciu... A on po tobie sprząta, zmywa talerze, gotuje... A potem znów go zamykasz...

- Ich kutasy nie działają, wiesz? Oni je mają; wyglądają jak prawdziwe, ale nic z nimi nie można zrobić. Nie sztywnieją... Kiedyś byłam naćpana i kazałam jednemu z nich, żeby mnie dosiadł, ale on nie rozumiał, czego od niego chcę... Jak niektórzy mężczyźni... - Kimberly wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. - Nie wiem właściwie, po co tutaj przyszłam - powiedziała zapalając kolejnego papierosa. - Myślałam, że... kiedyś przyjaźniłyśmy się, więc... - Jej głos załamał się. - Zaczynam wracać, czuję, że popadam w depresję... To straszne uczucie, nie potrafię sobie z tym poradzić... Właściwie nie wiem, czego się po tobie spodziewałam, masz własne życie... Chyba już pójdę...

Kimberly podeszła do Eponine i poklepała ją po ramieniu.

- Uważaj na siebie - powiedziała. - I nie martw się o mnie. Dam sobie radę.

Dopiero gdy za Kimberly zamknęły się drzwi Eponine zdała sobie sprawę, że nie wypowiedziała do niej ani jednego słowa. Była przekonana, że już nigdy nie zobaczy Kimberly.

5.

Posiedzenie senatu było otwarte, a to oznaczało, że każdy mieszkaniec kolonii mógł w nim uczestniczyć. Galeria, zdolna pomieścić trzysta osób, była pełna. Ludzie stali także wzdłuż ścian i w przejściach. Gubernator Kenji Watanabe poprosił zgromadzonych o ciszę.

- Dziś odbędzie się dalszy ciąg debaty nad ustawą budżetową - powiedział, gdy po kilku nieudanych próbach w końcu udało mu się uciszyć zebranych. - Głos zabierze teraz ordynator szpitala, doktor Turner. Opowie nam o swoich zeszłorocznych osiągnięciach i potrzebach finansowych na rok bieżący.

Doktor Turner zbliżył się do mównicy; bioty Tiasso rozwiesiły sześcienny ekran do projekcji trójwymiarowych obrazów.

- W zeszłym roku poczyniliśmy wielkie postępy w opracowaniu solidnego systemu ochrony zdrowia kolonistów, jak również w poznaniu naszej nemezis, wirusa RV-41. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy nie tylko udało nam się prześledzić jego rozwój, ale także stworzyć testy, które z dużą dokładnością pozwalają stwierdzić, czy pacjent uległ zakażeniu...

- W ciągu trzech tygodni przebadaliśmy wszystkich obywateli Nowego Edenu. Badania zakończyłem siedem miesięcy temu, zakażonych było wówczas dziewięćdziesiąt sześć osób. Od tamtej pory przybył nam tylko jeden nosiciel. W międzyczasie trzech chorzy umarli; obecnie w naszej kolonii jest dziewięćdziesięciu czterech nosicieli.

- RV-41 to wirus o opóźnionym działaniu, tak zwany retrowirus, atakujący mięsień serca i powodujący nieodwracalne zmiany prowadzące do zgonu pacjenta. Nie znamy leku zwalczającego tę chorobę. Przeprowadziliśmy liczne eksperymenty, których celem było spowolnienie rozwoju wirusa; jednak z wyników naszych badań nie można na razie wyciągnąć jednoznacznych wniosków. Obecnie zakładamy - o ile w naszych badaniach nie nastąpi przełom - że prędzej czy później choroba rozwinie się u wszystkich nosicieli.

- Wykres, który widzicie państwo wewnątrz sześcianu, to kolejne stadia choroby. Wirusem zakażamy się poprzez transfuzję krwi lub w trakcie stosunku. Nie ma żadnych przesłanek pozwalających sądzić, że istnieją inne drogi prowadzące do zakażenia. Powtarzam - doktor Turner podniósł głos, starając się przekrzyczeć złowrogi pomruk galerii - nasze badania dowodzą, że wirusem można się zarazić jedynie poprzez kontakty płciowe lub transfuzję krwi. Dotychczas nie stwierdziliśmy przypadków zakażenia poprzez pot, łzy, ślinę czy mocz; dodatkowe badania potwierdzają, że nie jest to możliwe.

Po sali rozszedł się szmer oburzenia. Gubernator Watanabe kilkakrotnie starał się uciszyć

zebranych. Robert Turner odchrząknął i po chwili ciągnął dalej: - Wirus, z którym przyszło nam się zmierzyć, jest "sprytny", o ile w tym kontekście można użyć tego słowa, i znakomicie radzi sobie w ludzkim ciele. Jak widać na wykresie, w pierwszych dwóch stadiach rozwoju "chowa się" w ciałkach krwi i plemnikach, nie czyniąc człowiekowi żadnej krzywdy. Przypuszczamy, że właśnie wtedy atakuje układ odpornościowy; nie możemy być tego pewni, ponieważ żadne badania nie potwierdzają uszkodzenia układu odpornościowego w tym stadium choroby.

- Nie wiemy co jest przyczyną spadku odporności. W ciele pacjenta zachodzą pewne niezrozumiałe procesy - tutaj niezbędne będzie przeprowadzenie dokładnych badań - które sprawiają, że RV-41 "dowiaduje się" o osłabieniu układu odpornościowego. Wtedy przechodzi do ataku, jego stężenie we krwi rośnie o kilka rzędów wielkości sprawiając, że zakażenie innych staje się bardzo prawdopodobne. Jednocześnie następuje załamanie systemu immunologicznego.

Doktor Turner przerwał wykład i spojrzał na swoje notatki.

- Dziwne jest to - ciągnął po chwili - że układ odpornościowy nigdy nie jest w stanie odeprzeć tego "ataku". RV-41 "wie", kiedy wygra i nigdy nie atakuje, jeżeli warunki nie gwarantują zwycięstwa. W momencie gdy układ odpornościowy zostaje zniszczony, zaczyna się proces nieodwracalnych zmian mięśnia sercowego, co zawsze kończy się śmiercią.

- W późniejszych stadiach choroby wirus nie pojawia się ani we krwi, ani w spermie. Możecie sobie państwo wyobrazić, że powoduje to dodatkowy problem przy badaniach: co się stało z wirusem? Czy "ukrywa" się, przekształcając się w coś, czego nasze testy nie są w stanie wykryć? Czy "nadzoruje" stopniowe obumieranie mięśnia sercowego, czy też zmiany serca są jedynie skutkiem ubocznym ataku na system immunologiczny? Obecnie nie znamy odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Doktor napił się wody.

- Jednym z zadań, jakie postawiliśmy sobie w zeszłym roku - mówił - było dotarcie do źródeł choroby. Słyszałem plotki, jakoby RV-41 został sztucznie wprowadzony do środowiska Nowego Edenu przez Obcych, którzy rzekomo przeprowadzają na nas jakieś eksperymenty... To zupełny nonsens. Dwóch pasażerów statku Santa Maria zmarło po zakażeniu RV-41, pierwszy zgon nastąpił jeszcze w trakcie podróży z Ziemi na Marsa. Możemy być pewni, choć nie zabrzmiało to optymistycznie, że naszym przyjaciółom na Ziemi także przyszło walczyć z tą diabelską chorobą...

- Jeżeli chodzi o jej pochodzenie, mogę tylko spekulować. Gdyby elektroniczne encyklopedie medyczne, które przywieźliśmy z Ziemi były wielokrotnie obszerniejsze, może poznalibyśmy źródło choroby i nie musielibyśmy zgadywać... W każdym razie chciałbym podkreślić, że genom wirusa RV-41 jest zadziwiająco podobny do wytworu inżynierii genetycznej dwudziestego drugiego wieku, który miał być szczepionką.

- Pozwólcie państwo, że opowiem o tym szerzej; po stworzeniu skutecznej szczepionki przeciwko wirusowi wywołującemu chorobę AIDS, która w ostatnich dwóch dekadach dwudziestego wieku poczyniła ogromne spustoszenie w ziemskiej populacji, naukowcy zajmujący się inżynierią genetyczną postanowili stworzyć szereg innych szczepionek. Operację tę przeprowadzano pod ścisłą kontrolą, aby nie narazić obywateli na niebezpieczeństwo.

- Podczas Wielkiego Chaosu fundusze na badania zostały poważnie ograniczone i wiele laboratoriów upadło. Czynniki chorobotwórcze, zamknięte w specjalnych, izolowanych pomieszczeniach, zostały rzekomo zniszczone. Chyba że... i tutaj zaczyna się moja spekulacja:

- Retrowirus, z jakim zetknęliśmy się w Nowym Edenie, jest łudząco podobny do wirusa AQT 19, wytworzonego w Laffont Medical Laboratory w Senegalu w 2107 roku. Oczywiście istnieje możliwość, że wirus o genomie przypominającym AQT 19 powstał niejako naturalnie; w takim wypadku moja spekulacja mija się z prawdą i należy ją odrzucić. Uważam jednak, że AQT 19 z Senegalu nie został zniszczony. Jestem niemal pewien, że wirus przetrwał i w ciągu następnego stulecia przeszedł kilka mutacji - prawdopodobnie żyjąc w organizmach małp - a potem udało mu się przedostać do ludzkiej krwi. W takim wypadku to my jesteśmy twórcami choroby, która nas zabija...

Na galerii znów podniosła się wrzawa. Gubernator Watanabe uspokajał zebranych życząc sobie w duchu, żeby doktor Turner podobne komentarze zachował dla siebie.

Ordynator przeszedł do budżetu prac badawczych na następny rok i wystąpił o podwojenie ubiegłorocznych funduszy. Senatorowie zaczęli głośno sarkać.

Osoby które zabrały głos po doktorze Turnerze w rzeczywistości nie miały nic do powiedzenia. Jedynym znaczącym mówcą był Ian Macmillan, kandydat opozycji na stanowisko gubernatora w nadchodzących wyborach. Obecny gubernator Kenji Watanabe i jego partyjny kolega, Dimitr Ulianow, byli za zwiększeniem przyszłorocznego budżetu szpitala nawet w wypadku, gdyby wymagało to podwyższenia progów podatkowych. Macmillan sprzeciwiał się zwiększeniu funduszy na badania Turnera.

W pierwszych wyborach, w wyniku których Watanabe został gubernatorem, Ian Macmillan poniósł porażkę. Wtedy też przeprowadził się z Beauvois do Hakone, gdzie został wybrany do senatu jako przedstawiciel dzielnicy Vegas, równocześnie obejmując lukratywne stanowisko w imperium Nakamury. Stanowili idealną parę: Nakamura potrzebował człowieka, który w jego imieniu sprawowałby rządy nad kolonią, a Macmillan, człowiek bez zasad i sumienia, wprost marzył o tym, aby zostać gubernatorem.

- Łatwo dać się zwieść mowie Turnera - zaczął Macmillan - który wie, jak otworzyć nasze

serca i dobrać się do naszych portfeli. Chce, abyśmy nasze pieniądze przeznaczali wyłącznie na jego badania. I z tym nie możemy się zgodzić, bo każdy może przedstawić podobną argumentację. Słuchając każdego mówcy z osobna zatracamy poczucie większej całości. Nie twierdzę, że badania doktora Turnera są nam niepotrzebne. Uważam jednak, że w obecnej chwili powinniśmy mówić wyłącznie o sprawach priorytetowych.

Styl przemówień Macmillana zmienił się od czasu, gdy przeprowadził się do Hakone. Było oczywiste, że troskliwie się nim "opiekowano". Były dowódca Finty nie był dobrym mówcą i jego wyuczona gestykulacja wyglądała niemal komicznie. Macmillan stwierdził, że nosiciele wirusa RV-41 stanowią jedynie pięć procent populacji, a koszty ich leczenia są znaczne.

- Czy należy pozwolić, aby pozostali obywatele zostali skazani na cierpienie po to, aby tak niewielka grupa miała z tego jakieś korzyści? Poza tym - ciągnął - jest wiele innych niezwykle ważnych spraw, dotyczących wszystkich kolonistów, na które potrzebujemy funduszy. Od tego zależy los naszej kolonii.

Gdy Ian Macmillan przedstawił swoją wersję historii "ataku nogowców", które "wdarły się" do modułu Ziemijskiego, brzmiało to tak, jak gdyby ich rzekomy "atak" był zapowiedzą wojny na śmierć i życie. Macmillan wyjaśnił, że oprócz nogowców istnieją "istoty jeszcze bardziej przerażające", które zaatakują wszystkich (zwłaszcza kobiety i dzieci).

- Pieniądze na obronę - mówił - to pieniądze przeznaczone dla nas wszystkich.

Kandydat na gubernatora wyjaśnił również, że grosz publiczny zostanie wydany najefektywniej wtedy, gdy część funduszy przeznaczy się na badanie środowiska poza obszarem kolonii. Macmillan pochwalił prace inżynierów starających się zrozumieć mechanizmy sterujące zmianami pogody i roztoczył wizję przyszłości, w której koloniści decydowaliby o tym, jaką chcą mieć pogodę.

Jego mowę wielokrotnie przerywano oklaskami. Potem Macmillan powiedział kilka słów o osobach zarażonych wirusem RV-41. Wyjaśnił zasady "efektywnego" rozwiązania "tragicznej sytuacji nosicieli".

- Stworzymy dla nich odrębne osiedle - powiedział - które znajdzie się poza granicami Nowego Edenu; tam w spokoju dożyją swoich ostatnich dni.

- Uważam - ciągnął Macmillan - że badania powinny ograniczyć się do analizy sposobów rozprzestrzeniania się tej zarazy z jednego ludzkiego organizmu do drugiego. Dopóki badania nie zostaną zakończone, w interesie wszystkich kolonistów, włącznie z zakażonymi, będzie oddzielenie nosicieli od reszty naszej społeczności i poddanie ich kwarantannie. Dzięki temu unikniemy dalszych, przypadkowych zakażeń.

Nicole i pozostali członkowie jej rodziny przysłuchiwali się obradom z galerii. Uprosil

Richarda, aby poszedł z nimi, choć wiedzieli że nie lubił politycznych "masówek". Był wstrząśnięty przemówieniem Macmillana, Nicole była równie przerażona. Zdawała sobie sprawę, że słowa Macmillana przysporzą mu zwolenników. Ciekawe, kto pisze dla niego te wszystkie przemówienia, zastanawiała się. Robiła sobie wyrzuty, że nie doceniła sprytu Nakamury.

Macmillan kończył przemawiać. Ellie Wakefield wstała i bez słowa opuściła galerię. Jej rodzice byli bardzo zdziwieni widząc, że ich córka zbliża się do podium z mikrofonem. Inni słuchacze także byli zaskoczeni, bo Macmillan miał przemawiać jako ostatni. Ludzie zaczęli już wstawać, żeby opuścić salę, gdy Kenji Watanabe przedstawił zebranym Ellie.

- W szkole na zajęciach z wychowania obywatelskiego - zaczęła Ellie drżącym głosem - czytaliśmy Konstytucję Nowego Edenu i postanowienia dotyczące senatu. Otóż niewiele osób wie, że podczas otwartych posiedzeń senatu każdy obywatel ma prawo do zabrania głosu...

Ellie wzięła głęboki oddech. Matka i siedząca obok niej Eponine, nauczycielka Ellie, wychyliły się przez poręcz.

- Chcę zabrać dzisiaj głos - ciągnęła Ellie mocniejszym głosem - ponieważ chciałabym podzielić się z państwem tym, co myślę o ludziach cierpiących z powodu wirusa RV-41. Po pierwsze jestem młoda, po drugie dopiero od trzech lat mam przyjemność rozmawiania z ludźmi nie będącymi członkami mojej rodziny.

- Dlatego właśnie cenię sobie ludzkie życie. Słowa "cenię" użyłam w pełni świadomie; cenię się coś, czemu przypisujemy wielką wartość. Ten człowiek, ten wspaniały lekarz, pracuje całymi dniami i nocami po to, abyśmy byli zdrowi; jestem pewna, że on także ceni ludzkie życie.

- W swoim przemówieniu doktor Turner nie wyjaśniał nam dlaczego powinniśmy wesprzeć finansowo jego badania, mówił natomiast czym jest choroba, z którą walczy, oraz jak będzie próbował ją pokonać. Doktor założył widocznie, że wszyscy znamy odpowiedź na pytanie: dlaczego należy to zrobić. Otóż, po wysłuchaniu przemówienia pana Macmillana - tu Ellie spojrzała na swojego przedmówcę - mam co do tego pewne wątpliwości.

- Badania nad tą straszliwą chorobą muszą być kontynuowane do czasu, aż będziemy ją w stanie okiełznać, ponieważ życie każdego człowieka jest bezcenne. Każdy człowiek jest inny, jesteśmy wspaniałymi istotami, potrafimy tworzyć, śnić... Nic nie powinno być dla nas ważniejsze, niż ochrona ludzkiego życia.

- Z dzisiejszego zebrania dowiedziałam się, że badania są drogie. Jeżeli konieczne będzie podniesienie podatków, możliwe, że każdy z nas będzie musiał obyc się bez jakiegoś przedmiotu, na którym mu zależy. Myślę, że jest to naprawdę niewielka cena za skarb, jakim jest towarzystwo drugiego człowieka.

- Moja rodzina i przyjaciele powtarzają mi od czasu do czasu, że jestem bardzo naiwna.

Może mają rację. Ale może moja naiwność pozwala mi spojrzeć na pewne sprawy inaczej, tak jak inni nie potrafią... Należy postawić sobie tylko jedno pytanie: Czy gdybym ja albo któryś z członków mojej rodziny okazał się nosicielem wirusa RAM 1, czy wtedy poparłbym program doktora Turnera?... Dziękuję państwu.

Ellie opuściła mównicę, na sali zapanowała cisza. Dopiero po chwili ludzie zaczęli bić brawo. Nicole i Eponine rozplakały się. Doktor Turner z wdzięczności wyciągnął do Ellie swoje ramiona.

6.

Nicole otworzyła oczy. Na łóżku siedział Richard z kubkiem kawy w dłoni.

- Prosiłaś, żeby cię obudzić o siódmej - powiedział.

Nicole usiadła na łóżku i wyciągnęła rękę po kawę.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała. - Ale dlaczego nie poprosiłeś Lincolna...

- Sam chciałem ci przynieść kawę... Są nowe wiadomości z Równiny Środkowej, chcę o tym z tobą porozmawiać, chociaż wiem, że rano jesteś nieprzytomna.

Nicole wypija łyk kawy i uśmiechnęła się do męża.

- Jakie wiadomości? - spytała.

- Wczoraj wieczorem miały miejsce dwa kolejne incydenty z nogowcami. To już dwunasty raz w tym tygodniu. Nasza obrona zniszczyła trzy osobniki, które "utrudniały pracę grupie inżynierów".

- Czy one próbowały się bronić?

- Nie. Usłyszały strzały i zaczęły uciekać do drugiego modułu. Większości udało się zbiec, tak jak przedwczoraj.

- Wciąż uważasz, że to "obserwatorzy", tak jak bioty-pająki w Ramie II?

Richard skinął głową.

- Możesz sobie wyobrazić, co Obcy sobie o nas pomyślą... Bez żadnego powodu strzelamy do nie uzbrojonych istot... Zachowujemy się wrogo w sytuacji, która najprawdopodobniej była próbą kontaktu...

- Mnie też się to nie podoba - szepnęła Nicole. - Ale co możemy zrobić? Senat zezwolił grupom badawczym na samoobronę...

W drzwiach stanął Benjy i uśmiechnął się promiennie.

- Czy mogę wejść? - spytał.

- Oczywiście, kochanie - odparła Nicole. - Uściskaj mnie "urodzinowe" - dodała, przytulając go do siebie.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedział Richard do młodzieńca, przewyższającego go o głowę. Tymczasem Benjy wgramolił się matce do łóżka.

- Dziękuję, wujku Richardzie. - Zrobimy piknik w Lesie Sherwood?

- Oczywiście - odparła Nicole. - A wieczorem urządzimy uroczyste przyjęcie.

- Hurra, to wspaniale! - zawołał Benjy.

Była sobota. Patrick i Ellie nie musieli iść do szkoły i jeszcze spali. Richard, Nicole i Benjy

oglądali w telewizji poranne wiadomości, a Lincoln podał im śniadanie. W wiadomościach pokazano krótki film, który nazwano "potyczką z nogowcami w pobliżu drugiego modułu" oraz wypowiedzi gubernatora i liderów opozycji.

- Powtarzam od wielu tygodni - Macmillan zwierzał się dziennikarzowi - że musimy dramatycznie zwiększyć fundusze na obronę. Co prawda udało się nareszcie przeforsować program, mający na celu zwiększenie siły rażenia naszej broni, ale to i tak o wiele za mało...

Wiadomości zakończył wywiad z dyrektorem Urzędu d/s Pogody. Kobieta sprawująca tę funkcję wyjaśniła, że susza i silne wiatry są spowodowane "błędem w symulacji komputerowej".

- Już od tygodnia usiłujemy wywołać deszcz... Na najbliższy weekend zaprogramowaliśmy słoneczną pogodę, ale obiecujemy, że deszcz spadnie w przyszłym tygodniu...

- Oni nie mają pojęcia, co robią - mruknął Richard wyłączając telewizor. - Do głównego komputera wprowadzili zbyt dużo poleceń naraz i wywołali kompletny chaos.

- Co to jest chaos? - spytał Benjy.

Richard zawahał się.

- Myślę, że najprościej można by to nazwać brakiem porządku - odparł po chwili. - Ale w matematyce, słowo to ma bardzo konkretne znaczenie. Używa się go do określania wyników otrzymanych przy braku warunków brzegowych, po wprowadzaniu niewielkich zmian parametrów... - Richard roześmiał się z własnych słów. - Wybacz, Benjy, czasami zaczynam gadać jak naukowiec...

Benjy uśmiechnął się.

- Lubię, kiedy do mnie mówisz tak, jak gdybym był nor-malny - powiedział powoli. - Czasami nawet coś z tego ro-zumiem...

Lincoln sprzątał ze stołu; Nicole zamyśliła się i gdy Benjy wyszedł, szepnęła mężowi do ucha:

- Rozmawiałeś z Katie? Przez cały dzień nie odbierała telefonów...

Richard potrząsnął głową.

- Benjy'emu będzie bardzo przykro, jeżeli Katie nie pojawi się na jego przyjęciu... Chyba poproszę Patricka, żeby ją odnalazł...

Richard wstał od stołu, zbliżył się do Nicole i wziął ją za rękę.

- A co z panią, droga pani Wakefield? Czy w pani napiętym rozkładzie zajęć jest czas na relaks? Mamy przecież weekend...

- Najpierw pójde do szpitala, żeby pomóc w szkoleniu pielęgniarek. Potem o dziesiątej razem z Ellie przyprowadzę do domu Benjy'ego. Po drodze wstąpię do sądu, mam sporo akt do przeczytania na poniedziałkowe rozprawy. O pół do trzeciej spotykam się z Kenjim, a o trzeciej

wygląszam wykład o patologiach... Wrócę do domu o pół do piątej.

- Czyli będziesz mieć akurat tyle czasu, żeby urządzić dla Benjy'ego przyjęcie. Kochanie, musisz trochę zwolnić tempo, nie jesteś biotem...

Nicole pocałowała męża.

- Odnoszę wrażenie, że to ty przepracowujesz dwadzieścia, nawet trzydzieści godzin bez przerwy, gdy akurat masz do wykonania jakieś zadanie... Wiesz, wydaje mi się, że zbliżamy się do momentu, kiedy będziemy mogli odmienić bieg wydarzeń w Nowym Edenie... Chyba naprawdę jestem tu potrzebna...

- Bez wątplenia, Nicole. Z pewnością obydwójce mamy coś do powiedzenia. Ale ty nigdy nie masz czasu dla siebie...

- Bo to luksus - odparła Nicole otwierając drzwi do pokoju Patricka - na który pozwolę sobie dopiero wtedy, kiedy będę starsza...

Wyszli z lasu na szeroką łąkę, króliki i wiewiórki uciekały przed nimi w popłochu. Pośród wysokich, purpurowych kwiatów pasł się spokojnie młody rogacz. Odwrócił głowę w kierunku, z którego nadchodzili Nicole, Ellie i Benjy, i w kilku susach zniknął w lesie.

Nicole spojrzała na mapę.

- Gdzieś tutaj powinny być drewniane stoły i ławy - powiedziała.

Benjy klęczał na ziemi i przyglądał się żółtym kwiatom, wokół których krążyły pszczoły.

- Miód - powiedział z uśmiechem. - Pszczoły robią miód. W ulach.

Po kilku minutach odnaleźli stoły i rozłożyli na nich obrusy. Rano Lincoln przygotował dla Benjy'ego jego ulubione kanapki z masłem kakaowym i konfiturami; na stołach znalazły się także pomarańcze i grejpfruty z sadów okalających San Miguel.

Zabrali się do jedzenia. Po pewnym czasie na drugim końcu łąki pojawili się jacyś ludzie. Benjy zaczął do nich wymachiwać rękami.

- Oni nie wiedzą, że dzisiaj są moje u-rodziny - powiedział.

- Ale my o tym wiemy - odparła Ellie wznosząc toast kubkiem z lemoniadą. - Wszystkiego najlepszego, Benjy.

Gdy kończyli jeść, na niebie pojawiła się niewielka chmurka, która na moment zasłoniła słońce.

- To jakaś dziwna, czarna chmura - zauważyła Nicole.

Po chwili chmura zniknęła, trawa i kwiaty znów kąpały się w słońcu.

- Masz ochotę na pudding? - Nicole spytała Benjy'ego.

- Może najpierw zagramy? - zaproponował Benjy wyjmując z torby swój ekwipunek do

baseballa i podając Ellie rękawicę.

- Zaczynaj! - krzyknął.

Dzieci rzucały do siebie piłkę, a Nicole sprzątała ze stołu. Właśnie miała się do nich przyłączyć, gdy w jej zegarku zapiszczał nadajnik. Na niewielkim ekranie pojawił się obraz telewizyjny.

- Wybacz, Nicole, że cię niepokoję - mówił Kenji - ale mam sprawę niecierpiącą zwłoki; chodzi o gwałt. Rodzina ofiary domaga się sporządzenia aktu oskarżenia... Przez radio nic więcej nie mogę powiedzieć...

- Będę u ciebie za pół godziny - powiedziała Nicole.

Ponieważ Benjy był zrozpaczony, że jego piknik tak szybko się skończył, Ellie przekonała matkę, że pozostanie z nim w lesie jeszcze przez kilka godzin. Nicole oddała jej mapę lasu Sherwood i ruszyła z powrotem. W tej samej chwili druga, o wiele większa czarna chmura, zakryła sztuczne słońce Nowego Edenu.

Patrick pukał do drzwi, ale Katie nie otwierała. Dokąd ona poszła, zastanawiał się. Żaden z jego kolegów z uniwersytetu nie mieszkał w Vegas, więc Patrick nie znał tych okolic.

Z budki telefonicznej zadzwonił do Maxa Pucketta. Max podał mu adresy i numery telefonów swoich znajomych z Vegas.

- Nie są to osoby, które zaprosiłbyś do domu, do rodziców - roześmiał się Max. - Ale mają dobre serce i z pewnością pomogą ci odszukać siostrę.

Spośród nich Patrick znał tylko Samanthę Porter, której mieszkanie znajdowało się zaledwie kilkaset metrów od budki telefonicznej.

Choć było już popołudnie, Samantha otworzyła drzwi ubrana w płaszcz kąpielowy.

- Wyjrzałam przez okno i od razu wiedziałam, że to ty - powiedziała z zalotnym uśmiechem. - Jesteś Patrick O'Toole, prawda?

Patrick skinął głową.

- Panno Porter - rzekł po dłuższej chwili wahania - chciałbym prosić panią o pomoc. Mam problem...

- Jesteś zbyt młody, żeby mieć problem - przerwała mu Samantha i roześmiała się serdecznie. - Może wejdiesz do środka, abyśmy mogli o tym porozmawiać?

Patrick zaczerwienił się.

- Nie, proszę pani, to nie to, o czym pani myśli... Nie mogę odszukać mojej siostry Katie, myślałem, że może pani pomogłaby mi ją odnaleźć...

Samantha, która zamierzała właśnie zaprowadzić Patricka do sypialni, była wyraźnie rozczarowana.

- Ach, więc dlatego przyszedłeś? - powiedziała i znów się roześmiała. - Szkoda, myślałam, że chciałeś się trochę zabawić... Wtedy na pewno wiedziałabym, czy jesteś biotem i mogłabym o tym opowiadać koleżankom...

Patrick przestąpił z nogi na nogę.

- O ile wiem, Katie większość czasu spędza w swoim pałacu - odparła Samantha z wyraźną niechęcią. - Idź do kasyna i spytaj o Sherry. Ona ci powie, gdzie jest twoja siostra.

- Tak, panie Kobayashi, rozumiem. Wakarimasu - mówiła Nicole do mężczyzny w swoim gabinecie. - Wyobrażam sobie, co pan teraz czuje... Mogę pana zapewnić, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Odprowadziła Japończyka do pokoju, w którym czekała jego żona. Oczy pani Kobayashi były spuchnięte od płaczu. Jej szesnastoletnia córka Mariko była w szpitalu, gdzie poddawano ją szczegółowym badaniom. Choć została ciężko pobita, jej życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Skończywszy rozmawiać z panem Kobayashi Nicole zadzwoniła do doktora Turnera.

- W pochwie jest świeża sperma - powiedział doktor. - Prawie każdy centymetr kwadratowym jej ciała pokrywają zadrapania i sińce. Dziewczyna jest psychicznie wykończona; myślę, że to był gwałt.

Nicole westchnęła. Jako sprawcę gwałtu Mariko Kobayashi podała Pedro Martineza, młodego człowieka, który razem z Ellie grał w szkolnym przedstawieniu. Czy to możliwe, żeby Pedro...? Nicole usiadła przy komputerze i poprosiła o dostęp do głównej bazy danych:

Martinez, Pedro Escobar... urodzony 26 maja 2228 roku w Managui, w Nikaragui... Matka: Maria Escobar, niezamężna, pomoc domowa, przeważnie bezrobotna... Ojciec: prawdopodobnie Ramon Martinez, Murzyn, robotnik stoczniowy z Haiti; sześcioro młodszych przyrodnych braci i sióstr; skazany za handel kokomo w latach 2241, 2242...!.. za gwałt w 2243... osiem miesięcy w domu poprawczym w Managui... sprawowanie wzorowe... przeniesiony do domu poprawczego w Meksyku w 2244... IE 1,86, SC 52.

Nicole dwukrotnie przeczytała te informacje, po czym zaprosiła Pedra do swojego biura. Chłopiec usiadł i spuścił wzrok. W rogu pokoju stał Lincoln, który nagrywał każde słowo.

- Pedro... - zaczęła łagodnie Nicole.

Nie było odpowiedzi.

- Pedro - powtórzyła głośniejszym głosem Nicole - czy rozumiesz, że zostałeś oskarżony o zgwałcenie

Mariko Kobayashi? Jestem przekonana, że nie muszę ci tłumaczyć, jak poważny to zarzut... Masz teraz szansę przedstawić swoją wersję przebiegu wydarzeń.

Pedro milczał.

- W Nowym Edenie - ciągnęła Nicole - ustanowiliśmy system prawny, który może się różnić od tego, jaki znasz z Nikaragui. Nie zostaniesz skazany, jeżeli po zbadaniu dowodów sędzia dojdzie do wniosku, że wniesienie oskarżenia jest bezzasadne. Dlatego właśnie z tobą rozmawiam...

Po długim milczeniu Pedro, nie podnosząc głowy do góry, mruknął coś pod nosem.

- Proszę? - spytała Nicole.

- Ona kłamie - chłopak powtórzył głośniej. - Nie wiem dlaczego, ale Mariko kłamie.

- Czy opowiesz mi swoją wersję tego, co się stało?

- A czy to coś zmieni? I tak nikt mi nie uwierzy.

- Pedro, posłuchaj mnie... Jeżeli na podstawie wstępnego dochodzenia sąd dojdzie do wniosku, że nie można postawić cię w stan oskarżenia, zostaniesz zwolniony... Ale ponieważ czyn, którego rzekomo się dopuściłeś, jest poważnym przestępstwem, musimy przeprowadzić drobiazgowe dochodzenie, a to znaczy, że musisz złożyć zeznania i odpowiedzieć na wiele trudnych pytań.

Pedro Martinez podniósł do góry głowę i spojrzał na Nicole oczami pełnymi smutku.

- Sędzino Wakefield - powiedział cicho - to prawda, że kochaliśmy się wczoraj z Mariko... ale to był jej pomysł... to ona chciała, żebyśmy poszli do lasu..ł - Młody człowiek urwał i znów spuścił głowę.

- Czy w przeszłości odbywałeś z nią stosunki?

- Tylko raz, jakieś dziesięć dni temu.

- Pedro, powiedz prawdę, czy wczoraj... czy byłeś brutalny?

W oczach chłopca stanęły łzy.

- Nie zbiłem jej - powiedział z mocą - nigdy bym jej nie skrzywdził...

W oddali rozległ się jakiś suchy, głośny trzask.

- Co to było? - spytała Nicole.

- Chyba grzmot - odparł Pedro.

Grzmot usłyszeć można było także w Hakone. Patrick znajdował się w pełnym przepychu pałacu Nakamury i rozmawiał z Katie. Jego siostra miała na sobie długą suknię z jedwabiu.

Patrick nie zwrócił uwagi na grzmot. Był bardzo zły:

- Chcesz mi powiedzieć, że nawet nie postarasz się przyjść na urodzinowe przyjęcie

Benjy'ego? Co ja mam powiedzieć matce?

- Powiedz jej co tylko chcesz - powiedziała Katie zapalając papierosa. - Powiedz na przykład, że nie mogłeś mnie znaleźć - dodała, wydmuchując dym w jego stronę. Patrick starał się go rozegnać dłonią.

- Ależ braciszku - roześmiała się Katie - to cię nie zabije!

- W każdym razie nie od razu - mruknął Patrick.

- Zastanów się, Patricku - mówiła Katie spacerując po pokoju - Benjy jest idiotą, kretyńcem. Nic mnie z nim nie łączy. O ile mu tego nie powiecie, on nawet nie zauważy, że mnie tam nie będzie...

- Mylisz się, Katie. On jest mądrzejszy niż myślisz. Bez przerwy pyta o ciebie.

- To bzdury, braciszku - odparła. - Mówisz tak tylko po to, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy... Ja tam po prostu nie pójdę. Mogłabym się nad tym zastanowić, gdyby chodziło tylko o ciebie, Benjy'ego, a nawet Ellie, choć ostatnio moja siostrzyczka dała mi popalić, zwłaszcza swoim "wspaniałym" przemówieniem. Ale wiesz, jak układają się moje stosunki z matką; ona wciąż się mnie czepia... Katie roześmiała się nerwowo i po raz ostatni zaciągnęła się papierosem. - To prawda, Patricku... Tak naprawdę, ona martwi się jedynie o to, że mogę zszargać "dobre imię" naszej rodziny...

Patrick wstał.

- Nie musisz odchodzić. Może zostaniesz tu jakiś czas? Ubiorę się w coś odpowiedniego i zejdziemy na dół do kasyna... Zapomniałeś już o naszych wspólnych zabawach?

Katie ruszyła do sypialni.

- Bierzesz narkotyki? - spytał nagle Patrick.

Katie zatrzymała się.

- Kto zadaje to pytanie? - spytała. - Ty, czy kosmonauta, lekarz, sędzia, gubernator madame Nicole des Jardins Wakefield?

- Ja.

Katie zbliżyła się do niego i dotknęła dłońmi jego policzków.

- Jestem twoją siostrzyczką i kocham cię - powiedziała. - Wszystko inne jest nieważne.

Ciemne chmury gromadziły się nad wzgórzami Lasu Sherwood. Wiatr poruszał drzewami i targał długie włosy Ellie. Na niebie rozbłysła błyskawica i niemal w tym samym momencie rozległ się grzmot.

Benjy zdrygnął się, Ellie go przytuliła.

- Według mapy - powiedziała - od granicy lasu dzieli nas nie więcej niż kilometr.

- Czy to daleko? - spytał Benjy.

- Jeżeli pójdziemy szybkim krokiem - Ellie starała się przekrzyczeć wiatr - będziemy tam za dziesięć minut.

Wzięła Benjy'ego za rękę i ruszyła ścieżką w głąb lasu.

Nagle rozległ się ogłuszający grzmot i w jedno z pobliskich drzew uderzył piorun. Spadająca gałąź uderzyła Benjy'ego w plecy i przewróciła na ziemię. Na szczęście upadł na miękką leśną ściółkę.

Przez kilka długich sekund Benjy był ogłuszony i nie rozumiał, co się z nim stało. Po dłuższej chwili udało mu się podnieść głowę.

- Ellie! - zawołał do siostry, leżącej na ziemi po drugiej stronie ścieżki. Oczy jego siostry był zamknięte.

- Ellie! - krzyknął Benjy z całych sił, czołgając się w jej stronę. Wziął ją za ramiona i delikatnie potrząsnął. Jej oczy pozostały zamknięte. Opuchlizna na czole była wielkości dużej pomarańczy.

- Co mam te-raz zrobić? - zastanawiał się głośno Benjy. W powietrzu unosił się swąd dymu. Młodzieniec spojrział w górę; ogień rozprzestrzenił się szybko, przeskakując z jednej gałęzi na drugą. Niebo rozświetliła kolejna błyskawica i rozległ się grzmot, - jeszcze potężniejszy niż poprzedni. Benjy spojrział w tamtą stronę. Tam, dokąd prowadziła ścieżka, płomienie ognia ogarniały już wierzchołki drzew.

Był przerażony. Starł się ocucić siostrę uderzając ją delikatnie w twarz.

- Obudź się, Ellie - mówił - proszę, obudź się!

Ale Ellie nie poruszyła się. Wkrótce w płomieniach mógł stanąć cały las.

Benjy nie wiedział, co robić. Chciał wziąć Ellie na rękę, ale potknął się i upadł.

- Nie, nie, nie! - krzyczał schylając się nad siostrą. Dym stawał się coraz bardziej duszący. Uciekając przed ogniem Benjy, niosący na plecach Ellie, posuwał się bardzo powoli.

Gdy dotarł do polany, był już bardzo zmęczony. Delikatnie położył siostrę na jednym z drewnianych stołów i usiadł na ławce. W pomocnej części lasu szalał ogień. Co mam teraz zrobić? - myślał. Jego wzrok spoczął na mapie wystającej z kieszeni Ellie. To powinno mi pomóc... Wyjął ją i rozłożył przed sobą. Znaki na mapie nic mu nie mówiły. Wpadł w panikę.

Nie denerwuj się, Benjy, usłyszał uspokajający głos matki. To jest nieco trudne, ale poradzisz sobie. Mapy są bardzo ważne, dzięki nim wiemy, dokąd iść... Najpierw trzeba ją ułożyć tak, żeby można było przeczytać to, co zostało na niej napisane. Właśnie tak. Kierunek na "górze" nazywa się północ... Znakomicie... To jest mapa lasu Sherwood...

Benjy obracał mapę dookoła i w pewnej chwili litery zaczęły wyglądać znajomo. Wokół wciąż uderzały pioruny. Wiatr zmienił kierunek, przynosząc ze sobą kłęby czarnego dymu; Benjy zaczął kaszleć.

Znów usłyszał głos matki. Jeżeli nie rozpoznajesz słów na mapie, przeczytaj każdą literę z osobna, bardzo powoli. Potem złóż je razem, aż powstanie słowo, które znasz.

Benjy spojrział na leżącą na stole siostrę.

- Obudź się, Ellie, proszę - powiedział. - Potrzebuję twojej pomocy.

Ale Ellie nie poruszyła się.

Benjy pochylił się nad mapą starając się skoncentrować. Po długim namyśle przeczytał wszystkie litery i robił to tak długo, aż upewnił się, że zielona plama oznacza polanę, na której się znajdował. Białe linie to ścieżki, myślał. Na zielonej plamie są trzy białe linie...

Podniósł wzrok znad mapy, policzył ścieżki prowadzące w głąb lasu i poczuł się pewniej. Podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze i przeniosły płonące gałęzie na przeciwległą stronę polany. Drzewa natychmiast stanęły w płomieniach. Muszę stąd uciekać, pomyślał Benjy.

Chłopiec wiedział, że największe skupisko ognia znajdowało się na północy, w sąsiedztwie osiedla Hakone. Znów spojrział na mapę. Pójdę wzdłuż białych linii narysowanych na dole, zdecydował.

Ruszył ścieżką, tuż za nim zapłonęło kolejne drzewo. Bezwładne ciało Ellie przerzucił sobie przez ramię, drogocenną mapę trzymał w prawej ręce. Co dziesięć kroków przystawał, aby upewnić się, że idzie we właściwym kierunku. Gdy dotarł do znacznie szerszej ścieżki zatrzymał się, położył siostrę na ziemi i przez kilka minut wodził palcem po mapie. Potem uśmiechnął się szeroko, wziął Ellie na ręce i ruszył do Positano. Na niebie rozbłysła kolejna błyskawica, rozległ się grzmot i nad lasem Sherwood zerwała się ulewa.

7.

Kilkanaście godzin później Benjy spał spokojnie w swoim domu.

Szpital Nowego Edenu przypominał dom dla obłąkanych. Ludzie i bioty biegali tam i z powrotem, pacjenci konali na korytarzach. Nicole rozmawiała przez telefon z Kenjim Watanabe:

- Potrzebujemy biotów Tiasso z całej kolonii; postarajcie się zastąpić opiekunki do dzieci Gardami albo nawet Einsteinami. Poproś ludzi o pomoc w osiedlowych klinikach, sytuacja jest bardzo poważna...

W szpitalu panował taki hałas, że Nicole z trudem usłyszała odpowiedź Kenjiego.

- Jest źle, naprawdę źle - powtórzyła. - Dotychczas przyjęliśmy dwudziestu siedmiu rannych, są cztery ofiary śmiertelne. Region Nara, te drewniane domki za Vegas, to jedna wielka katastrofa. Ogień rozprzestrzenił się bardzo szybko, ludzie wpadli w panikę...

- Pani doktor Wakefield, proszę natychmiast udać się do sali 204.

Nicole odłożyła słuchawkę, wybiegła na korytarz i po chwili znalazła się na drugim piętrze. Umierający, Koreańczyk Kim Lee, był jej przyjacielem. Gdy Nicole piastowała urząd gubernatora, Kim był jej przedstawicielem w Hakone.

Kim Lee jako jeden z pierwszych wybudował swój dom w regionie Nara. Gdy drewniany dom stanął w płomieniach, udało mu się uciec, ale mężczyzna wrócił do środka, aby ocalić swego siedmioletniego synka. Stan syna był dobry, Kim osłonił go własnym ciałem, natomiast prawie całą powierzchnię ciała ojca pokrywały oparzenia trzeciego stopnia.

Na korytarzu Nicole minęła doktora Turnera.

- Obawiam się, że dla pani przyjaciela z sali 204 nie możemy już nic zrobić, ale chciałbym usłyszeć pani zdanie. Proszę do mnie zadzwonić, będę w ambulatorium. Właśnie przywieźli kobietę w stanie krytycznym; nie zdążyła uciec z płonącego domu...

Nicole otworzyła drzwi do sali 204. W kącie siedziała żona Kima, śliczna trzydziestoletnia Koreanka. Nicole objęła ją ramieniem. Jeden z biotów Tiasso wydrukował jakieś wykresy. Nicole spojrzęła na nie i doszła do wniosku, że stan Kima rzeczywiście jest beznadziejny.

Podniosła do góry wzrok i zdziwiła się; przy łóżku chorego siedziała Ellie z zabandażowaną głową i trzymała Kima za rękę.

- Nicole - szepnął Kim ostatkiem sił. Jego twarz była czarna, wyglądała jak zwęglona. Każde słowo sprawiało mu ból. - Chcę umrzeć. - Spojrzał na żonę.

Pani Lee wstała i podeszła do Nicole.

- Mąż prosi, żebym podpisała zgodę na eutanazję... Ale nie zrobię tego dopóki nie usłyszę

od pani, że nie ma żadnej szansy, aby Kim jeszcze kiedykolwiek był szczęśliwy... - powiedziała i się rozpląkała.

Nicole zawahała się.

- Czegoś takiego nie mogę powiedzieć - odparła po chwili. Patrzyła to na umierającego mężczyznę, to na jego żonę. - On prawdopodobnie umrze w strasznych męczarniach w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Jeżeli stanie się cud i wyzdrowieje, do końca życia pozostanie kaleką...

- Chcę umrzeć teraz - powtórzył z trudem Kim.

Nicole wysłała jednego z biotów po formularze wymagane przy eutanazji. Dokumenty te wymagały podpisu lekarza, współmałżonka oraz osoby zainteresowanej, o ile lekarz uzna, że jest ona w stanie podjąć taką decyzję.

Po wyjściu biota Nicole dała Ellie znak, że chciałyby z nią porozmawiać na korytarzu.

- Co tutaj robisz? - spytała szeptem. - Prosiłam cię, żebyś została w domu, miałaś leżeć w łóżku. Doznałaś wstrząśnienia mózgu.

- Nic mi nie jest, mam - odparła Ellie. - Kiedy dowiedziałam się, że pan Lee został poparzony, chciałam mu jakoś pomóc... On był tak wspaniałym przyjacielem w pierwszych dniach kolonii...

- Jego stan jest krytyczny - powiedziała Nicole. - Trudno mi uwierzyć, że jeszcze żyje.

Ellie dotknęła ramienia matki.

- On chce, żeby z jego śmierci był jakiś pożytek - powiedziała. - Sam mi to powiedział... Zawiadomiłam już Amadou, ale przedtem muszę porozmawiać z doktorem Turnerem.

Nicole spojrzała na córkę ze zdziwieniem.

- O czym ty mówisz?

- Nie pamiętasz, kim jest Amadou Diaba? To Nigeryjczyk, przyjaciel Eponine, z zawodu aptekarz... Jego prababka pochodzi z plemienia Senoufo. To on zaraził się RV-41 poprzez transfuzję krwi... Eponine mówiła mi, że jego serce pracuje coraz gorzej.

Nicole milczała. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Chcesz, żebym poprosiła doktora Turnera aby sam dokonał przeszczepu serca, bez robotów? Teraz, w samym środku kryzysu?

- Jeżeli podejmie decyzję od razu, operację można by przeprowadzić wieczorem, prawda? Serce Kima można przechować przez kilka godzin...

- Ależ Ellie, przecież nie wiemy nawet...

- Już to sprawdziłam - przerwała jej Ellie. - Tiasso powiedziała, że serce Kima nadawałoby się...

- Dobrze - powiedziała Nicole - pomyślę o tym. A teraz bardzo bym cię prosiła, żebyś wróciła do łóżka. Wstrząśnienie mózgu to poważna sprawa.

- Co mam zrobić?! - spytał doktor Turner. W pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał.

- Widzi pan, doktorze - zaczął Amadou swoją znakomitą angielszczyzną - w zasadzie to nie jest prośba pani doktor Wakefield. To ja pana proszę, aby dokonał pan tej operacji. I proszę nie mówić o ryzyku. Dobrze wiem, że zostało mi nie więcej niż trzy miesiące życia. Zdaję sobie sprawę, że mogę umrzeć na stole operacyjnym. Ale jeżeli przeżyję, to zgodnie ze badaniami statystycznym które mi pan pokazywał, prawdopodobieństwo, że pożyję jeszcze osiem lat wynosi pięćdziesiąt procent. Mógłbym się nawet ożenić i mieć dzieci...

Doktor Turner spojrział na ścienny zegar.

- Niech pan zapomni o tym, że jest już po pomocy, a ja przez ostatnie dziewięć godzin bez przerwy opatrywałem rannych. Proszę się zastanowić tylko nad tym, o co pan mnie prosi: ostatni raz przeszczepu serca dokonałem pięć lat temu. Nigdy nie robiłem tego bez asysty najlepszych kardiologów, zawsze miałem do dyspozycji najlepszy sprzęt. W zasadzie całą pracę wykonywały roboty...

- Wiem, doktorze. Ale bez przeszczepu umrę i nie mogę liczyć w najbliższej przyszłości na innego dawcę. Poza tym Ellie powiedziała mi, że przygotowując przyszłoroczny budżet szpitala zastanawiał się pan nad różnymi technikami przeszczepów...

Doktor Turner spojrział na Ellie ze zdziwieniem.

- Matka powiedziała mi o pańskich przygotowaniach. Mam nadzieję, że nie gniewa się pan na mnie za to, że poinformowałam o tym Amadou...

- Chętnie pomogę panu, doktorze, o ile moja pomoc może się na coś przydać - oświadczyła Nicole. - Sama nigdy nie przeprowadzałam takiej operacji, ale praktykę lekarską odbywałam właśnie na oddziale kardiologii.

Doktor Turner rozejrzał się po pokoju. Spojrział na Ellie, na Amadou i wreszcie na Nicole.

- No cóż, w takim razie sprawa jest przesądzona. Nie wydaje mi się, abym miał jakiś wybór...

- Zrobi pan to? - spytała z podnieceniem Ellie.

- Spróbuję - odparł doktor, podszedł do Amadou i wziął go za rękę. - Zdaje pan sobie sprawę, że może się pan nie obudzić po operacji?

- Tak, doktorze. Ale wolę to niż pewną śmierć. I... dziękuję panu.

Turner zwrócił się do Nicole:

- Spotkamy się w moim gabinecie za piętnaście minut, musimy omówić szczegóły...

Korzystając z okazji: czy mogłaby pani polecić jednemu ze swoich biotów, żeby przyniósł nam trochę kawy?

Podczas przygotowań do operacji odżyły wspomnienia, o których doktor Turner starał się zapomnieć. Chwilami odnosił wrażenie, że wciąż pracuje w Dallas Medical Centre. Był wtedy szczęśliwy, ale było to tak dawno temu, że wspomnienia te zdawały się pochodzić z innego świata. Kochał swoją pracę, kochał swoją rodzinę...

Doktorzy Turner i Wakefield sporządzili plan operacji; po wykonaniu każdego zadania sprawdzali, czy wszystko jest w porządku. Doktor Tuner wydobył z piersi serce Amadou i podał je Nicole i Ellie (która chciała asystować w operacji na wypadek, gdyby była potrzebna), żeby pokazać stopień wyniszczenia tkanki. Mężczyzna zmarłby w przeciągu kilku tygodni.

Mechaniczna pompa podtrzymywała krążenie krwi; nowe serce zostało umieszczone na swoim miejscu i "podłączone" do tętnic i żył. Była to najtrudniejsza faza operacji. Doktor Turner nigdy nie widział, aby przeprowadzał ją człowiek.

Jego zdolności manualne wykształciły się podczas wielu operacji przeprowadzonych w szpitalach Nowego Edenu. Doktor sam był zdziwiony łatwością, z jaką udało mu się połączyć nowe serce z tętnicami.

Za oknami świtało. Gdy najtrudniejszą fazę operacji mieli już za sobą, Nicole zaofiarowała swoją pomoc w zaszywaniu klatki piersiowej. Ale Tuner potrząsnął głową. Wszystko chciał zrobić własnoręcznie.

Zmęczenie sprawiło, że ostatnim minutom operacji towarzyszyły dziwne wizje. A może wywołał je przyływ adrenaliny, który nastąpił w chwili, gdy zrozumiał, że operacja się udała? Tak czy owak odniósł wrażenie, że w twarzy Amadou zachodzą jakieś zmiany. Twarz pacjenta przeobraziła się w twarz Carla Tysona - Murzyna, którego zamordował w Dallas... Kończąc zakładanie szwów doktor podniósł do góry wzrok; przeraził go butny grymas na twarzy Carla Tysona. Turner zamrugnął oczami, na stole operacyjnym znów leżał Amadou Diaba...

Złudzenie powtórzyło się jeszcze kilkakrotnie, aż w końcu spytał Nicole, czy w twarzy Amadou dostrzega jakieś zmiany.

- Nie widzę nic prócz uśmiechu - odparła. - Nigdy nie widziałam pag"enta, który by się tak uśmiechał pod narkozą...

Gdy operacja dobiegła końca, jeden z biotów poinformował, że pagent czuje się dobrze. Pomimo zmęczenia doktor Turner, Nicole i Ellie, byli w wyśmienitych humorach. Turner zaprosił panie do swojego gabinetu na kawę. Nie wiedział jeszcze, że za chwilę oświadczy się Ellie...

Ellie zamurowało. Patrzyła na doktora z niemym zdziwieniem. Turner zerknął na Nicole, a potem znów spojrzał na Ellie.

- Wiem, że nie spodziewałaś się tego - ciągnął - ale moja decyzja jest przemyślana. Kocham cię, chcę żebyś została moją żoną i im prędzej to się stanie tym lepiej.

W pokoju zapadła cisza. Doktor Turner wstał i zamknął drzwi, potem wyłączył telefon. Ellie chciała coś powiedzieć.

- Nie! - rzekł Turner z mocą. - Nic nie mów. Jest coś, co powinienem zrobić...

Usiadł na krześle i westchnął.

- Już dawno powinienem był wam to powiedzieć - wyszeptał - zasługujecie na to, żeby znać prawdę.

Oczy Turnera zaszklily się, jego głos się załamał; po chwili doktor opanował się i zaczął opowiadać.

- Miałem trzydzieści trzy lata i byłem bardzo szczęśliwy. Byłem jednym z najlepszych kardiochirurgów w Ameryce, miałem piękną, kochającą żonę i dwie śliczne córeczki, z których jedna miała trzy a druga dwa lata. Mieszkaliśmy w pięknej willi, w bardzo dobrej dzielnicy, czterdzieści kilometrów na północ od Dallas.

- Pewnego wieczora wracałem ze szpitala do domu; było późno, bo przeprowadzaliśmy skomplikowaną operację na otwartym sercu. Zatrzymali mnie ludzie z ochrony osiedla. Zachowywali się dziwnie i dopiero po kilku rozmowach przez krótkofalówkę i dziwnych, ukradkowych spojrzaniach, przepuścili mnie dalej.

- Przed domem stały dwa samochody policyjne, karetka i trzy telewizyjne wozy transmisyjne. Gdy skręciłem na wjazd do garażu, zatrzymał mnie policjant. Wsiadłem. Dookoła było pełno kamer telewizyjnych, strzelały flesze. Policjant zaprowadził mnie do środka.

- Moja żona leżała na noszach, była przykryta prześcieradłem. Miała poderżnięte gardło. Na piętrze rozmawiali jacyś ludzie. Pobiegłem po schodach do córek. Dziewczynki leżały tam, gdzie je zamordowano: Christie na podłodze w łazience, Amanda w swoim łóżku. One także miały poderżnięte gardła...

Doktor Turner urwał, nie mógł mówić dalej; zaczął szlochać.

- Nigdy nie zapomnę tego widoku... Myślę, że Amanda nawet się nie obudziła, na jej ciele nie było żadnego zadrapania... Tylko rana na szyi... Kim był człowiek, który odważył się zabić te niewinne stworzenia?

Łzy spływały mu po policzkach, Turner zamilkł nie mogąc złapać tchu. Ellie usiadła przy nim na podłodze i wzięła go za rękę.

- Przez następne pięć miesięcy nie mogłem pracować, nie mogłem jeść... Ludzie starali się mi pomóc; przyjaciele, psychiatry, inni lekarze... Ale to nie pomagało, nie byłem w stanie normalnie funkcjonować. Po prostu nie mogłem pogodzić się z myślą, że moja żona i dzieci nie żyją...

- W niecały tydzień później policja schwytała sprawcę, mężczyzna nazywał się Carl Tyson. Miał dwadzieścia trzy lata, był Murzynem, który do pobliskiego sklepu przywoził warzywa. Moja żona zawsze zamawiała tam zakupy. Carl Tyson wielokrotnie bywał w naszym domu - sam widziałem go przynajmniej kilka razy - i z pewnością dobrze się orientował w rozkładzie pokoi.

- Pomimo otępienia wiedziałem o toczącym się śledztwie. Najpierw wszystko wydawało się proste; w domu znaleziono odciski palców Carla Tysona, widziano go tego dnia na naszym osiedlu. Skradziono prawie całą biżuterię Lindy, więc motyw wydawał się oczywisty. Myślałem, że morderca zostanie osądzony, skazany, a wyrok wkrótce wykonany.

- Tymczasem sprawa się skomplikowała. Nie odnaleziono biżuterii. Ludzie z ochrony zanotowali godzinę, o której Tyson wjeżdżał i wyjeżdżał z terenu osiedla. Przebywał tam tylko dwadzieścia dwie minuty, uznano więc, że miał zbyt mało czasu by dostarczyć do sklepu warzywa i jeszcze popełnić trzy morderstwa. Jego obrony podjął się pewien znany adwokat; za jego radą Tyson złożył nowe zeznania, z których wynikało, że Linda prosiła go o pomoc w przestawianiu mebli. Miało to wyjaśnić skąd w domu wzięły się jego odciski palców...

Doktor Turner umilkł, na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Ellie uściśnęła jego dłoń.

- Kiedy doszło do procesu, oskarżenie przedstawiło następujący przebieg wypadków: Tyson przywiózł do naszego domu warzywa; z rozmowy z Lindą wywnioskował, że jestem w szpitalu i wrócę dopiero w nocy. Moja żona była ufną kobietą, możliwe więc że zwierzyła się Tysonowi, iż wrócę późno... W każdym razie, według prokuratora, po pracy w sklepie Tyson powrócił. Przeskoczył przez mur okalający osiedle i ruszył przez pole golfowe. Wszedł do naszego domu, aby ukraść biżuterię Lindy spodziewając się, że domownicy będą spać. Tymczasem natknął się na moją żonę, przestraszył się i aby pozbyć się świadków - zabił najpierw ją, a potem dzieci...

- Choć nikt nie widział nocnej ucieczki Tysona sądziłem, że dowody jego zbrodni są wystarczające, tym bardziej Murzyn nie miał żadnego alibi. Błoto, znalezione na podeszwach jego butów miało taki sam skład chemiczny jak błoto przy potoku za naszym domem. Po morderstwie Tyson przez dwa dni nie pokazywał się w pracy, a na dodatek w chwili aresztowania miał ze sobą większą ilość gotówki, którą jak twierdził, "wygrał w pokera".

- Gdy głos zabrała obrona zacząłem się zastanawiać, czy nasz wymiar sprawiedliwości działa poprawnie. Adwokat Tysona przedstawił sprawę jako typowy proces o podłożu rasistowskim: oskarżony został przedstawiony jako biedny, niewinny Murzyn, oskarżony na

podstawie łatwych do podważenia "dowodów". Obrońca Tysona upierał się, że w dniu kiedy popełniono zbrodnię jego klient jedynie dostarczył do naszego domu warzywa. Natomiast jakiś inny człowiek - prawdopodobnie psychopata-przedostał się na teren osiedla, ukradł biżuterię i zamordował moją żonę i dzieci...

- Podczas ostatnich dwóch dni procesu nabrałem pewności, że Tyson zostanie uniewinniony. Byłem rozgoryczony. Nie miałem żadnych wątpliwości, że to on jest sprawcą zbrodni i nie mogłem pogodzić się z myślą, że ominie go kara.

- Podczas sześciotygodniowego procesu nie opuściłem ani jednej rozprawy. Do sądu zawsze przychodziłem z torbą lekarską. Początkowo wartownicy poddawali ją skrupulatnej kontroli, ale z biegiem czasu - także dlatego, że wielu z nich szczerze mi współczuło - po prostu mnie przepuszczali.

- Na tydzień przed procesem polecałem do Kalifornii, rzekomo po to, aby wziąć udział w konferencji naukowej. Naprawdę jednak chciałem na czarnym rynku kupić broń, która zmieściłaby się w mojej torbie. Zgodnie z moimi przewidywaniami w dniu ogłoszenia wyroku wartownicy nie sprawdzili jej zawartości.

- Gdy ogłoszono wyrok, Murzyni na galerii zaczęli tańczyć z radości. Carl Tyson i jego adwokat, Żyd o nazwisku Irving Bernstein, padli sobie w ramiona. Otworzyłem torbę, złożyłem broń i... zabiłem ich obu...

Doktor Turner zamilkł.

- Dotychczas nigdy nie przyznałem - ciągnął po chwili - nawet przed samym sobą, że postąpiłem źle. Jednak teraz, podczas operacji Amadou zrozumiałem, do jakiego stopnia przez te wszystkie lata cierpienie zatruwało moją duszę... Moja zemsta nie zwróciła mi żony i dzieci, nie przywróciła mi też szczęścia. Jedynie w tej krótkiej chwili, gdy pociągnąłem za spust, poczułem zwierzęcą przyjemność wiedząc, że Tyson i jego adwokat nie żyją...

Turner spojrzał na Ellie, w oczach znów miał łzy.

- Może nie jestem ciebie wart, ale kocham cię Ellie i chciałbym się z tobą ożenić. Mam nadzieję, że wybaczysz mi to, co zrobiłem przed laty.

Ellie spojrzała mu w oczy i uściśliła jego dłoń.

- Niewiele wiem o miłości - powiedziała powoli - nigdy dotąd nie miałam takich doświadczeń. Wiem tylko, że cudownie się czuję, gdy o tobie myślę. Szanuję cię, może również cię kocham... Chcę jednak najpierw porozmawiać o tym z rodzicami... Jeżeli nie będą mieli nic przeciwko temu, wyjdę za ciebie za mąż.

8.

Nicole stałą oparta o umywalkę i przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Opuszkami palców dotknęła zmarszczek pod oczami i przyglądziła siwe włosy. Niedługo będziesz staruszką, powiedziała do siebie.

- Gdy się człowiek robi starszy, wszystko w nim po trochu parszy... - powiedziała głośno i roześmiała się.

Zrobiła krok w tył i obróciła się, żeby zobaczyć jak wygląda z tyłu. Zielona suknia, którą zamierzała włożyć na ślub Ellie, dobrze prezentowała się na jej wciąż zgrabnej figurze. Nieźle, pomyślała. W każdym razie Ellie nie będzie miała się czego wstydzić...

Na nocnym stoliku stały fotografie Genevieve i jej męża, które Nicole dostała od Kenjiego Watanabe. Wróciła do sypialni i spojrzała na nie. Nie mogłam być na twoim ślubie, Genevieve, pomyślała ze smutkiem. Nawet nie znam twojego męża...

Walcząc z narastającym przygnębieniem wyjęła fotografię Simone i Michaela O'Toole, zrobioną w dniu ich ślubu w Punkcie Węzłowym. Ciebie opuściłam zaledwie w tydzień po ślubie... Byłaś taka młoda, Simone, mówiła do siebie Nicole, ale pod pewnymi względami o wiele dojrzała niż Ellie...

Nie pozwoliła sobie na dalsze wspomnienia, należało skoncentrować się na terażniejszości. Sięgnęła po zdjęcie Ellie, wiszące na ścianie obok zdjęć jej braci i sióstr. Moja trzecia córeczka wychodzi za mąż. Trudno w to uwierzyć... Czasami życie biegnie tak szybko...

Oczami wyobraźni ujrzała sceny z życia córki: niemowlę śpiące w Białej Komnacie na pokładzie Ramy II; jej pełne ciekawości i podziwu oczy, gdy zbliżali się do Punktu Węzłowego; zdziwienie Ellie, gdy po kilkuletnim śnie jej ciało nabrało kobiecych kształtów... Potem pomyślała o odwadze, mądrości i determinacji córki, która odważyła się publicznie wystąpić przed obywatelami Nowego Edenu w obronie doktora Turnera...

Nicole powiesiła zdjęcie Ellie na ścianie i zaczęła się rozbierać. Wieszając suknię w garderobie usłyszała jakiś szmer, jak gdyby ktoś cichutko zapłakał. Co to mogło być? - pomyślała. Długo siedziała bez ruchu, ale odgłos się nie powtórzył. Nagle poczuła się tak, jak gdyby Genevieve i Simone były razem z nią w pokoju. Rozejrzała się dookoła. Była sama.

Co się ze mną dzieje? Może za dużo pracuję? A może proces Martinezy i wesele Ellie sprawiły, że oszalałam?

Zrobiła kilka głębokich wdechów, starając się uspokoić. Pomimo to wciąż czuła obecność Simone i Genevieve. Złudzenie było tak silne, że z trudem się powstrzymywała, aby nie

porozmawiać ze swoimi córkami.

Przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyła z Simone przed jej ślubem z Michaelem O'Toole.

A może przyszedł do mnie, zastanowiła się, żeby mi przypomnieć, iż nie odbyłam jeszcze z Ellie „poważnej rozmowy”... Nicole wybuchnęła nie kontrolowanym, nerwowym śmiechem, ale gęsia skórka na plecach pozostała.

Wybaczcie mi, kochane córeczki, powiedziała, zwracając się do fotografii Ellie i duchów Genevieve i Simone. Obiecuję wam, że jutro...

Tym razem pisk był o wiele głośniejszy. Nicole zamarła; przyływ adrenaliny sprawił, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach.

Pobiegła do pracowni Richarda.

- Richardzie - zawołała jeszcze zanim znalazła się w jego pokoju - słyszałeś...?

Urwała w pół słowa. W pracowni jej męża panował nieopisany bałagan. Richard leżał na podłodze, obok niego stały jakieś monitory i sterta elektronicznych układów. W jednej ręce trzymał księcia Halla, w drugiej podręczny komputer. Schylały się nad nim dwie Garcie i Einstein pozbawiony obudowy.

- Witaj, kochanie - mruknął Richard. - Myślałem, że śpisz.

- Przed chwilą słyszałam pisk jednego z ptaków. Był bardzo blisko... - Nicole zawahała się, czy powiedzieć mężowi o „wizycie” Genevieve i Simone.

Richard zmarszczył brwi.

- Nic nie słyszałem - powiedział. - A wy? - zwrócił się do biotów. Bioty przecząco pokręciły głowami, włącznie z Einsteinem, który miał otwartą klatkę piersiową; wychodzące z niej kable podłączone były do monitorów na podłodze.

- Jestem pewna, że coś słyszałam - powiedziała Nicole. A może to po prostu stres? - pomyślała, przyglądając się chaosowi panującemu na podłodze. - Co robisz, kochanie?

- Pytasz o to? - Richard zatoczył ręką dookoła. - To nic takiego. Po prostu pracuję...

- Znowu zatajasz przede mną prawdę. To nie może być „nic takiego”, znam cię dość dobrze. Po co te tajemnice?

Richard spojrzał na ekran jednego z monitorów i potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się to - powiedział podnosząc do góry wzrok. - Czy ostatnio przypadkiem nie korzystałaś z mojej bazy danych? - spytał.

- Nie, oczywiście, że nie. Przecież nawet nie znam hasła... Ale nie o tych chciałam z tobą mówić...

- Ktoś... - Richard urwał, szybko wprowadzając kod programu testującego bezpieczeństwo

danych; spojrzął w ekran. - W ciągu ostatnich trzech tygodni nastąpiło to co najmniej pięć razy... Jesteś pewna, że to nie ty?

- Tak, jestem pewna - rzekła Nicole z mocą. - Ale ty wciąż starasz się zmienić temat... Powiedz prawdę: nad czym pracujesz?

Richard postawił księcia Halla na podłodze i spojrzął Nicole prosto w oczy.

- Na razie nie mogę ci powiedzieć - powiedział z wahaniem. - Proszę, daj mi jeszcze kilka dni...

Nicole była zaskoczona. Po dłuższej chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Dobrze, kochanie, jeżeli to prezent ślubny dla Ellie, to chętnie poczekam...

Richard wrócił do pracy, a Nicole usiadła na jedynym krześle, na którym nie leżały sterty układów elektronicznych i zwoje kabli. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę ze swojego zmęczenia. Może to właśnie wycieńczenie organizmu było źródłem omamów słuchowych?

- Kochanie... - odezwała się po kilku minutach.

- Tak? - spytał Richard podnosząc głowę.

- Czy nigdy nie zastanawiałaś się nad tym, co naprawdę dzieje się w Nowym Edenie? Dlaczego konstruktorzy Ramy pozostawili nas samych sobie? Większość kolonistów w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, że znajduje się na pokładzie statku kosmicznego. Dlaczego? Dlaczego Orzeł, albo jakiś inny twór tej przewyższającej nas cywilizacji, nie pojawił się ani razu? Może wtedy udałoby się rozwiązać nasze problemy...

Richard wybuchnął śmiechem.

- Z czego się śmiejesz?

- To co powiedziałaś przypomniało mi jedną z rozmów z Michaeliem O'Toole. Było mu przykro, że nie wierzę w świadectwo apostołów; powiedział, że Bóg powinien był przewidzieć, że jesteśmy "gatunkiem Niewiernych Tomaszów", i należało zaplanować częste "rewizyty" zmartwychwstałego Chrystusa...

- Ale przecież tutaj chodzi o coś zupełnie innego - zaprotestowała Nicole.

- Czyżby? To, co pierwsi chrześcijanie głosili na temat Jezusa było równie nieprawdopodobne, jak nasza historia o Punkcie Węzłowym i wieloletniej podróży z prędkością podświetlną... Kolonistom łatwiej jest uwierzyć, że ten statek to jeszcze jeden eksperymentem ISA. Niewielu z nich zna się na tyle dobrze na technice, aby pojąć, że jego budowa znacznie przekracza nasze możliwości technologiczne...

- Więc nic nie możemy zrobić, żeby ich przekonać o...

Rozległ się głośny pisk telefonu. Na monitorze pojawiła się twarz Maxa Pucketta.

- Mamy kłopoty w kompleksie więziennym - powiedział. - Ludzie chcą zlinczować Martineza. Uszkodzili już dwie Garcie, teraz zabierają się do innych. Sędzia Myszkin usiłuje się z nimi dogadać, ale tłum jest bardzo wzburzony. Podobno Mariko Kobayashi przed dwiema godzinami popełniła samobójstwo. Jej rodzina jest tutaj, ojciec także...

Nicole ubrała się w dres. Richard na próżno starał się ją zatrzymać.

- To była moja decyzja - powiedziała wsiadając na rower - i ja ponoszę jej konsekwencje.

Ruszyła pedałując z całych sił. O tej porze na rowerze można było dojechać do ośrodka administracyjnego w cztery, pięć minut, znacznie szybciej niż pociągiem.

Kenji się mylił, myślała, rano należało zorganizować konferencję prasową, podczas której uzasadniłabym swoją decyzję...

Na rynku zgromadziło się prawie sto osób. Ludzie stali przed kompleksem więziennym, w którym Pedro Martinez przebywał od czasu wniesienia przeciwko niemu aktu oskarżenia o zgwałcenie Japonki Mariko Kobayashi. Na szczycie schodów prowadzących do więzienia stał sędzia Myszkin i przez megafon przemawiał do gniewnego tłumu; przed ludźmi ochraniała go dwudziestka biotów, były to głównie Garcie, ale także Lincolny i Tiasso.

- A teraz słuchajcie - mówił siwowłosy Rosjanin - jeżeli Pedro Martinez popełnił przestępstwo, zostanie skazany. Ale nasza konstytucja gwarantuje mu sprawiedliwy proces...

- Zamknij się, staruszkule! - krzyknął ktoś z tłumu. - Chcemy Martineza! - krzyczał ktoś inny.

Przed teatrem pięciu skośnookich mężczyzn budowało szafot. Tłum zaczął wiwatować, gdy jeden z nich zrobił ze sznura pętlę. Młody, barczysty Japończyk przecisnął się do przodu:

- Zjeżdżaj, staruchu - krzyknął - i zabieraj ze sobą te nakręcane kukły. Nie o ciebie nam chodzi! Przyszliśmy pomścić córkę pana Kobayashi!

- Mariko, nigdy o tobie nie zapomnimy! - krzyknęła młoda kobieta.

Nagle jakiś rudowłosy chłopak uderzył Garcie w głowę aluminiowym kijem do baseballa. Rysy jej twarzy uległy zniekształceniu, ale biot nie cofnął się ani o krok.

- Bioty nie odpowiedzą na wasz atak - rzekł przez megafon Myszkin. - Ich niszczenie jest bezcelowe, to czysty wandalizm.

Od strony Hakone nadbiegło kilku ludzi; tłum zaczął wiwatować widząc kilkunastu młodzieńców niosących drewniane pale.

- Zaraz pozbędziemy się biotów strzegących Martineza! - krzyknął młody Japończyk. - Dajemy ci ostatnią szansę, staruszkule: jeżeli się nie odsuniesz, zrobimy ci krzywdę.

Ludzie przepychali się do przodu, chcąc wziąć udział w taranowaniu drzwi. W tej samej chwili na rynek wjechała Nicole Wakefield.

Zeskoczyła z siodełka, minęła kordon biotów i stanęła obok Myszkina.

- Panie Kobayashi - krzyknęła przez megafon - chcę wyjaśnić, dlaczego Pedro Martinez nie będzie sądzony przez ławników. Czy zechce się pan do mnie zbliżyć?

Stojący z boku Kobayashi powoli ruszył do schodów, z których przemawiała Nicole.

- Kobayashi-san - powiedziała Nicole po japońsku - wiadomość o śmierci pańskiej córki bardzo mnie zasmuciła...

- Obłudnica! - krzyknął ktoś z tłumu. Wśród zgromadzonych rozszedł się groźny pomruk.

- Sama jestem matką - mówiła Nicole - i potrafię sobie wyobrazić, co pan teraz czuje...

- Pozwólcie, że wyjaśnię - Nicole przeszła na angielski - dlaczego podjęłam właśnie taką decyzję. Konstytucja Nowego Edenu mówi, że każdy obywatel ma prawo do "sprawiedliwego procesu". Od chwili powstania naszej kolonii sprawy kryminalne były sądzone przez przysięgłych. Ale w wypadku Martineza - z powodu nagłośnienia tej sprawy - obawiam się, że znalezienie bezstronnych przysięgłych byłoby niemożliwe.

Na placu rozległy się gwizdy.

- Nasza konstytucja nie mówi jak zapewnić oskarżonemu "sprawiedliwy proces" - ciągnęła Nicole - bez przysięgłych. Ale ponieważ nasi "zawodowi" sędziowie są ludźmi, którzy mają wielką wprawę w orzekaniu winy wyłącznie na podstawie dowodów i nie kierują się emocjami, postanowiłam, że Pedro Martinez stanie przed Sądem Nadzwyczajnym Nowego Edenu. Dzięki temu wszystkie dowody zostaną wnikliwie zbadane...

- Ale my wiemy, że Martinez jest winny! - wykrzyknął pan Kobayashi. - Przecież przyznał się, że odbył z moją córką stosunek. Wiemy także, że w Nikaragui dopuścił się gwałtu... Dlaczego go pani ochrania? Dlaczego moja rodzina nie ma prawa do sprawiedliwości?

- Ponieważ prawo... - zaczęła Nicole, ale została zakrzyczana.

- Chcemy Martineza! Chcemy Martineza! - skandował tłum. Długie, drewniane pale znów znalazły się w powietrzu. Ludzie zaczęli się przepychać; koniec jednego pala zawadził o pomnik - mapę wszechświata, wyznaczającą trajektorię Ramy. Szklana kula rozprysła się na tysiące kawałków, wypadły z niej elektroniczne obwody, a małe czerwone światełko, wskazujące pozycję statku, zgasło.

- Obywatele Nowego Edenu - Nicole próbowała przekrzyczeć tłum - wysłuchajcie mnie. W sprawie Martineza są pewne szczegóły, o których nie wiecie. Gdybyście mnie tylko posłuchali...

- Zabić tę murzyńską kurwę! - wrzasnął rudowłosy młodzieniec, który przed chwilą rozbił głowę jednemu z biotów.

Nicole spojrzała na niego płonącymi oczami.

- Co powiedziałeś?

Nagle zrobiło się zupełnie cicho. Chłopak poczuł, że jest sam. Rozejrzał się wokół siebie.

- Zabić tę murzyńską kurwę - powtórzył niepewnie. Nicole zbiegła ze schodów. Tłum rozstępował się przed nią.

- Powiedz to jeszcze raz - powiedziała stając tuż przed rudzielcem.

- Zabić... - zaczął chłopak.

Nicole uderzyła go w twarz, odgłos odbił się echem po rynku. Obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem w kierunku schodów. Ale tym razem ludzie zaczęli wyciągać do niej ręce, starając się ją złapać... Rudowłosy chłopak zacisnął dłonie w pięści...

W tej samej chwili rozległy się dwa głośne strzały. Ludzie nie wiedzieli, co się dzieje. Po chwili nastąpiły kolejne dwa wystrzały.

- Oto ja i moja strzelba - przemówił przez megafon Max Puckett. - Będę wam wdzięczny, jeżeli przepuścicie tę panią... Tak, teraz dobrze... I proponuję wam, żebyście już poszli do domów.

Nicole wyzwoliła się z uścisku ludzkich rąk, ale zgromadzeni wcale nie zamierzali się rozejść. Max podniósł do góry broń, wycelował w grubego sznur, z którego wykonano stryczek i pociągnął za spust. Sznur rozpadł się na kawałki, niektóre z nich wyleciały wysoko w powietrze i upadły w tłum.

- A teraz posłuchajcie - powiedział Max. - Jestem prostym człowiekiem, nie jestem taki, jak ci sędziowie. Właśnie pogwałciłem przepisy dotyczące obchodzenia się z bronią i spędzę jakiś czas w więzieniu... Szczerze wam mówię, nie chciałbym siedzieć w nim dłużej tylko dlatego, że zastrzeliłem któregoś z was...

Max skierował lufę w tłum. Ludzie odruchowo przypadli do ziemi. Max jeszcze raz strzelił w powietrze i serdecznie się roześmiał widząc gorliwość, z jaką ludzie opuszczają rynek.

Nicole nie mogła zasnąć, oczami wyobraźni wciąż widziała tę scenę. Idzie przez rozstępujący się tłum, podchodzi do rudowłosego chłopca i uderza go w twarz. Wcale nie jestem od niego lepsza, pomyślała.

- Nie śpisz, prawda? - spytał Richard.

- Hmm?

- Wszystko w porządku?

Zapadła cisza.

- Nie, Richardzie - odparła po chwili Nicole. - Mam do siebie żal o to, że uderzyłam tego chłopca...

- Przestań się za to winić... On sobie na to zasłużył... Obraził cię... Tacy ludzie wyznają tylko prawo pięści... - Przyniósł się do Nicole i zaczął masować jej plecy. - Boże - szepnął - nigdy nie byłaś taka spięta...

- Boję się - powiedziała Nicole. - Mam przeczucie, że nasze życie w Nowym Edenie rozwija się w złym kierunku... I wszystko co robiłam, poszło na marne...

- Kochanie, przecież dajesz z siebie wszystko... Muszę przyznać, że podziwiam twój upór... Nie zapominaj, że masz do czynienia z ludźmi... Możesz przewieźć ich do innego świata, nawet do raju, ale oni zawsze będą podszyci strachem, pełni kompleksów i przesądów. Nowy świat byłyby "nowy" dopiero wtedy, gdyby ludzie zaczęli z "pustymi głowami", gdyby tak jak komputery pozbawione systemu operacyjnego posiadali jedynie pewien intelektualny potencjał...

Nicole wysiliła się na uśmiech.

- Nie jesteś optymistą, kochanie.

- A dlaczego miałbym nim być? Ani na Ziemi, ani w Nowym Edenie nie widziałem nic, co pozwalałoby sądzić, że ludzie potrafią żyć ze sobą w zgodzie, nie mówiąc już o współżyciu z innymi gatunkami. Czasami trafia się jednostka, a nawet grupa, która jest w stanie przekroczyć nasze genetyczne i środowiskowe uwarunkowania... Ale tacy ludzie stanowią wyjątek, nie są regułą...

- Nie zgadzam się z tobą - szepnęła Nicole. - Nie pozostawiasz nam nawet cienia nadziei... Wierzę, że większość ludzi bardzo stara się osiągnąć życiową harmonię. Po prostu nie wiemy, jak to zrobić. Dlatego musimy się kształcić... I potrzebujemy dobrych przykładów...

- Nawet dla tego rudowłosego chłopaka? Wierzysz, że można mu wyperswadować brak tolerancji?

- Muszę w to wierzyć, kochanie - powiedziała Nicole. - W przeciwnym razie... obawiam się... musiałabym się poddać.

Richard zakaszłał. Równie dobrze mógł to być śmiech.

- Co tam?

- Zastanawiam się, czy Syzyf naprawdę wierzył w to, że następnym razem głaz nie stoczy się w dół...

Nicole uśmiechnęła się.

- Musiał wierzyć, inaczej nie pracowałyby tak ciężko... W każdym razie tak myślę...

9.

Wysiadając w Hakone z pociągu Kenji Watanabe myślał o poprzednim spotkaniu z Toshio Nakamurą, które miało miejsce przed laty. Wtedy także do mnie zadzwonił, myślał Kenji. Chciał porozmawiać o Keiko.

Zatrzymał się przed jednym ze sklepów, by poprawić krawat. W szybie ujrzał swoje odbicie sprzed lat, znowu był nastolatkiem z Kioto i szedł na spotkanie z rywalem. Ale to było dawno temu, chodziło nam wtedy wyłącznie o naszą dumę... Teraz od wyniku rozmowy zależy los naszego małego świata...

Nai nie chciała, żeby Kenji spotkał się z Nakamurą. Pragnęła inaczej rozwiązać tę sprawę. Nicole także była przeciwna temu spotkaniu.

- To nieuczciwy człowiek i w dodatku megaloman - powiedziała. - Nic dobrego z tego nie wyniknie. On chce poznać twoje słabe miejsca.

- Ale powiedział, że jest w stanie zmniejszyć napięcie inujące w naszym społeczeństwie...

- Za jaką cenę? Uważaj na jego warunki. Ten człowiek nic nie zrobi za darmo...

Dlaczego tu przyszedłem? - zastanawiał się Kenji przyglądając się olbrzymiemu pałacowi. Trudno powiedzieć; może chodzi o honor? Albo o godność...

Pałac Nakamury i sąsiednie domy zbudowano z drewna. Niebieskie dachy, wypielęgnowane ogródki, drzewa, zapach kwiatów - wszystko to przypomniało Kenjiemu jego rodzinne miasto.

W drzwiach przywitała go piękna dziewczyna w kimonie. Powiedziała "Ohairi kudasai" i ukloniła się nisko. Kenji zdjął buty i włożył sandały. Idąc do zachodniego skrzydła, gdzie podobno Nakamura spędzał wolny czas ze swoimi konkubinami, dziewczyna w kimonie ani razu nie podniosła wzroku.

Po chwili zatrzymali się przed papierowym parawanem przedstawiającym lecące żurawie.

- Dozo - powiedziała dziewczyna, zapraszając Kenjiego dalej. Usiadł na jednej z poduszek przy niewielkim, czarnym stoliku. Spóźni się, pomyślał, to wszystko jest grą...

Inna, równie piękna dziewczyna w pastelowym kimonie bezszelestnie przyniosła do pokoju herbatę. Kenji sączył ją powoli i rozglądał się po pokoju. W rogu stał drewniany, pięknie rzeźbiony, czteroczęściowy parawan. Kenji wstał, żeby mu się przyjrzeć z bliska.

Każda z części przedstawiała jedną porę roku. "Zima" przedstawiała scenę w górskim ośrodku narciarskim, "wiosna" - wiśnie kwitnące wzdłuż rzeki Karna, "lato" - szczyt Fuji w śniegu,

wznoszący się nad pięknym krajobrazem, a , jesień" - różnobarwne drzewa okalające mauzoleum Tokugawy w Nikko.

To bardzo piękne, pomyślał Kenji, czując przyływ tęsknoty za domem. Nakamura usiłuje odtworzyć świat, który utraciliśmy. Ale dlaczego? Dlaczego swoje brudne pieniądze wydaje na tak wspaniałą sztukę? To dziwny człowiek...

Wnętrze parawanu przedstawiało siedemnastowieczną bitwę o zamek w Osace, po której Tokugawa Ieyasu został szogunem. Brały w niej udział setki samurajów, a nawet sam Tokugawa, który o głowę przewyższał swoich żołnierzy; był wyraźnie zadowolony z odniesionego zwycięstwa. Kenjiego zastanowiło dziwne podobieństwo rysów twarzy Tokugawy do Nakamury.

Zamierzał właśnie wrócić do stołu, gdy otworzyły się drzwi do pokoju.

- Omachido sama deshita - powiedział Nakamura wykonując niewielki ukłon.

Kenji ukłonił się dość dziwacznie, ani na chwilę nie spuszczał wzorku z gospodarza. Nakamura miał na sobie samurajski strój, włącznie z mieczem i sztyletem. Widocznie chce mnie zaskoczyć i przestraszyć, pomyślał Kenji.

- Ano, hajememashoka - rzekł Nakamura siadając. - Kocha go, oishii desu, ne?

- Totemo oishii desu - odparł Kenji pijąc herbatę, która rzeczywiście była wyśmienita. Ale on nie jest moim szogunem, pomyślał. Muszę zmienić charakter tej rozmowy...

- Nakamura-san, obydwaj jesteśmy poważnymi ludźmi - zaczął gubernator Watanabe po angielsku. - Chcę, żebyśmy zakończyli te grzeczności i od razu przeszli do sedna sprawy. Rozmawiałem dziś z jednym z pańskich ludzi, który powiedział, że "martwią" pana wydarzenia ostatnich dni i chciałby mi pan udzielić "kilku dobrych rad". Podobno mogą się przyczynić do rozładowania napięcia panującego w Nowym Edenie. Dlatego tu jestem.

Twarz Nakamury nie wyrażała żadnych uczuć, ale jego głos zdradzał złość.

- Zapominał pan o japońskiej grzeczności, Watanabe-san - rzekł Nakamura. - Niegrzecznie jest zaczynać rozmowę o interesach zanim nie pochwali się gospodarza za gościnę i zapyta o jego zdrowie... Nieodpowiednie zachowanie może być przyczyną niezgody, a tej dałoby się uniknąć...

- Przykro mi - przerwał Kenji zniecierpliwiony - ale nie przyszedłem tutaj na lekcję dobrego wychowania. Poza tym nie jesteśmy w Japonii ani nawet na Ziemi, a stare japońskie zwyczaje są nam równie potrzebne jak pański strój...

Kenji nie zamierzał obrazić Nakamury. Obnażył prawdziwe zamiary swojego przeciwnika zupełnie niechcący. Nakamura zerwał się z miejsca. Gubernator spodziewał się, że gospodarz wyciągnie miecz.

- W porządku - warknął Nakamura. - Zrobimy to na twoich warunkach... Watanabe, straciłeś kontrolę nad kolonią. Obywatele są niezadowoleni z twoich rządów, wielu ludzi mówi mi,

że należałoby zawiesić cię w czynnościach; krążą pogłoski o powstaniu. W sprawach środowiska i RY-41 od samego początku prowadziłeś błędną politykę; na dodatek ta twoja Murzynka postanowiła, że gwałciciela nie osądzi ława przysięgłych. Światli koloniści prosili mnie, abym z tobą porozmawiał i nakłonił cię do dobrowolnego złożenia urzędu, zanim zapanuje chaos i anarchia... Tylko w ten sposób unikniemy rozlewu krwi...

To, co ten człowiek mówi, jest szalone. On chyba postradał zmysły, pomyślał Kenji i postanowił być bardzo ostrożny.

- Więc uważa pan, że powiniennem zrzec się urzędu?

- Tak - odparł Nakamura z mocą. - Ale nie natychmiast, dopiero jutro. Dziś odbierzesz Nicole des Jardins Wakefield sprawę Martineza, ona się do tego nie nadaje. Mogą się tym zająć inni sędziowie - Iannella lub Rodriquez. Zauważ - Nakamura usiłował się uśmiechnąć - że nie proponuję, abyś oddał sprawę sędziemu Nishiura...

- Czy jest jeszcze jakaś sprawa, o której chce mi pan powiedzieć? - spytał Kenji.

- Tylko jedna. Powiedz Ulianowowi, żeby wycofał swoją kandydaturę. I tak nie ma szansy na zwycięstwo w wyborach, a kontynuowanie jego kampanii przyczynia się do pogłębiania podziałów w naszym społeczeństwie; po zwycięstwie Macmillana trudno będzie doprowadzić do kompromisu... Spodziewam się ataku istot zamieszkujących drugi moduł. Nogowce - o których mówisz, że są bezbronne - to jedynie "straż przednia"...

Kenji był zszokowany słowami Nakamury; czyżby jego rywal z dzieciństwa był szaleńcem?

- ...Muszę podkreślić, że nie możemy tracić czasu - ciągnął Japończyk - zwłaszcza w sprawie Martineza i twojego odejścia. Prosiłem Kobayashiego i innych członków azjatyckiej społeczności, aby nie działali pośpiesznie, ale po wczorajszych wydarzeniach nie wiem, czy będę w stanie ich powstrzymać. Jego córka była piękną, utalentowaną dziewczyną. W liście pożegnalnym napisała, że nie chce być dłużej poniżana odwlekającym się procesem. Wśród ludzi panuje złość i rozgoryczenie...

Gubernator Watanabe zapomniał, że postanowił uważać na to, co mówi:

- Czy zdaje pan sobie sprawę - rzekł wstając - że w nocy, kiedy rzekomo dokonano gwałtu, w pochwie Mariko Kobayashi znaleziono nasienie dwóch mężczyzn? Zarówno Mariko jak i Pedro Martinez twierdzili, że tamtego wieczora byli sami... Choć w zeszłym tygodniu Nicole powiedziała Mariko o dowodach wskazujących na odbycie drugiego stosunku, dziewczyna upierała się przy swojej wersji...

Nakamura na moment stracił pewność siebie, spojrzał na Kenjiego niemal bezradnie.

- Nie udało nam się zidentyfikować drugiego mężczyzny - ciągnął Kenji - bo próbka jego spermy w tajemniczych okolicznościach zniknęła z laboratorium zanim przeprowadzono pełny test

DNA. Mamy jedynie dane z badania wstępnego...

- Dane wstępne są nic nie warte - rzekł Nakamura odzyskując pewność siebie.

- To nieprawda. W każdym razie mam nadzieję, że rozumie pan dylemat sędziny Wakefield: koloniści wydali już wyrok i dlatego Nicole nie chciała, aby w sprawie Martineza orzekali przysięgli.

Zapadła cisza. Gubernator zabierał się do odejścia.

- Zdziwiasz mnie, Watanabe - rzekł po dłuższej chwili Nakamura. - Obawiam się, że mnie nie zrozumiałeś. To, czy Martinez zgwałcił Mariko, czy nie, w zasadzie jest bez znaczenia... Obiecałem jej ojcu, że ten człowiek zostanie ukarany... I tylko to się liczy...

Kenji Watanabe z odrazą spojrział na byłego szkolnego kolegę.

- Pójdę już - powiedział - obawiam się, że mógłbym stracić cierpliwość.

- To była twoja ostatnia szansa - warknął Nakamura.

Kenji potrząsnął głową, odsunął papierowy parawan i wyszedł na korytarz.

Nicole szła wzdłuż plaży; był piękny, upalny dzień. Kilkadziesiąt metrów przed nią stali Ellie i doktor Turner. Jej córka miała na sobie ślubną suknię, pan młody ubrany był jedynie w spodenki kąpielowe. Ceremonię odprawiał Omeh, pradziadek Nicole.

Omeh wziął Ellie za ręce, złączył jej dłonie z dłońmi doktora Turnera, wznosił oczy ku niebu i zaczął nucić plemienną pieśń.

Na niebie szybował ptak, wydając piski w rytm rytualnej pieśni. Nicole zadarła głowę do góry; na horyzoncie kłębiły się czarne chmury, które spowiły całe niebo.

Silny wiatr targał jej włosami, które stały się nagle całkiem siwe. Fale na oceanie były się coraz wyższe, weselni goście zaczęli uciekać. Nicole nie mogła się poruszyć, stała wpatrzona w przedmiot którym miotają wzburzone fale.

Była to olbrzymia, plastikowa, zielona torba; powoli zbliżała się do brzegu. Nicole chciała ją wyłowić, ale bała się wysokich fal.

Nagle ujrzała czółno, w którym siedzieli Obcy. Byli mniejsi niż ludzie. Wyglądali tak, jak gdyby byli zrobieni z pomarańczowego ciasta chlebowego. Mieli twarze i oczy, ale nie mieli włosów. Dotarli do zielonej torby, wyłowili ją i wyrzucili na brzeg.

Nicole zbliżyła się do torby dopiero wtedy, gdy Obcy odpłynęli. Pomachała do nich.

Torba była zapięta na zamek błyskawiczny. Otworzyła ją i ujrzała martwą twarz Kenjiego Watanabe.

Zbudziła się z krzykiem i usiadła na łóżku.

Wyciągnęła rękę do Richarda, ale męża nie było. Zegarek na stole wskazywał 2:48 nad

ranem. Nicole zrobiła kilka głębokich wdechów, chcąc za wszelką cenę odegnać zły sen.

Jednak obraz martwej twarzy Kenjiego Watanabe nie zniknął. Idąc do łazienki Nicole przypomniała sobie swoje sny sprzed śmierci matki. A jeżeli Kenji naprawdę umrze? - pomyślała. Usiłowała zmusić się do myślenia o czymś innym.

Dokąd poszedł Richard w środku nocy? - zastanawiała się. Owinęła się płaszczem kąpielowym i wyszła z pokoju.

Minęła pokój dziecienny i poszła dalej. Benjy jak zwykle chrapał. W pracowni świeciło się światło, ale Richarda nie było. Nie było także jego ulubionego robota, księcia Halla, oraz nowych biotów. Jeden z monitorów na biurku wciąż wyświetlał jakieś dane.

Nicole uśmiechnęła się, przypominając sobie ich umowę i wystukała na klawiaturze: NICOLE. Na ekranie pojawił się list Richarda:

“Najdroższa Nicole, jeżeli obudzisz się przed moim powrotem, nie denerwuj się. Wróć przed świtem, najpóźniej o ósmej rano. Prowadzę badania nad nową serią robotów “300” (roboty te mają specjalny rodzaj oprogramowania i używane są do zadań specjalnych); podejrzewam, że ktoś mnie szpieguje. Dlatego postanowiłem przyspieszyć wykonanie mojego obecnego projektu i opuściłem Nowy Eden, aby przeprowadzić ostatnie testy. Kocham Cię. Richard.”

Na Środkowej Równinie było ciemno i zimno. Do drugiego modułu Richard wysłał Gardę 325 i Einsteina z poszerzoną pamięcią (nazwał go Super-AI). Roboty powiedziały strażniczce Garcii, że zmienił się harmonogram eksperymentów. Super-AI włożył sprzęt do drugiego modułu, jednocześnie dając Richardowi znak, że jest gotów. Garcia 325 sprytnie odciągnęła na bok strażniczkę, aby Richard mógł wyjść nie zauważony.

Nie tracił czasu. Wyjął z kieszeni księcia Halla i włożył go do otworu w ścianie.

- Spiesz się - powiedział ustawiając na ziemi przenośny monitor.

Otwór w drugim module, który sukcesywnie poszerzano, był teraz kwadratem o boku długości osiemdziesięciu centymetrów. Robot zmieścił się w nim bez trudu.

Książę Hali przedostał się na drugą stronę i po metalowej lince spuścił się na twardy grunt, od którego dzieliło go nie więcej niż metr. Porozumiewając się z nim drogą radiową Richard śledził każdy jego ruch.

Przypuszczał, że książę Hali dotrze do pierścienia okalającego drugi moduł. Po chwili tak właśnie się stało. Więc projekt obydwóch modułów jest podobny... pomyślał. Spodziewał się także, że w wewnętrznej ścianie będzie śluza, przez którą wydostają się nogowce. Książę Hali był na tyle mały, że skorzystanie z tej samej drogi powinno mu przyjść bez trudu.

Znalezienie śluzy nie trwało długo. Niestety, okazało się, że znajduje się na wysokości dwudziestu metrów. Ale Richard wiedział, że nogowce potrafią chodzić po ścianach i był na to przygotowany.

- Wspinaj się - wydał robotowi rozkaz, z niepokojem spoglądając na zegarek. Dochodziła szósta, w Nowym Edenie niedługo nastanie świt i, prędzej czy później, naukowcy i inżynierowie wyruszą do pracy...

Wspięcie się księcia Halla na wysokość śluzy odpowiadało wspinaczce człowieka na sześćdziesięcioletni budynek. Czy zagłębienia w ścianie są dostatecznie dobrym oparciem? Na monitorze Richard nie widział dokładnie faktury ściany. Czy w procesorze koordynującym ruchy znalazły się wszystkie równania?

Zaraz się o tym przekonam, pomyślał, wydając swojemu uczniowi kolejny rozkaz.

Robot był coraz wyżej. W pewnej chwili pośliznął się i zawisł na jednej ręce, ale udało mu się odzyskać równowagę i po kilku chwilach dotarł do śluzy.

Pokonanie ściany zajęło pół godziny i Richard zdawał sobie sprawę, że zostało mu niewiele czasu. Książę przecisnął się przez owalny otwór. Za otworem była siatka. W słabym świetle niewiele można było przez nią dostrzec. Richard rozkazał Hallowi ustawić kamerę pomiędzy jej okami.

- Wartownik twierdzi, że musi powrócić na swoje stanowisko - podała przez radio Garcia 325. - O 6:30 musi zdać raport.

Cholera, pomyślał Richard, zostało mi zaledwie sześć minut... Kazał Hallowi zmienić punkt obserwacyjny, ale nie dostrzegł nic ciekawego.

- Piszcz - rozkazał, zwiększając siłę wzmacniacza. - Piszcz, dopóki nie powiem, żebyś przestał.

Richard nigdy nie wypróbował pełnego wzmocnienia dźwięków płynących z głośnika robota. Donośny ptasi pisk, wzmocniony echem, nieco go ogłuszył.

Nieźle, pomyślał. Może to coś da...

Po chwili strażniczka Garcia spostrzegła Richarda. Zgodnie z procedurą poprosiła go o dokumenty i spytała o cel jego "wizyty". Roboty Super-AI i Garcia 325 usiłowały wprowadzić ją w błąd. Ponieważ Richard nie zamierzał udzielić jej wyjaśnień, oświadczyła, że musi nadać raport. Tymczasem na stojącym na ziemi monitorze Richard zobaczył, że siatka otwiera się, a wokół księcia Halla tłoczą się nogowce. Robot wciąż pisał.

Garcia nadała nadzwyczajny komunikat. Richard zdawał sobie sprawę, że zostało mu tylko kilka minut.

- Chodźcie, nie chowajcie się... - mruknął, zerkając na ekran.

Początkowo myślał, że to złudzenie, ale po chwili znów usłyszał łopot skrzydeł. Na ekranie pojawił się znajomy pazur, z głośnika rozległ się pisk, obraz stał się zamazany.

- Jeżeli to możliwe - krzyknął do mikrofonu - spróbuj wrócić do przejścia. Wrócę po ciebie później.

W pośpiechu schował monitor do torby.

- Chodźmy - zwrócił się do swoich robotów i cała trójka ruszyła w stronę Nowego Edenu.

Richard był z siebie zadowolony. Przeczucie mnie nie myliło, pomyślał. A teraz wydam córkę za mąż...

10.

Ślub miał się odbyć o siódmej wieczorem w sali, w której zwykle odbywały się szkolne przedstawienia. Na weselne przyjęcie, na które zaproszono znacznie większą liczbę gości, wynajęto salę gimnastyczną w sąsiednim budynku.

Nicole zajmowała się wszystkim naraz, wszędzie wypatrując potencjalnych katastrof.

Nie miała czasu, aby zastanowić się nad odkryciem Richarda. Jej mąż wrócił do domu i natychmiast chciał porozmawiać z nią o ptakach i podejrzeniach, kto go szpieguje. Ale Nicole miała tylko jedno w głowie: ślub. Postanowili, że dopóki nie odbędą poważnej rozmowy, z nikim nie podzielą się rewelacjami Richarda.

Nicole wybrała się z Ellie na poranny spacer do parku. Rozmawiały o małżeństwie, miłości i seksie; Ellie była tak podniecona perspektywą ślubu, że słowa matki nie zawsze do niej docierały.

Nicole przystanęła pod jednym z drzew.

- Pamiętaj o jednym, Ellie - powiedziała biorąc córkę za rękę. - Seks jest istotną częścią małżeństwa, ale nie najważniejszą. Nie masz w tych sprawach doświadczenia i początkowo możesz nie odczuwać szczególnej przyjemności. Ale jeżeli ty i Robert ufacie sobie, kochacie się i chcecie dawać sobie radość, to zobaczycie, że z czasem wszystko się ułoży...

Nicole, Nai i Ellie pojawiły się w szkole na dwie godziny przed rozpoczęciem ceremonii. Eponine już tam na nie czekała.

- Denerwujesz się? - spytała nauczycielka z uśmiechem. Ellie skinęła głową. - Ja też - wyznała Eponine. - A przecież jestem tylko druzną...

Świadkami byli Nicole i doktor Edward Stafford, przyjaciel Roberta Turnera. Drużnami zostały Nai Watanabe, Eponine i Katie. Robert nie miał rodziny ani znajomych, więc "w zastępstwie" zaprosił rodzinę i przyjaciół Wakefieldów. Jego drużbami zostali Kenji Watanabe, Patrick i Benjy.

- Mamo, jest mi niedobrze... - poskarżyła się Ellie. - Co będzie, jeśli zwymiotuję na suknię ślubną? Chyba zapadnę się pod ziemię...

Nicole uspokoiła swoją córkę tłumacząc, że to zupełnie normalna reakcja na stres. Poradziła jej, żeby zjadła banana.

Katie się spóźniała, Nicole czuła narastający niepokój. Panna młoda była już ubrana, a Nicole postanowiła porozmawiać z Patrickiem. Gdy zapukała do drzwi okazało się, że panowie są już gotowi.

- Jak się miewa matka panny młodej? - spytał sędzieja Myszkina, który podjął się roli mistrza

ceremonii.

- Okropnie - odparła z uśmiechem Nicole.

Patrick był w sąsiednim pokoju i pomagał Benjy'emu się ubrać.

- Jak wyglądam? - spytał Benjy.

- Niezwykle przystojnie - odparła Nicole. - Rozmawiałeś dziś rano z Katie? - zwróciła się do Patricka.

- Nie. Ale wczoraj jeszcze raz upewniłem się, że wie, o której odbędzie się ślub... Jeszcze nie przyszła?

Nicole potrząsnęła głową. Był już kwadrans po szóstej, ceremonia miała się rozpocząć za czterdzieści pięć minut. Wyszła na korytarz, żeby zatelefonować, ale nagle poczuła dym z papierosa. Był to nieomylny znak, że Katie przebywa w pobliżu.

- Pomyśl tylko, siostrzyczko - mówiła Katie podniesionym głosem - dziś wieczorem po raz pierwszy w życiu pójdziesz z facetem do łóżka. Założę się, że sama myśl o tym doprowadza twoje zmysły do obłądu i...

- Katie - powiedziała Eponine - to co mówisz wydaje mi się raczej nie na miejscu...

Eponine umilkła, do pokoju weszła Nicole.

- Proszę, proszę, jak mamusia potrafi ładnie wyglądać. Zapomniałam już, że pod tą sędziowską togą ukrywa się kobieta...

Katie wydmuchnęła dym z papierosa i napiła się szampana wprost z butelki.

- Więc moja siostrzyczka wychodzi za męża...

- Uspokój się, Katie - powiedziała Nicole lodowatym tonem. - Za dużo wypijaś. - Zabrała jej butelkę i papierosy. - Ubierz się i przestań się zgrywać. Oddam ci to wszystko po ślubie.

- Dobrze, pani sędzino, jak pani sobie życzy... - powiedziała Katie. Zrobiła z dymu kilka kółek i mrugnęła porozumiewawczo do Ellie. Sięgając do popielniczki straciła równowagę. Przewróciła się na ziemię, tłukąc buteleczki z kosmetykami. Eponine i Ellie pospieszyły z pomocą.

- Nic ci nie jest? - spytała Ellie.

- Uważaj na suknię, Ellie - powiedziała Nicole, patrząc na Katie z wyraźną niechęcią i wycierając podłogę chusteczką.

- Tak, Ellie - powiedziała sarkastycznie Katie, gdy znów stanęła o własnych siłach - uważaj na swoją suknię. Musisz pięknie wyglądać, wychodząc za męża za mordercę...

W pokoju zrobiło się cicho. Nicole stała się blada jak kreda.

- Przepróż ją - syknęła Nicole.

- Nie mam zamiaru... - zdążyła powiedzieć Katie, zanim dłoń Nicole wyładowała na jej policzku.

W oczach Katie stanęły łzy.

- Ślicznie - powiedziała wycierając twarz - jesteś specem od bicia w twarz. Zaledwie dwa dni temu publicznie wprowadziłaś ten zwyczaj, a dzisiaj ćwiczysz na własnej córce...

- Mamo, proszę cię... - zaczęła Ellie bojąc się, że Nicole po raz drugi uderzy krnąbrną córkę.

Nicole spojrzała na przerażoną pannę młodą.

- Przepraszam... - wyszeptała.

- No właśnie - syknęła Katie ze złością. - A teraz opowiedz jej co się tutaj naprawdę wydarzyło. To ja cię uderzyłam, prawda? Zapamiętaj mnie sobie, byłam twoją starszą córką. Tą, o której zaledwie trzy tygodnie temu powiedziałaś, że jest "odrażająca"... Powiedziałaś, że moi przyjaciele są "bezwartościowi i niemoralni"... pamiętasz? Ale Ellie, ucieleśnienie wszelkich cnót, wydajesz za męża za mordercę... Jej drużbą jest inny morderca...

Ona tonie, pomyślała Nicole, i to jest jej walenie o pomoc. Nie tylko zignorowałam jej krzyk, ale sama wepchnęłam ją na głębszą wodę...

- Katie - szepnęła Nicole - przepraszam cię. Zachowałam się głupio i bezmyślnie... - Nicole zbliżyła się do córki z otwartymi ramionami.

- Nie - warknęła Katie robiąc krok w tył. - Nie, nie, nie... Nie chcę twojej litości... - Ruszyła do drzwi. - Wcale nie chcę być na tym ślubie... Nie pasuję do was, jestem inna... Wszystkiego dobrego, siostrzyczko, opowiesz mi kiedyś jak twój doktor radzi sobie w łóżku...

Katie obróciła się na pięcie i wyszła. Ellie i Nicole cicho szlochały.

Nicole starała się myśleć o ślubie, ale było jej ciężko na sercu. Wciąż wracała do sceny z Katie. Pomogła Ellie zrobić makijaż po raz drugi, w duchu robiąc sobie wyrzuty za porywczosć.

Tuż przed ślubem wstąpiła do pokoju w którym ubierali się panowie i poinformowała ich, że Katie będzie nieobecna. Potem zajrzała do sali, w której gromadzili się goście, i dostrzegła kilkanaście biotów. Koloniści często przychodzili razem ze swoimi Lincolnami. Boże, pomyślała, czy mamy dość krzesel?

Zagrała muzyka, a sędzia Myszklin zaanonsował wejście panny młodej. Oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom, w których u boku Richarda stanęła prześliczna Ellie. Nicole starała się opanować swoje wzruszenie, ale widok łez na policzkach panny młodej sprawił, że sama się rozplakała. Kocham cię, moja Ellie, chciałabym bardzo, żebyś była szczęśliwa.

Sędzia Myszklin mówił o miłości kobiety i mężczyzny, będącej podstawą związku małżeńskiego i o potrzebie zakładania rodziny. Pochwalił wzajemną tolerancję, cierpliwość i bezinteresowne działanie na rzecz drugiego człowieka. Na koniec poprosił Boga o opiekę na młodą

parą.

Ceremonia była krótka ale wzruszająca; doktor Turner i Ellie założyli sobie obrączki, powtarzając spokojnym, mocnym głosem słowa ślubowania.

- Niniejszym ogłaszam Roberta Turnera i Eleanore Wakefield mężem i żoną.

Gdy doktor Turner podnosił welon Ellie, aby ją pocałować, rozległ się strzał. Sędzia Myszkin przewrócił się, z jego czoła tryskała krew. Stojący obok Kenji Watanabe także osunął się na ziemię. Eponine rzuciła się do przodu, by osłonić młodą parę w chwili, gdy rozległ się trzeci i czwarty wystrzał. Ludzie krzyczeli, wybuchła panika.

Potem nastąpiły jeszcze dwa strzały, jeden po drugim. W końcu Masowi Puckettowi udało się rozbroić Lincolna. Rzucił się na niego niemal natychmiast po pierwszym wystrzale, ale biot, który podniósł się z miejsca, w chwili gdy sędzia wypowiedział słowo "żona", zdążył strzelić jeszcze sześciokrotnie.

Cała scena była we krwi. Nicole dotarła do gubernatora na czworakach. Watanabe już nie żył. Doktor Turner zamknął oczy swojego przyjaciela Myszkina. Trzecia kula, która miała ugodzić Turnera, utkwiała w boku Eponine, gdy dziewczyna rzuciła się do przodu, by własnym ciałem zasłonić państwa młodych.

Nicole podniosła mikrofon, który wypadł Myszkinowi z rąk.

- Choć wydarzyła się straszna tragedia, proszę o zachowanie spokoju. Mam wrażenie, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Proszę pozostać na swoich miejscach do czasu, aż opatrzymy rannych...

Ostatnie cztery kule nie wyrządziły większych szkód. Eponine krwawiła, ale jej stan nie był krytyczny. Max uderzył Lincolna tuż przed czwartym strzałem, z pewnością ratując życie Nicole, ponieważ kula minęła jej głowę o kilka centymetrów. Dwie ostatnie kule lekko raniły dwóch gości.

Richard i Patrick podeszli do Maxa, który schwytał biota-zabójcę.

- Nie odpowiada na żadne pytania - rzekł Max. Richard spojrział na ramię biota. Lincoln miał numer 333.

- Zabierzcie go stąd - powiedział - potem go sobie obejrzę.

Nai Watanabe klęczała, głowę ukochanego męża trzymała na kolanach. Jej ciałem wstrząsały konwulsje. Obok niej szlochali Kepler i Galileusz. Ellie, której suknia była cała we krwi, usiłowała ich uspokoić.

Doktor Turner klęczał nad Eponine.

- Karetka przyjedzie za kilka minut - powiedział i opatrzywszy ranę pocałował ją w czoło. - Ellie i ja nigdy nie odwzajemnimy ci się za to, co dla nas zrobiłaś...

Nicole upewniła się, że inni goście nie doznali obrażeń. Miała właśnie ponownie zabrać

głos, gdy do sali wbiegł jakiś człowiek.

- Jeden z Einsteinów zwariował! - wykrzyknął z całych sił, nie zauważając, co zaszło w teatrze. - Ulianow i sędzia lanella nie żyją!

- Najpóźniej jutro powinniśmy uciec - rzekł Richard. - Jeżeli wolisz, pójdę sam. Za dużo wiem o biotach serii "300" i o tym, w jaki sposób ludzie Nakamury zmienili ich oprogramowanie... Zaczną na mnie polować dziś wieczorem lub jutro.

- W porządku, kochanie - odparła Nicole. - Rozumiem cię. Ale ktoś musi zostać z rodziną i walczyć z Nakamurą nawet wtedy, kiedy ta walka skazana jest na niepowodzenie. Nie możemy poddać się jego tyranii.

Od przerwane go ślubu Ellie minęły trzy godziny. Panika ogarnęła całą kolonię. Telewizja poinformowała, że sześć biotów "zwariowało" i zabiło jedenaście czołowych postaci Nowego Edenu. Na szczęście podczas koncertu, który odbywał się w Vegas, biot Kawabata chybił strzelając do lana Macmillana - kandydata na gubernatora - oraz znanego przemysłowca Toshio Nakamury...

- To bzdury! - zdenerwował się Richard - przecież na tym właśnie polega ich plan...

Był przekonany, że rzekome szaleństwo biotów zostało ukartowane przez Nakamurę. Nie miał żadnych wątpliwości, że zarówno on, jak i Nicole również staną się celem ataku, a gdy Ian Macmillan zostanie marionetkowym gubernatorem, Nowy Eden dostanie się pod rządy Nakamury.

- Nie pożegnasz się z Patrickiem i Benjym? - spytała Nicole.

- Lepiej nie - odparł Richard. - Bardzo ich kocham i obawiam się, że mógłbym się rozmyślić...

- Uciekniesz "wyjściem awaryjnym"?

Richard skinął głową.

- To jedyna droga. Oni nigdy by mnie stąd nie wypuścili...

Gdy Richard sprawdzał działanie sprzętu, Nicole weszła do jego pracowni.

- W telewizji podano, że ludzie niszczą swoje bioty. Jeden z kolonistów oświadczył przed kamerą, że masowe morderstwa były zaplanowane przez Obcych...

- Świetnie - mruknął z przekąsem Richard. - Widzę, że zaczęli już rozkręcać propagandę...

Spakował tyle żywności, ile mógł udźwignąć. Był gotów.

Nicole przytuliła go do siebie. W oczach mieli łzy.

- Wiesz, dokąd pójdziesz?

- Mniej więcej - odparł zatrzymując się w drzwiach. - Ale nie powiem ci, żeby nie pogarszać twojej sytuacji...

- Rozumiem...

Przed domem rozległ się jakiś łoskot. Po chwili Richard zniknął w ogrodzie.

Pociąg do Jeziora Szekspira nie kursował. Garcia pełniąca obowiązki maszynisty została zniszczona przez grupę rozwścieczonych kolonistów. Richard ruszył piechotą kierując się do wschodniego brzegu.

Wydawało mu się, że jest śledzony. Kątem oka dwukrotnie dojrzał jakąś sylwetkę, ale ilekroć zatrzymywał się, żeby odpocząć, nie widział za sobą nikogo. Po północy dotarł do jeziora. Po raz ostatni spojrzął na światła kolonii i zaczął wkładać strój pływaka. Krew zamarła mu w żyłach, gdy nagle zza krzaków wyszła Garcia.

Spodziewał się, że zostanie zabity. Po kilku długich sekundach Garcia odezwała się:

- Czy nazywasz się Richard Wakefield? Richard nie poruszył się.

- Jeżeli tak - ciągnął białym - mam wiadomość od twojej żony. Ona cię kocha i prosi Boga o opiekę nad tobą.

Richard odetchnął z ulgą.

- Powiedz jej, że także ją kocham - powiedział.

PROCES

1.

W najgłębszej części Jeziora Szekspira znajdowała się śluza; długi korytarz biegł pod Beauvois i prowadził poza granicę modułu mieszkalnego. Podczas projektowania Nowego Edenu Richard wielokrotnie podkreślał, jak ważne jest wyjście awaryjne.

- Kiedy chcielibyście skorzystać z takiego wyjścia? - spytał Orzeł.

- Nie wiem - odparł Richard - ale w życiu często zachodzą sytuacje, których z góry nie da się przewidzieć. Dobrze zaprojektowany kompleks mieszkalny musi mieć wyjście ewakuacyjne...

Richard przepłynął przez tunel, od czasu do czasu zerkając na manometr, by sprawdzić ile pozostało mu tlenu. Przedostawszy się przez kilka śluz znalazł się w suchym korytarzu. Zdjął skafander i pozostawił go przy ścianie. Dotarł do wyjścia, znajdującego się tuż za wschodnią ścianą kolonii i wyjął z plecaka termiczny skafander.

Choć zdawał sobie sprawę, że nikt nie zna jego miejsca pobytu, bardzo ostrożnie otworzył właz, będący wyjściem na Równinę Środkową. Po chwili stanął na twardym gruncie. Na razie nieźle, pomyślał z ulgą. A teraz zastosujemy plan B.

Przez cztery dni przebywał we wschodniej części równiny. Dzięki znakomitej lornetce z oddali śledził prace przy ośrodku kontrolnym, obserwował region Avalon i przyglądał się wierceniowi otworu w drugim module. Zgodnie z przewidywaniami przez kilka dni na równinie pojawiały się szukające go ekipy, ale nie trudno było uniknąć z nimi spotkania.

Ściany Ramy odbijały niewiele światła, ale z czasem Richard przyzwyczyił się do wszechobecnego półmroku. Doszedł do wniosku, że źródło światła musi znajdować się w południowej części cylindra, poza granicą drugiego modułu.

Żałował, że nie potrafi latać. Gdyby umiał, wzniósłby się w powietrze, przeleciał nam murem i byłby wolny. Intrygowało go światło sączące się z południa; czy za murem jest Morze Cylindryczne? Czy Nowy Jork wciąż jest wyspą? I co znajduje się w południowej części cylindra, na obszarze znacznie większym niż powierzchnia obydwu modułów?

Piątego dnia po ucieczce Richard miał szczególnie nieprzyjemny sen o ojcu. Obudziwszy się wstał i ruszył w stronę "ptasiego modułu", jak w duchu nazwał drugi moduł mieszkalny. Udało mu się przestawić swój cykl dnia; w kolonii była teraz siódma wieczorem, ludzie pracujący przy otworze z pewnością wrócili już do swoich domów.

Gdy od "ptasiego modułu" dzieliło go nie więcej niż pół kilometra, wyjął lornetkę aby upewnić się, że nie napotka ludzi. Potem wysłał Falstaffa, który miał odwrócić uwagę biotastrażnika.

Richard nie znał faktury muru; na podłodze swojej pracowni narysował kwadrat o boku osiemdziesięciu centymetrów i doszedł do wniosku, że przeczołganie się przez otwór tej wielkości jest możliwe. A jeżeli ściany nie są gładkie? Zaraz się o tym przekonam, pomyślał.

W otworze znajdowały się jakieś kable i urządzenia, które należało usunąć. Falstaffowi udało się wyprowadzić wartownika w pole. Richard włożył do otworu plecak i usiłował wśliznąć się do środka. Okazało się to niemożliwe. Musiał najpierw zdjąć buty, kurtkę i spodnie. W samej bieliźnie z wielkim trudem mieścił się w otworze. Zwinął ubranie, przymocował je do plecaka i zaczął się czołgać.

Nie było to łatwe; odpychał się łokciami, jednocześnie głową pchając przed sobą plecak. Kaleczyły go ostre powierzchnie ścian. Po piętnastu metrach zatrzymał się, żeby odpocząć. Do przebycia miał jeszcze czterdzieści metrów.

Nagle zauważył, że jest cały we krwi. Krwawiły mu kolana, łokcie, nawet czubek siwiejącej głowy. Wyjmowanie bandażu z plecaka w tych warunkach było niemożliwe.

Było mu coraz zimniej. Czołgając się wydzielał dość energii, by nie jnarznąć, ale teraz trząsał się z zimna i dzwoniły mu zęby.

Ruszył dalej, czołgał się przez kolejny kwadrans. Nagły ból w prawym biodrze sprawił, że odruchowo zamknął oczy i mocno uderzył głową w ścianę. Na moment go zamroczyło. Otrzeźwiła go spływająca po policzku krew.

Otwór przed nim znów był ciemny; brakowało światła, które pozwoliłoby pokierować księciem Hallem. Z trudem obejrzał się za siebie; tam również panowały ciemności. Richardowi było tak zimno, że zaczął się obawiać, iż zamarźnie.

Tunel stawał się coraz węższy. Ściany napierały na niego ze wszystkich stron. Nie mógł się opanować, musiał krzyczeć...

Po kilkudziesięciu sekundach z tyłu zapłonęło ostre światło. Richard rozpoznał głos biota Garcii, choć nie zrozumiał słów. Teraz wysyła raport i prosi o posiłki, pomyślał. Muszę się spieszyć...

Znów zaczął się czołgać kalecząc kolana i łokcie; z rozciętego czoła spływała krew. Pomyślał, że pozostało mu nie więcej niż dziesięć metrów, gdy tunel znów stał się węższy. Usiłował zmienić pozycję. Nagle od strony ptasiego modułu usłyszał jakieś szmery.

W chwilę później nogowce były dosłownie wszędzie. Łaskotanie, które czuł na całym ciele, było właśnie ich sprawką. Znał je z telewizji: były to małe, okrągłe stworzenia, o dwucentymetrowej średnicy i sześciu długich nogach.

Jeden z nich zbliżył się do twarzy Richarda i obmacywał mu nos i oczy. Richard otrząsnął się z nich i spróbował ruszyć dalej. Ostatnie metry pokonał z nogowcami na grzbiecie.

Gdy zrozumiał, że jest u celu, usłyszał za sobą czyjś głos.

- Halo, jest tam kto? Podaj swoją tożsamość. Jesteśmy tutaj po to, żeby ci pomóc.

Ciemność rozświetlił silny reflektor.

Wyjście znajdowało się co najmniej metr nad powierzchnią. Powinienem był czołgać się tyłem, plecak i ubranie ciągnąc za sobą, pomyślał Richard.

Ale było już za późno. Za sobą usłyszał drugi głos. Wypchnął przez otwór plecak, osłonił głowę rękami, zwinął się w kłębek i skoczył. Gdy leciał, nogowce puściły go i znikły w ciemnościach.

Światło reflektora odbijało się od ścian tunelu dając nieco światła. Upewniwszy się, że rany nie stanowią zagrożenia dla życia, Richard wziął swoje rzeczy i ruszył w lewo. Po kilkuset metrach zatrzymał się; właśnie tutaj księżę Hali został schwytany przez ptaka.

Richard był zmęczony, ale wiedział, że musi się spieszyć. Przebrał się, opatrzył swoje rany i zaczął się wspinać. Był pewien, że ludzie wysłą za nim zdalnie sterowaną kamerę.

Pod otworem znajdowała się niewielka półka, na której usiadł i zabrał się za piłowanie metalowej siatki. Na razie nogowce pozostawiły go w spokoju. Z wnętrza modułu nie dochodziły żadne dźwięki. Dwukrotnie wywołał księcia Halla przez radio, ale nie było odpowiedzi.

Spojrzał przez siatkę do ptasiego modułu, panowały tam egipskie ciemności. Ciekawe co tam jest, pomyślał. Skład atmosfery wewnątrz musi być taki sam jak w pierścieniu, bo powietrze swobodnie przepływa tam i z powrotem.

Już miał zapalić latarkę, gdy usłyszał pod sobą jakiś szmer. Na dnie pierścienia dojrzał snop światła.

Przylgnął do ściany i wsłuchał się w ciszę. To na pewno zdalnie sterowana kamera, pomyślał. Na szczęście w ciemnościach wiele nie zobaczą, obraz będzie niewyraźny...

Siedział bez ruchu. Co powinienem teraz zrobić, zastanawiał się. Zdalnie sterowana kamera kręciła się w kółko. Musieli znaleźć coś, co wypadło mi z kieszeni podczas wspinaczki, pomyślał. Gdybym teraz włączył latarkę, zobaczyliby odbicie światła i wiedzieliby, gdzie jestem...

Wziął do ręki śrubkę i wrzucił ją do ptasiego modułu. Ciszy nie zmącił żaden dźwięk. Wziął większą śrubkę i ponownie wsłuchał się w ciszę; znowu nic nie usłyszał.

Jego serce zaczęło bić szybciej. Odtworzył w myślach strukturę ścian Ramy i zrozumiał, że od gruntu dzielić go może nawet kilkaset metrów. Wychylił się przez otwór i spojrzał w przepaść.

Kamera wciąż krążyła w tym samym miejscu. Richard wiedział, że podążą za nią następne. Oczami wyobraźni zobaczył, jak łapią go i prowadzą z powrotem do Nowego Edenu. Nie wiedział

jakich przestępstw się dopuścił, ale z pewnością było ich wiele. Nie zamierzał spędzić wielu miesięcy w więzieniu. Po żadnym pozorem nie dopuszczę do tego, żeby mnie schwytano, postanowił.

Włożył rękę do otworu, by sprawdzić, czy ściana ma nierówności, które można by wykorzystać przy schodzeniu w dół. Przekonał się, że zejście teoretycznie jest możliwe, wyjął z plecaka hak i ubezpieczył się liną. To na wypadek, gdybym się pośliznął...

W pierścieniu pojawił się drugi reflektor. Richard ostrożnie przedostał się przez otwór i zaczął schodzić. Nie było to trudne, w murze znajdowały się niewielkie wgłębienia.

Był coraz niżej. Oceniwszy, że zszedł jakieś siedemdziesiąt metrów w dół, wyjął latarkę i skierował snop światła pod nogi. Gruntu wciąż nie było widać. Kilkadziesiąt metrów niżej dostrzegł jakiś dym. Czyżby była to mgła? Zdaje się, że moja sytuacja poprawia się z minuty na minutę, pomyślał sarkastycznie.

Po dalszych trzydziestu metrach skończyła się lina. Powietrze było wilgotne od mgły. Richard był już bardzo zmęczony. Owinął się liną i oparł o ścianę. Zasnął niemal natychmiast.

2.

Miał bardzo dziwne sny. Spadał, chwilami głową w dół, ale uderzenia o ziemię nie było. W ostatnim śnie Toshio Nakamura wraz z dwoma skośnookimi osiłkami przesłuchiwał go w małej, białej celi.

Obudził się i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Odruchowo odepchnął się od zimnej ściany, do której przywarł policzkiem.

Włączył latarkę i spojrzał w dół. Mgła ustąpiła. Zamiast niej dostrzegł kilkaset metrów ściany i coś, co z tej wysokości przypominało wodę.

Spojrzał w górę. Od otworu przez który przedostał się do ptasiego modułu dzieliło go jakieś dziewięćdziesiąt metrów (lina miała sto), do wody pozostało jeszcze ćwierć kilometra.

Zrobiło mu się słabo. Zaczął rozluźniać dodatkowe węzły, którymi się ubezpieczył i spostrzegł, że trzęsą mu się ręce.

Miał nieprzepartą ochotę wspiać się z powrotem w górę i uciec z tego obcego świata.

Nie, Richardzie, pomyślał, jeszcze nie. Uciekniesz dopiero wtedy, kiedy okaże się, że nie ma innego wyjścia...

Wydobył z plecaka nieco żywności, wodę, i posilił się. Potem skierował snop światła w bok. Odniósł wrażenie, że widzi w oddali jakieś budowle. Może to owoc mojej wyobraźni? - pomyślał.

Skończywszy jeść sprawdził ile zostało mu pożywienia i zastanowił się nad swoją sytuacją. Sprawa jest bardzo prosta, pomyślał z goryczą. Mogę wrócić do nowego Edenu i zostać skazany. Mogę także schodzić dalej w dół, ale już bez ubezpieczenia... Spojrzał w dół i zawahał się. Mogę też zostać tutaj i czekać na cud...

Przypomniawszy sobie, że ptak przyleciał niemal natychmiast po tym, jak księżę Hali zaczął naśladować jego piski, Richard zaczął krzyczeć. Potem śpiewał. Trwało to ponad godzinę. Zaczął od piosenek których nauczył się w latach studenckich w Cambridge, a potem przeszedł do lirycznych utworów z czasów młodości. Pamięć to dziwne urządzenie, myślał, dlaczego zapamiętujemy tylko niektóre rzeczy? Dlaczego pamiętam słowa tych kretyńskich pieśni, a moje wspomnienia z Ramy II są spowite mgłą?

Sięgał właśnie do kieszeni po pojemnik z wodą, gdy nagle rozbłysło światło. Pośliznął się i przez moment cały ciężarem zawisł na linie. Wschód "słońca" nie był tak piękny, jak pierwszy świt w Ramie II, ale niemal natychmiast zrobiło się jasno. Odzyskawszy równowagę ducha Richard zaczął przyglądać się światu, który nagle wyłonił się z ciemności.

Źródłem światła była kula wisząca kilka kilometrów nad najwyższą budowlą ptasiego świata - dużym, brązowym cylindrycznym budynkiem, który stał w samym środku modułu. Trzy czwarte "słońca" zakrywał nieprzezroczysty "kaptur", niemal całe światło kierując w dół. Brązowy gmach mierzył około półtora kilometra wysokości. Richard oszacował, że jego średnica wynosi trzy kilometry.

Cylindryczny budynek nie miał ani okien, ani drzwi, wewnątrz nie widać było światła. Z wierzchołka zbiegały w dół spiralne wgłębienia, opasujące budynek dookoła. Jego dolna część znajdowała się mniej więcej na wysokości otworu, przez który Richard wszedł do ptasiego modułu.

Wokół cylindra, wewnątrz dwóch pierścieni oddalonych od siebie o trzysta metrów, znajdowały się białe budowle. Pomocne krańce "miasta" były niemal identyczne; w każdym z nich stało kilkadziesiąt budynków. Domyślił się, że część południowa również jest symetryczna.

Całość otaczał kanał osiemdziesięciometrowej szerokości. Kanał i budynki znajdowały się na płaskowyzu, którego wysokość odpowiadała dolnym piętrům brązowego cylindra.

Za kanałem znajdował się obszar, przypominający tereny uprawne. Ziemia w tej "zielonej" okolicy schodziła łagodnie w dół nad brzeg fosy, okalającej kolonię. Cztery identyczne regiony podzielone były na mniejsze części; Richard nazwał je dżunglą, lasem, łąkami i pustynią.

Przez kilka minut przyglądał się tej bezkresnej panoramie. Natężenie światła nie było równomierne, co sprawiało, że bliższe budowle wcale nie były lepiej widoczne. Pomimo to dostrzegał coraz więcej szczegółów. Pośród zieleni zauważył niewielkie jeziora i rzeki; w fosie było kilka niewielkich wysepek; białe budynki łączyło coś, co przypominało drogi. W Nowym Edenie stworzyliśmy dla siebie namiastkę Ziemi, pomyślał Richard. Widocznie tak wygląda ptasia planeta...

Przypomniał sobie o czym wielokrotnie rozmawiali z Nicole: ptaki najprawdopodobniej nie posiadły technologii pozwalającej im na podróże kosmiczne. Richard wyjął lornetkę i przyjrzał się brązowemu cylindrowi. Ciekawe, jakie kryją się tam tajemnice, pomyślał czując dreszcz emocji.

Spojrzał w niebo, w poszukiwaniu ptaków. Ale rozczarował się; wokół cylindra dostrzegł jedynie jakieś małe plamki. Nigdzie nie widział ruchu. Czyżby ptasi moduł był opuszczony?

Po czterech godzinach znów zrobiło się ciemno. Richard spojrzał na termometr. Od chwili gdy wszedł do ptasiego modułu temperatura niezmiennie wynosiła dwadzieścia sześć stopni Celsjusza. Niełatwo jest utrzymać stałą temperaturę przy tak ogromnej ilości powietrza, pomyślał. Po co tracić na to energię?

Ciemności zapadły przed kilkoma godzinami, Richard stał się niespokojny. Aby mięśnie odpoczęły, co jakiś czas zmieniał pozycję, ale ciało powoli zaczynało odmawiać mu posłuszeństwa. Schodzenie w dół bez ubezpieczenia było pomysłem nierozsądnym. I co bym zrobił, gdybym już

znalazł się na dole? - pomyślał. Czy powinienem płynąć do brzegu? Przecież i tak musiałbym wrócić, gdybym w najbliższym czasie nie znalazł żywności.;

Zaczął wspinać się z powrotem. W pewnej chwili wydało mu się, że usłyszał za sobą jakiś szmer. Zatrzymał się i sięgnął do kieszeni; wyjął mikrofon ze wzmacniaczem i założył słuchawki. Z początku nie usłyszał nic. Ale po kilku minutach gdzieś z dołu doszedł go ledwie dosłyszalny szmer. Trudno było się zorientować, co było jego źródłem; może płynąca po fosie łódź?

Czy ten drugi dźwięk to łopot skrzydeł? Richard zaczął krzyczeć z całych sił. Potem nagle umilkł i wsłuchał się w ciszę. Tak, tym razem był pewien, że usłyszał lecącego ptaka...

- Wiem, że tu jesteście! - krzyczał - wiem, że mnie obserwujecie!

Miał plan, niestety wprowadzenie go w życie nie było łatwe. Sprawdził zapasy żywności - zostało jej niewiele; teraz albo nigdy, pomyślał biorąc głęboki oddech.

Postanowił poćwiczyć schodzenie bez ubezpieczenia. Było to trudne, ale wykonalne. Dotarłszy do końca liny odwiązał się; skierował snop światła w dół. Aż do wysokości, na której zaczynała się mgła, dostrzegł na ścianie wiele występów. Schodził bardzo powoli i ostrożnie. W słuchawkach słyszał bicie własnego serca.

O ile się nie mylę, niedługo powinienem mieć towarzystwo... Wilgotne powietrze sprawiało, że wspinaczka stała się jeszcze trudniejsza. Pośliznął się i o mało co nie runął w dół. Zatrzymał się na jednym z szerszych występów i zrobił kilka głębokich wdechów. Do powierzchni wody pozostało jeszcze pięćdziesiąt metrów. Poczekał, aż coś usłyszę, postanowił. We mgle zbliżą się do mnie na mniejszą odległość...

Po chwili rozległ się łopot skrzydeł. Tym razem była to grupa ptaków. Richard wciąż stał w tym samym miejscu. Po godzinie mgła zaczęła rzednąć. Kilkakrotnie usłyszał przelatujące ptaki.

Postanowił zaczekać do świtu i zejść do wody. Mgła ustąpiła, ale "słońce" jeszcze nie wstało. Richard zaczął się niepokoić, ruszył w dół pomimo ciemności. W dwie minuty później w ptasim module znów nastał dzień.

Jego plan był prosty. Skoro w nocy fosą pływały łodzie, musiała pełnić bardzo ważną funkcję w świecie ptaków czy innych istot, zamieszkujących drugi moduł. W przeciwnym razie przerwano by prace. Gdyby ptaki czekały jeszcze kilka godzin, już by mnie tutaj nie było...

Richard postanowił wejść do wody. Jeżeli ptaki poczują się zagrożone, zaczną działać. Jeżeli nie, wrócę do Nowego Edenu...

Zdjął buty i z pewnym trudem wepchnął je do wodoszczelnego plecaka. Przynajmniej nie będą mokre po wyjściu z wody. Gdy jego stopa dotknęła tafli wody, dostrzegł lecącą w swoją stronę parę ptaków.

Ptaki były bardzo złe, Richard pomyślał w pierwszej chwili, że rozszarpia go pazurami. Pomimo to był tak zachwycony powodzeniem swojego planu, że zignorował fakt, iż usiłowały powstrzymać go od wejścia do wody.

Były mniejsze niż te, które pamiętał z Ramy II, a choć ich ciała również były "aksamitne", miały purpurowy kolor i czarne pierścienie na szyi. Może są jeszcze młode, pomyślał. Jeden z osobników ukłuł go w policzek, gdy Richard nie dość szybko wynurzył się z wody.

Richard zawisł kilka centymetrów nad wodą. Ale nie zadowoliło to ptaków; najwyraźniej chciały, żeby wspiał się z powrotem. Znowu zaczęły przeraźliwie piszczeć.

- Chcę iść z wami - poprosił wskazując na brązowy cylindryczny gmach. Ptaki wzniosły się w górę, w kierunku otworu, przez który przedostał się. Po chwili wróciły. Były tak złe, że Richard znów zaczął obawiać się ataku z ich strony. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Ale czy pamiętam kod? W końcu było to tak wiele lat temu...

Gdy sięgnął do plecaka, ptaki oddaliły się od niego na bezpieczną odległość.

- Wygląda na to, że nogowce to ich elektroniczni zwiadowcy - mruknął do siebie, włączając swój ulubiony komputer. - W przeciwnym razie skąd mogłyby wiedzieć, że w takich torbach ludzie noszą broń?

Nacisnął kilka klawiszy i uśmiechnął się do siebie.

- Chodźcie do mnie - zawołał w ich stronę. Ptaki wylądowały po drugiej stronie fosy. - Chodźcie, chcę wam coś pokazać!

Richard uniósł do góry ekran, na którym widniała animacja stworzona jeszcze na pokładzie Ramy II. Przedstawiał trzy ptaki lecące nad Morzem Cylindrycznym, te, które przeniosły Nicole na drugi brzeg.

Ptaki niepewnie zbliżyły się do niego. Zbliżcie się do mnie i dobrze się temu przypatrzcie, pomyślał.

3.

Nie wiedział, jak długo przebywał w ciemnym pokoju. Odkąd odebrano mu plecak stracił rachubę czasu. Każdy dzień wyglądał tak samo. Spał w kącie; codziennie rano przychodziły do niego dwa ptaki i dawały mu melona. Wechodziły przez drzwi znajdujące się na końcu korytarza. Kilkakrotnie zasnął przy drzwiach i następnego ranka nie dostał pożywienia. Nie była to trudna lekcja.

Co drugi dzień celę sprzątała inna para ptaków. Ubranie Richarda śmierdziało, on sam także był niemożliwie brudny, ale nie umiał powiedzieć swoim strażnikom, że chciałby się wykapać.

Początkowo był pełen optymizmu. Zanim ptaki odebrały mu komputer zaprogramował go tak, aby animacja była bez przerwy widoczna na ekranie.

Po godzinie ptaki wróciły w towarzystwie olbrzymiego osobnika, największego, jakiego Richard kiedykolwiek widział. Był szary, jego szyję zdobiły trzy wiśniowe pierścienie. Trójka ptaków pochwyciła Richarda w szpony i przeniosła nad fosą. Gdy znalazł się na twardym gruncie ptaki odbyły krótką "rozmowę". Potem znów pochwyciły go i wzbiły się wysoko w powietrze.

Był to wspaniały lot. Richard przypomniał sobie, jak w młodości leciał balonem na południową Francję.

Po chwili znalazł się na szczycie olbrzymiego, brązowego cylindra, bezpośrednio pod kulą, czyli "ptasim słońcem". Dołączyły do nich inne ptaki i z zainteresowaniem przyglądały się jego komputerowi.

Przez kilkanaście godzin jedna grupa ptaków przekazywała go drugiej, i Richard pomyślał, że gospodarze zaznajamiają go z mieszkańcami ptasiego państwa. Założył, że tylko niektóre brały udział w kilku spotkaniach i doszedł do wniosku, że ich państwo liczy około siedmiuset obywateli.

Po zwiedzeniu szeregu sal konferencyjnych osadzono go w niewielkim pomieszczeniu; przez kilka dni ptak z trzema pierścieniami w towarzystwie swoich dwóch asystentów nie spuszczał z niego oka. W tym czasie mógł jeszcze korzystać ze swojego komputera i plecaka. Jednak już po kilku dniach obserwacji odebrano mu rzeczy osobiste i uwięziono go w celi.

To było jakieś trzy miesiące temu, powiedział do siebie. Kilka razy dziennie rozmawiał ze sobą, "żeby nie wyjść z wprawy", jak sam to przed sobą tłumaczył. Korytarz prowadzący do celi miał około stu metrów długości, codzienny spacer Richarda polegał na ośmiokrotnym przejściu tam i z powrotem.

Nie odwiedził mnie żaden z ptasich przywódców, myślał, więc czas obserwacji był procesem... W każdym razie ptasim odpowiednikiem procesu... Czy popełniłem jakąś zbrodnię?

Czy dlatego nie wypuszczają mnie na wolność?

Ubranie i buty były w coraz gorszym stanie. Na szczęście temperatura wynosiła niezmiennie dwadzieścia sześć stopni i Richard nie musiał obawiać się zimna. Pomimo tego pobyt w celi nago (gdy jego ubranie nie będzie się już nadawało do użytku) wcale mu nie odpowiadał. Uśmiechnął się do własnych myśli, przypominając sobie trudności, jakie sprawiło mu załatwianie potrzeb fizjologicznych na oczach zawsze pilnujących strażników.

Melony już dawno mu się przejadły i miał ochotę na coś innego. Na szczęście znajdujący się w środku płyn był odświeżający, a mięsz miał dość przyjemny smak. Ale Richard tęsknił za innym pożywieniem. Teraz byłbym skłonny jeść nawet syntetyczne świństwa z Białej Komnaty, myślał.

Najtrudniej było zachować równowagę ducha. Żeby nie zwariować, rozwiązywał w pamięci zadania matematyczne. Ale postarzał się i jego pamięć nie była tak dobra jak kiedyś. To go martwiło. Zaczął więc w myślach odtwarzać najprzeróżniejsze wydarzenia ze swojego życia.

Te ćwiczenia okazały się szczególnie owocne, gdy zaczął myśleć o swojej odysei na pokładzie Ramy II, która miała miejsce w trakcie podróży do Punktu Węzłowego. Choć nie zawsze pamiętał wszystkie szczegóły, smak melona zawsze przywoływał jakieś wspomnienia z długiego pobytu wśród ptaków...

Po jednym z posiłków przypomniał sobie dziwną uroczystość. W otoczonej przez tłum ptaków świątyni płonął ogień. Ale oprócz tego obrazu nie był w stanie sobie nic przypomnieć. Gdzie to było? Czy znalazłem się tam tuż przed tym, jak złapały mnie ośmiornice? Jak zwykle, gdy starał się przypomnieć sobie coś z tamtego okresu, skończyło się na nieznośnym bólu głowy.

Po raz kolejny przemierzał korytarz myśląc o swojej wędrówce. Zatrzymał się pod reflektorem, spojrzał przed siebie i zauważył uchylone drzwi. Zdaje się, że zwariowałem, pomyślał.

Ale drzwi naprawdę były otwarte. Już po chwili szedł innym korytarzem. Po prawej stronie znajdowało się niewielkie pomieszczenie; na półkach, w równych odstępach, leżało osiem melonów. Rozumiem. Powiększono obszar, w którym mogę się poruszać, wolno mi samodzielnie brać żywność... Gdyby była tu jeszcze jakaś łazienka...

Nieco dalej, po lewej stronie, znalazł bieżącą wodę. Napił się, umył twarz i zamierzał się od razu wykapać, ale zwyciężyła ciekawość. Postanowił najpierw sprawdzić granice swojej wolności.

Korytarz biegnący obok celi kończył się na skrzyżowaniu, skąd można było skręcić w lewo lub w prawo. Nie wiedząc, czy znalazł się w labiryncie, na wszelki wypadek, na skrzyżowaniu pozostawił koszulę i skierował się w prawo, gdzie było zdecydowanie więcej światła.

Po dwudziestu metrach dojrzał w oddali parę ptaków. Rozprawiały o czymś, wydając głośne piski. Zatrzymały się w odległości kilku metrów, spojrzały na niego, wydały krótki pisk i

ruszyły dalej.

Po chwili Richard napotkał trójkę ptaków, ich spotkanie miało podobny przebieg. Co to wszystko znaczy, zastanawiał się. Czyżbym został wypuszczony z więzienia?

W pierwszym dużym pomieszczeniu zobaczył cztery ptaki, które prowadziły ożywioną dyskusję i podawały sobie jakieś patyczki. Potem, zanim korytarz rozszerzył się, Richard z zainteresowaniem przyjrzał się kilku nogowcom. Wyglądało na to, że robią przysiady... Szóstka ptaków patrzyła na nie z uwagą.

W sali konferencyjnej było co najmniej dwadzieścia stworzeń przypominających ptaki. Siedziały wokół okrągłego stołu i wpatrywały się w duży, biały arkusz. Jeden z nich wskazywał coś na materiale przypominającym papier i choć zygzaki na nim były zupełnie niezrozumiałe, Richard odniósł wrażenie, że ptaki przyglądają się jakiejś mapie.

Gdy usiłował zbliżyć się do stołu, odepchnięto go grzecznie lecz stanowczo. W pewnej chwili wydało mu się, że pisk jednego z ptaków był uwagą pod jego adresem. Chyba zwariowałem, pomyślał.

Wciąż nie wiem, dlaczego dano mi tyle swobody, zastanawiał się, jedząc w swoim pokoju melona. Drzwi jego celi otwarto przed sześcioma tygodniami. W pokoju dokonano wielu zmian. Na ścianach pojawiło się oświetlenie, sypiał na czymś, co przypominało słomę. W rogu pokoju stała miska ze świeżą wodą.

Spodziewał się, że w najbliższych dniach nastąpią jakieś istotne zmiany. W pewnym sensie miał rację, bo dwa młode ptaki zaczęły go uczyć swojego języka. Zaczęły od "wypiskiwania" nazw prostych przedmiotów, takich jak melon, woda i imię Richarda. Nauka przychodziła Richardowi z pewnym trudem, choć zdołał się nauczyć wielu słów. Miał jednak kłopoty z rozróżnianiem podobnie brzmiących pisków, a wysiłki, aby samemu coś powiedzieć spełzały na niczym. Jego aparat głosowy po prostu nie był przystosowany do wydawania takich dźwięków.

Spodziewał się, że z upływem czasu dowie się czegoś o swoich gospodarzach, ale nic takiego nie nastąpiło. Ptaki najwyraźniej postanowiły go "kształcić", zezwoliły na poruszanie się w obrębie cylindrycznego gmachu - czasami nawet jadał razem z nimi - ale czemu to wszystko miało służyć? Sposób w jaki na niego patrzono sugerował, że to od niego oczekiwano odpowiedzi. Ale jakiej?

Na podstawie swoich obserwacji doszedł do wniosku, że ptaki nie posiadają języka pisanego. Nigdzie nie zauważył książek, a jedynie duże białe arkusze, przypominające mapy. Nigdy nie widział jednak, aby ptaki rysowały na nich znaki...

A nogowce? Richard spotykał je kilka razy w tygodniu, kiedyś przez kilka godzin

przebywały w jego pokoju, nie pozwalając się do siebie zbliżyć. Gdy usiłował złapać jednego z nich, został porażony prądem.

Starał się ułożyć swoje obserwacje w spójny obraz ptasiego świata. Nie udawało mu się to, ale jednocześnie zdecydowanie odrzucał tezę, że jego schwytanie, uwięzienie i nauka języka były pozbawione celu.

Tylko do jednego sektora zabroniono mu wstępu; prawdopodobnie i tak nie mógłby tam dotrzeć, ponieważ nie potrafił latać. Czasami widywał ptaki zlatujące pionowym szybem w dół. Kiedyś wskazał palcem w dół, a towarzyszący mu ptak przecząco pokręcił głową. Większość z nich przejęła od Richarda proste gesty oznaczające "tak" i "nie".

Brakuje mi podstawowych informacji, myślał. Postanowił przeprowadzić dokładną lustrację wnętrza cylindra, włącznie z apartamentami po drugiej stronie pionowego szybu, gdzie nie był mile widzianym gościem. Zrobię mapę, postanowił, żeby upewnić się, że widziałem już wszystko...

Narysowawszy trójwymiarową mapę ptasiego gmachu od razu zrozumiał, gdzie jeszcze nie dotarł. Przedtem kręte korytarze nie układały się w jego głowie w spójną całość. Jak maglem być taki głupi? Siedemdziesiąt procent powierzchni tego gmachu nadal jest dla mnie zagadką...

Richard pokazał komputerową mapę jednemu z ptasich przywódców prosząc, aby umożliwiono mu zwiedzenie pozostałych części cylindra. Nie było to łatwe, akurat tego dnia ptaki znajdowały się w jakiejś kryzysowej sytuacji, biegały po korytarzach piszcząc i łopocząc skrzydłami. Trzydzieści czy czterdzieści największych osobników, lecąc w szyku, zniknęło w pionowym szybie.

Wreszcie Richardowi udało się zwrócić na siebie uwagę ptaka z trzema pierścieniami na szyi. Jego gospodarz był zafascynowany precyzją, z jaką Richard sporządził plan cylindra. Ale Richard nie umiał przekazać mu swojej prośby.

Wrócił do celi; ogarnęło go przygnębienie. Położył się na "słomie" i rozmyślał o swojej rodzinie. Może powinienem wrócić do Nowego Edenu? - zastanowił się, jednocześnie próbując znaleźć sposób na uzyskanie zgody gospodarzy. Gdy tak leżał, ktoś wszedł do jego pokoju.

Nigdy dotychczas nie widział takiego ptaka. Na szyi błyszczały cztery kobaltowe pierścienie, na czarnej, aksamitnej skórze gdzieniegdzie pojawiały się białe plamki. Oczy ptaka były niezwykle jasne; Richard odniósł wrażenie, że są bardzo smutne. Ptak przemówił bardzo powoli; Richard zrozumiał często powtarzany zwrot "pójdź za mną".

Przed celą stała trójka innych ptaków, która ruszyła za Richardem i jego gościem. Minęli most nad pionowym szybem i dotarli do pomieszczenia z melonami.

W murze znajdowały się występy, których przedtem nie zauważył. Ściana rozsunęła się; okazało się, że za nią znajduje się ogromna winda. Ptaszy przywódca dał Richardowi znak, aby do

niej wsiadł.

Czwórka ptaków pisnęła "do widzenia" i obróciła się wokół siebie, dokonując tym samym oficjalnego pożegnania. Richard uklonił się i spróbował "wypiszczyć" słowa pożegnania. W kilka sekund później drzwi windy zamknęły się.

4.

Winda sunęła bardzo powoli. W jej wnętrzu zmieściłby się ośmiometrowy olbrzym; podłoga mierzyła dwadzieścia metrów kwadratowych. Były się w niej jakieś zagłębienia, przypominające szyny. Ta winda służy do transportu ogromnych ciężarów, pomyślał Richard.

Usiłował ocenić jej szybkość, ale nie miał układu odniesienia. Z jego mapy wynikało, że magazyny melonów znajdowały się tysiąc sto metrów nad ziemią. Jeżeli jadę na sam dół, zastanawiał się, i poruszam się z szybkością zwykłej ziemskiej windy, jazda może potrwać nawet kilkadziesiąt minut...

Jazda trwała zaledwie trzy minuty, ale były to najdłuższe trzy minuty jego życia. A może wsiądę w pobliżu tych białych budowli? Czy ptaki chcą, abym wrócił do domu?

Właśnie zaczął rozmyślać o zmianach, jakie mogły nastąpić w życiu kolonii, gdy winda stanęła. Olbrzymie drzwi rozsunęły się. Richard pomyślał, że umiera. Tuż przed nim stały jakieś pokraczne istoty, dziwniejsze, niż mógłby sobie wyobrazić, i wpatrywały się w niego wszystkimi oczami.

Zamurowało go, nie mógł się poruszyć. "Głowy" istot miały czworo oczu. Z boków wystawały jakieś duże, białe, owakie narządy. Kilkanaście centymetrów nad głową znajdowała się dodatkowa para oczu. Ich tułowia składały się z dwóch członów; istoty stały podparte na tylnych kończynach, pozostałe cztery przylegały do gładkiego, kremowego podbrzusza.

Zrobiły krok w jego stronę, Richard cofnął się z przerażeniem. Istoty spojrzały na siebie i przeprowadziły krótką wymianę zdań, składającą się z dźwięków o wysokiej częstotliwości. Ich głosy wydobywały się z niewielkiego otworu pod oczami. Richardowi zakręciło się w głowie i omal nie upadł. Serce waliło mu jak młotem.

Istoty zmieniły pozycję, stawiając środkowe kończyny na podłodze. Przypominały teraz wielkie mrówki. Czarne kule na końcach czułków obróciły się o trzysta sześćdziesiąt stopni, mleczna substancja w owalnych narządach poruszyła się.

"Mrówki" przez kilka minut stały w bezruchu, jak gdyby zachęcając Richard a, aby im się przyjrzał.

Były wielkości niedużych psów, choć z pewnością znacznie lżejsze. Tułowia miały cienkie i wąskie, pierwszy i ostatni człon były nieco większe od środkowego. Pokrywała je gładka powierzchnia przypominająca pancerz.

Istoty można by uznać za bardzo duże owady, gdyby nie to, że ich kończyny pokryte był szorstką, czarną sierścią; wyglądały tak, jak gdyby nosiły spodnie. Ich dłonie były gładkie i miały

po cztery palce; przednia para kończyn miała coś w rodzaju kciuków.

Richard właśnie zdobył się na odwagę by spojrzeć na nie jeszcze raz, gdy usłyszał dźwięk przypominający wycie syreny. Istoty obejrzały się za siebie. Richard dostrzegł, zbliżającego się trzeciego osobnika i zafascynował go jego sposób poruszania się; stworzenie galopowało niczym sześciorami kot.

Trójka "mrówek" wdała się w ożywioną dyskusję; nowo przybyły osobnik podniósł do góry przednią kończynę dając Richardowi znak, aby wyszedł z windy. Richard ruszył za nimi i po chwili znalazł się w dużym pomieszczeniu.

Także i tutaj znajdował się skład z melonami, ale na tym kończyło się podobieństwo tej sali do magazynów w ptasim państwie. Na każdym kroku widać było automaty i roboty. Na suficie, dziesięć metrów nad podłogą, na szynie poruszał się pojazd "do zbierania wiśni" (tak nazwał go Richard). Mechaniczne ramię chwyciło melony i wrzucało je do stojących pod ścianą wagoników. Jeden z nich wskoczył w szyny i wjechał do windy.

Istoty ruszyły dalej, Richard z trudem nadążał za nimi. "Mrówki" zaczekały na niego w drzwiach, skręciły w lewo i znowu ruszyły biegiem przed siebie. Ich oczy skierowane były w tył; widocznie chciały się upewnić, czy człowiek podąża za nimi.

Po kilkuminutowym sprincie dotarli do olbrzymiej komnaty, w której znajdowało się jakieś urządzenie.

Było dalekim kuzynem windy. Dwie kabiny poruszały się po ukośnej, spiralnej konstrukcji, składającej się z dwóch masywnych dźwigarów. Co pięć metrów kabiny docierały do kolejnego piętra, umożliwiając pasażerom wsiadanie i wysiadanie. Osłona chroniąca przed wypadnięciem miała nie więcej niż trzydzieści centymetrów wysokości. Istoty podróżowały w pozycji poziomej, wszystkimi sześcioma kończynami stojąc na podłodze. Aby nie wypaść na zewnątrz Richard musiał stanąć na czworakach.

Podczas jazdy mijające go "mrówki" patrzyły na niego z dużym zainteresowaniem. Czym one jedzą? - zastanawiał się. Doszedł do wniosku, że otwór służący do wydawania dźwięków jest zbyt mały na przyjmowanie pokarmów. Twarze istot nie miały innych otworów, choć znajdowały się tam jakieś zmarszczki i "guziki" niewiadomego przeznaczenia.

Zawieziono go na ósme lub dziewiąte piętro. Trójka istot cierpliwie czekała, aż Richard wygramoli się z kabiny. Znalazł się w sześciokątnym pomieszczeniu, na ścianach znajdowały się duże, czerwone znaki. To dziwne, pomyślał, skądś znam te znaki... Ależ oczywiście: przecież widziałem je na "ptasiej mapie"!

Umieszczono go w przestronnym, dobrze oświetlonym pokoju, którego ściany zdobiły czarno-białe geometryczne wzory. Znajdowało się tam wiele przedmiotów, ale Richard nie miał

pojęcia, do czego służą. Za pomocą gestów Obcy powiadomili go, że pokój należy do niego, po czym zostawili go w spokoju. Zmęczony i zdezorientowany pan Wakefield przyjrzał się meblom, zastanawiając się, który z nich jest łóżkiem, po czym wyciągnął się na podłodze i zasnął.

Nazwę je myrmikoty... Obudził się po czterogodzinnej drzemce. Chciał wymyślić dla Obcych jakąś dobrą nazwę. Odrzuciwszy koty-mrówki i koty-insekty, przypomniał sobie, że łacińska nazwa mrówkojada to *Myrmecophaga jubata*. Postanowił więc, że stworzenia nazwie myrmikotami...

Jego pokój był jasny, żadne inne pomieszczenie w państwie myrmikotów nie było tak dobrze oświetlone. Półmrok panował zwłaszcza w górnych partiach brązowego cylindra. Od chwili gdy znalazłem się w windzie nie zobaczyłem ani jednego ptaka, pomyślał. Wygląda na to, że te gatunki nie mieszkają razem... Ale jedne i drugie żywią się melonami... Co w takim razie je łączy?

Do jego pokoju weszły dwa myrmikoty, przynosząc kubek z wodą i pokrojonego na kawałki melona. Richard był głodny i spragniony. Gdy skończył jeść, myrmikoty wróciły i dały mu znak, żeby wstał. Czy to te same stworzenia co wczoraj? - zastanawiał się. I czy to one przyniosły mi wodę i melona? Nie dostrzegał nic, co pozwoliłoby rozróżnić poszczególne osobniki. Czy one naprawdę są identyczne? Czy to znaczy, że same siebie też nie rozpoznają?

Myrmikoty wyprowadziły go na korytarz, skrzyły w prawo i pędem ruszyły przed siebie. Im się wydaje, że ludzie to sami atleci, pomyślał... Jeden z osobników zatrzymał się, jego czułki były zwrócone w tył.

- Idę - krzyknął do niego Richard - ale nie potrafię tak szybko biegać...

Okazało się, że spacer był niczym innym jak zwiedzaniem państwa myrmikotów. "Wycieczkę" zaplanowano bardzo starannie; najpierw zaprowadzono Richarda do magazynu z melonami, gdzie wagoniki wjeżdżały do windy podobnej do tej, którą przyjechał poprzedniego dnia (a może była to ta sama winda?).

Po pięciominutowym biegu znalazł się w innej części królestwa myrmikotów, gdzie ściany korytarzy zdobiły wielokolorowe geometryczne wzory. W jednej z sal wielkości dużego teatru znajdowały się trzy baseny. Była tam co najmniej setka myrmikotów; jedne zażywały kąpieli, inne siedziały na brzegu lub w pobliżu dziwnego budynku stojącego przy ścianie.

Ale czy pływały? Richard przyjrzał się uważnie istotom zanurzonym w wodzie i przekonał się, że wcale się nie poruszają; po prostu wchodzi do wody i pozostają tak przez jakiś czas. Dwa baseny wypełnione były gęstą cieczą, której konsystencja przypominała zupę. W trzecim znajdowała się woda. Richard przyglądał się jednemu z myrmikotów, który z basenu "z zupą"

przeszedł do basenu z wodą, po czym zanurzył się w trzecim basenie. Co one robią? - zastanawiał się. I dlaczego przyprowadzono mnie akurat tutaj?

Jeden z przewodników dotknął jego ramienia. Wskazał na baseny, a potem na usta Richarda.

Richard nic z tego nie zrozumiał. Mynnika wszedł do jednego z basenów i zanurzył się w gęstej cieczy. Po chwili wyszedł i stanął na tylnych kończynach, wskazując na rowki pomiędzy członami swojego miękkiego, beżowego podbrzusza.

Przy pomocy dziwacznych maszyn myrmikoty meły jakąś substancję, a następnie mieszały ją z wodą i innymi płynami. Efekt ich pracy przypominał "zupę" w basenach. Przewodnik włożył palec do "zupy" i dotknął nim ust Richarda. To znaczy, że baseny służą do przyjmowania pokarmów, zrozumiał Richard. Czyżby myrmikoty nie jadały melonów? A może jadają różne rzeczy? To wszystko jest bardzo dziwne...

Wkrótce znów biegł co sił w nogach, starając się nadążyć ze swoimi gospodarzami. Po chwili ujrzał kilkadziesiąt małych myrmikotów, którymi opiekowały się dorosłe osobniki. Dzieci były bardzo podobne do swoich rodziców, z jednym wyjątkiem: ich grzbietów nie pokrywała łuska. Richard doszedł do wniosku, że pancerze powstają dopiero u dorosłych osobników. Przypuszczał, że znalazł się na terenie szkoły lub przedszkola, w pewnej chwili odniósł nawet wrażenie, że małe myrmikoty powtarzają coś za swoim nauczycielem.

Następnie wraz z przewodnikami wsiadł do windy, która zatrzymała się na dwudziestym piętrze. Jego gospodarze pognali wąskim korytarzem, w którym oprócz myrmikotów pracowały jakieś maszyny. Przewodnicy tak się spieszyli, że Richard nie zdążył dokładnie przyjrzeć się pracom wykonywanym w tunelu. Po chwili znaleźli się w fabryce. Zewsząd dochodziły najróżniejsze odgłosy, w powietrzu unosił się zapach chemikaliów i metalowych opiłków. Kilku pracowników naprawiało "pojazd do zbierania wiśni", który poprzedniego dnia Richard widział w magazynie z melonami.

Dalej znajdował się obszar oddzielony od hali fabrycznej. Przewodnicy nie zachęcali go to tego, ale Richard nie mógł się powstrzymać, żeby tam nie zajrzeć. Nikt go nie zatrzymywał. Za zasłoną znajdował się pulpit, siedział za nim mynnikot kontrolujący pracę fabryki.

Długie, cienkie plastikowe czy metalowe pręty wjeżdżały dohali na pasie transmisyjnym, kule dwucentymetrowej średnicy wjeżdżały z drugiej strony. Tam, gdzie pasy się krzyżowały, z sufitu zwisała prostokątna maszyna, zjeżdżająca w dół z głośnym sykiem. Po kilkunastu sekundach mynnikot nacisnął guzik i urządzenie uniosło się w górę. Z pasa zeskoczyły dwa nogowce, podkurczyły swoje długie nogi i wskoczyły do pudła przypominającego olbrzymi pojemnik na jajka.

Richard przyglądał się temu z wielkim zdziwieniem. Więc myrmikoty robią nogowce... I mapy... I prawdopodobnie to one sporządziły statek, na którego pokładzie przybyły ptaki... Ale dlaczego podróżują razem, cóż to za dziwna symbioza?

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Montaż nogowców postępował ze stałą szybkością. Usłyszał za sobą jakiś szmer. Jeden z przewodników podawał mu kawałek melona.

Był coraz bardziej zmęczony, zwiedzanie trwało już wiele godzin, stracił poczucie czasu.

Nie potrafił ogarnąć wszystkiego, co zobaczył. Winda zawiozła go na górne piętra, gdzie zwiedził szpital dla ptaków obsługiwany przez myrmikoty, oraz salę, w której pod bacznią kontrolą myrmikocich lekarzy ptaki znosiły jajka. Richard był już niemal pewien, że gatunki żyją w symbiozie. Ale dlaczego? - zastanawiał się, gdy przewodnicy pozwolili mu na krótki odpoczynek. Ptaki z pewnością chwalą sobie roztaczaną nad nimi opiekę. Ale co mają z tego myrmikoty?

Poruszali się szerokim korytarzem i po dłuższej chwili dotarli do szerokich drzwi. O dziwo, tym razem nie biegli.

Z mniejszych bocznych drzwi wyszła trójka myrmikotów, które nawiązały z przewodnikami Richarda rozmowę. Słychać było tylko wysokie, świszczące dźwięki. Richard odniósł wrażenie, że doszło do sprzeczki. Z zaciekawieniem wpatrywał się w ich twarze; kształt oczu i "zmarszczek" był identyczny, rozróżnienie poszczególnych osobników wydawało się niemożliwe.

Z pewnym ociąganiem cała piątka ruszyła do drzwi. Wrota były olbrzymie, miały co najmniej dwanaście metrów wysokości i ponad trzy metry szerokości. Ich powierzchnia była bogato zdobiona, uwagę Richarda zwróciły cztery płaskorzeźby. Pierwsza przedstawiała ptaka w locie, druga melon, na dole po lewej wyrzeźbiono biegnącego myrmikota a po prawej coś, co przypominało watę cukrową.

Richard zatrzymał się. Odniósł wrażenie, że już gdzieś widział te symbole. Dotknął palcami rzeźby myrmikota i nagle zrozumiał: ależ oczywiście, takie same płaskorzeźby widziałem w ptasiej grocie na pokładzie Ramy H; tam właśnie wybuchł pożar...

Drzwi otworzyły się i znalazł się w katedrze. Owalna sala, o trzydziestometrowej średnicy, miała co najmniej pięćdziesiąt metrów wysokości. Znajdowało się w niej sześć naw. Wszystkie ściany pokrywały płaskorzeźby i freski. Katedra sprawiała niezwykle wrażenie.

Na środku znajdowało się podwyższenie, z którego jeden z myrmikotów przemawiał do zgromadzonych wokół niego słuchaczy.

Przyglądając się ścianom Richard zrozumiał, że opowiadają jakąś historię. Podeszedł do płaskorzeźby przedstawiającej melona, która wydała mu się jej początkiem. Trzy kolejne

ukazywały poszczególne stadia jego rozwoju, z tym że to, co na drugim obrazie było prawie niedostrzegalne, na czwartym zajmowało niemal całe wnętrze owocu.

Piąta płaskorzeźba przedstawiał stworzenie o dwóch mlecznych, owalnych oczach, przebijające się przez skorupkę. Na szóstej widać było młodego myrmikota, podobnego do tych, które Richard widział w "szkole". Boże, pomyślał Richard, więc melony to nic innego jak jaja myrmikotów! Jego myśli biegły teraz bardzo szybko. Ale przecież to bez sensu: ptaki jedzą melony... Myrmikoty same mnie nimi karmiły... Co to wszystko znaczy?

Był tak zdziwiony swoim odkryciem, że usiadł na podłodze przed płaskorzeźbą przedstawiającą młode myrmikoty. Starał się zrozumieć zależność łączącą je z ptakami. Wiedział, że w przyrodzie istnieją gatunki żyjące w symbiozie, ale nie potrafił znaleźć żadnej ziemskiej analogii. Czy to możliwe, aby myrmikoty żyły w zgodzie z ptakami, skoro ich jaja są głównym źródłem pożywienia ptaków? Richard doszedł do wniosku, że zasad, które zawsze uważał za podstawowe prawa biologii, nie można zastosować do ptaków i myrmikotów.

Gdy tak siedział, zastanawiając się nad tym, czego się właśnie nauczył, otoczyła go grupa myrmikotów. Kazano mu wstać i zaprowadzono go do podziemnej krypty.

Po raz pierwszy od chwili przybycia do państwa myrmikotów znalazł się w półmroku. Prowadzono go niezwykle powoli, krokiem, który wydał się Richardowi dostojny. Na końcu szerokiego korytarza znajdowało się pomieszczenie wypełnione jakimś białym, miękkim puchem, przypominającym bawełnę. Jej poszczególne nitki były niezwykle cienkie.

Richard zatrzymał się w drzwiach, o metr od białej substancji. Bawełniana sieć, rozpościerająca się na wszystkie strony, nagle zaczęła się ruszać; jedna z warstw uniosła się w górę i oddzieliła od pozostałych. To jest żywe! - pomyślał Richard. Serce waliło mu jak młotem.

Po kilku minutach w białym puchu powstał korytarz; Myrmikoty dały mu znak, żeby ruszył przed siebie. Ale Richard potrząsnął głową. Wybaczcie, moi drodzy, miał ochotę powiedzieć, ale coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Więc pójdę już, o ile nie macie nic przeciwko temu...

Ale myrmikoty nie dawały za wygraną. Richard zrozumiał, że nie ma wyboru. Czy zostanie zjedzony przez kłębek bawełny? - zastanawiał się robiąc pierwszy krok. Czy po to było to wszystko?

Obejrzał się za siebie, myrmikoty stały w bezruchu. Richard wziął głęboki oddech i ruszył białym tunelem. Doszedł do jego końca i wyciągnął przed siebie rękę, by dotknąć żywej ściany, która znów zaczęła się ruszać. Obejrzał się za siebie i z przerażeniem przekonał się, że korytarz zniknął. Chciał uciekać, ale było to niemożliwe. Sieć oplatała jego ręce i nogi; postanowił, że dzielnie przyjmie to, co się teraz stanie.

Oplatały go tysiące niezwykle cienkich włókien. Zaczekajcie, pomyślał, przecież mnie

udusicie...

Ale choć setki nitek oplotło jego głowę i twarz, nie miał najmniejszych trudności z oddychaniem.

Zanim jego ręce zostały całkowicie unieruchomione, spróbował oderwać kilka włókien, który przywarły do jego ramienia. Było to prawie niemożliwe, nitki zrobiły w jego skórze mikroskopijne nacięcia. Po krótkiej szarpaninie udało mu się wyrwać jedno z włókien, ale skóra zaczęła w tym miejscu krwawić. Richard rozejrzał się wokół siebie i ocenił, że oplata go co najmniej milion włókien. Przeszedł go zimny dreszcz.

Najbardziej dziwiło go to, że nie ma kłopotów z oddychaniem. Gdy zaczął się nad tym zastanawiać, usłyszał w swojej głowie głos: przestań wszystko analizować, i tak tego nie zrozumiesz... Choć raz w życiu po prostu przeżyj wspaniałą przygodę...

5.

Znowu stracił poczucie czasu. W ciągu tych kilku dni, które przeżył w sieci (a może były to tygodnie?) kilkakrotnie zmieniał pozycje. Podczas jednej z pierwszych drzemek pajęcza sieć go rozebrała. Nagi leżał na plecach, podparty niezwykle gęstą siecią mikroskopijnych włókien.

Przestał zastanawiać się, dlaczego jeszcze żyje. Gdy chciało mu się pić, jego pragnienie było zaspokajane. Odchody same znikwały gdzieś po kilku minutach.

Przez wiele godzin przyglądał się "pajęczemu stworzeniu", które bez przerwy wykonywało niewielkie ruchy. Kształt sieci ulegał powolnym zmianom, w pewnej chwili włókna utworzyły nad jego głową trójkąt.

Sieć stworzyła własny „język” w celu porozumiewania się z nim; przez piętnaście do dwudziestu godzin jego ciało oplecione było szczelnym kokonem; potem przez kilka godzin nie dotykały go żadne włókna. Gdy nie oplatała go sieć, nic mu się nie śniło, budził się zmęczony i rozdrażniony. Ale za każdym razem, gdy włókna zaczynały owijać się wokół jego rąk i nóg, odczuwał wyraźny przypływ energii. Sny "w sieci" były niezwykle wyraziste. W przeszłości nigdy nie miał ciekawych snów i często podśmiewał się z Nicole, która przywiązywała do nich dużą wagę. Pewnej nocy przyśniło mu się, że jest nastolatkiem i w swoim rodzinnym Stratford ogląda przedstawienie "Jak wam się podoba". Piękna blondynka grająca rolę Rozalindy zeszła ze sceny i szepnęła mu do ucha:

- Ty jesteś Richard Wakefield?

- Tak - odparł Richard.

Aktorka zaczęła go całować, najpierw ostrożnie, potem z coraz większą namiętnością. Na wargach wyraźnie czuł dotyk jej języka. Poczul przypływ wielkiego pożądania i nagle obudził się, zawstydzony swoją nagością i podnieceniem. Co to wszystko znaczy? - pomyślał, powtarzając słowa tak często wypowiedane przez Nicole.

W pewnej chwili ze zdziwieniem zauważył, że po skoncentrowaniu się jest w stanie przypomnieć sobie każde jej słowo, każdy gest i wyraz twarzy. Te niezwykle żywe wspomnienia sprawiły, że poczuł się jeszcze bardziej samotny.

Z równą wyrazistością zapamiętał dzieci; bardzo za nimi tęsknił, zwłaszcza za Katie. Przypomnił sobie ostatnią rozmowę, którą odbyli na kilka dni przed ślubem. Katie przyszła do domu po swoje rzeczy. Była smutna i przygnębiona, najwyraźniej potrzebowała pocieszenia, ale Richard nie mógł do niej dotrzeć. Nie mogliśmy się dogadać, pomyślał... Ładna, pełna seksu dziewczyna przeistoczyła się w dziesięcioletnią dziewczynkę. Mała Katie biegała po Nowym Jorku

bawiąc się w jego zakamarkach. Ogarnął go smutek i tęsknota za czymś, co już nigdy nie wróci. Po hibernacji nie tanieliśmy już ze sobą rozmawiać, westchnął. Wciąż pragnę powrotu mojej małej dziewczynki...

Wyrazistość wspomnień dała mu do myślenia: czyżby coś zmieniło się w jego pamięci? Odkrył, że pamięta wyniki wszystkich rozgrywek Pucharu Świata w latach 2174-2190. Jako młody człowiek był zapalonym kibicem, ale w latach poprzedzających start Newtona wydarzyło się tyle spraw, że zapomniał nazwiska nawet bardzo znanych zawodników.

Wszystkim wspomnieniom towarzyszyły stany emocjonalne i Richard czuł się tak, jak gdyby powtórnie przeżywał swoje życie. Poczł przyływ miłości do Sary Tydings, powtórnie przeżywając wieczór, gdy po raz pierwszy ujrzał ją na scenie, jeszcze raz przeżył napiętność ich pierwszej nocy... Wtedy emocje i podniecenie pozbawiły go niemal tchu i teraz, otulony żywą pajęczą siecią, po raz drugi przeżywał swoją pierwszą miłość...

Wkrótce przekonał się, że nie panuje nad tym, które wspomnienia wydobywane są z mroków niepamięci. Początkowo przypuszczał, że świadomie myśli o Nicole i swoich dzieciach, a nawet o pierwszych dniach z Sara Tydings. Ale teraz, powiedział w jednej z "rozmów" jakie prowadził z pajęczą siecią, odświeżywszy moją pamięć - nie mam pojęcia w jakim celu - czytasz w moich myślach...

Richard z przyjemnościami oddawał się tym "wymuszonym wspomnieniom" z czasów, gdy w Cambridge i na Akademii Kosmicznej studiował fizykę kwantową, rachunek prawdopodobieństwa i statystykę. Przypomnił sobie wszystko, nawet niemieckie słówka. Potem zabrał się za Szekspira, odtwarzając w pamięci jedną sztukę za drugą. Każdy potrzebuje bohatera, idola, myślał. A bohaterem mojej młodości bez wątpienia był Szekspir...

Niektóre wspomnienia były bolesne, zwłaszcza te z dzieciństwa.

Znów miał osiem lat, siedział przy stole w niewielkiej jadalni. Atmosfera była napięta, pijany ojciec, zły na cały świat, krzyczał na żonę i dzieci. Richard rozlał na stole supę. Ojciec uderzył go w twarz, strącając chłopca z krzesła...

Od wielu lat nie myślał o tym przeżyciu i nie potrafił powstrzymać łez powtórnie przeżywając swoją bezsilną złość i poczucie niesprawiedliwości.

Pewnego dnia przypomniał sobie szczegóły swojej odysei na pokładzie Ramy II. Silny ból głowy niemal go oślepił; ujrzał siebie na podłodze w jakiejś dziwnej sali. Otaczały go ośmiornice. Do jego ciała przymocowano czujniki i przeprowadzano jakieś testy...

- Przestań! Boli mnie głowa! Zabijasz mnie! - krzyknął i obraz się urwał.

Ból głowy niespodziewanie ustąpił, Richard znów znajdował się wśród ośmiornic. Przypomnił sobie wielodniowe testy i jakieś małe stworzenia, które wprowadzono do jego ciała.

Podczas eksperymentów nagradzano go orgazmem.

Richard był zdumiony przeżyciami, których dotychczas nie mógł sobie przypomnieć.

Pamiętam także inne rzeczy dotyczące ośmiornic... Rozmawiały ze sobą za pomocą kolorów, ukazujących się na ich głowach... Były dość przyjazne, ale chciały dowiedzieć się o mnie wszystkiego i...

Obraz zamglił się i znikł. Ból głowy powrócił, bo sieć przestała oplatać jego ciało. Richard był zmęczony i zasnął niemal natychmiast.

Po wielu dniach jego myśli przestały być sterowane z zewnątrz. Przed długie godziny włókna pozostawiały mu swobodę ruchów.

W pierwszym tygodniu nie działo się nic. Potem sieć uformowała się w niezwykle gęsty, kulisty kokon, który osiągnął wielkość piłki. Wynurzyły się z niego setki włókien i przywarły do jego głowy. Nareszcie, pomyślał starając się zapomnieć o bólu, teraz dowiem się wszystkiego...

Początkowo obraz był nieostry, ale po chwili udało się poprawić jego jakość; Richard nawiązał z siecią kontakt. Przypuszczał, że sieć, od wielu dni czytająca w jego myślach, chce teraz zapisać coś w jego mózgu. Palcami dawał jej znaki, czy jakość obrazu poprawiła się, czy pogorszyła. Dzięki temu wkrótce "zobaczył" to, co istota chciała mu przekazać.

Pierwsze "zdjęcia" ukazywały planetę widoczną z pokładu statku kosmicznego. Pograżony w chmurach świat miał dwa księżyce i jedną żółtą gwiazdę. Najprawdopodobniej była to rodzinna planeta "pajęczej" istoty...

Mgła zdawała się być stałym elementem tego dziwnego świata. Obraz był niewyraźny, przeważały w nim brązy skał i jałowej ziemi. Jedynie na nadbrzeżach, gdzie grunt stykał się z zielonymi wodami jezior i oceanów, widać było ślady życia. W jednej z takich oaz Richard dostrzegł kilka ptaków i jakieś inne stworzenia. Miał ochotę przyjrzeć im się dłużej, ale nie zależało to od niego; sieć chciała mu przekazać jakąś wiadomość, obrazy były jedynie "wstępem".

W różnych ujęciach oglądał ptaki, melony, myrmikoty i pajęczą sieć. Sceny najprawdopodobniej przedstawiały tak zwane "normalne życie" i miały ukazać symbiozę poszczególnych gatunków. Ptaki zdawały się strzec terenów zamieszkiwanych przez myrmikoty i sieć przed innymi zwierzętami i roślinami; kiedy indziej znów myrmikoty przynosiły ptakom melony.

Richard zdziwił się, widząc melony otulone pajęczą siecią. Czyżby myrmikoty w taki sposób składały swoje jaja? - zastanawiał się. Czy pajęczą sieć chroni je przed niebezpieczeństwem? A może pajęczyny to jakieś „my ślące łożysko”?

Odnosił wrażenie, że pajęczyny stanowią nadrzędny gatunek, zarówno ptaki jak i

myrmikoty oddawały im cześć. Czyżby więc sieć była potrzebna myrmikotom i ptakom?... Cóż za dziwna symbioza! Jak doszło to takiej ewolucji?

Richard dwukrotnie zobaczył kilka tysięcy "zdjęć". Potem włókna wypuściły jego głowę z kokonu i przez następne kilka dni był pozostawiony sam sobie. Sieć łączyła się z nim teraz na krótko i tylko po to, aby go "karmić".

W białej masie znów powstał korytarz i Richard pomyślał, że wkrótce zostanie uwolniony. Ale gdy tylko spróbował się poruszyć, włókna zacisnęły się na jego rękach i nogach.

Po chwili ujrzał trójkę myrmikotów niosących swojego towarzysza. Osobnik miał uszkodzone tylne kończyny i tułów. Sieć zaczęła oplatać go kokonem.

Richard znajdował się w odległości kilku metrów od rannego myrmikota. Pomiędzy nimi nie było ani jednego włókna, po raz pierwszy zobaczył tak dużą "dziurę" w pajęczynie. Więc tak wygląda dalszy ciąg mojej edukacji, pomyślał. Czego mam się nauczyć tym razem? Sieć leczy myrmikoty, a myrmikoty leczą ptaki?

Po przebudzeniu Richard ze zdziwieniem zauważył, że gęsty kokon, otulający ciało myrmikota, zaczyna się powoli otwierać. Po chwili kokon zniknął, po myrmikocie nie było śladu!

Serce Richarda waliło z całych sił. Włókna znów przywarły do jego głowy...

Pięciu ludzi w mundurach siedziało nad brzegiem fosy, strzegącej wstępu do ptasiego modułu. Obok nich leżał cały arsenał, składający się z najróżniejszych rodzajów broni, włącznie z dwoma karabinami.

Potem ujrzał ludzi atakujących mieszkańców drugiego modułu, te sceny były szczególnie brutalne. Młody ptak został ranny w powietrzu i spadał na ziemię, a ludzie widoczni w lewym rogu kadru, wyraźnie byli z siebie zadowoleni.

W długim rowie na łące leżało kilka martwych ptaków. Do grobu zbliżał się człowiek, na taczkach wioząc kolejne ciała.

Czym są te obrazy? - zastanawiał się Richard, i dlaczego oglądam je wiośnie teraz? Doszedł do wniosku, że myrmikoty musiały na własne oczy zobaczyć wszystko, co teraz oglądał. Sieć najwyraźniej przekazywała Richardowi obraz z głowy myrmikota.

Przeraziła go ludzka brutalność i bezmyślność. Po chwili ujrzał atak na brązowy cylinder, którego nie przeżył żaden z jego mieszkańców.

Te biedne stworzenia skazane są na zagładę, pomyślał. I chyba o tym wiedzą...

Richard był zdruzgotany, przedstawiciele jego własnego gatunku dokonywali systematycznej eksterminacji ptaków.

Myślał o ptakach, które w przeszłości uratowały mu życie, przenosząc go nad Morzem

Cylindrycznym. Zrobiły to zupełnie bezinteresownie... Czy na ich miejscu ludzie postąpili by równie szlachetnie? - pomyślał z goryczą.

Richard prawie nigdy nie płakał. Jednak los ptaków był na tyle tragiczny, że nie mógł powstrzymać łez.

Zdał sobie sprawę z nagłej zmiany w traktowaniu go przez swoich gospodarzy. Najpierw oprowadzali mnie po swoim świecie, myślał, a potem umieścili mnie tutaj... To oczywiste, że starali się mi przekazać jakąś wiadomość... Ale jaką?

Znalazły się w sytuacji bez wyjścia, sam sobie odpowiedział, i proszą mnie o pomoc...

6.

W sieci znów powstała "dziura", a jej włókna utworzyły kulę o półmetrowej średnicy. Richard dostrzegł mały zielony przedmiot, otoczony setką mikroskopijnych włókien.

Przedmiot rósł bardzo powoli. Kula przeniosła się w inne miejsce; Richard odgadł, że rosnący przedmiot jest melonem. Czyżby myrmikot, zanim zniknął, pozostawił po sobie jajeczka, które rozwijały się od kilku dni? To musiało być zaledwie kilka komórek, pomyślał... Małeńkie embriony rosły sobie gdzieś w pobliżu...

Logiczny umysł Richarda odrzucał myśl, że myrmikot zniósł jajko. Stworzył inną hipotezę: a może melony, myrmikoty i sieć to różne wcielenia tego samego gatunku?

Przez kilka godzin rozmyślał o wszystkim, co zobaczył w drugim module. Z dojrzewających melonów narodzą się myrmikoty, które umierając przekażą sieci zarodek swojego potomstwa... To wytłumaczenie wydało mu się najlepsza z możliwych, ale wciąż stawiał sobie tysiące pytań: jak zachodzi ta zadziwiająca metamorfoza? Dlaczego ewolucja postawiła na tak skomplikowane mechanizmy rozrodcze?

Podstawą wykształcenia Richarda były matematyka i fizyka; teraz, starając się zrozumieć mechanizmy rządzące rozmnażaniem się istot obcego gatunku, zdał sobie sprawę ze swojej ignorancji w innych dziedzinach, zwłaszcza w biologii. Jak mam im pomóc, zastanawiał się. Nie - wiem nawet, jak się do tego zabrać...

Potem zastanawiał się w jaki sposób sieć nie tylko przekazywała mu obrazy, ale także czytała w jego myślach.

W kilka dni później utworzyła korytarz, którym przyszedł do niego cztery myrmikoty. Przyniosły mu ubranie a potem dały znak, żeby ruszył za nimi. Sieć przestała krępować jego ruchy; ubrał się i na miękkich nogach wyszedł za myrmikotami na korytarz.

Niektóre płaskorzeźby w wielkiej sali nie były jeszcze gotowe. Gdy nauczyciel Richarda wskazywał na jedną z nich, inne myrmikoty kończyły pracę nad następną.

Obrazy sugerowały to, co powinien zrobić, chcąc pomóc swoim gospodarzom. Zdając sobie sprawę, że ludzie chcą ich zgłodzić, myrmikoty przekazywały Richardowi informacje, które ich zdaniem mogły przyczynić się do zmiany biegu wydarzeń. Ale czy rysunki i rzeźby były wystarczającym źródłem informacji?

Były wspaniałe; chwilami przestawał intensywnie myśleć o ich treści i podziwiał ich piękno. Myrmikoty stały na tylnych nogach, czterech przednich używając do pracy. Rozmawiały ze

sobą półgłosem, starając się nie przeszkadzać Richardowi.

Mniej więcej połowa obrazów była podręcznikiem biologii. Okazało się, że Richard poprawnie odgadł podstawowe prawa rządzące światem myrmikotów. Szereg ponad stu obrazów opisywał stadium embrionalne i poszczególne fazy rozwoju. Pod spodem i na górze znajdowały się dodatkowe informacje, przeważnie zupełnie niezrozumiałe dla Richarda.

Na przykład wokół płaskorzeźby przedstawiającej melon w chwilę po wydobyciu go z pajęczej sieci, wisiały cztery obrazy ukazujące to, co działo się w jego wnętrzu. Richard przypuszczał, że opisują warunki niezbędne do wyklucia się embrionu. Niestety, artysta posłużył się wieloma scenami ze swojej rodzinnej planety, przedstawiającymi jej florę i faunę; gdy nauczyciel wskazał na obraz, Richard bezradnie potrząsnął głową.

Słońca i księżycy miały służyć ukazaniu skali wielkości; W porównaniu z ludźmi myrmikoty żyły stosunkowo krótko. Niestety, poza tą informacją nie rozumiał nic...

Z każdego melona wykluwał się myrmikot (nigdy nie były to bliźniaki). Ale jaki związek istniał pomiędzy liczbą myrmikotów a pajęczych kokonów, w których dojrzewały? Na jednej z płaskorzeźb we wnętrzu kokonu tkwiła co najmniej dziesiątka małych myrmikotów, z których każdy znajdował się w innej fazie rozwoju. Jak należało to rozumieć?

Richard był tak zmęczony, że zasnął pod ścianą.

Każda lekcja trwała od trzech do czterech godzin. Potem karmiono go i zezwalano na odpoczynek, i sen. Gdy spoglądał na nie dokończone rzeźby, natychmiast gaszono światła. Widocznie myrmikoty chciały, aby Richard najpierw zapoznał się z ich biologią.

Po dziesięciu dniach zakończył się pierwszy etap szkolenia i zezwolono mu na oglądanie drugiej części "wystawy". Rysunki przedstawiające ludzi i ptaki niezwykle dokładnie odwzorowywały rzeczywistość. Richard pojawiał się tam kilkakrotnie. W pierwszej chwili nie rozpoznał siebie: był długowłosym, postawnym mężczyzną z siwą brodą. Wyglądam jak Chrystus, uśmiechnął się do własnych myśli.

Pozostałe płaskorzeźby stanowiły podsumowanie ataku ludzi na ptasi moduł. Choć Richard w zasadzie nie dowiedział się niczego nowego, poruszyło go okrucieństwo tej masakry.

W jego głowie zrodziło się kolejne pytanie: dlaczego obrazów nie przekazano do jego mózgu bezpośrednio? Czyżby sieć potrafiła jedynie "odtworzyć" rzeczywistość ukazując jedynie to, czego myrmikoty już doświadczyły?

Na ostatnich szkicach narysowano Richarda z dużym niebieskim plecakiem; z kieszeni plecaka wystawały melony. Z boków znajdowały się dodatkowe kieszenie, w jednej z nich tkwił niewielki srebrny cylinder, w drugiej dwa ptasie jaja.

Richard miał opuścić brązowy cylindryczny budynek i przez pierścień białych budowli

przedostać się do lasu. Tam, prowadzony przez parę ptaków, miał dotrzeć do fosy, gdzie czekała na niego niewielka łódź podwodna. Za jej pomocą przedostałby się pod dolną ścianą modułu, przepłynął przez morze i wylądowałby na wyspie z wieżowcami.

Uśmiechnął się do siebie. Więc Morze Cylindryczne i Nowy Jork wciąż istnieją, pomyślał. Przypomniał sobie słowa Orła o tym, że w Ramie dokonuje się jedynie niezbędnych zmian konstrukcyjnych. To znaczy, że Biała Komnata także istnieje...

Płaskorzeźby informowały o leśnych roślinach i zwierzętach oraz o tym, jak sterować łodzią podwodną. Gdy Richard postanowił w swoim komputerze zapisać to, co uważał za najważniejsze, jego nauczyciel stał się niecierpliwy. Widocznie kryzys się pogłębia.

Następnego dnia, po dłuższej drzemce, otrzymał swój plecak. Zaprowadzono go do podziemi, do krypty z pajęczą siecią. Myrmikoty wydobyły z niej cztery melony i umieściły je w plecaku. Owoce były ciężkie, Richard oszacował, że ważą razem prawie dwadzieścia kilogramów. Myrmikot, za pomocą przyrządu przypominającego nożyczki, wyciął z pajęczej sieci cztery kuliste kokony, które również znalazły się w plecaku. Na końcu włożono ptasie jaja.

Richard wziął głęboki oddech. Zdaje się, że nadszedł czas pożegnania, pomyślał, gdy myrmikoty ruszyły korytarzem prowadzącym w dół. Przypomniał sobie Nai Watanabe, która upierała się, że waz, tajlandzki zwyczaj żegnania się niewielkim ukłonem z rękami złożonymi jak do modlitwy, jest "pożegnaniem uniwersalnym" i obowiązuje "w całym wszechświecie". Uśmiechając się pod nosem Richard uczynił znak wai; był zdumiony widząc, że myrmikoty także ukloniły się w jego stronę.

Po wyjściu z komnaty z siecią Richard nie spotkał już nikogo.

Wypuszczony przez przewodnika nogowiec popędził naprzód i zniknął. Gdy zwiadowca powrócił, wlaźł myrmikotowi na głowę i pozostał tam przez kilka sekund. Przewodnik dał Richardowi znak, że może wejść do tunelu.

Znalazłszy się na zewnątrz Richard zauważył dwa ptaki, które niemal natychmiast wzbily się w powietrze. Jeden z nich miał na skrzydle ranę; widocznie strzelano do niego śrutem.

Richard szedł przez niezbyt gęsty las, w którym rosły kilkumetrowe drzewa. Dzięki ptakom pomimo półmroku bez trudu znajdował drogę. Z oddali dochodziły pojedyncze strzały.

Pierwszy kwadrans minął bez żadnych przygód. Potem las stał się rzadszy. Richard pomyślał, że do fosy, gdzie czekała na niego łódź podwodna, pozostało jeszcze dziesięć minut drogi. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, usłyszał serię z karabinu maszynowego. Jeden z ptaków runął na ziemię jak kamień. Drugi uciekł. Richard schował się w grubej ściółce. W jego kierunku ruszyli dwaj żołnierze.

- Dwa pierścienie, jestem tego pewien - mówił jeden z mężczyzn. - Może nawet trzy... To dawało by mi dwadzieścia pierścieni w tym tygodniu...

- Przecież to nie są zawody! To się nie liczy, ten ptak nie wiedział, że siedziałeś w krzakach...

- To jego sprawa... A, tutaj jest... Cholera, ma tylko dwa...

Żołnierze znajdowali się w odległości niecałych piętnastu metrów od Richarda. Stanęli nad zabitym ptakiem, zapalili papierosy i rozmawiali o wojnie.

Richardowi zaczęła drętwieć prawa stopa. Stanął na lewej, spodziewając się, że ból ustąpi, ale stało się inaczej. Spojrzał na ziemię i ku swojemu przerażeniu przekonał się, że jedno ze stworzeń przypominających gryzonia, zjadłszy but, właśnie dobierało się do jego stopy... Richard chciał je strząsnąć, jednocześnie starając się zachować ciszę. Po krótkiej szamotaninie gryzoń puścił stopę, ale żołnierzy zaniepokoiły podejrzane odgłosy dochodzące z zarośli.

Richard nie mógł uciekać, choćby nawet znał drogę. Ciężki plecak czynił z niego łatwy cel.

- Tutaj, Bruce, tutaj coś jest!

Żołnierz wskazywał na zarośla, w których siedział Richard.

- Nie strzelajcie - powiedział - jestem człowiekiem.

Drugi mężczyzna przyłączył się do swojego towarzysza.

- Co tutaj robisz, do cholery?

- Wędruję.

- Wychodź stamtąd, muszę ci się przyjrzeć - rzekł pierwszy.

Richard powoli wygrzebał się spod ściółki. Pomimo półmroku jego długa, siwa broda i olbrzymi plecak musiały zrobić na żołnierzach duże wrażenie.

- O Boże... Kim ty właściwie jesteś?... Gdzie twój mundur?

- On nie jest żołnierzem - odezwał się drugi mężczyzna. - Wygląda raczej na wariata... Musiał uciec z Avalon i dotrzeć tutaj... Nie wiesz, że tutaj jest niebezpiecznie? Możesz zginąć...

- Spójrz na jego kieszenie - przerwał mu pierwszy. - Ma cztery olbrzymie melony...

Stado ptaków uderzyło zupełnie niespodziewanie. Runęły w dół, powalając żołnierzy na ziemię. Richard rzucił się do ucieczki. Jakiś ptak pazurami rozszarpał twarz jednego z żołnierzy. Z pobliskich krzaków rozległa się seria z broni maszynowej. Inni żołnierze spieszyli swoim kolegom z odsieczą.

Richard zbiegał ze wzgórza tak szybko, na ile pozwalał mu ciężki plecak. Strzelanina przybierała na sile, zza pagórka słychać było krzyki zabijanych ludzi i ptasie piski.

Dotarł do fosy, ale łodzi podwodnej nie było. Za plecami słyszał biegnących żołnierzy.

Od strony zarośli usłyszał krótki pisk. Ptak z czterema kobaltowymi pierścieniami na szyi

wzbił się w powietrze i poszybował w lewo.

W niespełna trzy minuty później odnalazł łódź. Zanim żołnierze dobiegli do brzegu, Richard był już pod wodą. Zdjął plecak i postawił go za sobą. Spojrzał na swojego towarzysza i spróbował powiedzieć kilka prostych zdań w ptasim języku. Ptak odpowiedział bardzo powoli i wyraźnie:

- Dziękujemy ci.

Podróż trwała nieco ponad godzinę. Richard i ptak prawie wcale ze sobą nie rozmawiali. Początkowo z zainteresowaniem przyglądał się jak ptasi przywódca radzi sobie ze sterem. Robił notatki, przez chwilę nawet sam kierował łodzią. Myślał o wszystkim, czego dowiedział się podczas pobytu w drugim module. Najbardziej nurtowało go pytanie, dlaczego to właśnie jemu przypadła w udziale podróż z melonami i pajęczą siecią, a nie na przykład jednemu z myrmikotów. Widocznie wciąż czegoś nie rozumiem...

Łódź wynurzyła się na powierzchnię i Richard znalazł się w znajomym miejscu. Nowojorskie wieżowce ciągnęły się aż po horyzont.

- Nie jest źle - powiedział głośno, stawiając na brzegu swój plecak.

Przywódca ptaków zakotwiczył łódź i zamierzał odlecieć. Obrócił się dookoła, uklonił, wzbił się w powietrze i poleciał na pomoc. Richard patrzył na jego malejącą sylwetkę i nagle zdał sobie sprawę, że stoi w miejscu, skąd przed wielu laty, na pokładzie Ramy II, ptaki przeniosły go na drugą stronę Morza Cylindrycznego.

7.

Gdy tylko dotknął stopą brzegu, czujniki zaczęły gromadzić miliardy bitów informacji. W czasie rzeczywistym przekazywano je do procesorów danych, a potem wędrowały do głównego ośrodka łączności znajdującego się w południowej części statku.

Procesor telekomunikacyjny analizował dane, dokonywał ich kompresji, po czym zapisywał w układach pamięci, których elementy były mniejsze od atomu. Selekcji informacji, które miały zostać włączone do komunikatu rutynowo wysyłanego do Punktu Węzłowego, dokonywały tysiące algorytmów.

Dane zawierały zarówno informacje nie przetworzone jak i te poddane kompresji. Najważniejszą częścią komunikatu była ich synteza. Pozostały czas transmisji wypełniały informacje uzupełniające, takie jak zdjęcia i wyniki pomiarów.

Struktura języka transmisji była niezwykle zwięzła; zawierała odnośniki do omawianych danych i swoją składnią przypominała matematyczne dowody. W dosłownym tego słowa znaczeniu raport był nieprzetłumaczalny na żaden ludzki język. Oto jego niedoskonałe tłumaczenie:

Raport numer 298

Czas transmisji: 156 307 872 491, 5116

Czas który upłynął od ogłoszenia alarmu pierwszego stopnia: 29,2873

Odnośniki: Punkt Węzłowy 23-419

Statek kosmiczny 947

Liczba pasażerów 47 249 (A i B)

32806

2666

Ludzie (pasażerowie 32 806) kontynuują zwycięską wojnę z symbiotycznym gatunkiem ptaków/pajęczaków (numer 47 294 - A i B). Zajęli niemal cały obszar drugiego modułu, włącznie z górnymi piętrami brązowego cylindra, gdzie do niedawna żyły ptaki. Ptaki walczyły dzielnie, lecz ich opór nie zdał się na nic; zabijano je bezlitośnie, przy życiu pozostało nie więcej niż sto osobników.

Dotychczas ludziom nie udało się dotrzeć do sektorów należących do sieci, ale dotarli do szybu prowadzącego do podziemi. W chwili obecnej ludzie przygotowują się do ataku i zajęcia pajęczych grot.

Pajęczaki są gatunkiem bezbronnym, są nastawione pokojowo nawet we wcieleniu pozwalającym na przemieszczanie się, kiedy teoretycznie mogłyby posługiwać się bronią. Aby ochronić się przed atakiem, myrmikoty budują barykady wokół czterech najstarszych i najbardziej rozwiniętych przedstawicieli swojego gatunku. Melonom nie pozostawia się czasu na kiełkowanie, myrmikoty bezpośrednio nie zaangażowane w budowę barykad przedwcześnie przybierają postać kokonów. Jeżeli atak ludzi nie nastąpi w najbliższym czasie, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że napotkają oni zaledwie garstkę myrmikotów.

Ziemski moduł mieszkalny nadal znajduje się we władaniu osobników o charakterystyce całkowicie odmiennej od tej, jaką reprezentowali ludzie z pierwszego kontyngentu, zarówno na pokładzie Ramy II jak i w Punkcie Węzłowym. Głównym celem obecnych przywódców jest utrzymanie się przy władzy i nie troszczą się oni o dalsze losy kolonii. Przywódcy nie wierzą, że są obserwowani, ich zachowanie wskazuje na brak jakichkolwiek zahamowań natury etycznej.

Ludzie prowadzą wojnę z gatunkami ptaków i pajęczaków głównie po to, aby odwrócić uwagę mieszkańców swojej kolonii od innych problemów, takich jak degradacja mikroklimatu Nowego Edenu i spadek stopy życiowej. Przywódcy oraz większość kolonistów w najmniejszym stopniu nie przejmują się eksterminacją ptaków.

Rodzina, która przez ponad rok przebywała w Punkcie Węzłowym, nie ma już wpływu na losy kolonii; kobieta wciąż przebywa w więzieniu, przede wszystkim dlatego, że wyraziła sprzeciw wobec działań przywódców Nowego Edenu. Istnieje niebezpieczeństwo, że zostanie zgłodzona. Jej mąż przez pewien czas przebywał w module mieszkalnym ptaków/pajęczaków, obecnie pomaga im przetrwać rzeź zgotowaną przez ludzi. Ich dzieci nie są jeszcze na tyle dorosłe, aby mogły odegrać znaczącą rolę w życiu publicznym.

Mężczyzna uciekł z drugiego modułu, zabierając ze sobą ptasie jaja oraz zarodniki pajęczaków i przebywa obecnie na wyspie. Znajduje się w znanym sobie środowisku i należy przypuszczać, że przeżyje zarówno on, jak i młode ptaki oraz myrmikoty. Jego ucieczkę umożliwił alarm pierwszego stopnia; sygnał alarmowy z pewnością odegrał zasadniczą rolę w procesie decyzyjnym myrmikotów, które ostatecznie zdecydowały się powierzyć człowiekowi los swojego potomstwa.

Natomiast nie ma żadnych dowodów potwierdzających tezę, że alarm wpłynął na postępowanie ludzi. Przetwarzanie informacji należy do głównych zajęć pajęczaków i nie należy się dziwić, że posłuchały naszej rady. Natomiast ludzie, a zwłaszcza ich przywódcy, wydają się zbyt zajęci swoimi sprawami, aby zastanowić się nad przekazaniem przez nas ostrzeżeniem.

Jeżeli chodzi o ludzi, istnieje dodatkowy problem związany z "bezinwazyjnym" zawieszeniem misji. Poszczególne osobniki w znacznym stopniu różnią się pomiędzy sobą i trudno

wobec wszystkich zastosować tę samą metodę. Bodźce, które jednego człowieka mogłyby skłonić do "działania pozytywnego" u innych nie wywołują żadnej reakcji. Obecnie przeprowadzane są eksperymenty których celem jest wybór optymalnej metody zawieszenia misji. Niestety, istnieje obawa, że ludzie należą do niewielkiej grupy istot, w przypadku których "bezinwazyjne" działania nie przynoszą skutku.

Na południu statku ośmiornice (numer 2 666) żyją w swojej kolonii tak, jak czynią to w koloniach w przestrzeni kosmicznej. Z powodu ograniczonego terytorium i braku rywalizujących gatunków ich zdolność do przybierania innych biologicznych form została "uśpiona". Pomimo to posiadają znaczny potencjał rozwoju, który przyczynił się do skutecznego skolonizowania systemów planetarnych w sąsiedztwie rodzimej gwiazdy.

Do chwili, gdy ludzie wdarli się na teren drugiego modułu, ośmiornice nie interesowały się innymi gatunkami żyjącymi na pokładzie statku. Jednak w momencie gdy ludzie zaczęli badać świat, znajdujący się poza ich własnym terytorium, ośmiornice zaczęły ich obserwować. Ludzie nie zdają sobie jeszcze sprawy z ich obecności, ale ośmiornice już zaczęły układać plany odparcia ataku swoich agresywnych sąsiadów.

Potencjalna utrata społeczności ptaków/pajęczaków w znacznym stopniu zmniejszyłaby wartość poznawczą misji. Możliwe, że inwazje przeżyją jedynie ptaki znajdujące się w zoo na terenie modułu ośmiornic oraz wychowane przez człowieka na wyspie. Wprawdzie nawet nieodwracalna utrata istot jednego gatunku nie powoduje konieczności wprowadzenia alarmu drugiego stopnia, ale istnieje obawa, że działanie ludzi może doprowadzić do jeszcze większych strat. Korekta przebiegu misji, która nastąpi w najbliższej przyszłości, będzie się ograniczała do wsparcia ludzi przeciwstawiających się obecnym władzom i przeciwnych polityce agresywnej ekspansji.

8.

- Kraj, z którego pochodzę, nazywa się Tajlandia. Na czele państwa stał król, który nazywał się Rama, tak samo jak nasz statek. Wasza babcia i dziadek - czyli moi rodzice - nadal tam żyją. Mieszkają w mieście Lamphun, o tutaj...

Nai wskazała na mapę. Chłopiec znów odwrócił głowę. Oni są jeszcze za mali, pomyślała. Stawiam im zbyt wysokie wymagania...

- Wystarczy na dziś - powiedziała zwijając mapę - możecie pójść się bawić.

Galileusz i Kepler ubrali się w kurtki, wzięli piłkę i wybiegli na ulice. Natychmiast rozpoczął się zacięty mecz. Drogi Kenji, myślała Nai przyglądając się zabawie chłopców, tak bardzo nam Ciebie brakuje. Nie potrafię być równocześnie matką i ojcem...

Lekcja geografii jak zwykle rozpoczęła się od przypomnienia, że wszyscy mieszkańcy Nowego Edenu pochodzą z Ziemi. Nai pokazywała chłopcom mapę planety, tłumacząc czym są lądy, oceany i kraj, z którego pochodził ich ojciec. Robiąc to, poczuła przypływ tęsknoty za domem.

Może te lekcje są wron zupełnie niepotrzebne, zastanawiała się, przyglądając się ich grze w piłkę na skąpo oświetlonej ulicy Avalon. Galileusz przechytrzył Keplera i strzelił gola do wymyślonej bramki. Może robię to dla samej siebie?

Ulicą zbliżała się Eponine. Złapała piłkę i rzuciła ją w kierunku chłopców. Nai uśmiechnęła się do swojej przyjaciółki.

- Miło cię widzieć - powiedziała - brakuje mi towarzystwa kogoś życzliwego...

- Czy stało się coś złego? - spytała Eponine. - Przygnębia cię życie w Avalon? Jest niedziela, nie musisz pracować w fabryce amunicji, chłopcy nie poszli do centrum...

Kobiety weszły do domu.

- I nie wydaje mi się, żeby warunki w jakich przyszło ci żyć dawały powody do narzekań - dodała Eponine. - Macie własny, duży pokój i łazienkę, którą dzielicie tylko z pięcioma rodzinami. Czego ci jeszcze trzeba?

Nai roześmiała się i objęła swoją przyjaciółkę.

- Dziękuję, widzę, że starasz się mi pomóc.

- Mamo, mamoo! - wołał od progu Kepler - chodź szybko. On wrócił i znowu rozmawia z Galileuszem.

Nai i Eponine podeszły do drzwi. Człowiek o zniekształconej twarzy klęczał w błocie przed

przeżonym Galileuszem trzymając w dłoni kartkę papieru. Była na niej narysowana twarz człowieka o siwych włosach i długiej brodzie.

- Znasz tego człowieka? - pytał natarczywie. - To pan Richard Wakefield, prawda?

Nai i Eponine zbliżyły się do mężczyzny.

- Już panu mówiłam, żeby nie niepokoił pan moich dzieci. Proszę stąd odejść, bo sprowadzę policję.

Mężczyzna miał błędny wzrok.

- Widziałem go wczoraj - powiedział. - Wyglądał jak Chrystus, ale to na pewno był Richard Wakefield. Zacząłem do niego strzelać, a wtedy one mnie zaatakowały. Było ich pięć; rozszarpały moją twarz... - Mężczyzna zaczął szlochać.

Na ulicy pojawił się sanitariusz. Podbiegł do mężczyzny i chwycił go za ramiona.

- Widziałem go! - krzyczał szalenie. - Jestem tego pewien. Uwierzcie mi!

Galileusz płakał, Nai starała się go pocieszyć.

- Mamo - pociągnął nosem jej syn - myślisz, że on naprawdę spotkał Richarda Wakefielda?

- Nie wiem - odparła Nai spoglądając na Eponine. - Ale niektórzy z nas chcieliby w to wierzyć...

Po dłuższym czasie chłopcy zasnęli na łóżku, stojącym w rogu pokoju. Nai i Eponine usiadły na krzesłach.

- Słyszałam, że jest bardzo chora - szepnęła Eponine. - Podobno prawie wcale nie dają jej pożywienia. Chcą, aby jej cierpienie było jak największe.

- Nicole nigdy się nie podda - powiedziała z mocą Nai. - Chciałabym mieć jej siłę i odwagę.

- Ellie i Robert nie widzieli jej już od ponad sześciu miesięcy... Nicole nie wie nawet, że ma wnuczkę...

- Ellie powiedziała mi w zeszłym tygodniu, że napisała kolejną petycję do Nakamury, aby zezwolił jej na odwiedzenie matki - rzekła Nai. - Martwię się o nią, potrafi być stanowcza...

Eponine uśmiechnęła się.

- Ellie jest wspaniała, choć zarazem nieprawdopodobnie naiwna. Wydaje jej się, że skoro postępuje zgodnie z prawem, Nakamura zostawi ją w spokoju.

- Nie widzę w tym nic dziwnego... zwłaszcza jeżeli założyć, że jej ojciec żyje. Rozmawiała ze wszystkimi którzy twierdzą, że wiedzieli Richarda...

- Te historie dają jej nadzieje - zauważyła Eponine. - Każdemu z nas czasami potrzebna jest nadzieja...

Zapadła cisza.

- A co z tobą, Eponine? - spytała Nai po dłuższym milczeniu. - Pozwalasz sobie na...

- Nie - przerwała jej Eponine. - Staram się być w stosunku do siebie uczciwa... Wkrótce umrę, nie wiem tylko kiedy... Poza tym dlaczego miałabym walczyć o swoje życie? Życie w Avalon jest gorsze niż w więzieniu w Bourges. Gdyby nie te dzieciaki w szkole...

Przed domem rozległ się jakiś rumor. Nai i Eponine umilkły. Gdyby ich rozmowę nagrał jeden z biotów Nakamury...

Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanął Max Puckett.

- Jesteście aresztowane - powiedział robiąc głupią minę. - Za spiskowanie.

Pod pachą trzymał duże, drewniane pudło. Kobiety pomogły mu postawić je w kącie. Max zdjął z siebie grubą kurtkę.

- Przepraszam, że przychodzę tak późno, to nie moja wina.

- Apropozycja armii? - spytała szeptem Nai.

Max skinął głową.

- Nie inaczej. Król Japońców zawsze przypomina mi, że w wojsku najważniejsze są żołądki.

- To brzmi jak maksyma Napoleona - zauważyła Eponine. - Ale wy, ludzie z Arkansas, pewnie o nim nie słyszeliście...

- Jak to miło - odparł Max. - Widzę, że nasza nauczycielka jest dziś w znakomitym nastroju - dodał, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów. - Więc może prezent zatrzymam dla siebie...

Eponine roześmiała się, starając się wyrwać Maxowi paczkę papierosów. Max poddał się po krótkiej walce.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała Eponine - zostało nam doprawdy tak niewiele przyjemności...

- Uważaj na to co mówisz - Max znowu zrobił głupią minę - nie przyszedłem tutaj po to, żeby wysłuchiwać waszych żalów. Wpadłem do Avalon, żeby zobaczyć tę śliczną buzię... Jeżeli jesteś w złym humorze, zabiorę swoją kukurydzę, pomidory i...

- Kukurydza i pomidory! - wykrzyknęły Nai i Eponine, i rzuciły się do drewnianego pudła.

- Bądźcie ostrożne - ostrzegł je Max. - Pamiętajcie, że to, co robię, jest absolutnie niedozwolone. Żywności brakuje już nawet dla żołnierzy i najwyższych władz. Ale pomyślałem sobie, że zasługujecie na coś lepszego niż ryż najgorszego gatunku...

Eponine objęła go.

- Dziękuję ci.

- Chłopcy i ja jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Max - dodała Nai. - Nie wiem, jak ci się

odwdzięczyć.

- Pomyślmy o tym - uśmiechnął się Max.

Kobiety wróciły na swoje krzesła, Max usiadł na podłodze.

- W drugim module spotkałem dziś Patricka O'Toole... Prosił, żeby was pozdrowić...

- Co u niego słyhać? - spytała Eponine.

- Ma kłopoty. Kiedy wzięli go do wojska, za namową Katie zgłosił się do służby liniowej; myślę, że nie zrobiłby tego, gdyby porozmawiał przedtem z Richardem albo Nicole. Teraz bardzo tego żałuje... Właściwie nic mi nie powiedział, ale czułem, co się z nim dzieje. Żeby się zemścić na Nicole, Nakamura wysłał go na front...

- Czy wojna niedługo się skończy? - spytała Eponine.

- Myślę, że tak - odparł Max. - Ale wygląda na to, że Nakamura wcale nie chce pokoju... Rozmawiałem z żołnierzami, ptaki w zasadzie nie stawiają już oporu. W tym brązowym cylindrycznym budynku wyróżnili już prawie wszystkie.

Nai pochyliła się do przodu i powiedziała szeptem:

- Słyszeliśmy plotki, że w cylindrze mieszkały jakieś inne istoty, zupełnie niepodobne do ptaków.

Max się roześmiał.

- Doprawdy nie wiem, w co mam wierzyć. Telewizja i gazety mówią to, co każe Nakamura, wszyscy o tym wiedzą. A plotki są zawsze... Widziałem w drugim module jakieś rośliny i zwierzaki, więc nic mnie już nie zdziwi...

Nai ziewnęła.

- Chyba już pójdę - rzekł Max, wstając. - Myślę, że powinniście się wyspać. Chcesz, żeby ktoś odprowadził cię do domu? - zwrócił się do Eponine.

- To zależy od tego, kto to będzie... - odparła z uśmiechem dziewczyna.

Po kilku minutach Max i Eponine dotarli do jej małej chatki przy jednej ulicy w Avalon. Max zgasił papierosa, którego wspólnie palili.

- Czy chciałbyś, żeby ktoś...

- Tak, chciałabym - przerwała mu Eponine. - I jeżeli wolno mi wybrać tego kogoś, wybieram ciebie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ale jeżeli choć raz znalazłbyś się w moim łóżku, chciałabym więcej... I nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym zaraziła cię wirusem RY-41...

Przytuliła się do niego, nie chciała, żeby zobaczył jej łzy.

- Dziękuję ci za wszystko, Max - szepnęła. - Jesteś jedynym dobrym człowiekiem w tym oszalałym świecie...

Eponine była w paryskim muzeum, otaczały ją setki rzeźb i obrazów. Do sali weszła duża grupa turystów i na kilkadziesiąt sekund przystanęła przed obrazami Moneta i Renoira.

- Czekajcie - zawołała za nimi Eponine - przecież w tak krótkim czasie niczego nie zdążyliście zobaczyć!

Ktoś pukał do drzwi, Eponine powoli wracała do rzeczywistości.

- To my - usłyszała głos Ellie. - Jeżeli przyszliśmy zbyt wcześnie, przyjdziemy później, zanim pójdziesz do szkoły. Robert obawia się, że zatrzymają nas na obserwacji...

Na jedynym krześle stojącym w pokoju leżał płaszcz kąpielowy. Eponine otuliła się nim.

- Już otwieram - powiedziała.

Ellie miała na sobie biały fartuch, w nosidełku zrobionym domowym sposobem spała mała Nicole. Głowa dziecka była otulona chroniącym ją przed zimnem kawałkiem płótna.

- Możemy wejść?

- Oczywiście - odparła Eponine. - Wybacz, że tak długo nie otwierałam... Spałam...

- Wiem, że to idiotyczna pora na odwiedziny - tłumaczyła się Ellie - ale gdybyśmy nie przyszli rano, nie byłoby już na to czasu...

- Jak się czujesz? - spytał doktor Turner. Trzymał w dłoni skaner; na ekranie przenośnego komputera zaczęły się pojawiać wyniki badania.

- Jestem trochę zmęczona - odparła Eponine. - Ale myślę, że to wyczerpanie psychiczne. Od chwili gdy przed dwoma miesiącami powiedziałaś mi, że dostrzegasz w moim sercu oznaki obumierania mięśni, co najmniej raz dziennie wydaje mi się, że mam atak serca...

Ellie upewniła się, że wyniki badania zostały wprowadzone do komputera. Eponine zajrzała jej przez ramię.

- Jak działa nowy system, Robercie?

- Mieliśmy sporo kłopotów z czujnikami - powiedział Turner. - Ed Stafford mówi, że należało się tego spodziewać, bo testy nie są odpowiednio wyskalowane... Poza tym nie mamy jeszcze dobrego programu do opracowywania danych; ale mimo to jesteśmy zadowoleni...

- Ten system jest naszym wybawieniem - dodała Ellie, nie podnosząc wzroku znad ekranu. - Gdyby nie jego automatyzacja, przy obecnej liczbie rannych i obniżeniu funduszy na ochronę zdrowia, nigdy nie moglibyśmy sobie pozwolić na badanie nosicieli RY^{tl}.

- Szkoda tylko, że w większym stopniu nie mogliśmy skorzystać z pierwotnego systemu Nicole - dodał Robert.

- Nie wiedziałem, że ona jest ekspertem od systemów monitoringowych... - Doktor urwał, dostrzegłszy na wykresie coś, co go zastanowiło.

- Wydrukuj to, kochanie. Chciałbym pokazać to Edowi... - Zwrócił się do Ellie.

- Czy macie jakieś wieści o twojej matce? - spytała Eponine.

- Dwa dni temu widzieliśmy się z Katie - powoli odparła Ellie. - To była kolejna trudna rozmowa... Chciała porozmawiać z nami o "układzie" z Nakamurą i Macmillanem... - Jej głos załamał się. - W każdym razie Katie powiedziała, że proces z pewnością odbędzie się przed rocznicą Dnia Zasiedlenia.

- Widziała się z Nicole?

- Nie - odrzekła Ellie. - O ile wiem, z nikim się nie widuje. Jedzenie przynosi jej Garcia, jej stan zdrowia co miesiąc kontroluje Tiasso.

Mała Nicole poruszyła się. Eponine dotknęła policzka wystającego spod zwojów płótna.

- Jej skóra jest tak cudownie miękka... - szepnęła. Dziewczynka otworzyła oczy i rozplakała się.

- Czy mam dość czasu, żeby ją nakarmić? - spytała Ellie.

Doktor Turner spojrział na zegarek.

- Myślę, że tak. Tutaj w zasadzie nie mamy już nic do roboty... Wilma Margolin i Bili Tucker mieszkają w sąsiednim bloku, więc myślę, że sam mogę złożyć im wizytę; potem po ciebie wrócę.

- Dasz sobie radę beze mnie?

- Z trudnością - odparł Robert ze smutkiem w głosie. - Zwłaszcza z biednym Tuckerem.

- Bili Tucker jest umierający - wyjaśniła Ellie. - Bardzo cierpi, a nie ma nikogo. Odkąd rząd zakazał stosowania eutanazji, w żaden sposób nie możemy mu pomóc.

- Wyniki twojego badania nie wskazują na postępujące uszkodzenie tkanki - rzekł po chwili Robert Turner. - Myślę, że nie jest źle.

Eponine nie usłyszała słów doktora, oczami wyobraźni widziała swoją własną śmierć.

Nie pozwolę, żeby to tak wyglądało, pomyślała. Nigdy. Gdy już nikomu nie będę potrzebna, poproszę Maxa o strzelbę...

- Przepraszam, Robercie, nie usłyszałam, co powiedziałeś.

- Twój stan nie jest gorszy niż poprzednim razem - rzekł Robert całując Eponine w policzek i kierując się do drzwi. - Wrócę za dwadzieścia minut - powiedział do Ellie.

- Robert jest bardzo zmęczony - powiedziała Eponine, gdy zamknęły się drzwi.

- To prawda - odparła Ellie. - Pracuje niemal bez przerwy... I jest niespokojny, kiedy tego nie robi...

Ellie siedziała na brudnej podłodze opierając się plecami o ścianę. Mała Nicole z zadowoleniem ssała jej pierś.

- Zdaje się, że to fajna zabawa - zauważyła Eponine.

- To prawda. Nigdy w życiu nie doświadczyłam czegoś równie przyjemnego...

Ale to nie dla mnie... pomyślała Eponine. Już nigdy.

Przypomniała sobie noc spędzoną z Maxem Puckettem, kiedy o mało co nie powiedziała "tak". Czuła, jak przepelnia ją uczucie goryczy.

- Wczoraj poszłam na spacer z Benjym - zmieniła temat.

- Jestem pewna, że mi o tym opowie - rzekła Ellie. - On uwielbia te wasze niedzielne spacerki. To wszystko, co mu pozostało, może z wyjątkiem moich odwiedzin... Jestem ci za to tak wdzięczna...

- Nie mów tak, wiesz przecież, że go lubię. Poza tym wiem, że jestem mu potrzebna... Benjy znakomicie się do mnie dostosował; nie narzeka tak bardzo jak nosiciele, a już z pewnością zachowuje się zupełnie inaczej niż ludzie pracujący w fabryce amunicji...

- On ukrywa swój ból - powiedziała Ellie. - Jest o wiele mądrzejszy, niż ludziom się wydaje... Nie lubi tego zamknięcia, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że nie potrafiłby żyć samodzielnie. Nie chce być dla nikogo ciężarem...

W oczach Ellie stanęły łzy, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Mała Nicole przestała ssać pierś i spojrzała na swoją matkę.

- Wszystko w porządku? - spytała Eponine.

Ellie kiwnęła głową, otarła chusteczką oczy i powróciła do karmienia.

- Nie łatwo jest być świadkiem cierpienia... - zauważyła Ellie.

Strażnik uważnie przyjrzał się identyfikatorowi i podał go umundurowanemu mężczyźnie siedzącemu przy komputerze. Mężczyzna wystukał na klawiaturze nazwisko i zwrócił identyfikator swojemu towarzyszowi.

- Dlaczego on codziennie wpatruje się w nasze zdjęcia? - szepnęła Ellie, gdy oddalili się na bezpieczną odległość. - Przecież przepuścił nas już dziesiątki razy.

Robert i Ellie szli korytarzem prowadzącym z Positano do modułu ziemskiego.

- Na tym polega jego praca - odparł Robert. - Widocznie musi czuć się ważny. Gdyby nie zachowywał się w ten sposób, zapomnielibyśmy o tym, że ma nad nami władzę...

- Kiedy zajmowały się tym bioty, przebiegało to o wiele sprawniej.

- Te, które jeszcze istnieją, są potrzebne do walki... Poza tym Nakamura boi się ducha Richarda Wakefielda, który mógłby je ujarzmić...

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Kochanie wierzysz w to, że mój ojciec żyje?

- Nie, nie wierzę - odparł po krótkim wahaniu. Zdziwiła go bezpośredniość pytania żony. -

Ale choć w to nie wierzę, chciałbym żeby żył...

Byli już na rogatkach Positano. Na łagodnym zboczu góry stało kilka nowych domów.

- To pytanie o twojego ojca coś mi przypomniało... Czy wiesz coś o badaniach Eda Stafforda?

Ellie potrząsnęła głową.

- Ed próbuje stworzyć genetyczny katalog wszystkich mieszkańców kolonii. Ma nadzieję, że dzięki temu uda mu się ustalić na jakie choroby zapadną poszczególni mieszkańcy. Nie całkiem zgadzam się z jego metodami - wydają mi się godne raczej statystyka niż lekarza - ale podobne badania przeprowadzone na Ziemi rzeczywiście wykazały, że ludzie o podobnych genach zapadają na te same choroby.

Ellie zatrzymała się i spojrzała na męża ze zdziwieniem.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

Robert roześmiał się.

- Zaraz do tego dojdę... Ed stworzył numeryczny system umożliwiający "zmierzenie" różnic pomiędzy poszczególnymi aminokwasami, znajdującymi się w genomie. Potem podzielił naszą społeczność na grupy; jego "skala" w zasadzie nic nie mierzy, ale mimo to...

- Robercie - przerwała mu ze śmiechem Ellie - czy mógłbym przestać mówić od rzeczy? O co ci właściwie chodzi?

- To dziwna sprawa i nie bardzo wiemy, co o tym myśleć. Kiedy Ed stworzył metodę klasyfikacji, dwoje ludzi których przetestował nie zmieściło się w żadnej z grup. Zmieniając definicje kategorii udało mu się jednego z nich wreszcie "wciągnąć" do systemu. Ale pomimo to kolejność aminokwasów była tak odmienna niż u innych mieszkańców kolonii, że znów dwóch osób nie udało się przyporządkować do żadnej kategorii...

Ellie patrzyła na Roberta takim wzrokiem, jak gdyby jej mąż oszalał.

- Te dwie osoby to ty i twój brat, Benjy - dodał Robert. - Nie mieście się w żadnej klasyfikacji...

Zapadła cisza.

- Czy powinnam się tym martwić? - spytała po dłuższej chwili Ellie.

- Raczej nie - odparł ostrożnie Turner. - Może Ed wybrał niewłaściwy układ odniesienia...

A może się pomylił... Ale istnieje także możliwość, że promieniowanie kosmiczne zmieniło genetyczną strukturę waszych embrionów.

Dotarli do rynku w Positano. Ellie pocałowała swojego męża.

- Wiesz, kochanie - powiedziała z przekąsem - to, co mówisz rzeczywiście jest bardzo

ciekawe, ale obawiam się, że w dalszym ciągu nie wiem o co ci chodzi...

Na środku rynku stał olbrzymi stojak z dziesiątkami rowerów. Rowery stanowiły teraz podstawowy środek lokomocji, jedynie przedstawiciele rządu posiadali elektryczne samochody.

Po wybuchu wojny zawieszono komunikację kolejową. Wagony zbudowane były z niezwykle lekkich materiałów, których ludzie sami nie potrafili wyprodukować. Te stopy metali okazały się niezwykle przydatne w przemyśle zbrojeniowym i pociągi zarekwirowało Ministerstwo Obrony.

Ellie i Robert jechali wzdłuż brzegu Jeziora Szekspira. Mała Nicole obudziła się i w milczeniu oglądała krajobraz. Minęli park, w którym zawsze w rocznicę Dnia Zasiedlenia odbywały się uroczystości i skręcili na pomoc.

- Robercie - odezwała się Ellie niezwykle poważnym tonem - czy myślałeś o naszej wczorajszej rozmowie?

- O Nakamurze i polityce?

- Tak. Nadal uważam, że obydwójce powinniśmy sprzeciwić się jego edyktowi zawieszającemu wybory do końca wojny... Większość lekarzy opowie się po twojej stronie... Nai sędzi nawet, że robotnicy z avalońskich fabryk ogłoszą strajk...

- Nie mogę tego zrobić - rzekł po dłuższej chwili Robert.

- Dlaczego, kochanie?

- Bo wiem, że to nic nie da... Jesteś idealistką, Ellie, wydaje ci się, że ludzi do działania skłaniają jakieś szczytne ideały. Ale oni wcale tak nie postępują: jeżeli sprzeciwimy się Nakamurze, prawdopodobnie zostaniemy uwięzieni... I jaki los spotka naszą córeczkę? Poza tym program pomocy nosicielom RV-41 zostanie natychmiast zawieszony, pozostawiając tych biedaków bez żadnej opieki... W szpitalu będzie mniej rąk do pracy... I wielu ludzi będzie cierpieć z powodu naszego idealizmu... Jestem lekarzem i nie mogę do tego dopuścić.

Ellie skręciła do niewielkiego parku w pobliżu Miasta Środkowego.

- Dlaczego się zatrzymałaś? - spytał Robert. - Czekają na nas w szpitalu.

- Tylko na pięć minut. Chcę popatrzeć na drzewa, kwiaty, i przytulić do siebie małą Nicole.

Zsiadła z roweru a Robert pomógł jej wyjąć dziecko z nosidełka. W milczeniu przyglądali się, jak Nicole swoimi małymi, tłustymi rączkami dotyka źdźbeł trawy.

Ellie rozłożyła na ziemi koc i położyła na nim swoją córeczkę. Podeszła do męża i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Bardzo cię kocham, Robercie - powiedziała - ale muszę wyznać, że czasami zupełnie się z tobą nie zgadzam.

9.

Sączące się z wąskiego okienka światło tworzyło na ścianie wzór przypominający planszę do gry w kółko i krzyżyk. W celi zapaliło się światło. Nicole podniosła się z drewnianej pryczy, podeszła do miski z wodą i umyła twarz. Zrobiła kilka głębokich wdechów, by zebrać siły na kolejny dzień.

Była niemal pewna, że więzienie, w którym przebywała od pięciu miesięcy, znajduje się pośród terenów uprawnych pomiędzy Hakone a San Miguel. Gdy przywieziono ją tutaj miała związane oczy, ale do jej celi od czasu do czasu przedostawała się woń stajni. W nocy, za zakratowanym okienkiem, nie widać było żadnych świateł.

Najgorsze były ostatnie trzy miesiące, pomyślała, stając na palcach, żeby przez okno przepchnąć kilka ziarenek ryżu. Żadnych rozmów, ćwiczeń, książek... Dwa razy dziennie ryż i woda... Mała, ruda wiewiórka znów złożyła jej wizytę. Nicole zrobiła kilka kroków w tył, żeby zobaczyć jak rudzielec pałaszuje ryż.

- Jesteś moim jedynym towarzyszem, jedynym przyjacielem - powiedziała do niej Nicole. Wiewiórka przestała jeść i podniosła łebek do góry. - I nigdy nie rozumiałaś nic z tego, co do ciebie mówiłam...

Jej rudy gość nie zabawił długo. Wiewiórka przełknęła ostatnie ziarno ryżu i zniknęła.

Nicole długo wpatrywała się w okienko zastanawiając się, jaki los spotkał jej rodzinę.

Pół roku temu, gdy proces o bunt był odroczony, zezwalano jej na jedno widzenie w tygodniu. Choć rozmowy odbywały się w obecności strażnika i poruszanie politycznych tematów było zakazane, cotygodniowe spotkania z Ellie i Patrickiem sprawiały Nicole wielką radość. Najczęściej odwiedzała ją Ellie; z bardzo ostrożnych wypowiedzi swoich dzieci Nicole wywnioskowała, że Patrick pracuje "dla rządu" i w związku z tym ma niewiele wolnego czasu.

Gdy odebrano jej opiekę rodzicielską nad Benjym najpierw była zła, a potem smutna. Nie mogła się z nim widywać. Ellie zapewniała ją, że chłopiec (biorąc pod uwagę okoliczności) czuje się całkiem dobrze. O Katie nie rozmawiano prawie wcale. Ani Patrick ani Ellie nie potrafili wyjaśnić Nicole, dlaczego jej najstarsza córka nie chce się z nią widywać.

Ciąża Ellie była bezpiecznym tematem. Nicole z radością i podnieceniem dotykała brzucha córki i wypytywała, jak czuje się w roli matki. Opowiadała też o własnych doświadczeniach.

- Patrick był bardzo grzecznym dzieckiem - mówiła - prawie nigdy nie kopał. Ale ty byłaś okropna: w nocy, kiedy chciałam spać, bez przerwy przebierałaś nogami...

Gdy Ellie nie czuła się dobrze, Nicole zaleciła jej dietę i ćwiczenia fizyczne.

Ostatnia wizyta córki wypadła na dwa miesiące przed rozwiązaniem. W tydzień później Nicole przeniesiono do innej celi i od tego czasu z nikim nie rozmawiała. Obsługujące ją bioty nie odpowiadały na żadne pytania. Kiedyś, w przypływie rozpacz, krzyknęła do jednego z nich:

- Nie rozumiesz?! Moja córka w zeszłym tygodniu miała urodzić dziecko, zostałam babcią! Muszę wiedzieć, jak się czuje!

W poprzedniej celi Nicole mogła czytać; na dyskieciek dostarczano jej książki z biblioteki i dni szybko mijały. Po raz kolejny przeczytała prawie wszystkie powieści ojca, wiersze, opracowania historyczne i najciekawsze książki medyczne. Zastanowiło ją podobieństwo jej własnego losu do życia Joanny d'Arc i Eleonory Akwitańskiej. Nabierała pewności, że długi pobyt w celi nie spowoduje zmian w jej osobowości.

Gdy przeniesiono ją do obecnej celi, a Garcia nie zwróciła czytelnika do książek, Nicole pomyślała, że zaszła zwyczajna pomyłka. Dopiero gdy jej prośby zostały zignorowane, zrozumiała, że odebrano jej przywilej czytania.

Czas mijał bardzo powoli; przez kilka godzin dziennie Nicole spacerowała po celi, starając się rozruszać swoje ciało i umysł. Chodzenie pozwalało jej odwrócić bieg myśli od rodziny - ten temat zawsze wywoływał depresję i poczucie samotności - w stronę innych spraw. Często zastanawiała się nad wydarzeniami z przeszłości i starała się wyciągnąć z nich nowe wnioski.

Kiedy miała piętnaście lat i mieszkała razem z ojcem w Beauvois, w szkole osiągała znakomite wyniki. Postanowiła wziąć udział w eliminacjach do konkursu, w którym główną nagrodą była rola Joanny d'Arc w przedstawieniu z okazji siedemset pięćdziesiąt rocznicy jej męczeństwa. Z ogromnym poświęceniem zabrała się do pracy; jej upór i egoizm nieco przerażyły ojca. Gdy wygrała eliminacje w Tours, Pierre zawiesił pracę nad swoją nową powieścią, by pomóc córce w przygotowaniach do finału w Rouen.

Nicole zajęła pierwsze miejsce we wszystkich konkurencjach, zarówno jako młoda lekkoatletka, jak i zawodniczka o najlepszym przygotowaniu merytorycznym. Była przekonana, że to właśnie jej przypadnie w udziale rola Joanny. Niestety, kiedy ogłoszono wyniki okazało się, że zajęła drugie miejsce.

Przez wiele lat myślałam, że odniosłam porażkę. Ojciec powiedział, że Francja nie dojrzała jeszcze do czarnoskórej Joanny, ale nie słuchałam go, miałam poczucie klęski i aż do igrzysk olimpijskich nie odzyskałam równowagi ducha. A potem, zaledwie w kilka dni później, Henryk pogrążył mnie w cierpieniu...

Zapłaciłam ogromną cenę, myślała Nicole, brakowało mi poczucia własnej wartości i przez

wiele lat byłam zajęta wyłącznie sobą. Wiele lat musiało upłynąć, abym poczuła, że jestem z siebie zadowolona; dopiero wtedy mogłam dać coś innym... Dlaczego tak wielu ludzi musi przez to przejść? Dlaczego młodość jest tak egoistyczna, dlaczego najpierw musimy odnaleźć siebie, aby zdać sobie sprawę czym jest życie?

Gdy Garcia przynosząca posiłki do ryżu dołączyła świeży chleb i kilka surowych marchewek, Nicole zaczęła przypuszczać, że zanoszą się na jakąś zmianę. W dwa dni później Tiasso przyniosła do celi szczotkę, zestaw do makijażu, lustro i perfumy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Nicole zezwolono na prawdziwą kąpiel. Zanim jeden z biotów wyniósł z celi drewnianą wanienkę, podał jej kartkę: "Jutro rano będziesz miała gościa".

Nicole nie mogła spać. Wczesnym rankiem rozmawiała z wiewiórką niczym mała dziewczynka, zwierając się ze swojej nadziei i obaw przed wizytą tajemniczego gościa. Wielokrotnie poprawiała włosy, przeglądała się w lustrze i doszła do wniosku, że wygląda okropnie. Czas mijał bardzo powoli.

Tuż przed lunchem usłyszała na korytarzu kroki. Podeszła do drzwi.

- Katie! - wykrzyknęła, widząc przez zakratowane okienko w drzwiach celi swoją córkę.

- Cześć, mamó - powiedziała Katie otwierając drzwi i wchodząc do środka. Nicole nie mogła powstrzymać łez.

Usiadły na pryczy i długo rozmawiały o rodzinie. Katie powiedziała, że Nicole została babcią.

- Twoja wnuczka nazywa się Nicole des Jardins Turner - oświadczyła. - Możesz być z siebie dumna.

Potem wyjęła z kieszeni fotografie. Były tam zdjęcia nowo narodzonego dziecka i jego rodziców, Ellie i Benjy'ego w parku, Patryka w mundurze, oraz Katie w najprzeróżniejszych sukniach. Nicole oglądała je z uwagą, od czasu do czasu powtarzając: "Katie, jakie to śliczne!"

Obejrząwszy zdjęcia gorąco podziękowała swojej córce.

- Możesz je zatrzymać - powiedziała Katie stając pod oknem i wyjmując z torebki papierosy.

- Kochanie - powiedziała Nicole - czy mogę cię prosić, żebyś tutaj nie paliła? W celi nie ma żadnej wentylacji, zapach tytoniu pozostanie na wiele tygodni...

Katie patrzyła na matkę przez kilka długich sekund, po czym schowała papierosa. Do celi weszły dwie Garcia, przynosząc stół i krzesła.

- Co to będzie? - spytała Nicole.

- Zjemy lunch - uśmiechnęła się Katie. - Przygotowałam dla ciebie coś specjalnego: kurczak

w winnym i grzybowym sosie.

Do stołu nakryła trzecia Garcia, która przyniosła chińską porcelanę, srebrne sztuce, kryształowe kieliszki i butelkę wina. Jedzenie pachniało niebiańsko. Nicole miała trudności z zachowaniem dobrych manier; kurczak był niezwykle delikatny, a sosy przepyszne. Jadła w zupełnym milczeniu, jedynie w chwilach gdy piła wino pozwalała sobie na uwagi w rodzaju: "mmmm" albo , jakież to pyszne".

Katie prawie wcale nie jadła, natomiast z zainteresowaniem przyglądała się matce. Gdy Nicole skończyła jeść, Katie zawołała Garcję, by sprzątnęła talerze i przyniosła kawę. Nicole od dwóch lat nie piła prawdziwej kawy.

- A co u ciebie, Katie? - spytała Nicole z uśmiechem, podziękowawszy córce za poczęstunek. - Jak sobie radzisz?

Katie roześmiała się.

- Jak zwykle to samo, jestem teraz dyrektorem do spraw rozrywek, sprawuję kontrolę nad całym Vegas... Pomimo tego... wszystkiego... interes idzie bardzo dobrze... - Katie urwała, zdając sobie sprawę, że jej matka nic nie wie o toczącej się wojnie.

- Czy udało ci się znaleźć godnego siebie mężczyznę? - spytała grzecznie Nicole.

- Takiego który został by na dłużej - raczej nie - odparła Katie i rozzłościła się: - Nie przyszedłem do ciebie po to, żeby rozmawiać o moim życiu prywatnym... Mam dla ciebie... a właściwie nasza rodzina ma dla ciebie propozycję.

Nicole zmarszczyła brwi. Po raz pierwszy zauważyła, że Katie przez te dwa lata znacznie się postarzała.

- Nie rozumiem... jaką propozycję?

- Jak zapewne wiesz, od pewnego czasu rząd pracował nad twoim aktem oskarżenia - zaczęła Katie. - Teraz proces może rozpocząć się lada dzień. Zostaniesz oskarżona o zdradę stanu, za co grozi ci kara śmierci. Prokurator powiedział nam, że ilość dowodów jest przytłaczająca i z pewnością zostaniesz skazana. Jednak biorąc pod uwagę twoje wcześniejsze zasługi, jeżeli się przyznasz, że nieświadomie dopuściłaś się zdrady stanu, będziesz mogła...

- Ale przecież ja jestem niewinna - powiedziała Nicole.

- Wiem o tym, mamo - odparła Katie zniecierpliwiona. - Ale Ellie, Patrick i ja uważamy, że najprawdopodobniej zostaniesz skazana. Prokurator obiecał nam, że jeżeli przyznasz się do winy, zostaniesz przeniesiona do ładniejszej celi, będziesz mogła widywać się z rodziną, nawet z wnuczką... Dał nam także do zrozumienia, że dzięki jego wstawiennictwu być może Benjy mógłby zamieszkać z Robertem i Ellie...

Nicole była bardzo zdziwiona.

- I wszyscy uważacie, że powinnam przyznać się do winy, choć od chwili aresztowania uparcie powtarzałam, że jestem niewinna, czy tak?

Katie skinęła głową.

- Nie chcemy, żebyś zginęła - powiedziała. - Zwłaszcza bez powodu...

- Bez powodu?! - W oczach Nicole pojawił się gniew. - Tobie się wydają, że umrę bez powodu?!

Wstała od stołu i zaczęła nerwowo przechadzać się po celi.

- Umrę za sprawiedliwość! - powiedziała bardziej do siebie niż do Katie. - I zrobię to, choćby w całym wszechświecie nie było istoty, która mnie zrozumie.

- Ależ mam - wtrąciła Katie - przecież to bez sensu. Pozbawiasz dzieci i wnuki swojego towarzystwa, Benjy zostanie na zawsze w domu wariatów i...

- Nareszcie rozumiem, o co ci chodzi - przerwała jej Nicole podnosząc głos. - Chcesz, żebym zawarła umowę bardziej zdradziecką niż pakt Fausta z diabłem... Wyrzeknij się swoich zasad, Nicole, przyznaj się do winy, choć nie uczyniłaś nic złego. I nie gódź się na to, by tobie przypadła nagroda, to byłoby zbyt proste, to mogłabyś odrzucić... Masz to zrobić dla swojej rodziny... Czy w takiej sytuacji matce przysługuje prawo wyboru?

Oczy Nicole zwęziły się w szparki. Katie sięgnęła do torebki, wyjęła z niej papierosa i zapaliła go drżącą ręką.

- I kto przychodzi do mnie z tą propozycją?! - krzyknęła. - Kto przynosi mi jedzenie, wino, zdjęcia rodziny po to, by skrytobójczo zadać mi cios w samo serce, cios, który z pewnością sprawi mi więcej cierpienia i bólu niż śmierć na krześle elektrycznym?! Moja córka, którą nosiłam kiedyś we własnym łonie!

Nicole złapała Katie za ramiona.

- Nie bądź Judaszem, Katie! Mimo wszystko nie jesteś aż taka zła; kiedy mnie skażą za zmyślane zbrodnie, myślę, że mnie zrozumiesz...

Katie wyszarpnęła się z uścisku Nicole. Zaciągnęła się papierosem.

- Pieprzysz - warknęła. - Po prostu pieprzysz... Jesteś samolubna... Czy nie rozumiesz, że chcę ci pomóc? Wyciągnęłam do ciebie rękę, zaproponowałam ci lepsze życie... Dlaczego choć raz w życiu nie posłuchasz mojej rady?

- Słucham tego co mówisz - odezwała się Nicole łagodniejszym tonem - i nie podoba mi się to... Nie wierzę, abyś przyszła tu tylko po to, żeby mi pomóc. To byłoby zupełnie niezgodne z twoim zachowaniem, które obserwuję od czterech lat. W tym wszystkim musi być jakaś korzyść dla ciebie... Nie wierzę także, że mówiłaś w imieniu Ellie i Patricka. Gdyby tak było, przyszlibyście razem. Muszę przyznać, że początkowo wprowadziłaś mnie w błąd, ale teraz

rozumiem już o co chodzi... Katie, moja kochana Katie...

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnęła Katie, gdy Nicole zrobiła krok w jej kierunku. - I daruj sobie to współczucie, pełne obłudy...

W celi zapadła cisza. Katie wypaliła papierosa, starając się opanować.

- Wiesz - powiedziała po dłuższym namyśle - gównu mnie obchodzi, co sobie o mnie pomyślisz. Ale dlaczego nie obchodzą cię Ellie, Patrick i mała Nicole? Wolisz zostać świętą skazując ich na cierpienie?

- W swoim czasie zrozumieją - odpowiedziała Nicole.

- W swoim czasie zginiesz - stwierdziła Katie ze złością. - I ten czas nadejdzie bardzo szybko... Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że gdy wyjdę stąd i powiem Nakamura, że nie się zgadzasz na jego propozycję, nie będzie żadnego procesu? Nie masz żadnych szans!

- Nie zastraszysz mnie.

- Wiem; nie mogę cię zastraszyć, nie mogę cię dotknąć, nie wolno mi nawet apelować do twojego sumienia... - Katie wzięła głęboki oddech. - W takim razie... Żegnaj, mamó... - Choć starała się opanować, w jej oczach stanęły łzy.

Nicole nie kryła swoich łez.

- Żegnaj, Katie - powiedziała. - Kocham cię.

10.

Ostatnie słowo należy do oskarżonej.

Nicole z trudem wstała, dwuletni pobyt w więzieniu poważnie ją osłabił.

Stała przed ławą przysięgłych, na której zasiadało czterech mężczyzn i dwie kobiety. Siedząca w pierwszym rzędzie Karen Stolz była Szwajcarką. Nicole znała ją dość dobrze, bo państwo Stolzowie otworzyli piekarnię w Beuvois, w pobliżu domu Wakefieldów.

- Witaj, Karen - szepnęła Nicole. - Co u Johna i Marie?... Są już chyba nastolatkami?

Pani Stolz zaczęła się wiercić na krześle.

- U nas wszystko w porządku - szepnęła bardzo cicho.

Nicole uśmiechnęła się.

- Czy w każdą niedzielę pieczecie te wspaniałe bułeczki z cynamonem?

W sali rozległ się stukot sędziowskiego młotka.

- Pani Wakefield - rzekł sędzia Nakamura - nie mamy czasu na pogaduszki. Ma pani pięć minut, zegar zaczął już odliczać czas.

Nicole zignorowała uwagę Nakamury. Przechyliła się przez barierkę i spojrzała z bliska na piękny naszyjnik pani Stolz.

- Piękne klejnoty - szepnęła - ale oni zapłaciliby pani znacznie więcej...

Sędzia ponownie zastukał, dwóch strażników już chciało ruszyć w stronę Nicole, ale oskarżona zrobiła krok w tył.

- Panie i panowie sędziowie - zaczęła - przez cały tydzień prokurator powtarzał, że stawiałam opór legalnym władzom Nowego Edenu, oskarżono mnie także o zdradę stanu. Musicie teraz zdecydować, na podstawie dowodów zgromadzonych w trakcie procesu, czy rzeczywiście jestem winna. Proszę abyście pamiętali, że zdrada stanu jest przestępstwem bardzo poważnym i karana jest śmiercią.

- W swoim ostatnim słowie chciałbym dokonać analizy aktu oskarżenia. Zeznania złożone pierwszego dnia, nie mające żadnego związku z moją sprawą, zostały włączone do akt przez sędziego Nakamurę co, o ile wiem, stanowi naruszenie prawa i...

- Pani Wakefield - przerwał ze złością Nakamura - stanowczo sprzeciwiam się podobnym wypowiedziom. Jeszcze jedna taka uwaga i odbiorę pani głos.

- Oskarżyciel poddał w wątpliwość moją moralność. Panie i panowie, nie mam nic przeciwko temu, aby publicznie porozmawiać o poczęciu każdego z moich sześciorga dzieci.

Muszę jednak wyjaśnić, że nie ma to nic wspólnego z zarzucanymi mi czynami; pierwszy dzień procesu miał być może walory rozrywkowe, ale nie wniósł do sprawy żadnych istotnych szczegółów...

Z galerii dał się słyszeć chichot; po chwili strażnikom udało się uciszyć publiczność.

- Kolejni świadkowie oskarżenia godzinami opisywali rzekome zdradzieckie czyny mojego męża. To prawda, że wyszłam za mąż za Richarda Wakefielda. Ale jego wina lub niewinność nie powinna w najmniejszym stopniu mieć wpływu na mój proces; wyrok musi zostać wydany na podstawie dowodów, które obciążają bezpośrednio i wyłącznie mnie.

- Oskarżenie twierdzi, że aktu zdrady stanu dopuściłam się nagrywając film, który w dużej mierze przyczynił się do założenia naszej kolonii. Przyznaję, że uczestniczyłam w nagraniu wiadomości przesłanej z Ramy na Ziemię, ale kategorycznie zaprzeczam, że "kolaborowałam z Obcymi" lub że w jakikolwiek sposób sprzymierzyłam się z budowniczymi Ramy przeciwko ludzkości.

- Nagrałam film, o czym mówiłam już wczoraj, ponieważ nie pozostawiono mi wyboru. Ja i moja rodzina byliśmy całkowicie uzależnieni od istot znacznie od nas potężniejszych. Obawiałam się, że moja odmowa może wywołać odwet.

Nicole napiła się wody i znów zwróciła się do przysięgłych.

- Pozostają jedynie dwa dowody, na podstawie których można mnie skazać; zeznania mojej córki Katie oraz taśma której wysłuchaliśmy wczoraj, na której rzekomo zarejestrowano moje wypowiedzi skierowane do członków mojej rodziny.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie państwo sprawę, jak łatwo jest spreparować takie nagrania; technicy zeznali wczoraj, że spędzili setki godzin na przesłuchiowaniu taśm, zanim udało im się uzyskać trzydzieści minut materiału, który nazwano "miażdżącym dowodem". Powiedzieli także, że najdłuższe nagranie pochodzące z jednej rozmowy miało nie więcej niż osiemnaście sekund. W związku z tym stwierdzenie, że moje słowa były wyrwane z kontekstu, wydaje się raczej oczywiste...

- Jeżeli chodzi o zeznania Katie Wakefield, mogę tylko oświadczyć, a nie przychodzi mi to łatwo, że moja córka kilkakrotnie rozminęła się z prawdą. Nieprawdą jest, że wiedziałam o wywrotowej działalności mojego męża, a skoro tak, nie mogłam mu w niej pomagać...

- Proszę pamiętać, że w krzyżowym ogniu pytania zeznania Katie okazały się częściowo sprzeczne i moja córka, zanim zemdląca, odwołała część obciążających mnie zeznań. Sędzia wyjaśnił państwu, że Katie Wakefield ostatnio nie czuła się dobrze i że jej odpowiedzi na moje pytania nie należy włączać do sprawy. Proszę państwa, abyście nie poszli za radą sędziego i wzięli pod uwagę wszystko, co mówiła Katie: zarówno jej odpowiedzi na pytania oskarżyciela, jak i moje,

kiedy starałam się uzyskać informacje o dokładnym czasie i miejscu czynów rzekomo przeze mnie popełnionych.

Nicole zrobiła jeszcze jeden krok do przodu; mówiła teraz wpatrując się przysięgłym w oczy.

- To państwo musicie osądzić, co jest prawdą. Staję przed wami z ciężkim sercem, trudno mi uwierzyć, że rzeczywiście zostałam oskarżona o tak haniebną czyn. Staralam się służyć ludziom jak najlepiej, nie jestem winna zarzucanych mi zbrodni. Myślę, że podobnego zdania byłaby każda inteligentna istota żyjąca we wszechświecie, bez względu na wynik tego procesu.

Zapadał zmierzch. Nicole w zamyśleniu oparła się o ścianę swojej celi. Jaka będzie ostatnia noc w moim życiu? Przeszedł ją zimny dreszcz. Od ogłoszenia wyroku zasypiała ze świadomością, że następny dzień przyniesie śmierć.

Gdy zrobiło się ciemno, Garcia przyniosła jej kolację. Od kilku dni jedzenie znacznie się poprawiło. Jedząc smażoną rybę Nicole pomyślała o pięciu latach, które minęły od czasu gdy poznała pierwszych pasażerów Pinty. Gdzie popełniliśmy błąd? - zastanawiała się.

W głowie usłyszała głos Richarda. Jej mąż nigdy nie ufał ludziom, miał o nich jak najgorsze zdanie. Uważał, że w Nowym Edenie powodzi im się zbyt dobrze.

- Doprowadzimy kolonię do ruiny, tak jak uczyniliśmy to z Ziemią - mówił. - Podboje, agresja, wrogość - to wszystko zapisane jest w naszych genach, wykształcenie nie wystarcza, aby to zmienić. Spójrz na bohaterów O'Toole'a, Jezusa i tego młodego Włocha, św. Michała z Sieny. Zabito ich, bo głosili, że ludzie powinni wykazać się bardziej błyskotliwą inteligencją niż szympanasy.

Ale tutaj, w Nowym Edenie, myślała Nicole, mieliśmy okazję stworzyć lepszy świat. Mieliśmy wszystko, co było nam do tego potrzebne. Wiedzieliśmy o istnieniu istot znacznie przewyższających nas intelektualnie, które stworzyły dla nas środowisko, w którym...

Nicole skończyła jeść rybę i postawiła przed sobą czekoladowy pudding. Uśmiechnęła się przypomniawszy sobie, że to ulubiony deser Richarda. Tak bardzo mi go brakuje...

Na korytarzu rozległy się czyjeś kroki. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Do celi wkroczyło dwóch młodych ludzi w mundurach przybocznej straży Nakamury, każdy z nich trzymał w dłoni latarkę.

Nie przedstawili się. Starszy z nich, trzydziestokilkuletni mężczyzna, wyjął z kieszeni jakiś dokument i zaczął czytać:

- Nicole des Jardins Wakefield, została pani skazana za zdradę stanu na karę śmierci, jutro o ósmej rano wyrok zostanie wykonany. Śniadanie otrzyma pani o pół do siódmej, w dziesięć minut

po zapaleniu się światła. O siódmej trzydzięci wyprowadzimy panią z celi. O siódmej pięćdziesiąt osiem zostanie pani umieszczona na krześle elektrycznym, prąd zostanie włączony w dwie minuty później... Czy ma pani jakieś pytania?

Serce Nicole biło tak szybko, że oddychanie przychodziło jej z wielkim trudem. Starła się opanować.

- Czy ma pani jakieś pytania? - powtórzył policjant.

- Jak się pan nazywa, młody człowieku? - spytała Nicole łamiącym się głosem.

- Franz - odparł mężczyzna po chwili wahania.

- A dalej?

- Franz Bauer.

- No cóż, mój drogi Franzu - Nicole spróbowała się uśmiechnąć - może powiesz mi jak to długo potrwa? Od chwili, gdy włączysz prąd?

- Nie wiem - odparł mężczyzna z zażenowaniem. - Straci pani przytomność niemal natychmiast, w ciągu kilku sekund. Ale nie wiem jak długo...

- Dziękuję ci - powiedziała Nicole czując, że za chwilę zemdleje. - Czy moglibyście teraz wyjść i zostawić mnie w spokoju?

Mężczyźni ruszyli do drzwi.

- A mogłabym was prosić o latarkę? - spytała Nicole. - I elektroniczny notes, a może po prostu papier i ołówek?

Franz Bauer potrząsnął głową.

- Przykro mi - powiedział - ale nie możemy tego zrobić...

Tylko dwa listy. Chciałam napisać tylko dwa listy... Jeden do Katie, drugi do Richarda. Chciałam się pogodzić i pożegnać...

Wspominała długie godziny spędzone na dnie studni na pokładzie Ramy II. Wtedy przypuszczała, że umrze z głodu. Przeżyła dzięki temu, że przywołała w pamięci wszystkie radosne chwile w swoim życiu...

Ale teraz nie muszę tego robić, doszła do wniosku, nie ma wydarzenia, o którym bym nie pomyślała... To jedyna pozytywna strona dwóch lat spędzonych w więzieniu...

Była zła, że nie uzyskała zgody na napisanie pożegnalnych listów. Porozmawiam o tym jutro rano, postanowiła. Zezwolą mi na to, jeżeli będę się dostatecznie głośno awanturować...

Oczami wyobraźni ujrzała krzesło elektryczne. Siedziała na nim, na głowie miała jakiś dziwny hełm, który rozżarzył się do czerwoności; straciła przytomność.

Boże, gdziekolwiek i kimkolwiek jesteś, daj mi odwagę. Tak bardzo się boję...

Usiadła na pryczy wpatrując się w ciemność. Zaczęła myśleć o chwili, w której następuje śmierć. Czy to tak, jakbym zasnęła? A może w ostatniej sekundzie stanie się coś, czego żyjący nigdy nie zaznają?

Ktoś wołał ją z oddali.

- Pani Wakefield - znów usłyszała ten sam głos. Nicole usiadła na łóżku myśląc, że nastał już ranek. Na myśl, że pozostały jej dwie godziny życia, ogarnęło ją przerażenie.

- Pani Wakefield, jestem tutaj, za drzwiami... Nazywani się Amadou Diaba.

Nicole przetarła oczy starając się w ciemności dojrzeć sylwetkę człowieka.

- Kto tam? - spytała podchodząc do drzwi.

- Amadou Diaba. Dwa lata temu pani i doktor Turner przeszczepiliście mi serce.

- Co tutaj robisz, Amadou? Jak udało cię się dostać do środka?

- Przekupiłem kogo trzeba. Przyszedłem, żeby pani coś przekazać...

Mężczyzna stał zaledwie kilka metrów od drzwi, ale Nicole nie widziała jego twarzy. Jej zmęczone oczy spletały jej figla; gdy wyteżyła wzrok, w ciemnościach ujrzała swojego pradziadka Omeha...

- W porządku, Amadou - powiedziała po dłuższej chwili. - Co masz mi do przekazania?

- Najpierw muszę coś wyjaśnić, choć moja opowieść może się pani wydać bezsensowna...

Sam jej nie rozumiem... Po prostu wiem, że musiałem to pani oddać.

Mężczyzna zawiesił głos. Nicole czekała cierpliwie. Po chwili Amadou zaczął nieskładnie opowiadać swoją historię:

- Kiedy wybrano mnie do zasiedlenia kolonii Lowell, byłem w Lagos. Moja babka z plemienia Senoufo prosiła mnie, żebym ją odwiedził. Po dwóch tygodniach otrzymałem od niej wiadomość, że chodzi o sprawę "najwyższej wagi", więc natychmiast do niej pojechałem.

Na Wybrzeże Kości Słoniowej dotarłem w środku nocy. Babka obudziła się i ubrała. Razem z naszym czarownikiem poszliśmy do małej wioski, która nazywała się Nidougou...

- Nidougou? - przerwała mu z podnieceniem Nicole.

- Tak. Był tam jakiś dziwny starzec, szaman. Babka i czarownik zostali w Nidougou, a my wspięliśmy się na pobliską górę, nie opodal jakiegoś jeziora. Dotarliśmy tam przed świtem.

"Patrz - rzekł do mnie szaman, gdy pierwsze promienie słońca dotknęły tafli jeziora - oto Jezioro Mądrości. Co widzisz?"

Odparłem, że na dnie jeziora widzę kilkadziesiąt przedmiotów przypominających melony.

"To dobrze - rzekł z uśmiechem szaman. - To ty nim jesteś."

“Kim jestem?” - spytałem.

Ale on nie odpowiedział na moje pytanie. Obeszliśmy jezioro dookoła i dotarliśmy tam, gdzie spoczywały owoce. Słońce znajdowało się coraz wyżej i melony stały się niewidoczne... Wtedy szaman wyjął z kieszeni niewielką ampulkę, zanurzył ją w wodzie i podał mi. Dał mi też kamyk, swoim kształtem przypominający melona.

“Oto najważniejszy dar, jaki otrzymasz w życiu” - powiedział.

“Dlaczego?” - spytałem.

Jego oczy zaszyły bielmem, mężczyzna przeszedł w trans i zaczął nucić plemienną pieśń Senoufo. Tańczył przez kilka minut, a potem nagle wskoczył do jeziora.

“Zaczekaj - krzyknąłem za nim - co mam zrobić z przedmiotami, co mi dałeś?”

“Noś je zawsze przy sobie - odparł - sam będziesz wiedział, kiedy będą ci potrzebne.”

Nicole pomyślała, że Amadou musi słyszeć bicie jej serca. Wyciągnęła rękę przez kratę w drzwiach i dotknęła jego ramienia.

- A wczoraj w nocy - podpowiedziała mu - miałeś sen... a może to wcale nie był sen?... w którym jakiś głos nakazał ci przynieść mi kamień i ampulkę...

- Tak - odparł Amadou. - Skąd pani to wie?

Nicole nie odpowiedziała, nie mogła mówić. Jej ciało dygotało. Gdy dary szamana znalazły się w jej ręce, zrobiło jej się tak słabo, że mało nie upadła. Podziękowała Amadou i prosiła go, by odszedł, zanim zostanie zauważony.

Usiadła na pryczy. Jak to możliwe? Czyżby istniało przeznaczenie? Melony na Ziemi?... Zaczynam tracić panowanie nad sobą, pomyślała Nicole, i to jeszcze przed wypiciem zawartości ampulki...

Naszły ją wspomnienia wizji, których doświadczyła na dnie studni. Otworzyła ampulkę, wzięła głęboki oddech i w pośpiechu wypila jej zawartość.

Początkowo nic się nie działo. W otaczających ją ciemnościach nie zaszły żadne zmiany. Potem nagle na środku celi pojawiła się olbrzymia pomarańczowa kula - wybuchnęła, a kolory rozprysły się na wszystkie strony. Jej miejsce zajęła czerwona kula, potem purpurowa. Nicole usłyszała czyjś śmiech i spojrzała w tamtą stronę. Cella zniknęła, Nicole była wolna.

Było ciemno, ale widziała kontury przedmiotów. Gdzieś z oddali znów usłyszała śmiech. Amadou, zawołała w myślach. Zaczęła biec coraz szybciej, goniła mężczyznę. Gdy zbliżyła się do niego, spojrzała mu w twarz. Ale to nie był Amadou. Biegnącym mężczyzną był Omen.

Roześmiał się ponownie. Ronata, zawołał w jej kierunku. Jego twarz zaczęła rosnać, stała się wielka jak dom. Jego śmiech stał się ogłuszający. Twarz Omeha, olbrzymi balon, unosiła się

wysoko w powietrzu. Mężczyzna znów wybuchnął śmiechem; jego twarz eksplodowała, zalewając Nicole wodą.

Była całkiem mokra; zanurzyła się i płynęła pod wodą. Gdy wypłynęła na powierzchnię, znalazła się na Wybrzeżu Kości Słoniowej w miejscu, gdzie jako siedmioletnia dziewczynka podczas ceremonii Poro spotkała się twarzą w twarz z lwicą. Lwica przechadzała się wokół stawu, Nicole znów była małą dziewczynką.

Chcę do mamy, pomyślała. Zaczęła nucić kołysankę. Podpłynęła do brzegu, lwica zachowywała się spokojnie. Miała twarz jej matki. Nicole pobiegła do niej, żeby ją objąć. Ale sama stała się lwem, polującym na brzegu oazy, pośród bezkresu sawanny.

W stawie pływało sześcioro dzieci; nucąc kołysankę Brahmsa. Lwica-Nicole patrzyła, jak wychodzą z wody: Genevieve, Simone, Katie, Benjy, Patrick i Ellie. Pobiegła za nimi.

Biegła po wielkim stadionie, znów była człowiekiem. Głośniki zapowiedziały, że weźmie udział w trójskoku. Zbliżył się do niej sędzia. Nicole spojrzała mu w twarz.

- Przegrasz! - warknął Toshio Nakamura.

Nicole wzięła rozbieg, miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Odbiła się idealnie i skoczyła bardzo daleko. Widziała, że skok był udany.

Czekali na nią ojciec i Henryk. Dobra robota, powiedzieli, przytulając ją do siebie, świetny skok.

Joanna d'Arc zawiesiła jej na szyi złoty medal. Eleonora Akwitańska ofiarowała jej wielki bukiet róż, Kenji Watanabe i sędzia Myszkini złożyli jej gratulacje. Megafony obwieściły, że Nicole ustanowiła nowy rekord świata; tłum zaczął wiwatować na jej cześć. Nicole spojrzała na morze ludzi na trybunach i zauważyła, że wśród publiczności są Obcy. W kabinie dostrzegła Orła, obok którego siedziały rzędem ośmiornice. Wszyscy oddawali jej cześć, nawet ptaki, kuliste istoty o pajęczych mackach i "węgorze", pływające w olbrzymim basenie. Nicole pomachała do nich.

Jej ręce przemieniły się w skrzydła i uniosła się w powietrze. Była sokołem szybującym wysoko nad polami uprawnymi Nowego Edenu. Spojrzała w dół na budynek, w którym była uwięziona. Skierowała się na zachód i spostrzegła farmę Maxa Pucketta. Choć był środek nocy, Max pracował w pomieszczeniu dobudowanym do stodoły.

Nicole wciąż leciała na zachód, w kierunku jasnych świateł Vegas. Obniżyła pułap lotu. Na schodach za jednym z klubów siedziała Katie. Schowała twarz w dłoniach, jej ciałem wstrząsały konwulsje. Nicole chciała ją pocieszyć, ale wydała z siebie tylko sokoli pisk. Jej córka ze zdziwieniem zadarła głowę do góry.

Szybowała nad Posilano, w pobliżu wyjścia z ziemskiego modułu, czekając na otwarcie śluzy. Strażnik zdziwił się widząc sokoła opuszczającego Nowy Eden...

Dotarła do Avalonu w niecałą minutę. Robert, Ellie, jakiś żołnierz i mała Nicole siedzieli z Benjym w salonie. Nicole nie mogła zrozumieć, dlaczego nie śpią o tej porze. Zawołała do nich; Benjy wyjrzał przez okno.

Usłyszała wołający ją głos. Dochodził gdzieś z południa. Wleciała do drugiego modułu przez otwór wycięty przez ludzi. Minęła fosę i szybowała nad zielonymi polami. Przestała słyszeć głos. U stóp brązowego cylindrycznego gmachu znajdował się żołnierski obóz; spał w nim Patrick.

W powietrzu spotkała ptaka z czterema kobaltowymi pierścieniami na szyi.

- Nie ma go tutaj - powiedział ptak - spróbuj poszukać w Nowym Jorku...

Nicole opuściła drugi moduł i znalazła się na Równiną Środkową. Znow usłyszała wołanie. Wznosiła się coraz wyżej, oddychanie przychodziło jej z coraz większym trudem.

Przeleciała nad murem i znalazła się nad Morzem Cylindrycznym. Coraz wyraźniej słyszała nawołujący ją głos. To był Richard. Jej sokole serce zaczęło bić jeszcze szybciej.

Stał na brzegu i wymachiwał do niej rękami. Chodź do mnie, powtarzał. Pomimo ciemności Nicole dostrzegła jego oczy. Obniżyła pułap lotu i wylądowała mu na ramieniu.

Otaczały ją ciemności, znow była w swojej celi. Czyżby usłyszała za oknem ptasi pisk? Jej serce wciąż biło bardzo szybko.

Dziękuję ci, Amadou, pomyślała. Dzięki ci, Omehu, dodała w myślach i uśmiechnęła się. Dzięki ci, Boże...

Wyciągnęła się na pryczy. Po kilku sekundach już spała.